

TAJEMNICE  
AMY  
SNOW

OTWÓRZ LIST.  
ODKRYJ SEKRET.

TRACY REES

Moim rodzicom, z wyrazami miłości



*Styczeń 1831*

Aurelia Vennaway wstrzymała oddech, wyszła na palcach z dusznego salonu i przekradła się korytarzem. Przez ostatnią godzinę matka i ciotki nie zwracały na nią uwagi, co nie znaczyło, że pozwolą jej wyjść z domu. Matka sądziła, że zimno zmusi Aurelię do pozostania w środku i że córka przynajmniej raz będzie siedzieć cicho w kącie jak grzeczna dziewczynka.

Aurelia wcisnęła futrzaną czapkę na elegancko ufryzowane loki i włożyła solidne zimowe buty. Szybko narzuciła na ramiona błękitną pelerynę – gdyby mogła, równie szybko zmieniłaby swoje przeznaczenie – po czym otworzyła drzwi.

Był pogodny, mroźny, piękny dzień, który wyglądał niczym przedświecie raj. Śnieg przestał padać, lecz ziemię pokrywała gruba warstwa roziskrzonego białego puchu. Świeciło oślepiające słońce, a niebo miało głęboką lazurową barwę. W takim dniu wszystko wydaje się możliwe.

Aurelia uklękła, pochyliła głowę i przyjrzała się swojej absurdalnie szerokiej krynolinie. Uniosła fałdy sukni i ruszyła po śniegu niczym sarna wędrująca po lesie, wdychając mroźne zimowe powietrze.

W zeszłym tygodniu nie widziała matki pięć dni. Metaliczny zapach krwi i krzyki dobiegające z sypialni stały się tylko wspomnieniem, a lady Vennaway znów pojawiła się wśród domowników – lecz coraz trudniej było ją zadowolić. Aurelia nie była pewna, czy w ogóle ma ochotę rozmawiać z matką. We dworze czuło się napiętą, nerwową atmosferę.

W lesie za domem panował półmrok. Aurelia mijała ciężkie od śniegu konary cisów i cienkie, przypominające palce gałązki dębów. Muskała je dłońmi, jakby witała starych, dobrych przyjaciół. Spod czapki wysunęły jej się jasne loki i kołysały po obu stronach twarzy. Słysząc tylko skrzeczenie sójek. Usiadła na niskiej gałęzi, by posłuchać ptaków i marzyć o chwili, gdy na zawsze opuści Hatville Court.

Nagle usłyszała dziwny dźwięk i o mało nie wpadła w zaspę. Było to przerywane kwilenie, cichy płacz. Zeskoczyła na ziemię i ruszyła w tamtą stronę. Miała wrażenie, że jakaś istota z innego świata bawi się z nią w chowanego. Znów usłyszała niesamowity śpiew goblina, wyszła spomiędzy drzew i znalazła się na słońcu.

Wreszcie stanęła na szczycie wzgórza. W śnieżnej zaspie leżało coś sinego, lekko się poruszając. Przez chwilę stary las wydawał się zaklętą krainą z baśni. Z początku bała się zbliżyć, lecz

ciekawość okazała się silniejsza od lęku i Aurelia zrobiła krok do przodu. Było to dziecko, niemowlę. Zdjęła pelerynę i podniosła je ze śniegu. Skórę miało zimną jak lód. Owinęła je i przytuliła.

Pomyślała, że jeśli na skraju pustego lasu leży nagie dziecko, na pewno stało się coś złego.

– Hej! Jest tam kto?! – zawołała, rozglądając się. – Hej! Znalazłam dziecko...!

Odpowiedziała jej cisza i trzepot lśniących jak aksamit skrzydeł wrony wzbijającej się w powietrze.

Dziecko było bardzo zimne i prawie nic nie ważyło. Aurelia odwróciła się i pobiegła jak najszybciej w stronę dworu, walcząc z krępującą ruchy krynoliną.

# CZĘŚĆ PIERWSZA

*Styczeń 1848*

Wiem, że patrzą, jak odchodzę. Droga prowadząca do Hatville Court jest długa i prosta. Najbliższy zakręt znajduje się w odległości kilku kilometrów i dopiero po jego pokonaniu przestanę być widoczna z górnych pięter majestatycznego dworu. Wiem, co widzą: osobę, która nic nie znaczy. Drobna, upartą dziewczynę, samotną, w czarnym żałobnym stroju. Wokół moich butów szeleści sztywna suknia, ciasno okręcam się peleryną z powodu zimna. Niewielki czarny kapelusik wciśnięty na głowę, wstążki rozwiewane przez wiatr. Samotna dziewczyna wędrująca w styczniowym krajobrazie.

Pola i gościniec pokrywa szron, wioska jest pusta i posępna, moje buty pozostawiają rząd śladów niknących w nieskończoności. Właśnie na to liczą – że zniknę niczym ślad w topniejącym śniegu. Spełnię ich życzenie, jeśli będę mogła. Jedyna osoba, którą kiedykolwiek kochałam, przyczyna mojego pobytu tutaj, leży pod półtorametrową warstwą ziemi w cieniu zielonych cisów w cichym kącie cmentarza. Pogrzeb odbył się dzisiaj.

Powietrze jest tak zimne, że łzawią mi oczy, choć myślałam, że już nigdy w życiu się nie rozplacę. Przez ostatnie trzy dni wylałam morze łez i sądziłam, że to koniec. A jednak życie, smutek i zima się nie kończą. Zdrętwiały mi palce u nóg, pokonuję kolejne kilometry, oddalając się od grobu Aurelii i od Hatville Court, jedynej namiastki domu, jaki kiedykolwiek miałam.

Wkrótce się ściemnia. Na szarym niebie pojawia się ostry sierp księżycy i widzę przed sobą zarysy Ladywell, najbliższej wioski. Maszeruję od wielu godzin.

Zatrzymuję się we wsi, bo wiem, że nie mam innego wyjścia, choć mojego bólu nie uśmierzy jedzenie, piwo ani ciepło. Chłód, który czuję w kościach, jest niczym w porównaniu z lodowatym zimnem w sercu, a żadna miła kompania nie zastąpi Aurelii. Ale następna miejscowość leży dziesięć kilometrów stąd i zapada zmrok. Dalszy marsz byłby szaleństwem: samotna młoda kobieta może łatwo paść ofiarą napadu. Chociaż nie mam nadziei, że moje życie znów nabierze sensu, nie chcę go tracić. Aurelia umarła, lecz ja mam jeszcze coś do załatwienia. Muszę wypełniać jej rozkazy równie sumiennie jak wtedy, gdy żyła.

Wchodzę do zajazdu Pod Różą i Koroną. Dzięki drugiej, sekretnej darowiźnie Aurelii mogłabym się zatrzymać w hotelu Pod Królewskim Białym Jeleniem, który ma dobrą opinię. Ale w Ladywell i Enderby plotki szybko się rozchodzą. Gdyby wieść o tym, że mieszkam w hotelu Pod Królewskim Białym Jeleniem, dotarła do Hatville Court, jutro rano przyjechałoby po mnie kareta. Ścigaliby mnie jak ogary piekielne, bo natychmiast by się domyślili, że otrzymałam większy spadek, niż mogłoby się wydawać.

Wystarczy Róża i Korona. Kulturalna młoda dama dbająca o reputację nie powinna przysłuchiwać się rozmowom, ale nie jestem przecież damą. Jasno mi to powiedziano.

Waham się, stojąc w holu. Kim jestem? Szacowną młodą kobietą czy ulicznicą? Nie rozumiem swojej roli w historii Aurelii Vennaway, zwłaszcza teraz, gdy mam doprowadzić ją do końca.

– Czym mogę służyć, panienko? – Zbliżyła się do mnie uprzejmy gospodarz zajazdu. Zaciera nerwowo dłonie, jakby się obawiał, że sama jego obecność może się wydać obraźliwa. Jak dobrze znam to uczucie...

– Dziękuję panu. Chciałabym wynająć pokój na noc, zjeść lekką kolację i może napić się czegoś rozgrzewającego.

– Naturalnie, panienko, naturalnie... BELLA! – Sympatyczny ton nagle zmienia się w ryk i do holu wbiega młoda pokojówka.

– Bello, rozpal ogień na kominku w Barley Room i zanieś tam torbę paniarki! – rozkazuje, znów mówiąc normalnym głosem. – Czy wolno mi zaproponować, by spożyła paniarka kolację w salonie? Nie osmieliłbym się tego sugerować, ale jest tam ciepło, a pokój ogrzeje się dopiero po pewnym czasie. W salonie jest spokojnie, większość ludzi siedzi w domach z powodu mrozu, a paniarka, proszę wybaczyć, wygląda na przemarznąętą do szpiku kości, panno... panno...

– Snow.

Spogląda na mnie i zaczyna rozumieć. Bella stoi, trzymając moją torbę. Jej koścista ręka sięga prawie do podłogi. Służąca patrzy na mnie z nieskrywaną ciekawością, aż gospodarz każe jej odejść.

– Za przeproszeniem, panno Snow, jeśli zechce pani zjeść kolację w salonie, osobiście wszystkiego dopilnuję. Zadbam, by pani nie przeszkadzano. Kiedy zje pani posiłek, pokój będzie już gotowy.

Jego troskliwość sprawia, że do oczu znów napływają mi łzy. Powstrzymuję się od płaczu tylko ogromnym wysiłkiem woli.

Jem kolację w salonie i chociaż ledwo kosztuję potraw, ciepło i miłe zapachy sprawiają, że czuję się trochę lepiej. Później szybko podążam do małego, prosto umeblowanego pokoju, który zgodnie z obietnicą jest dość ciepły. Myję się pobieżnie, czując narastające oszołomienie.

W czasie marszu z Hatville Court przyszło mi do głowy, że powinnam spisać relację na temat swoich losów i podróży. Leżę samotnie w ciszy, przytłoczona nieobecnością Aurelii, ale nie mogę się poddać, nie na samym początku. Muszę być silna.

Zaczynam pisać. Tak naprawdę nie pozostało mi nic innego.

Muszę rozpocząć od refleksji na temat łóżek. Bez wątpienia nie jest to odpowiedni temat dla młodej damy, lecz właściwie dlaczego? Łóżko to miejsce, w którym rozgrywa się duża część ludzkiego życia – narodziny, śmierć, namiętności, marzenia – najważniejsze momenty kruchej ludzkiej egzystencji.

W tej opowieści występuje kilka ważnych łóżek, między innymi to, w którym przez trzy lata spała śmiertelnie chora Aurelia. A także śnieżna zaspą, czyli moje pierwsze łóżko – nieskazitelnie białe posłanie maleńkiego noworodka, tak zimne, że przemarzłam do szpiku kości, wierzgając nóżkami. Snow – stąd właśnie wzięło się moje nazwisko, idealny symbol mojego pochodzenia. Lodowata, nieprzyjemna zaspą śniegu określa moją pozycję w społeczeństwie i świecie.

Umarłabym w tym mięciutkim, roziskrzonym łóżeczku – nie powinnam przeżyć, nie zaprzeczajmy faktom – gdyby nie uparta dziewczynka, która rzadko robiła to, co jej kazano. Aurelia Vennaway, jedyna córka sir Charlesa i lady Celestiny Vennawayów, najbardziej szanowanej rodziny w hrabstwie.

Ośmioletnia Aurelia, nad wiek rozwinięta, była oczkiem w głowie i przekleństwem rodziców. Jej pozycja społeczna nie robiła na niej wrażenia: wydawała się nie zważać na naturalne różnice statusu dzielące ludzi. Ja jednak zawsze rozumiałam, że niektóre dzieci są znacznie lepsze od innych.

W dniu, gdy Aurelia mnie znalazła, miała na sobie czerwoną sukienkę, solidne brązowe buty z miedzianymi guzikami, jasnobłękitną pelerynę i futrzaną czapkę w kremowym kolorze. Oczywiście nie mogę tego pamiętać, ale tak mówiła. Aurelia długo i dokładnie relacjonowała koleje mojego dzieciństwa, jakby chciała mi wynagrodzić nieznaną rodziców bogactwem szczegółów.

Tamtego dnia miała już dość przegrzanego salonu, w którym przebywało zbyt wiele osób. Chociaż ziemię pokrywał wyjątkowo głęboki śnieg (tak ogromnych zasp nie pamiętali najstarsi ludzie), na dworze świeciło słońce i Aurelia pragnęła wyjść z domu. Nie chciała siedzieć w czterech ścianach. Wołała przebywać na otwartej przestrzeni i patrzeć na bezkresne niebo. Cook zawsze twierdziła, że Aurelia miała w sobie coś z dzikiego zwierzęcia.

Pobiegła do lasu, gdzie hałasowały zaniepokojone sójki, i dziwne, że w ogóle mnie usłyszała. Jednak zwróciła uwagę na moje kwilenie i zdołała mnie odnaleźć – leżącą w śniegu pod niezmiernym niebem – choć zgubiła czapkę, przedzierając się przez zaspą. Zastanawiam się, czy Aurelia, ubrana w błękitną pelerynę, wydała mi się niezmierną istotą, która nagle zmaterializowała się przed moimi oczami. Naturalnie nie pamiętam chwili, gdy ją ujrzałam.



Jak dotąd, widywała tylko pulchne, rumiane dzieci kuzynów i znajomych, a ja byłam chuda i sina. Nie okrywały mnie aksamitne stroje i koronki. Nie miałam na sobie absolutnie nic. Mówiła, że wrzeszczałam jak opętana.

Owinęła mnie w pelerynę i pobiegła do dworu. Nie zważając na zasady dobrych manier i nie zdejmując butów, wpadła do salonu, gdzie wciąż siedziały matka i ciotki, rozmawiając i haftując. Z przerażeniem patrzyły na ślady śniegu pozostawione przez Aurelię na dywanie, ona zaś ostrożnie położyła przed kominkiem trzymane w rękach zawiniątko i rozchyliła fałdy materiału.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego lady Vennaway powitała moje pojawienie się okrzykiem: „Aurelio!”, jakby córka zrobiła coś naprawdę okropnego. Nie rozumiała, dlaczego rodzice mają jej za złe, że uratowała życie niemowlęciu (było jasne, że przyjmują to z dezaprobatą). Nie potrafiła również pojąć, dlaczego ciotkę Evangeline tak zdenerwowało zgubienie czapki, jakby czapka była cenniejsza od istoty ludzkiej.

Po jakimś czasie matka i ciotki wytłumaczyły Aurelii, że nie wszystkie dzieci są równe, gdyż ich wartość zależy od wielu czynników, zwłaszcza okoliczności przyjścia na świat oraz statusu rodziców. Na świecie istnieje ścisła hierarchia. Ja, będąc istotą pozbawioną wszelkiej wartości, znajduję się na samym dole drabiny społecznej i choć nie okryłam hańbą rodu Vennawayów, nie jestem mile widzianym gościem w domu tak szlachetnej rodziny.

Tuż po moim przybyciu do Hatville Court relegowano mnie do kuchni. Ogień buzujący w kominku w salonie i miękki indyjski dywan nie były przeznaczone dla mnie. Musiało mi wystarczyć ciepło piekarnika i wiadro pospiesznie opróżnione z ziemniaków. Ale Aurelia poszła za mną do kuchni i zajęła się mną wraz z Cook, aż odzyskałam normalny różowy kolor i przeżyłam.

Lady Vennaway była głęboko wstrząśnięta. Nie z powodu okrutnego potraktowania niemowlęcia, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że życie jest wyjątkowo niesprawiedliwe (aczkolwiek zasada ta nie dotyczy rodzin arystokratycznych). Chodziło o to, że na terenie posiadłości Vennawayów pojawił się owoc grzesznego związku, po czym znalazł się w jej własnym domu – było to wręcz niesłychane. Przede wszystkim pragnęła się mnie pozbyć, a jej mąż całkowicie się z nią zgadzał. Rozwiązaniem problemu dzieci takich jak ja są sierocińce i domy poprawcze. Jednak ich ukochana, uwielbiana Aurelia nawet nie chciała o tym słyszeć.

Hatville Court można sobie wyobrazić jako pole nowej bitwy pod Agincourt trwającej ponad dwadzieścia pięć lat. Pierwsza armia składała się z lorda i lady Vennawayów, potężnych, szanowanych, bogatych i z definicji nieomylnych. Mieli po swojej stronie historię, władzę i konwenanse. Drugą armią była Aurelia. Jako dziecko, zaledwie córka, nie miała absolutnie żadnych szans na zwycięstwo, jednak nie chciała tego uznać, co dało jej ogromną siłę.

Większość bitew Aurelii to drobne potyczki: wybór sukienek, cenzura lektur, to, czy ma obowiązek towarzyszyć matce podczas porannych wizyt w sąsiedztwie. Czasami wygrywała, częściej przegrywała. Ale obrona niemowlęcia znalezionego w śnieżnej zaspie była jedną ze spraw, w której nie zamierzała

ustąpić, niezależnie od konsekwencji. Tym razem odniosła zwycięstwo dzięki czystemu uporowi, okazując żelazną siłę charakteru, która zupełnie nie pasowała do młodej damy. Sądzę, że uciekła się do hysterii. Nawet najwybitniejszy generał musi wzmocnić oddziały i okazało się, że Aurelia ma nieoczekiwanych sojuszników.

Przede wszystkim były to liczne siostry lady Vennaway, które odwiedziły tego dnia Hatville Court. Chociaż budziłam w nich grozę, wyrażały współczucie dla biednego maleństwa – i ulgę, że wskutek zrzędzenia losu znalazło się w domu rodziny dysponującej tak ogromnym majątkiem, iż nie sprawi nikomu kłopotów. (Nie można wykluczyć, że te filantropijne uwagi wypowiedziano częściowo ze złośliwości, by dokuczyć lady Vennaway, najdumniejszej i najpiękniejszej z sióstr).

Drugim sojusznikiem okazał się pastor Chorley, który pojawił się dwie godziny później. Obecność tylu dam nieco go skonfundowała, lecz zapomniał o zmieszaniu, gdy dowiedział się, co się stało. Aurelia wyszła z kuchni, nagle pojawiła się w salonie i poinformowała go o znalezieniu dziecka. Barwny opis biednej, sinej dziewczynki uzupełniła Gwendoline, najmłodsza i najmniej rozważna z ciotek. Dobry duchowny uznał, że Bóg zesłał mnie Vennawayom, by ocalić mi życie. Poza tym uważał, że lady Vennaway powinna spełnić chrześcijański obowiązek, by dać przykład całej wiosce.

Dla Vennawayów najważniejsza była reputacja. Chodziło o dobre imię rodziny. Aurelia zwyciężyła.

Wyjmuję list z kieszeni czarnej sukni i patrzę na niego w mdłym świetle latarni. Wążę go w dłoniach i przypominam sobie ogłoszenie testamentu Aurelii. Mam wrażenie, że czytałam go wiele lat temu, choć było to zaledwie wczoraj.

Pogrzeb – okropna uroczystość – odbył się rano, po czym wszyscy wróciliśmy do dworu i rozeszliśmy się do swoich pokoi. O czwartej zebraliśmy się w gabinecie: lord i lady Vennawayowie, Maude, cioteczna siostra Aurelii, ja, Cook i pan Clay, nauczyciel wiejskiej szkoły. A także, oczywiście, mecenas Wilberforce Ditherington, adwokat zmarłej.

Wystrój gabinetu pasował do posępnej ceremonii. Dwór, chociaż wspianały, jest ponury i surowy. Osobę, która odwiedza Hatville po raz pierwszy, ta ogromna, otoczona bujną roślinnością posiadłość mogłaby wprowadzić w błąd. Zielone pola, szumiące zagajniki, sady, wielkie przestrzenie porośnięte trawą, otoczony murem ogród pełen ziół i róż. Wszystko to nie zmieniło się od stu lat. Bądź co bądź, pięknie i bogato wygląda tylko otoczenie dworu.

Fasada może budzić podziw, to prawda. Jednak znalazłszy się w środku, przybysz z trudem powstrzymuje dreszcz lęku. Meble w dwóch skrzydłach są przykryte pokrowcami, bo gmach jest zbyt wielki dla trzech członków rodu. Wielkie sale robią imponujące wrażenie, lecz są staroświeckie i surowe. Stoły nadają się do spożywania posiłków, a fotele do siedzenia, ale wszystko ma odstręczający charakter, bo nikt w Hatville nie dba o komfort ani dekorację.

Po śmierci Aurelii poczułam, że gaśnie we mnie wewnętrzne światło. Amy Snow, która stała wczoraj w rogu ponurego gabinetu, najbardziej pogardzana ze wszystkich zgromadzonych, nie zwracała uwagi na krytyczne spojrzenia. Mecenas Ditherington odczytał ostatnią wolę Aurelii, a ja miałam wrażenie, że jego słowa to kłęby piasku niesione przez wiatr. Ogłosił, że różne stowarzyszenia dobroczynne wspierane przez Aurelię mają otrzymać darowizny w gotówce: Towarzystwo Edukacji Klas Niższych, Ruch na rzecz Przeciwdziałania Cholerze w hrabstwie Surrey, Stowarzyszenie Pomocy Bezdomnym i tak dalej. Rodzice Aurelii spoglądali przez okno, bez entuzjazmu słuchając pośmiertnych dyspozycji córki. Później, kiedy mecenas Ditherington przeszedł do bardziej osobistych zapisów, Vennawayowie skupili uwagę na jego słowach.

Pan Clay zadrżał, gdy usłyszał wysokość kwoty przekazanej szkole. Oznaczała ona remont, wyposażenie, rozbudowę, spełnienie wieloletnich marzeń.

Kuzynka Maude była uszczęśliwiona, gdy otrzymała eleganckie suknie, kapelusze i płaszcze Aurelii, która nawet w okresie choroby pasjonowała się najnowszą modą i regularnie zamawiała w Londynie suknie szyte na miarę. Zawsze była dość próżna i miała ku temu powody.

Cook rozpląkała się na wieść, że Aurelia zapisała jej kilka sztuk biżuterii, w tym złoty medalion w kształcie serca wysadzany rubinami. Lord i lady Vennawayowie zrobili zbolące miny, ale to nie Cook stanowiła największe zagrożenie. Od dawna pracowała w Hatville, więc było do przewidzenia, że Aurelia darzy ją sympatią. I, jak to Aurelia, okazała typową dla siebie przesadną hojność.

To ja byłam naprawdę niebezpieczna, ponieważ łączyła nas przyjaźń. Mimo mojego haniebnego pochodzenia, często podkreślanego przez Vennawayów, traktowała mnie najpierw jako pokojówkę, później towarzyszkę, a w końcu pielęgniarkę. Lord i lady Vennawayowie usiłowali skłonić mnie do wyprowadzki, okrutnie szykanując, lecz Aurelia nie chciała się ze mną rozstać, ja zaś jestem osobą bardzo odporną.

Kiedy padło moje nazwisko, wszyscy zeszywnieli. Nastroszeni rodzice Aurelii czekali, aż mecenas Ditherington odczyta listę ekstrawaganckich podarunków przekazanych mi pośmiertnie przez ich córkę. W rzeczywistości zapis okazał się zaskakująco skromny:

*Amy Snow, prawdziwej przyjaciółce i oddanej towarzyszce w ciągu długich lat choroby, pozostawiam kwotę dziesięciu funtów. Wiem, że wykorzysta je w mądry sposób, by rozpocząć nowe życie, gdy uzna to za stosowne. Poza tym mój złoty pierścionek z granatami – proszę, by nosiła go przez pamięć o mnie. A także szkicownik zawierający obrazy minionej jesieni, rozjaśnionej przez naszą przyjaźń, która płonęła niczym jasny ogień, rozpraszając chłód zbliżającego się rozstania.*

Zdawałam sobie sprawę, że wokół rozlegają się westchnienia ulgi. Przykra scena wyglądałaby niestosownie tuż po pogrzebie Aurelii. Ofiarowany mi pierścionek nie był tak cenny jak medalion Cook – miał głównie wartość sentymentalną. Pieniądze sprawiły, że państwo Vennawayowie nie musieli natychmiast decydować, co ze mną zrobić. Wiedziałam, że nie dadzą mi ani pensa. Szkicownik, choć bardzo osobisty, miał dla mnie znacznie większą wartość niż dla nich. Mogli się z nim rozstać. Ach, jak dobrze Aurelia znała nas wszystkich...

Dziesięć funtów. Wczoraj po południu mecenas Ditherington z powagą odliczył tę kwotę, po czym przekazał mi ją wraz z pierścionkiem i szkicownikiem. Pierścionek włożyłam na palec, a szkicownik schowałam do torby, wiedząc, że następnego dnia będę musiała opuścić Hatville Court. Odeszłabym zaraz po śmierci Aurelii, gdyby nie to, że wszyscy w okolicy znali jej uczucia do mnie. Gdybym nie przyszła na pogrzeb, pojawiłyby się plotki, które nie spodobałyby się Vennawayom. Poza tym musiałam być obecna w czasie ogłoszenia testamentu, a potem nie wypadało mnie wyrzucić późnym popołudniem. W ten sposób różne przypadkowe wydarzenia wpłynęły na to, co stało się nazajutrz rano. Dziś rano!

Spałam źle i ciągle się budziłam, dręczona samotnością i bojąc się przyszłości, której nie potrafiłam sobie wyobrazić. Ale ufałam Aurelii. Skoro napisała, że mogę zacząć nowe życie z dziesięcioma funtami, powinnam to zrobić. Cały ranek odczuwałam dziwną mieszaninę zaufania i lęku. Wreszcie zwlokłam się z łóżka, stanęłam w półmroku przy oknie i patrzyłam na horyzont w nadziei, że odnajdę źródło inspiracji.

I tak się stało, choć w nieprzewidziany sposób. Zauważyłam pana Claya spacerującego w ogrodzie od strony kuchni.

Byłam zdumiona. Wczoraj wieczorem, po odczytaniu testamentu, poszedł do domu. Dlaczego wrócił tak szybko i krążył wśród grządek warzyw? Z pewnością jako skromny nauczyciel pochodzący z prostej rodziny nie może utrzymywać stosunków towarzyskich z Vennawayami?

Nagle zauważył mnie i uniósł rękę, a jego wargi rozchyliły się, jakby westchnął: „Ach!”, choć oczywiście nie mogłam niczego usłyszeć. Kilkakrotnie skinął dłonią w moją stronę, zapraszając mnie do siebie. Zachowywał się tajemniczo, a jednocześnie z wielką uprzejmością. Nie zdawałam sobie dotąd sprawy, że można się tak umiejętnie porozumiewać na migi. Ubrałam się pośpiesznie, spięłam włosy i pobiegłam cichymi korytarzami do otoczonego murem ogrodu na tyłach dworu.

– Moglibyśmy porozmawiać na osobności? Z dala od dworu? – spytał cichym, napiętym głosem. Wyraźnie chodziło o coś tak ważnego, że nie chciał tracić czasu na uprzejmości.

Wyszłam z nim za bramę i poprowadziłam go drogą, aż dotarliśmy do niewielkiego zagajnika. Otoczeni drzewami i styczniową mgłą, mogliśmy rozmawiać swobodnie. Wiatr szeptał własne sekrety w niezrozumiałym języku. Drzewa stały w tajemniczej ciszy, nieme i czarne jak prawda o śmierci Aurelii.

Rozejrzał się, by się upewnić, że jesteśmy sami, a następnie zdjął kapelusz.

– Proszę mi wybaczyć, panno Snow, że zawracam pani głowę w takim trudnym momencie. Widzi pani, kazano mi się z panią spotkać.

– Kazano? Kto panu kazał, panie Clay?

– Panna Vennaway – odpowiedział. Wydawał się zdziwiony własnymi słowami.

Zamarło mi serce. Jak to możliwe?

Wsunął dłoń pod płaszcz i wyjął paczkę, po czym zawahał się lekko.

– Kiedy wczoraj wieczorem wróciłem do domu, czułem się... czułem się bardzo szczęśliwy z powodu hojnego zapisu panny Aurelii. Usiadłem w swoim gabinecie i napisałem długi list do panny Page o wspaniałomyślności panny Vennaway. Panna Page i ja jesteśmy zaręczeni, rozumie pani.

– Wiem, panie Clay, wiem.

– A później zjadłem zrazy.

– Zrazy, panie Clay?

– Tak, zrazy. Uduszone z ziołami i cebulą, pyszne. Okazało się, że uśmiech fortuny wzmacnia apetyt. Po pewnym czasie wróciłem do gabinetu, by otworzyć paczkę przekazaną przez mecenasa Ditheringtona. Była dość duża, jak pani pamięta, i spodziewałem się, że zawiera wiele dokumentów prawniczych.

Nie pamiętałam paczki, bo w czasie odczytywania testamentu byłam wytrącona z równowagi. Ale



gdyby miała to być ostatnia wiadomość od Aurelii, dałabym sobie rękę uciąć, by ją dostać.

– W rzeczywistości otrzymałem tylko dwa dokumenty. Czek bankierski na kwotę wymienioną w testamencie oraz list z życzeniami powodzenia w pracy szkolnej i szczęścia w małżeństwie. List zawierał również prośbę. Mam to pani przekazać. – W końcu wręczył mi paczkę.

Na opakowaniu znajdowało się moje nazwisko napisane charakterem pisma Aurelii jej ulubionym fioletowym tuszem. Prawie nie wierzyłam własnym oczom. Popatrzyłam na szczerą twarz pana Claya.

– Panna Vennaway poprosiła mnie, bym dostarczył to pani osobiście przed pani wyjazdem z Hatville Court w taki sposób, by nikt się o tym nie dowiedział. Nie mogłem jej zawieść.

– Pomyślała o wszystkim – rzekłam cicho.

– Dużo pani dla niej znaczyła. Życzę pani szczęścia, panno Snow. Mam nadzieję, że będzie mnie pani zawsze uważać za przyjaciela.

Skłonił się, a ja dygnęłam, po czym się pożegnaliśmy. Wyraził nadzieję, że dopisze mi szczęście, ja zaś życzyłam mu powodzenia w pracy w szkole. Poważnie podejrzewałam, że nigdy więcej nie zobaczę dobrego pana Claya.

Nie zamierzałam dłużej zostawać w Hatville. Byłam ubrana i do połowy spakowana. Gdybym mogła odejść przed obudzeniem się Vennawayów, oszczędziłoby to nam wszystkim ostatniej niemiłej rozmowy. Ale łaknęłam choć słowa wyjaśnienia. Pospiesznie otworzyłam paczkę i wyjęłam kopertę. Zawierała plik banknotów, których nie policzyłam, a także list, który natychmiast przeczytałam. Nie ośmieliłam się zrobić tego w domu, gdyż nie mogłam się zamknąć w swoim pokoju i w każdej chwili ktoś mógł do niego wejść. Dlatego zostałam w ogrodzie. Przeczytałam list w słabym świetle poranka, drżąc z zimna, prawie nie wierząc własnym oczom.

Później pośpieszyłam do dworu. Skończyłam się pakować, zamknęłam torbę podróżną z kolorowego materiału i uczesałam ciemne włosy, przygotowując się do drogi.

Nagle serce podeszło mi do gardła, ponieważ drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i zobaczyłam lorda Vennaway. Ruszył w moją stronę z twarzą poszarzałą z wściekłości. Jego wąsy drżały.

– Nie powinnaś tu być, nigdy! – rzucił. Przesunął dłonią po włosach, włożył rękę do kieszeni, wyjął ją i zacisnął w pięść. – Nigdy nie powinnaś z nami mieszkać! Kim ty właściwie jesteś?! Wykorzystałaś dobre serce i niewinność mojej córki! Wkradłaś się w jej łaski! Zamieszkałaś w domu, gdzie nikt cię nie chciał! Znajda! Bękart! Włóczęga! To ty powinnaś umrzeć, nie Aurelia! Kochaliśmy ją, ale zwiędła jak róża! Zatrzymałaś jej umysł! Nie nadawałaś się na jej towarzystwo. Mogłaby żyć, gdybyś jej pozwoliła, ale nie pozwoliłaś! Nie pozwoliłaś...!

Nigdy nie słyszałam, żeby mówił w taki sposób. W ogóle rzadko go słyszałam, bo zwykle staraliśmy się siebie unikać. Jego żona często mnie dręczyła, powtarzając niezliczoną ilość razy, że Aurelia miała przed sobą wielką przyszłość, że powinnam umrzeć w śniegu. Lord Vennaway zwykle zachowywał się zupełnie inaczej: milczał, spoglądając na mnie z dezaprobatą, ponury jak chmura gradowa. Człowiek, którego ujrzałam nagle w swoim pokoju, był wściekły, zrozpaczony, mówił od rzeczy.

– Co tam masz?! – spytał ostro, po czym przepchnął się koło mnie i chwycił torbę.

Przerażona wzięłam głęboki oddech. Moja cenna paczka! Nie mogę jej stracić, nim zdążyłam przejrzeć jej zawartość. Nie mogę zawieść Aurelii na samym początku!

Przynajmniej koperta była bezpieczna, bo wsunęłam ją do kieszeni spódnicy. Instynktownie dotknęłam jej dłonią i usłyszałam szelest papieru. Lord Vennaway wpatrywał się we mnie i przez okropną chwilę myślałam, że chwyci mnie za rękę, znajdzie list i pieniądze. Ale zamiast tego zaczął przeszukiwać torbę. Było to wyjątkowo upokarzające. Ubrania, książki, bielizna (zaciśnęłam oczy ze wstydu), stare listy – wyrzucał wszystko po kolei na łóżko i podłogę. Wreszcie znalazł paczkę.

– Co to takiego?! – rzucił ostro, widząc na opakowaniu pismo Aurelii. Dyszał ciężko z wściekłości. Musiałam odpowiedzieć.

– Prezent urodzinowy. Od Aurelii.

– Prezent urodzinowy?! Przecież ty nie masz urodzin! Nie warto ich obchodzić. – Spojrzał mi w oczy. Nie dałam się zbić z tropu. Słyszałam gorsze rzeczy.

– Obchodziłyśmy moje urodziny. W styczniu. W dniu, gdy mnie znaleziono. Było to kilka dni przed jej... jej... – Oczy wypełniły mi się łzami. Nie mogłam powiedzieć, że umarła, na litość boską! – Zachowałam go, by mieć po niej jakąś... jakąś... – ciągnęłam z trudem.

Z przerażeniem patrzyłam, jak obraca w dłoniach paczkę. Wyglądało, jakby miał zamiar ją otworzyć.

– Nie! – Nie mogłam się powstrzymać. Wyciągnęłam rękę, on zaś mocno mnie odepchnął.

Rozerwał papier. Obserwowałam go, nieszczęśliwa i bezradna. Z wnętrza wypadła cienka zielona tkanina, mięciutka i kobieca, może pokryta haftem, nie zdołałam tego zauważyć wskutek szoku. Odłożył ją. Opakowanie wylądowało na łóżku, a zielony muślin ześlizgnął się na podłogę.

– Wyjdz! – syknął. – Opuść ten dom i nigdy nie wracaj! Zbyt długo tolerowaliśmy twoją obecność. Teraz Aurelia nie żyje, po jej śmierci nikt cię tu nie potrzebuje. Pamiętaj, że jeśli znowu pojawisz się w Hatville Court, wezwiemy konstabla, który usunie cię na zawsze!

Zebrałam swoje rzeczy, dygocąc. Tym razem nie pakowałam się starannie. Po prostu wepchnęłam wszystko do torby, poczynając od zielonej tkaniny i podartego papieru. Lord Vennaway bacznie mnie obserwował, gdy nerwowo zbierałam rzeczy, upuszczając je na ziemię. Myślałam tylko o tym, by uciec i ukryć podarunek Aurelii. Spakowałam się tak pośpiesznie, że torba ledwo się zamknęła, i wystawała z niej moja stara szara sukienka.

Nie było pożegnań. Nawet Cook nie przyszła, by powiedzieć mi do widzenia. Przypuszczam, że jej zabroniono. Drzwi zatrzęsły się za mną. Szłam długą, prostą drogą z włosami wciąż naelektryzowanymi od czesania. Ale nikt nie odkrył pieniędzy ani listu, ciągle miałam paczkę. Tylko to się liczyło.

Barley Room w hotelu Pod Różą i Koroną jest cztery razy mniejszy od mojego pokoju w Hatville i znajduje się w nim dwa razy więcej mebli. Pachnie politurą i sadzą. Wydaje się smutny i obcy, ale mam całkowity spokój i mogę dokładnie obejrzeć podarunek Aurelii.

Zielona tkanina to muślin haftowany w maleńkie niezapominajki – po łacinie *Mysotis*. Lekka mantylka noszona latem przez eleganckie damy, osłaniająca ramiona o barwie kości słoniowej. Kiedy dotykam nosem tkaniny, mam wrażenie, że czuję woń jaśminu i światła księżyca. To nie pora na takie ładne rzeczy i nie jestem dziewczyną, która mogłaby je nosić.

Liczę pieniądze. Okazuje się, że to sto funtów. Spoglądam na nie ze zdumieniem, po czym z braku lepszego miejsca chowam w kuferku na przybory toaletowe. Nie jestem jeszcze na tyle bezpieczna, by je mieć.

Ponownie czytam list przy lampie, wiele godzin po pierwszej lekturze w szarym świetle wczesnego poranku. Teraz na stronicę pada głęboki, złocisty blask.

*Moja Najdroższa Amy!*

*Jeśli czytasz ten list, oznacza to, że pan Clay spełnił moją prośbę, jak się spodziewałam. Jestem już martwa. Wiedziałam, że to się stanie. Moja droga, wiem, że na pewno odczuwasz teraz wielki ból. Miałyśmy szczęście, że mogłyśmy być tak długo razem, prawda? Rzadko zdarza się taka głęboka sympatia i przyjaźń, jakie nas łączyły. Urodziłam się jedynaczką, lecz mimo to mam siostrę.*

*Dość tego roztkliwiania się nad sobą, bo dobrze znasz moje uczucia i muszę Ci powiedzieć wiele rzeczy. Byłyśmy sobie bardzo bliskie, najdroższa, ale nie zdradziłam Ci wszystkich swoich sekretów. Nie z powodu braku zaufania, powinnaś o tym wiedzieć. Zrozumiesz wszystko, kiedy je poznasz, bo zawsze chciałam Cię w nie wtajemniczyć. Ale nie są to sekrety, które mogę po prostu opisać w liście – a przynajmniej nie w tym. Bardzo chciałabym powiedzieć Ci wszystko osobiście. Siedziałybyśmy razem przy kominku z nachylonymi ku sobie głowami, jak to często się zdarzało. Przygotuj się, kochana Amy, bo dowiesz się wielu rzeczy, o których nie masz pojęcia.*

*Pamiętasz, moja droga, że gdy byłyśmy małe, lubiłam wymyślać dla Ciebie zagadki polegające na poszukiwaniu ukrytych niespodzianek! Szłaś spać, a ja przygotowywałam*

wskazówki i kryjówki, a potem cieszyłam się, patrząc, jak biegasz po okolicy i szukasz skarbów! (Zwykle była to zaledwie stara lalka albo koronkowa chusteczka do nosa, lecz obie wiemy dlaczego, prawda? Raz trochę czekoladek przywiezionych przeze mnie z Londynu – przynajmniej mogłaś je zjeść, nim Ci je zabrano! Och, bardzo dobrze, ja też je jadłam).

Pewnie się zastanawiasz, jaki związek z teraźniejszością mają te dawne wspomnienia. Są początkiem ostatniej zabawy w poszukiwanie skarbu, jaką dla Ciebie przygotowałam. Traktuj moje listy (otrzymasz ich kilka) jako wskazówki – każda będzie prowadziła do następnej. Zaplanowałam, by moja historia odsłaniała się stopniowo, każdy list będzie Cię prowadził coraz dalej od Hatville, coraz dalej od upokorzeń, które spotykały Cię w tym domu, i będziesz coraz bezpieczniejsza, coraz silniejsza, coraz bardziej wolna. Po czwartym lub piątym liście staniesz się jedyną osobą mogącą podążać wytyczoną ścieżką. Nikt nie zna mnie tak dobrze jak Ty, moja droga.

A zatem wybacz, że niczego Ci jeszcze nie wyjaśniam. Wybacz, jeśli ton listu jest niewłaściwy. Może nie są to najlepsze słowa, jakie można wysłać komuś zza grobu. Ale postaraj się zrozumieć, że gdy piszę te słowa, jestem ciągle tutaj i siedzę przy biurku w swoim pokoju, który tak dobrze znasz. Pięć minut temu życzyłam Ci dobrej nocy i jutro zobaczę Twój słodki uśmiech. Po śniadaniu planujemy posiedzieć w ogrodzie różanym. Trudno pisać jako martwa kobieta, gdy życie jest ciągle tak przyjemne.

Mimo to zbliża się moja śmierć. Kiedy nadejdzie, nie będziesz miała przyjaciół, bo obie wiemy, jak nieprzyjemnie – nie, okrutnie – traktują Cię moi rodzice. Nasza przyjaźń jest cenna i mam nadzieję, że nigdy nie będziesz jej żałować, choć uczyniła Cię więźniem przywiązany do tego domu i zależnym ode mnie. Teraz możesz szybować swobodnie, ptaszku! A ja Ci pomogę, bo Ty mi pomogłaś bardziej, niż zdajesz sobie z tego sprawę.

Czujesz żal, jesteś sama. Ale nie zabraknie Ci pieniędzy. Przekazuję Ci pewną kwotę. Otrzymasz więcej, lecz to na razie wystarczy. Dziesięć funtów! Jakbym mogła Ci zapisać taką drobną sumkę! Jestem wściekła, że mogli w ogóle w to uwierzyć, ale to bardzo wygodne. Zielona mantylka to prezent. Będzie Ci w niej do twarzy, Amy, choć wątpię, czy mi uwierzysz.

Pierwsza wskazówka w czasie poszukiwania skarbu? Jedź do Londynu, moja droga. To pierwszy cel Twojej podróży. Masz pieniądze, możesz podróżować w komfortowych warunkach, ciesz się tym, jeśli potrafisz. Zobacz Anglię, która całkowicie różni się od Enderby! Kiedy dotrzesz do Londynu, odzyskaj księgarnię Entwhistle'a. Idź do działu historii naturalnej. (Dama przeglądająca dzieła pana Beckwitha... Och, cóż za skandal! Oby tylko Twój delikatny umysł nie eksplodował, moja droga!). Przypomnij sobie książkę, o której długo dyskutowaliśmy w letni wieczór po kolacji z panem Howdenem. Zastanów się nad zmiennymi i znajdź list ode mnie. Jak tego dokonałam? Ach, jestem czarodziejką, ptaszku...

Na koniec, droga Amy, weź się w garść. Nie spodziewam się, że w jeden dzień odzyskasz

*równowagę po mojej śmierci, że mnie zapomnisz albo kimś zastąpisz (jestem jedyna w swoim rodzaju, prawda?). Spodziewam się, że będziesz żyć, dobrze żyć. Twoje dotychczasowe życie, mimo naszej przyjaźni, nie było tym, czym może i powinno być.*

*Podążaj za moimi wskazówkami, proszę Cię. Nie tylko dlatego, że zaprowadzą Cię dalej, niż możesz sobie wyobrazić, ale dlatego, że mam niezłatwione sprawy, które jedynie Ty możesz doprowadzić do końca. Nasze gry i przygody jeszcze się nie skończyły. Ha! Potrzeba czegoś więcej niż śmierć, by mnie uciszyć!*

*Z serdecznymi wyrazami miłości*

*Aurelia*



Nic nie mogło pokonać Aurelii. Nawet kiedy jak żelazna pięść spadła na nią diagnoza i wszystkie nadzieje Hatville Court legły w gruzach, po prostu się roześmiała. Roześmiała, naprawdę! A moje życie na zawsze się zmieniło.

Do tamtej pory prowadziłam dziwną egzystencję, jakby zszytą ze skrawków różnych tkanin, co nie może dziwić, biorąc pod uwagę, jak wszystko się zaczęło. Śnieżną zaspę zastąpiło wiadro po ziemniakach, a później kołyska, gdy lady Vennaway ustąpiła przed wszystkowiedzącym okiem opinii publicznej i orzekła, że mogę zostać. Postawiła warunek, że nigdy mnie nie zobaczy, że nie będzie kłopotana jakimikolwiek kwestiami związanymi z moim wychowaniem i że zostanę zatrudniona jako służąca, gdy będę na tyle duża, by do czegoś się przydać.

Kołyskę podarował Marcus, zarządca posiadłości. Żona urodziła mu siedmioro dzieci, które przychodziły na świat jedno po drugim, aż wreszcie poinformowała męża, że jeśli kiedykolwiek znów spróbuje się do niej zbliżyć, zostanie trwale okaleczony i będzie musiał szukać nowej pracy. Kołyskę umieszczono w rogu kuchni i stała tam do dnia, gdy skończyłam rok.

Przede wszystkim zajmowała się mną Cook. Miała dobre serce, była pracowita i prawie zawsze znajdowała się na miejscu. Brakowało jej jednak czasu i w razie potrzeby przekazywała swoje obowiązki jednej ze służących (które nieustannie się zmieniały, ponieważ praca u lady Vennaway była prawdziwym horrorem) albo Robinowi, pomocnikowi ogrodnika, wówczas zaledwie ośmioletniemu, lecz mającemu kilka młodszych sióstr. Był dobrym chłopcem, rozsądnym jak na swój wiek, i działał na wszystkich kojąco.

W pierwszych miesiącach karmiła mnie mamka o imieniu Lucy, a jeśli Cook miała pełne ręce roboty, przewijał mnie każdy, kto akurat znajdował się w kuchni. Wstępowanie na przekąskę było zatem ryzykowne.

W końcu urosłam na tyle, że nie mogłam już spędzać całego czasu w kuchni. Raczkowałam i stałam się zagrożeniem w krainie tasaków, ognia, szklanych słoików i gąsiorów. Opiekę nade mną przejęły osoby mieszkające w różnych miejscach posiadłości.

Kiedy ziemia była mokra, Robin umieszczał mnie w tacze i zawoził do ogrodu, gdzie pielęgnował lawendę, zbierał jabłka lub naprawiał mury.

Cook prosiła o pomoc również Benjamin, najmłodszego ze stajennych. Nie mógł powozić sławnymi

końmi lorda Vennawaya, toteż zajmował się pracami porządkowymi – wynosił gnój, czyścił uprzęż, naprawiał worki na obrok. Mogłam przebywać cały dzień w jednym miejscu, pilnowana przez zaufaną osobę, poza zasięgiem wzroku lady Vennaway, co było kwestią o kluczowym znaczeniu. Podobno leżałam godzinami w stogu siana i wydawałam się uszczęśliwiona.

W razie potrzeby zajmował się mną nawet Jesketh, siwowłosa i majestatyczny ochmistrz Hatville Court. Kiedy się sprzeciwiał, Cook groziła, że przestanie mu dawać placek z wiśniami. I w ten sposób mieszkańcy dworu utrzymali mnie przy życiu.

Oczywiście była też Aurelia. To ona nadała mi nazwisko Snow – z oczywistych powodów – oraz imię Amy, swojej ulubionej lalki. Był to wielki komplement, bo tamta Amy pochodziła z Paryża i nosiła błękitną, jedwabną suknię wieczorową. Miała niebieskie oczy, czarne włosy i była najładniejszą rzeczą, jaką Aurelia kiedykolwiek widziała. Trudno było dorównać temu ideałowi piękna i moim zdaniem nie mogłoby tego dokonać żadne normalne dziecko.

Moje najwcześniejsze wspomnienie to Aurelia. Chyba miałam wtedy dwa lata, więc ona miała dziesięć. Chodziłam po stajni, gdy nagle wpadła do środka, furkocąc suknią. Zamierzała pojechać na kucyku. Nie przypominam sobie maści ani imienia kuczka (choć później powiedziano mi, że nazywał się Szczęściarz i był jabłkowity). Nie pamiętam też koloru stroju do konnej jazdy noszonego przez Aurelię (legenda głosi, że był ciemnozielony, z czerwonymi lamówkami), jednak wrył mi się w pamięć zarys jej sylwetki, kiedy wbiegła do stajni. Pamiętam stukot jej butów na wybrukowanej posadzce, wirującą słomę, chwilę, gdy wskoczyła na siodło. Później skierowała Szczęściarza w stronę bramy i wyjechała na słońce.

Urosłam i przestałam być wychudzonym, bladym niemowlęciem, a stałam się wychudzoną, bladą dziewczynką, małą i dziwną, jak mi opowiadano. Miałam bujne czarne włosy i żółtobrązowe oczy, zbyt duże jak na wąską twarz. Kiedy byłam „na tyle duża, by do czegoś się przydać”, jak to określiła lady Vennaway, natychmiast kazano mi pomagać wszystkim domownikom.

Robin nauczył mnie odróżniać chwasty od pożytecznych roślin, a gdy tylko mogłam stać prosto, nauczono mnie czyścić konie zgrzebłem. Cook pokazała mi, jak przebierać jabłka, ziemniaki i inne warzywa, odrzucając zgniłki.

Najczęściej widywałam nogi: nogi stołów (i znajdujące się królestwo między nimi okruchów i cebul), nogi ciężko pracujących parobków w brązowych spodniach, nogi kamerdynerów w czarnych spodniach, nogi koni, nogi krzesel i nogi ukryte w sukniach, nieustannie biegające po domu.

Słabo pamiętam ten okres, lecz moje wspomnienia są dość przyjemne. Pamięć składa się z pojedynczych obrazów, zapachów, dźwięków, kolorów. Kuchnia kojarzy mi się z cebulami i melasą, brzękiem naczyń i krzykami, czarnym piecem i czerwonym ogniem. Ogrody to ziemia i jabłka, ciche, miarowe dźwięki łopaty wbijanej w ziemię, tęcze i krople deszczu. Stajnie to siano i konie, rzenie, pierdzenie, złoto, brąz, kurz i blask.

Odkąd pamiętam, Aurelia pojawiała się prawie codziennie i bawiła się ze mną lub zabierała mnie na

spacery. Chociaż i tak spędzałam dużo czasu w ogrodzie, wydawały się one zupełnie inne, gdy trzymała moją brudną rękę dłonią odzianą w rękawiczkę i wskazywała ulubione kwiaty oraz ptaki. Wiedziała o roślinach i zwierzętach równie wiele jak Robin, lecz był to inny rodzaj wiedzy. Znała łacińskie nazwy roślin i orientowała się, skąd pochodzą, a Robin potrafił je pielęgnować, by ładnie rosły.

Ubóstwiałam ją. Była piękna, dobra, olśniewająca i traktowała mnie jak swoją pupilkę.

Najbardziej lubiłam chwile, gdy czytała mi przed snem. W tym czasie moje łóżko znajdowało się w pomieszczeniu, w którym zmywano naczynia. Nikt inny tam nie spał. Służący mieszkali wysoko na poddaszu. Ale uznano, że jestem za mała, aby bez przerwy wdrapywać się po schodach, a dzień roboczy trwał tak długo, że codziennie spędzałam sama tylko kilka godzin. Czasami przed zaśnięciem przychodziła do mnie Aurelia, przysuwała krzesło i pochylała się nade mną. Leżałam z głową opartą na jej ramieniu i słuchałam jej głosu – melodyjnego, wesołego i innego niż wszystkie inne znane mi głosy. Te chwile wydawały się czarodziejskie i błogosławione, niezależnie od tego, czy za oknem padał deszcz, czy kończył się piękny letni dzień pełen bzyczenia pszczół i śpiewu ptaków, a niebo przybierało barwę kwiatów bzu.

Źle śpię w czasie pierwszej nocy spędzonej poza Hatville Court, w wąskim łóżku w hotelu Pod Różą i Koroną. Wcale mnie to nie dziwi. Po śmierci Aurelii moje serce zachowuje się jak dzikie zwierzę. Śpi czujnie i mam wrażenie, że nigdy nie przestanie być ostrożne. Budzę się wczesnym rankiem.

Zaczynam rozumieć wiele rzeczy, a myśli tłoczą się w mojej głowie jak goście na balu, tak szybkie i zaskakujące, że wstrzymuję dech w piersiach. Emocje, niczym przyzwoitka, towarzyszą myślom. Nie ma już Aurelii – żal przypominający straszliwie ciasny gorset. Nie ma Hatville Court – mieszanina strachu i ulgi. Zdaje się, że powinnam dziś pojechać do Londynu! Gwałtowny niepokój. I list. Listy! Szalona nadzieja i radość. Nadejdzie więcej listów od Aurelii, które pomogą mi przetrwać mroczne dni.

Myję się i ubieram. Nie mam apetytu, ale po raz pierwszy od wielu dni pamiętam, że muszę o siebie dbać, więc jem śniadanie. Mam sprawy do załatwienia, sprawy Aurelii. Jakże była inteligentna! Wiedziała, że jedyna rzecz, która zmusi mnie do działania, to przywiązanie do niej. Może nie żyć od tysiąca lat, lecz ja ciągle będę chciała sprawiać jej przyjemność.

Jeszcze raz czytam list, a potem znów chowam go głęboko w kieszeni spódnicy. Będę go zawsze nosić przy sobie.

Z ulgą zauważam, że gospodarz jest w holu. Nie chcę go wzywać. Byłoby to dla mnie trudne, nawet gdyby nie targwały mną silne emocje, które mogą sprawić, że lada moment zemdleję. Chyba jestem z natury samotnikiem. Spędziłam całe życie w Hatville Court i rzadko opuszczałam posiadłość. Aurelia miała rację: rzeczywiście było to więzienie. Ale nigdy tak o tym nie myślałam, nie wtedy, kiedy żyła. Przypominałyśmy dwa ptaki mieszkające razem w złotej klatce.

Teraz zmusza mnie do zobaczenia świata, lecz w tej chwili nie mam ochoty jej za to dziękować. Nie spodziewam się miłego powitania poza Hatville. Jestem przyzwyczajona, że ludzie traktują mnie jak intruza, a jednak wiem, że aby spełnić życzenia Aurelii, muszę uzyskać pomoc i informacje od innych, choć, dzięki Bogu, nie pieniądze. Dlatego jestem bardzo zadowolona, gdy pan Carlton pyta, czy może mi w czymś pomóc.

– Dziękuję, panie Carlton, to bardzo miło z pana strony. Wie pan może, o której dziś odjeżdżają pociągi? Poszłabym na dworzec, a potem... Zastanawiałam się... – Brakuje mi słów. Nigdy wcześniej nie podróżowałam żadnym środkiem lokomocji. Prawie nie wiem, jak sformułować pytania, które chcę zadać. I nie chcę opuszczać tego obskurnego zajazdu, nim stanie się to konieczne, bo jest ostatnim

łącznikiem z życiem, które prowadziłam przedtem.

– Naturalnie, panno Snow, naturalnie. Gdyby zechciała pani iść ze mną do mojego biura, odnajdziemy wszystkie informacje, które są pani potrzebne.

Przystaje przy drzwiach i mruga do mnie.

– Proszę się nie obawiać, panno Snow. Bradshaw na pewno udzieli nam odpowiedzi.

Rozglądam się, spodziewając się ujrzeć dobrodusznego dżentelmena z siwymi bokobrodami i mądrą miną, jednak pokój jest zupełnie pusty. Znajduje się w nim tylko mnóstwo półek z książkami i bardzo duże biurko. Widać na nim stosy papierów, gęsie pióra i trzy długie kolce z wbitymi rachunkami. Wokół stoją stołki.

– Właśnie to mam na myśli – mówi rozpromieniony pan Carlton i bierze grubą broszurę podobną do książki. Ślady na zakurzonej półce świadczą, że wolumin jest często używany. – To wyjątkowo cenne dzieło. Słyszała pani o Bradshawie?

– Obawiam się, że nie.

– To autor znakomitego kompendium, zbioru rozkładów jazdy wszystkich pociągów kursujących po Anglii. Wie pani, ile ich jest, panno Snow?

– Nawet się nie domyślam, panie Carlton.

– Ja również! Nikt tego nie wie, chyba z wyjątkiem samego pana Bradshawa! Tak czy inaczej, mnóstwo! Proszę spojrzeć na te wszystkie pociągi, panno Snow! – Wertuje książkę, spoglądając na mnie z bezradnym zdumieniem. Rzeczywiście, wydaje się, że pociągów jest bardzo wiele. – Proszę pomyśleć, że przed kilku laty w naszej części Surrey w dalszym ciągu kursowały dylizanse – ciągnie. – Postęp, panno Snow, postęp! – Przewraca kartki poślinionym kciukiem. Każda strona jest gęsto zadrukowana, pokryta kolumnami cyfr. Jeśli to pozwala przewidywać działanie kolei żelaznych, nic z tego nie rozumiem.

– Ha! – woła z triumfem, odnalazłszy właściwą stronę. – Czy mogę, panno Snow?

– Ależ proszę.

– W górę czy w dół?

– Słucham?

– Interesują panią pociągi jadące w górę czy w dół, panno Snow?

Waham się. Zawsze sądziłam, że pociągi jeżdżą poziomo, po powierzchni ziemi, lecz dochodzę do wniosku, że w tej chwili nic mnie już nie zdziwi.

– Na północ czy na południe, panno Snow? Do góry, w stronę Londynu, czy w dół, w kierunku Brighton?

– Ach, rozumiem! Dziękuję, panie Carlton. Cóż... – Usiłuję sformułować odpowiedź w taki sposób, jakbym dopiero zaczynała snuć plany wyjazdu i zamierzała pojechać do Londynu, bo to najbardziej oczywiste miejsce, a nie wytyczony cel podróży. Muszę pamiętać, że ludzie wciąż uważają mnie za bezdomną dziewczynę mającą tylko dziesięć funtów. Muszę być bardzo ostrożna we wszystkim, co



mówię i robię.

W końcu ustalamy, że powinnam opuścić hotel Pod Różą i Koroną dopiero za godzinę. Pan Carlton proponuje, że przyśle chłopca, by wziął moją torbę i odprowadził mnie do pociągu. Niewiele brakuje, bym odmówiła, gdyż nie mam ochoty sprawiać nikomu kłopotów, ale pan Carlton nie chce słyszeć, by młoda dama udała się na stację samotnie.

– Tak nie można – mówi zmartwionym głosem. – Kolej to wspaniały wynalazek, ale na dworcach pojawiają się różni ludzie, panno Snow. Zdaje się, że nigdy wcześniej nie podróżowała pani pociągiem, prawda? Zna pani zasady?

Nie podróżowałam i nie znam zasad. Pan Carlton informuje mnie, że powinnam kupić bilet w budynku przyległym do dworca, i wyjaśnia, co mam zrobić, jeśli nikogo tam nie zastanę. Podkreśla, że muszę wejść do właściwego wagonu i zająć właściwe miejsce. Doradza, jak powinnam się zwracać do pozostałych pasażerów i gdzie bezpiecznie przechowywać bilet.

– Zawsze zalecam, by damy trzymały bilet w lewej rękawiczce, panno Snow. Lewa rękawiczka to idealne miejsce. Bilety bardzo łatwo się gubią, wie pani, a to bardzo kłopotliwe, bo konduktorzy nie wierzą, że ktoś kupił bilet, a następnie go zgubił. Będą utrzymywać, że pasażer usiłuje oszukać towarzystwo kolejowe, a to bardzo obraźliwy zarzut, panno Snow... Dlatego proszę włożyć bilet do lewej rękawiczki.

– Lewej rękawiczki... – powtarzam cicho. Kręci mi się w głowie. – Bardzo panu dziękuję, panie Carlton. Nie wiem, co bym zrobiła bez pana cennych rad. Kto by pomyślał, że to takie skomplikowane...

– W istocie, w istocie. Dawniej bywało inaczej. Tylu moich klientów źle się czuje z powodu zmian, że staram się udzielać jak najwięcej informacji, by postęp nie sprawiał nikomu trudności. Zastanawiam się nad opracowaniem książki *Rady i wskazówki dla niedoświadczonych podróżnych*. Sądzi pani, że takie dzieło spotkałoby się z aprobatą opinii publicznej?

– Moim zdaniem byłoby bezcenne, panie Carlton. Musi je pan koniecznie napisać!

– Dziękuję, panno Snow. Chyba tak zrobię. Szerzenie wiedzy to jeden z obowiązków człowieka, powinniśmy się dzielić użytecznymi informacjami dla wspólnego dobra.

– Ach, dokładnie to samo mówiła panna Vennaway! – Uśmiecham się, po czym milknę.

Pan Carlton kiwa głową.

– Słyszałem, że była niezwykłą młodą damą. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje, panno Snow.

Kiedy miałam sześć lat, a Aurelia czternaście, na tron wstąpiła królowa Wiktorja. Pamiętam rozpromienioną Aurelię z rozwianymi włosami, gdy wirowała wraz ze mną w ogrodzie na tyłach dworu. Jej suknia przypominała tęczę. Było lato i przysięgam, że w powietrzu roiło się od motyli.

– Kiedy się urodziłaś, naszym władcą był król – powiedziała bez tchu, gdy upadliśmy na trawę. – Ale teraz na czele narodu stoi kobieta, młoda kobieta, zaledwie cztery lata starsza ode mnie! Och, Amy, mam dzięki temu poczucie, że wszystko jest możliwe! Mówią, że podjęła ciężar odpowiedzialności tak spokojnie, jakby wchodziła do salonu, by zjeść kilka ciastek drożdżowych. Jeśli jest za młoda, za głupia i za bardzo kobieca, by panować, z pewnością nie zdaje sobie z tego sprawy!

Pamiętam nastrój optymizmu, który opanował świat, lecz byłam za mała, by rozumieć konsekwencje tego, co się stało. Królowa Wiktorja wydawała mi się postacią z baśni, jak księżniczka całująca żabę lub młoda kobieta zrzucająca z wieży pukiel włosów. Aurelia jednak wyobrażała sobie, że mają ze sobą coś wspólnego. Obie były jedynaczkami. Obie miały więcej inteligencji, niż wymagano od kobiet. Obie przysięgły, że wyjdą za mąż tylko z miłości. Wiktorja, o której zawzięcie dyskutowałam z Aurelią, stała się kimś w rodzaju naszej nieobecnej towarzyszki. Często się zastanawialiśmy, o co byśmy ją spytały, gdyby wpadła do nas na herbatę.

Kiedy trochę podrosłam, pojawiły się kłopoty, a przynajmniej wyszły na jaw, co musiało prędzej czy później nastąpić. Jako siedmiolatka byłam już na tyle duża, że w normalnych okolicznościach zwolniono by mnie z sierocińca i oddano na służbę. Przeznaczono by mnie do konkretnych prac domowych i uczone ich wykonywania.

Znalazłam się w Hatville przez przypadek, nikt mnie tam nie zapraszał. Wybór pracy, którą powinnam się zająć, miał charakter arbitralny. Nikogo nie interesowało, co wolałabym robić – dziewczynki nie mogły pracować w stajniach ani ogrodach. Ponieważ lady Vennaway nie chciała mnie oglądać, oczywistym rozwiązaniem wydawała się kuchnia, lecz pracowały tam już Cook, Rosy i Dora, a ja płatałam im się jedynie pod nogami. Pokojówki mnie nie znosiły, bo uważały, że mam bardzo mało pracy. Chętnie wzięłabym na siebie więcej obowiązków, ale Cook wolała nie ryzykować, że przypadkiem natknę się na lady Vennaway – obawiała się tego nie tylko ze względu na mnie, lecz również na siebie. Często się zastanawiałam, co właściwie mam robić, i między moimi brwiami ciągle pojawiała się pionowa zmarszczka.

Kiedy do kuchni wchodziła Aurelia, jak zwykle znudzona i osamotniona, Cook była szczęśliwa, że ktoś wreszcie się mną zajmie. Na początku rozwiązywało to problem, ale wszyscy coraz lepiej rozumieli, że mój status jest dość dziwny.

Problem polegał na tym, że Hatville było moim domem. Aurelia uważała za oczywiste, że jest dziedziczką posiadłości z wielkim dworem w stylu regencji i że raz w tygodniu odwiedza parobków, zapewnia jedzenie i daje kilka monet, gdy rodzi się nowe dziecko, a ja uważałam za oczywiste, że śpię w pomieszczeniu, gdzie zmywa się naczynia, spędzam czas w zatłoczonej, ciepłej kuchni, mam prawo chodzić po terenie majątku. Dowiedziawszy się, że w Hatville są miejsca, których jeszcze nie znam, naturalnie zapragnęłam je poznać. Robiliśmy placek z wiśniami, gdy nagle Cook spróbowała wytłumaczyć mi, że nie mogę ich poznać, że Hatville nie jest moim domem.

Byłam zdumiona.

– Oczywiście, że to mój dom! Mieszkam tu od urodzenia i wszyscy o tym wiedzą!

– Ale Hatville należy do kogoś innego. To dom państwa, a ty jesteś służącą.

– Państwa?

– Lorda i lady Vennawayów. Są właścicielami Hatville. Musisz dla nich pracować, tak samo jak ja i cała służba.

Zapytałam, dlaczego nigdy nie widziałam państwa.

– Są bardzo ważni i bardzo zajęci. Hatville jest tak wielkie, że się nie spotykacie.

– Ale ty ich widziałaś, Cookie?

– Tak.

– I Robina?

– Tak, Robina też.

– A Marcusa, Benjamina i Jesketha?

– Ależ oczywiście, Amy. Uważaj, co robisz.

Cook sapała, ugniatając olbrzymią górę ciasta. Z wielkim skupieniem dryłowałam wiśnie, odrzucając grzywkę opadającą na oczy. Nie bardzo wierzyłam kucharce. Dwoje ludzi, których istnienie oznaczało dla mnie dom, ale to nie był mój dom... I wszyscy ich widzieli oprócz mnie? Wydawało się to mało prawdopodobne.

– Cookie, jak to jest, że wszyscy ich widzieli, skoro dom jest taki wielki, a oni są bardzo zajęci?

– Państwo muszą się widywać ze służącymi, wydawać im polecenia i tak dalej.

– To dlaczego mnie nigdy nie wydają poleceń?

– Amy! Przestań zadawać pytania i podjadać wiśnie!

Biedna Cook. Mój dziwny status trudno byłoby wytłumaczyć każdemu, nie tylko ciekawemu dziecku.

Później, gdy ciasto nabrało złocistego koloru i w kuchni rozszedł się piękny zapach, a my sprzątałyśmy, okazało się, że Aurelia jest córką państwa. Hatville Court to jej dom, choć nie mój.

Roześmiałam się z niedowierzaniem. Widywałam się z Aurelią codziennie. Opowiadała mi bajki

i jeździła ze mną na Szczęściarzu. Nauczyła mnie grać w karty i robić wyścigi gałązek w strumieniu. Nigdy mi nie rozkazywała!

– Jak rodzice Aurelii mogą być moim państwem, skoro to moja przyjaciółka? – spytałam cicho.

– Nie jest twoją przyjaciółką, tylko młodą dziedziczką – wyjaśniła Cook. – Nie wolno ci o tym zapominać.

– Ale... – zaczęłam, lecz umilkłam, widząc wyraz twarzy Cook.

Rozumiem teraz lepiej trudną sytuację Cook. Aurelia traktowała mnie w uprzywilejowany sposób, co sugerowało status, którego nie mogłam mieć i który pozostawał w sprzeczności z zaleceniami lady Vennaway. Ale co miała począć biedna Cook? Kucharka nie ma prawa pouczać młodej dziedziczki. Próbowwała tłumaczyć, lecz Aurelia nie chciała słuchać. Lubiła się ze mną bawić, bo nie miała żadnej innej przyjaciółki, a poza tym to ona mnie znalazła.

W tym czasie wszystko to wydawało mi się nonsensem. Pamiętam, że zastanawiałam się nad tym przez trzy lub cztery dni w lecie, po czym postanowiłam więcej się tym nie martwić.

Aż wreszcie, po raz pierwszy w życiu, lady Vennaway pojawiła się w kuchni. Zwykle wzywała dzwoniem Cook lub Dorę. Natychmiast zrywały się z miejsca, rozwiązywały fartuchy, otrzepywały się z mąki i wybiegały na korytarz, nawet jeśli akurat gotował się rosół lub z pieca należało wyjąć pieczeń. Kiedy pani wkroczyła do kuchni, siedziałam pod stołem i jadłam truskawki. Zdałam sobie sprawę, że coś się stało, ponieważ paplanina natychmiast ustała i nawet bulgocące garnki nieco się uciszyły. Zobaczyłam pofałdowane sukienki Cook i Dory, które poruszyły się, kiedy kucharki dygnęły.

– Gdzie dziecko? – spytał krystalicznie czysty głos, inny niż głos Aurelii.

– Tutaj, jaśnie pani.

Cook wydawała się zalekniona. Poruszyła czerwoną ręką przed moją twarzą, każąc mi wyjść spod stołu. Wygramoliłam się z ciasnego miejsca, bardzo ciekawa, jak wygląda legendarna dziedziczka, właścicielka Hatville, decydująca o wszystkim, która jak dotychczas wydawała mi się kimś w rodzaju istoty z baśni (podobnie jak Pan Bóg i Samuel Pickwick).

Stałam przed lady Vennaway i patrzyłam. Przypominała Królową Śniegu z obrazka w jednej z ksiązek Aurelii, nieznośnie wyniosłą i boleśnie piękną, w powłóczystej szacie, z długimi kasztanowymi włosami. Wydawała się tak groźna i olśniewająca, że miałam ochotę zasłonić twarz.

Pamiętam, że instynktownie chciałam jej się podobać, co może się wydawać dziwne. To właśnie jest najbardziej bolesne, bo natychmiast zrozumiałam, że wcale się jej nie podobam. Spoglądała na mnie z dużej wysokości i spostrzegłam, że mój widok budzi w niej wstręt.

W dalszym ciągu ścisnęłam w jednej ręce nóż, a w drugiej truskawkę. Upuściłam je na podłogę, by jej nie urazić. Zachnęła się.

– Co się z nią dzieje?

– Przepraszam, jaśnie pani, chyba jest zdenerwowana – odparła cicho Cook, odsunęła mnie

i podniosła truskawkę i nóż. Nigdy nie traktowała mnie tak szorstko i zebrało mi się na płacz. – Dygnij, dziecko – rozkazała, a ja spełniłam polecenie, nieco zdziwiona.

– Porozmawiam z nią sam na sam. Każ jej iść za mną. – Lady Vennaway odwróciła się i wyszła z kuchni.

Usłyszałam, że wszystkim wyrwało się z piersi westchnienie ulgi, ale Cook chwyciła mnie za ramiona i popatrzyła mi w oczy.

– O Boże... – westchnęła. – O Boże, Boże, Boże...

Obejrzała moje dłonie i nie wydawała się zadowolona z tego, co zobaczyła. Były poplamione różowym sokiem i jak zwykle brudne. Splunęła na swoją rękę i zaczęła je szorować.

– Nie ma czasu, Cookie, nie ma czasu! – szepnęła Dora.

I rzeczywiście, z korytarza dobiegł rozgniewany głos:

– Więc w końcu idzie czy nie?!

– Biegnij! – Cook szarpnęła troczki mojego fartucha i jednocześnie wypchnęła mnie na korytarz. – Zachowuj się z szacunkiem! Bądź grzeczna!

Pobiegłam za lady Vennaway, goniąc ją długim korytarzem o wysokim suficie. Po drodze rozglądałam się z ciekawością, bo jeszcze nigdy nie byłam w tej części dworu. Na ścianach pokrytych boazerią wisały ciemne portrety bladoliczych mężczyzn z koronkowymi krezami wokół szyi. Niektórym towarzyszyły konie, innym dzieci i żony, a jeszcze innym brązowe i białe psy różnej wielkości, z krótką lub długą sierścią.

Biegłam i jednocześnie się rozglądałam, a tymczasem troczki mojego fartucha poluzowane przez Cook całkiem się rozwiązały. Fartuch ześlizgnął się na podłogę, zaplątał między moimi nogami i – bęc! – upadłam na twarz.

Piekł mnie policzek i szumiało w uszach. Lady Vennaway odwróciła się i spojrzała na mnie z pogardą.

– Głupia smarkula...

Ruszyła do przodu, a ja podążyłam za nią, tym razem patrząc, dokąd idę, i podtrzymując obiema rękami fartuch.

Znalazłyśmy się w chłodnym gabinecie z pustą półką nad kominkiem i uprzątniętym biurkiem. Lady Vennaway zamknęła drzwi, usiadła na fotelu o toczonych nogach, kazała mi stanąć naprzeciwko siebie i mi się przyglądała.

Z pozoru wydawałoby się, że dziecko może spotkać coś znacznie gorszego. Ale ponieważ obserwatorem była lady Vennaway, a obiektem obserwacji byłam ja, przeżycie okazało się koszmarem.

Miała bardzo ekspresyjną twarz, podobnie jak Aurelia, a duże oczy i delikatne rysy wyrażały każdą myśl i uczucie. Jednak Aurelia była zawsze szczerą i sympatyczną, natomiast lady Vennaway przypominała wcielenie zła.

Jej wzrok sprawił, że moja niewinność legła w gruzach. Wpatrywała się we mnie błękitnymi oczyma, a ja widziałam w nich niemożliwe do nazwania cienie podobne do płynących obłoków. Wydeła górna



wargę, lecz reszta prześlicznej twarzy była spokojna, pozbawiona emocji. Można by pomyśleć, że jestem jej obojętna, lecz zaprzeczały temu oczy i usta.

Później splunęła mi w twarz.

Było to tak nagłe, tak szokujące, że odruchowo się cofnęłam. Ślina lady Vennaway trafiła mnie w oko i ściekła po policzku. Natychmiast ją wytarłam, a później przeciągnęłam dłonią po sukience. Nie rozumiałam, o co chodzi, ale jeszcze nigdy nie czułam się w ten sposób upokorzona. Chciałam umyć sobie oko, nie tylko dlatego, że piekło – nie byłam w stanie znieść myśli, że jadowita ślina tej kobiety znajduje się w moim oku i sączy się do mojej duszy.

Po chwili uniosła się z fotela, wypchnęła mnie za drzwi i zatrzęsnęła je za mną.

Stałam na korytarzu, dygocąc na całym ciele, pewna, że mnie wyrzucono. Miałam zamęt w głowie i nie wiedziałam, czy mam odejść, czy zostać. Nikt nigdy tak mnie nie potraktował. Jednak lady Vennaway została w gabinecie, więc po pewnym czasie odeszłam.

Nie bardzo wiedziałam, gdzie jestem. Po moim upadku skręciłyśmy kilka razy i nie potrafiłam wrócić do kuchni tą samą drogą. Wszystkie korytarze i drzwi wyglądały tak samo. Wkrótce znalazłam się u stóp wielkich schodów, których wcześniej nie mijałyśmy, szerokiej spirali przypominającej zwoje muszli gigantycznego ślimaka. W górze znajdowały się galerie i wysokie ściany – niema powierzchnia o kremowej barwie. Nie miałam odwagi wejść po schodach, lecz bałam się również wrócić poprzednią drogą, bo mogłam spotkać lady Vennaway.

Na początku myślałam, że jaśnie pani zamierza mnie poinformować, iż odtąd będę prawdziwą służącą, która nie musi się już ukrywać po kątach. Mimo niewielkiego doświadczenia nie sądziłam jednak, że podczas takich rozmów pluje się służącym w twarz.

Gniew i ciekawość sprawiły, że ruszyłam w inną stronę. Przez otwarte drzwi zauważyłam ogromną salę i natychmiast ogarnęło mnie zdumienie. Ściany były jasnobłękitne, a na suficie wisiał wielki żyrandol, kołysząc się i migocząc. Okna zasłaniały długie kotary w kolorze szaławii, drewniana posadzka lśniła w świetle. Przypadkiem znalazłam się w dziwnym, zimowym świetle.

– Amy Snow! – rozległ się grzmiący głos i mimo woli się wzdrygnęłam. – Co tu robisz, do licha?!

Był to Jesketh, wściekły, lecz znajomy. Jeszcze nigdy tak się nie cieszyłam na jego widok.

Spędzam ostatnią godzinę w hotelu Pod Różą i Koroną na starannym przepakowywaniu torby, wciąż nieuporządkowanej po pośpiesznej ucieczce z Hatville. Moje rzeczy są coraz bardziej pogniecione. Nie mam nic naprawdę ładnego, ale postaram się nie wyglądać gorzej, niż to konieczne.

Wyjmuję wszystkie ubrania i pakuję po kolei. Najpierw najcięższe rzeczy: jedyne zapasowe buty, para szarych, płaskich pantofli na lato oraz książki. Wzięłam pięć. Z wielkim żalem wybrałam tak niewiele, ale wiedziałam, że czeka mnie długa piesza wędrówka, a bagaże musiałam nieść sama. Wzięłam swoją Biblię, ilustrowane bajki, które Aurelia czytała mi w dzieciństwie, *Ivanhoe* sir Waltera Scotta i oczywiście dwie powieści Dickensa. Sam ich widok przywołuje wspomnienia Aurelii, która trzymała mnie za rękę i skręcała się ze śmiechu.

Następny jest szkicownik подарowany mi przez Aurelię. Na niego również nie mogę patrzeć.

Później mój niewielki zestaw toaletowy: szczotka do włosów, lusterko, lniana ściereczka i mały pojemnik z płynem do mycia zębów z dodatkiem kamfory przygotowany przez Cook. A także sto funtów.

Są również cięższe stroje: wełniana sukienka, taka sama jak ta, którą mam na sobie, lecz szara, a nie czarna. Zapasowa wełniana chusta. Ciemne kolory, które nie rzucają się w oczy. Brązowa letnia sukienka. Zielona mantylka Aurelii, teraz ciasno zwinięta. I w końcu paczka starych listów związanych złotą wstążką i zaadresowanych do Amy Snow.

To listy od Aurelii, z czasu jej wyjazdu z Hatville. Nie lubię wspominać tego okresu. Listy budzą we mnie mieszane uczucia, lecz wzięłam je ze sobą, bo nie miałam serca ich zostawiać.

Nie dysponuję wielkim dobytkiem jak na siedemnastolatkę, myślę, zapinając klamrę torby. Wyobrażam sobie, że gdzieś w środku, między butami i starymi sukienkami, znajdują się również moje marzenia, ciasno zwinięte, zaniedbane, zakurzone.

Aurelia zawsze miała mnóstwo marzeń i często o nich opowiadała. Każde z nich wiązało się ze mną. Pragnęła odziedziczyć fortunę i na zawsze opuścić Hatville, podróżować, zakochać się wiele razy – zmieniać świat. Mój los był związany z jej losem – w końcu uratowała mi życie – toteż zawsze zakładała, że będę jej towarzyszyć. W początkowych latach swojego życia ja również tak myślałam, lecz w głębi serca moje pragnienia były zupełnie inne.

Nie chciałam przez całe życie podróżować jak Aurelia, krążyć po całej Anglii, jak to robiła królowa Wiktoria. Pragnęłam mieć dom, ale nie taki jak Hatville – srogi, dumny, odziedziczony po przodkach.

W spokojnych chwilach, z dala od ludzi, gdy leżałam w łóżku w zmywalni naczyń lub śniłam na jawie w stajni, widziałam w wyobraźni niewielki, kwadratowy wiejski domek otoczony trawnikiem, na którym pasie się kucyk. Był tam roześmiany mąż broniący mnie przed zniewagami. Były dzieci baraszkuje ze sobą, klejące dla mnie z zapałem prezenty z papieru. Dzieci, którym ofiaruję miłość i bezpieczeństwo – wszystko, czego nigdy nie miałam. Ale nie opowiadałam o tym Aurelii, bo moje marzenia wydawały się skromne w porównaniu z planami zmieniania świata. Poza tym, czy ktoś by mnie chciał? Marzenia, o których nigdy nie mówiłam, wiedły.

Teraz wydają mi się bardzo banalne: prymitywne sny melancholijnego dziecka. Ale piękno nieziszczalnych marzeń polega na tym, że są nieziszczalne. Tak naprawdę nie liczy się, kiedy i gdzie się spełnią. Przypuszczam, że w rzeczywistości nie tęskniłam za tym, co sobie wyobrażałam, tylko za uczuciami kryjącymi się gdzieś w głębi. Potrzebowałam spokoju, poczucia przynależności, miłości.

Z zamyślenia wyrывa mnie Tom, chłopiec przysłany przez pana Carltona. Ma odprowadzić mnie na stację. Od wielu lat nie wyobrażam sobie domu, męża, dzieci. A spokój i bezpieczeństwo wydają się odleglejsze niż kiedykolwiek.

Podobno stacja kolejowa w Ladywell jest maleńka, lecz na mnie robi ogromne wrażenie. W końcu widzę tory kolei żelaznej, o których tyle słyszałam, lecz jak dotychczas widziałam je tylko na ilustracjach! Czarne, zaborcze ramiona oplatają cały kraj niczym wąż, dzieląc go na części. Dziennikarze piszą, że tory prowadzące z punktu A do punktu B sprawiają, że odległość nie jest już ważna i każdy w każdej chwili może jechać, gdzie chce!

Nie ma żadnego budynku, tylko niczym nieosłonięty peron. Wszystkich przeszywa lodowaty wiatr.

Tom bierze ode mnie monetę i kupuje bilet. Druga klasa. Nie mogę jechać w pierwszej klasie tak blisko Enderby, bo ktoś mógłby mnie zauważyć, lecz nie mam odwagi podróżować w trzeciej. Oczywiście chowam bilet w lewej rękawicze.

Tom prowadzi mnie na peron i każe mi stanąć w konkretnym miejscu.

– Będzie pani blisko drzwi wagonu. Proszę natychmiast wsiąść. Oczywiście wniosę pani torbę do przedziału. Rozejrzała się pani wśród pasażerów, by się zorientować, z kim można nawiązać rozmowę?

Nie mogę przyznać, że to zrobiłam. Dla przykładu Tom wskazuje pełną energii rodzinę, z którą na pewno mogę porozmawiać, a później dwóch mężczyzn w ciemnych marynarkach; jego zdaniem nie powinnam się do nich zwracać.

Jestem zbyt przerażona, by lekceważyć jego rady, lecz trudno mi się skoncentrować. Opuszczam Ladywell. Wcześniej byłam tu tylko dwa lub trzy razy, lecz miejscowość wydaje się znajoma w porównaniu z tym, co może przynieść przyszłość.

Nadjeżdżający pociąg jest wielkim, czarnym, sapiącym potworem. Na jego widok czuję dreszcz emocji, a zarazem trwogę. Drzwi otwierają się z trzaskiem, jakby diabły potrząsały żelaznymi bramami piekła, a w powietrze unoszą się wielkie słupy pary.

Jestem podróżniczką w epoce kolei żelaznej, światową młodą kobietą. Mam do załatwienia ważne sprawy. Ale dlaczego, ach, dlaczego, nie towarzyszy mi Aurelia, by dzielić ze mną tę przygodę...?

Przed moim pojawieniem się Aurelia była wyjątkowo samotna. Kiedy byliśmy jeszcze bardzo małe, powiedziała mi, że wszystkie dzieci jej matki umierały, więc nie miała się z kim bawić. Wierzyła, że właśnie dlatego Bóg pozwolił jej mnie odnaleźć: wiedział, że nie będzie tak nieostrożna jak matka. Byłam bardzo zadowolona z decyzji Boga.

Chociaż Aurelia miała mnóstwo kuzynów, nie znalazła wśród nich bratniej duszy. Na początku byłam jej zabawką, podobnie jak ptaki ze złamanymi skrzydłami lub zwierzęta uwolnione z pułapek, hodowane później w nieprawdopodobnych miejscach – mysz polna w domku dla lalek, wąż w wannie. Robin zawsze wspierał Aurelię w tych miłosiernych przedsięwzięciach. Pokazał jej, jak nastawiać złamane skrzydła, jak przygotować prosty balsam z liści szczawiu. Ale był małym chłopcem, a zwierzęta miały jeszcze mniej do powiedzenia, toteż w głowie Aurelii kłębiły się niezliczone myśli.

Zawsze pragnęła mieć kogoś, z kim mogłaby się nimi dzielić, kto pomógłby jej zrozumieć wszystko, co ją rozśmieszało albo przerażało. W wieku sześciu, siedmiu, ośmiu lat wciąż nie byłam dla niej równą partnerką, lecz stałam się kimś prawie równie dobrym: gorliwą uczennicą.

Okazało się, że nie jestem głupia i nie brak mi ciekawości. Nauczyła mnie czytać, pisać, liczyć, rysować i jeździć konno. Nie byłam jedyną służącą w Hatville, która to wszystko potrafiła, lecz nie przysporzyło mi to popularności.

Aurelia miała dorosłą przyjaciółkę i czasem byłam o nią zazdrosna. Pani Bolton, szczupła kobieta w wieku około trzydziestu lat, wydawała się nieco znużona życiem, nosiła ekscentryczne kapelusze, a jej kwadratowa szczęka świadczyła o wyjątkowo silnym charakterze. Ubierała się w pawie kolory: na granatowo lub ciemnozielono z dodatkiem złota lub bursztynu. Aurelia zawsze mówiła z podziwem, że pani Bolton nie znosi głupców, a ja się martwiłam, że uważa mnie za głupią, bo prawie nie zwracała na mnie uwagi. Prowadziła z Aurelią poważne dyskusje na temat sytuacji świata oraz losu kobiet, co sprawiało, że czułam się mała i niemądra. Jednak nigdy nie wątpiłam w to, że Aurelia szczerze mnie lubi, a poza tym pocieszało mnie to, że lord i lady Vennawayowie również nie aprobowali odważnej pani Bolton.

Minęło dużo czasu od mojego pierwszego spotkania z lady Vennaway (tak mi się przynajmniej zdawało). Wspomnienie tamtego dnia rzadko do mnie wracało, ale ciągle tkwiło we mnie niczym niewidzialna przeszkoda. Aurelia i ja biegałyśmy razem po posiadłości, lecz unikałyśmy terenu, na którym grano



w krokieta, tarasu, ogrodu rózanego – wszystkich miejsc, gdzie mogliśmy spotkać kulturalne towarzystwo. Jeśli podchodziliśmy zbyt blisko, Robin zawsze zwracał nam uwagę, po czym uciekałyśmy jak spłoszone elfy do najodleglejszych zakamarków. Cook nie pozwalała mi chodzić z Aurelią do Enderby, gdzie moja przyjaciółka była nazywana Hojną Panią. Opowieści o ciasnych chatach wieśniaków sugerowały, że powinnam być wdzięczna, lecz inteligentne, ciekawskie dzieci często nie myślą o takich rzeczach.

W nieunikniony sposób musiał nadejść dzień, gdy Aurelia zechce mnie zaprosić do swojego pokoju. I równie nieuniknione było to, że w końcu zostaniemy przyłapanie. Pewnego dnia, kiedy uczyłam się grać na pianinie, z pokoju Aurelii wyrzuciła mnie pani Last, ówczesna gospodyni. Zaciągnęła mnie do kuchni i brutalnie wepchnęła do środka.

Innym razem Aurelia pozwoliła mi przymierzyć jedną ze swoich sukienek. Zawsze ubierałyśmy się inaczej: Aurelia w połyskliwe tkaniny, z szarfami i wstążkami oraz długie białe pantalone z koronkami wystające spod spódnic, ja zaś w najprostsze sukienki do pracy, płaskie buty i prosty biały czepek. Jakże mi zazdrościła...

Tym razem zauważyła nas Peggy, jedna z pokojówek.

Szara sukienka z serzy leżała na podłodze wokół moich stóp, a ja wkładałam przez głowę satynową sukienkę Aurelii. Dygotałam w białej bawełnianej halce, gdy nagle z trzaskiem otworzyły się drzwi.

Peggy natychmiast doniosła lady Vennaway, co robię, i po chwili dziedziczka pojawiła się w pokoju. Do dziś dźwięczy mi w uszach jej wrzask. Ktoś mógłby pomyśleć, że zobaczyła nie dziewczynkę, tylko szczura biegającego po stole.

Miałam oczy zasłonięte halką, a ona wyrwała mi sukienkę z taką siłą, że usłyszałam odgłos rozdieranej satyny. Tym razem lady Vennaway osobiście zaprowadziła mnie do kuchni, wbijając paznokcie w moją dłoń, nim zdążyłam dobrze zapiąć swoją sukienkę.

Wepchnęła mnie brutalnie do środka. Upadłam na piec i lekko oparzyłam się w rękę. Ale miałam dwa znacznie poważniejsze zmartwienia.

Mimo zamieszania wyraźnie usłyszałam, że lady Vennaway bezwzględnie zabroniła Aurelii się ze mną widywać. Stwierdziła to w bardzo jasny sposób i poparła kilkoma groźbami. Później patrzyłam, jak rumiana twarz Cook pokrywa się śmiertelną bladością, gdy lady Vennaway zrobiła jej straszliwą awanturę.

Tego wieczoru zasnęłam, płacząc – zdarzyło się to trzeci raz w moim życiu. Za pierwszym razem zjadłam zbyt wiele placka z truskawkami i bardzo bolał mnie brzuch. Za drugim razem płakałam nad losem Olivera Twista.

Teraz sytuacja wyglądała znacznie poważniej. Moja jedyna przyjaźń znalazła się w niebezpieczeństwie – jak sądziłam, kończyła się. I bezwiednie sprawiłam, że Cook wpadła w tarapaty.

Zawsze była dla mnie bardzo dobra, a teraz upokorzono ją w obecności pomocy kuchennych, które gapiły się na całą scenę z otwartymi ustami. Rozwścieczona lady Vennaway oznajmiła, że jeśli to się

powtórzy, Cook będzie musiała uciekać, gdzie pieprz rośnie. Nie miałam pojęcia, gdzie rośnie pieprz, lecz rozumiałam, że jest to wyjątkowo nieprzyjemne miejsce, w którym Cook byłaby głęboko nieszczęśliwa. Nie chciałam, by się tam znalazła z mojego powodu.

Tego wieczoru długo rozmyślałam przed zaśnięciem. Jeszcze nigdy tak bardzo nie łamałam sobie nad niczym głowy. Żyłam z dnia na dzień, bez oporu godziłam się na wszystko, co mnie spotyka. To, że nie mogę się pojawiać w pewnych miejscach, wydawało mi się twardą zasadą narzuconą przez dorosłych. Wiedziałam, że dorośli lubią reguły, i nie chciałam im odbierać tej głupiej przyjemności. Moje pierwsze spotkanie z dziedziczką było wstrząsające i koszmarne, dlatego po prostu o nim nie myślałam i problem przestał istnieć.

Ale teraz rozumiałam, że Cook zawsze mówiła prawdę, że ja i Aurelia nie możemy być przyjaciółkami, bo takie są zasady obowiązujące na świecie. Jeśli nie będziemy ich przestrzegały, narazimy ludzi na przykrości.

Późnym wieczorem Cook przysłała do mojego pokoju. Usiadła na skraju wąskiego łóżka, które lekko się przechyliło.

– Wszystko już posprzątane? – spytałam, bo tego dnia państwo Vennaway jedli kolację złożoną z wielu dań, z kilkoma rodzajami win.

– Tak, wszystko zrobione.

– Przygotowałaś ciasto? – zagadnęłam, bo Cook szykowała na następny dzień świeże desery.

– Jest gotowe do upieczenia. Po południu przychodzi pastor, więc rano zrobię ciasto cytrynowe i ciasto z figami i rodzynkami.

Nazajutrz kuchnia będzie ładnie pachnieć.

– Teraz rozumiesz? – spytała i wiedziałam, że nie mówi o cieście.

– Tak. – Pociągnęłam nosem. – Przepraszam, Cookie. Nie chciałam cię wpakować w kabałę. Ostrzegałaś nas, a myśmy nie słuchały.

Skinęła głową i pogładziła mnie po włosach szorstką dłonią.

– Lady Vennaway to straszna, straszna kobieta, prawda, Cookie? – ciągnęłam ośmielona.

Cook się zawahała.

– Każdy ma własne kłopoty, nawet ludzie, których uważamy za najtwardszych. Najlepiej o wszystkim zapomnieć i cieszyć się z tego, co dał nam los. I tak masz więcej szczęścia od innych, Amy, choć jesteś taka malutka.

Wśród moich rówieśników często żartowano z mojego niskiego wzrostu. Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się, ale wiedziałam, że nie będzie mi łatwo iść za radą Cook. Tego wieczoru poczułam również gniew, niczym maleńkie nasiono, które może za chwilę wykiełkować.

– Nie chcę, żebyś poszła do tego okropnego miejsca – oznajmiłam Cook, gdy wstała, a moje łóżko przestało się kołysać.

Milczała krótko, zdziwiona.

– Jakiego miejsca?

– Gdzie pieprz rośnie. Pani powiedziała, że będziesz musiała tam uciekać, ale powinnaś zostać z nami!

Cook była zbyt zmęczona, by tłumaczyć znaczenie zwrotu użytego przez lady Vennaway, lecz powiedziała to, co powinnam usłyszeć.

– Trudno znaleźć dobrą kucharkę, a jeszcze trudniej taką, która potrafi sobie poradzić we dworze takim jak Hatville. Przypuszczam, że jest tylko jedna osoba w Anglii zdolna znosić kaprysy pani. Zatem się nie martw, nigdzie nie pójdę, chyba że na poddasze do swojego pokoju. Lady Vennaway dobrze wie, gdzie stoją konfitury.

Nie byłam pewna, dlaczego pani miałaby się przejmować konfiturami, skoro na jej życzenie pieczono świeże ciasta, ale przyrzekłam sobie w duchu, że odtąd postaram się nie narażać Cook na kłopoty. Teraz miałam tylko ją. Lady Vennaway nakrzyczała na córkę i wiedziałam, że nigdy więcej nie zobaczę Aurelii. Prawie nie mogłam znieść tej strasznej myśli.

Nadszedł poranek, a wraz z nim ciepła, słodka woń pieczonego ciasta. W drzwiach pojawiła się rozpromieniona Aurelia.

– Chodź, Amy! Jest piękna pogoda! Pajęczyny pokryły się rosą, która lśni jak tęcza! Świat jest naprawdę cudowny! Wyjdźmy na dwór!

Jak cudownie podziwiać krajobrazy Surrey z okna pociągu! Jak wspaniale jechać w rozkołysanym, turkocącym wagonie, mijając pola, strumienie, lasy i wiejskie domy! To zdumiewające patrzeć, jak szybko umykają do tyłu!

Czyż pociągi nie mają w sobie czegoś niezwykłego? Pojawily się w krótkim czasie i osiągają oszałamiające prędkości, w niektórych miejscach podobno pięćdziesiąt kilometrów na godzinę! Łoskot, słupy pary, lśniące żelazo – wszystko wydaje się fantastyczne. Jednak moim zdaniem to, co jest najbardziej niezwykłe w kolei żelaznej, to sami pasażerowie.

Moi towarzysze podróży to państwo Begleyowie, małżeństwo w średnim wieku. Wciskają się do przedziału z kilkoma walizami, przedstawiają się i siadają naprzeciwko mnie. Wydaje mi się, że Tom uznałby ich za odpowiednich partnerów do konwersacji, ale tak naprawdę nie mam wyboru: pani Begley nie zamykają się usta od wyjazdu z Ladywell.

– O mój Boże! – woła, wachlując się wiotką dłonią. – Ten kolejowy absurd jest strasznie męczący! Trudno to wszystko wytrzymać. Proszę popatrzeć, cała się trzęsę! – Wyciąga rękę i podstawią mi ją pod nos, a ja patrzę na nią z zaciekawieniem. Rzeczywiście, dygoce.

– Przepraszam, panno Snow – wtrąca mąż. – Charlotte, kolej żelazna to wspaniały wynalazek! Spójrz, jak wygodnie siedzimy! Oczywiście, jeśli weźmiemy ze sobą poduszki podróżne. Popatrz, jak równo leżą nasze bagaże! Mam nadzieję, że się nie zsuną... Spójrz tylko, ile jest stacji, tras, kierunków! Cóż, jeśli w tym skomplikowanym systemie zdarzają się jakieś pomyłki, jest to tylko przyjemne urozmaicenie!

– Bynajmniej, Williamie! A wypadki, wybuchy, katastrofy?! Kiedy czyta się o tym w gazetach, można się przerazić, panno Snow, naprawdę przerazić...!

Moi towarzysze podróży debatują z ożywieniem przez całą drogę aż do przedmieść Londynu. Jest oczywiste, że darzą się głębokim uczuciem, a ja jestem zadowolona, że coś rozprasza moje myśli. Przez cały czas towarzyszą mi miłe wspomnienia o Aurelii, lecz nie tylko – zdaję sobie ze zdumieniem sprawę, że pamiętam również dawne urazy.

Przypomniałam sobie o nich dziś rano, gdy spojrzałam na paczkę starych listów. Puściłam w niepamięć nasze wcześniejsze, czasowe rozstanie, na długo przed śmiercią Aurelii, kiedy sądziłam, że o mnie zapomniła. Później obwinałam panią Bolton, że mi ją odebrała. Myliłam się, bo to Aurelia koniecznie chciała wyjechać. Wtedy, podobnie jak teraz, prosiła, bym jej zaufała, lecz trudno mi było

wytrzymać bez niej w Hatville przez tak długi czas. Moim zdaniem wymagała ode mnie zbyt wiele jak na mój wiek. Tego rodzaju rozważania o przeszłości nie są przyjemne, kiedy towarzyszy im lęk przed samotnym przybyciem do wielkiego miasta Londynu. Może obecna sytuacja również mnie przerasta?

Przejeżdżamy przez miłą wioskę o nazwie Dulwich, a pani Begley opowiada o swoich planach. Zamierzają się zatrzymać u żonatego syna w Pentonville. Jego żona spodziewa się pierwszego dziecka. Syn jest wyższym urzędnikiem w dużym banku i tak lubi swoją pracę, że nie rozumie, dlaczego wszyscy nie są urzędnikami bankowymi.

Przypominam sobie artykuły prasowe o morderstwach, kieszonkowcach i naciągaczach. Pamiętam, że Seven Dials to niebezpieczny rejon, podobnie jak Old Kent Road. Zapomniałam nazw pozostałych dzielnic, których powinnam unikać, i czuję, że nie jestem odpowiednio przygotowana do pobytu w Londynie.

Kiedy wreszcie pojawia się miasto, podobne do szarego oceanu kamiennych domów, pani Begley milknie na moment. Korzystam z okazji i proszę o radę.

– Czy dobrze panią rozumiem, panno Snow?! Proszę sprostować, jeśli się mylę! Chce pani powiedzieć, że nie ma pani gdzie się zatrzymać?! Że nikt po panią nie wyjdzie?! Ach, panno Snow! To bardzo niedobrze! Och, co powinniśmy zrobić?!

– Spokojnie, spokojnie, Charlotte, nie wpadajmy w panikę, skupmy się na praktycznych sprawach. Proszę nie robić takiej przerażonej miny, panno Snow. Wszystko będzie dobrze. Kiedy wysiądziemy, pomożemy pani znaleźć dorożkę. Obawiam się, że Bricklayers' Arms to niezbyt elegancka okolica.

– Doprawdy, nie! Old Kent Road?! Wielkie nieba, co właściwie ci kolejarze sobie myśleli, budując dworzec w takim niebezpiecznym miejscu?! Niebezpiecznym!

Milczymy chwilę, nim ośmielam się zadać następne pytanie.

– Może mogliby mi państwo coś doradzić? Gdzie mogłabym się zatrzymać? Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby pomogli mi państwo znaleźć dorożkę. Tylko... gdzie powinnam pojechać? Do dobrej dzielnicy, do przyzwoitego hotelu?

– Dysponuje pani odpowiednimi funduszami, by zapłacić za dobry hotel, moja droga? Londyn jest szokująco drogi.

– Charlotte! – Pan Begley wydaje się wstrząśnięty.

– Cóż, Williamie! Po prostu troszczę się o naszą towarzyszkę podróży. Nie chcę, żeby się zrujnowała.

– Ale przecież... przecież nie można tak bezceremonialnie... pytać!

– Bardzo chętnie zapłacę za dobry pokój – przerywam, bojąc się, że stanę się przyczyną kolejnego sporu. – To tylko dwie noce, a potem spotkam się z przyjaciółmi... – Wypowiadam to kłamstwo, by złagodzić ich niepokój, poza tym chciałabym, żeby to była prawda.

Pani Begley spogląda wyniośle na małżonka.

– W takim razie bez wahania polecam pensjonat prowadzony przez panią Woodrow, mieszczący się w pobliżu St James's Park, na Jessop Walk. Jest przeznaczony specjalnie dla dam. Zapamięta pani nazwę



ulicy, moja droga? Jessop Walk. Numer siedem. Nie! Numer sześć! Nie! Numer jedenaste, prawda, Williamie? Tak czy inaczej, po prawej stronie dzwonnicy. Po prawej albo lewej...

Gdyby Aurelia była mężczyzną, uznawano by ją za humanitarystę, wizjonera. Gdyby nosiła surduty i miała bokobrody, kandydowałaby do parlamentu i uchwalała nowe prawa. Rodzice uważaliby ją za energiczną. Zamiast tego miała bujne kasztanowe loki, ciemnoniebieskie oczy, wąską kibić oraz skłonność do śmiechu – a jej kontrowersyjne opinie doprowadzały rodziców do rozpaczki.

Kiedy w salonie plotkowano, Aurelia oznajmiała, że nie wolno mówić w ten sposób o ludziach, bo świadczy to o braku wrażliwości. Pamiętam jeden z miejscowych skandali, którym matka, ciotki i kuzynki Aurelii ekscytowały się przez wiele tygodni. Nasz sąsiad, pan Templeton, szanowany ojciec zamożnej rodziny z klasy średniej, został ojcem dziecka pokojówki. Naturalnie nie był to rzadki wypadek, ale gdy wybuchał podobny skandal, wszyscy zachowywali się tak, jakby na naszej wspaniałej planecie nigdy nie wydarzyło się nic bardziej okropnego.

Przekazywano sobie pikantne szczegóły sprawy (pokojówka była wyjątkowo ładna i miała jasne loczki o piaskowym odcieniu, panią Pagett z wioski zawsze niepokoił sposób, w jaki pan Templeton na nią patrzył) albo wygłaszano różnego rodzaju opinie (pan Templeton przyniósł wstyd całej okolicy, był rozpustnikiem, dziewczyna nieustannie go prowokowała, a gospodyni traktowała ją zbyt pobłaźliwie). Jednak Aurelia zachowywała się inaczej – zadawała pytania.

Co się teraz stanie z pokojówką, która nie ma pracy i okryła się hańbą? Czy nie jest za młoda, by cierpieć przez całe życie? A pani Templeton? Czy jest wytracona z równowagi lub wściekła? A może przygnębiona? Czy myśli o zemście? Co sprawiło, że pan Templeton dopuścił się tego występku (rzecz jasna poza oczywistymi przyczynami)? Zawsze był przyzwoitym i rozsądnym człowiekiem, prawda? Musiał już spotykać inne ładne dziewczęta, więc dlaczego stało się to dopiero teraz? Czy można jakoś pomóc?

Takie pytania sprawiały, że Aurelia, choć uwielbiana, była również uważana przez rodzinę za mało inteligentną. W konsekwencji lord i lady Vennawayowie zaangażowali dla niej guwernera, pana Henleya.

Odnaczał się surowością i miał opinię człowieka potrafiącego osiągać pożądane rezultaty. Zgaduję, że pan Henley jako osoba wykształcona nie mógł uważać Aurelii za głupią pannę, ale wynajęto go, by ukształtował jej charakter w określony sposób. Okazało się to wyjątkowo trudne. Usiłował za wszelką cenę odnieść sukces, choć wcześniej kilka kolejnych guwernantek poniosło fiasko. Tematy interesujące młodą Aurelię – filozofia, literatura, ekonomia i polityka – z pewnością nie były mu obce, jednak

pewnego dnia powinna wyjść za mąż i to było najważniejsze. Uczył ją łaciny i muzyki, podstaw geografii i historii, a przede wszystkim zasad dobrego wychowania. To ostatnie nie przychodziło Aurelii łatwo, ale determinacja pana Henleya stała się przyczyną kolejnej niespodziewanej zmiany w naszych relacjach.

Kiedy nowy guwerner objął posadę i nie znał jeszcze reguł dotyczących mojej osoby, natknął się na mnie w sali szkolnej i pozwolił mi uczestniczyć w lekcji. Zachowywał się trochę protekcyjnie, lecz, cóż, miałam dopiero osiem lat.

Zauważył coś, o czym w ciągu lat wspominali czasem inni ludzie: działałam na Aurelię uspokajająco. W mojej obecności stawała się grzeczniejsza, bardziej uważna i, jak to określił pan Hanley, bardziej podatna na naukę. Jeśli po prostu miała nadzieję, że lekcje wcześniej się skończą, byśmy mogły się zająć własnymi przyjemnościami, nigdy tego nie okazywała. W końcu, ku ogólnemu zaskoczeniu, pan Henley stał się kolejną osobą, która zasugerowała, że powinniśmy spędzać czas razem.

Szczerze wyjaśnił swoim pracodawcom, że niespokojny duch taki jak Aurelia potrzebuje towarzyszkę o zrównoważonym usposobieniu i przyziemnych zainteresowaniach. Panna Vennaway nie ma braci ani siostr, toteż obecność drugiej dziewczynki pozwala jej łatwiej znosić konieczność nauki. Pan Henley zdecydowanie doradzał, żebym uczestniczyła w lekcjach.

Lorda Vennaway w ogóle to nie obchodziło: był zbyt dumny, by się zajmować takimi głupstwami. „Dlaczego nie mielibyśmy się zgodzić?” – zwrócił się ze znużeniem do żony. Emocje lady Vennaway nie miały żadnego znaczenia w świecie męskiego racjonalizmu. Jej kobiece uczucia musiały ustąpić wobec rozsądnych argumentów. W końcu właśnie tego miała się nauczyć Aurelia.

W ten sposób zaczęłam spędzać z Aurelią więcej czasu, niż życzyłaby sobie jej matka, a moja rola we dworze uległa subtelnej zmianie. Kilka razy słyszałam, jak mnie nazywano towarzyszką Aurelii – choć nigdy w obecności lady Vennaway. Mogłam teraz obserwować Aurelię w jej własnym świecie, a nie tylko w czasie naszych radosnych zabaw na terenie posiadłości. I zobaczyłam ją w nowym świetle. Zrozumiałam, że chociaż uważam ją za przyjaciółkę z dzieciństwa (oczywiście starszą, lecz mimo to beztroską i cieszącą się dużą swobodą), to jednak inni ludzie traktują ją jako młodą damę mającą konkretne obowiązki.

Kiedy pojawił się pan Henley, Aurelia miała szesnaście lat, a jej rodzice już od roku zastanawiali się nad tym, za kogo ją wydać. Aurelia nie chciała przyjąć do wiadomości tych planów, jakby ignorowanie ich mogło sprawić, że przestaną istnieć. Nie mam ochoty przypisywać jej naiwności. Byłam od niej zależna i chciałam wierzyć, że jest wszechpotężna. A jednak jako dziewczynka obdarzona zdolnością obserwacji powoli rozumiałam, że Aurelia czasem postrzega rzeczywistość inaczej niż pozostali ludzie.

Wkrótce po przyjeździe pana Henleya jej rodzice zaczęli zapraszać do Hatville potencjalnych konkurentów i wysyłać Aurelię na bale w towarzystwie ciotek i kuzynek (lady Vennaway nie chciała w nich uczestniczyć, gdyż nie lubiła rozrywek). Aurelii z początku sprawiało to przyjemność: mogła się ładnie ubierać i tańczyć, wszyscy ją podziwiali. Śmiała się z mężczyzn przychodzących na kolacje.

Uważałam ją za autorytet i naśladowałam, ona zaś naśladowała panią Bolton. Zachowywała się, jakby nic nie robiło na niej wrażenia. Z początku dałam się nabrać.

Mijał czas, a lord i lady Vennawayowie próbowali realizować swoje plany w coraz bardziej natarczywy sposób. Zmusili Aurelię do rozmów o małżeństwie i zabronili wychodzić z salonu, gdy pojawiał się ten temat. Coraz częściej dochodziło do kłótni. Aurelia czuła lęk. Nie chciała się do tego przyznać, lecz często widziałam, że rozgląda się dokoła szalonym wzrokiem niczym koń ze zbyt ciasno założonym wędzidłem.

Nie wątpię, że mężczyźni odwiedzający Hatville ją uwielbiali – nikt, kto na nią spojrzał, nie mógł jej nie uwielbiać. Ale byli to ludzie, dla których miłość jest skomplikowanym uczuciem, bardzo silnie związanym z posiadaniem, obowiązkiem i władzą. Jako osoby publiczne, pochodzące z arystokratycznych rodów... cóż, mieli swoje oczekiwania. Spodziewali się, że Aurelia okaże się dobrze wychowaną panną, skromną, taktowną, oblewającą się rumieńcem, idealną nagrodą dla bogatego kawalera, którego majątek co najmniej dorównuje zamożności i prestiżowi Vennawayów.

Rodzice wyobrażali sobie, że Aurelia stanie się czcigodną matroną – urodzi dzieci, będzie się pokazywać w towarzystwie wsparta na ramieniu męża. Jednak Aurelia za dużo czytała i miała zbyt mało doświadczenia życiowego. Czerpała inspirację z ogromnej biblioteki Hatville Court i nie miała żadnego mądrego przewodnika, który mógłby jej coś doradzić, dlatego każde najdziksze marzenie wydawało jej się realne. Pragnęła życia pełnego podróży, intryg i romansów (licznych romansów, koniecznie!). Zamierzała wykorzystywać swoją fortunę do działalności filantropijnej. Chciała się stać nowym wzorem do naśladowania dla bogatych młodych dam („Skandaliczne! Wbrew naturze!” – skomentował z wściekłością ojciec). Pragnęła, by jej nazwisko znalazło się w podręcznikach historii, choć żaden z posiadanych przez nas podręczników historii nie przywiązywał wagi do poglądów kobiet.

– W takim razie będę pierwsza – oznajmiała, kręcąc śliczną główką. – Wszystko musi się kiedyś zdarzyć po raz pierwszy, bo inaczej nic by się nigdy nie zmieniło i ciągle mieszkalibyśmy w jaskiniach.

– Niektóre rzeczy nie mogą się zmienić! – zagrział lord Vennaway.

– Niektóre rzeczy już dawno powinny się zmienić! – odparowała Aurelia.

Niemal współczułam jej ojcu. Najdumniejsza, najbardziej konserwatywna rodzina w hrabstwie – i żadnego dziedzica, tylko córka jedynaczka. Prześliczna, wdzięczna i mająca dobre serce. Marząca... o reformowaniu społeczeństwa! Zadająca się z niewłaściwymi ludźmi (mną, panem Clayem i panią Bolton, kimś w rodzaju niezależnej intelektualistki). Była to przykra sytuacja.

W ciągu kilku lat w Hatville pojawiło się wielu potencjalnych kandydatów na męża Aurelii i w tej chwili liczyło się tylko dwóch, którzy powoli tracili cierpliwość. Lord Kenworthy i lord Dunthorne bardzo się od siebie różnili, lecz obaj byli równie nieprzyjemni. Giles Kenworthy, starszy od Aurelii o jakieś dwadzieścia lat, chłodny i sztywny, miał wysuszoną skórę i posępną minę. Po raz pierwszy widziałam go, gdy energicznie kroczył holem, jakby wybierał się na polowanie na lisy. Wyglądałam ukradkiem z biblioteki, do której nie wolno mi było wchodzić. Dziękowałam Bogu, że mnie nie zauważył.

Jego oczy wzbudziły we mnie paniczny lęk.

Bailor Dunthorne, młody i rozpustny, odznaczał się zwodniczym urokiem. Był przystojny, elegancki i energiczny, dostatecznie energiczny, by zbić konia do krwi – widziałyśmy to na własne oczy. Dostatecznie przystojny, by jego urokowi uległa niewiarygodna liczba młodych kobiet, które nie otrzymały za to prawie żadnej nagrody, o czym powiedziała nam pani Bolton (a przynajmniej powiedziała Aurelii, a ja byłam przy tym obecna). Miał zwyczaj składania niezapowiedzianych wizyt. Był zupełnym przeciwieństwem lorda Kenworthy'ego. Kiedy mnie widział, pochylał się nade mną, gładził mnie po głowie i przyglądał mi się uważnie. Przenikał mnie wtedy lodowaty dreszcz.

Obaj dżentelmeni pochodzili ze starych rodów i mieli ogromne fortuny. Państwo Vennawayowie uznali, że każdy z nich idealnie nadaje się na męża Aurelii. Powinna była dokonać wyboru, ukończywszy osiemnaście lat. Czekali już zbyt długo. Ale Aurelia nie chciała słuchać rodziców. Za trzy lata, w wieku dwudziestu jeden lat, miała osiągnąć pełnoletność. Twierdziła, że nie potrzebuje męża. Często wspominała, że bierze przykład z młodej królowej Wiktorii.

– Wiktorii chciało wyjść za mąż z miłości. Poważnie się zastanawiała, czy nie zostać panną jak królowa Elżbieta. Poślubiła Alberta tylko dlatego, że naprawdę się rozumieją.

– Jej Królewska Wysokość jest w zupełnie innej sytuacji! – ryknął ojciec Aurelii. – Rządzi krajem i ponosi odpowiedzialność wobec narodu, a ty, Aurelio, masz zobowiązania wobec rodziny. Powinnaś wyjść za mąż i zapewnić ciągłość rodu Vennawayów. Nie mam męskiego potomka i nie pozwolę, by zawiodła mnie własna córka. Jej Królewska Wysokość w ogóle mnie nie obchodzi. Jeśli myślisz, że masz wybór, Aurelio, zapewniam cię, że to nieprawda!

Doszło do pojedynku ludzi obdarzonych równie silną wolą, lecz oczywiście rodzice Aurelii dysponowali przygniatającą przewagą. Musieli postawić na swoim, a mężczyźni nie zwracali uwagi na niezwykle poglądy Aurelii, gdyż przede wszystkim pragnęli ją posiadać.

Lord i lady Vennawayowie mimo wszystko optymistycznie patrzyli w przyszłość. Owszem, Aurelia była krnąbrna, niegrzeczna i nierozsądna, lecz jej piękno, wychowanie i trzydzieści tysięcy funtów rocznie rekompensowały te cechy.

Jeśli chodzi o mnie, miałam dziesięć lat i nie widziałam możliwości wyjścia z impasu. Jaki mężczyzna byłby w stanie tolerować i wspierać kobietę o tak nowoczesnych poglądach i gorącym sercu? Najprawdopodobniej padłaby ofiarą brutalnych szykan, aż zmieniłaby się w bezduszną lalkę. Na przykład lord Kenworthy chętnie ożeniłby się z kobietą taką jak Aurelia, po czym pozbawiłby ją wszystkich cech, które nie spotkałyby się z jego aprobatą (a, doprawdy, niewiele z nich wydawało się na nią zasługiwać w jego oczach), jakby przycinał wybujałą roślinę. Aurelia zwierzała mi się ze swoich obaw, bo nie miała nikogo innego. Spodziewała się, że rodziłaby co roku kolejne dzieci aż do kompletnego wyczerpania sił żywotnych, po czym stałaby się zupełnie inną osobą.

Byłam jeszcze mała i bardzo się martwiłam o Aurelię. Przyznaję się, że również o siebie. Lord Kenworthy spoglądał na mnie w taki sposób, że bałam się tego, co mogłoby mnie czekać w jego domu –

oczywiście pod warunkiem, że w ogóle pozwolono by mi tam zamieszkać. Niewątpliwie powitano by mnie niezbyt przyjemnie. Mogło mnie czekać coś bardzo niedobrego. Nie widziałam drogi wyjścia.

A potem wszystkim zajęła się natura.

Pewnego dnia Aurelia zemdląca w sadzie podczas pikniku, gdy dwór odwiedzili krewni Vennawayów. Zapędzono mnie do pracy, jak zwykle, kiedy działo się coś przyjemnego. Pomagałam Robinowi zrywać śliwki i słyszałam wybuchy śmiechu dobiegające zza drzew – najgłośniej śmiała się Aurelia. Nie zwróciłam uwagi na ciszę, która nagle zapadła. Przykucnęłam na trawie i robiłam z fartucha węzełek, bo koszyk już był pełny.

Mocowałam się ze śliską tkaniną, gdy nagle zauważyłam, że Robin wypuszcza z rąk garść śliwek. Upadły na ziemię, odbijając się od niej. Rzadko się zdarzało, by postępował tak nieostrożnie z cennymi owocami. Spojrzałam w górę i zobaczyłam, że ma twarz bladą jak popiół. Zeskoczył bez słowa z drabiny i pobiegł w stronę miejsca, gdzie odbywał się piknik. Wstałam wolno, po plecach przebiegły mi ciarki – miałam wrażenie, że idzie po nich pająk. Nie będąc w stanie się poruszyć, patrzyłam, jak Robin niesie nieprzytomną Aurelię do domu. Wokół zgromadziły się zdenerwowane kuzynki. Na zawsze zapamiętałam widok zwisającej ręki, która powoli się kołysała – była to mroząca krew w żyłach zapowiedź przyszłości.

Wezwano doktora Jacobsa. Po długim, dokładnym badaniu orzekł, że olśniewające piękno Aurelii i jej znakomity humor to tylko okrutny żart losu. Jej serce, pełne dobroci i odwagi, okazało się słabe i chore. Miała umrzeć przed ukończeniem trzydziestego roku życia.

Aurelia przyjęła wiadomość w taki sposób, jakby była to przemyślna intryga mająca pokrzyżować plany matrymonialne rodziców. Cóż za zdumiewający obrót spraw! Nikt jej teraz nie zdobędzie. Nikt nie zechce żony, która umrze za kilka lat, po czym trzeba będzie rozpocząć męczące poszukiwania następnej. Oczywiście ktoś mógłby się zdecydować na to nieprzyjemne przeżycie, by odziedziczyć fortunę, ale doktor Jacobs ostrzegł, że urodzenie dziecka może doprowadzić do jeszcze wcześniejszego zgonu. Stanowczo odradzał małżeństwo i wszystkie związane z nim wysiłki. Nie mając nadziei na dziedzica, Vennawayowie nie byli zainteresowani wydaniem Aurelii za mąż. Lepiej zatrzymać fortunę w rodzinie. Aurelia z zadowoleniem kiwała głową. Lepiej, by odziedziczyła ją kuzynka Maude niż ktoś obcy.

Aurelia postawiła na swoim – i zapłaciła wysoką cenę. Nie będzie wspaniałego wesela. Nie pojawi się dziedzic fortuny Vennawayów. Ale nie będzie również podróży, namiętności i reform społecznych.

Tak przynajmniej sądziłam.



Myślę ponuro o tamtych czasach, gdy pociąg zwalnia i się zatrzymuje. Dni, które nastąpiły po ogłoszeniu diagnozy, zlewają się w mojej wyobraźni z mrocznymi chwilami po śmierci Aurelii. Mój umysł od czasu do czasu się buntuje – śmierć i Aurelia zupełnie do siebie nie pasują. Nieświadomie przelatuje mi przez głowę myśl, że czeka na mnie na dworcu.

Londyn to ciąg wyrazistych, ulotnych żywych obrazów, nieustannie tasowana talia kart. Tłumy w Bricklayers' Arms jeszcze raz dowodzą, jaką senną prowincją jest Ladywell. Widzę przekupniów, straganiarzy hałaśliwie zachwalających swoje towary, skąpo odziane kobiety i bose dzieci. Mam wrażenie, że spoglądam na siebie z boku: siedemnastoletnia dziewczyna, która czuje się sto lat starsza, ubrana na czarno i stroniąca od zgiełku.

Kiedy państwo Begleyowie zauważają w tłumie syna, ich twarze natychmiast się rozpromieniają. Mężczyzna wita serdecznie rodziców i mówi, że młoda pani Begley jest w domu w Pentonville, gdzie przygotowuje obiad powitalny. Przychodzi mi do głowy, że chętnie oddałabym swoje sto funtów, by móc z nimi pojechać.

Czuję się jak intruz. Obawiam się, że o mnie zapomniano, po czym doświadczam mdlącej ulgi, gdy nagle sobie o mnie przypominają i wsadzają do dorożki, pośpiesznie wykrzykując życzenia i pożegnania, jak nakazuje etykieta.

Kryta dorożka szybko rusza przez morze pojazdów wypełniających ulice. Kiwam się do przodu, do tyłu, na boki. Moja torba skacze po wnętrzu jak konik polny. W naszą stronę pędzi omnibus, mija nas w odległości kilku centymetrów. Konie rżą z przerażenia. Potok przekleństw wykrzykiwanych przez woźnicę. Świat zupełnie inny niż Hatville, gdzie wszystko było spokojne, majestatyczne, uporządkowane.

Wreszcie dorożkarz krzyczy: „Jessop!”. Pojazd zatrzymuje się na cichej uliczce z rzędami białych domów widocznych na tle szarego nieba. Wsiadam, powątpiewając, czy moje kości są w nienaruszonym stanie.

Pukam do domu numer sześć – pani Begley była pewna, że chodzi o numer sześć – gdzie wskazują mi dom numer osiemnaście. Na Jessop Walk jezdnię oddziela od domów głęboki rów przypominający fosę. Przed każdym domem znajduje się niewielka kładka i wysoka brama zwieńczona żelaznymi szpikulcami. Domy są niewielkie i ich mieszkańcy mogą zaglądać przez mur do ogrodów sąsiadów. W Hatville, jeśli ktoś chciał zobaczyć sąsiada, musiał przejść kilka kilometrów.

Z ulgą spostrzegam, że pani Woodrow to dama o wyglądzie nauczycielki, w okularach i szarych wełnianych mitenkach. Nie jest gruba, niechlujna, pijana ani wścibska (nie zdawałam sobie dotąd sprawy, jak bardzo powieści Dickensa mogą wpłynąć na moje postrzeganie gospodyń domów). Płacę z góry za dwudniowy pobyt, a pani Woodrow zgadza się, bym go przedłużyła w razie potrzeby.

– Oczywiście pod warunkiem, że nie pojawi się tłum bogatych, ważnych gości – dodaje sucho. – Jest styczeń – ciągnie, widząc, że traktuję jej słowa poważnie. – Nikt nigdy nie odwiedza Londynu w styczniu.

Wyglądam ze swojego pokoju przez małe okienko i rozumiem, dlaczego Londyn nie jest popularny o tej porze roku. Zaczął padać lekki deszcz, ulice lśnią od wody. Pod ołowianoszarym niebem widać małe ogrody, sznury do suszenia bielizny, ogródki warzywne, przybudówki, dachy, okna i mury – wszystko przez jedną niewielką szybkę. Dom... jeśli go kiedykolwiek miałam... jest bardzo daleko...

Mój pokój ma podłogę z desek. Stoi w nim wąskie łóżko z prostym pościeleniem. Ściany są pomalowane na brązowo, na jednej z nich wisi obraz w brzydkiej ramie, sentymentalny kicz przedstawiający pasterkę uśmiechającą się do pasterza o różowych policzkach. W pokoju są też umywalka, krzesło i mały stolik ze szklanym słojem ze śnieżyczkami.

Ich widok przywołuje dawne wspomnienia: droga między Hatville a Enderby, niezliczone zakątki posiadłości Vennawayów, ciemnozielone liście i pąki białych kwiatów, świeże powietrze i obietnica wiosny z Aurelią.

Zastanawiam się, czy przypuszczała, że zobaczę taki Londyn.

Wszyscy byliśmy zdruzgotani rozpoznaniem choroby Aurelii. Zauważyłam, że lord Vennaway płacze, i odwróciłam głowę, by nie patrzeć. Lady Vennaway położyła się do łóżka, po czym prawie natychmiast wstała, zdawszy sobie sprawę, że choroba uniemożliwi jej spędzenie ostatnich cennych chwil z córką. Lord Kenworthy zniknął jak kamfora i wkrótce zaręczył się z bogatą młodą panną z hrabstwa Kent. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Przeżyłam szok, zaparło mi dech w piersiach. Aurelia! Była zbyt jasnym płomieniem, by przedwcześnie zgasnąć. Gdyby ten smutny los miał spotkać kogokolwiek innego, byłabym w stanie to zrozumieć – lady Vennaway wydawała się niezwykle krucha, Cook wiecznie narzekała na zmęczenie, Rosy bez przerwy kasłała i drapała się po całym ciele. Marcus nieustannie spadał z drabin, upuszczał młotki, które kaleczyły mu stopy, przygniatały go kłody. Ale Aurelia?! Boginie nie mają słabych serc.

W dalszym ciągu miała dobry nastrój. W gruncie rzeczy w pierwszym roku prawie się nie zmieniła, toteż można było podejrzewać, że doktor Jacobs się pomylił.

– Pora skończyć z tymi bzdurami – oznajmiła rzeczowo rodzicom któregoś dnia. – Wiem, że nie aprobujecie Amy. Przestanę was namawiać do zmiany waszego zachowania, jeśli zaakceptujecie moją decyzję i pozwolicie jej spokojnie wykonywać swoje obowiązki. Nie wiem, co mnie czeka, jak długo będę żyć. Amy działa na mnie uspokajająco i całkowicie jej ufam. Chcę ją mieć przy sobie, cokolwiek mnie czeka.

Oczywiście powiedziała to w obecności pastora Chorleya i doktora Jacobsa. Nigdy nie wahała się rozmawiać o swoich prywatnych sprawach przy wpływowych członkach miejscowej społeczności, jeśli służyło to jej interesom. Doktor Jacobs wyraził opinię, że z medycznego punktu widzenia mam dobroczynny wpływ na zdrowie Aurelii. Pastor Chorley mówił o potrzebie miłosierdzia i zasugerował, że jestem darem Boga. Chętnie bym go za to ucałowała.

Nie spałam już w zmywalni naczyń kuchennych, przeniosłam się do pokoju sąsiadującego z sypialnią Aurelii. W dalszym ciągu uczyłyśmy się razem, choć w tej chwili lekcje odbywały się niesystematycznie. Pan Henley nie przygotowywał już Aurelii do zamążpójścia, a lord Vennaway popadł w takie przygnębienie, że zapomniał go zwolnić.

Aurelia co tydzień pokonywała na piechotę trzy kilometry, odwiedzała wieśniaków w Enderby i rozmawiała o ich nieszczęściach z pastorem Chorleyem, panem Clayem i panią Bolton. Towarzyszyłam

jej w tych wycieczkach. Wszyscy, bez względu na majątek i status społeczny, byli przerażeni nieszczęściem Aurelii. Zabroniła o tym wspominać, lecz i tak o niczym innym nie rozmawiano.

Lady Vennaway nieco mniej mnie prześladowała, choć nalegała, bym ubierała się jak guwernantka. Doprowadziło to do kolejnej awantury. Aurelia była zirytowana. Twierdziła, że oglądanie mnie w brzydkim stroju przyspieszy jej śmierć. Lady Vennaway nie chciała się zgodzić, by nisko urodzona towarzyszka córki nosiła piękne ubrania. Aurelia przekonywała, że oglądanie pięknych strojów podnosi ją na duchu. Lady Vennaway odparowała, że Aurelia i tak jest w nienaturalnie dobrym nastroju – jeśli nie podoba jej się mój ubiór, można mnie odesłać do kuchni. Nie przejmowałam się swoim wyglądem, więc poprosiłam Aurelię, by skapitulowała. Miałyśmy ważniejsze sprawy na głowie.

W drugim roku stan zdrowia Aurelii zaczął się stopniowo pogarszać. Pierwsze oznaki były równie nieprzyjemne i nieuniknione jak coraz krótsze dni i żółknące jesienne liście. Skarżyła się na zmęczenie, o czym nigdy wcześniej nie wspominała.

– Nie chodzi o to, że jestem zmęczona – mówiła. – To coś innego niż normalne zmęczenie po dniu pełnym zajęć albo zwykła senność. Mam wrażenie, że dźwigam jakiś ciężar i nie potrafię się od niego uwolnić.

W dalszym ciągu chodziłyśmy do Enderby, ale tylko w ładną pogodę. Czasem jeździłyśmy powozem, niekiedy zostawałyśmy w domu. Aurelia się niepokoiła. Co ją czeka w te dni, które jej jeszcze pozostały? Nie bała się śmierci, lecz nie chciała się zmienić przed jej nadejściem.

W grudniu 1843 roku obchodziliśmy dwudzieste pierwsze urodziny Aurelii. Jej rodzice nie chcieli organizować żadnej uroczystości z okazji jej pełnoletności, uważając to za zbędne. Aurelia marzyła o balu. W końcu osiągnięto kompromis, którym był obiad dla wybranych członków rodziny, przygotowany przez Cook i mnie. Aurelia przejęła należący do niej majątek.

Zjadam zimną kolację przyniesioną przez panią Woodrow. Trochę szynki, chleb, masło, pomarańcza i kufel piwa. Nie przepadam za piwem, ale wypijam łyk i zostawiam resztę na później. Idę na dół i pytam panią Woodrow, czy wie, gdzie znajduje się księgarnia Entwhistle'a. Nie wie.

Wychodzę na chłodną, wilgotną ulicę i wędruję po mieście. Wkrótce uświadamiam sobie, jak ogromny jest Londyn. Mijam kolejne ulice, lecz nie napotykam ani jednego sklepu, a szczególnie księgarni.

Nieobecność przyzwoitki sprawia, że czuję się tak, jakby wszyscy się na mnie patrzyli. Gdyby Aurelia kiedykolwiek wybrała się na samotny spacer po Londynie, lady Vennaway umarłaby ze wstydu. Na domiar złego zdaję sobie sprawę ze swojego brzydkiego wyglądu. W Hatville wszyscy wiedzieli, że jestem osobą niskiego stanu, ale tutaj, wyrwana z naturalnego środowiska, wyglądam jak ktoś pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia. I tak jest w istocie.

Snując takie refleksje, wracam na Jessop Walk. Pierwsza wyprawa na miasto okazała się nieudana, ale cieszę się, że zachowałam ostrożność – okazuje się, że noc zapada tu wcześniej i szybciej niż na prowincji. Latarnie gazowe, których nigdy wcześniej nie widziałam, wypełniają ciemność niesamowitym światłem.

Samotna w chłodnym, odstręczającym pokoju, który przez dwa następne dni będzie moim domem, zjadam resztkę kolacji i wpatruję się w ścianę. Nie wiem, co robić. Dlatego biorę kartki zapisane poprzedniego wieczoru w hotelu Pod Różą i Koroną. Chciałabym przestać cofać się w czasie za każdym razem, gdy dotykam piórem papieru. Wolałabym, by terażniejszość była ciekawsza. Jednak mimo woli myślę o swoim pochodzeniu, czego nie robiłam od wielu lat. To pewna droga do zapełnienia jeszcze jednej pustej stronicy. Kim jestem?

Kiedyś bardzo często się zastanawiałam, kim są moi rodzice. Podobnie jak Aurelia. Spekulowanie na temat mojego pochodzenia fascynowało nas od najwcześniejszego dzieciństwa. Była to zbyt wielka tajemnica, by nie próbować jej odkryć! Nagi noworodek pozostawiony w śniegu bez żadnej wskazówki... Żywa jak iskra Aurelia i poważna dziewczynka taka jak ja, która pragnęła stać się kimś, musiały się tym interesować.

Na początku przypuszczałyśmy, że jestem księżniczką porwaną przez nikczemnych buntowników planujących przewrót w królestwie. Teoria ta miała jednak dwie wady. Pierwsza polegała na tym, że w rubryce wiadomości zagranicznych żadnego z czasopism pochłanianych przez Aurelię nie wspomniano

o zaginięciu małej księżniczki. Drugi problem sprowadzał się do tego, że gdyby mnie kiedykolwiek odnaleziono, musiałabym wrócić do swojego kraju, by nim rządzić. Aurelia znów została sama i nie wydawało się to przyjemne.

Według drugiej hipotezy byłam Cyganką. Było to bardziej prawdopodobne, gdyż w poprzednim roku przejeżdżali przez Enderby wędrowni Cyganie. Wiedziałyśmy, że Cyganie są wyjątkowo głupi i bałaganiarscy. Mogli po prostu zgubić dziecko. Ale Cyganie nie mogli przejechać przez posiadłość Vennawayów, ogrodzoną ze wszystkich stron, więc jak się tam znalazłam? Nie miałam długich czarnych włosów, moja skóra i oczy były zbyt jasne. Odrzuciłyśmy również tę teorię.

Aurelia wysunęła przypuszczenie, że jestem owocem miłości (tak to nazywała) lorda Vennaway, i bez skrupowania posługiwała się tym terminem w salonie dworu w Hatville. Byłam zbyt mała, by w pełni rozumieć, co to znaczy. Moim zdaniem to samo mogło się odnosić do Aurelii. Podobano nam się to, bo w takim przypadku byłabym przyrodnią siostrą Aurelii i tłumaczyłoby to niechęć lady Vennaway.

Teraz, gdy jestem starsza, uznaję, że mimo postawy lady Vennaway raczej nie mogę być nieślubną córką lorda Vennaway. Jestem jeszcze mniej podobna do Aurelii niż do Cyganki albo księżniczki. Poza tym uważam, że gdyby lord Vennaway miał obdarzyć uczuciem kogoś innego niż żonę, nie zadawałby się z kobietą, która mogłaby podrzucić dziecko na terenie jego posiadłości. Nie, zachowałby się dyskretnie i taktownie. Zresztą nie wydawało się to prawdopodobne. Kiedy lord Vennaway mnie zauważał, na jego twarzy malowała się obojętność, pogarda i lekka irytacja. Nigdy nie dostrzegłam w niej miłości, ciekawości ani poczucia winy.

Trudno mi było przyznać, jak wielką przykrość sprawia mi nieznajomość własnego pochodzenia. Oddałabym wszystko za najdrobniejszy strzęp informacji na temat swoich rodziców. Imię, kształt nosa, ulubiona piosenka... cokolwiek. Marzyłam o poznaniu takich szczegółów i przechowywałabym je w głębi serca, lecz nie mogłam ich zdobyć.

Kiedy Aurelia dorosła, zrozumiała, że moje pochodzenie to nie romantyczna baśń. W pewnym momencie, ku przerażeniu matki, przeprowadziła dokładne śledztwo. Odniosła w tym sporze zwycięstwo, bo lady Vennaway nie mogła jej zabronić rozmawiania z ludźmi. Aurelia przepytowała wszystkie rodziny z Enderby. Prosiła mieszkańców, by spróbowali coś sobie przypomnieć, dostarczyli jakichkolwiek wskazówek.

Wszystko na nic. Jeśli urodziła mnie któraś z kobiet z Enderby, milczała i nikt jej nie zdradził.

Moja matka była prawdopodobnie jakąś nieszczęśnicą, która przywędrowała do Hatville i pragnęła zacząć nowe życie. Mogła mnie obwiniać o swój los, a może po prostu zabrakło jej sił, by dalej mnie nieść. Może nigdy nie poznam prawdy...

Czy chciałabym ją poznać? Teraz? Gdyby Bóg pragnął, by ludzie wszystko wiedzieli, na świecie na pewno byłoby mniej tajemnic. Przyzwyczaiałam się do życia w niewiedzy.



Mój los zaczął się gwałtownie zmieniać jednego z szarych styczniowych dni. Wydaje się, że wszystkie punkty zwrotne mojego życia zawsze przypadają w styczniu – narodziny (i późniejsze pojawienie się w Hatville), śmierć Aurelii (i moje odejście), a teraz to. Myślę, że w przyszłości powinnam unikać stycznia. Czy istnieje jakiś czarodziejski sposób, bym mogła przespać każdy następny styczeń i budziła się w lutym, cała i zdrowa? Odbiegam od tematu. Kiedy Aurelia żyła, nigdy nie byłam taka roztargniona. Jej kaprysy były na tyle szalone, że wystarczały dla nas obu, a ja działałam na nią kojąco.

Teraz nie jestem spokojna.

Aurelia miała dwadzieścia jeden lat, ja trzynaście. Właśnie w ten sposób zawsze pamiętam życie, mierzone latami, zbyt nielicznymi, gdy jej towarzyszyłam – osiem lat młodsza, mniejsza, mniej wyrazista – posłusznie podążałam za nią jak ogon komety. Tego dnia chmury pokryły niebo grubą warstwą i wydawało się, że już nigdy nie pojawi się słońce.

Aurelia poprosiła rodziców do salonu. Zebraliśmy się we czwórkę, co zdarzało się niezwykle rzadko. Francuski zegar stojący na półce nad kominkiem, ozdobiony skaczącymi rybami z niebieskiej emalii i złoczonego brązu, wskazywał późne popołudnie. Pogoda nie pozwalała określić pory dnia, bo przez cały dzień było ciemno. Lord Vennaway niechętnie zapalił świece w lichtarzach.

– Mamo, ojcze, najdroższa Amy, mam pewne ekscytujące wiadomości – zaczęła Aurelia miłym, łagodnym głosem, który nigdy nie zwiastował niczego dobrego. – Otrzymałam zaproszenie. To wspaniała okazja, choć oznacza, że na pewien czas wyjadę.

Zapadła cisza, ciężka i gęsta jak obłok mgły.

– Nie bądź śmieszna, Aurelio.

– To nie żarty, ojcze. W marcu pani Bolton jedzie do Londynu na otwarcie nowej wspaniałej biblioteki. Czy to nie cudowne, ojcze? Później wybiera się do Twickenham, gdzie spędzi kilka tygodni z kuzynką, która niedawno urodziła córeczkę. Wyobraź sobie tylko, ojcze! Zobaczę miejsca, których nigdy nie widziałam, zbiorę ciekawe doświadczenia i poznam najlepsze umysły współczesnej Anglii. Pani Bolton planuje rozrywki, wykłady i przyjęcia. Ma znakomite kontakty w kręgach postępowych intelektualistów. To dla mnie bardzo ważne. Ojcze, mam, muszę brać pod uwagę swoją sytuację i to, że pozostało mi niewiele czasu, by skorzystać z takiej okazji.

Poprawiłam sukienkę na kolanach. To, że Aurelia prawie od razu wspomniała o swojej chorobie –

jeszcze zanim dyskusja w ogóle się rozpoczęła – świadczyło, że bardzo jej zależy na wyjeździe. Oznaczało również, że nie ma pewności, czy zdoła przekonać rodziców.

– Niesłychany pomysł! – Lord Vennaway pociągnął łyk porteru, zakasłał donośnie i odstawił szklankę na stół. Lady Vennaway poszarzała jak niebo. – Pani Bolton to okropna kobieta! – rzucił lord Vennaway, odzyskawszy oddech. – Nie powinniśmy pozwolić, byś się z nią przyjaźniła. Oto skutki ulegania twoim kaprysom i uporowi. Co ty sobie właściwie wyobrażasz, Aurelio? Że pozwolimy ci jeździć po kraju w twoim stanie w towarzystwie osoby o tak złej reputacji?! Absolutnie wykluczone. Nie.

– Ojczy, tak! – zawołała Aurelia.

– W żadnym wypadku! Posłuchaj. O ósmej przyjeżdżają na kolację lord i lady Drummondowie, więc nie chcę, by ta nieprzyjemna sprawa popsukała nam wieczór. To koniec, Aurelio, nie dam się przekonać. Spełniamy wiele twoich zachcianek, doprawdy, ale jeśli uważasz, że zdołasz nas przekonać do tego szaleństwa, oszukujesz samą siebie. Powiedz pani Bolton, że nie będziesz jej towarzyszyć, i rzadziej się z nią spotykaj. Jak w ogóle mogła to zaproponować tak delikatnej dziewczynie jak ty?! Nie!

Wydawało mi się, że to zamyka sprawę. Lord Vennaway był bezwzględny człowiekiem. Muszę to stwierdzić jasno, by nie wydawał się bezradnym ojcem sterroryzowanym przez uroczą, ukochaną córkę. Obawiano się go jako polityka. W elitarnym kręgu miejscowej arystokracji jego opinie miały wielką wagę. Jako młoda dziewczyna, która nie zyskała jego aprobaty, byłam pewna, że nie zmieni zdania. Aurelia nie miała szans go przekonać i przynajmniej raz żywiłam nadzieję, że jej się to nie uda.

Tykał zegar, niebo poszarzało jeszcze bardziej. Odetchnęłam z ulgą.

– Ojczy, bardzo mi przykro, ale nie mogę zaakceptować twojej decyzji – odparła cicho Aurelia. –

Wkrótce umrę i muszę wyjechać. Nie istnieją już obawy, że zniszczę swoje szanse na znalezienie męża, a podróże i zdobywanie wiedzy nie są hańbiącymi rozrywkami. Pod koniec roku pani Bolton zamierza pojechać do Europy, lecz nie będę jej towarzyszyć, choć z całego serca pragnęłabym zobaczyć Włochy i Szwajcarię. Nie uważam, że spędzenie trzech miesięcy na południu Anglii to nierozsądny pomysł. Zdaję sobie sprawę, że wytrąci was to z równowagi i być może doprowadzi do konfliktu między nami. Chciałabym tego uniknąć, lecz moja decyzja jest nieodwołalna.

– Aurelio! – W głosie lady Vennaway zabrzmiał ból.

– Wyjdz. – Lord Vennaway nie spojrzał na mnie i nie wypowiedział mojego imienia, lecz wiedziałam, że mówi do mnie. Chętnie spełniłam polecenie. Nie mogłam słuchać toczącej się rozmowy.

Aurelii zabroniono uczestniczyć w kolacji z Drummondami. Udawała, że w ogóle jej to nie obchodzi, ale wiedziałam, że jest inaczej. Lord Drummond był przystojny i sympatyczny, a jego żona energiczna i elegancka. Przyjaźnili się z ludźmi z otoczenia młodej królowej Wiktorii i księcia Alberta. Kiedy Aurelia popędziła na górę do salonu, by ze mną porozmawiać, nie była jak zwykle wściekła; wydawała się wstrząśnięta i przerażona. Wypowiedziano słowa, których nie da się cofnąć.

Przynajmniej raz państwo Vennawayowie i ja byliśmy zgodni. Nie wiedzieliśmy, ile czasu pozostało Aurelii, i chcieliśmy ją mieć tylko dla siebie.

Pierwszy cały dzień w Londynie. Ubieram się wczesnym rankiem i jestem gotowa do wyjścia, gdy rozlega się pukanie do drzwi. Poruszam się niespokojnie. Nie jestem przyzwyczajona, że ludzie szanują moją prywatność.

Okazuje się, że to tylko pani Woodrow, która informuje, że na dole czeka śniadanie, gdybym miała na nie ochotę.

Podążam za nią do niewielkiej jadalni z gigantycznym stołem, przy którym mam siedzieć zupełnie sama. Śniadanie składa się z wędzonych śledzi, owsianki, zrazów oraz sałatki z ryżu i wędzonego wąłusza, a ja mam apetyt po raz pierwszy od tygodnia.

– Znalazła pani księgarza, którego pani wczoraj szukała, panno Snow? – pyta pani Woodrow, gdy jest pewna, że mam wszystko, czego mi potrzeba. Odpowiadam, że poniosłam fiasko, lecz wierzę, że dzisiejszy dzień przyniesie lepsze rezultaty.

– Czy to bardzo ważne, by go pani znalazła?

Odpowiadam, że ma to ogromne znaczenie, i cieszę się, że nie porusza więcej tego tematu. Zdaję sobie sprawę, że to brzmi bardzo dziwnie.

– Proszę iść na Regent Street – odzywa się. – Jestem pewna, że można tam znaleźć każdego znanego księgarza w Londynie.

Jaką różnicę może sprawić nastrój! Dziś rano Londyn wygląda zupełnie inaczej niż wczoraj: jest w dalszym ciągu szary, ogromny i lodowato zimny, ale mam teraz cel i plan. Wierzę, że dziś wieczorem wrócę na Jessop Walk z drugim listem w rękach – i dowiem się, co mnie czeka na drodze do skarbu Aurelii.

Jestem w optymistycznym nastroju i postanawiam iść piechotą zamiast wziąć kolejną dorożkę. Mimo trosk z przyjemnością oglądam St James's Park, pałac i słynną bibliotekę – widzę na własne oczy miejsca, o których czytałam i słyszałam! Mam wrażenie, że w każdej chwili z obłoku mgły może wyjść królowa Wiktoria. Dziś rano nawet mgła wydaje się inna, bo nie jest już niemila i złowieszcza, lecz budzi zaufanie i ma w sobie coś konspiracyjnego.

Pani Woodrow dokładnie wyjaśniła, jak mam iść: „Proszę nie skręcać na południe w stronę Devil's Acre, panno Snow, ani na wschód, w kierunku Strandu. Powinna pani unikać tych slumsów”.

W trakcie spaceru czuję się dość pewnie. Na jakiś czas zapominam o pilnym zadaniu, które mam

wykonać, i spełniam jeszcze jedną prośbę Aurelii: „Zobacz Anglię, która całkowicie różni się od Enderby!”.

Jestem oczarowana straganami z pieczonymi ziemniakami i gorącymi kasztanami. W powietrzu unoszą się kuszące zapachy, a ja mam pieniądze w kieszeni. Po raz pierwszy w życiu pozwalam sobie na smaczną, ciepłą przekąskę, a później na jeszcze jedną. Spacer sprawił, że zgłodniałam, i czuję zimno przenikające przez ubranie. Nigdy nie lubiłam zimna.

Zjadam ostatniego ziemniaka i chowam kasztany do kieszeni, a później oblizuję palce i zastanawiam się, jak ogromna swoboda panuje w Londynie w porównaniu z Hatville. Nie potrzebuję przyzwoitki i nie czuję się źle w tym miejscu w swoim brzydkim ubraniu. Nagle ścisza mnie w żołądku. Jeśli nie czuję się źle w tym miejscu, to znaczy, że zabłądziłam.

Rozglądam się i widzę dzieci skulone w bramach. Wyciągają ku mnie chude dłonie. Jest ich niewiele, lecz nikt ich nie przegania. Są u siebie. Małe dziewczynki sprzedają przebiśniegi z wiklinowych koszyków i słyszę krzyki straganiarzy zachwalających swoje towary i niskie ceny. Nie czuję się zagrożona, bo te sceny nie mają nic wspólnego z tym, przed czym przestrzegała mnie pani Woodrow. Wracam pospiesznie do sprzedawcy kasztanów.

– Znowu tu jesteś, kochanie? – Sprzedawca, przystojny młody człowiek, puszcza do mnie oko. Oblewam się rumieńcem. – Zdążyłaś już wszystko zjeść, taka chudzinka jak ty? Pracuję do siódmej, ale jeśli wtedy przyjdiesz, zabiorę cię na spacer.

Nie wiem, co odpowiedzieć. Niezliczone zasady dobrych manier, których z wielką powagą uczono Aurelię i, jak na ironię, nie ominęły również mnie, nie przygotowywały do sytuacji, gdy na rogu ulicy tak przyjacielsko odzywa się ktoś zupełnie nieznajomy. Chociaż z całych sił staram się odwrócić wzrok, patrzę w roziskrzane oczy sprzedawcy i zastanawiam się, czy to nie lepszy sposób. Czy ceremonialne, starannie przemyślane umizgi lorda Kenworthy’ego do Aurelii były czymś bardziej pożądanym?

Młody człowiek nie budzi we mnie lęku, słusznie czy niesłusznie, więc pytam, gdzie jestem i jak dotrzeć do Regent Street. Udziela tak dokładnych wskazówek, że ogarnia mnie podejrzenie, iż próbuje zatrzymać mnie przy straganie. Staram się słuchać uważnie, gdy nagle wydaje z siebie straszliwy ryk, którym jestem przerażona.

– Zjeżdżaj, wstrętny mały złodziejaszku! – wrzeszczy i wyskakuje zza straganu. Cofam się przestraszona i widzę niewielką uciekającą postać, która znika w tłumie.

– Cholerny mały kieszonkowiec, przepraszam za język, panienko. Niczego pani nie zwędził?

Sprawdzam kieszenie, wytrącona z równowagi. Znikło kilka monet i kasztany. Niczego nie poczułam. Reszta pieniędzy, które miałam przy sobie, znajduje się w innym miejscu, a list jest bezpieczny w kieszeni sukni, więc natychmiast rozumiem, że miałam szczęście. Co by się stało, gdyby list zniknął?! Robi mi się słabo ze zgrozy.

– Dziękuję panu – mówię z przejęciem. Sprzedawca wybucha śmiechem.

– Nie jestem żadnym panem, panienko! Jeśli znudzi się pani elegantami z Regent Street, proszę wrócić

tu później i znowu ze mną porozmawiać. Nazywam się Tommy.

– Dziękuję, Tommy. – Kupuję drugą torebkę kasztanów (rozstaję się z pieniędzmi znacznie szybciej, niż przewidywałam) i ruszam w dalszą drogę.

Po chwili rozpoznaję dwa punkty orientacyjne – kościół anglikański i niewielki prywatny ogród – i rozumiem, gdzie źle skręciłam. Tak łatwo zabłądzić w Londynie! Grzeczna Amy Snow, jak zawsze posłusznie wykonująca rozkazy, nagle zmieniła się w urwisa chodzącego samotnie po mieście i zapraszanego na spacer przez sprzedawcę pieczonych kasztanów! Kim jestem? Trudno się zorientować w krainie niekończących się ulic i mgły. Drżą mi nogi.

Pamiętam, że byłam upartym dzieckiem – melancholijnym i cichym, owszem, ale obdarzonym silną wolą i temperamentem. Kobieta, którą teraz jestem, nie jest już tamtą upartą dziewczynką. Wydaje się, że gdzieś po drodze uwierzyłam we wszystko, co mówiła o mnie lady Vennaway. Skoro gardzili mną arystokraci, uznałam, że jestem godna pogardy. Nagle ze straszliwą jasnością pojmuję, że uwierzyłam, iż nikt nigdy nie zechce się ze mną ożenić. Małżeństwo Aurelii, uroda Aurelii, adoratorzy Aurelii – wszystko to budziło wielkie zainteresowanie i w konsekwencji uznałam, że jestem skazana na samotność. Teraz rozumiem, że w głębi serca uważałam inaczej, i do moich oczu napływają gorące łzy – po raz pierwszy od dawna nie płacząc z powodu Aurelii.

W mojej głowie znów pojawia się obraz: domek i ogród, kucyk, uśmiechnięty mąż. Widzę tę scenę w wyobraźni po raz drugi w ciągu ostatnich dwóch dni. Wcześniej długo starałam się o niej zapomnieć. Wielkie plany Aurelii nie były jedyną przyczyną rezygnacji z moich marzeń. Uświadamiam sobie, że porzuciłam je, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Dochodzę do wniosku, że po prostu flirtowałam z Tommym, i uśmiecham się blado. Zaproszenie na spacer po Haymarket to nie propozycja małżeństwa. Może wszystkie dziewczęta mają takie doświadczenia? Ta myśl dodaje mi sił i ponownie ruszam w drogę. Pałaszuję kasztany przed dotarciem do Picadilly, parząc sobie usta, i dostaję nauczkę. Londyn przypomina wielką rzekę, trzeba go brać poważnie.

Nigdy nie wyobrażałam sobie czegoś takiego jak Regent Street. W lśniących witrynach sklepów widzę biżuterię, ptaki, pióra, posążki i inne rzeczy, których nie znam i nie potrafię nazwać. Picadilly wygląda jak miejsce z jednej z opowieści Aurelii: wielkie szklane łuki, fontanny, posągi i galerie, gdzie przechadzają się wystrojone damy i pięknie ubrani dżentelmeni.

Natychmiast zaczynam poszukiwania, wypytyuję sprzedawców sklepów, które mogą mieć jakikolwiek związek z książkami. Jestem dość skromnie ubrana, więc czasem traktują mnie lekko protekcyjnie, a kiedy indziej w ogóle nie chcą ze mną rozmawiać. Cieszę się z ich pogardy, traktując to jako dowód, że znalazłam się we właściwym miejscu, a zatem jestem względnie bezpieczna. Poza tym przyzwyczaiałam się do pogardy.

Chodzę od sklepu do sklepu, lecz moje poszukiwania kończą się fiaskiem. Nikt nie słyszał o księgarzu

noszącym nazwisko Entwistle. Po obejściu Regent Street i Oxford Street myślę, jak ogromny jest Londyn – koszmara polega na tym, że antykwariat Entwistle’a może być wszędzie. Szukam igły w stogu siana, ziarenka grochu pod tysiącem materacy. Coraz bardziej przypomina to jedną ze skomplikowanych zagadek Aurelii w Hatville.

*Pamiętasz, moja droga, że gdy byłyśmy małe, lubiłam wymyślać dla Ciebie zagadki polegające na poszukiwaniu ukrytych skarbów...*

Jak mogłabym zapomnieć? To jedno z moich najszcześniejszych wspomnień. Kiedy dziecko uważa, że wszędzie kryją się sekrety, jest w tym niezwykła magia! (Zmęczony dorosły o niepewnej przyszłości uważa to za mniej ciekawe).

Wskazówkami mogły być zagadki lub wiersze, a nawet rysunki właściwych miejsc. Taka przygoda mogła nam zająć cały dzień – marszczyłam czoło, sapałam, odrzucałam do tyłu ciężką czarną grzywkę i starałam się rozwiązać zagadkę. Aurelia powstrzymywała śmiech, gdy dochodziłam do błędnych wniosków i znajdowałam się w ślepej uliczce. Czasami przygotowywała zbyt mądre szarady i kapitulowałam, ale zawsze wyjaśniała, o co chodziło. Nie może mi teraz pomóc i modłę się, by nie przeceniła moich zdolności.

O trzeciej po południu tłum jest dwa razy większy. Przechodnie zerkają na mnie z ukosa, mijają i potrącają. Idę coraz dalej, tym razem bacznie obserwując otoczenie. Odpowiedzi na moje pytania są zawsze takie same.

Zamierzam zakończyć dzisiejsze poszukiwania, lecz przedtem w desperacji zwracam się do szewca.

– Nie mam zielonego pojęcia, panienko – mówi – ale niech pani spyta starego Manninga. Zna go pani? Proszę iść Parsley Street i skręcić w drugą przecznicę w lewo, koło gospody z szyldem z wesołą świnią. Sprzedaje artykuły piśmienne i wie absolutnie wszystko. Naprawdę! – Szewc unosi but trzymany w ręku i macha nim.

To ostatnia osoba, którą dziś spytam, obiecuję sobie w duchu. Jestem zmęczona i bardzo bolą mnie nogi. Niebawem zapadnie zmierzch.

– Entwistle? Nigdy o nim nie słyszałem – odpowiada pan Manning, drapiąc się po głowie porośniętej kępkami włosów. – Entwistle, mówi pani? Nie, nie mam pojęcia.

– W każdym razie dziękuję. – Nie jestem w stanie się uśmiechnąć.

– Proszę zaczekać. Mam tu gdzieś księgę adresową. Są tam wszyscy księgarze w Londynie. Sprawdzę, jeśli może pani chwilę zaczekać.

Ulica jest pogrążona w mroku, a tu, w środku, istnieje tylko jedna możliwa odpowiedź. Księga adresowa! Oszczędzi mi to tygodni poszukiwań! Zaraz zdobędę adres, a przynajmniej jeden z długich, barwnych opisów, które, jak się dziś dowiedziałam, uchodzą w Londynie za adresy. Mogę odnaleźć list

nawet dzisiaj!

– Nie, przykro mi, panienko, nie ma takiego nazwiska. – Pan Manning zamyka księgę.

– Słucham? – Zdumienie odbiera mi mowę. Spodziewałam się różnych rzeczy, ale nie tego.

– Nie ma nazwiska Entwistle. Zresztą wcale mnie to nie dziwi, bo znam większość księgarzy w Londynie.

– Musiał się pan pomylić. Proszę spojrzeć jeszcze raz.

Na twarzy pana Manninga pojawia się irytacja, lecz spełnia moją prośbę i pokazuje mi odpowiednią stronę, a nawet pracowicie odczytuje ją na głos, jakby podejrzewał mnie o analfabetyzm.

Rzeczywiście po nazwisku „Durrant” pojawia się „Everley”. Nie ma między nimi nikogo. Przeglądam księgę, szukając przypisu lub suplementu. Nic. Biorę ją do ręki i odczytuję kolejne wpisy, na wypadek gdyby nazwisko umieszczono w złym miejscu. Pan Manning obserwuje mnie z ciekawością. Nie znajduję nazwiska Entwistle.

– Czy poszukuje pani czegoś szczególnego? Jakiejś specjalnej książki? Mógłbym ją dla pani zamówić.

– Nie, nie może mi pan pomóc. Dziękuję, że pan sprawdził.

Nastrój może tyle zmienić... Wracam do pensjonatu z ciężkim sercem, mając kompletny zamęt w głowie. Prawie nie zauważam wstrząsów dorożki, brudnych ulic. Czuję tylko trwogę. Bo jeśli nie ma Entwistle’a, nie dostanę listu. A jeśli nie znajdę listu, trop się urwie.



Dyskusje ciągnęły się tygodniami. Dumna pani Bolton przychodziła do domu w krzykliwym, barwnym stroju, z prośbami, referencjami, zaświadczeniami. Trwała korespondencja między Hatville a pozostałymi zainteresowanymi stronami, czyli krewnymi pani Bolton, których zamierzano odwiedzić. Poproszono o konsultację doktora Jacobsa. Udzielił pomysłowi swojego błogosławieństwa. Wezwano lekarza z Londynu. Wyraził sprzeciw. Aurelia niemająca do niego zaufania tylko się zastanawiała, ile to kosztowało jej ojca.

Losy ostatniego, najbardziej szalonego pomysłu Aurelii wisały na włosku, a ona sama krążyła po dworze, blada i napięta. Dni stały się męczącym ciągiem dramatów: prywatnych rozmów Aurelii z rodzicami w zamkniętym salonie, trzaskania drzwiami, tupotu stóp, ataków gniewnego płaczu. Byłam bezradna i przyglądałam się wszystkiemu ze zdumieniem. Kiedy pytałam Aurelię, o czym mówiono, spoglądała na mnie z desperacją, zaciskała wargi i kręciła głową. Była to ta sama Aurelia, która opowiadała mi najświeższe plotki o lordzie Kenworthym i lordzie Dunthornie, nie ukrywała informacji o żadnym skandalu. Nigdy wcześniej nie oszczędzała mojej dziewczęcej wrażliwości. W ciągu osiemnastu miesięcy od diagnozy doktora Jacobsa przyzwyczaiłam się, że jesteśmy bliskimi przyjaciółkami, i teraz czułam się straszliwie odtrącona.

Złościłam się wówczas na Aurelię, o tak. Oczywiście rozumiałam, że chce koniecznie postawić na swoim, ale przecież chodziło tylko o wakacje! W sekretnych, mrocznych chwilach, do których nigdy bym się przed nikim nie przyznała, powtarzałam sobie, że Aurelia zachowuje się histerycznie. Ale pewnego dnia wślizgnęłam się do biblioteki i zastałam ją siedzącą przy oknie w fotelu uszaku. Nie słyszała mnie – opanowałam do perfekcji sztukę cichego poruszania się, by nie zwracać na siebie uwagi. Upuściła książkę na ziemię i zatopiła twarz w dłoniach. Zrozumiałam, że jej rozpacz jest prawdziwa, i nie wiedziałam, co powiedzieć, więc zostawiłam ją samą.

Niczego nie pojmowałam. Miałam zaledwie trzynaście lat. Towarzystwo Aurelii było największą radością mojego życia i traktowałam każdą pozostałą nam chwilę jak najcenniejszy skarb. Dlaczego nie czuła tego samego?

Byłam z siebie niezadowolona, że zostawiłam ją wtedy w bibliotece. Po raz pierwszy czułam się bezużyteczna. Nie wiedziałam już, jak z nią rozmawiać. Tęskniłam za nią, choć widywałam ją codziennie w Hatville. Na początku płakałam wieczorami w swoim pokoju, aż w końcu zapadałam w sen, lecz

wydawało się to przesadą, tragizowaniem – jakby Aurelia już odeszła, jakby umarła. Nie ośmielałam się myśleć o tej chwili.

Nie mogłam towarzyszyć jej w podróży. Byłam zbyt młoda, by podjąć trud wyprawy. Okazałaby się dla mnie zbyt męcząca. Aurelia oznajmiła, że jeśli pojedzie sama, wróci w świetnym nastroju i wszystko mi opowie – będzie mnie rozweselać godzinami.

Nie chciałam spędzać samotnie trzech miesięcy w Hatville, nawet mając w perspektywie dobrą zabawę.

Mimo to wyjechała. Wiedziałam, że to zrobi. Kiedy coś sobie postanowiła, nigdy nie rezygnowała.

Wieczorem w przeddzień wyjazdu rozmawiałyśmy przy kominku. Siedziałam w dużym fotelu z kolanami pod brodą, obejmując nogi rękami. Nie mogłam uwierzyć, że nazajutrz rano wyjedzie na całe trzy miesiące. Wydawało mi się, że to wieczność.

– Będę za tobą bardzo tęsknić... – szepnęła. Poczułam nieskończoną ulgę. – Wiesz o tym, prawda, ptaszku?

Ach, chciałam jej powiedzieć tyle rzeczy! Czy naprawdę będzie za mną tęsknić? Czy dalej będzie mnie kochać najmocniej na świecie? Pragnęłam, by mnie o tym zapewniła, lecz w ostatnich tygodniach straciłam zdolność łatwego wyrażania myśli. Z początku nie odpowiedziałam, ale kiedy wreszcie przemówiłam, czułam się niepewnie.

– Przecież nie musisz wyjeżdżać – rzekłam, zdając sobie sprawę, że jest już za późno. Nazajutrz wczesnym rankiem do Hatville miała przyjechać pani Bolton. Kufry Aurelii były spakowane, a moje rzeczy nie. – I nie musisz mnie zostawiać. A jeśli...

– A jeśli co? – powtórzyła cicho, domyślając się, co mam zamiar powiedzieć.

– A jeśli umrzesz?! Wyjedziesz i nigdy więcej cię nie zobaczę?! Czy ta podróż jest dla ciebie naprawdę taka ważna?! Tak ważna, że możemy się nigdy więcej nie zobaczyć?! – Podniosłam głos bliska płaczu i mocniej objęłam kolana.

– Och, nie myśl o tym, ptaszku! Nie warto, naprawdę. Nie ma takiego ryzyka. Nie twierdzę, że wiem, kiedy umrę, ale obiecuję, że jeszcze nieprędko. Czułabym, że zbliża się śmierć, i zrezygnowałabym z tej podróży. Muszę wyjechać.

– Ale... ale dlaczego?

Westchnęła i obie spojrzałyśmy w ogień. Myślałam, że nie odpowie. W końcu popatrzyła na mnie z bardzo smutnym wyrazem twarzy. Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałam. Byłam przyzwyczajona do współczucia, uporów, waleczności, lecz nie do żalu i poczucia klęski.

– Amy, nigdy nie miałam władzy nad swoim życiem. Mieszkam w tym zakątku świata, udając, że tak jest, ale to nieprawda. Mam przywileje, wiele przywilejów, lecz nie władzę, nie. Nie mogę o sobie decydować.

Oparłam podbródek na kolanach, patrzyłam na Aurelię i słuchałam. Znów się zawahała. W jej

ciemnobłękitnych oczach pojawiła się zaduma. Wyglądała, jakby porządkowała myśli, które chce wypowiedzieć, i wybierała to, co chce lub może ujawnić.

Ale kiedy się odezwała cichym, rozważnym tonem, powtórzyła to, co słyszałam już wiele razy:

– Jesteśmy otoczeni murami, które krępują nasze ruchy. W każdej chwili okoliczności dyktują dalszy bieg wydarzeń. Przyczyny wywołują skutki. Odwiedza nas sąsiad, a my grzecznie go witamy lub grzecznie udajemy, że nie ma nas w domu. Ktoś postanawia zaprosić gości na kolację, a ktoś inny ją gotuje. Kogoś nie stać na jedzenie, więc umiera. Nikt tego wszystkiego nie kwestionuje, przynajmniej nie w mojej rodzinie. Zawsze zdawałam sobie z tego sprawę, Amy, zawsze, lecz mimo to potrafiłam prowadzić normalne życie. Ale ostatnio, może od czasu, gdy dowiedziałyśmy się o moim chorym sercu, nie mogę przestać o tym myśleć, stale o tym pamiętam. Powoli staje się to nie do zniesienia. Głupota tego wszystkiego, Amy: konwenanse, rzeczy, które musimy robić i których nie wolno robić. Korzystne małżeństwo budzi szacunek i aprobatę, lecz tak naprawdę wszystko polega przecież na tym, że kobieta jest sprzedawana jak klacz! Ludzie krytykują dobre, wartościowe rzeczy... to takie bezsensowne. Żyję w tym świecie i co wynika z tego, że wszystko rozumiem? Mogę wygrywać niewielkie potyczki. Mogę zanosić jedzenie parobkom, wspierać kwesty pastora, mogę być miłą dla kogoś, kto ma kłopoty, choć to oburza moją matkę. Ale to nie zmieni niczyjego życia, nie na zawsze.

Skinęłam głową, lecz nie czułam się na tyle pewnie, by odpowiedzieć. Nie rozumiałam, dlaczego Aurelia mówi do mnie, jakbym była kimś obcym, kto nie zna każdej jej myśli. Nie ciekawiły mnie jej uwagi na temat reguł rządzących społeczeństwem. Chciałam, by Aurelia powiedziała, że mnie kocha i nie może się ze mną rozstać.

– W tej chwili to ty jesteś moim największym zwycięstwem! Zapewniłam ci bezpieczeństwo i edukację, a także dałam szansę na przyzwoite życie po mojej śmierci. Stałaś się moją najlepszą przyjaciółką. Nie ma większego szczęścia. Ale nawet to jest zatrutym owocem, Amy, bo ile cię to kosztowało? Ostatnio kwestionuję całe swoje życie. Jestem wdzięczna za każdy dzień, który z tobą spędzam. Lecz wcale nie jestem pewna, że wyświadczyłam ci przysługę. Sprawiałam, że... że nie pasujesz do świata! Powinnam zwrócić ci wolność, ale gdybym wróciła i zobaczyła, że odeszłaś z Hatville, złamałoby mi to serce.

Byłam przerażona. Nigdy się nad tym wszystkim nie zastanawiałam. Teraz martwiłam się nie tylko tym, że Aurelia mogłaby o mnie zapomnieć. Pojawiła się również myśl, że mogłaby mnie porzucić, bo uwierzyłaby w jakąś wydumaną ideę, że przyniesie mi to korzyść.

– Aurelio, jak możesz tak mówić? Zrobiłaś dla mnie wszystko. Nigdy cię nie opuszczę. Nigdy!

Drapała się w głowę, mierzwiąc włosy. Jej policzki płonęły, a w oczach lśniły łzy.

– Przez całe życie rozpaczliwie walczyłam, żeby nie nosić kapelusza. Uparłam się, że będę nosić pióra, i postawiłam na swoim. Wszyscy wiedzą, jaki jest mój stosunek do wstążek. Problemy rozpieszczonego dziecka.

– Aurelio! Nie! Walczyłaś o coś znacznie ważniejszego. Wiesz, że to prawda!

– Tylko po co?! Z kim?! Ze swoimi rodzicami?! Nienawidziłam ich za to, jak cię traktują, Amy, nienawidziłam! Nie powinno się nienawidzić własnych rodziców. A teraz... – Westchnęła głęboko. – Czasami ludzie, których kochamy, są źli!

Doskonale wiedziałam, że rodzice Aurelii nie odznaczają się dobrocią, lecz nie rozumiałam głębi jej cierpienia. Dlaczego jest takie straszne, dlaczego pojawia się właśnie teraz? Tak czy inaczej, wstałam z miejsca i objęłam ją, gdy się rozplakała.

W końcu znów się uspokoiła i oparła głowę na moim ramieniu.

– Chcę dokonać przed śmiercią czegoś naprawdę niezwykłego. Podróż nie jest może najszlachetniejszą misją, może znów postępuję egoistycznie. Ale w tej chwili nie mam wyboru. Pewnego dnia umrę, Amy, znacznie szybciej, niżbym sobie tego życzyła. Miałam tyle marzeń... Nie będzie to nawet mała część moich planów, ale lepsze coś niż nic. Trzy miesiące to nie wieczność. Czas biegnie szybko i obiecuję pisać do ciebie codziennie. Później wrócę, by przeżyć z tobą resztę swoich dni, choć nie wiem, ile mi ich zostało. Ale najpierw wybiorę się w podróż, dopóki mam jeszcze dość sił. Jestem dorosłą kobietą i posiadam olbrzymią fortunę. Nie zniosę kolejnych zakazów.

Przełknęłam ślinę i uściśnięłam dłoń Aurelii. Nie zadałam pytań, które rozpaczliwie chciałam zadać. Jaki jest pożytek z towarzyski w Hatville Court, skoro nie ma komu towarzyszyć? Co miałabym robić w czasie jej nieobecności? Kim się stanę?

W końcu spędzałam czas zupełnie sama. Vennawayowie, ku mojej uldze i zaskoczeniu, nie traktowali mnie okrutnie. Jak dowiedziałam się później, Aurelia zagroziła, że nigdy nie wróci, jeśli nie będę na nią czekać cała i zdrowa. Jej rodzice ignorowali mnie.

Wyjazd Aurelii sprawił, że jej ojciec ocknął się z odrętwienia, w które zapadł po odkryciu choroby córki, i znów zaczął zarządzać swoim majątkiem. Zwolniono pana Henleya, guwernera Aurelii. Znalazł pracę w szkole w Edynburgu.

Reszta domowników była jak zwykle całkowicie zaabsorbowana codziennymi zajęciami. Nikt nie sprawdzał, czy się ubieram, uczę, jem... Przez kilka tygodni nie byłam pewna, czy w ogóle istnieję. Przez całe dni do nikogo się nie odzywałam. Czułam się taka nieszczęśliwa, bezużyteczna i samotna, że chciało mi się wyć. W rzeczywistości prawie bez przerwy milczałam.

Dwór pozbawiony żywotności Aurelii przypominał mauzoleum. Nie potrafiłam zapanować nad lękiem przed jej śmiercią. Zdałam sobie sprawę, że to dopiero przedsmak chwili, gdy odejdzie na zawsze. Jak bez niej przetrwam? Co się ze mną stanie, gdy wypędzą mnie z Hatville?

Przez krótki czas nieustannie się modliłam o jej zdrowie. Wiedziałam, że niczego to nie zmieni, ale prosiłam Boga, bym nie musiała się z tym zmagać już teraz.

Rozpaczliwie szukałam towarzystwa. Kiedy do Hatville przyjeżdżał doktor Jacobs, by zbadać lady Vennaway, stałam na schodach niczym milcząca zjawka, w nadziei że go spotkam, choć bałam się zadać jakieś pytanie. Mimo mojej nieśmiałości chyba mnie rozumiał.

– Nie martw się, dziecko – mówił. – Aurelia jeszcze trochę pożyje. Może dwa lata, może dłużej. – Pewnego dnia usiadł obok mnie na najwyższym stopniu schodów i opowiadał mi o komorach i zastawkach serca.

Żyłam w ten sposób przez miesiąc, może dłużej. A później, chociaż wierzyłam, że moje życie nie ma sensu bez Aurelii, szalone lęki ucichły. Co wieczór wydawało się, że mrok będzie trwał wiecznie, on jednak co rano znikał. Żyłam nie tylko ja, lecz również Aurelia. Odzyskałam wiarę, gdy zdałam sobie sprawę, że minął miesiąc i że Aurelia wróci za kolejne dwa miesiące. Powiedziałam sobie, że jestem młodą kobietą – czas powinien płynąć szybciej, należy robić coś użytecznego, a nie stale litować się nad sobą. Dlatego starałam się zapomnieć o lękach i zabrać się do pracy. Często chodziłam do wioski do parobków, którym pomagała Aurelia. Jeśli Cook się na to zgadzała, zanosila im jedzenie. Kilka razy odwiedziłam pastora Chorleya na plebanii i pana Claya w szkole, choć nie potrafiłam prowadzić uprzejmej konwersacji jak Aurelia.

W Hatville pomagałam Cook, aczkolwiek po mojej długiej nieobecności w kuchni prawie nie byłam tam potrzebna. Dlatego chodziłam do ogrodu i prosiłam Robina, by pozwalał mi sadzić rośliny.

Mimo że nieczęsto się odzywał, jego obecność bardzo mnie uspokajała. Mały chłopiec, który woził mnie w taczce, wyrósł na wysokiego, brodatego, dwudziestojednoletniego mężczyznę, lecz nasza przyjaźń się nie zmieniła. Rozumieliśmy się bez słów, jakby nasze dusze mieszkały w tej samej krainie.

Pewnego wieczoru, gdy otrzepałam z rąk ziemię i wstałam, wyczuł, że nie mam ochoty wracać do dworu.

– Bez Aurelii wszystko jest inne – rzekł niespodziewanie. – Nie ma nikogo takiego jak ona. – Poczulałam przyływ wdzięczności, że rozumie.

Pozostałe godziny spędzałam na lekturze, nauce i grze na pianinie. Pisałam do Aurelii i przekazywałam nowiny z domu, wierząc, że ciągle będą ją interesować. Codziennie otrzymywałam od niej listy. Na początku cieszyłam się z nich, bo dowodziły, że Aurelia żyje, lecz potem zainteresowała mnie też ich treść. Styl odzwierciedlał jej charakter: był ciepły, niekonwencjonalny i dowcipny. W tej chwili przebywała w Twickenham i mieszkała u kuzynki pani Bolton, niejkiej Constance Wister. Wydawała się zachwycona ładnie umeblowanym domem i mnóstwem dzieci.

*Moja droga, powinnaś zobaczyć Mulberry Lodge! Na całym świecie nie dałoby się znaleźć miejsca tak różniącego się od Hatville Court. Constance uwielbia nowoczesność. Wypełniła swój dom rzeźbami, kazała położyć tapety (czasem w zupełnie zdumiewających kolorach!), wstawiła ozdobne meble, niekiedy nabijane ćwiekami lub pomalowane w paski! To prześliczna, serdeczna kobieta, Amy, którą z pewnością byś polubiła. Bardzo pragnę, żebyś ją poznała. Może kiedyś to nastąpi. Ma sympatycznego męża, dwie papugi, pięknego psa i około trzystu dzieci...*

Tak mijały dni. Życie składało się ciągle z tych samych elementów, tylko w innych konfiguracjach, choć brakowało elementu głównego.

Mój drugi dzień w Londynie. Strasznie się przeziębiam. Boli mnie gardło, pieką oczy i szumi w uszach, jakbym miała w głowie gniazdo pszczół. Leżę zwinięta w łóżku, całkowicie ubrana, usiłując powstrzymać dreszcze.

Żyję bez Aurelii przez niespełna tydzień. Niepojętemu żalowi towarzyszą frustracja i przygnębienie. Cóż za wesołe małe trio! Nie ma Entwhistle'a! Nieustannie pamiętam o tym niemiłym fakcie, choć chętnie bym o nim zapomniała.

Usiłuję sobie wmawiać, że nie wszystko stracone, ale tak naprawdę chciałabym się gdzieś zaszyć, leczyć swoje zbolełe serce, aż nabiorę sił. Teraz, gdy wiem, że nie znajdę Entwhistle'a, z przykrością myślę o kolejnym dniu wędrówek po brudnych zaułkach Londynu. Zawiodłam Aurelię. Nie potrafiłam pokonać pierwszej przeszkody.

Gdyby nie poszukiwanie skarbu, mogłabym spędzać całe dnie, czytając ogłoszenia w prasie i pisząc podania o przyjęcie do pracy. Próbuję się przekonać, że powinnam zaprzestać poszukiwań i zdobyć posadę guwernantki lub damy do towarzystwa. Oczywiście, że tego nie zrobię.

Prawie gardzę samą sobą za to swoje uparte poświęcanie się. Czy Aurelia nie zastanawiała się nad sytuacją, w jakiej mnie postawiła? Czy rzeczywiście wierzyła, że podróże, tajemnice i trudne zagadki służą moim interesom? Znowu znajduję się na rozdrożu wskutek jej kaprysów.

Przywołuję w pamięci gwałtowną, bolesną rozmowę wieczorem w przeddzień jej wyjazdu. Byłam wstrząśnięta, gdy powiedziała, że zrobiła ze mnie osobę, która nie pasuje do świata. Uważam, że miała rację. Nawet w tej chwili wyobrażam sobie jej śliczną twarz pokrytą łzami i słyszę słowa: „Stałaś się moją najlepszą przyjaciółką. Nie ma większego szczęścia. Ale nawet to jest zatrutym owocem, Amy... Powinnam zwrócić ci wolność...”.

– Ale ja ciągle nie jestem wolna, Aurelio... – mówię znękany głosem i z trudem przelękam ślinę. Ogarnia mnie poczucie winy, gdy przypominam sobie, jaka byłam zadowolona, kiedy odbierałam pierwszy list w ogrodzie przy kuchni w Hatville. Miałam wrażenie, że ocalił mi życie. Jak szybko wdzięczność zmieniła się w wątpliwość. Oczywiście nie wiedziałam wtedy, jakie plany ma wobec mnie Aurelia.

Przypominam sobie upartą dziewczynę, którą niegdyś byłam. We wczesnym dzieciństwie z ogromną radością spełniałam wszystkie życzenia Aurelii. Ale gdy dorosłam, życie okazało się zbyt



skomplikowane, by odczuwać radość. Czy w którymś momencie doszłam do wniosku, że łatwiej będzie dać szczęście Aurelii, niż zdobyć je dla siebie? Skoro tak, czy rzeczywiście mogę obwinać Aurelię, że zrobiła coś podobnego? A teraz prowadzę beznadziejne poszukiwania.

Z całego serca przeklinam Entwhistle'a. Czy on także nie żyje? Zbankrutował? Dlaczego Aurelia oparła moje poszukiwania na takich niepewnych podstawach? Z pewnością musiała wiedzieć, że życie roi się od niebezpieczeństw, że nawet najmłodszy i najbardziej inteligentni ludzie mogą nagle umrzeć. Kim, na litość boską, jest ten cały Entwhistle?!

Zamykam oczy i powtarzam sobie, że zrobiłam wszystko, co możliwe. Przyjechałam do Londynu. Wczoraj przez cały dzień chodziłam i szukałam, bezskutecznie. Nie ma żadnego Entwhistle'a. Co jeszcze mogę zrobić?

Powtarzam sobie, że jestem zmęczona, że jutro wszystko wyda się lepsze, ale sama w to nie wierzę. Przychodzi mi do głowy, że jestem... nie, nie chcę tego mówić. Jednak ta myśl mnie prześladowuje i wypowiadam w duchu wstrząsające słowa, które nie chcą mi przejść przez gardło: Jestem wściekła na Aurelię.

Zwijam się w kłębek, leżę na boku, odwracając się plecami do poszukiwań i wielkiego sekretu Aurelii. Nic mnie już nie obchodzi.

Otwieram oczy i tak szybko siadam, że kręci mi się w głowie. Oczywiście, że obchodzi. Nie odzyskam spokoju, dopóki się nie dowiem, co chciała mi przekazać Aurelia. Przeklinam ją, po czym czuję się okropnie i przepraszam. Milczenie Aurelii doprowadza mnie do szału.

Nieszczęśliwa wstaję z łóżka i idę korytarzem, ślaniając się na nogach. Proszę panią Woodrow o coś mocniejszego jako lekarstwo na przeziębienie. Patrzy na mnie ze współczuciem i przynosi kieliszek do mojego pokoju. Mówi, że większość ludzi woli brandy, ale ona uważa, że rum ma bardziej lecznicze właściwości.

Siedzę w łóżku, popijam trunek i po raz setny czytuję ostatni list Aurelii:

*Przypomnij sobie książkę, o której długo dyskutowaliśmy w letni wieczór po kolacji z panem Howdenem. Zastanów się nad zmiennymi...*

Uśmiecham się ironicznie na wspomnienie pana Howdena. Nieciekawy, protekcyjny nudziarz. Bywał gościem lorda i lady Vennawayów, jednym z licznych kandydatów na męża Aurelii pojawiających się w Hatville w ciągu wielu lat. Widziałam go tylko raz – w tamtych czasach nie pozwalano mi jeszcze jadać kolacji z Aurelią.

Wielkie nieba, myślę, jeśli Aurelia odwołuje się do takich odległych wspomnień, trudno będzie odnaleźć właściwy trop.

Pan Howden był dżentelmenem, co oznaczało oczywiście, że nie miał żadnego użytecznego zawodu, lecz podawał się za uczonego. Aurelia powiedziała, że bardzo chciałaby się zająć badaniami naukowymi

– skuteczna, często wykorzystywana metoda zniechęcania mężczyzn, którzy wydawali jej się mało atrakcyjni. Pan Howden najwyraźniej uznał to za oznakę aprobaty. Ha!

Wygłosił przy stole zaimprovizowany wykład, a lord i lady Vennawayowie spoglądali na niego, wstrzymując oddech w nadziei, że oto wreszcie pojawił się mężczyzna, który spodoba się ich ekscentrycznej córce. Ha!

Po zakończeniu kolacji Aurelia przysłała prosto do kuchni i dokładnie zrelacjonowała rozmowę. Cały czas używała ulubionego zwrotu pana Howdena: „Zastanówmy się nad zmiennymi”. Kiedy skończyła, skręcałam się ze śmiechu, a Cook wyrzuciła nas do holu, w chwili gdy pan Howden opuszczał dwór. Jesketh, który go odprowadzał, na mój widok dziwnie zmarszczył brwi. Pan Howden zdawał się mnie zupełnie nie zauważać. Ujął dłonie Aurelii i nisko się skłonił.

Z rozbawieniem patrzyłam na cienki, czerwony nos, przyлизane kasztanowe włosy i nerwowe podrygi, które Aurelia przed momentem opisała. Myśl o tym, że prześliczna Aurelia, dziewczyna o falujących włosach i twarzy anioła, mogłaby mieć takiego męża, wydawała się groteskowa. Jednak pan Howden najwyraźniej sądził, że Aurelia darzy go sympatią.

– Pamiętaj, moja droga, zastanów się nad zmiennymi – szepnął teatralnie, odprowadzany do drzwi przez Jesketha, a później mrugnął znacząco do Aurelii!

Nie mogliśmy wytrzymać. Wybuchnęliśmy śmiechem, po czym, przyznając ze wstydem, popędziłyśmy schodami na górę, choć biedny Jesketh starał się nas wepchnąć z powrotem do kuchni. Pobiegłyśmy do pokoju Aurelii (w owym czasie przyzwyczaiałam się już, że przyłapywali mnie tam jej rodzice, a ja uciekałam jak spłoszony kot), przeczytałyśmy ostatni, wytęskniony rozdział *Magazynu osobliwości* i zanosłyśmy się płaczem.

O ile sobie przypominam, istota wywodów pana Howdena sprowadzała się do tego, że w nauce wszystko ma charakter logiczny i uporządkowany. Zawsze można odkryć przyczyny zdarzeń i przewidzieć ich skutki. Jedynym uzasadnieniem faktu, że dla nieoświeconego umysłu porządek może się wydawać chaosem, jest masa zmiennych występujących w każdym eksperymencie. Howden wyjaśniał kilkakrotnie tę prostą tezę, posługując się nieskomplikowanymi zdaniami, by mógł go zrozumieć prymitywny kobiecy umysł Aurelii.

Zastanawiałam się nad zmiennymi, posługując się własnym prymitywnym, zmaconym umysłem. Przyjęłam, że skoro Aurelia kazała mi odnaleźć księgarnię Entwhistle’a, zrobię to bez trudu. Może było to błędne założenie? Może w przypadku Aurelii wszystkie założenia są błędne?

Może nazwa księgarni brzmi inaczej? Jak? Czy powinnam przestudiować całą książkę adresową pana Manninga, odwiedzić wszystkie księgarnie w Londynie i przeszukać je, aby znaleźć ukryty list? A może firma pana Entwhistle’a to wcale nie jest księgarnia?! Wyobraziłam sobie, jak mogłyby teraz wyglądać moje rozmowy:

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się firma pana Entwhistle’a?
- Czym się zajmuje ta firma?

– Nie wiem.

– To sklep, kancelaria adwokacka, może bank?

– Nie wiem.

– Czy pan Entwhistle to właściciel gospody, krawiec, sprzedawca gorących kasztanów?

– Nie mam zielonego pojęcia.

Niemożliwe! Całkowicie niemożliwe.

A inne zmienne... miasto? Czy księgarnia Entwhistle'a może się znajdować w innym mieście? Nie czułam entuzjazmu na myśl, że będę musiała rozszerzyć poszukiwania na całe Wyspy Brytyjskie. A jeśli wskazówka to szyfr? Może słowa Aurelii zawierają jakąś tajną wiadomość? Wiele lat temu, gdy przesyłała mi zaszyfrowane wiadomości, zawsze rysowała małą łopatkę w rogu stronicy, by dać do zrozumienia, że trzeba głęboko kopać. W tym liście nie ma łopatki.

Nie jest zaszyfrowany, jest po prostu irytujący. Utknę na Jessop Walk, aż wydam całą swoją niewielką fortunę i zwariuję.

Mnę list w kulkę i ciskam z rozmachem w przeciwległą ścianę. Odbija się od niej i leży pod obrazem przedstawiającym pasterską idyllę. Moja biedna pulsująca głowa ma już dość gniewu, wyrzutów sumienia i kolejnych przyływów poświęcenia – powtarzają się w kółko i jestem zmęczona. Wolałabym pozostać wściekła i w ten sposób rozwiązać problem. Gdyby miłość była taka prosta...

Wychodzę z łóżka, by poprosić o drugi kieliszek rumu.

Aurelia dotrzymała obietnicy i regularnie do mnie pisała. Natychmiast pochłaniałam jej listy, później zaś często czytałam je ponownie. Zawierały pamiątki i rysunki – drobnostki, które sprawiały, że jej podróże ożywały dla mnie, lecz nic na tyle cennego, by powodowały konfiskatę.

Czerwiec. Kasztanowce pokryły się gęstymi liśćmi, a nad gładkimi trawnikami brzęczą pszczoły. Dni błękitu, złota i kwitnących kwiatów, dni, gdy wierzyłam, że moja udręka zbliża się do końca. Nie posiadając się ze szczęścia, liczyłam dni pozostające do końca podróży Aurelii i planowałam, jak ją powitać w domu.

Nadeszły listy, do mnie i rodziców, w których oznajmiła, że przedłuża wyjazd.

Londyn i Twickenham były cudowne, ale teraz zaproszono ją do Derby! Derby to fascynujące miejsce – musi przyjąć zaproszenie i zobaczyć to słynne miasto. Wróci w sierpniu, a nie w czerwcu, jak planowano. Stałam jak rażona gromem, rozczarowana. Byłam zdezorientowana. Chciałam wierzyć, że to opóźnienie to przypadek, lecz nie mogłam.

Aurelia ostrzegła mnie, że Derby będą oznaczać przerwę w naszej korespondencji:

*Podróż będzie długa, gołąbeczko, i wymaga mnóstwa przygotowań: zakupy, pakowanie, nieskończone pożegnania etc. Więc prawdopodobnie minie kilka dni, nim zdołam coś do Ciebie napisać (i choćby odetchnąć!). Proszę, nie niepokój się opóźnieniem. Nie mogę się doczekać powrotu do domu w sierpniu, gdy wreszcie Cię uściskam i opowiesz mi szczegółowo, jak spędziłaś lato.*

Kiedy po trzech tygodniach długo wyczekiwany list wreszcie nadszedł, zawierał mnóstwo przeprosin i wykrzykników, lecz brzmiał inaczej niż zwykle. Aurelia, zawsze ekstrawagancka, próżna i pełna emocji, teraz pisała prawie wyłącznie o życiu towarzyskim Derby – balach, spacerach i przystojnych młodych ludziach. Krótko mówiąc, zachowywała się jak ucieleśnienie marzeń swoich rodziców:

*Najdroższa Amy, Meyrick Flintham powiedział, że jestem najpiękniejsza w Anglii! (Jego opinia jest oparta na doświadczeniu. Jeśli wierzyć plotkom, słynie z podbojów miłosnych). Oczywiście nie można zdobyć mojego serca kilkoma gładkimi słówkami. Pokręciłam w milczeniu*

*głową, odwróciłam się i odeszłam wsparta na ramieniu Davida Greshama, który ma czterdzieści tysięcy funtów rocznie.*

Coraz bardziej tęskniłam za Aurelią. Jej listy stawały się coraz rzadsze.

Sierpień. Niekończący się skwar sprawił, że strumień wysechł i jego kręte, pokryte kamieniami koryto przypomina skórę zrzuconą przez węża. Tylko dwa wydarzenia godne uwagi.

Pierwsze to ślub Dory, naszej pomocy kuchennej. Lord i lady Vennawayowie nie przybyli na uroczystość. Pozostali domownicy stłoczyli się w niewielkim kościele i obserwowali ceremonię, pocąc się obficie. Ptaki nie próbowały współzawodniczyć chórem śpiewającym hymny, bo prawdopodobnie siedziały w cienistych gniazdach i cierpiały wskutek upału.

Dora opuściła nas na zawsze. Ma ostry język i brakuje jej cierpliwości, ale wszyscy spostrzegli, że mąż spogląda na nią z uwielbieniem i dumą. Przyznaję, że przez chwilę czułam zazdrość, i zastanawiałam się, w jaki sposób zdobyła męża, gdy ja nie mam nikogo bliskiego – nikogo.

Drugim wydarzeniem był list zapowiadający, że powrót Aurelii znów się odwlecze. Napisała z Derby, że może obejrzeć okręgi przemysłowe na północy Anglii, gdzie znajdują się nowoczesne fabryki i przędzalnie bawełny – postęp objawiający się w postaci cegieł i żelaza! Możemy się jej spodziewać na Boże Narodzenie. Nie mogłam zapanować nad emocjami. List natychmiast trafił do ognia.

Wrzesień. Rankiem nad trawnikami wiruje mgła, a ja przypominałam sobie, jak Aurelia uczyła mnie tańczyć w sali balowej, gdy byłam małą. Nie mam z kim rozmawiać i mimo złości bardzo za nią tęsknię. W szyby bębni deszcz.

Po odejściu Dory Cook zaczęła mnie traktować jak pomoc kuchenną, pracującą nieoficjalnie i bez wynagrodzenia. Uznała, że najlepiej ukryć moją rolę przed chlebodawczynią – lady Vennaway nie poparłaby niczego, co sprawiłoby, że czułabym się w Hatville jak u siebie w domu. Kilka razy o mało jej nie spotkałam, lecz Cook czym prędzej wypychała mnie przez boczne drzwi, a raz nawet zamknęła w spiżarni wśród dzbanów z mlekiem.

Nie było to miłe przeżycie (mam na myśli pracę w kuchni, a nie chowanie się w spiżarni). Moja bliska przyjaźń z młodą dziedziczką, przestronna sypialnia w pobliżu jej pokoju i udział w lekcjach z guwernerem sprawiły, że reszta służby traktowała mnie podejrzliwie. Tylko Cook, Jesketh i Rosy pracowali w Hatville, gdy byłam dzieckiem. Nikt inny nie znał kolei mojego życia. Ale teraz przynajmniej codziennie otaczają mnie ludzie i normalna praca sprawia, że lepiej śpiam.

Aurelia pisze rzadko i nieregularnie. Co gorsza, wydawało się, że nic nie rozumie:

*Amy, wiedziałam, że świetnie dasz sobie radę beze mnie, widzisz? Wygląda na to, że jesteś bardzo zajęta! Cudownie! Cieszę się, że tak często do mnie piszesz. Znowu rzuciłam się w wir*

życia towarzyskiego, moja droga! Dziś po południu wybieram się na przejażdżkę konną z młodym włoskim hrabią o ogromnych węsach...

Moja tęsknota za Aurelią – mój *raison d'être* – mogła sprawić, że nie wystarczały mi już listy. Stało się jasne, że nie zależy jej na wiadomościach ode mnie tak bardzo jak mnie. Pisała z roztargnieniem. Nie wyobrażałam sobie, że wyczekuje na nadejście listonosza, chwyta kopertę i gorączkowo studiuje zawartość.

Czasami pytała o mieszkańców Enderby, choć dwa tygodnie wcześniej pisałam jej o nich. Było oczywiste, że czyta moje listy nieuważnie. Nie miałam do przekazania żadnych istotnych wiadomości z Hatville i przypuszczałam, że moje listy muszą się wydawać nudne.

Zachęcała mnie, bym kontynuowała naukę. Wyznaczała mi zadania, polecała książki i wiersze, o których mogliśmy dyskutować po jej powrocie. Ale w czasie tych miesięcy trudno było uwierzyć, że kiedykolwiek wróci. Zraniła mnie i w geście buntu odrzuciłam zainteresowania, które zawsze nas łączyły.

Nauczyłam się jednak gotować zupy, piec dziczyznę i robić znośne ciasto.

Boże Narodzenie. Śnieg z deszczem. Żadnych prezentów ani przyjaciół, żadnych wiadomości, kiedy Aurelia może wrócić do domu. Lodowate noce, gdy drzę z zimna w świetle księżyca i zadaję sobie gorzkie pytania. Jak mogła mnie tak zostawić, pozbawić wszelkiej nadziei?! Potraktowała mnie w sposób szczególnie bolesny, bo przecież w dzieciństwie również mnie porzucono. Przypomniałam sobie słowa Aurelii z naszej ostatniej rozmowy: „Czasami ludzie, których kochamy, są źli”.

Przez długi czas wyobrażałam sobie Aurelię jako jasnego anioła, który uratował mnie przed śmiercią w śniegu i który zawsze będzie mnie kochać, lecz teraz obraz ten rozplynął się niczym tęcza. Usiłowałam zgadnąć, dlaczego koniecznie chciała na jakiś czas wyjechać. Staralam się pogodzić z myślą, że cenimy inne rzeczy. Lecz mimo woli zaczęłam się zastanawiać, czy kiedykolwiek próbowała mnie zrozumieć.

Styczeń ciągnął się niemiłosiernie. Aurelia przebywała w Bath, gdzie, jak się wydaje, głęboko zafascynował ją niejaki Frederic Meredith. Wspomniała o powrocie dopiero po kilku miesiącach.

Deszcz. Ulewa bezlitośnie bębni w dachy domów, jakby chciała wypłukać odpowiedź z mojej głowy.

Po trzech kieliszkach rumu spałam niespodziewanie dobrze. To mój trzeci dzień w Londynie. Zupełnie nie mam pomysłu, jak kontynuować poszukiwania. Czuję ogromną frustrację, że siedzę w pensjonacie, wydaję pieniądze i nie mogę niczego osiągnąć.

Katar dokucza mi dziś trochę mniej, nie wiem, czy z powodu odpoczynku, czy leczniczego działania rumu pani Woodrow. W rezultacie spaceruję tam i z powrotem po pokoju, myśląc o swoim problemie. Zastanawiam się, czy zagadkę Aurelii można rozwiązać w jakiś inny sposób. Czy jeśli przyznam się do porażki i zrezygnuję z poszukiwań Entwhistle'a, znajdę inne metody? Aurelia musiała jeszcze komuś zaufać. Może Fredericowi Meredithowi?

W mrocznych, zimowych dniach, gdy byłam nastolatką, imię Frederica Mereditha napełniało mnie trwogą. Poznawszy go, Aurelia przestała wspominać o innych mężczyznach. Opisywała go w samych superlatywach, które budziły we mnie niesmak. „Piękne, męskie rysy”, „władczy wygląd”, „żywa inteligencja i głęboka wrażliwość” – słysząc takie określenia, marzyłam, by Frederic Meredith jak najszybciej zniknął. Przedstawiała go jako ideał mężczyzny, postać prosto z kart powieści. Pragnęłam, by przypomniawszy sobie o swojej dawnej wrażliwości i pamiętała o znalezionym przez siebie dziecku, które przyrzekła zawsze mieć obok siebie.

Długi czas przypuszczałam, że nawiązała romans, ale później wyrażała się o nim lekceważąco i nie była zainteresowana rozmowami na jego temat, choć przez wiele miesięcy o nikim innym nie pisała. Zastanawiałam się, czy ją zdradził, lecz wydawało się to niewyobrażalne. Tak czy inaczej, nie miałam ochoty więcej o nim słyszeć.

Zastanawiam się teraz, czy to właśnie ten romans jest sekretem Aurelii, jednak nie potrafię zrozumieć, dlaczego zadała sobie tyle trudu, by to ukryć. Jeśli to prawda, dlaczego nie próbować rozwiązać zagadki u źródła? Mogłabym pojechać do Bath, zasięgnąć języka, odnaleźć Frederica Mereditha i... Zaczynam się wahać, czy realizować taki dziki plan. A jeśli się mylę? A jeśli tajemnicy należy strzec również przed nim?

W ciągu czterech dni od otrzymania pierwszego listu Aurelii tak naprawdę mam czas się zastanowić, czym może być ten wielki sekret. Przyznaję, że zżera mnie ciekawość. Czy zapisała pieniądze na cele dobroczynne, czego nie zaaprobowałiby jej rodzice, na przykład jednemu z zakładów dla kobiet lekkich



obyczajów opisanych w powieściach Dickensa? Może skompromitowała się w towarzystwie, obraziła jakąś ważną osobistość, zdradziła tajemnicę rodzinną...? Wszystkie te wyjaśnienia wydają się kompletnie niewiarygodne.

Myślę o pani Bolton. Kilka razy odwiedziła Aurelię po ich wielkiej wspólnej podróży, a później zgodnie ze swoimi zamierzeniami pojechała do Europy i nigdy nie wróciła. Jej skromny dom w Enderby zamknięto na głucho. Czasem Aurelia otrzymywała listy z Francji, Włoch lub Portugalii, ale jeśli zawierały jakieś ekscytujące nowiny, nie informowała mnie o nich.

„Pani Bolton pyta o ciebie” – mówiła z zadowoleniem, unosząc wzrok znad arkusza papieru. Albo: „Pani Bolton prosi, bym ci przekazała najserdeczniejsze pozdrowienia”.

Kiedy pani Bolton wyjechała na kontynent, nasze stosunki stały się znacznie cieplejsze niż wtedy, gdy mieszkaliśmy w tej samej wiosce.

A jeśli pani Bolton również nic nie wie? Namiętne, wręcz obsesyjne zamięłowanie Aurelii do tajemnic wiąże mi ręce i uniemożliwia działanie. Jedyne rozwiązanie, by nie zdradzić Aurelii, to dokładnie wypełniać jej wskazówki. Krok po kroku. Ale nie ma żadnego *Entwhistle’a*... Boże, co za koszmar...

Leżę na łóżku i próbuję czytać *Klub Pickwicka*, lecz nie mogę się skupić. Cały czas zastanawiam się nad zagadką, ciągle wracam myślami do przeszłości...

– Tyle tajemnic, Aurelio? – pytam na głos. – Czy wszystko rzeczywiście musi być takie trudne?

Cokolwiek zaplanowała, z pewnością nic nie może jej już zaszkodzić. Mam nadzieję, że sekrety Aurelii nie wpłyną na moje życie, nie zepsują go z czystej złośliwości.

A jednak coś mi się przypomina. Miałam może siedem lub osiem lat. Aurelia wyjechała na cały dzień, by odwiedzić kuzynki. Zamierzała wrócić w towarzystwie ciotek, wujów i gromadki małych dzieci. Należało przygotować dwór na ich przyjęcie.

Jedna z pokojówek zachorowała i Cook popełniła poważny błąd, pozwalając mi ją zastąpić. Myślałyśmy, że rankiem lady Vennaway będzie miała gości, jak zwykle w środy, toteż pani Last kazała mi odkurzyć i posprzątać jadalnię. Ale tego dnia nikt nie złożył nam wizyty, więc lady Vennaway postanowiła przejść się po domu i sprawdzić, czy służące przykładają się do pracy.

Bardzo się starałam i byłam z siebie dumna. Meble i lustra lśniły.

Ach, lustra... Myśląc, że jestem sama, skorzystałam z rzadkiej okazji, by się sobie przyjrzeć. W kuchni, zmywalni naczyń i stajni naturalnie nie było luster, a wszyscy stale komentowali mój wygląd, więc czułam zrozumiąłą ciekawość.

Dora twierdziła, że wyglądam bardzo brzydko, jak szary wróbel. Rosy powiedziała, że nie należy robić takich niemiłych uwag – to nie moja wina. Spytałam Cook, czy to prawda, ona zaś machnęła ręką ze skonsternowaną miną i kazała mi mieszać przetwory. Później spytałam Jesketha, który odparł, że wszystko to kwestia gustu. Robin oświadczył, że wyglądam ładnie. Aurelia utrzymywała, że jestem prześliczna. Wszyscy zwracali uwagę na mój niski wzrost.

Lady Vennaway przyłapała mnie w nietypowej, bardzo intymnej chwili, gdy przeglądałam się w lustrze. Oto, co zobaczyłam:

Pociągła twarz, blada cera i bujne czarne włosy. Ciężka grzywka opadająca na oczy, z niewielką przerwą na środku. Wąska bruzda między brwiami, choć nie zdawałam sobie sprawy, że się marszczę. Szerokie usta. Duże oczy o niepokojącej barwie.

Westchnęłam. Jestem bardzo niska, tak. Włosy mam zbyt smoliste, zbyt ciężkie. Uśmiecham się rzadko, zbyt szeroko i nieco krzywo. Spróbowałam się uśmiechnąć i na mojej twarzy pojawił się grymas. Mogłabym straszyć kurczaki, jak mawiała Dora.

Usłyszałam piskliwy okrzyk i w lustrze obok mnie pojawiła się lady Vennaway niczym zła królowa z baśni. Wzdrygnęłam się przyłapaną na studiowaniu własnego wyglądu. Matka Aurelii otworzyła ślicznie wykrojone usta i obrzuciła mnie straszliwymi wyzwiskami, aż w końcu nie wytrzymałam.

– Dobrze pracowałam! – krzyknęłam z wściekłością i tupnęłam nogą. – Pięknie posprzątałam jadalnię! Chciałam pomóc! Dolly jest chora i gdyby nie ja, wszędzie byłby kurz!

Lady Vennaway wyciągnęła smukłą rękę i chwyciła mnie za bujne włosy. Miałam wrażenie, że to sen. Później poprowadziła mnie do kuchni, gdzie Cook ozdabiała pieczonego bażanta. Kucharka patrzyła przerażonym wzrokiem, jak lady Vennaway bierze ze stołu ciężki tasak do rąbania mięsa.

Zręcznym ruchem skręciła włosy w gruby zwój i odcięła je tuż przy szyi. Wystarczyło jedno uderzenie.

– Próżność to grzech! – wrzasnęła. – Szczególnie nie przystoi właśnie tobie! – Wyszła.

Kiedy zostałam sama z Cook, spojrzałyśmy na siebie. Nie potrafiłam nic wytłumaczyć. Moje włosy leżały na podłodze: wydawały się bardzo długie. Podniosłam je. Miałam wrażenie, że są cięższe niż wtedy, gdy rosły na mojej głowie. Czułam na twarzy dotyk tych, które pozostały.

– Jadalnia jest posprzątana – rzekłam w końcu i wyszłam, by wyrzucić włosy do śmieci.

Dowiedziałam się później z książek i czasopism, że włosy obcina się co trzeciej sierocie, ale nie zmniejszyło to żalu. Zostałam pogiębiona i czułam żal. Mimo to lady Vennaway wyświadczyła mi przysługę. Miałam trudności z czesaniem długich włosów i stale byłam rozczochrana. Krótkie włosy dobrze się układały pod czepkiem, co oszczędzało mi wielu godzin pracy tygodniowo. Wcześniej ich główna zaleta polegała na tym, że mogłam nimi dręczyć Aurelię.

Uśmiecham się na wspomnienie jej udawanej furii, gdy porównywałyśmy długość swoich włosów. Niezależnie od tego, co robiła, moje były zawsze dłuższe. Chociaż miałam matowe, ubrudzone sadzą włosy, które nie mogły się równać z jej jasnymi, aksamitnymi lokami, zawsze teatralnie manifestowała, jak mi ich zazdrości.

Wymyśliła zabawę polegającą na tym, że wychylałyśmy głowy przez płot nad strumieniem i sprawdzałyśmy, czyje włosy dotkną powierzchni wody. Była to kompletna głupota, ponieważ nie porównywałyśmy w ten sposób długości włosów – Aurelia zawsze wygrywała po prostu dlatego, że była wyższa. Ale śmiałyśmy się jak opętane.

Za pierwszym razem oczywiście wpadłam do wody. Tak bardzo pragnęłam, by końcówki moich

włosów dotknęły powierzchni wody, że zawisłam na płocie z nogami w powietrzu. Nagle straciłam równowagę i wpadłam z chlupotem do strumienia. Nic mi się nie stało, ale byłam mokra i zabłocona, a poza tym bałam się, że Dora mnie wyśmiej.

Kiedy obcięto mi włosy, znów zaczęliśmy się bawić w wyścigi patyczków puszcanych z prądem strumienia.

Teraz, w Londynie, siedzę i zastanawiam się, czy Vennawayowie w dalszym ciągu mogą stanowić dla mnie zagrożenie. Kobieta, która traktuje dziecko w taki sposób, jak matka Aurelii traktowała mnie, może budzić lęk. Może to dobrze, że opuściłam Hatville, że jestem drobną, anonimową dziewczyną zagubioną w wielkim mieście rojącym się ludzi? Londyn to idealne miejsce, by się zgubić.

Wspomnienia wytrąciły mnie z równowagi, jestem zaniepokojona. Mam ochotę na spacer w ulewnym deszczu, chciałabym oddychać chłodnym, wilgotnym powietrzem. Co mnie dręczy? Nie chodzi tylko o utratę włosów.

To coś innego.

Aurelia i ja bawiłyśmy się nad strumieniem. Tęsknię za nią. Wyścig patyczków. Wiszę nad ogrodzeniem. Wybuchamy śmiechem. Tęsknię za nią. Wpadam do wody i czuję zapach błota. Aurelia śmieje się radośnie na mój widok – wyglądam żałośnie, jestem cała czarna. Tęsknię za nią. Aurelia mnie pociesza, opowiada nową bajkę, gdy wracamy do domu. To bajka o dwóch królikach nazywających się Entwhistle i Crumm, które otworzyły zakład krawiecki w Hampstead. Uwielbiam tę historię, która ciągnęła się przez kilka dni.

„Entwhistle nosił czerwoną kamizelkę, a Crumm niebieską...”.

Nagle mam wrażenie, jakbym dostała czymś w głowę. Porywa mnie fala wspomnień niczym gałązkę niesioną przez prąd rzeki w stronę odpowiedzi.

Zobaczyliśmy Aurelię dopiero po roku. Wróciła w marcu, z włosami rozwianymi wiosennym wiatrem, witana przez rozkołysane żonkile.

Siedziałam w sali szkolnej – nie przypominam już sobie dlaczego – pogrążona w smutnym transie, który stał się codziennym stanem mojego umysłu. Wyrwana z zamyślenia przez turkot kół powozu, wyjrzałam bez większego zainteresowania przez okno, przypuszczając, że to jeden z gości lady Vennaway. Jednak coś sprawiło, że mocno zabiło mi serce.

Powóz pędził po zwirowanej drodze, wyrzucając spod kół fontanny kamyków, które lśniły w promieniach bladego słońca jak krople wody. Pokonał szybko zakręt, przechylając się na bok. Cwałujące konie miały w sobie coś zawadiackiego, jakby znajdowały przyjemność w pokazywaniu mocnych nóg i wysokich pióropuszy na łbach. Podejrzewałam, kto nadjeżdża, jeszcze zanim zobaczyłam powóz i poznałam granatowo-srebrny faeton pani Bolton.

Wybiegłam ze dworu.

Kiedy Aurelia wysiadła z powozu, lady Vennaway mocno ją objęła. Jeszcze nigdy nie widziałam, by tuliła ją tak długo. Płakała, całowała córkę, znowu płakała, a potem nie odzywała się do niej przez miesiąc. Lord Vennaway zachowywał się zwyczajnie, był milczący i nieprzystępny, lecz nie można było nie dostrzec emocji w jego spojrzeniu, gdy krótko uścisnął Aurelię.

Poczułam przyływ wzruszenia, ogromnej radości i ulgi. Oczywiście również lęk, że straciłam przyjaciółkę, którą tak dobrze znałam. Wydawała się niewiarygodnie piękna i obca. Wyjechała w wieku dwudziestu jeden lat, gdy ciągle była moją przyjaciółką z dzieciństwa. Nie ulegało wątpliwości, że wróciła jako dojrzała kobieta, spokojna i daleka – inna niż wszyscy mieszkańcy Hatville Court. Nie poznałam jej stroju, modnej parasolki ani zagranicznych szmaragdowozielonych rękawiczek.

Zadrzałam. Czy uboga, siedząca w domu dziewczyna może powiedzieć coś interesującego takiej eleganckiej damie? Okazało się jednak, że może. Kiedy Aurelia mnie zobaczyła, na jej dumnej, zamyślonej twarzy pojawił się znajomy uśmiech. Śmiejąc się radośnie, porwała mnie w ramiona i okręciła wokół siebie jak dawniej, po czym postawiła na ziemi i zaczęła mi się przyglądać.

Ona również była zdumiona, że tak bardzo się zmieniłam. Wcześniej w ogóle się nad tym nie zastanawiałam. W chwili jej powrotu miałam przeszło czternaście lat i byłam już młodą kobietą. Długi rok spędzony w samotności pozostawił swoje ślady. Nic dziwnego, że wyglądałam inaczej – wyższa,

chudsza, starsza. Urosłam, straciłam dziecięcą niewinność. Nie uważałam już Aurelii za ideał, ale zrozumiałam, że nie kocham jej z tego powodu mniej, i poczułam radość.

Następne tygodnie były wspaniałe! Nasza przyjaźń się odrodziła – sympatia Aurelii była tak namacalna, tak widoczna w jej twarzy i głosie, że zastanawiałam się, dlaczego kiedykolwiek w nią wątpiłam. Dni spacerów, rozmów, śmiechu, wyczekiwania na każde słowo Aurelii. Wreszcie znów usiadła przede mną, a ja opowiedziałam jej dokładnie o wszystkich drobnych wydarzeniach, jakie mnie spotykały, lękach i troskach. Rozmawialiśmy tak długo i tak szczerze, że nigdy nie wątpiłam, że mówi mi o wszystkim.

Tak rozpoczął się ostatni etap mojego życia z Aurelią. Znów stałyśmy się nierozłącznymi towarzyszkami, każda zahartowana w inny sposób podczas tego okresu jej nieobecności.

Kilka razy przychodziły do niej listy zaadresowane nieznanym charakterem pisma. Natychmiast je zabierała i nigdy się nie dowiedziałam, kto je przysyłał. Domyślałam się, że w dalszym ciągu prowadzi korespondencję z Frederikiem Meredithem, ale gdy zwierzyłam jej się ze swoich obaw, że go poślubi i mnie opuści, serdecznie się uśmieła, aż wreszcie się rozkaszała.

Po miesiącu spędzonym w domu stan zdrowia Aurelii zaczął się szybko pogarszać. Poprzednio trudno było uwierzyć, że jest chora, lecz w tej chwili nie dawało się o tym zapomnieć. Niegdyś tak energiczna i żywa, teraz stała się słaba i blada. Przez dłuższy czas broniła się przed chorobą, lecz kiedy nastąpił spadek sił, było to dramatyczne.

Do Hatville przywieziono wózek inwalidzki i jeśli Aurelia chciała popatrzeć na róże w ogrodzie albo na strumień, zawoziłam ją tam jak pielęgniarka. Kiedy czuła się lepiej, powoli spacerowała, opierając się na lasce. W złe dni – a zdarzały się one często – w ogóle nie wstawała z łóżka. Lord i lady Vennawayowie nie mogliby już wydać jej za męża, nawet gdyby chcieli. Wydawało się, że wróciła do Hatville, by umrzeć, a jednak kurczowo trzymała się życia. Tygodnie zmieniały się w miesiące, a potem – choć trudno w to uwierzyć – w lata. Zupełnie nie zmieniła się pod jednym względem: nie chciała się pogodzić z nieuniknionym.

Chociaż obserwowanie jej walki z chorobą łamało mi serce, nie byłam nieszczęśliwa. Co najdziwniejsze, nigdy nie doświadczyłam tak głębokiego spokoju ducha.

Jedyną smutną zmianą było odejście Robina, któremu zaproponowano stanowisko głównego ogrodnika w posiadłości ważnej rodziny z hrabstwa Gloucester. Przyznaję, że byłam wstrząśnięta, gdy nas opuścił. Nie chodzi o to, że go nie doceniałam. Po prostu nigdy nie zastanawiałam się nad jego umiejętnościami. Był tak skromny i milczący, że nie spostrzegłam jego talentu do uprawiania agapantów i nie zdawałam sobie sprawy, że Hatville słynie z owoców. W pełni dotarło to do nas dopiero wtedy, gdy dostał nową posadę.

– Ma dar pielęgnowania żywych istot – rzekła cicho Aurelia. Rozumiałam jej smutek. W dłoniach

Robina rozkwitały rośliny, a ona gasła.

Po powrocie stała się inna, bardziej skłonna do refleksji. Spędzałyśmy mniej czasu na zabawach i żartach, więcej spacerowałyśmy. Jeśli miała dość sił. Zastanawiałyśmy się nad tym, jak ukształtowała nas przeszłość. Mniej śpiewałyśmy i czytałyśmy na głos, częściej siedziałyśmy w milczeniu. Aurelia nie była już żywa jak iskra – przypominała głęboką, cichą, lśniąca rzekę.

Zdołałam przetrwać roczne rozstanie dzięki wierze i sile. To doświadczenie dało mi coś, czego wcześniej nie znałam. Nie potrafiłam tego nazwać, lecz istniało we mnie.

Obie wiedziałyśmy, że ostatnie dni życia Aurelii były darami, które powinnyśmy jak najlepiej i najmądrzej wykorzystać.

Otrzymałyśmy prawie trzy piękne lata.

Kiedy pan Manning unosi wzrok i widzi moją ociekającą wodą postać w drzwiach swojego sklepu, rzędnie mu mina. Zawodowa uprzejmość zмага się z przerażeniem.

– Wróciła pani – zauważa.

– Dzień dobry, panie Manning. Mam nadzieję, że zdrowie panu dopisuje? Zastanawiam się, czy nie mogłabym po raz ostatni zajrzeć do pana książki adresowej.

– Wątpię, czy od wczoraj pojawiły się tam jakieś nowe nazwiska, panienko. Nie zatrudniamy krasnoludków piszących przy świetle księżycy.

– Z pewnością, ale chciałabym sprawdzić coś innego, jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

Wzrusza ramionami, rozgląda się w obie strony, po czym podaje mi wykaz.

– Ponury dzień – mruczy.

– Wyjątkowo ponury – zgadzam się, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Szybko odszukuję w wykazie literę C. Jest.

Crumm i Spółka, Pasaż Kamizelek. Obok maleńkiego placzyku za St Angelus. Holborn.

Adres usuwa wszelkie wątpliwości. Pasaż Kamizelek! Nic dziwnego, że Aurelia pomyślała o jednej z bajek z naszego dzieciństwa. Szybko odmawiam modlitwę, by przyszłe wskazówki nie wymagały tak długiego i skomplikowanego analizowania przeszłości.

Znów odczytuję adres i wybiegam ze sklepu, rzucając w drzwiach podziękowanie. Na ulicy czeka dorożka i szybko pędzimy do Holborn. Całkowicie zapominam o złości na Aurelię i niecierpliwie wstrzymuję oddech.

– Chce panienka, żebyśmy znowu zaczekał? – pyta woźnica, gdy zatrzymujemy się, rozpryskując wodę, przed St Angelus.

Płacę i zwalniam go. Po zwłóce i stagnacji ostatnich dni nie wyjdę ze sklepu pana Crumma, dopóki nie odnajdę listu. Nawet jeśli utknę tam na całą noc.

Holborn jest puste. Pogoda jest tak brzydka, że Londyn wydaje się wyludniony. Moja suknia jest ciężka od wody. Mam wrażenie, że strugi deszczu zdefasonowały mi kapelusz. Nie zwracam na to uwagi. Wkrótce dostanę wiadomość od Aurelii.

Widzę dziedziniec o nieco nieregularnym kształcie, przywodzący na myśl pogniecioną chustkę do nosa. Obok biegnie wąski zaułek – Pasaż Kamizelek – i niemal spodziewam się zobaczyć kilka zakładów

krawieckich. I oto księgarnia, pomalowana na ciemnoczerwony kolor, z wielką przeszkloną wystawą i sztyldem ze schludnym, złotym napisem „Crumm i Spółka”.

Zatrzymuję się na progu, drżąc z podniecenia, gdy nagle drzwi otwierają się z przyjaznym brzękiem dzwonek i o mało nie przewraca mnie wysoki młody dżentelmen w obszernym płaszczu.

– Proszę wybaczyć, panienko – mówi uprzejmym tonem, po czym przytrzymuje drzwi, by mnie wpuścić, i odchodzi.

Wnętrze jest przyjemnie oświetlone świecami i lampami gazowymi. Dzień jest ciemny i ciepły blask wydaje się bardzo miły.

– Dzień dobry pani. – Spogląda na mnie około sześćdziesięcioletni mężczyzna siedzący nad wielką księgą rachunkową i się uśmiecha. – Czym mógłbym pani służyć?

– Dzień dobry. Dziękuję, rozejrzę się.

– Oczywiście, oczywiście...

*Idź do działu historii naturalnej... Przypomnij sobie książkę, o której długo dyskutowaliśmy...*

Wchodzę do księgarni i postanawiam pod żadnym pozorem nie iść do działu historii naturalnej. Teraz, gdy rozumiem sens wskazówki Aurelii, uważam, że postanowiła wprowadzić w błąd wszystkich oprócz mnie. Bo chociaż pan Howden, pragnąc się popisać erudycją, mówił tamtego wieczoru o wielu książkach, Aurelia i ja czytałyśmy wspólnie – oczywiście! – *Magazyn osobliwości*.

– Bardzo przepraszam, czy mógłby mnie pan zaprowadzić do półki z dziełami pana Dickensa?

Mężczyzna wstaje zza biurka i pokazuje mi odpowiednie miejsce. Później robi zaskoczoną minę i przygląda mi się uważnie, po czym szybko odzyskuje panowanie nad sobą.

– Ależ! Ciekawe... – woła i nagle milknie. – Zastanawiam się, czy mógłbym jeszcze jakoś pani pomóc, panno...

– Nie, dziękuję.

Ponownie przygląda mi się bardzo uważnie. Może z powodu tego, jak wyglądam, bo jestem zabłocona i blada, cieknie ze mnie woda. Może chodzi o to, że noszę żałobę i nie towarzyszy mi przyzwoitka? Cokolwiek go zainteresowało, ma przyjemny, niski głos i zachowuje się wyjątkowo uprzejmie.

– Zastanawiam się, panienko, czy zauważyła pani nasz zbiór wczesnych wydań. Na tamtej półce. Nie jesteśmy biblioteką, ale ja jestem wielkim wielbicielem literatury współczesnej, toteż posiadam wszystkie dzieła pana Dickensa oraz kilku innych pisarzy. Czasopisma i książki znajdują się w tej przeszklonej szafie. Nie są na sprzedaż, ale zostawię klucz w drzwiczkach na wypadek, gdyby chciała pani coś przejrzeć.

Wraca za biurko i zostawia mnie w spokoju. Marszczę brwi – bardziej niż zwykle. Cała ta wymiana zdań miała w sobie coś dziwnego.



Znajduję na regale *Magazyn osobliwości*. Zdejmuję mokre rękawiczki i szybko dotykam palcami okolic miejsca, gdzie stała książka – górna część półki, boki. Wiem, że listu nie będzie w jednej z książek, bo ktoś mógłby ją kupić. Nic.

Wkładam rękę za półkę, by sprawdzić, czy można ją wysunąć lub coś za nią ukryć. Nic.

Jestem niemal pewna, co znajdę w przeszklonej szafie. Zerkam na pana Crumma, lecz w dalszym ciągu pochłania go księga rachunkowa. Przekręcam klucz w zamku, otwieram szafę i widzę długie rzędy roczników tygodnika „Master Humphrey’s Clock”, czasopisma tak dobrze pamiętanego z dzieciństwa. Oto egzemplarze z ostatnimi rozdziałami smutnej historii małej Nell. Stoją na końcu półki, pod ścianą.

Ostrożnie wydaję czasopismo i obracam je w dłoniach. Nic z niego nie wypada. Powoli przeglądam strony i znajduję miejsce, gdzie dwie lub trzy są sklezione. Może introligatorowi kapnęła w to miejsce kropla kleju? A może ktoś zrobił to celowo?

Wsuwam palec między stronice i czasopismo otwiera się właśnie tam, gdzie się spodziewałam – w miejscu, gdzie znajduje się zakończenie tragicznej historii bohaterki, która umiera zbyt młodo.

Między stronami widzę zwyczajną białą kopertę z wykaligrafowanymi inicjałami AS.

Rozpinam drżącymi dłońmi płaszcz, wsuwam list do kieszeni sukni obok pierwszej koperty i zapinam guziki. Odkładam czasopismo na miejsce, zamykam szafę i przez chwilę ogarnia mnie zdumienie. Tutaj, w mieście tak odległym od Hatville, w bocznej uliczce, w dzielnicy, którą odwiedzam po raz pierwszy w życiu, czeka na mnie list od przyjaciółki. Czuję się jak bohaterka powieści.

Marzę o przeczytaniu listu, lecz nie chcę tego robić w miejscu publicznym. Nie mam również ochoty wracać do pokoju, w którym niedawno przebywałam. Poza tym zastanawiam się, czy mogę znaleźć w tym sklepie dalsze wskazówki, których nie ma w liście od Aurelii. Czy ten dżentelmen ją znał? Wydaje się znać mnie.

Wracam do półki z książkami na sprzedaż i postanawiam kupić *Olivera Twista*. Przykro mi było zostawiać go w Hatville. Księgarz z ciekawością patrzy na wybrany przeze mnie tom.

– Doskonała powieść. Dziwne, ale spodziewałem się, że wybierze pani coś innego... Może *Magazyn osobliwości*?

Nie przyszło mi to wcześniej do głowy. Pan Crumm na pewno coś wie.

– To moja ulubiona książka, ale już ją mam.

– Rozumiem. Znalazła pani wszystko, czego pani potrzebowała?

– Tak, owszem. Dziękuję, panie Crumm. Pan Crumm, prawda?

– Albert Crumm, do usług. Panna...

– Nazywam się Amy Snow.

– Naturalnie, panna Snow, od razu się domyśliłem! Ach! – Wychodzi zza biurka i serdecznie ściska mi dłonie. – Tak się cieszę, że wreszcie mogę panią poznać, chociaż... To chyba oznacza, że nie ma już wśród nas panny Vennaway?

– Bardzo mi przykro. Zmarła zaledwie przed tygodniem. Był pan jej przyjacielem?

– Miałem honor poznać pannę Vennaway, tak. Dzięki niej dowiedziałem się również czegoś o pani, panno Snow, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Proszę przyjąć moje najszczerze kondolencje.

– Dziękuję. Czy mógłby mi pan powiedzieć, panie Crumm... Jestem nieco zdziwiona... Jak Aurelia mogła... mogła...

– Panno Snow, na pewno zgodzi się pani, że nie jest to rozmowa, którą można prowadzić w sklepie? Zdaję sobie sprawę, że dopiero co się poznaliśmy, ale czy czułaby się pani bardzo niezręcznie, gdybym

dziś wieczorem zaprosił panią na kolację do mojego domu? Będzie moja córka Kate i jej synek Henry. Bylibyśmy zaszczytzeni, gdyby zechciała pani przybyć.

Wiem, że zabrania tego etykieta, lecz potrzeba wyrwania się z samotności jest silniejsza od konwenansów. Ledwo panuję nad sobą, by nie okazać, jak jestem szczęśliwa, i boję się, że mogę się rozplakać w obecności tego wyjątkowo sympatycznego dżentelmena.

– Z wielką przyjemnością, panie Crumm. Nie mam przyjaciół w Londynie, a spotkanie kogoś, kto znał Aurelię... Cóż, bardzo panu dziękuję.

Mówi, że zamknie sklep za godzinę, i pyta, czy zechciałabym zaczekać w kantorku.

– Mogłaby pani spędzić czas, czytając swój nowy nabytek. – Uśmiecha się. – Jestem pewien, że nie może się pani doczekać.

Nie wiem, co odpowiedzieć, on zaś przysuwa fotel do kominka i podsyca słabo palący się ogień. Bierze mój kapelusz i płaszcz, a następnie prosi, bym popilnowała księgarni; zamierza kupić kawę w sąsiednim sklepiku. Po chwili wszystkie moje potrzeby są zaspokojone. Mam list i mogę go przeczytać w samotności. Suszę się przy kominku, który jest tak gorący, że przechodzą mnie ciarki, i trzymam w ręku filiżankę parującej kawy. Spędzę ten wieczór w towarzystwie miłych ludzi, a potem zostanę sama, o tak, sama, by się wyplakać po niepokojach i niewygodach ostatnich kilku dni.

Wyciągam z kieszeni kopertę. Wydaje się gładka i czysta w porównaniu z pierwszym listem, teraz pogniecionym i przybrudzonym (nie wspominając o plamach). Odsuwam nieco fotel od kominka – przy moim pechu mogę upuścić list w ogień!

Waham się jednak i ogarnia mnie trwoga na myśl, jak niewiele brakowało, bym skapitulowała, zgubiła ślad. A jeśli ten list również jest niewiarygodnie tajemniczy? Czy mam pozostać w Londynie, czy udać się gdzie indziej? A jeśli muszę wyjechać za granicę? Przełykam ślinę i otwieram kopertę. Dobrze znając Aurelię, a raczej zdając sobie sprawę, że wiem o niej znacznie mniej, niż przypuszczałam, podejrzewam, że list napisany fioletowym atramentem zmieni sens całej historii:

*Moja Najdroższa Amy!*

*Udało Ci się! Podążyłaś wskazanym tropem i znalazłaś następne instrukcje. Gratuluję, ptaszku, jesteś równie bystra jak ja!*

*Długo Ci zajęło odnalezienie tego listu, najdroższa? To straszliwie, straszliwie frustrujące, że po przygotowaniu wyjątkowo przemyślnego planu nie mogę o nim z Tobą porozmawiać, nie mogę poznać Twoich przygód. Tak wiele tracę, że jestem bliska płaczu z wściekłości, najdroższa.*

*Przykro mi, jeśli pierwsze zadanie okazało się trudne, Amy. Londyn nie jest najmiłym miastem na świecie i wiem, że nie możesz się nim cieszyć z powodu samotności. Ale najtrudniejsze zadanie musiało się pojawić na początku. Oczywiście nikt inny nie mógł odnaleźć listu.*

*Teraz musisz pojechać na prowincję, gołąbeczko, niezbyt daleko, do Twickenham, podobnie*

*jak ja przed Tobą. Zatrzymasz się u moich przyjaciół. Kochani ludzie! Spokojnie, wiem, co teraz myślisz:*

*Przecież ich nie znam. A jeśli potraktują mnie jak intruza? Jak mogę się pojawić na ich progu i wprosić się do domu? Jestem zupełnie obcą osobą.*

Odkładałam list i rozglądałam się po kantorku. Właśnie tak myślałam.

*Bądź spokojna, siostrzyczko, nie musisz się NICZYM martwić. To oni wpadli na pomysł, żebyś się u nich zatrzymała. Ja w ogóle tego nie sugerowałam. Kiedy wypowiesz swoje nazwisko, powitają Cię z otwartymi ramionami, najdroższa, obiecuję.*

*Widzę, że dotarłam prawie do końca strony, i wydaje się, że nadszedł stosowny moment, by zrobić przerwę i poprosić Cię o pewną bardzo ważną przysługę. Może to być najważniejsza rzecz, jaką zrobisz dla mnie w czasie całej tej przygody. Zanim przewrócisz stronicę, przyrzeknij, że uczynisz mi tę małą grzeczność...*

– Obiecuję, Aurelio – wzdycham. Naturalnie wiedziała, że może na mnie liczyć. Przewracam stronicę i ze zdziwieniem czytam:

*Spal swoje ubranie, najdroższa, błagam Cię. Nie, nie namawiam Cię do naśladowania tubylców w tropikach. (Szkoda, że nie mogę tam pojechać! Wystarczyłoby dowolne miejsce cieplejsze od Surrey w lutym!). Nie proponuję, żebyś chodziła nago. Świat nie jest jeszcze na to gotowy, moja droga. Ale na pewno zdajesz sobie sprawę, że Twój obecny sposób ubierania się od dawna budzi we mnie mieszane uczucia. Jesteś z natury pozbawiona próżności, toteż wygląd nie jest dla Ciebie najważniejszy. Uważasz, że jesteś w żałobie, i jeśli nie podejmę zdecydowanych działań, stanie się to dla Ciebie wymówką, by w nieskończoność wędrować po świecie w ohydnych czarnych i szarych łachach!*

*Wkrótce czekają Cię przyjemności, na jakie nie mogłaś liczyć, gdy byliśmy razem. Pomyśl, jaka będę szczęśliwa, spoglądając na Ciebie ze swojego szezlongu w niebie, gdzie z pewnością opycham się teraz kandyzowanymi owocami, popijam szampana i czytam dzieła Dickensa (usługuje mi również dwóch lub trzech wyjątkowo przystojnych młodzieńców, nie powinnaś w to wątpić).*

Nie wątpię.

*Jest jeszcze jeden powód, który skłania mnie do poruszenia kwestii stroju. Moja droga, ubrana obecnie w ten sposób, obwieszczasz całemu światu: „Jestem nieszczęśliwa!”. Wyglądasz*

*jak uboga krewna, skromna, ledwo tolerowana osoba. Rzeczywiście, tak było w Hatville. Ale to musi się zmienić. Gdybyś nosiła takie stroje w wielkim świecie, wywołałoby to niewłaściwe komentarze. Musisz się uwolnić od dotychczasowej tożsamości.*

*Dlatego, kiedy dotrzesz do Twickenham, będą tam na ciebie czekały odpowiednie stroje – nie musisz się tym zajmować. Proszę, nie zachowuj tych starych łachów „na wszelki wypadek”. Zapewniam Cię stanowczo, że nigdy więcej nie pojawi się żadna sytuacja, byś musiała się ubierać w ten sposób.*

*Ostatnia rzecz, Amy. Sama nie wiem, co sobie wyobrażałam, gdy snułam fantazje na temat swojego pobytu w Londynie, lecz mimo wszystko nie było to tylko szaleństwo. Jadałam kolację z panią Bolton, pojechałyśmy do teatru, odwiedziłyśmy wypożyczalnię ksiązek Mudiego, Bibliotekę Londyńską i Muzeum Brytyjskie. Krótko mówiąc, bardzo żałowałam, że Cię z nami nie było. Wielka szkoda, że zostałam w Hatville.*

*Prawdopodobnie miałam sekretną nadzieję, że stanie się coś szokującego – w chwili wyjazdu nie myślałam rozsądnie. Moi rodzice...*

*Nie, nie mogę Ci jeszcze powiedzieć. Sprawa jest zbyt delikatna. A gdyby przeczytał to ktoś inny, nie Ty? A jeśli coś przeoczyłam, choć nie rozumiem, jak mogłoby się to stać? Nie mogę Ci jeszcze zdradzić swoich tajemnic.*

*Wybacz mi, młodsza siostrze, że na tym zakończę i na razie niczego się nie dowiesz. Nie mogę jeszcze wyrzucić z siebie wszystkiego. Będę spokojniejsza, gdy otrzymam wiadomość, że jesteś już bezpieczna w Twickenham. Jestem szczęśliwa na myśl, że się tam znajdziesz.*

*Ciągle za mną tęsknisz? Egoistyczna do końca, mam nadzieję, że tak, a jednak wierzę, że to nie wszystko. Chciałabym, abyś się cieszyła Twickenham, Amy. Bądź szczęśliwa! Odnajdź nadzieję!*

*Z wyrazami najgłębszej miłości od Twojej oddanej*  
AV

Czytam list trzy razy, a później długo siedzę bez ruchu, wpatrując się w tańczące płomienie.

Dom Alberta Crumma znajduje się blisko księgarni. Deszcz zmienił się w lekką mżawkę, toteż jesteśmy zadowoleni, że możemy odetchnąć świeżym powietrzem.

Jego córka Kate okazuje się wesołą i wyjątkowo gościnną kobietą. Jednak jest przeziębiona, podobnie jak wcześniej ja, i po przywitaniu się przeprosza i wraca do łóżka z filiżanką rosółu. Mam dzięki temu okazję porozmawiać z Albertem sam na sam. Mówi, że jego wnuczek Henry pojawi się na kolacji. To absolutnie pewne.

Siadamy w ciemnym salonie. Albert usprawiedliwia się, że mieszkania w centrum Londynu nie są zbyt przestronne, a dom jest stary i ma mało okien. Dzwoni i prosi służącą o jeszcze jedną kawę, po czym zwierza się z uśmiechem, że jest całkowicie uzależniony od tego napoju. Ja proszę o gorące mleko z gałką muszkatołową. I bez picia kawy mam kłopoty ze snem.

– Proszę mi opowiedzieć o Aurelii – odzywam się. – Bardzo mi jej brakuje i zupełnie nie rozumiem, o co chodzi w tych listach. Kiedy ją pan poznał? Czy czegoś się pan o niej dowiedział? A przede wszystkim, kiedy i w jaki sposób wpadła na pomysł ukrycia listu w pańskim sklepie?

– Muszę pani opowiedzieć mnóstwo rzeczy. – Albert kiwa głową, porządkując myśli. – Ale mogę mówić tylko do powrotu Henry’ego. To bardzo dobry chłopiec, ale panna Vennaway nalegała, by utrzymać wszystko w absolutnej tajemnicy.

– Mnie mówiła to samo. To ulga, że rozmawiam z kimś swobodnie choćby przez pięć minut. Nie mam doświadczenia w skrywaniu tajemnic i czuję, że sobie z tym nie radzę.

– Wszystko pani opowiem, panno Snow. Pani życie stanie się łatwiejsze. Zastanówmy się. Poznałem pannę Vennaway w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku, to znaczy...

– Prawie cztery lata temu...

– W istocie. Spotkaliśmy się w teatrze Drury Lane. Okropna sztuka, piękna aktorka. Byłem ze znajomą, która przypadkiem okazała się znajomą pani Bolton, przyjaciółki panny Vennaway. Przedstawiono nas sobie i mieliśmy identyczne opinie na temat sztuki. W następnym tygodniu znów spotkaliśmy się w teatrze. Dramat, który wspaniale wystawiono i koszmarnie zagrano. Zamieniliśmy parę słów. Towarzystwo panny Vennaway zaprosiło mnie na kolację po przedstawieniu. Pani przyjaciółka była wielką miłośniczką literatury, oczywiście, więc mieliśmy wiele wspólnych tematów do rozmowy. W następnych miesiącach spotkaliśmy się kilka razy na różnych przyjęciach i zawarliśmy przyjaźń.

Świetnie się rozumieliśmy. Panna Vennaway kilkakrotnie mnie zaszczyciła, zwierając mi się ze swoich tajemnic. Dowiedziałem się o jej chorobie, o pani niemiłej sytuacji w jej domu, o trudnych stosunkach z rodzicami. Bardzo tęskniła za swoją najdroższą przyjaciółką – panią – i z tego powodu zastanawiała się nad wcześniejszym powrotem do Hatville.

– Doprawdy?

– Tak. Ale czuła trwogę na myśl o spotkaniu z lordem i lady Vennawayami. Panna Aurelia wyjaśniła, że to wyjątkowo dumni i chłodni ludzie. Powiedziała, że przed wyjazdem zmuszono ją (właśnie tego słowa użyła) do zaręczyn z mężczyzną, którego nie kocha. Twierdziła, że będzie mogła wrócić dopiero wtedy, gdy przebaczy rodzicom. Zdaje się, że w kwietniu wyjechała z Londynu, i nigdy więcej jej nie widziałem.

Marszczę brwi.

– Powiedział pan, że zaręczyła się przed wyjazdem? Rzeczywiście rodzice Aurelii bardzo chcieli, by korzystnie wyszła za mąż, lecz nigdy nie ogłoszono zaręczyn. A kiedy wykryto u niej chorobę, wszyscy zapomnieli o małżeństwie.

– Czyżbym się pomylił? Nie, jestem zupełnie, zupełnie pewien, że wspomniała o zaręczynach. Później, jakieś trzy lata temu, otrzymałem list od panny Vennaway, w którym prosiła o wielką przysługę – nie napisała jaką – i zachowanie wszystkiego w absolutnej tajemnicy. Była niezwykłą młodą kobietą i jej historia naturalnie zrobiła na mnie wielkie wrażenie. W następnym liście gorąco mi podziękowała – było jasne, że to dla niej sprawa życia i śmierci – i dołączyła kopertę, którą znalazła pani dziś po południu. Przekazała mi drobiazgowo wskazówki, gdzie schować list, i napisała, że odbierze go pani po jej śmierci. Zastrzegła, że list pod żadnym pozorem nie może wpaść w niepowołane ręce i że o jego istnieniu nie mogą się dowiedzieć jej rodzice. Od tamtej pory czekam na pani przybycie.

Ciągle mnie dziwi wzmianka o zaręczynach, ale postanawiam zastanowić się nad tym później.

– Dziękuję, panie Crumm, za pana dobroć i wszystko, co pan zrobił. W dalszym ciągu nie wiem, co kierowało Aurelią, lecz rozumiem, że było to dla niej bardzo ważne, podobnie jak dla mnie. Bardzo się cieszę, że mogłam pana poznać.

– Ja również, panno Snow, ja również. Ach, ktoś otwiera drzwi. Czy to ty, Henry?! – woła nagle.

– Tak, dziadku. Jestem taki głodny, że mógłbym zjeść konia z kopytami! – dobiega stłumiony głos z holu.

Odwracam się, by się przywitać z małym Henrym, sympatycznym wnuczkiem pana Crumma. Spodziewam się zobaczyć szczupłego, wesołego chłopca w wieku czternastu lat, w szkolnej czapce. Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, gdy w drzwiach pojawia się wysoki dżentelmen mający przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu, z szopą ciemnych włosów, ciemnymi oczami i psotnym uśmiechem. Mały Henry okazał się całkiem duży! Mały Henry jest... hm, przystojny. Z powodu niedyspozycji jego matki spędzimy ten wieczór we trójkę. Czuję, że moje policzki pokrywają się rumieńcem. Nie jestem przyzwyczajona do kolacji w męskim towarzystwie.

– Henry, mój chłopcze! – Albert zrywa się z miejsca, obejmuje wnuka i poufale gładzi go po głowie jak ulubionego spaniela.

– Ach, staruszkule! – Henry delikatnie przyciska pana Crumma do piersi i obejmuje go ramieniem. – Gdzie kolacja? Dawaj ją natychmiast!

– Nie dostaniesz kolacji! Nie mam dziś dla ciebie kolacji!

– W takim razie natychmiast pójdę gdzie indziej... Och, witam panią! Nie, nie pójdę. Kto to taki?

– Powinieneś się nauczyć dobrych manier. Henry, to panna Snow. Przyszła dziś do księgarni.

– Dziadku, czy zawsze musisz ci powtarzać, że nie możesz bez przerwy zapraszać klientów do domu? Mają prawo nie chcieć kupić żadnej książki. Nie powinieneś ich tu więzić, aż się poddadzą i kupią jedną z powieści Wilkiego Collinsa! Panno Snow, proszę wybaczyć dziadkowi. To zwariowany staruszek, sama pani rozumie. Natychmiast uwolnię panią z niewoli.

Mam ochotę odpowiedzieć na jego żarty w podobnym tonie, lecz, szczerze mówiąc, w ogóle nie mogę odpowiedzieć. Boję się, że na mojej twarzy widać podziw, a zażenowanie pozbawia mnie zdolności mówienia. Nie ośmielam się spojrzeć na Henry'ego.

– Widziałem panią dziś po południu, prawda? – ciągnie. – Wchodziła pani do księgarni dziadka i o mało pani nie przewróciłem. Jeszcze raz przepraszam.

Nie zorientowałam się, że to on był dżentelmenem w drzwiach sklepu. Wtedy widziałam tylko jego cylinder i płaszcz. Ryzykuję kolejne szybkie spojrzenie, w nadziei że wyda się jednak mniej przystojny. Niestety okazuje się znacznie bardziej przystojny. Jego uśmiech mógłby sprawić, że moje serce rozkwitłoby jak kwiat – gdybym nie była taka przerażona. Nigdy nie czułam czegoś takiego w obecności Robina, Benjamina ani innych młodych wieśniaków z Enderby. Uważałam, że jako osoba o niejasnym pochodzeniu, z natury rzeczy nie jestem atrakcyjna. Wygląda na to, że jest inaczej.

– Kompletny z ciebie bałwan! – wtrąca Albert. Bardzo się cieszę, że coś mówi, bo w dalszym ciągu nie jestem w stanie wykrztusić słowa. – Zaraz ci wszystko wytłumaczę. Mieliśmy wspólną przyjaciółkę, która zmarła. Zaprosiłem pannę Snow na kolację, by o niej porozmawiać i lepiej się poznać.

Roześmiana twarz natychmiast poważnieje. Dostrzegam współczucie w oczach Henry'ego. Podchodzi do mnie i wymieniamy uścisk dłoni. Moja ręka wydaje się mała i lodowato zimna, gdy ją ujmuję.

– Och, panno Snow, bardzo mi przykro z powodu śmierci pani przyjaciółki. Cieszę się, że mogę panią poznać, choć wolałbym, by nastąpiło to w innych okolicznościach. Widzę, że zdarzyło się to niedawno. – Kiwa głową, wskazując mój żałobny strój.

W końcu odzyskuję głos.

– Dziękuję, panie Crumm, jest pan wyjątkowo uprzejmy. Tak, moja przyjaciółka zmarła dość niedawno, ale spodziewaliśmy się tego od kilku lat i jej śmierć nie była... Cóż, tak. – Miałam zamiar powiedzieć: „Jej śmierć nie była wielkim zaskoczeniem”, ale to nieprawda. Świat bez Aurelii wydaje mi się bardziej zdumiewający, niż był poprzednio.

– To okropne... Tym bardziej się cieszę, że jest pani z nami. Możemy ofiarować pani pociechę



i towarzystwo. Bardzo mi przykro, dziadku. Znałem tę damę?

– Nie, Henry, i ja również od dawna jej nie widziałem. Dowiedziałem się o jej śmierci od panny Snow. Nie martw się o mnie. Może wreszcie zjedlibyśmy kolację, panno Snow? Jest pani najmłodsza i to pani decyduje.

– Nareszcie jakaś rozsądna propozycja! – woła Henry i zdejmuje płaszcz. – Panno Snow, nie nazywam się Crumm, tylko Mead, ale proszę mówić do mnie Henry. Jak pani widzi, w naszym domu panują bardzo swobodne obyczaje!

Oczywiście. Kate jest córką Alberta, a Henry to jej syn. Wyobrażałam sobie, że mam do czynienia z Henrym Crummem, sympatycznym chłopcem, ale Henry Mead... To zupełnie inna historia.

– Jestem taka niemądra! Rzeczywiście, poznałam pańską matkę. W takim razie pan powinien mówić do mnie Amy.

– Amy, to dla mnie zaszczyt. A gdzie mama?

– Jest przeziębiona, Henry – odpowiada Albert i prowadzi nas zakurczonym korytarzem do jadalni. – Zwabiłem tu podstępnie pannę Snow, obiecując damskie towarzystwo, a teraz została tylko z nami dwoma!

Henry robi komiczną minę wyrażającą współczucie i zaniepokojenie, która sprawia, że ku własnemu zdumieniu głośno się śmieję. Nie pamiętam, kiedy się ostatnio śmiałam. Spogląda na mnie nieco dziwnym wzrokiem. Mój śmiech musi brzmieć jak skrzypienie zardzewiałej bramy.

Wbiega po schodach, by się zobaczyć z matką, a ja i Albert zajmujemy miejsca przy stole.

– Chciałbym skorzystać z okazji, że Henry jest chwilowo nieobecny, panno Snow. Naturalnie nie pytam o zawartość listu panny Vennaway, ale czy wyraziła życzenie, bym pani pomógł w inny sposób?

– Nie, panie Crumm. Odegrał pan swoją rolę.

– Doskonale, lecz proszę pamiętać, że mógłbym pani pomóc we własnym imieniu, gdyby pani tego potrzebowała. Jeśli zostanie pani w Londynie, musi pani gdzieś się zatrzymać. Moja najmłodsza córka Annie ciągle ze mną mieszka, choć gdzieś się włóczy dziś wieczorem. Mam wiele wolnych pokoi po piskłętach, które wyleciały z gniazda, i byłbym zaszczycony, gdyby zechciała pani zamieszkać w moim domu.

– Och, dziękuję, panie Crumm. To bardzo miło z pana strony, bo po śmierci Aurelii... Pan i pańska rodzina działacie na mnie jak balsam. Ale Aurelia każe mi jechać do... opuścić Londyn. Niestety muszę to zrobić natychmiast.

Chociaż na początku jestem przeraźliwie nieśmiała, spędzam jeden z najprzyjemniejszych wieczorów w swoim życiu. Czuję ogromną ulgę, że mimo wszystko udało mi się pokonać pierwszą przeszkodę – i kręci mi się w głowie od znakomitego wina.

Albert Crumm i jego wnuk to wyjątkowo sympatyczni gospodarze: dowcipni, mili, wrażliwi. Henry okazuje uprzejme zainteresowanie dziwnym gościem, choć jest młodym, przystojnym światowcem, a ja

tylko szarą myszką, która przez całe życie mieszkała na wsi. Mówi, że studiuje medycynę, lecz program nauki wydaje mu się przeładowany i nieznośnie nudny. Spędza dwa tygodnie u dziadka, by odpocząć. Zdaje się, że wykładowcy wyrazili zgodę na krótki urlop. Mają nadzieję, że wróci do nauki ze świeżym zapalem, akceptując rygorystyczny program studiów medycznych.

– Henry to lekkoduch – mówi jego dziadek z udawaną dezaprobatą, choć widać, że uwielbia wnuka i jest z niego dumny. – Nie jest głupi, bynajmniej, panno Snow, po prostu brakuje mu wytrwałości. Młody ladaco, rozumie pani, co mam na myśli, młody ladaco...

– Nie chciałbym, by uważała mnie pani za ladaco, panno Snow! – wzdycha Henry, opiera łokieć na stole i dotyka dłonią podbródka. Słucham uważnie, przyjmując tę samą pozę. Na początku nie ośmielałam się na niego patrzeć, lecz teraz mam odwrotny problem: nie mogę oderwać oczu od jego twarzy. – Po prostu nie jestem stworzony do książek, a przynajmniej nie do książek bogato ilustrowanych szczegółowymi rysunkami trupów. Sądzi pani, że jestem niedojrzały i lekkomyślny?

Wypijam łyk wina, rozkoszując się jego smakiem. Pochlebia mi, że Henry spytał mnie o zdanie. Spogląda na mnie uważnie, czekając na odpowiedź.

– Rozumiem, że studia medyczne to bardzo ambitne zajęcie, ale wymagają wielkiej wytrwałości. Nie dziwię się, że czujesz się zmęczony. Ale jestem pewna, że dasz sobie radę.

– Dziękuję, Amy. – Robi zamyśloną minę, jakby moja uwaga naprawdę miała jakieś znaczenie. Żałuję, że nie potrafię wymyślić nic więcej. Chciałabym przedłużyć tę rozmowę w nieskończoność.

Henry przypomina Aurelię – błyskotliwą, efektowną, zdolną, energiczną i inteligentną, a poza tym niespokojną i pełną idei. Mam nadzieję, że nauczy się poruszać w świecie łatwiej od niej.

Wkrótce zegar wybija północ i wpadam w przerażenie. Nie przypuszczałam, że czas może biec tak szybko w towarzystwie niedawno poznanych ludzi. Pragnę podążać tropem Aurelii (to oczywiste) i tak naprawdę nie mam wyboru, lecz trudno się rozstać z nowymi sympatycznymi przyjaciółmi.

Henry i Albert nalegają, że odwiozą mnie na Jessop Walk powozem Alberta. Chyba uważają, że bardziej wypada odwozić damę we dwóch niż w pojedynkę, wszak Kate leży w łóżku. Od czasu do czasu słyszemy jej kichnięcia – wyobrażam sobie nasiona dmuchawców unoszone przez podmuchy wiatru. Jestem wzruszona i przerażona, gdy Kate podchodzi do schodów, by mnie pożegnać. Doradzam kieliszek rumu na rozgrzewkę.

Dwaj dżentelmeni odwożą mnie do domu, choć oczywiście to wcale nie jest dom. Zakurzony, ciasny dom w Holborn wydawał mi się znacznie miłszy od Hatville, a Jessop Walk jest nijaki i smutny w porównaniu z każdym z nich.

Idę na palcach do swojego pokoju przez cichy pensjonat. Śmiechy i miła atmosfera sprawiły, że czuję się jeszcze bardziej samotna. Siadam na łóżku, ciągle ubrana w płaszcz i buty. Potrzebuję trochę czasu, by zrozumieć to, co mnie spotkało. Po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że jestem naprawdę u siebie. To samo uczucie pojawia się w moim dawnym marzeniu o domku i kucyku...

Przypominam sobie kilka ostatnich dni. Moja gospodyni, Begleyowie w pociągu, pan Carlton w hotelu Pod Różą i Koroną – wszyscy zachowywali się grzecznie, udzielali mi pomocy. Czułam ogromną wdzięczność, a jednak ciągle byłam Amy Snow z Hatville, zeszywniałą, pełną lęku, że kogoś obrazi. Albert i Henry... przy nich czułam się zupełnie inaczej. Byłam spokojna! Rozmawiałam z nimi, śmiałam się!

Z całego serca chciałabym przyjąć zaproszenie Alberta, poznać jego córkę Annie, zamieszkać w ich domu. Muszę ruszać w drogę. Nie mogę rezygnować z poszukiwań za każdym razem, gdy spotykam kogoś sympatycznego.

W nocy źle śpię. Rano budzi mnie słońce. Deszcz przestał padać, a ja mam opuścić Londyn. Jest pierwszy dzień lutego.

# CZEŚĆ DRUGA

Wreszcie coś okazuje się proste. Nie muszę prowadzić wyczerpujących poszukiwań, by odnaleźć rodzinę, którą powinnam odwiedzić. Nie muszę grzebać w pamięci i analizować dawnych, prawie zatartych wspomnień. Wiem o Wisterach więcej niż o innych osobach, które Aurelia spotkała w czasie swoich podróży. Mieszkają w Twickenham, a dokładny adres brzmi: Mulberry Lodge, Orleans Lane, Twickenham Meadows, Middlesex. Kiedyś, gdy zauważałam ten adres na kopertach listów Aurelii, wydawał mi się dziwaczny.

Istnieje wiele sposobów dotarcia do Twickenham: omnibusem, dylizansem, a nawet łodzią. Można również pojechać pociągiem do Richmond i pokonać resztę drogi pieszo. Dowiaduję się tego od pani Woodrow, która chętnie udziela informacji i z przyjemnością omawia wady i zalety każdego z tych sposobów.

Później, po szybkim spacerze po wilgotnych od deszczu ulicach, wsiałam do lśniącego dylizansu pocztowego obok katedry Świętego Pawła i patrzę przez okno na ogromną świątynię. Gigantyczna fasada z wapienia portlandzkiego jest czarna od sadzy. Kiedy mija świeżość poranka, wydaje się smutna, gniewna.

Dylizans nosi nazwę Meteor, tak samo jak jeden z koni lorda Vennawaya. Jest elegancki, starannie utrzymany, z lśniącymi mosiężnymi okuciami i skórzanymi siedzeniami. Koń ojca Aurelii nie był pokryty czarnym lakierem i nie miał czerwonych kół, lecz wyglądał równie dumnie jak pojazd, w którym siedzę. Oba Meteory otacza ta sama aura niecierpliwego oczekiwania na początek szalonego galopu.

Bez wahania zapłaciłam za miejsce w środku. Nie odznaczam się tak szalonym usposobieniem, by decydować się na jazdę na jednym z siedzeń na dachu, gdzie byłabym narażona na kaprysy pogody. Poza tym nie muszę już udawać, że dysponuję niewielką kwotą pieniędzy, bo i tak nikt mnie tu nie zna.

Rozglądam się, po czym pozwalam wysokiemu dżentelmenowi o bardzo jasnych włosach i błękitnych oczach pomóc sobie wejść do dylizansu. Nie spodziewam się spotkać w Londynie śledzących mnie członków rodziny Vennawayów, lecz przez cały instynktownie mam się na baczności.

W dylizansie znajduje się sześciu pasażerów, w tym guwernantka z dwiema dziewczynkami, jedną kilka lat starszą od drugiej. Na ich widok przypominam sobie przyjaźń z Aurelią i znów czuję ból po jej stracie. W środku siedzi także bardzo gruby dżentelmen o czerwonej twarzy. Jego brzuch jest tak wielki i napięty, że ma się wrażenie, jakby jego spodnie miały lada chwila pęknąć. Bezwiednie myślę, że spacer

służyłby mu lepiej niż jazda zatłoczonym, chybotliwym dylizanssem. Nie zaszkodziłyby mu też codzienne spacery na świeżym powietrzu.

Ostatnim pasażerem jest jasnowłosy dżentelmen, który pomógł mi wsiąść. Wygląda równie elegancko jak niektórzy goście odwiedzający Hatville. Nosi połyskliwy, jasnobłękitny krawat pasujący do koloru oczu. Czuję się w jego obecności bezbronna i brzydka, podobnie jak czułam się w Hatville. Odnosi się niezwykle grzecznie do wszystkich pasażerów, szczególnie wyróżniając mnie i guwernantkę.

– Gdyby potrzebowała pani jakiegokolwiek pomocy, z przyjemnością jej pani udzielię – mówi, gdy zajmujemy miejsca. Siedzi naprzeciwko mnie i czuję się zażenowana z powodu jego bliskości. – Rozumiem delikatną sytuację damy, która podróżuje samotnie. Czasami wymuszają to okoliczności, prawda?

W jakiś sposób udaje mi się jednocześnie skinąć i pokręcić głową. Chcę mu podziękować za troskę i wyrazić aprobatę. Żaden elegancki dżentelmen w Hatville – ani nigdzie indziej – nie mówił do mnie tak delikatnym tonem, z wyjątkiem Bailora Dunthorne’a, lecz nie chcę o tym pamiętać!

Jasnowłosy pasażer pochyla głowę w stronę guwernantki.

– Pani, madame, nie podróżuje sama, lecz jako opiekunka. Gdyby czegokolwiek pani potrzebowała, jestem do pani usług.

– Nie przypuszczam, bym czegoś potrzebowała, proszę pana. Jadę tylko do Hammersmith. – Jej ton zawiera jasne przesłanie: Proszę mi nie współczuć, proszę nie snuć domysłów na mój temat, doskonale dam sobie radę sama. Chciałabym mieć ją naśladować.

– Naturalnie. To bardzo blisko. Jestem pewien, że podróżowanie z takimi miłymi pannami to wielka przyjemność.

Guwernantka trochę łagodnieje.

– Dziękuję panu. To wspaniałe dziewczęta.

Odwraca się i skupia uwagę na oknie. Zauważam, że dziewczęta są z pewnością dobrze wychowane. Nie wiercą się, nie rozmawiają, nie robią do siebie min. W okolicach Westminsteru przestają mi przypominać mnie i Aurelię.

Rozlega się okrzyk woźnicy i strzał z bata, po czym ruszamy! Czuję to od pierwszego momentu: konie napinają uprząż, ciągną dyszel, który wprawia dylizans w ruch. Toczące się koła niosą nas przez miasto, a następnie wyjeżdżamy na jeden z gościńców, które obecnie, w erze kolei żelaznych, mogą wkrótce przestać być użytkowane.

Elegancki młody dżentelmen i grubas nawiązują uprzejmą rozmowę.

– Nazywam się Sebastian Welbeck – mówi tęgi mężczyzna i wyciąga pulchną dłoń. – Wolno spytać, z kim mam przyjemność?

– Garland – przedstawia się blondyn, pochyla się i ściska dłoń grubasa. Usłyszawszy jego nazwisko, pan Welbeck czerwienieje jeszcze bardziej.

– Quentin Garland z Chiswick? – pyta. – To zaszczyt, że mogę pana poznać, doprawdy, zaszczyt.

Finansista, przedsiębiorca, wybitna osobistość. Czy istnieją talenty, których pan nie posiada? – Zaczyna bardzo szczegółowo wypytywać pana Garlanda o jego poglądy na koleje żelazne.

Nie dziwię się, że pan Garland jest znaną postacią. Zastanawiam się, jak to się stało, że w ciągu dwóch dni spotkałam dwóch przystojnych i uprzejmych mężczyzn, którzy tak bardzo się od siebie różnią. Henry jest swobodny, szczery i wesoły, a pan Garland dystyngowany, grzeczny i zrównoważony. Henry ma zmierzwione włosy i długie, nieco niezgrabne ręce, pan Garland zaś robi wrażenie człowieka, którego nic nie byłoby w stanie wytrącić z równowagi, a jego włosów nie ośmieliłby się potargać żaden wiatr. Henry w dalszym ciągu próbuje odnaleźć swoje miejsce w świecie pełnym rozczarowań i niepewności, a pan Garland odniósł sukces, ma ustaloną pozycję. Henry mnie wzrusza, natomiast pan Garland wydaje mi się olśniewający, choć budzi również odrobinę lęku. Obaj są bardzo przystojni.

W Hammersmith opuszczają nas guwernantka i dziewczęta. Ich miejsca zajmują trzej starsi dżentelmeni, którzy kłaniają się towarzyszom podróży i rozpoczynają gorącą debatę na temat curry. Pan Welbeck jest bardzo gruby, więc wszyscy wciskają się obok mnie.

– Czy jest pani wygodnie, panno Snow? Może chciałaby pani zmienić miejsce? – pyta cicho pan Garland. Trzej mężczyźni nie zwracają na niego uwagi i kontynuują dyskusję, która staje się coraz bardziej ożywiona. Siedziska z końskiego włosia są twarde i nierówne. Prawie nie chronią przed wstrząsami dylizansu.

– Dziękuję panu, jest mi bardzo dobrze – odpowiadam niemal szeptem. Jestem zła na siebie, że zachowuję się jak szara myszka. Widywałam w Hatville dżentelmenów podobnych do pana Garlanda. Mijali mnie obojętnie, idąc na spotkanie z Aurelią, a on znajduje się kilkadziesiąt centymetrów ode mnie. Jego długie nogi sięgają prawie do mojego siedzenia, choć trzyma je elegancko zgięte. Przynajmniej raz jestem zadowolona, że mam krótkie nogi, które staram się podkulić.

Pochyliła się ku mnie z zatroskaną miną. Cofam się mimo woli.

– Daleko pani jedzie?

Waham się.

– Niezbyt daleko, proszę pana, dziękuję.

Pan Welbeck wydaje się zirytowany, że wspaniały pan Garland przestał okazywać mu zainteresowanie, po chwili jednak rozpoczynają szczegółową dyskusję na temat giełdy, której zupełnie nie rozumiem. W czasie jazdy, siedząc wśród rozmawiających ludzi, mimo woli zerkam od czasu do czasu na pana Garlanda. Wygląda, jakby oddawał się kontemplacji, choć jestem pewna, że to niemożliwe. Ma około trzydziestu lat: nie jest głupim młodzikiem ani nudnym starcem. Jego idealne rysy, elegancki szary surdut i cylinder budzą mój podziw – nigdy nie widziałam równie wysokiego mężczyzny. Jak można osiągnąć tak niewymuszoną doskonałość? Wyglądam przez okno, przerażona, że mógłby zauważyć mój wzrok.

Wracam myślami do wczorajszego dnia, do niebieskiego nieba nad Londynem i plusku deszczu. Odkrycie listu, kolacja z Henrym i Albertem. Czy można tęsknić za ludźmi, których spotkało się tylko raz?

Wydaje się, że tak.

Przejeżdżamy przez Richmond. Widzę majestatyczne budynki, zieloną rzekę i piękny most na Tamizie. Patrzę na krainę wierzb i dryfujących wysp. Londyn został daleko w tyle.

– Piękny widok, prawda? – napomyka pan Garland, uśmiechając się do mnie. Chyba zauważył podziw w moich oczach.

Zatrzymujemy się przy moście, płacimy myto i ruszamy z turkotem w stronę Twickenham. Mijamy łąki i gospodarstwa warzywne, lecz trzech miłośników curry siedzących obok mnie utrudnia mi patrzenie przez okno, toteż oglądam tylko fragmenty krajobrazu.

– Twiiiiick’num! – woła woźnica i gwałtownie zatrzymuje dylizans. Słyszę rzenie koni. – Panie i panowie, pub George, King Street!

Wstaję z miejsca, niepewna w obecności tylu mężczyzn, lecz nie zwracają na mnie uwagi, z wyjątkiem pana Garlanda. Wysiada przede mną i otwiera szeroko drzwiczki. Pomaga mi wyjść z pojazdu, trzymając w ręku moją torbę.

– Czy ktoś po panią wyjdzie, panno Snow? Mógłbym panią odprowadzić? – Podaje mi ramię. Nie wiem, co robić! Rozwiązuję problem w niezbyt elegancki sposób, wyciągając do niego dłoń. Nasze rękawiczki na krótko się stykają. Moje są brzydkie, a jego jak z ilustracji w magazynie o modzie.

– Nie ma potrzeby, proszę pana, ale dziękuję za uprzejmą propozycję. To niedaleko. Jest piękny dzień, a ja lubię spacerować.

Waha się, po czym składa nieskazitelnie elegancki ukłon, spoglądając mi prosto w oczy. Oblewam się rumieńcem i dygam. Żegna się ze mną, przechodzi przez ulicę, wkłada cylinder i znika w King’s Head, a ja wzdycham z ulgą, że znowu jestem sama. Miał idealne maniery i traktował mnie niezwykle uprzejmie, a jednak... po jego odejściu zaczynam normalnie oddychać.

Samotna na hałaśliwej King Street, przyznaję przed sobą, że znów nie wiem, gdzie jestem ani dokąd mam iść.



Nie śpieszę się, bo nikt na mnie nie czeka. Najpierw pytam woźnicę dyliżansu, jak się dostać do Twickenham Meadows, a później młodą dziewczynę pędzącą świnie, gdzie znajduje się Orleans Lane. Niebawem staję przed bramą Mulberry Lodge, domu Wisterów. W ciągu ostatnich kilku dni rozmawiałam z większą liczbą nieznajomych ludzi niż przez całe dotychczasowe życie.

Dom stoi na uboczu, spokojny i majestatyczny. Jest kwadratowy, biały z granatowymi drzwiami, cały opleciony winoroślą. Przechodzę przez bramę i zbliżam się do budynku, który stopniowo wydaje się coraz ładniejszy. W obszernym trawiastym ogrodzie rosną cedry.

Spomiędzy krzaków wyskakuje pies i podbiega, by mnie powitać. To duży, włochaty kundel o piaskowej sierści. Nie przynależy do konkretnej rasy, podobnie jak ja. Skacze wokół mnie, szczekając, a ja się uśmiecham. Zawsze uważałam, że psy to wyjątkowo rozsądne stworzenia: żadnych biletów wizytowych, konwenansów, tylko jedzenie, spanie i zabawa. W Hatville nie było psów.

– Witaj, Caversham. Nazywasz się Caversham, prawda? – Klękam i głaszczę go po grzbiecie. Stroszy sierść, a później, zadowolony, że jego imię jest powszechnie znane, przewraca się na grzbiet, ukazując równie włochaty brzuch.

Otwierają się drzwi frontowe.

– Caversham? Cav! Co właściwie... Och, dzień dobry! – Młoda kobieta uśmiecha się do mnie i owija się ciasno szalem. Wychodzi w domowych pantoflach.

– Proszę się nie przeziębic! – wołam i wstaję. Caversham tuli łeb do mojej sukni i idzie za mną. – Przepraszam, że przyszłam bez zapowiedzi, panno Wister, ale bardzo chciałabym z panią porozmawiać.

– Naturalnie, moja droga. – Zaprasza mnie gestem do środka. – Ale najpierw zamknę drzwi z powodu tego straszliwego chłodu. Proszę wejść. Jak się pani nazywa? Przyszła pani do mnie czy do mojego ojca?

– Cóż, do pani i pani ojca. Do całej rodziny. Nazywam się Amy Snow, panno Wister.

Mija kilka niepokojących sekund, gdy obawiam się, że moje nazwisko nic jej nie powie, lecz nagle na jej twarzy pojawia się zrozumienie.

– Ojej! Amy Snow! Witaj, moja droga! Wejdz, wejdz! Od dawna się pani spodziewamy! Mamo! Tato! Dzieci! Wreszcie przyjechała Amy Snow! Mamo!

Z wielu pokoiów wybiega nagle wiele osób. Ledwo widzę otaczające mnie twarze, bo wszystko zmienia się w ogromny wir. Rzuca mi się na szyję mnóstwo nieznajomych, ciągną mnie w różne strony, aż

wreszcie znów znajduję się w miejscu, w którym byłam na początku.

Zdejmują ze mnie płaszcz, zabierają moje zabłocone buty i przynoszą domowe pantofle. Każą mi usiąść w fotelu przy kominku i stawiają na kolanach srebrną tacę z talerzykiem ciastek i kieliszkiem madery. Nie wolno mi mówić. Mogę tylko jeść i pić. Próbuję się zachowywać zgodnie z oczekiwaniami, choć czuję się nieco zdenerwowana, gdy obserwuje mnie sześć lub siedem – nie, osiem! – osób, które się uśmiechają i kiwają głowami, jakbym robiła coś niezwykłego. Rzeczywiście powitano mnie jak członka rodziny.

– Od czego chciałabyś zacząć, moja droga? – pyta starsza kobieta o matczynym wyglądzie, chyba pani Wister. – Zobaczyć swój pokój? Odpocząć? A może coś nam opowiedzieć? A może dziewczęta powinny oprowadzić cię po domu, żebyś poczuła się jak u siebie?

Rozglądam się oszołomiona. Znajduję się w pokoju pomalowanym na turkusowo z akcentami złota i zieleni. Nie mogę wykrztusić słowa. Po niedawnych przykrościach trudno mi się oswoić z tą cudowną rzeczywistością.

– Nie wiem, co o tym wszystkim sądzić! Do zeszłego wieczoru nie wiedziałam, że mam odwiedzić Twickenham. Nie wiem, czy znają państwo plany Aurelii względem mnie, ale dostałam list, w którym kazała mi tu przyjechać... Ale proszę mi powiedzieć, czy nie wiąże się z tym jakaś niedogodność. Nie chciałabym się narzucać i mogę łatwo wynająć pokój we wsi, jeśli byłoby to dla państwa wygodniejsze.

– Pokój we wsi? To chyba niezbyt dobry pomysł, panno Snow. Wygodniejsze? Nie sądzę. Tak bardzo pragniemy panią poznać, że bez przerwy byśmy panią odwiedzali. Zdarlibyśmy zelówki!

– Oczywiście, że musi pani zamieszkać u nas, panno Snow – mówi inna ładna dziewczyna, nie ta, która powitała mnie przy drzwiach. – Od dawna marzymy, by panią poznać.

– To wszystko na pewno wydaje się pani bardzo dziwne, panno Snow. – Pan Wister wstaje i wsuwa kciuki za kamizelkę. – Wczoraj dowiedziała się pani, że powinna pojechać do Twickenham, prawda? My oczywiście wiedzieliśmy znacznie wcześniej i wszystko przygotowaliśmy! Dlatego mamy nad panią przewagę. Droga Aurelia była śliczną dziewczyną, ale wielką ekscentryczką i jej działania mogą się wydawać dziwne. Niewątpliwie miała swoje powody. Na pewno chciałaby pani spytać nas o wiele rzeczy, więc wkrótce zaspokoimy pani ciekawość. Panna Vennaway obiecała, że panią do nas przyśle, gdy... gdy nadejdzie smutna chwila. Chcemy, by zatrzymała się pani w naszym domu tak długo, jak będzie pani miała ochotę, nawet na zawsze! Jak pani widzi, nasza rodzina jest liczna, co może być trochę męczące, ale jesteśmy spokojnymi, niegroźnymi ludźmi, podobnie Caversham. Uważam, że będzie tu pani wygodniej, panno Snow. Zaopiekujemy się panią, odkarmimy...

– Wygląda pani na zabiedzoną – wtrąca pani Wister. – Dobrze się wyraziłeś, Edwinie, bo nie myślałam o tym z perspektywy panny Snow. W końcu jesteśmy dla niej obcymi ludźmi. Widzisz, moja droga, tyle razy słyszeliśmy o tobie od Aurelii, że wydaje nam się, że cię dobrze znamy!

– A ja państwa, z jej listów i opowieści. – Wreszcie odzyskuję spokój. Długi rząd twarzy zaczyna nabierać dla mnie znaczenia. – Oczywiście nazywa się pani Wister i jest pani kuzynką pani Bolton.

– Tak, panno Snow. Mam na imię Constance. Moglibyśmy nazywać panią Amy? Jeśli będziemy przestrzegać konwenansów, jest tyle panien Wister i panów Wisterów, że trudno się w tym połapać.

– Nie może pani nazywać papy panem Wisterem! – wtrąca z bardzo zirytowaną miną najstarszy chłopiec, czternastoletni Michael. – To brzmi groteskowo! Namawiam go, by uzyskał tytuł arystokratyczny. Lord Wister brzmi znacznie lepiej, ale ojciec nie chce spełnić mojej prośby. Pan Wister! Amy, kiedy będę starszy, ja także zostanę panem Wisterem!

Nie mogę się powstrzymać od śmiechu.

– W takim razie będę cię nazywać Michaelem. A teraz pozwólcie, że się wam przyjrzę. – Widzę, że dziewczyna, która otworzyła drzwi, jest ode mnie rok lub dwa lata starsza. – Ma pani na imię Madeleine – ryzykuję, a ona kiwa głową. Jest prześliczna. Biała suknia i złociste wstążki idealnie pasują do jasnych włosów i kremowej cery. – Panna Priscilla – witam drugą córkę, dziewczynę w moim wieku. Nosi gładką szafirową suknię z czerwonymi różami. Ma kasztanowe włosy, brązowe oczy i sympatyczne dołeczki w policzkach.

– Widzisz! – wtrąca Michael. – Panna Priss Wister. Nie przemyśleli tego, prawda?

– Może nie, Michael. Kto to taki? Oliver?

– Nie, nazywam się Hollis. – Dwaj następni chłopcy, Hollis i Oliver, są w podobnym wieku, mają kasztanowe włosy i brązowe oczy. – Jak bliźniacy, a jednak nie bliźniacy, rozumiesz? – tłumaczy Hollis.

– A to na pewno... Cóż, to z pewnością najmłodszy członek rodziny!

Doskonale pamiętam, że Aurelia wspomniała o narodzinach ślicznej córeczki kuzynki pani Bolton. W tej chwili dziewczynka ma cztery lata i złociste kręcone włosy. Panna Louise tuli małego spaniela, który wierci się w jej ramionach.

– Clover – mówi cicho, unosząc szczeniaka w moją stronę i patrząc na mnie wielkimi błękitnymi oczyma.

– Jestem zaszczycona, że mogę cię poznać, Clover. – Robię krok do przodu i głaszczę psa, który liże mnie po rękę małym różowym językiem.

Zainteresowanie tylu ludzi – nie tylko małej Louise, lecz wszystkich członków rodziny – sprawia, że czuje się onieśmielona. Wydają się tacy... szczęśliwi! I swobodni.

Wyobrażam sobie, jak mnie widzą: blada, koścista, z podkrążonymi oczami, w taniej żałobnej sukni z nędznej tkaniny. Czuję się wśród nich jak goblin, brzydki, ponury, tajemniczy, zanurzony w przeszłości. Pragnę się z tego wyplątać, oczyścić się w promieniach słońca, stać się członkiem tej szczęśliwej, dobrej rodziny.

Ale chociaż niedawno tu przybyłam, wiem, że wkrótce będę musiała stąd odejść.

Moi nowi gospodarze to zamożna, sympatyczna rodzina należąca do klasy średniej. Czuję się przytłoczona. Doświadczam tego już po godzinie spędzonej w ich towarzystwie, w trakcie wystawnego obiadu, który rozpoczyna się wkrótce po ciastkach i maderze. Przede wszystkim są zbyt liczni. Trudno mi się zorientować, czy popełniam jakieś gafy. Kiedy jadłam kolację z panem Crummem i jego wnukiem, mimo nieśmiałości jakoś sobie z tym radziłam, bo mogłam śledzić ich reakcje i szukać oznak zagrożenia.

Ale tutaj?! Nie jestem w stanie podążać za tokiem rozmowy – a raczej rozmów prowadzonych wokół mnie. Zwraca się do mnie jednocześnie mnóstwo ludzi. Zadają pytania, żartują, opowiadają historie, wstają od stołu, by przynieść szale, rysunki i ołowiane żołnierzyki, które pragną mi pokazać... Czuję lęk, że nie odpowiem na czyjeś pytanie, nie okażę wystarczającego entuzjazmu albo po prostu zasnę nad talerzem zupy.

Po moim przybyciu pojawił się jeszcze jeden członek rodziny, powiększając liczbę obecnych: pani Larissa Nesbitt, matka Constance. Pani Nesbitt (nie potrafię się zdobyć na to, by nazywać tę matkę rodu Larissą) to słodka, miła wdowa. Ma siwe włosy, rumiane policzki i nosi śnieżnobiały czepek. Wydaje się nieśmiała i krucha, ale pozory mogą mylić, podobnie jak w przypadku Aurelii.

Okazuje się, że pani Nesbitt bardzo lubi życie towarzyskie i rzadko można zastać ją w domu. Wraca w porze lunchu po wizycie u „drogiego Jacka”, czyli, jak rozumiem, lorda Johna Russella, obecnego premiera rządu Jej Królewskiej Mości.

– Nie wiem, jak ona to robi – szepce do mnie Priscilla. – Uważamy się za ludzi towarzyskich, ale babcia zna absolutnie każdego! Zaprzyjaźniają się z nią nawet arystokraci, którzy by na nas nie spojrzeli.

Pani Nesbitt informuje mnie słodkim, ujmującym głosem, że owdowiała kobieta powinna mieć własne życie i duży krąg przyjaciół. Dodaje, że nie miałyby nic przeciwko ponownemu zamążpójściu.

Inna trudność polega na tym, że Wisterowie są weseli. Nie znałam dotąd podobnych ludzi. Nie wiem, co mówić i jak się zachowywać, by nie psuć wszystkim humoru. Uważam, że nawet Aurelia nie była szczęśliwa w taki sposób. Od najmłodszych lat musiałyśmy bronić naszej przyjaźni przed jej potężnymi rodzicami, zmagać się z przeciwnościami. Wydaje się, że tutaj nie ma żadnych przeciwności.

Jeśli kogoś nie pocieszam albo nie zastanawiam się nad tajemnicą Aurelii, to nie wiem, co robić. Może po prostu obserwować Wisterów i dyskretnie uczyć się ich sposobu zachowania, nim skupią na mnie uwagę? W końcu moi gospodarze stają się dla mnie przedmiotem pracowitych studiów i na długo

przed kolacją czuję się bardzo zmęczona.

Constance zauważa, że jestem przygaszona, więc zabiera dzieci i prowadzi mnie do mojego pokoju. Wyjaśnia, że pokój czeka na mnie od jakiegoś czasu.

Jest przestronny i ładny. Białe muslinowe firanki poruszają się delikatnie w podmuchach powietrza ze szpar w źle dopasowanych oknach. Na kominku płonie ogień, a obok lśni miedziany kubełek z węglem.

– Dorzucaj węgiel łopatką, gdy ogień przygaśnie – mówi Constance. – Najważniejsze, by ci było ciepło i miło. Chciałam cię ulokować w tym pokoju, bo długo mieszkała tu panna Aurelia, więc doszłam do wniosku, że sprawi ci to przyjemność. Zresztą to jedyny wolny pokój.

Zapewniam ją, że jestem bardzo zadowolona. Jeszcze nigdy nie mieszkałam w miejscu tak przypominającym mój wymarzony dom. Mulbery Lodge jest znacznie większy od skromnego domku, jaki widzę oczami wyobraźni, lecz równie sympatyczny i przytulny. To, że znalazłam takie miejsce, wydaje mi się cudownym zrzędzeniem losu. Czuję, że nie podążam tylko tropem Aurelii, w moje poszukiwania wpleciona jest również część mego losu. Modlę się, by tak było.

W przygotowanie pokoju włożono tak wiele starań, że zapominam o chłdzie. Umeblowanie stanowią różowo-zielone dywany i niewielkie łóże z baldachimem, a ściany pokrywa kremowa tapeta w różowe paski. Jeszcze nigdy nie widziałam wytapetowanych ścian. Pod oknem stoi okrągły stolik i dwa fotele – wyobrażam sobie, że siedzę tam wczesnym rankiem, spoglądając na ogród. Na ścianach wiszą obrazy. Jeden przedstawia dom obrośnięty powojnikami, na najwyższym stopniu schodów siedzi z groźną miną Caversham.

– Namalowała to Aurelia?

– Tak. Podarowała nam ten obraz przed wyjazdem, kochana dziewczyna. – A to twój kufer. – Constance wskazuje dużą drewnianą skrzynię stojącą obok łóżka.

– Mój kufer?!

Constance powiedziała to takim tonem, jakby chodziło o coś oczywistego, lecz nigdy w życiu nie miałam kufra ani rzeczy, które mogłabym w nim przechowywać.

– Ależ tak! Zostawiła go dla ciebie Aurelia. Był jej oczkiem w głowie, gdy u nas mieszkała. Klucz jest w szufladzie szafy na książki. Zostawię cię teraz, na pewno tęsknisz za chwilą spokoju. Proszę, odpocznij i wyjdź dopiero, gdy będziesz miała ochotę, choćby jutro. Albo za trzy dni! Nie wyobrażam sobie, co to znaczy nie mieć domu! Musimy ci go zastąpić.

Dziękuję jej z całego serca. Rzeczywiście potrzebuję odpoczynku. Dziś rano obudziłam się w smutnym pensjonacie na Jessop Walk, a teraz jest późne popołudnie w Mulberry Lodge.

Kiedy Constance wychodzi z pokoju, patrzę na kufer. Podarunek – albo podarunki! – od Aurelii! Przez cały czas na mnie czeka! Jest duży, dębowy, z mosiężnymi uchwytami z obu stron. Jeśli Aurelia spodziewa się, że wezmę go ze sobą, nie wiem, jak będę podróżować. Ale w tej chwili oszczędzę sobie mąk związanych z zastanawianiem się nad tym problemem. Po raz pierwszy po jej śmierci czuję się bezpieczna. Zaciągam zasłony, by nie widzieć murawy oświetlonej przez zachodzące słońce, smukłych

cedrów i rzeki znajdującej się dalej. To może poczekać. Nawet kufer może poczekać. Wszystko może poczekać.

Śni mi się, że spadam, i nagle się budzę. Leciałam długo, w otchłań, z której nie ma powrotu. Mój ruch spowalniał gęsty śnieg, lecz mimo to spadałam coraz dalej, na wznak, z wyciągniętymi rękami i nogami. Wokół mnie trzepotała czarna sukienka, a listy Aurelii – dziesiątki listów – wypadały z kieszeni i odlatywały niczym ptaki. Śnieg zamknął się nade mną i wszystko spowiła ciemność.

Wokół panuje mrok. Leżę na czymś miękkim i czuję się dziwnie. Nie ma żadnych punktów odniesienia, które pozwoliłyby się zorientować, gdzie jestem – żaden błysk światła nie przywraca poczucia samej siebie. Mocno bije mi serce. Mam wrażenie, że zniknął znany mi świat i obudziłam się w krainie z baśni.

Pamięć stopniowo powraca, a wraz z nią świadomość, że leżę w łóżku w Mulberry Lodge. Jestem bezpieczna. A jednak nie wiem, gdzie znajduje się świeca, nocnik, zegar. Nie wiem, po której stronie są drzwi, okno i fotel, na którego oparciu powiesiłam suknię. W ciągu sześciu nocy spałam w czterech różnych pokojach. Nic dziwnego, że mam mętlik w głowie. Przrzekam sobie, że jeśli okaże się to możliwe, pozostanę w tym domu tak długo, aż odzyskam orientację.

Wychodzę z łóżka i wstrząsa mną dreszcz. Noc jest lodowata. Podchodzę na palcach do okna, wpadam na stolik i rozsuwam zasłony. Na niebie nie świeci księżyc, na dworze panuje absolutny spokój. Musi być środek nocy. Nie mogę znaleźć świecy, więc wracam do łóżka.

Teraz, gdy się obudziłam, zaczynają mnie dręczyć myśli. Poszukiwanie skarbu Aurelii budzi we mnie mieszane uczucia. Gdyby nie moje zadanie, mogłabym całkowicie pogрузić się w żałobie, ale wiem, że w którymś momencie muszę się uwolnić od Aurelii i budować własne życie. To nie ja zaplanowałam tę podróż. Przygotował ją ktoś inny. Przypominam szwaczkę szyjącą suknię zaprojektowaną przez kogoś innego, niepewną, czy gotowy strój okaże się twarzowy, a nawet czy w ogóle będzie pasować. Wciąż nie jestem wolna.

Ale perspektywa wolności budzi we mnie przerażenie. Co powinnam robić? Mieszkając obecnie z tą głośną, serdeczną rodziną – trzy pokolenia pod jednym dachem – znów czuję ciężar zagadki swojego pochodzenia. Kim jestem? Żałuję, że nie znam swoich rodziców. Żałuję, że nie wiem, dlaczego mnie zostawili. Chciałabym znać jakieś szczegóły, które pomogłyby ich zrozumieć: brzmienie śmiechu, barwę sukni... Chciałabym, chciałabym, chciałabym... Ale nawet w czasie tych marzeń jakaś część mojej duszy rozumie, że ta wiedza nie dałaby mi tego, czego potrzebuję. Aurelia doskonale знаła swoje pochodzenie – i przez całe życie z nim walczyła, ponieważ uważała, że nie definiuje ono jej natury.

Znów zapadam w niespokojny sen, a kiedy się budzę, wstaje szary świt i mogę poszukać świec.

Znajduję je w szufladzie szafy na książki i zapalam dwie. Postanawiam się ogrzać i zarzucam stary, postrzępiony szal na starą, postrzępioną koszulę nocną, choć noszenie tych brzydkich, skażonych nieszczęściem łachów wydaje się czymś niestosownym w tym szczęśliwym domu. Siadam na podłodze przed kufrem.

Klucz pasuje i obraca się bez trudu w zamku. To nowy kufer, świeży i czysty, nie pachnie pleśnią ani stęchlizną, a wieko unosi się bez skrzywienia. Jest pełny, na wierzchu leży muślin posypany lawendą. Czuję zapach i przypominam sobie szczęśliwe lato w Hatville, lecz gdy podnoszę jeden z kwiatów, natychmiast opadają z niego zasuszone płatki. Dostrzegam kopertę ze swoim imieniem.

*Moja Najdroższa Amy!*

*Oto jestem i czekam na Ciebie. Pamiętaj, że nigdy Cię nie zapomnę, ani w życiu, ani po śmierci. Odnalazłaś ukochanych Wisterów. Zaopiekują się teraz Tobą i może zrobią to lepiej ode mnie!*

*Kiedy znalazłam Cię w śniegu, miałam dobre intencje, zapewniam Cię. Wierzyłam, że mogę zrobić wszystko – chciałam wierzyć. Ale nie potrafiłam przekonać rodziców, by Cię zaakceptowali. Nie umiałam zmienić społeczeństwa, by znalazło dla Ciebie właściwe miejsce.*

*Pragnę, żebyś wiedziała, ptaszku, że teraz to wszystko rozumiem i z całego serca przepraszam. Wiem, że nie chcesz moich przeprosin, że nie obarczasz mnie odpowiedzialnością za okrucieństwa, których doświadczyłaś. Jednak robię pierwszy krok, by zrzucić ciężar z serca. Przepraszam Cię i dziękuję za Twoje szlachetne oddanie mimo moich licznych wad. Przede wszystkim egoizmu.*

*Przypomina mi się rok, gdy wyjechałam i zostawiłam Cię samą – serce mi się kraje na samą myśl o tym, najdroższa. Miałaś zaledwie trzynaście lat.*

*Koniecznie chciałam wyjechać, wiesz przecież. Musiałam skorzystać z nadarzającej się okazji, nie bacząc na konsekwencje. Ale moja wściekła determinacja miała jeszcze inną przyczynę – nigdy Ci o niej nie wspomniałam. Zrobię to teraz.*

*Najdroższa, pamiętasz, jak bardzo moi rodzice pragnęli, bym wyszła za mąż, jak rozpaczliwie pragnęli mieć dziedzica? Wiadomość o mojej chorobie serca oczywiście położyła temu kres. Moi rodzice – i, jak rozumiem, wszyscy mieszkańcy Hatville – byli wstrząśnięci.*

*Ale mijał czas, prawda? I z pozoru w dalszym ciągu cieszyłam się dobrym zdrowiem. Łatwo było udawać, że nie mam tej fatalnej wady serca, a przynajmniej trochę się uspokoić, wierząc, że będę żyć jeszcze dłuższy czas. Wszyscy doszliśmy do siebie. Pojawiła się ekscytująca możliwość wyjazdu z panią B. Natomiast moi rodzice zaczęli snuć plany (nigdy nie wróżyło to niczego dobrego).*

*Wygłądałam tak dobrze, że zastanawiali się, czy nie mogłabym jednak bezpiecznie urodzić*



*dziecka. Uznali, że w obecnej sytuacji zawarcie przeze mnie małżeństwa jest absolutnie konieczne. I tak mieli mnie stracić – gdybym pozostała panną, niczego by to nie zmieniło – ale moje dziecko byłoby żywym wspomnieniem po mnie. Nagle bardziej niż kiedykolwiek zapragnęli wnuka (bo oczywiście miałam urodzić chłopca). Nie tylko dziedzica, kontynuatora chwały rodu Vennawayów, ale źródła pociechy po mojej śmierci. Znów nalegali, bym wyszła za mąż.*

Odkładam list, czując mdłości. Czy to prawda? Czy naprawdę zamierzali zmusić córkę do małżeństwa tuż przed śmiercią? Chociaż... Aurelia miała rację. W tamtych czasach trudno było uwierzyć, że umrze. Straciła siły znacznie później. Wydawała się promienna jak zawsze. W głębi serca rozumiem, jak Vennawayowie zdołali sobie wmówić, że ryzyko jest niewielkie. Czytam dalej:

*Wezwali mnie pewnego dnia, Amy, i powiedzieli, że przyjęli propozycję małżeństwa w moim imieniu. Byli nawet tak mili, że wyznaczili datę ślubu na wiosnę. Możesz sobie wyobrazić moją zgrozę i niepokój. Stało się to tak nagle, po okresie względnego spokoju, że nie byłam przygotowana. Opis rozmowy, która nastąpiła później, zajęłaby wiele stron, Amy: dyskusje, błagania, rozkazy, płacz. Krótko mówiąc, prosiłam, błagałam, wściekałam się, groziłam i mówiłam koszmarnie rzeczy. Wszystko na próżno. Za dwa miesiące miałam poślubić Bailora Dunthorne'a. Mam nadzieję, że go pamiętasz, Amy?!*

Bailora Dunthorne'a! Jak mogłabym go zapomnieć? Godzina spędzona w jego towarzystwie przypominała godzinę spędzoną w klatce tygrysa. Mogło się mieć szczęście. Zwierzę mogło nie zaatakować. Ale nikt nie potrafiłby dać takiej gwarancji i dlatego nie było to przyjemne przeżycie. Po plecach przebiegają mi ciarki, przypominam sobie jego masywną postać pochylającą się w moją stronę, ręce oparte na kolanach, śniadą twarz i lubieżne oczy, które coraz bardziej się zbliżały... Ale pochodził ze znakomitego rodu, jeszcze starszego niż Vennawayowie. Teraz rozumiem, dlaczego chcieli, by go poślubiła. Ojciec Bailora pragnął, żeby syn się ustatkował i spłodził kilku synów. Aurelia zawsze twierdziła, że jest dla niego wymarzoną żoną, bo wkrótce umrze.

– Miłość?! – pytała z grymasem na twarzy. – Bailor nie potrzebuje żony, podobnie jak ja nie potrzebuję męża. Nie, chce mnie poślubić, bo jest to idealne rozwiązanie wszystkich jego kłopotów. Udobruchany ojciec, spełniony obowiązek wobec rodu, a potem młody rozpustnik odzyskuje wolność. Wyobrażam sobie, jak udaje, że ma złamane serce, i używa tego jako wymówki, by nigdy się nie żenić ponownie i robić, na co ma ochotę. Gdyby łączyła nas nić sympatii, mógłby to być dobry układ. Ale nie lubię Bailora, Amy. Nie lubię go.

Ja też go nie lubiałam.

*A zatem widzisz, miałam znacznie ważniejsze powody, by wyjechać z Hatville, niż sobie*

wyobrażałaś, ptaszku. Przyzwyczaiłam się, że rodzice mnie nie rozumieją, nie zgadzają się ze mną, ale nigdy się nie spodziewałam, że w ostatnich latach mego życia zmuszą mnie do ślubu... z mężczyzną, który... Och, Amy, wiesz, co mam na myśli. Albo nie zdawali sobie sprawy, że to największa obraza, największe okrucieństwo, jakie może mnie spotkać, albo po prostu chcieli postawić na swoim. Nigdy się nie dowiem.

Naturalnie w dalszym ciągu – wielokrotnie! – zabraniali mi wyjechać z panią B. Chcieli, bym jak najszybciej wzięła ślub. W końcu, gołąbeczko, doszło do kompromisu. Obiecałam, że jeśli pozwolą mi wyjechać na trzy miesiące, poślubię Bailora po powrocie.

Mocno bije mi serce. Zgodziła się?! Pamiętam długie, niespokojne, prowadzone szeptem rozmowy, trzaskające drzwi, poczucie, że stawka w tej grze jest większa niż zwykła podróż dla przyjemności. Teraz rozumiem.

Zgodzili się! Zaakceptowali moje warunki. Miałam wrócić w czerwcu, zapomnieć o głupich pomysłach i uporządkować swoje sprawy. Powinnam się ustatkować i zostać żoną Bailora, a później urodzić dziecko. Oczywiście kłamałam. Nie miałam zamiaru wychodzić za Bailora, w czerwcu ani kiedykolwiek. Powiedziałam mu to na osobności. Kiedy wyjechałam z Hatville, jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, jak nieustępliwie zamierzam bronić swojej decyzji, ale i tak byłam pełna determinacji.

Wyjeżdżając, Amy, uważałam, że nigdy nie przebaczę rodzicom. Lecz teraz, przed śmiercią, muszę się z nimi jakoś porozumieć, dla naszego wspólnego dobra. Moim zdaniem pragnęli wierzyć, że mimo wszystko mogą mieć wnuka. Przypuszczam, że ta myśl doprowadzała ich do szaleństwa. Rozumiem to, Amy, naprawdę rozumiem, ale przecież nikt nie brał pod uwagę moich uczuć! Wierzę, że mnie kochali w swój dziwny sposób. Może powinna w to wierzyć każda córka, niezależnie od tego, jak bardzo się zmusza do takich myśli.

Doskonale wiem, co ma na myśli. Ileż razy wymyślałam scenariusze, które pozwoliłyby oczyścić z winy moją matkę, przyjmując, że w przeszłości byłam darzona miłością?

Dlaczego Ci o tym nie wspomniałam? Kochany ptaszku, wstydziłam się! Czuję się tak upokorzona tą brzydką aferą, że nie mogłam o niej wspomnieć nawet swojej najdroższej, ukochanej powiernicy. Pragnęłam tylko odzyskać wolność, a potem, z dala od Hatville, odetchnąć, zastanowić się, odnaleźć sposób, by uporządkować wszystko, co stało się trudne i skomplikowane. Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, najdroższa, że pojawią się nowe komplikacje, ale to zupełnie inna historia. Ten list i tak jest bardzo długi. Wkrótce opowiem Ci resztę.

Otworzyłaś już kufer? Jestem pewna, że nie. Zrób to, Amy, znajdziesz tam nowe ubrania. Najdroższa, przez najbliższe dwa miesiące zapomnij o poszukiwaniach skarbu. Może Ci się to wydać dużą zwłoką, ale potrzebujesz czasu, by odpocząć i dojść do siebie po tym, co Cię spotkało. Powinnaś zrozumieć, czym jest poczucie bezpieczeństwa. Uważam, że czas jest najlepszym podarunkiem, jaki mogę Ci ofiarować – lepszym od strojów albo pieniędzy.

Żałuję, że musisz podróżować, ale z czasem zrozumiesz przyczynę. Ten list nie zawiera żadnej wskazówki. Nie powinnaś łamać sobie nad nim głowy – skup się na łamaniu sobie głowy, dlaczego czujesz taką sympatię do kogoś roztrzepanego i egoistycznego. Nie martw się, w odpowiednim czasie otrzymasz następny list.

Tymczasem staraj się być szczęśliwa. Spróbuj wcielić się w rolę młodej damy z wyższych sfer. Stroje pomogą.

Z wyrazami głębokiej miłości od Twojej oddanej

AV

Przymierzać stroje?! W takiej chwili?! Mogła to wymyślić tylko Aurelia.

Bailor Dunthorne. Przymusowe zaręczyny. Myślałam, że wszystko o niej wiem. Czego się jeszcze dowiem, nim zakończę poszukiwania?

Niczego przez najbliższe dwa miesiące – oto najkrótsza odpowiedź!

Nie chodzi o to, że nie chcę zostać w Mulberry Lodge. Wręcz przeciwnie, bardzo chcę. Nie chodzi o to, że nie potrzebuję odpoczynku – świadczy o tym horror zeszłej nocy. Nie miałam takich koszmarów od mrocznych dni, gdy Aurelia zasłała w czasie pikniku. Ale czekać tak długo na następną wskazówkę?! A to przecież tylko kolejny etap! Aurelio!

Spaceruję tam i z powrotem po pokoju, spoglądając na deski oświetlone bladym światłem słońca, gdy rozlega się ciche pukanie do drzwi. To Madeleine, która przysłała sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuję.

Jestem zawstydzona swoim stanem – rozczochranymi włosami, brzydką koszulą nocną – lecz ona zdaje się tego nie zauważać. Natychmiast spogląda na kufer i kartki papieru leżące na dywaniku.

– W końcu otworzyłaś kufer – mówi cicho. – Znalazłaś list. Byłam pewna, że jest w środku. Wiedziałam, że Aurelia nie pozostawi cię bez ostatniego słowa.

Gdybyś tylko wiedziała... – myślę.

– Pomagałam jej wybrać stroje.

– Naprawdę? – Nagle dowiaduję się, jak Aurelia spędzała czas z dala ode mnie. Robiła zakupy. Korzystała z pomocy przyjaciółki. Czuję się głupio, że byłam zbyt zajęta sobą, by to docenić.

– Musisz być bardzo zdziwiona – ciągnie Madeleine, jakby czytała w moich myślach. – Wszystko jest inne, a teraz twoje ubranie również ma się zmienić. Zostawić cię samą, Amy, czy chciałabyś, bym przyniosła dla nas herbatę?

– Bardzo chętnie napiję się herbaty w twoim towarzystwie. Dziękuję.

Dochodzę do wniosku, że Madeleine jest prześliczna. Nie tak olśniewająca jak Aurelia, lecz i tak piękna. Smukła, jasnowłosa i spokojna. Ma krągłe, wdzięczne ramiona, chodzi jak księżniczka. W średnim wieku może nieco przytyć, ale nie odbierze jej to urody. Źródłem jej piękna jest charakter, który rozświetla jej oblicze i wygładza rysy. Przypomina wiosenny poranek.

Pijemy herbatę przy stoliku obok okna, patrząc na zalany słońcem ogród. Madeleine zdaje się nie zwracać uwagi na moją koszulę nocną. Może dlatego, że ma siostry? Opowiada mi o wizycie Aurelii.

– Wszyscy uważaliśmy ją za autorytet, Priss, ja i chłopcy. Była wyjątkowo żywa i sympatyczna. Musisz bardzo za nią tęsknić.

– Tak. – Co za ulga, że mogę swobodnie rozmawiać o swoich uczuciach. Mówię więcej, niż zamierzałam, po czym nagle przerywam, pełna obawy, że złamałam zasady etykiety, lecz Madeleine patrzy na mnie łagodnie.

– Ja także miałam przyjaciółkę, która młodo zmarła – odzywa się, marszcząc brwi. Czuję, że pod urodziwą powierzchownością kryje się ból. Cook powiedziała kiedyś, że każdy ma swoją historię.

– Bardzo mi przykro. Niedawno?

– Nie. Minęło już trochę czasu. Około pięciu lat. Nazywała się Annabelle Sefton. Chodziłyśmy razem do szkoły dla dziewcząt i znałyśmy się od dzieciństwa. Mam liczne rodzeństwo, więc można by pomyśleć, że nie odczuję boleśnie straty przyjaciółki, ale tak było.

– Wyobrażam sobie. Zmarła wyjątkowo młodo. Nawet wcześniej od Aurelii.

– Tak. Nigdy nie była silna. Chorowała na płuca. Każdej zimy rodzice zabierali ją do Włoch, ale i tak umarła. Miała słodką naturę i kiedy żyła, świat wydawał mi się piękniejszy. Na szczęście mam rodzinę, Amy, i obracamy się wśród miłych ludzi, ale nigdy nie będzie drugiej Annabelle. Mam na myśli to, że każdy człowiek jest wyjątkowy i że miłość polega na kochaniu wszystkich drobnych rzeczy związanych z daną osobą. Nic nie zastąpi Aurelii, podobnie jak Annabelle, ale możesz liczyć na moje szczere współczucie i przyjaźń, jeśli to dla ciebie jakaś pociecha.

Zaczynam płakać. Och, to oczywiście nic nowego, lecz nie płakałam jeszcze w czyjejś obecności. Madeleine obejmuje mnie ramieniem, aż przestaję szlochać.

– Tak bywa – mówi. – Z czasem jest lżej, możesz być tego pewna.

Po jej wyjściu wreszcie zajmuję się kufrem. Wiem, że Madeleine chciałaby patrzeć, jak podziwiam suknie, które wybrała dla mnie z Aurelią, lecz najpierw muszę je przejrzeć samą, na wypadek gdybym znalazła następne sekrety.

Zdejmuję muślin i spoglądam ze zdumieniem na ciemnoczerwony atłas połyskujący w świetle świec. Czerwony! To suknia wieczorowa – elegancka, z głębokim dekoltem i bufiastymi rękawami ozdobionymi różyczkami z jedwabiu. Nigdy, przenigdy nie włożę takiej sukni! Nie mogę oderwać od niej wzroku, patrzę na nią z przerażeniem i miłością. To suknia dla Aurelii, nie dla Amy Snow.

Kładę suknię na łóżku i z lękiem sięgam po następną. Kolejna suknia wieczorowa w ciemnofioletowym kolorze. Czy Aurelia uważała, że moje życie będzie się składać z balów? Znajduję dziwną siatkę naszytą na jedwab. Pośpiesznie rzucam ją na łóżko i znów wkładam ręce do kufra, w nadziei że znajdę tam rozsądniejsze stroje. Pojawiają się wreszcie, choć dopiero po odrzuceniu następnych trzech sukni wieczorowych: różowej, brzoskwińowej i srebrzystej. To stroje innej dziewczyny, nie moje. Ale są śliczne. Nigdy nie widziałam niczego piękniejszego.

Znajduję zestaw sukni dziennych i muszę przyznać, że są wspaniałe. Skromne, lecz eleganckie, ładne, choć proste, z tyłu materiałów i w tyłu kolorach, że mam ochotę je natychmiast przymierzyć. Och, co za

rozkosz! Ani jedna suknia nie jest czarna, granatowa, brązowa, szara. Mam przestać nosić żałobę, mam rozkwitnąć!

Wydaje się, że kufer jest bez dna, jakby pochodził z jednej z opowieści Aurelii. Wyjmuję pantofle, parasolki, szale, mantylki i peleryny. Eleganckie gorsety z fiszbinami składają się z setek zszytych pasów tkaniny i całkowicie różnią się od prostych gorsetów, do których jestem przyzwyczajona. Znajduję halki, podwiązki i pończochy, wyłącznie białe – niektóre gładkie, inne w kropki lub paski, a jeszcze inne ozdobione małymi haftowanymi kwiatkami. Większość podwiązek wygląda normalnie, ale niektóre... Jestem zszokowana!

Między ubraniami leżą niewielkie tiulowe sakiewki z pieniędzmi. Setki funtów! Nie liczę ich w tej chwili, tylko sprawdzam, czy wśród banknotów nie ma listów, rebusów albo wskazówek. Zgodnie z obietnicą Aurelii nie znajduję niczego takiego. Tylko pieniądze, coraz więcej pieniędzy.

Trudno mi pojąć, że to wszystko dla mnie. Nigdy nie mogłam nosić ładnych rzeczy i sądziłam, że brakuje mi urody, by dobrze się na mnie prezentowały.

Pewnego dnia Aurelia dała mi grzebień do włosów ozdobiony lśniąco klejnocikami. Miałam wtedy chyba siedem lat. Byłam zafascynowana tym, jak się skrzyły. Wydawało się, że w środku są uwięzione płomienie. Każda dziewczynka jest dumna ze swoich długich włosów. Wpięłam w nie grzebień i czułam się jak księżniczka. Tego dnia zauważyła mnie w ogrodzie lady Vennaway. Wyrwała grzebień wraz z kilkoma pasmami włosów i cisnęła do stawu. Od tamtej pory Aurelia dawała mi w prezencie tylko książki lub smakołyki. Zapełnianie kufra musiało być przyjemnością i zemstą!

Kiedy opróżniam kufer i na łóżku piętrzy się stos kolorowych strojów, zdaję sobie sprawę, co się stało. To symboliczny powrót chwili, gdy leżałam w śnieżnej zaspie. Niezapisana karta, nowy początek.

Mam przed sobą garderobę i fortunę wielkiej damy. Kręci mi się w głowie, gdy o tym myślę. Aurelio, nie jestem wielką damą!

„A jednak wychowałaś się we dworze arystokratycznej rodziny, prawda? – rozlega się w mojej głowie głos Aurelii, tak wyraźny, jakby siedziała tuż koło mnie i przemawiała z charakterystycznie uniesionym podbródkiem. – Twoją najbliższą przyjaciółką była młoda lady Vennaway. Potrafisz jeździć konno, malować, haftować, grać na pianinie. Umiesz śpiewać, choć powinnaś tego unikać. Otrzymałaś staranne wykształcenie. Kim jesteś, jeśli nie damą? Powinnaś spytać jakąś służącą, dójkę, żonę sklepikarza... Na pewno uznają cię za damę”.

Jak zwykle Aurelii nie można odmówić logiki.

Nowa Amy Snow nie pojawia się natychmiast w pełnej krasie. A jednak po dwóch tygodniach pobytu w Mulberry Lodge dostrzegam oznaki narastających zmian – w sobie i za oknem. Wiosna jeszcze się nie zaczęła, ale śpiew pierwszego kosa, gdy się budzę, oraz przelotny zapach kwiatów w ciepłym powietrzu dają mi nadzieję. Po długich zimowych miesiącach nadzieja wydaje się czymś konkretnym, żywym.

Stopniowo przestaję traktować rodzinę Wisterów jako tłum sympatycznych ludzi i powoli odróżniam poszczególnych członków. Natychmiast czuję sympatię do Madeleine i Priscilli, choć w różny sposób. Priscilla jest w moim wieku, lecz traktuję ją jak młodszą siostrę. Podobnie jak Madeleine, odznacza się klasyczną, gładką urodą, którą jeszcze podkreśla jej piękny charakter. Idealnie wyrażają go dołeczki na policzkach. Panna Priscilla uwielbia psikusy i nigdy nie przepuści żadnej okazji, by z kogoś zażartować.

Obie siostry są bardzo zakochane. Madeleine kocha się w panu Danielu Renfrew, który hoduje owoce („wszystkie owoce istniejące na świecie”, jak mówi Madeleine), a Priscilla co tydzień zmienia obiekt uczuć. Szybko zawieramy sojusz i wcale nie uważają mnie za dziwaczkę ani wariatkę.

Naturalnie wyglądam teraz inaczej. Przede wszystkim jeszcze nigdy nie byłam taka czysta! Wszystkie dziewczęta z Mulberry Lodge kąpią się dwa razy w tygodniu i dokładnie myją włosy, a ja robię to samo.

Kąpiel odbywa się w balii przy kominku w salonie i asystuje przy niej Bessy, jedna ze służących. W Hatville pomagałam Aurelii w czynnościach toaletowych, poświęcając na to mnóstwo czasu, i z początku jestem nieco zawstydzona, że ktoś usługuje mi w podobny sposób. Jednak Bessy nie jest osobą wstydliwą ani delikatną.

Kiedy mnie myje, długo i szczegółowo opowiada o swoich problemach z trawieniem, bólach miesięczkowych, dolegliwościach związanych z krzyżem, opuchniętych piersiach. Mówi tak otwarcie, tak szczegółowo, że trudno udawać, że takie sprawy nie istnieją, a pomijanie milczeniem własnych symptomów tego rodzaju wydaje się wręcz niegrzeczne. Nie mam większych kłopotów ze zdrowiem, lecz wspominam o zapaleniach zatok i nieprzyjemnych skurczach, by sprawić Bessy przyjemność. Przez chwilę żałuję nawet, że nie mam nic więcej do powiedzenia. To odświeżające. Dziwne, ale odświeżające.

Odkąd lady Vennaway obcięła mi włosy, regularnie je strzygę. Nie są już krótkie i opadają na ramiona. To niemodna fryzura, lecz oszczędzam dzięki temu wiele godzin tygodniowo. Poprzednio próbowałam pracownicy je modelować. Moim zdaniem w tej chwili wyglądam lepiej, więc może mimo wszystko

jestem próżna. Włosy wystają spod nowych czepków i kapeluszy w sposób, który wydaje się... prawie ładny.

Jest jeszcze kwestia bielizny. Na początku zamierzałam złamać obietnicę daną Aurelii i w dalszym ciągu nosić stare gorsety z materiału. Nowe budziły we mnie lęk. Ale kiedy je przymierzyłam (namówiona przez Madeleine i Priscillę, które pomagały mi je włożyć), okazało się, że mi się podobają. W takim gorsecie nie można się czuć jak szara myszka. Nawet gdy jestem zmęczona, widzę w lustrze wyprostowaną, dumną, energiczną damę. Można mieć zły dzień, lecz nikt nigdy się tego nie domyśli, gdy kobieta ma na sobie taki gorset.

Kolejna kwestia to stroje. Moje stare, brzydkie ubrania zniknęły. Nie spalono ich, lecz uprano i подарowano miejscowym przytułkom dla ubogich. Za namową dziewcząt i przy ich pomocy przymierzyłam każdą sztukę odzieży znajdującą się w kufrze. Tak, nawet skandaliczne podwiązki, choć bardzo szybko je zdjęłam (a potem przymierzyłam znowu w samotności). Każdą suknię, nawet te, których nie zamierzam nosić, i każdy but. Nigdy nie podobał mi się kolor moich oczu, ale kontrast z barwami sukni wybranych przez Aurelię sprawia, że wyglądają uderzająco. Mają w sobie coś kociego, stają się bursztynowe, a nie po prostu orzechowe lub brązowe.

Częściej się uśmiecham. Niewielka bruzda między brwiami nie znikła. Niełatwo się wyzbyć dawnych przyzwyczajeń, poza tym życie bywa naprawdę dziwne. Jednak wydaje się, że mogę się jednocześnie uśmiechać i dziwić. Ta uśmiechnięta dama w eleganckim gorsecie i pięknej sukni to naprawdę Amy Snow mieszkająca w Mulberry Lodge. To ja, choć to przecież niemożliwe.

Cóż to za życie! Edwin Wister jest adwokatem i pracuje głównie w Londynie, ściśle biorąc w Holborn. Czuję pokusę, by go spytać, czy słyszał o firmie Crumm i Spółka. Często myślę o Albercie i Henrym. Spotkanie z nimi, gdy byłam tak bardzo samotna, zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Nie zaprzeczam, że czasem – bardzo rzadko – pragnę znów spotkać Henry’ego Meada. Może wcale nie tak rzadko. Ale wiąże mnie tajemnica.

Odwiedza nas wielu gości, a dwa razy w tygodniu damy składają przyjaciółom poranne wizyty. Zawsze mnie zapraszają, bym im towarzyszyła. W ciągu pierwszych kilku dni wołałam zostawać w domu, spacerować po ogrodzie lub wypoczywać w oranżerii, wkrótce jednak poczułam pokusę, by skorzystać z zaproszenia, i zaczęłam uczestniczyć w życiu towarzyskim Twickenham. Wszyscy bez oporów akceptują przybycie młodej przyjaciółki panny Vennaway. Każdy pamięta Aurelię. Mam wrażenie, że rozwijam skrzydła i że otrząsam się z żaloby, która groziła mi popadnięciem w nieustającą melancholię.

Twickenham jest prześliczne. Łąki, ogrody i posiadłości wyglądają jak kraina z baśni. W mieście przebywają bardzo różni ludzie: cudzoziemscy arystokraci, bogate filantropki oraz pisarze, którzy spędzają większość czasu samotnie i rzadko pojawiają się publicznie, poplamieni atramentem.

Dni płyną pośród kielkującej zieleni, coraz piękniejsze, szybko jak rzeka. Kiedy zima uwalnia ziemię ze swojego uścisku, na niebie pojawiają się niebieskie błyski, stonowany, senny błękit wiosny podobny do barwy eleganckiego krawata pana Garlanda. Kalendarz spotkań towarzyskich pęcznieje, jeśli w ogóle



można to sobie wyobrazić. Zbliżają się wiosenne bale, panny Wister są podekscytowane perspektywą tańców z elegantami widywanymi w salonach po Bożym Narodzeniu. Planują pikniki, regaty i wyprawy łodziami na wyspę Eel Pie, z moim udziałem, jakbym miała zostać wśród nich na zawsze. Ulegam iluzji, płynę z prądem, niesie mnie łagodny nurt lata. Nie zapominam, że nie doczekam lata w Twickenham, ale miło udawać, że tak będzie.

Po nadejściu pory balów Madeleine i Priscilla spędzają mnóstwo czasu w sklepach w mieście, a ja im towarzyszę. Pewnego dnia zauważam wysokiego dżentelmena, którego gdzieś już wcześniej widziałam. Wstrzymuję oddech, choć tak naprawdę nie jest to mój znajomy.

Dziewczęta trącają się łokciami, kiedy idzie King Street – jest naprawdę bardzo przystojny. Spogląda z aprobatą na naszą trójkę, unosi niezwykle wysoki cylinder, po czym znika w King’s Head. Z niewiadomych powodów czuję ulgę, że pan Garland, poznany przeze mnie w dylizansie, nie zwrócił na mnie uwagi.

Ale po około godzinie nasze drogi znowu się przecinają. Wchodzimy do jubilera. Priscilla koniecznie potrzebuje złotego łańcuszka, by jej wisiołek z opalem pasował do sukni w kolorze ostryg. Wszystkie trzy pochylamy się nad gablotką z biżuterią, gdy znajomy głos wita pana Price’a, właściciela sklepu.

Unoszę wzrok. Rzeczywiście, to pan Garland, w błękitnym krawacie. Jego cylinder sięga prawie do sufitu. Wygląda jak na ilustracji z żurnala poświęconego modzie. Znowu unosi cylinder i się uśmiecha, po czym spogląda na mnie i marszczy brwi. Pośpiesznie skupiam uwagę na rzędzie złotych łańcuszków. Ich zróżnicowana długość budzi moje żywe zainteresowanie.

– Proszę mi wybaczyć...

Z niewiadomych powodów mocno bije mi serce. Przez chwilę mam ochotę uciec.

– Dzień dobry, moje panie, bardzo przepraszam, że się narzucam w taki sposób, ale... – spogląda prosto na mnie – ...czy ja panią znam? Wydaje mi się, że już gdzieś panią widziałem, a jeśli uważa to pani za żalostną wymówkę, by nawiązać znajomość, zapewniam panią, że tak nie jest. Nazywam się Quentin Garland. Nie chciałbym przejść bez słowa obok osoby, którą miałem zaszczyt poznać, panno...

Dziewczęta spoglądają na mnie ze zdumieniem. Widzę, że nazwisko tego dżentelmena nie jest im obce. Od mojego przyjazdu mówiono o nim często w salonach Twickenham. Pan Garland jest tematem rozmów w towarzystwie. Czuję głupią dumę, że znam tak popularnego człowieka, a jego miłe słowa sprawiają, że nie mam już ochoty uciekać.

– Nazywam się Snow, panie Garland. Spotkaliśmy się kiedyś przelotnie. W dylizansie pocztowym odjeżdżającym spod katedry Świętego Pawła do Twickenham.

– Ależ tak! Wielkie nieba! Bardzo się cieszę! Wygląda pani znakomicie! Twickenham wyraźnie pani służy.

Po raz drugi wymieniamy uścisk dłoni i tym razem moje rękawiczki są równie eleganckie jak jego. Przygląda mi się bacznie i widzę, że zauważa zmiany w moim wyglądzie, choć ma zbyt dobre maniery, by to komentować.

Czuję, że się rumienię.

– Dziękuję. Myślę, że Twickenham służy wszystkim.

– Rzeczywiście, prześliczne miasto... Pola, rzeka i... tak, wspaniale. – Rozgląda się i unosi dłoń, wskazując cudowności Twickenham, po czym znów patrzy błękitnymi oczami na moją twarz. Jest bardzo wysoki. – A teraz nasze drogi znów się krzyżują. Przyznaję, wiele razy czułem żal, że nie odprowadziłem pani tamtego dnia, panno Snow. King Street nie jest ulicą, na której można pozostawić damę. Ale najwyraźniej znalazła pani swoich przyjaciół.

– Był pan bardzo uprzejmy i pomocny. Tak, znalazłam. Czy wolno mi przedstawić pannę Madeleine Wister i jej siostrę Priscillę Wister?

– Czuję się zaszczycony.

Dziewczęta dygają, onieśmiałe wykwintnymi manierami pana Garlanda, lecz Priscilla bardzo szybko zaczyna paplać.

– Nie mogę się zdecydować na łańcuszek, panie Garland. Uważa pan, że lepszy byłby krótki czy długi? Nie chcę wybrać czegoś niemodnego, tylko coś naprawdę wiktoriańskiego.

Zaciskam dłonie, by odruchowo nie zasłonić twarzy. Nie wyobrażam sobie, że ktoś taki jak pan Garland, zajęty interesami i gospodarką, może coś wiedzieć o damskich łańcuszkach. A jednak pochyła się nad gablotką i przygląda biżuterii z wielką powagą.

– Priscillo, pana Garlanda nie interesuje twój łańcuszek! – szepce z trwogą Madeleine.

Jednak pan Garland nie daje się zbić z tropu. Kiedy znów zwraca się w naszą stronę, patrzymy na niego jak na wyrocznię, która ma za chwilę przemówić.

– Z owalnymi ogniwami. – Rozpromienia się. – Podkreśli pani delikatną urodę, panno Priscillo. Trudno sobie wyobrazić, żeby jakakolwiek ozdoba wyglądała źle na tak ślicznej dziewczynie, lecz powinna pani wybrać coś nowoczesnego i niezwykłego. Czy to jakaś specjalna okazja?

Priscilla jest zbyt wstrząśnięta, by odpowiedzieć.

– W przyszłą sobotę odbędzie się bal w Lowbridge House w Richmond – wyjaśnia Madelaine.

– Z pewnością staną się panie jego ozdobą. A teraz proszę mi wybaczyć, pora na mnie. Z przyjemnością znów się z panią spotkam, panno Snow. Do widzenia.

Zostajemy same i odprowadzamy pana Garlanda wzrokiem. Jego obecność sprawiła, że zakupy stały się niezwykle ekscytujące. Po jego odejściu stają się nieco nudne.

Mimo zaabsorbowania zaczarowanym królestwem Mulberry Lodge nie zapomniałem o Aurelii, o dawnych dniach w Hatville ani o listach. A może raczej należy powiedzieć, że to one o mnie nie zapomniały.

Zachowuję się swobodniej i jestem bardziej pewna siebie. Łatwo prowadzę konwersację i ani razu nie popełniłam gafy. Jednak czasem przyłapuję się na tym, że bacznie obserwuję czyjąś miłą twarz i nie ufam okazywanej mi uprzejmości. Czy jest nieszczerą? Czy czekają mnie afronty? Dlaczego Vennawayowie uważali mnie za prostaczkę? I to przez tyle lat. Nieustannie prześladują mnie te pytania.

Najczęściej jednak jestem naprawdę szczęśliwa. Nareszcie spełniło się moje marzenie. Mam rodzinę, dom, jestem wesoła, spokojna, bezpieczna. Och, wiem, że to nie moja rodzina i nie mój dom, ale lubię sobie wyobrazać, że obecne doświadczenia ukształtują moją przyszłość. Kiedy zakończę rozwiązywanie zagadki Aurelii, będę pamiętała chwile spędzone w Bath i może stworzę własne Mulberry Lodge jako dom swojej rodziny.

Moje ulubione miejsce to oranżeria, gdzie Constance z zapalem hoduje egzotyczne rośliny. Gdybym miała własny dom, pragnęłabym zbudować właśnie taką oranżerię. Całe pomieszczenie wykonane ze szkła! Wypełnione roślinami! Ogród znajdujący się wewnątrz domu, choć tak naprawdę przypomina raczej dżunglę.

Wysokie palmy sięgają do sufitu. Jest hamak i kilka sof, a także pomalowana na biało ławka z kutego żelaza. Rosną drzewa pomarańczowe i orchidee. Wisterowie mają dwie papugi, Salomona i Kserksesa, które latają wśród roślin, rzucając na podłogę cienie rozpostartych skrzydeł i długich ogonów. Ich krzyki sprawiają, że przenika mnie dreszcz podniecenia. Myślę o dalekich, tropikalnych krainach, a jednocześnie czuję ulgę, że nie muszę ich odwiedzać.

W pewien bardzo deszczowy, bardzo angielski dzień do Mulberry Lodge przybywa niespodziewany gość. Bessy przyprowadza go do oranżerii i widzę przed sobą pana Quentina Garlanda, gdy tymczasem Bessy biegnie po siostry Wister.

– Wielkie nieba, pan Garland! – Ze zdumienia zapominam o dobrych manierach. Nie rozumiem, czego tu szuka, i jestem przerażona, że przebywam z nim sam na sam. Rysuję papugi, szczeniak Clover siedzi mi na kolanach, a Cavendish leży u moich stóp. Zrywam się z miejsca i psy uciekają na bok. – Mam nadzieję, że nic się nie stało?! Cóż za niespodziewana wizyta!

Mimo deszczu wygląda nieskazitelnie. Tak jak poprzednio ma jasnobłękitny krawat, a poza tym jest ubrany w ciemnoczerwony strój do konnej jazdy z blad różowymi wyłogami. Na każdym innym człowieku wyglądałby ekscentrycznie, lecz pan Garland nie ma w sobie nic ekscentrycznego. To ucieleśnienie elegancji. Zastanawiałam się czasami, czy zatrudnia specjalny personel do ubierania. Mam teraz piękne stroje, lecz w dalszym ciągu jestem zwykłą dziewczyną. Mogę się potknąć, potrącić jakiś mebel, a czasem wiatr rozwiewa mi włosy. Natomiast pan Garland wygląda jak eksponat muzealny przechowywany w szklanej gablocie. Snuję takie dziwne myśli, lecz zupełnie nie potrafię sobie wyobrazić, jak naprawdę wygląda życie pana Garlanda. Równie dobrze mogłabym się zastanawiać, jakie są zwyczaje rzadkiego ptaka dostrzeżonego na moment w środku lasu.

– Proszę przyjąć moje przeprosiny, panno Snow. – Składa głęboki ukłon. – Może powinienem najpierw wysłać bilecik, ale przejeżdżałem obok domu państwa Wisterów, a pogoda jest taka brzydka... Perspektywa ujrzenia pani i schronienia się na chwilę przed deszczem była zbyt kusząca.

Perspektywa ujrzenia mnie była kusząca? Wydaje się to mało prawdopodobne. Mam wrażenie, że pan Garland... ale nie, to zbyt dziwna myśl.

– Cieszę się, że pana widzę. Jak pan mnie odnalazł?

– Rozmawiałem o interesach z Ashleigh Charltonem. Wspomniał przelotnie o Wisterach, a ja pamiętałem, że spotkałem już pani uroczych przyjaciół na gruncie towarzyskim. Powiedziałem mu, że miałem zaszczyt panią poznać, i spytałem, gdzie mogę panią znaleźć.

Dlaczego miałby coś takiego robić?! Jednak nie ośmielam się o to spytać.

– Świat jest naprawdę mały – odpowiadam cicho.

Ku mojej wielkiej uldze do oranżerii wbiegają Madeleine i Priscilla. Konieczność samodzielnego zabawiania dżentelmena, nawet przez zwyczajowy kwadrans, wydaje się czymś strasznym. W dalszym ciągu stoimy. Nie zaproponowałam panu Garlandowi, by usiadł! Madeleine naprawia mój błąd i wszystkie trzy zajmujemy miejsca na ławce, dość ciężko, jak kule ciasta rzucone na blat stołu. Pan Garland siada delikatnie. Jego ruchy przywodzą na myśl masło topiące się na patelni. Madeleine proponuje mu herbatę i słodycze, lecz pan Garland odmawia. Siedzę w milczeniu, mając mętlik w głowie. Perspektywa ujrzenia mnie była kusząca! Mimo niepokoju jestem zachwycona.

– Mieszka pan w pobliżu, panie Garland? – pyta z prześlicznym uśmiechem Madeleine, by podtrzymać konwersację.

– Nie, w Chiswick. Jednak dość często przyjeżdżam do Bath w interesach. Zazwyczaj zatrzymuję się u przyjaciół, co oszczędza mi konieczności ciągłego podróżowania tam i z powrotem. Dzisiejszy poranek był tak przyjemny, że wybrałam się na przejażdżkę. – Śmieje się, a potem smutno kręci głową. – Żałowałam tego, gdy pogoda się zmieniła.

– Będzie pan uczestniczył w balu w Lowbridge, panie Garland? – pyta Priscilla, wierząc się niespokojnie. Już od wielu dni myśli tylko o balu. – Pomógł mi pan wybrać łańcuszek.

– Pamiętam! Bardzo pragnąłbym panią w nim zobaczyć. Przyjadę, jeśli okaże się to możliwe, choć

najprawdopodobniej przed końcem tygodnia będę musiał wrócić do Londynu. – Marszczy brwi, jakby był głęboko zawiedziony, choć wyobrażam sobie, że nie narzeka na brak zaproszeń na bale.

Rozmawiamy o błahostkach, a kiedy pan Garland zbiera się do odejścia, wszystkie zrywamy się z miejsc i odprowadzamy go do drzwi. Wychodzimy ze skóry, by okazać mu jak największą uwagę. Znika w deszczu, a Priscilla piszczy, podskakuje i woła, że pana Garlanda nie zna nawet jej babka, która słynie z zamiłowania do życia towarzyskiego.

Kładę się na szeszlunku i marszczę brwi. Nie wiem, dlaczego wizyta pana Garlanda tak mnie wytrąciła z równowagi. Jak zwykle zachowywał się nienagannie. Mam przecucie – słusznie czy niesłusznie – że starał się coś sprawdzić. Może nie jest przyzwyczajony do prowadzenia rozmów w oranżeriach wypełnionych roślinami i papugami? Może był niezadowolony, że Bessy przyprowadziła go do mnie, zamiast poprosić, by zaczekał w salonie? Widziałam błysk w jej oku, gdy go zaanonsowała – usłyszę coś o tym w czasie jutrzejszej kąpieli.

Jestem jednak niespokojna, nie mogę zaprzeczyć. Nie mogę usiedzieć na miejscu, wstaję i idę do lustra w holu, by sprawdzić, czy w moim wyglądzie nie ma czegoś zaskakującego. Moje włosy są dziwnie porządne pod białym czepkiem i noszę jabłkowiezieloną suknię. Rękawy nie są zbyt bufiaste, a krynolina nie jest zbyt szeroka. Uspokajam się trochę. Może jestem po prostu nieprzyzwyczajona do kurtuazyjnych rozmów z eleganckimi dżentelmenami?

A może chodzi po prostu o to, że pan Garland jest tak olśniewająco przystojny?

Długo wyczekiwany bal wreszcie się zbliża. Priscilla prawie wybucha płaczem, gdy odmawiam włożenia czerwonej sukni.

– Ależ pan Garland może się do ciebie zalecać! Niewykluczone, że się pojawi! Jest przyzwyczajony do towarzystwa wyjątkowo wyrafinowanych dam! Och, Amy, dlaczego nie chcesz jej włożyć?!

– Najdroższa Priscillo, nie jestem wyrafinowaną damą! Noszenie takiej sukni wymaga o wiele większej pewności siebie i śmiałości. Proszę, nie mów tak o panu Garlandzie! Jestem najzupełniej pewna, że ma zupełnie inne intencje, niż sobie wyobrażasz.

Nie jestem nieśmiała. Myśl, że pan Garland mógłby się do mnie zalecać, wiele razy przychodziła mi do głowy po rozmowie w szklarni i nieustannie działa mi na nerwy. To zwyczajnie niemożliwe, jestem tego pewna. Byłby to zbyt wielki komplement. To prawda, wyglądam teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy się poznaliśmy. Nie jestem już brzydko ubranym, wychudzonym goblinem. Gdybym popatrzyła na Amy Snow okiem życzliwej przyjaciółki, powiedziałabym, że wygląda jak przeciętna panna o dość miłych rysach, starająca się robić dobre wrażenie. Ale całkowicie nie pasuje do Quentina Garlanda z Chiswick, na litość boską!

– To dlaczego cię odwiedził?

Nie potrafię na to odpowiedzieć, jednak absolutnie odmawiam włożenia czerwonej sukni. W sukniach wieczorowych czuję się prawie naga. Najodważniejsze są dwie: czerwona i fioletowa. Wyglądam w nich na znacznie starszą i gotową na... cóż, nie są skromne. Srebrzysta jest piękna, ale to kolor dla panny młodej, księżniczki albo ciała niebieskiego, które spadło na ziemię, a ja nie jestem żadnym z nich. Drżąc w jedwabnej halce, w końcu wybieram subtelną suknię z brzoskwiniowego muślinu. Priscilla proponuje kompromis i w końcu wkładam różową krynolinę z tarlatanu.

Madeleine wpina mi we włosy czerwone i białe róże, a później wplata subtelną różową wstążkę. Ciężkie czarne sploty w dalszym ciągu są niesforne, lecz przynajmniej udało się je ozdobić. Biorę ładną kremową mantylkę z różowym haftem i kremowe pantofle w czerwone różyczki. Czuję się jak dziecko, które dla zabawy przebiera się w ubrania Aurelii, lecz tym razem nikt mnie nie łapie i nie zaciąga z powrotem do kuchni.

Wsiadam z niepokojem do powozu z Constance, Edwinem, panią Nesbitt i Michaelem, który skarży się, że musi jechać na bal, gdy tymczasem jego bracia budują fort w jadalni. Ale Edwin mówi, że żaden

mężczyzna nie powinien towarzyszyć samotnie pięciu damom – czyż synowie nie powinni brać na siebie ciężaru zobowiązań towarzyskich?

Mimo że mam na sobie odsłaniającą ramiona suknię z miękkiego różowego jedwabiu, boję się, że każdy się domysli, iż wychowałam się w kuchni, i stanę się pośmiewiskiem. Kiedy przejeżdżamy przez most Richmond, odruchowo wstrzymuję oddech. W czarnych, lśniących wodach Tamizy odbijają się światła wysokich domów stojących na brzegu rzeki i zastanawiam się, czy mogę stać się częścią tego eleganckiego świata choćby na jedną noc.

Goście podążają do drzwi Lowbridge Hall wzdłuż rzędów płonących pochodni. Długi podjazd jest wypełniony powozami zmierzającymi w obie strony i nie mam szans uciec jak Kopciuszek.

Priscilla nigdy by na to nie pozwoliła! Przez cały czas trzyma mnie za rękę. Idziemy do drzwi, zostajemy zaanonsowane przez kamerdynera, witamy gospodarzy, a później wchodzimy do ogromnej sali balowej pełnej ludzi. Puszczą mnie dopiero, gdy Michael i Edwin znajdują dla nas fotele.

Bal absolutnie mnie pochłonął. Jeszcze nigdy nie widziałam niczego tak pięknego. Wiem, że goście z pewnością mają różne doświadczenia, radosne i przykre, że pozory szczęścia mogą maskować gorycz i ból. Ale zapomniano o nich na jeden wieczór, odłożono skromne suknie i codzienne pantofle. Tej nocy wkroczyłam w świat olśniewającej iluzji. Urzeka mnie nie widok, tylko nastrój panujący w sali – wszyscy są w tak doskonałych humorach, że zapominam o troskach. Marzę, by wybiec na środek sali i wirować w tańcu, w ostateczności nawet sama.

Nie robię tego.

Siedzę ze skromną miną, popijam poncz i słucham pani Nesbitt, która wskazuje gości, wyjaśnia, kim są i czym się zajmują, a także komentuje ich stroje. Naturalnie zna każdego.

– To pan Gooch, urzędnik stanu cywilnego, i pan Figg, urzędnik parafialny. A tam stoi Meg Pawley, spotkałam ją przed wielu laty w domu pana Dickensa w Ailsa Park. Oczywiście nazywała się wtedy Meg Fellowes.

Spoglądam z ciekawością na Meg Pawley i marzę o poznaniu Charlesa Dickensa, ale pani Nesbitt mówi, że nie ma go obecnie w Twickenham. Przyjaciółka wielkiego pisarza to ładna kobieta w cytrynowożółtej sukni. Rozmawia z majestatyczną, ciemnowłosą matroną w uderzającej sukni w kolorze nefrytowej zieleni z falbanami i białymi lamówkami. Wydaje się dziwnie znajoma i dochodzę do wniosku, że musi być sąsiadką Wisterów, a pani Nesbitt ciągnie:

– A to jej siostra Meribelle, która nigdy nie wyszła za mąż. Nic dziwnego. Kochana dziewczyna, ale ma wyjątkowy talent do gaf! Jaki mężczyzna chciałby ryzykować? Jak sądzisz, dlaczego pan Elms postanowił dziś włożyć żółte rękawiczki? I czy ma haftowany krawat? Nie patrz mu w oczy, bo jeśli zaprosi cię do tańca, nie będziesz mogła odmówić, a te rękawiczki są koszarne...

Jestem zafascynowana. Nie mam zamiaru oceniać mężczyzn po tym, czy mają haftowane krawaty, ale jak dotąd nie wiedziałam, że dżentelmeni mogą się ubierać równie efektownie jak damy. Nigdy nie zastanawiałam się nad kwestiami stroju mężczyzn na spotkania towarzyskie.



Zerkam na Michaela, który z nieszczęśliwą miną mnie swoje rękawiczki (nieskazitelnie białe), i zdają sobie sprawę, że to lekcja na jego użytek. Ma starannie uczesane włosy i prawie nie widać, że jest kędzierzawy – nie wiem, jak tego dokonano. Przyrzekam sobie, że jutro wybiorę się z nim nad rzekę. Pójdziemy tylko we dwoje. Jeśli postanowi wskoczyć do łodzi Tama Marksa albo wypić łyk z manierki ojca Tama (bardzo poważnie wątpię, czy zawiera wodę), nikomu o tym nie powiem.

Tak czy inaczej, dywagacje pani Nesbitt szybko nudzą Michaela, który rusza w stronę bufetu, po czym przynosi nam starannie wybrany zestaw wędlin z drobiu, szynki i ozorków. Na balu jest tylu gości i tak dużo jedzenia, że bezwiednie myślę o personelu kuchni, który musiał spędzić cały dzień – co najmniej – na krojeniu wędlin i układaniu ich dekoracyjnie na półmiskach. Jestem zbyt podekscytowana, by dużo jeść, ale chętnie częstuję się galaretką i ciastem nasączonym alkoholem.

Gorąco dziękuję Aurelii za to, że nauczyła mnie tańczyć. Dzięki jej nieregularnym lekcjom jest mi znacznie łatwiej udawać damę. Tańczę z bardzo wieloma dżentelmenami, młodymi i smukłymi, starszymi i tęgimi. Mimo namów Priscilli nie myślę o znalezieniu stałego wielbiciela, częściowo dlatego, że nie zostanę tutaj dostatecznie długo, by nawiązać znaczące znajomości. Poza tym ciągle czuję smutek po śmierci Aurelii.

Nie jestem jeszcze gotowa do flirtu. Gdyby ktoś zaczął się do mnie zalecać, jak wytłumaczyłabym, kim jestem? Nie wierzę, że ktoś mógłby mnie naprawdę pokochać, znając wstydliwą tajemnicę mojego pochodzenia. Dlatego po prostu uśmiecham się i tańczę, nie mówię nic o sobie i zachowuję się miło. W konsekwencji odnoszę sukces towarzyski!

Nie zauważam pana Garlanda, który z pewnością wrócił już do Londynu. Kilka razy wydaje mi się, że dostrzegam w tłumie Henry'ego Meada, lecz oczywiście muszę się mylić. W tej chwili zajmuje się studiami i znów pogрузzył się w budzących grozę podręcznikach medycznych.

Najciekawszym wydarzeniem wieczoru jest spotkanie z panem Renfrew, adoratorem Madeleine. Nie tylko dlatego, że to przystojny, bardzo sympatyczny dżentelmen. Również nie tylko dlatego, że cudownie tańczy i ma na sobie idealnie skrojony, modny surdut i koszulę z marszczonym gorse. Madeleine wybucha śmiechem na widok jego pięknego stroju.

– Zwykle jestem pokryty błotem – mówi do mnie pan Renfrew. – Madeleine chyba nie wierzy, że mogę się ubrać kulturalnie.

– Nigdy tego nie mówiłam, Danielu! To znaczy panie Renfrew – oponuje Madeleine, prowokując ostre spojrzenie ojca.

Nie, Daniel Renfrew wydaje mi się taki sympatyczny, bo w czasie tańca zwierza mi się z planu, o którym myśli już od pewnego czasu. Oczywiście zamierza prosić Madeleine o rękę. Wyjaśnia, że zastanawia się nad tym od kilku miesięcy, lecz nie dysponuje środkami, by zapewnić pannie Wister wystarczająco komfortowe warunki. Ale niedawno jeden z licznych księząt mieszkających w okolicy Bath zaproponował mu zaprojektowanie ogrodu krajobrazowego wokół swojej posiadłości. Praca ma być wyjątkowo dobrze płatna – to życiowa szansa.

– Proszę sobie tylko wyobrazić, panno Snow! Cały ogród krajobrazowy! Księżę opowiada z entuzjazmem o swoich pomysłach: zamierza splantować część terenu, który jest lekko pagórkowaty i opada do rzeki na jednym z krańców posiadłości. Chciałby stworzyć rozległe trawiaste przestrzenie, sad z wiśniami i limonami, spiralny labirynt ozdobiony obeliskami i żywopłotami z grabu, a także winnicę.

Jestem zafascynowana. Wczesne doświadczenia z taczka Robina sprawiły, że bardzo lubię ogrodnictwo, jednak nie zdradzam, dlaczego mam do niego taki sentyment.

Kończymy drugi taniec i obiecuję zachować wszystko w tajemnicy, dopóki pan Renfrew nie podpisze umowy z księciem.

Wracamy do niczego niepodjejrzejających Wisterów, gdy wtem woła mnie dama w średnim wieku. Zauważyłam ją wcześniej. Jest ubrana w piękną suknię w kolorze nefrytowej zieleni z białymi lamówkami.

Pan Renfrew składa ukłon i odchodzi, nie zdając sobie sprawy, że zostawia mnie z osobą, której nie znam. Ale jestem taka szczęśliwa i beztroska, tak bardzo kręci mi się w głowie, że cieszę się z perspektywy zawarcia nowej znajomości.

Kobieta przedstawia się jako pani Ellington. Jej nazwisko i twarz wydają mi się znajome. Przyglądam jej się bliżej i jestem pewna, że nie spotkałam jej w Twickenham.

– Była pani towarzyszką młodej lady Vennaway, prawda? – nagle pyta ostrym głosem.

Potakuję. Z mojej twarzy znika uśmiech i ogarnia mnie niepokój.

– Podobno panna Vennaway zmarła zaledwie kilka miesięcy temu?

Potwierdzam.

– Panno Snow, zachowuje się pani tak nieprzyzwoicie, że prawie nie wiem, od czego zacząć – odzywa się ku mojemu zdumieniu. Cofam się o krok, ona zaś zbliża się do mnie. Odległość między nami niebezpiecznie maleje.

– Czy my się znamy, pani Ellington? – pytam, usilnie próbując nie okazać lęku z powodu jej bliskości i wrogości. – Rozumiem, że jest pani znajomą lorda i lady Vennawayów?

– Mam ten zaszczyt, owszem. Ale nie chcę opowiadać o naszych wspólnych znajomych. Pragnę zwrócić uwagę na niestosowność pani zachowania. Przede wszystkim nie nosi pani żałoby! Przyszła pani na bal! Tak szybko po śmierci osoby, która górowała nad panią pod każdym względem i która traktowała panią wyjątkowo łaskawie. Teraz, gdy stała się dla pani bezużyteczna, rzuca się pani w wir życia towarzyskiego! – Unosi z niesmakiem ręce, jakby nie była w stanie pojąć tak głębokiej deprawacji. – Czy rzeczywiście uważa pani, że towarzyszką panny Vennaway, w gruncie rzeczy służąca, ma prawo uczestniczyć w dzisiejszym balu?! Założę się, że nikt z obecnych tak nie sądzi. Albo nie zdaje sobie pani sprawy z przepaści, jaka dzieli panią od ludzi z towarzystwa, albo bezczelnie to pani lekceważy. Nie wiem, jak może pani wyjaśnić swoje zachowanie.

Jest sztywna i napięta, przypomina pogrzebacz z mosiądzu, a ja czuję się jak więdnący goździk.

Rozglądam się bezradnie po sali. Znajdujemy się między częścią taneczną a stołem bankietowym. Wszędzie jest mnóstwo ludzi. Niektórzy zatrzymali się, by posłuchać. Pani Ellington mówi podniesionym głosem. Nie krzyczy, lecz strofuje mnie na tyle donośnie, że każdy może ją usłyszeć. Zauważam kilka twarzy, na których maluje się dezaprobatą. Wydaje się, że to ja ją budzę. Postanawiam wrócić do przyjaciół, wśród których będę bezpieczna.

– Nie zamierzam się tłumaczyć przed nieznajomą, madame – mówię cicho. Płoną mi policzki. – Żegnam panią.

Odwracam się, by odejść, ale woła za mną, tym razem nieco głośniej, i wokół rozlegają się pomruki dezaprobaty.

– Zatem nie zamierza się pani wytłumaczyć?! – rzuca wyzywająco. – Nie wyjaśni pani swojego bezczelnego, niewybaczalnego zachowania?!

Zatrzymuję się niechętnie. Nie potrafię tak po prostu odejść.

– Wręcz przeciwnie, madame – odpowiadam, ciągle cicho, ciągle bardzo grzecznie. – Mogłabym dużo powiedzieć. Jednak nie mam zamiaru zwierzać się osobie, która nic nie wie o mojej przyjaźni z panną Vennaway. To moje prywatne sprawy. Może pani być pewna, że czuję ogromny szacunek do panny Vennaway i wszystkich uczestników dzisiejszego balu. Życzę miłej zabawy, madame.

Odchodzę na nieco drżących nogach, lecz kobieta znów się do mnie zwraca:

– Przyjaźni?! – Rusza za mną, nie pozwalając mi zakończyć rozmowy. – Ośmiela się pani nazywać to przyjaźnią?! Jak można mówić o przyjaźni między panną z najlepszego rodu Surrey a kimś takim jak pani, osobą nieznanego pochodzenia, bez majątku i koneksji?! Lizusostwo, wkradanie się w cudze łaski i przerażający brak taktu, owszem, ale to przecież nie przyjaźń! Słyszałam o pani, panno Snow! Nie wiadomo, kim pani jest! Nikt nie zna pani rodziców! Wstyd! Zachowuje się pani haniebnie!

Ogarnia mnie złość. Chociaż w dalszym ciągu drżą mi kolana, odwracam się w jej stronę i opieram o blat pobliskiego stołu. Prostuję plecy i unoszę brwi. Stawiałam już czoło groźniejszym przeciwnikom i byłam wtedy znacznie młodsza. Znów się do niej odzywam – lecz tym razem to ja mówię głośno. Głośniej od niej. Na tyle głośno, że słyszy mnie cała sala, bo orkiestra przestała grać i wszyscy goście umilkli.

– Pani Ellington, ma pani wiele błędnych informacji, ponieważ, jak pani widzi, nie brakuje mi przyjaciół. Mam również majątek. Jeśli chodzi o moje pochodzenie, nie myli się pani: jest całkowicie nieznanne. Uczylałam się z panną Vennaway i stałam się jej towarzyszką, opiekunką i przyjaciółką. Nigdy nie odkryłyśmy, kim są moi rodzice, i przyjęłyśmy, że jestem dzieckiem z nieprawego łoża. Wychowałam się w kuchni, pani Ellington. Kiedy mnie tam przyniesiono, spałam w wiadrze z kartoflami. Znalezione mnie w zaspie śnieżnej. Byłam naga. To podstawowe fakty. Do widzenia.

Obracam się na pięcie i odchodzę. Szybko opuszcza mnie podniecenie wywołane użyciem słowa „naga” w miejscu publicznym i tym, że stawiałam czoło zarzutom pani Ellington. Boję się, że skompromitowałam Wisterów.

Zatrzymuje mnie czyjś głos.

– Amy, zaczekaj! – Edwin Wister opuścił bezpieczne miejsce, gdzie siedzi jego rodzina, i zmierza ku mnie szybkim krokiem. Jestem tak wytrącona z równowagi, że widzę go jak przez mgłę. Spogląda wściekłym wzrokiem na panią Ellington.

– Byłbym bardzo wdzięczny, madame, by więcej nie zwracała się pani w ten sposób do moich gości. W Twickenham panna Snow znajduje się pod moją opieką. Jest naszą drogą przyjaciółką, podobnie jak przed nią panna Vennaway. Obraża pani zmarłą pannę Vennaway, tak traktując jej protegowaną. To zawstydzające zachowanie.

Podchodzi do mnie i bierze mnie pod rękę.

– Bardzo mi przykro, moja droga, naprawdę przykro – szepce i prowadzi mnie przez tłum, z dala od okropnej pani Ellington.

– Mnie też jest przykro. Co ja powiedziałam?! Nie mogłam się od niej uwolnić! Nie mogłam pozwolić, by myślała, że się jej boję. Nie chciałam, by uważała, że się wstydzę. Choć tak naprawdę trochę się wstydzę...

– Amy! – Biegnie za nami Michael.

Jego ojciec zamyka oczy. Zauważam, że wszyscy goście w dalszym ciągu stoją nieruchomo i patrzą na biegnącego za mną kolejnego Wistera.

– Amy, cudowna z ciebie dziewczyna! – woła Michael. – Nie obchodzi mnie, skąd pochodzisz! Nie przejmuj się tym, co myśli ta stara, gruba krowa. Jesteś brylantem! – Mocno uderza się pięścią w wąską pierś.

Edwin obejmuje ramieniem Michaela i mnie, po czym wyprowadza nas z sali balowej do holu, gdzie nikt nas nie widzi. Drzę i opieram się o niego, choć nigdy wcześniej nie przypuszczałam, że jestem taka wrażliwa.

– Ach, moja droga, usiądźmy i uspokójmy się – mówi Edwin. – Wieczór przybrał nieszczęśliwy obrót, ale wszyscy szybko o tym zapomną, nie martw się. Michael, rozumiem, że pragnąłeś zademonstrować, że cenimy Amy, i był to rycerski gest z twojej strony, ale, drogi chłopcze, proszę, więcej się nie odzywaj. Zachowałeś się skandalicznie. Nie tego cię uczyłem.

– Nie uczyłeś mnie, bym słuchał w milczeniu, jak wstrętne baby obrażają naszych przyjaciół, tato.

– Może, ale zwróciłem uwagę pani Ellington i nie było potrzeby, byś wtrącał swoje trzy grosze. Nie krytykuję twoich intencji, tylko to, co zrobiłeś. Obiecuj, że odtąd będziesz trzymał język za zębami, Michaelu.

– Tak, dobrze, papo, przyrzekam, ale krew się we mnie zagotowała! Atakować biedną Amy w taki sposób! Chciałem położyć temu kres, ale stało przede mną trzech lub czterech grubych jegomości, którzy nie chcieli się odsunąć. Później powiedziałeś to, co powiedziałeś, a ja chciałem się ująć za Amy. Nie będę więcej używał brzydkich słów, jeśli każesz.

– Każę. Dziękuję, Michaelu.

– Ale to jednak wstrętna baba, prawda, papo?

– Michaelu!

– To przecież prawda, papo, nie możesz zaprzeczyć. – Michael nie chce się poddać, aż wreszcie zmusza ojca, by przyznał w sekrecie, szeptem, że, owszem, pani Ellington to wstrętna stara baba, wiedźma.

Dopiero wtedy Michael opiera swoją głowę na moim ramieniu. Przestaje być szarmanckim młodym dżentelmenem i znów zmienia się w zmęczonego chłopca.

Wkrótce zbierają się wokół nas pozostali Wisterowie. Constance i jej siostry ściskają mnie i całują. Kręci mi się w głowie i czuję ulgę, że za bardzo ich nie zaszokowałam. Madeleine zachwyca się tym, co powiedziałam pani Ellington, i chichocze, przypominając sobie wzmiankę o wiadrze z ziemniakami.

Mimo wszystko dochodzimy do wniosku, że wystarczy już emocji na jeden wieczór i że należy się dyplomatycznie wycofać.

Wychodzimy z budynku. Jest chłodna kwietniowa noc i ciaśniej owijam się mantylką. Mam wrażenie, że słyszę za plecami szept, które ścigają mnie jak podmuchy wiatru: „znaleziona w śniegu”, „wsadzili ją do wiadra”, „grzeszny romans”.

Kiedy Edwin próbuje przywołać nasz powóz, który utknął w kolejce pojazdów, jakiś dżentelmen uchyla cylindra i życzy nam dobrej nocy. Constance przedstawia pana Charltona. Pamiętam to nazwisko – pan Garland dowiedział się od niego, gdzie mieszkam. Pan Charlton ściska nam wszystkim dłonie i wyraża współczucie z powodu śmierci Aurelii. To miło z jego strony. Jego powóz również utknął i podejmujemy rozmowę.

– Ucieszyłem się, że mogę powiedzieć wspólnemu znajomemu, gdzie może panią odnaleźć, panno Snow. Bardzo nalegał, dopytywał się przez wiele dni. Byłem szczęśliwy, że mogę mu pomóc.

Mam mętlik w głowie. Czy pan Garland nie mówił, że znalazł mnie przypadkowo, dzięki przelotnej wzmiance? Dlaczego miałby się mną szczególnie interesować, jak to sugeruje pan Charlton? A jeśli chciał się ze mną znowu zobaczyć, dlaczego po prostu nie zapytał, gdzie mieszkam, kiedy spotkaliśmy się u jubilera? Przyznaję, że czuję się trochę nieswojo, gdy uświadamiam sobie, że w tajemnicy zbierał o mnie informacje. Nie podoba mi się myśl, że po tym, co się zdarzyło, każdy jest w stanie mnie odnaleźć, jeśli tak postanowi.

Nieważne. Obawiam się, że Priscilla musi być rozczarowana. Założę się, że pan Garland dowie się o dzisiejszym incydencie i uzna go za interesujący, choć w inny sposób, niż mogłabym pragnąć.

Nazajutrz po balu leżę do późna. W domu panuje cisza. Zagrzebuję się w pościeli, próbując nie myśleć o poprzednim wieczorze. Początkowa radość, że tak odważnie stawiałam czoło wrogowi, prawie znikła, a to, że przyjaciele opowiedzieli się za mną, nie ukoilo bólu. Kiedy Constance życzyła mi dobrej nocy, prosiła, bym się nie martwiła, lecz znowu się martwię – to jedna z moich głównych rozrywek. Wstydzę się podwójnie. Zarówno z powodu własnego zachowania – krzyczałam na damę podczas balu, publicznie opisywałam wątpliwe szczegóły swojego pochodzenia – jak i z powodu otrzymanej reprimendy.

Spodziewałam się w końcu usłyszeć to wszystko, co powiedziała pani Ellington, i zdaję sobie sprawę, że moja sytuacja jest w tej chwili wyjątkowo dwuznaczna. Mimo strojów, pieniędzy i zwodniczo wyrafinowanego sposobu mówienia nigdy nie stanę się członkiem towarzystwa, bo ludzie zawsze będą chcieli wiedzieć, kim naprawdę jestem.

Przeszłość przypomina moczary pełne ponurych, zdradzieckich stworów czających się pod wodą. Od przyjazdu do Bath przez wiele dni udawało mi się skakać po bezpiecznych kępach trawy, lecz zeszłej nocy bestie wypełzły z topieli i próbowały mnie wciągnąć. Przypominam sobie słowa pani Ellington, jej pogardę, wyraz twarzy bardzo podobny do wyrazu twarzy lady Vennaway. Jeśli nie stworzę dla siebie nowej tożsamości, ludzie zawsze będą mnie tak traktować.

Ale jak wyglądałoby moje życie, gdybym zawsze musiała oszukiwać i żyła w ciągłym strachu, że spotkam znajomego z przeszłości, który może mnie w jednej chwili zdemaskować? Nie, nigdy nie wybiorę takiej drogi. Lepiej znaleźć jakiś sposób, by pogodzić się z tym, kim jestem, bo nie mogę być nikim innym.

Przez chwilę lituję się nad sobą. Za oknem ponuro kracze kruk. Słyszę głosy w korytarzu, pani Nesbitt przywołuje powóz. Wkrótce znów zapada cisza. Pojechała złożyć komuś wizytę i wróci dopiero za kilka godzin.

Przypominam sobie, skąd znam panią Ellington. Przyjechała kilka razy do Hatville, gdy byłam dzieckiem. Jeśli dobrze pamiętam, Ellingtonowie mieszkali w Londynie, lecz mieli wiejski dom w Surrey. Przeklinam Hatville i jego złowieszczy cień.

Ostatni list od Aurelii jest taki frustrujący, zawiera aluzje, że pojawią się nowe komplikacje – jakby nie było ich dostatecznie dużo! Nie wyjaśniła nawet, jak uniknęła małżeństwa z Bailorem. Kiedy wróciła z podróży, nasza przyjaźń się zmieniła i pogłębiła... Dlaczego nie opowiedziała mi wtedy o Bailorze?

Jednak teraz lepiej rozumiem jej niechęć do powrotu. A może i przemianę w największą zalotnicę w historii Derby? Czy próbowała bronić swojej wolności? Czy miała nadzieję, że znajdzie nowego kandydata na męża – kogoś, kogo zaakceptują rodzice, lecz mniej odrażającego niż Bailor Dunthorne? A może Bailor po prostu znudził się oczekiwaniem na jej powrót? Usiłuję sobie przypomnieć, czy słyszałam o nim w ciągu ostatnich lat, lecz niczego nie pamiętam. Aurelia wróciła do Hatville, żyła jak w złotej klatce i nikt jej nie odwiedzał. Żadnych nowin o dawnych konkurentach, żadnych gości. Teraz wydaje mi się to trochę dziwne. Wróciła z długiej, pełnej przygód podróży, upragnionej i z trudem wywalczonej, a później nigdy o niej nie mówiła. A może spotkało ją coś tak strasznego, że koniecznie chciała o tym zapomnieć?

Ponure rozmyślenia przerywa Madeleine, która puka do drzwi. Przyszedł z wizytą jej ukochany pan Renfrew.

– Myślałam, że zamierzasz się ukrywać przez cały dzień. – Uśmiecha się. – Ale przyjaciele potrzebują twojej obecności, więc musisz zrezygnować z tych planów i natychmiast się ubrać.

Kochana Madeleine, jak to miło z jej strony. (Okazała się przewidująca, bo rzeczywiście zamierzałam przez cały dzień nie opuszczać pokoju). W końcu pośpiesznie wkładam niebieską niedzielną suknię, staczam bitwę z włosami, schodzę do salonu, a potem uśmiecham się i udaję, że nie jestem bliska płaczu wskutek upokorzenia.

Pan Renfrew wychodzi dopiero wtedy, gdy udaje mu się namówić Madeleine, Priscillę i mnie, byśmy odwiedziły go w środę i obejrzały jego ogród, który ożywa na wiosnę. Róże jeszcze nie wypuściły pąków, lecz pojawiły się dzwonki, narcyzy i konwalie.

Doceniam, że tak szybko nas odwiedził. To ważny sygnał dla każdego obserwatora. Amy Snow nie jest skompromitowana, jej przyjaciółmi są nie tylko Wisterowie. Życie toczy się dalej, mimo skandalu.

Następnego dnia otrzymuję kolejny dowód zainteresowania ze strony pana Quentina Garlanda. Nie składa wizyty, lecz przysyła list. Krótki, ale bardzo serdeczny. W dalszym ciągu czuję lęk, że skompromitowałam się w towarzystwie, toteż jest to dla mnie miła niespodzianka i zapominam o wątpliwościach związanych z jego niedawnymi odwiedzinami.

*Moja Droga Panno Snow!*

*Ośmielam się przesłać Pani ten krótki list. Mam nadzieję, że pozostaje Pani w dobrym zdrowiu. Proszę przyjąć wyrazy najgłębszego uszanowania i przekazać najserdeczniejsze pozdrowienia pannom Wister, które miałem zaszczyt poznać.*

*Wielce żałuję, że nie mogłem przybyć na bal w Lowbridge i ujrzeć na nim Pani. Jak podejrzewałem, sprawy handlowe zmusiły mnie do wyjazdu. Żywię nadzieję, iż wkrótce będę miał okazję zobaczyć Panią na innej uroczystości o charakterze towarzyskim. Obecnie sprawy handlowe przybrały niespodziewany obrót i w konsekwencji muszę się udać do Edynburga, gdzie prawdopodobnie spędzę kilka tygodni. Mam ogromną nadzieję, że będzie mi wolno złożyć Pani wizytę po powrocie do Londynu.*

*Zapewniając Panią o swojej przyjaźni, pozostaję z szacunkiem*  
*Quentin Garland*

Teraz na pewno więcej go nie zobaczę, ponieważ Aurelia pisała, że mam mieszkać w Mulberry Lodge dwa miesiące, a upłynęło już sześć tygodni. Chętnie spędziłabym resztę cennego czasu w samotności, lecz Wisterowie nie chcą o tym słyszeć. Zmuszają mnie, bym uczestniczyła wraz z nimi w życiu towarzyskim. Kilka rodzin zachowuje się chłodniej niż poprzednio, jedna w ogóle nie chce nas przyjąć, lecz pozostałe traktują nas normalnie. Czas płynie szybko, trwa idylla.

Jak na tę porę roku panuje ładna pogoda i składamy drugą wizytę panu Renfrew, tym razem z chłopcami. W czarodziejski sposób wyhodował w swojej szklarni kilka wczesnych owoców i prosi, byśmy się poczęstowali. Hollisowi szczególnie smakują brzoskwinie i raczy się kilkoma, aż po brodzie spływa mu sok.

Któregoś popołudnia zabieram Michaela nad rzekę. Zwierza mi się, że nie chce studiować prawa jak



ojciec. Twierdzi, że najbardziej lubi zdobywać wiedzę, a później przekazywać ją innym. Zdaje się, że często pomaga młodszym dzieciom w szkole. Wychowawca powiedział mu, że rząd Wielkiej Brytanii zakupił budynek w Whitton i planuje otworzyć w nim kolegium kształcące nauczycieli szkół dla chłopców z rodzin dotkniętych ubóstwem lub mających kryminalną przeszłość. Kolegium powstanie dopiero za dwa lata, gdy Michael skończy siedemnaście lat. Wychowawca obiecał, że napisze mu rekomendację, gdyby sobie tego życzył.

– Mam nadzieję, że papa zmieni zdanie – wzdycha Michael. – Mówi, że jestem jeszcze młody, że są ciekawsze zajęcia, że powinienem iść na uniwersytet i poznać świat. Ale ja nie chcę, Amy. Marzy mi się to kolegium.

Myślę o Henrym, który szczerze pragnie zdobyć zawód, lecz jeszcze nie odkrył w sobie powołania. Zastanawiam się – zdarza mi się to dość często – czy pogodził się z myślą o dalszych studiach medycznych. Młodemu człowiekowi trudno postępować odpowiedzialnie i jednocześnie poszukiwać sensownej drogi życiowej. Mam nadzieję, że Edwin dostrzeże piękno planu Michaela, gdy zrozumie, że syn postawi na swoim.

Czas biegnie. Michael skończył czternaście lat, lecz już ma własne ambicje. Madeleine wkrótce otrzyma propozycję małżeństwa, choć na razie o tym nie wie. A ja? Odjadę w nieznaną. Siedzę samotnie w pokoju, czytam dawne listy Aurelii i rozważam, dokąd mnie teraz wyśle. Zastanawiam się, gdzie Henry Mead studiuje medycynę. Mój kapryśny umysł wymyśla nieprawdopodobne scenariusze, które doprowadzają do naszego ponownego spotkania.

Wreszcie nadchodzi poranek, o którym marzyłam, lecz który przez cały czas budził we mnie trwogę.

Siedzę w oranżerii i czytam list Aurelii napisany w czerwcu 1844 roku, gdy przebywała w Twickenham. Przez wiele tygodni panował tak straszliwy skwar, że Tamiza zupełnie wyschła. Zdaje się, że na dnie rzeki zorganizowano mecz krykieta. Wszyscy Wisterowie poszli popatrzeć, a Edwina poproszono, by się przyłączył. Nawet Aurelii pozwolono kilka razy uderzyć piłkę – jako jedyna z dziewcząt przekonała do tego uczestników meczu dzięki swojemu osobistemu urokowi. Słabe serce sprawiało, że upały były dla niej torturą. Kapitulowała przed chorobą, gdy padała ze zmęczenia i kręciło jej się w głowie, lecz i tak uczestniczyła w imponującej liczbie regat, meczów krokieta i pikników.

Rozmyślałam o tym wszystkim, gdy do pokoju wchodzi, człapiąc, Bessy.

– List do pani, panno Amy. Przed chwilą przyszedł. Zje pani lunch z państwem?

Nareszcie. Jest ostatni dzień marca. Mój czas się skończył.

Kręci mi się w głowie z niepokoju. Patrząc na kopertę. Jest fiołkoworóżowa, a nie kremowa – Aurelia zwykle używała kremowych kopert. Zastanawiam się, kto wysłał ten list i skąd. Stempel pocztowy jest rozmazany. Obracam kopertę w dłoni. Adres napisano czarnym atramentem, charakter pisma jest ozdobny i znajomy – lecz z pewnością nie jest to ręka Aurelii. Upuszczam list, gdy widzę adres nadawcy: Hatville Court, Surrey.

Czuję trwogę. Jak mnie znaleźli?! Wszystkie środki ostrożności na nic?! Zawiodłam Aurelię, nim zdołałam się zbliżyć do rozwiązania zagadki?! Dobrze, że to tylko list. Dobrze, że nie stoją przede mną, śmiejąc się szyderczo. Padam na kolana i otwieram kopertę. Nie mam siły wstać. Czytam list, siedząc na podłodze, otoczona fałdami sukni przypominającymi wielką chmurę.

*Amy Snow!*

*Piszę do Ciebie z mieszanymi uczuciami, lecz nakazuje mi to sumienie. Nawet nie wiem, czy ten list do Ciebie dotrze, i przyznaję, że w głębi serca mam nadzieję, iż tak się nie stanie. Kazaliśmy Ci odejść i posłuchałaś. Byłam z tego zadowolona.*

*Dokładnie wypytałam personel posiadłości na wypadek, gdyby ktoś otrzymał od Ciebie jakąś wiadomość. Przysięgają, że nie. Przejrzałam dawne listy Aurelii, szukając nazwisk i adresów znajomych, których odwiedziła. To, co pisała, było wyjątkowo niejasne. Jednak wspomniała o rodzinie Wisterów z Twickenham i dzięki pomocy licznych przyjaciół zdobyłam ich adres. Mam nadzieję, że nawet jeśli nie mieszkasz u tych ludzi, mają z Tobą kontakt i przekażą Ci ten list – albo odeślą go do mnie. Może do Ciebie dotrze.*

*Mam prostą prośbę. Chcę z Tobą porozmawiać. Możesz przyjechać w tym celu do Hatville. Albo, jeśli wolisz, mogłybyśmy się spotkać w Londynie w miejscu, które wybierzesz. Jeśli nie jesteś w stanie spełnić mojej prośby, napisz do mnie, podając adres, gdzie mogę wysłać list. Są rzeczy, które chciałabym Ci przekazać, ale nie przeleję ich na papier, jeśli nie będę miała pewności, że list do Ciebie dotrze.*

*Nie przypuszczałam, że będę miała powód, by się z Tobą zobaczyć. Lepiej powiedzieć te rzeczy osobiście, niezależnie od tego, jak niesmaczna może być taka rozmowa.*

*Z poważaniem  
Celestina Vennaway*

Kręci mi się w głowie, mam wrażenie, że spadam w mroczną otchłań. Chociaż moje życie stało się dziwaczne i nieprzewidywalne, nie spodziewałam się czegoś takiego.

Przez koszmarną chwilę dręczy mnie pytanie, czy to polecenie, bym pojechała do Hatville. Czy lady Vennaway – świadomie lub nie – jest osobą, której Aurelia powierzyła następną wskazówkę? Nie mogę w to uwierzyć. List od lady Vennaway z pewnością nie jest związany z sekretem Aurelii. Otrzymałam go po prostu w niezwykłym momencie. Czego, u licha, może ode mnie chcieć? Nie mam wątpliwości, że nie chodzi o nic przyjemnego.

Może sekret polega na tym, że Aurelia pogodziła się przed śmiercią z lady Vennaway? Czy trop doprowadzi mnie z powrotem do Hatville? Nie wierzę w to, nie chcę wierzyć. Chociaż czuję trwogę na myśl o nieznanym miejscu, gdzie Aurelia mogłaby mnie wysłać, Hatville wydaje się najbardziej nieprzyjemne. Wołałabym nawet Afrykę!

Wpycham list głęboko do kieszeni i wstaję niepewnie. Przynajmniej matka Aurelii nie wie, gdzie jestem. Pojawi się inna wskazówka. Już wkrótce. Muszę dostać kolejną wskazówkę.

A jednak mijają dni i wskazówka się nie pojawia. Nadszedł kwiecień. Łąki Petersham i Ham po przeciwnej stronie rzeki pokrywają się kwiatami. Krowy drzemą w obłokach zieleni i białych pąków, które sięgają im prawie do szyi. Tamiza jest zieleńsza niż kiedykolwiek i zdarzają się nawet słoneczne dni, gdy można spacerować po ogrodzie, pić herbatę na trawie lub siedzieć pod wierzbami na brzegu rzeki, rysując czaple i łodzie.

Z całego serca marzę o pozostaniu w Twickenham. Nigdy niczego tak gorąco nie pragnęłam, z wyjątkiem ratunku dla Aurelii. Śnię na jawie, z pasją, intensywnie, jakby marzenia mogły sprawić, że nadejdzie list z wiadomością o końcu mojej podróży i o tym, że wszystkie odpowiedzi są w zasięgu ręki.

Rozmawiałam z Edwinem i w miarę możliwości wyjaśniłam swoją trudną sytuację. Głęboko wytrącona z równowagi listem lady Vennaway, spytałam, czy coś wie o planach Aurelii wobec mnie, o poszukiwaniach skarbu. Zdaję sobie sprawę, że postępując w ten sposób, nie spełniam życzeń Aurelii, ale nie mogę znieść napięcia wywołanego przez niepewność. Edwin nic nie wie.

Ale teraz rozumie, że wkrótce wyjadę, że mogę zostać wysłana prawie wszędzie. Jest bardzo zatroskany.

– Nie chcę o tym myśleć, Amy! Wyjechałabyś w świat zupełnie sama, kto wie dokąd? Nikt nie będzie wiedział, gdzie jesteś! O co chodziło Aurelii? To nie tego potrzebujesz. To tragedia, że umarła, największa dla ciebie, ale teraz powinnaś rozpocząć własne życie. Mieliśmy nadzieję, że z nami zostaniesz. Dlaczego nie? Przy pięciu kobietach jedna więcej nie robi różnicy. Byłbym zaszczycony, gdybyś stała się członkiem naszej rodziny, Amy. Wtedy mielibyśmy pół tuzina kobiet, prawda?

Płaczę, a Edwin mnie obejmuje. Przez moment udaję, że jestem Priscillą, a on moim ojcem, i zastanawiam się, jak wyglądałoby moje życie, gdyby czuwał nade mną taki mężczyzna. Myślę o swoim ojcu. Gdzie teraz jest? Czy w ogóle wiedział o moim istnieniu? Mam cichą nadzieję, że nie.

Po chwili się uspokajam i mówię Edwinowi, że chociaż wydaje się to bardzo dziwne, muszę ufać Aurelii i wierzyć, że cała ta intryga ma sens.

– Lubiła dramatyzować, ale naprawdę mnie kochała i dobrze mi życzyła, Edwinie, prawda? W końcu to ona kazała mi do was przyjechać. Gdzie mogłabym znaleźć lepszych ludzi? Naprawdę nie chcę wyjeżdżać, niczego nie pragnę mniej, jednak wierzę, że robię to z ważnego powodu.

– Ale czy to bezpieczne? Nie mogę cię zatrzymać, jeśli chcesz postąpić zgodnie z życzeniem Aurelii,

a rozumiem, że tak właśnie jest. Gdybyś chciała, bym ci towarzyszył, zrobię to, nie zadając żadnych pytań.

– Jestem doprawdy oszołomiona. Nikt nigdy nie złożył mi takiej miłej propozycji. Ale nie wiem, dokąd mnie zaprowadzą moje poszukiwania ani jak długo będą trwać. Może całe miesiące, a nawet lata, choć mam nadzieję, że tak się nie stanie. Poza tym Aurelia kazała mi przysiąc, że dochowam tajemnicę. Nie mogę jej zawieść.

Edwin wzdycha z bardzo niepewną miną.

– Skoro zawsze dotrzymujesz przyrzeczeń, muszę cię prosić, żebyś mi obiecała dwie rzeczy, Amy.

Czuję, że złożyłam już zbyt wiele obietnic, i jestem przytłoczona ich ciężarem, lecz oczywiście pytam, o co chodzi.

– Po pierwsze, obiecaj, że będziesz do mnie pisać raz w miesiącu, bym wiedział, że nic ci nie grozi. Choćby krótki list, nawet gdybyś nie mogła pisać do innych. Muszę wiedzieć, że jesteś bezpieczna. Po drugie, przyrzeknij, że gdybyś czegoś potrzebowała, poinformujesz mnie o tym, nawet gdybyś była na krańcu świata. Wtedy postaram się ci pomóc. Obiecaj mi te dwie rzeczy, Amy!

Chętnie spełniam prośbę Edwina.

– Jeśli zerwiesz z nami kontakt, Madeleine będzie zrozpaczona – dodaje. – Wszyscy będziemy zrozpaczeni, ale ona szczególnie. Chyba wiesz, że straciła już kiedyś przyjaciółkę. Nie zasługuje, by ją to spotkało po raz drugi. Przyznaję, że jestem trochę zły na Aurelię. Czy zastanawiała się, jak ten testament odbiorą inni? Czy nie myślała, jak się będę czuł, gdy cię stracę? Czy ty o tym myślałaś?

– Drogi Edwinie, dopiero bardzo niedawno. Przedtem w ogóle nie przychodziło mi do głowy, że ktoś mógłby za mną tęsknić, oczywiście z wyjątkiem Aurelii. Nie, nigdy nie przypuszczałam, że mogę zasługiwać na lojalność, budzić troskę i czułość. Zmieniło się to dopiero w czasie ostatniego balu w Lowbridge, gdy stanęliście w mojej obronie.

Kiwa poważnie głową.

– To wyjątkowo smutne, moja droga.

Chociaż jestem zadowolona, że Edwin rozumie moje położenie, w następnych dniach staję się bardzo nerwowa. Minął prawie tydzień, odkąd otrzymałam list od lady Vennaway, i ciągle nie mam żadnej wskazówki od Aurelii. Martwię się i zadrezczam, zastanawiając się, czego ode mnie zażąda.

Jest jednak pewna pociecha. Piątego kwietnia przypadają piętnaste urodziny Michaela, który postanowił, że z tej okazji powinniśmy popłynąć łodziami na wyspę Eel Pie. Nie przypuszczałam, że będę uczestniczyć w tym szczęśliwym wydarzeniu. Mieszkańcy Twickenham zwykle wybierają się na wyspę w lecie, ale Michael koniecznie chce tam popłynąć teraz – niezależnie od pogody. W końcu dzień okazuje się słoneczny, wyjątkowo ciepły jak na tę porę roku, a Michael ma taką zadowoloną minę, jakby ktoś specjalnie spełnił jego życzenie.

Wiem, że powinnam już otrzymać następny list od Aurelii i być znowu w drodze. Martwię się, że coś poszło nie tak. Jednak nie mogę się nie cieszyć, że ciągle jestem w Twickenham! Wchodzę do łodzi, chichocząc i piszcząc, wraz z pozostałymi dziewczętami. Jestem z nimi, gdy odpływamy... Jestem z nimi, kiedy siadamy na trawie porośniętej stokrotkami. Madeleine prawie natychmiast chwyta mnie za rękę i oprowadza po wyspie, wskazując ulubione zakątki rodziny Wisterów: brzeg, gdzie można rozłożyć koc, doskonałe miejsce na piknik; restaurację, w której odbywają się bardzo wesołe przyjęcia; dąb, z którego spadł kiedyś Hollis i złamał rękę; wierzbę, pod którą Edwin oświadczył się Constance.

Jemy obfity posiłek, gramy w kule i krykieta, śmiejemy się do rozpuku z dowcipów na temat rodziny, które powoli rozumiem. Po posiłku dorośli i mała Louisa zapadają w drzemkę, a Madeleine i Priscilla plotą wianki ze stokrotek. Chłopcy bawią się w dzikich na końcu wyspy. Ich krzyki prawdopodobnie słychać w Twickenham. Odchodzę samotnie, by posiedzieć pod piękną romantyczną wierzbą, i myślę, że to tutaj, pod tym drzewem rozpoczęła się historia rodziny Wisterów. Oczywiście przypomina mi się Henry i wyobrażam sobie, że rozmawia ze mną i śmieje się pod tą samą wierzbą. Jak bardzo bym chciała spotkać przyjaciół... W mojej głowie znów pojawia się myśl: właśnie tego pragnę. Po raz pierwszy wypowiadam ją na głos, mocnym głosem, choć słyszy mnie tylko czarna kurka wodna. „Właśnie tego pragnę”. Pragnienie ogarnia całe moje ciało. Nie mam pojęcia, jak mogłabym osiągnąć swój cel. Nie wiem, kiedy będę wolna, by móc realizować marzenia, ale wypowiadam tę myśl na głos i ona pozostaje we mnie.

W końcu powoli pakujemy rzeczy i płyniemy z powrotem do domu, zmęczeni i szczęśliwi, oddychając

chłodnym powietrzem w blasku księżycy. Jestem tu, choć nie powinnam...

Nazajutrz rano budzę się i widzę list leżący na poduszce obok mojej twarzy. Na kopercie znajdują się inicjały AS. Położył ją któryś z mieszkańców Mulberry Lodge.

*Moja Najdroższa Amy!*

*Mam nadzieję, że czujesz się dobrze, gołąbeczko. Ufam, że wypoczęłaś i odzyskałaś siły, że teraz, gdy znalazłaś się poza groteskowym światem Hatville, wreszcie poznałaś swoją wartość. Wisterowie Cię uwielbiają, prawda? Przyznaj, że mam rację.*

*I przyznaj też, że podobają Ci się stroje. Och, Amy, nigdy Cię w nich nie zobaczę! Nigdy nie pójdziemy razem na bal. Wyobraź sobie, że mogłybyśmy wychować się w tej rodzinie, zamiast dorastać w Hatville. Wyobraź sobie tylko!*

*Wiesz, co dziś robiłyśmy, Amy? Poszłyśmy nad strumień. Od ostatniej takiej wycieczki minęło sporo czasu, bo długo nie mogłam wstać z łóżka, a poza tym jesteśmy teraz zbyt kulturalne, by wisieć na płocie z uniesionymi nogami. Ale zawiozłaś mnie tam dzisiaj na wózku i siedziałyśmy wśród dzwonek, pijąc lemoniadę – o Boże, jak ja kocham lemoniadę! – i jedząc suflet czekoladowy, jeden z przysmaków, które Cook uznała za fiasko. Uważałyśmy, że jest pyszny, lecz Cook doszła do wniosku, że brak mu lekkości. Wyrzuciłaby suflet do śmieci, lecz zdołałyśmy go ocalić przed tym haniebnym losem. To miło z naszej strony, prawda?*

Pamiętam ten dzień. To zdumiewające, że potem, niczego nie podejrzewając, poszłam spać, a Aurelia napisała do mnie list.

*Jestem pewna, że pamiętasz nasze wspólne szczęśliwe dni. Muszę Ci opowiedzieć o innych rzeczach. Wspomniałam już o genialnym planie moich rodziców, by mnie wydać za Bailora Dunthorne'a. Teraz, gdy nabrałaś sił (mam przynajmniej taką nadzieję), mogę opowiedzieć resztę i jeszcze bardziej Cię zaszokować.*

*Och, to trudne, Amy... W tamtych czasach ukrywałam przed Tobą nie tylko przymusowe zaręczyny. Druga tajemnica dotyczy jeszcze odleglejszej przeszłości. Wszystko się zaczęło, gdy miałam dziewiętnaście lat i odkryto moją chorobę serca. Nie, kiedy miałam osiemnaście lat i rodzice naprawdę zaczęli nalegać, bym wyszła za mąż. A może jeszcze wcześniej?! Właściwie nie jestem w stanie tego określić.*

*Wielkie nieba, najdroższa, tak trudno o tym pisać! Amy, oczywiście pamiętasz Robina. Kochanego, łagodnego, dobrego, przystojnego Robina. Cóż, zawsze podejrzewałam, że trochę się we mnie podkochuje. (Ponieważ jestem niewiarygodnie próżna, uważam, że podkochuje się we mnie większość mężczyzn). Okazało się to prawdą. Myślę, że z czasem ja również się w nim zakochałam.*

Nie jestem w stanie czytać dalej. Muszę odłożyć list, wstać z łóżka i przespacerować się kilka razy po pokoju. Aurelia i Robin?! Robin?! Aurelia myśli, że się w nim zakochała?! Przypominam sobie dobrodusznego starszego chłopca, który przestawiał mnie z miejsca na miejsce jak zabawkę, teraz nazywanego „kochanym, łagodnym, dobrym Robinem”! Czy naprawdę był przystojny? Chyba tak, tylko wcześniej nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Zawsze uważałam Robina za kogoś w rodzaju starszego brata – opiekował się mną, gdy byłam małą, zawsze był taki odpowiedzialny i sobie radził. Nagle ze zdumieniem zdaję sobie sprawę, że on i Aurelia byli rówieśnikami. Nigdy nie potrafiłam uwierzyć, że ona jest ode mnie osiem lat starsza – była niespokojna i kapryśna, wydawała się nie podlegać obowiązującym regułom.

Wracam do łóżka, z niezrozumiałą dla siebie energią układam poduszki i czytam dalej:

*Oczywiście na początku był tylko Robinem, który pracował w ogrodzie. W dzieciństwie, zanim się pojawiłaś, traktowałam go jak przyjaciela. Uwielbialiśmy ptaki, zwierzęta i rośliny. Kiedy wychodziliśmy z domu, czuliśmy się szczęśliwi. Jak wiesz, kontakt z naturą sprawiał, że czułam się spokojniejsza. Pomagał mi odzyskać równowagę. Na pewno pamiętasz, że Robin był dość małomówny, ale kiedy się odzywał, zawsze mówił coś ciekawego. Matka traciła kolejne dzieci, kłóciła się z ojcem, kazała mi robić rzeczy, które budziły mój sprzeciw, a ja spędzałam czas z Robinem, lecz nigdy nie uważałam go za mężczyznę: byliśmy tylko dziećmi.*

*A potem Ty się pojawiłaś, Amy! Poświęciłam Ci cały swój czas, wszystkie uczucia i zupełnie zapomniałam o biednym Robinie. Opiekowałam się Tobą, rozpieszczałam Cię. Świadomość, że mnie potrzebujesz i uważasz za autorytet, była naprawdę cudowna. Kiedy dorosłaś, to Ty mnie uspokajałaś i pocieszałaś. Mogłam się z Tobą bawić, gdy potrzebowałam towarzystwa. Jako młoda dziewczyna okazałaś się bardziej interesująca od Robina, bo byłaś rozmowna, ciekawa świata i wesoła, a on taki nie jest!*

*Kiedy skończyłam osiemnaście lat i rodzice dali mi jasno do zrozumienia, że prędej czy później muszę kogoś poślubić, byłam bardzo nieszczęśliwa i zła. Pewnego wieczoru, nie mogąc znieść bólu, wyszłam z domu. Usiadłam na starej huśtawce w ogrodzie różanym i gorzko płakałam. Byłam w strasznym stanie, nie miałam pojęcia, co robić. I nagle w ogrodzie pojawił się Robin.*

*Od dawna go nie widziałam, przez długi czas nie rozmawialiśmy ze sobą. Kiedy zobaczył, że płaczę, nie powiedział ani jednego słowa – było to cudowne po tych wszystkich okropnych kłótniach z rodzicami. Po prostu podniósł mnie z huśtawki, usiadł na niej, posadził mnie sobie na kolanach i przytulił. Nie byliśmy już dziećmi.*

*To, co chcę Ci powiedzieć, nie nadaje się do opisanie w liście (jestem pewna, że już odgadłaś, o co chodzi). Nawet gdybym mogła z Tobą porozmawiać w cztery oczy, jakich słów miałabym*



użyć? W naszym pruderyjnym społeczeństwie nie ma na to słów. Ale powiem Ci prawdę, Amy.

Długo płakałam w ramionach Robina, z głową opartą na jego piersi, i naprawdę dobrze się czułam. Po rozmowach o małżeństwie i obowiązkach, które muszę spełnić, mężczyźni zaczęli mi się wydawać wrogami! Nagle z ulgą i radością zrozumiałam, że może być inaczej.

Zaprowadził mnie do sadu, gdzie mogliśmy być sami, ukryci wśród drzew. Usiedliśmy na trawie i znów mnie przytulił, a ja się uśmiechałam przez łzy.

Po chwili mnie pocałował. Patrzył na mnie takim wzrokiem, jakbym była kosztowną, delikatną lalką, jakby nie wierzył, że może mnie dotykać, i obawiał się, że połamię mnie w palcach. Wyglądał jak człowiek, który nagle zaspokoił pragnienie całego życia.

Ja także byłam zdumiona. Chociaż codziennie pracował na otwartym powietrzu, miał bardzo miękkie policzki. Poczułam szorstkość młodzieńczej brody, której dotyk był dla mnie czymś zupełnie nowym. Miałam wrażenie, że moje palce i dłonie chłoną jego skórę, że zapisuję w pamięci każdy jej skrawek.

Nie bój się, ptaszku, nie będę szczegółowo opisywać każdego skrawka ciała Robina! Nie chcę Cię zawstydząć! Mnie samą to zawstydza! Słowa napisane na papierze wyglądają banalnie, ale to, co wyrażają, nie jest banalne. To było jak nektar, aksamitny niczym zmierzch i lśniący jak gwiazdy. Czułam, że otaczający mnie świat zupełnie się zmienia.

Modłę się, byś kiedyś mogła doświadczyć tego samego, gdy będziesz gotowa i nadejdzie odpowiednia chwila. Była w tym namiętność, Amy, większa, niż potrafiłam sobie wyobrazić. Tchnęło czymś starodawnym, świętym. Nawet teraz, po latach, nie mogę się nadziwić, że było to takie cudowne, i zabronione. Lecz niczego nie żałuję, nigdy niczego nie żałowałam.

Oczywiście nie mogło być mowy o małżeństwie z Robinem. Na samym początku snuliśmy tęskne marzenia o ślubie. Nigdy nie słyszałam, żeby mówił tak dużo, jak wtedy, gdy opowiadał o tym, czego dla nas pragnie. Ale zdawaliśmy sobie sprawę, że te pragnienia są jak nasza miłość – zakazaną, sekretną przyjemnością. Wiedzieliśmy, że to fikcja, która ma nas pocieszyć. Skradzione chwile, dziwne momenty w środku nocy, gdy wszyscy śpią, puste miejsca między snem a rzeczywistością – nasza miłość mogła istnieć tylko w tym wymiarze. Jeśli to była miłość. Smutno mi, że wszystko to, co w moim życiu okazało się naprawdę piękne – Twoja przyjaźń i przede wszystkim dotyk Robina – musiało być ukradkowe, trzymane w tajemnicy.

Odkładałam list i przez pewien czas śnię na jawie. Co za zwierzenia! Staram się powiązać wspomnienia z nowymi informacjami. Aurelia była zakochana przez te wszystkie lata i nic mi nie powiedziała. Kiedy chichotałyśmy, plotkując o jej adoratorach, albo martwiłyśmy się o przyszłość, ukrywała coś – kogoś – bardzo ważnego. Robin był jej kochankiem! Nawet gdyby nagle mi oznajmiono, że Cook to matka Aurelii, a Dora jest jej siostrą bliźniaczką, nie byłabym bardziej zdumiona. Robin?! Nie tracę szacunku do Aurelii z powodu tego, co zrobiła. Ale nie powiedziała mi o swojej miłości, choć myślałam, że

jesteśmy tak blisko... To boli. Jednak byłam wtedy bardzo młoda. Chyba nie mogę jej winić za to, że nie opowiedziała dziesięcioletniej dziewczynce o takich doświadczeniach. Ale dlaczego nie zwierzyła mi się, kiedy byłam starsza, tuż przed jej śmiercią?

Zastanawiam się, czy nie jestem strasznie naiwna, bo jest to już drugi zdumiewający fakt, którego się dowiedziałam – a trzeci, jeśli wziąć pod uwagę samo poszukiwanie skarbu. W sumie sprawiają, że czuję się, jakbym niewiele wiedziała. Pamiętam Aurelię jako osobę otwartą i szczerą. Miała w sobie coś ze słonecznego letniego dnia. A teraz wszystko okazuje się kłamstwem.

*Tak czy inaczej, ta miłość, ta namiętność trwała aż do chwili mego wyjazdu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nasz związek nie ma żadnej przyszłości, a jednak nie potrafiliśmy się rozstać. Dopóki byliśmy razem... nie potrafiliśmy się temu oprzeć. Jak widzisz, Amy, miałam jeszcze jeden powód wyjazdu z Hatville. Nasze uczucie nie słabło i nie mogło z tego wyniknąć nic dobrego. Nie byłabym w stanie patrzeć, jak Robin poślubia inną kobietę. Nie mógł się ze mną ożenić, choć był młodym człowiekiem, dobrym człowiekiem, i potrzebował uroczej żony. Co by się stało, gdyby nas przyłapano? Wyobrażasz sobie, co by go spotkało? Oczywiście zostałyby natychmiast wyrzucony z Hatville. Odszedłby w niesławie. Nie mógłby znaleźć żadnej pracy, zatroszczyłby się o to mój ojciec. W jakim niezwykłym świecie żyjemy...*

*Znasz dalszy ciąg tej opowieści, Amy. Nasz romans nie zakończył się szczęśliwie. Robin czekał w Hatville, gdy podróżowałam, by się upewnić, że wrócę – wątpił w to tak samo jak Ty, kochana – a potem odszedł. Uważam, że rozstanie pozwoliło nam spojrzeć na nasz romans z tak potrzebnego dystansu, a poza tym, jak pamiętasz, po powrocie bardzo szybko opadłam z sił. Nie mógł zostać i patrzeć, jak umieram. Ciekawe, jak sobie radzi, Amy. Zastanawiam się, czy jego serce zdobyła jakaś wesoła panna z hrabstwa Gloucester?*

*Wróćmy do Bailora. Kiedy wyraziłam zgodę na małżeństwo, widziałam go tylko raz, tuż przed wyjazdem. Przyszedł na kolację, zaproszony przez rodziców. Przez cały wieczór zachowywał się czarująco (prawdopodobnie coś podejrzewał). Po posiłku rodzice zostawili nas samych.*

*Nim zdążył jeszcze raz poprosić mnie o rękę (na samą myśl robiło mi się niedobrze), oznajmiłam, że nie mogę go poślubić i że nigdy tego nie zrobię. W razie potrzeby byłam gotowa stwierdzić, że nie jestem dziewicą. Powiedziałabym absolutnie wszystko, Amy, lecz nie było potrzeby. Mężczyźni tacy jak Bailor Dunthorne rozumieją kobiety. Potrafią wyczuć słabość i strach – nie dostrzegł ich we mnie. Moja mina świadczyła o determinacji, wręcz desperacji. Poza tym nigdy mnie nie kochał.*

*Spojrzałam mu prosto w oczy i oświadczyłam, że jeśli chce, może się do mnie zalecać i znosić towarzystwo moich rodziców, ale marnuje w ten sposób czas, bo okłamałam rodziców i nie mam zamiaru dotrzymać obietnicy. Uprzedziłam, że byłabym straszną żoną, zrobiłabym mu piekło na ziemi i że powinien mnie unikać, bo tak będzie lepiej dla niego. Odparł, że nie ma co do tego*

żadnych wątpliwości. Odprowadziłam go do powozu, a potem po raz pierwszy i ostatni uścisnęłam mu dłoń. Nigdy więcej nie zobaczyłam Bailora! W innym liście opiszę, jak okłamałam rodziców. Kiedy wyjechałam z panią Bolton, uważali, że jestem zaręczona.

Zastanawiam się, co o tym sądzisz, ptaszku. Zastanawiam się, co do siebie szepczesz, czytając ten list. Ciekawe, co chciałabyś mi powiedzieć...

A teraz, droga Amy, następna część Twojej podróży. Jestem pewna, że nie chcesz opuszczać Twickenham, ale to niestety konieczne. Bardzo mi przykro. Moja droga, musisz poznać dalszy ciąg tej historii, więc wysyłam Cię w podróż. Wkrótce poznasz panią X., za co powinnam Cię z góry przeprosić.

To starsza pani i szczerze się obawiam, że umrze, nim do niej dotrzesz. Jest przekorna i coś takiego byłoby w jej stylu! Jednak stanowczo mnie zapewniła, że zamierza żyć wiecznie, więc myślę, że powinnam jej ufać i prosić Cię, byś ją odwiedziła. Spędzisz u niej trzy tygodnie. Nie wątpię, że chwilami czas będzie Ci się bardzo dłużył.

Ogarnia mnie przygnębienie. Nie brzmi to zbyt obiecująco.

Jednak trzy tygodnie to niewiele, a tam, dokąd jedziesz, czeka Cię mnóstwo przyjemności. Znajdziesz się w bardzo starym i pięknym mieście, które na pewno zainteresuje osobę o bystrym, chłonnym umyśle.

Nie podaję w tym liście adresu, bo nie chcę ujawniać w jednym miejscu dwóch ważnych sekretów. Może jestem przesadnie ostrożna i przysparzam Ci niepotrzebnych kłopotów, jednak wyobrażam sobie sytuację, gdy moi rodzice zaczną Cię ścigać, odnajdą jeden z moich listów i zrozumieją, że nie wiedzą o mnie wszystkiego. Pewnie to tylko wyobraźnia i przeklinasz mnie w duchu, ale nie mogę ryzykować. Oto wskazówka, najdroższa:

Stokrotka i pierwiosnek

chylą się do siebie.

Krąży wokół zimorodek

i pilnuje we śnie ciebie.

Węzły i sploty na łące zielonej,

Spokojna, wiejska okolica,

Gdzie jest ukryta damy tajemnica.

Wiem, że nie jest to najlepszy wiersz, jaki napisałam, ale czuję się już zmęczona tymi wszystkimi intrygami. W końcu jestem tylko biedną, delikatną kobietą!

Kończę ten list z ciężkim sercem, bo zdradziłam Ci swój wielki sekret i nie mogę zobaczyć Twojej miny. Wiem, że proszę Cię o bardzo wiele. Wkrótce dowiesz się wszystkiego, o czym

*zamierzam Ci opowiedzieć, i listy się skończą. Będę wtedy martwa, ale Ty nie, i już za Tobą tęsknię. Niechaj tak się staje. Tak się potoczyły nasze losy. Muszę być dzielna, ale nie mam wątpliwości, że Ty jesteś znacznie dzielniejsza.*

*Z wyrazami miłości i przywiązania od Twojej oddanej*  
AV

Odrzucam kołdrę, bo nagle czuję, że mnie dusi. Aurelia ukrywała przede mną takie tajemnice. Okłamywała rodziców, byle tylko odzyskać wolność. Ujawniła rzeczy, o których nie miałam wcześniej pojęcia – w bardzo pokrętny, zagadkowy sposób. Romans z ogrodnikiem to wielki, szokujący sekret, przynajmniej tak byłoby to traktowane w Hatville. A teraz mi go zdradziła. Czego się jeszcze dowiem?

W końcu się ozywiam. Tak długo trwałam w bezruchu, że na nosie usiadła mi mucha. Strzepuję ją z irytacją i dochodzę do wniosku, że pora działać. Wstaję z łóżka, szczotkuję włosy, przygotowuję ubranie – codzienne czynności bez większego znaczenia, które sprawiają, że znów zaczynam normalne życie. Moje życie. Nie wiem, czym teraz jest. Zawsze byłam tak mocno związana z Aurelią, że wszystko, co jej dotyczyło, wpływało również na mnie. A teraz mam znowu wyruszyć w podróż do nieznanego miejsca. Ściągam halkę przez głowę tak gwałtownym ruchem, że słyszę odgłos pękającego materiału. Aurelia ma rację. Nigdy bym nie wyjechała z Twickenham, gdybym miała możliwość wyboru. Zrobię to tylko dlatego, że mi kazała. Spośród fałdów białej bawełny wynurza się zaczerwieniona twarz i patrzy na mnie w lustrze.

Będę się tym zajmować do września, mówię sobie nagle. Dziewięć miesięcy od śmierci Aurelii. Spełnię jej polecenie, pojedę tam, gdzie mi każe, zrobię, czego sobie życzy. A później zakończę tę podróż niezależnie od tego, czy poznam sekret, czy nie – czy dotrę do celu wędrówki, czy nie. Będę żyć tak, jak będę chciała. Zacznę robić to, co będę chciała. Ofiarowanie komuś dziewięciu miesięcy życia, nawet ukochanej osobie, to bardzo dużo. Nie zamierzam przestać tęsknić za Aurelią ani czuć żalu po jej śmierci, ale jestem ciągle żywym człowiekiem!

Podjąwszy decyzję, ubieram się i przystępuję do rozwiązywania zagadki. Z zaskoczeniem odkrywam, że doskonale wiem, gdzie znaleźć nazwisko i adres „pani X”. Baldachim nad łóżkiem to gobelin z wyobrażeniem łąki, na którym widać – tak! – stokrotki, pierwiosnki i zimorodka. Nie mogę uwierzyć, że od dwóch miesięcy śpię tak blisko rozwiązania. Jest tuż pod moim nosem, jak to się mówi. A dokładnie tuż nad moją głową.

Odrzucam kołdrę i staję na łóżku. Mogę dosięgnąć baldachimu.

„Spokojna wiejska okolica, gdzie jest ukryta damy tajemnica”. Na długiej, zielonej powierzchni zauważam kilka luźnych nitek, pod którymi widać coś białego. Kładę się na łóżku. Teraz wiem, że list jest ukryty w baldachimie. W dalszym ciągu widzę białe miejsca. To zdumiewające, że ludzki umysł dostrzega to, czego się spodziewa, a ignoruje to, czego nie może sobie wyobrazić.

Jeszcze raz wstaję i ostrożnie sięgam po kartkę, która wypada mi na rękę. Wygładzam baldachim i wyskakuję z łóżka z zadziwiającym hukiem. Niewielki, złożony karteluszek. Niezrozumiały ciąg liter i maleńka łopatka narysowana w lewym rogu.

Znajduję czystą kartkę i ołówek, a potem siadam przy stole, czując na twarzy ciepłe promienie słońca. Analizuję szyfr przez kilka minut. Jest bardzo prosty. Aurelia i ja posługiwaliśmy się w dzieciństwie trzema szyframi – to najprostszy z nich. Kluczem jest alfabet napisany w dwóch kolumnach: od A do M oraz od N do Z. Należy poprowadzić ukośną linię między literą znajdującą się w zaszyfrowanej wiadomości a jej odpowiednikiem w kluczu. A odpowiada Y, B odpowiada X i tak dalej. W przypadku liczb odwracaliśmy kolejność liczb dwucyfrowych. W przypadku liczb jednocyfrowych nic się nie zmieniało. Znam ten szyfr na pamięć, choć posługiwaliśmy się nim przed wielu laty. Tekst brzmi:

Mhg Yhqyvlu Hqduhfrkhju

Ryvug Rkegu

43 Huxuwwy Gfhuuf

(lh Ieuul Gieyhu)

Xyfr

Czyli:

Mrs Ariadne Riverthorpe

Hades House

34 Rebecca Street

(nr Queen Square)

Bath

Bath. Powinam być zadowolona. Aurelia pojechała z Twickenham do Derby. Dotarła do Bath dopiero na samym końcu podróży. Wcześniej przypuszczałam, że teraz udam się do Derby, i mam wrażenie, że robię przeskok, oszczędzając sobie wielu tygodni. Aurelia napisała w liście, że zbliża się koniec wędrówki. Może Bath okaże się ostatnim miastem, do którego mam pojechać? Czuję awersję do Bath od okropnych miesięcy, gdy Aurelia flirtowała tam z Frederikiem Meredithem – straciłam wtedy nadzieję, że kiedykolwiek wróci do domu.

Nagle przychodzi mi do głowy nowe pytanie. Co naprawdę czuła do Frederica Mereditha? Czy w czasie kilku miesięcy przestała kochać Robina? A może znajomość z Meredithem stanowiła próbę nawiązania kontaktu, który zadowoliliby jej rodziców? Czy próba ta zakończyła się fiaskiem i dlatego Aurelia nie chciała rozmawiać o Meredithzie po powrocie do Hatville? Może dowiem się tego w Bath. Mimo to nie czuję entuzjazmu na myśl o podróży.

Obraz Bath wyłaniający się z listów Aurelii nie wydaje mi się atrakcyjny. Wiem, że to bardzo modne miasto, ulubione miejsce spotkań brytyjskiej śmietanki towarzyskiej. Rzeczywiście jest „bardzo stare i piękne”, ale dla mnie wystarczająco stare i piękne jest Twickenham. Nie chcę spędzać trzech tygodni w świecie balów, pięknych kobiet i eleganckich kapeluszy. Nie przypuszczam, że pani Riverthorpe z Hades House, za którą Aurelia „chce mnie z góry przeprosić”, nadaje się na sojuszniczkę. Po Twickenham wydaje się to mało prawdopodobne.

Nazwisko i adres sprawiają, że wiem, dokąd jechać. Uciekłam z Ladywell do Londynu, a później z Londynu do Twickenham. Niczego nie planowałam, działałam pod wpływem impulsu, jechałam tam, gdzie mi kazano. Tym razem mój wyjazd będzie wyglądać inaczej. Napiszę krótki list do pani Riverthorpe, w którym poinformuję, że za kilka dni przybędzie panna Amy Snow. Później poproszę Edwina, by pomógł mi zorganizować podróż i zdecydować, co mogę bezpiecznie powiedzieć reszcie rodziny. Nieważne, jakie emocje targają mną w chwili wyjazdu z Twickenham – wiąże mnie obietnica, którą dałam Aurelii. Poza tym zżera mnie ciekawość.

Wszystko załatwia Edwin. Mam wyjechać z Twickenham następnego dnia w karecie Wisterów wraz z ich woźnicą Williamem. Zabierze ze sobą swojego brata Jacka, toteż kiedy przybędziemy do Hades House, mój olbrzymi kufer wniesie do domu dwóch młodych mężczyzn. Nie będę miała nic do roboty. Powinnam tylko wziąć parasolkę i poprawić rękawiczki. Mam nadzieję, że Aurelia wybaczy mi to drobne naruszenie tajemnicy, jeśli obserwuje mnie z nieba. Pogodziłam się z myślą, że czeka mnie trudny okres, lecz nie zamierzam samodzielnie dźwigać kufra.

Z Twickenham do Bath jest około dwustu kilometrów i będzie to moja najdłuższa jak dotychczas podróż. Nie da się pokonać tej trasy w ciągu jednego dnia. Idealnym rozwiązaniem jest nocleg w Marlborough. Edwin zna tam znakomity zajazd.

Informuje wszystkich, że wyjeżdżam, co oszczędza mi kłopotliwych wyjaśnień. Wieczorem cała rodzina zasiada razem do kolacji. Udało się nawet zaprosić teściową, co jest wyczynem porównywalnym do unieruchomienia figowca kołyszącego się w podmuchach jesiennej wichury.

W jadalni o ścianach w fioletowo-zielone paski czeka na nas prawdziwa uczta podana *à la française*. Podejrzewam, że Edwin uprzedził Constance (a ta uprzedziła Bessy), że szykuje się coś ważnego. Zapalono lichtarze, choć nie jest jeszcze ciemno. Na stole stoi najlepsza porcelana i wypolerowane miedziane naczynia. Ciepłe kolory i miękkie światło, głowy przyjaciół pochylone nad parującymi talerzami zupy – wszystko to wywołuje we mnie bolesną nostalgię.

Kiedy sprzątnięto ze stołu głębokie talerze i Bessy wycofuje się do kuchni, głos zabiera Edwin. Chociaż wiadomości zostały złagodzone szparagami i zupą indyjską, wszyscy mają przerażone miny.

Ustaliliśmy, że powiemy prawdę, lecz w uproszczonej wersji. Łatwiej mi się z tym pogodzić, niż wymyślać jakąś historyjkę albo zniknąć bez słowa wyjaśnienia. Edwin oznajmia, że nazajutrz muszę wyjechać, by się zająć sprawami Aurelii – mają one sekretny charakter i zabroniono mi o nich mówić. Prosi dzieci, by nie zadawały mi żadnych pytań ani nie namawiały do składania obietnic, ponieważ bardzo smutno mi wyjeżdżać i potrzebuję wsparcia. Serce podchodzi mi do gardła i nie mogę przełknąć śliny. Zwieszam głowę nad porcją wołowiny, bojąc się unieść wzrok i spojrzeć im w oczy, choć w końcu to robię.

– Ale wrócisz i znowu u nas zamieszkas, prawda, Amy? – pyta Priscilla. Ma taką zrozpaczoną, nieszczęśliwą minę, że prawie nie mogę tego znieść.

– Tak, wróci, na pewno – odpowiada Edwin. Nie rozmawialiśmy o tym, ale najwyraźniej postanowił złożyć deklarację w moim imieniu. Słyszając jego słowa, jestem gotowa w nie uwierzyć. – Jednak nie wiemy kiedy.

– Nic ci nie grozi, moja droga? – odzywa się Constance. – Możemy coś dla ciebie zrobić? Powinnaś coś ze sobą zabrać?

Kochana Constance... Przecież ofiarowali mi już tak wiele...

Kolacja była trudnym przeżyciem, lecz pożegnanie następnego ranka jest jeszcze trudniejsze. Kiedy żegnam się z dziewczętami, zupełnie się rozklejam. Wiem, że przez nieokreślony czas nie zobaczę ich ładnych, dobrych twarzy, i czuję taką rozpacz, jakbym znowu straciła Aurelię. Ciężko mi znieść myśl, że gdy pan Renfrew oświadczy się Madeleine, nie będę mogła jej pogratulować. Wszystkie próbujemy zachowywać się dzielnie, ale wspólny płacz przynosi mi ulgę.

Siedzę sama w powozie i mam wrażenie, że śnię na jawie. Powstrzymuję łzy i próbuję zachować spokojną twarz. Macham ręką i uśmiecham się do Wisterów, którzy zebrali się koło bramy. Machają do mnie, wspinają się na palce, lecz ich uśmiechy wydają się równie nieprzekonujące jak mój. W chwili odjazdu ledwo jestem w stanie nad sobą zapanować. Wyciągam szyję, by po raz ostatni zobaczyć ukochane Twickenham.

Kiedy jedziemy z turkotem King Street, przypominam sobie, że na początku lutego pożegnałam się tutaj z panem Garlandem. Jeśli wrócił z Edynburga, gdzie załatwiał swoje interesy, nie skontaktował się ze mną. Nie mam adresu, na który mogłabym wysłać list pożegnalny. To kolejna znajomość brutalnie przerwana przez poszukiwania skarbu Aurelii i czuję żal z tego powodu.

Między Whitton a Windsorem kompletnie się załamuję i szlocham rozpaczliwie. Później dochodzę do wniosku, że muszę być dzielna, i biorę się w garść. W czasie jazdy przypominam sobie pobyt w Twickenham i pożegnania. Jutro przygotuję się psychicznie na przyjazd do Bath. Nie ma odwrotu z tej podróży w jednym kierunku.

Aurelia powierzyła list Michaelowi. Dowiedziałam się tego dziś rano. Podejrzywałam Constance, Madeleine lub Bessy.

Kiedy Bessy przyszła się ze mną pożegnać, wręczyła mi chusteczkę z wyhaftowanymi inicjałami AS. Wyjmuję ją i muskam palcem fioletowy jedwab. Miała bardzo mało czasu, ale nie widać oznak pośpiechu, haft jest maleńki i delikatny – oczywisty dowód troski i sympatii.

Elegancki świat nie aprobuje takich przyjaźni. Aurelia i Robin, Aurelia i Amy, Amy i Bessy – ludzie, którzy nie powinni mieć sobie nic do powiedzenia, ale ich serca tego nie uznają.

– To ty, Bessy? – gwałtownie spytałam ją dziś rano.

– Co ja? – odparła.

Kiedy Michael uściskał mnie na pożegnanie, miał zmartwioną minę.



– Nie jest za późno, prawda? – szepnął.

– Za późno na co?

– Na załatwienie spraw Aurelii. Mówiła o dwóch miesiącach, lecz czekałem trochę dłużej. Bardzo lubiłem Aurelię, Amy, i złożyłem jej obietnicę. Nie chciałem jej zawieść. Dobrze strzegłem sekretu. Mam nadzieję, że dodatkowy tydzień nie zrobi żadnej różnicy.

– Na pewno nie, Michaelu. Nie martw się, proszę. Dlaczego czekałeś dłużej, jeśli wolno spytać?

– Cóż, lubię cię tak samo jak Aurelię, Amy. Dokładnie tak samo! Zbyt szybko wyjechała, nagle znikła, podobnie jak ty. – Zmarszczył brwi, przypominając sobie to, co się stało. – Chciałem, żebyś jeszcze trochę z nami została. Szczerze mówiąc, zastanawiałem się, czy w ogóle przekazać ci ten list, bo gdybym tego nie zrobił, zostałabyś z nami na zawsze. Ale wiedziałem, że byłby to błąd. Bardzo chciałem, żebyś przed wyjazdem popłynęła na moje przyjęcie urodzinowe na wyspę Eel Pie.

Roześmiałam się. Ja także pragnęłam pozostać z nim dłużej. Chciałam spytać, co ma na myśli, kiedy mówi o nagłym wyjeździe Aurelii – wydawało mi się, że opuściła Twickenham dokładnie wtedy, gdy planowała – ale naszą rozmowę przerwało przybycie babki Michaela. Nie chciała słuchać moich skarg, gdy opuściła mnie odwaga i powiedziałam, że w ogóle nie mam ochoty wyjeżdżać, że wolałabym, by nic się nie zmieniło.

– Życie to ciągła zmiana, Amy, a to miasto zmienia się tak samo jak cała Anglia. Jest inne niż pięćdziesiąt lat temu, a nawet dziesięć! Jedne domy powstają, inne znikają. Powstają i znikają puby, choć niewątpliwie jest ich coraz więcej. Pod koniec roku do Twickenham dotrze kolej żelazna. Nawet jeśli zostaniesz, twoje ukochane Twickenham będzie się zmieniać: za rok, dziesięć, dwadzieścia lat już go nie poznasz. Rzeczywistość jest ulotna. Czas przypomina rzekę. Niesie nas do przodu, najczęściej szybciej, niżbyśmy chcieli.

Wiem, że ma rację. Wiem, że próba zatrzymania teraźniejszości jest skazana na niepowodzenie. Nauczyłam się tego, gdy z całego serca pragnęłam, by Aurelia żyła. Mimo to chcę podjąć próbę stworzenia własnego, trwałego świata, nawet gdyby miało się okazać, że jestem głupia.

Mijają godziny i przybywamy do Marlborough. Wyglądam przez okno, gdy zatrzymujemy się przed gospodą, i czuję rozpacz, bo rozumiem, że przyjemny okres spędzony z Wisterami dobiegł końca. Czy uda mi się stworzyć własny, trwały świat?

# CZEŚĆ TRZECIA

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszamy z Marlborough. William mówi, że przybędziemy do Bath w porze obiadowej. Zdaje się, że nabrałam zwyczaju pojawiania się w nowych domach w porze posiłku.

Nie spałam dobrze, ale jestem już zupełnie inną podróżniczką niż w chwili opuszczenia Hatville. Nie miałam wtedy żadnych doświadczeń: nigdy nie podróżowałam pociągiem ani dylizanssem, nigdy nie nocowałam w hotelu. Teraz jestem pięknie ubrana – mam na sobie ciemnoczerwony kostium podróżny z błękitnymi lamówkami. Dysponuję gigantyczną kwotą pięciu tysięcy funtów, którą noszę przy sobie (nie dlatego, że nie zdaję sobie sprawy ze związanych z tym niebezpieczeństw, lecz ponieważ nie mam innej możliwości). Nie złamały mnie zima i żałoba, choć jestem pewna, że powrócę.

Jednak w tej chwili jest piękny wiosenny ranek. Bath będzie cudownym doświadczeniem.

Powtarzam to sobie przez całą drogę z Marlborough do Chippenham, gdzie na krótko się zatrzymujemy, ponieważ jeden z koni gubi podkowę. Nie mogę się powstrzymać i wychylam głowę przez okno, obserwując, jak pośpiesznie wezwany kowal podkuwa konia. Obawiam się, że w Bath będę zwracać na siebie znacznie większą uwagę niż w Twickenham. Bath to modny kurort i nie mam wątpliwości, że w takiej sytuacji prawdziwa dama powinna siedzieć w powozie ze śmiertelnie znudzoną miną.

Na widok mojego ogromnego kapelusza z kaskadą wstążek i fałd dwie bosonogie dziewczynki stojące na poboczu gościńca szepczą coś do siebie i wyciągają ręce. Kiedy zauważają, że na nie patrzę, wystawiają różowe języki, a ja robię to samo. Otwierają szeroko usta ze zdumienia i uciekają, lecz po chwili wracają i zbliżają się do karety. Mają skołtunione włosy i workowate ubrania. Jedna stoi z tyłu, ale druga jest śmielsza i podchodzi do drzwiczek.

– Proszę, panienko, da mi pani pensa? – pyta.

– Obawiam się, że nie – odpowiadam. Na jej twarzy pojawia się wściekły grymas. – Dla ciebie mam tylko pół korony. – Obserwuję, jak otwiera usta ze zdziwienia.

– Masz. – Sięgam do sakiewki i podaję jej monetę. – A to drugie pół korony dla ciebie! – wołam do drugiej dziewczynki, która stoi jak skamieniała.

Pierwsza dziewczynka chwytając monetę i rzuca koleżance.

– Dziękuję, panienko, och, dziękuję!

– W drogę, panno Amy! – woła William i kareta rusza. Dziewczynki stoją na gościńcu, patrzą za nami

i przesyłają nam całusy. Powinnam była je zabrać ze sobą, umyć, ubrać i kochać.

Nie przypuszczałam, że Bath jest takie piękne. Miasto leży w kotlinie otoczonej wzgórzami, które są w tej chwili pokryte piękną wiosenną zielenią. Na łagodnych zboczach widać farmy i wieże kościelne. Obszary zalane słońcem kontrastują z plamami cienia, tworząc przyjemną mozaikę. Jedziemy krętą drogą, a ja powtarzam sobie, że może nie będzie tak źle.

Dlaczego zatem czuję trwogę na widok Bath? Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale kiedy spoglądam na pierwsze jasnożółte budynki skąpane w słońcu, ogarnia mnie silne poczucie zagrożenia, podobnie jak wtedy, gdy wyruszałam spod katedry Świętego Pawła. Może prześladowuje mnie wspomnienie listu od lady Vennaway? Jak mogę być spokojna, skoro czuję się ścigana? Rozglądam się po gościńcu w poszukiwaniu rozbójników. Oczywiście nie ma żadnych i kareta wjeżdża do miasta gładką, szeroką drogą. Po obu stronach stoją rzędy ładnych miejskich domów. Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

Pocieszam się, że to przynajmniej nie Derby. Jeśli moje poszukiwania tu się zakończą (mam taką nadzieję), od przyjaciół dzieli mnie tylko dwudniowa podróż. Mogło być gorzej. Nie chciałabym jechać dalej na północ.

Wjeżdżamy w głąb miasta, mijamy sklepy, piękne domy oraz małe, lecz wspaniałe opactwo. Skręcamy w prawo i wspinamy się na strome wzgórze. Czuję, jak konie z wysiłkiem ciągną karete, przysiadając na zadach. Teraz widzę wzgórze tylko w przerwach między domami. Otaczają mnie wapienne mury i cywilizacja.

Okazuje się, że po lewej stronie znajduje się Rebecca Street. Zatrzymujemy się i wysiadam. Domy nie są tak wspaniałe jak te, które widziałam wcześniej. Ulica jest węższa. Powietrze wydaje się duszne.

Budynek, do którego zmierzam, stoi na końcu. Jest większy niż sąsiednie domy, z kilkoma wieżyczkami. Jedna z nich, smukła, pokryta ołowianym dachem, pochyła się lekko, jakby chciała przenieść się w inne miejsce, podobnie jak ja. Portyk wygląda nieprzystępnie i groźnie. Niepokoją mnie słowa wyrzeźbione na kolumnach po obu stronach drzwi. Na wapiennym tle widać czarny napis: HADES HOUSE.

– O Boże, panno Amy! – odzywa się koło mnie William, wytrącając mnie z zamyślenia. Wpatrywałam się w napis, zapomniawszy o całym świecie.

– O Boże, rzeczywiście, Williamie – zgadzam się.

Drzwi otwiera kobieta o tak majestatycznej postawie, że nie wiem, co o tym myśleć. Nosi prostą, szarą sukienkę służącej, lecz jeszcze nigdy nie widziałam służącej z taką wyniosłą miną.

– Pani... czy... Przepraszam, czy zastałam panią Ariadne Riverthorpe?

– Mogłabym prosić o bilet wizytowy?

– Obawiam się, że nie mam biletu wizytowego, ale sądzę, że pani Riverthorpe mnie oczekuje. Czy mogłaby jej pani przekazać, że przyjechała Amy Snow?

– Panna Snow, oczywiście. Proszę wejść i kazać wnieść swoje rzeczy. Mam na imię Ambrose.

Wyciągam rękę. Wiem, że tak się nie robi, ale strój damy nie wpłynął na zmianę moich zwyczajów. Wchodzę do domu i patrzę na wysoki ozdobny sufit, wąskie schody niknące w półmroku i ogromny hol z trzema kolumnami z szarego kamienia.

Ambrose odprawia Williama niecierpliwym skinieniem dłoni, po czym prowadzi mnie do niewielkiego salonu.

– Proszę poczekać na panią Riverthorpe. Każę zanieść pani bagaże na górę.

Chcę się pożegnać ze służącymi Wisterów, więc wracam do holu. Wypowiadam ostatnie słowa do Jacka i Williama, gdy na schodach pojawia się pani Riverthorpe.

Od razu przypominają mi się papugi Wisterów. Ma twarz pokrytą głębokimi zmarszczkami, a szponiasta dłoń ściskająca poręcz wygląda groźnie. Szare oczy są podobne do paciorków. Ma na sobie ciemnofioletową suknię ze szmaragdowym gorsetem i wstawkami na ramionach. Suknia wygląda bardzo kosztownie i wydaje się nowa, choć taka moda panowała przed dwudziestu laty. Pani Riverthorpe ma wysoko upięte włosy, które kołyszą się przy każdym kroku. Posuwa się powoli w moją stronę, wsparta na lasce. Zgarbione plecy przypominają znak zapytania.

– Witam, panno Snow.

William i Jack kłaniają się i wychodzą na ulicę. Przetykam ślinę i patrzę na ciężkie szare drzwi, które się zatraskują, odcinając mnie od zalanego słońcem Twickenham.

Pani Riverthorpe przez dłuższą chwilę spogląda na mnie w milczeniu. W posępnym holu, w którym każde słowo odbija się echem, cisza nie wydaje się dziwna.

– Więc nazywasz się Amy Snow.

Kiwam głową. Chyba to prawda.

– Mała Amy Aurelii.

– Tak.

Ambrose prowadzi nas do salonu. Na ścianach wiszą portrety dżentelmenów i, co dziwne, duże sztychy przedstawiające ćmy. Meble są stare, lecz piękne. Dostajemy dwa kieliszki madery, choć wolałabym coś zjeść, niż pić wino. Po raz pierwszy od dłuższego czasu zdenerwowanie odbiera mi ochotę do mówienia. Łatwo było czuć się swobodnie wśród przyjaciół, ale ten chłodny, mroczny dom odebrał mi całą pewność siebie. Znowu ogarnia mnie niepokój.

– Miałam przyjemność poznać pannę Vennaway przed czterema laty, panno Snow. Prosiła, bym przechowała dla pani list i pozwoliła się zatrzymać w moim domu, gdyby tu pani kiedyś przyjechała. Rozumiem, że zmarła?

– Tak, w styczniu. Byłam w Twickenham.

– Niewątpliwie. Bardzo mi przykro. Była oryginalna. Lubię oryginalne osoby. Wszędzie dokoła tragedie. Czyż życie nie jest jedną wielką tragedią?

Dopiero po jakimś czasie spostrzegam, że nie jest to pytanie retoryczne i moja rozmówczyni spodziewa się odpowiedzi.

– Cóż, ja... Mam nadzieję, że czasem zdarzają się również okresy szczęścia i spokoju, pani Riverthorpe.

Zaciska wargi. W dalszym ciągu czeka na odpowiedź – lepszą.

– Hm... nie uważam, że życie to jedna wielka tragedia. Z pewnością jest skomplikowane i rzeczywiście zdarzają się dramaty. Ale wierzę, że są również inne rzeczy.

– Na przykład?

Przez uchylone drzwi wpada zimny podmuch. Spoglądam na przepastny hol, szukając inspiracji.

– Cóż, przyjaźń. Piękno natury. Wielka literatura. Szczęście, choćby niewielkie i w najdziwniejszych miejscach.

Unosi brwi.

– Wierzysz w to wszystko, prawda?

– Muszę. Bez tego nie dałoby się normalnie żyć. Czy można by zachować pogodę ducha?

– A zatem po prostu wierzysz w to, co jest ci potrzebne. Nie sądzisz, że to głupie, panno Snow?

– Wręcz przeciwnie. Moim zdaniem oznacza to, że jestem bardzo praktyczna.

Z jej warg wydobywa się krótki, chrapliwy rechot, a ja zdaję sobie sprawę, że nie prowadziłam takich dyskusji od śmierci Aurelii, choć Aurelia zachowywała się znacznie sympatyczniej. Nie podobają mi się maniery pani Riverthorpe, lecz pamiętam, że to przyjaciółka Aurelii, więc musi się odznaczać jakimiś pozytywnymi cechami, nie tylko nieuprzejmością i pogardą.

– Wrócimy do tej sprawy przy innej okazji, panno Snow. Chciałabym wyjaśnić jedną kwestię związaną z twoim pobytem w Twickenham. Aurelia prosiła, bym ci przekazała następny list dopiero po trzech tygodniach pobytu. Dziś jest ósmy kwietnia, a zatem możesz opuścić Bath dwudziestego dziewiątego kwietnia. Gdybyś miała ochotę zostać dłużej, nie mam nic przeciwko temu. Nic mnie to nie obchodzi. To duży dom i nie musimy się spotykać, jeśli sobie tego nie życzymy.

Czuję, że się garbię, i staram się wyprostować. Okazywanie moich prawdziwych uczuć nie byłoby zbyt grzeczne, lecz ogarnia mnie przygnębienie. Powtarzam sobie – nie po raz pierwszy – że trzy tygodnie to niezbyt długo. Ale kiedy patrzę na portrety mężczyzn i obrazy przedstawiające owady, na martwy kominek poczerniały od sadzy, na słabe światło sączące się przez brudne szyby, trzy tygodnie wydają się wiecznością.

– Teraz, gdy wyjaśniłam tę kwestię, powinnaś wiedzieć, że dziś wieczorem spodziewam się gości na kolacji, a jutro po południu zapraszam ich na karty. Chcę, żebyś uczestniczyła w obu tych przyjęciach. W piątek odbędzie się nudny bal, a w niedzielę konkurs łuczniczy w Tuke's. Pojedziesz tam razem ze mną. Aurelia prosiła, bym pokazała ci Bath i postarała się trochę cię ucywilizować. Zgaduję, że poniosę fiasko, ale muszę przynajmniej spróbować. Skąd masz wiedzieć, czy nie znosisz mojego świata, skoro go nie znasz? Od poniedziałku możesz mnie unikać i traktować mój dom jako bezpłatny pensjonat. Możesz również w dalszym ciągu mi towarzyszyć, pod warunkiem że nie uznam cię za zbyt męczącą.

Mój umysł nie jest w stanie pojąć, dlaczego pani Riverthorpe traktuje mnie tak nieprzyjemnie. Jej zachowanie jest zupełnie inne od ciepłego przyjęcia przez Wisterów. Spoglądam na swoje dłonie splecione na kolanach.

– Rozumiem. Eee... dziękuję.

Znów śmieje się chrapliwie.

– Och, dziewczuszko, uważasz mnie za ordynarną dziwaczkę. Masz za sobą długą podróż i wolałabyś kilka miłych słów, przyjaznych gestów i ciepłych spojrzeń. Ale na tym świecie ciepłe słowa są nic niewarte, więc odzwyczaiłam się je wypowiadać, a ciepłe spojrzenia nie pasują do mojego oblicza, jak sama widzisz. Co zresztą nigdy nie zniechęcało mężczyzn, by się na mnie gapili. I nie tylko gapili.

Wbija we mnie stalowe spojrzenie. Odwracam wzrok. Ogromny hol, wygasły kominek, złośliwy

uśmiech pani Riverthorpe... Patrzę na to wszystko z niepokojem.

– Czy chcesz coś powiedzieć, Amy Snow? Co z tego wszystkiego rozumiesz?

Mam nadzieję, że nie potrafi czytać w moich myślach.

– Bardzo niewiele, proszę pani. Nie wiem, dlaczego Aurelia mnie tu przysłała, więc zrobię to, co pani mówi, i będę czekać na list. Jestem pani wdzięczna za pomoc, której pani udzieliła mojej przyjaciółce. Poza tym nic nie rozumiem. Jestem tu od pięciu minut.

– Ach, potrzebujesz czasu, by coś pojąć, prawda? Ja rozumiem wszystko natychmiast. Na przykład ciebie. Kim jesteś? Zalęknioną, zastraszoną dziewczyną w nowej sukni. Lojalną wobec kapryśnej przyjaciółki, która nie żyje i w niczym ci już nie pomoże. Zmuszoną żyć wśród ludzi, choć wolałaby się ukryć. Zbyt grzeczną, by powiedzieć, co naprawdę myśli, i marzącą, by uciec do swojego pokoju i rozpocząć trudny proces rozwikływania zagadki.

Kiwam sztywno głową. Przejrzała mnie w sposób naprawdę godzien podziwu.

– Ma pani nade mną przewagę – odpowiadam w końcu, czując, że potraktowano mnie niesprawiedliwie. – Znała pani Aurelię, która musiała o mnie mówić. Spodziewała się pani mojego przyjazdu. Ja dowiedziałam się o pani istnieniu zaledwie dwa dni temu, a jedynym komentarzem Aurelii były przeprosiny.

Po wypowiedzeniu tych słów natychmiast mam ochotę wepchnąć je sobie z powrotem do gardła.

Pani Riverthorpe znów śmieje się chrapliwie i kiwa głową.

– Tak, to w stylu tej psotnicy, panno Snow. To prawda, słyszałam kilka historii na twój temat. Spodziewam się, że chętnie zjadłabyś lunch przed rozpakowaniem swoich rzeczy, prawda?

– Umieram z głodu, madame. Mam nadzieję, że nie zmartwię pani, gdy powiem, że propozycja lunchu wydaje mi się wyjątkowo miła.

– Haaa! – skrzeczy. – Mylisz się, panno Snow, całkowicie się mylisz. Ta propozycja nie wymagała żadnej wyobraźni, tylko podstawowej znajomości biologii. Nie sądz, że skrywam w sobie czułość, bo srodze się zawiedziesz. Teraz zjedz lunch, a o piątej zapraszam cię na obiad. Obejrzyj cały dom, zajrzyj do każdego kąta. Nie mam żadnych sekretów. A raczej mnóstwo, ale są tak skandaliczne, że wszyscy je znają.



W czasie posiłku czuję się nieswojo i rozmowa sprawia mi trudność, potem z ulgą uciekam do swojego pokoju. Jest trochę smutny, każdy krok odbija się echem. Próbuję nie myśleć o swoim pokoju w Mulberry Lodge. Ten wydaje się wspanialszy, lecz znacznie mniej przyjemny. Ma przekrój trójkąta równoramiennego: dach opada pod tak stromym kątem, że w czasie rozpakowywania swoich rzeczy kilkakrotnie uderzam głową o sufit. Kolory są ponure – brąz, szarość i czerwień – a z okna widać ulicę. Nie chcę popadać w pesymizm na samym początku swojego pobytu w Hades House, ale nie potrafię sobie wyobrazić, że odpoczynek lub samotność w tym pokoju o ostrych kątach mogłyby mi sprawiać przyjemność. Stawiam przywiezione książki na szczycie kufra, bez powodzenia próbując upodobnić to miejsce do domu.

Układam ubrania w wysokiej, skrzypiącej szafie, po czym zwiedzam ogromną willę pani Riverthorpe, bez entuzjazmu przechodząc z pomieszczenia do pomieszczenia. To bardzo dziwne miejsce. Dom ma wieżyczkę, liczne przybudówki, ale jest mroczny, złowrogi i nie czuję się w nim dobrze. Wydaje się... dziwnie niezdrowy. W każdym pokoju wiszą sztychy przedstawiające ćmy. Są również rysunki ukazujące mężczyzn, nie zawsze ubranych.

Jeden z pokoi wygląda jak pracownia poświęcona wyłącznie ćmom. Jak zawsze przyciągają mnie półki z książkami. Widzę tylko dzieła poświęcone owadom, na przykład *Cykl życiowy i zwyczaje moli*. *Ćmy: Studium* i, co mnie zaskakuje, *Ćmy a człowiek*. Nie potrafię sobie wyobrazić, co zawierają te niezliczone strony, ale wątpię, czy znajdę w sobie dość ciekawości, by je przeczytać. W pokoju stoi szklana gablotka z ćmami, ale prawie wszystkie są małe i brązowe, więc nie jest to efektowny zbiór. Marszczę brwi i zastanawiam się, dlaczego panią Riverthorpe fascynują właśnie ćmy – wydaje mi się to dziwaczne. Czemu interesuje się entomologią? Nie pasuje to do damy, lecz nie ma wątpliwości, że jest niezwykle osobą.

O piątej zgodnie z poleceniem schodzę na obiad, choć wolałabym być gdzie indziej. Pani Riverthorpe zerka na moją szmaragdowozieloną suknię, starannie wybraną na tę okazję, i każe mi się natychmiast przebrać.

– Nie masz niczego innego...? – Macha ręką w sposób, który sugeruje, że mój wygląd jest nieznośnie nudny. Sama jest ubrana w szkarłatną popelinową suknię, która ściśle przylega do ciała, a raczej kości, i ma zdumiewająco duży dekolt. Efekt może się wydawać niepokojący, lecz stoicki spokój i pewność

siebie pani Riverthorpe sugerują, że wszystko jest w porządku.

– Nie noszę tych sukni dlatego, że jestem głupią staruszką i nie zdaję sobie sprawy, że są niemodne – mówi nagle. – Dotrzymywałam kroku modzie, nim moda przestała dotrzymywać kroku mnie. Nie znoszę dzisiejszych ohydnych strojów, które całkowicie zakrywają kobiety, jakby nigdy nie były ponętne, nie miały piersi, barków ani łokci. Jesteśmy kobietami, a nie pomarańczami!

Moja piękna zielona suknia ma kołnierzyk pod szyją i długie rękawy. Wcześniej nie uważałam jej za zbyt skromną. Zastanawiam się, czy pani Riverthorpe nie jest trochę zwariowana.

Wygładzam fałdy pięknej sukni i postanawiam, że się nie przebiorę, by sprawić jej przyjemność.

– Bardzo mi w niej do twarzy, pani Riverthorpe.

– O tak! – prycha. – Nie wątpię!

Dalszej dyskusji zapobiega pukanie do drzwi. Pojawia się troje gości, co czyni mnie piątym uczestnikiem przyjęcia. Pani Riverthorpe zaprosiła wyjątkowo dziwaczne postacie. Salon wypełnia się ludźmi, a ja mam wrażenie, że się kurczę. Wszyscy mówią do siebie jeden przez drugiego. Najwyraźniej starają się sobie zaimponować i rywalizują o względy pani Riverthorpe.

Pan Pierpont, chudy dżentelmen w wieku około siedemdziesięciu lat, bez przerwy rozgląda się rozbieranymi oczami i opowiada o swoich młodzieńczych sukcesach w zawodach wioślarskich. Natomiast pan Freeman, pretensjonalny młody dandys, przez cały wieczór bezwstydnie flirtuje z panią Riverthorpe, racząc uczestników przyjęcia anegdotami na temat swoich pijackich wyczynów. Trzecim gościem jest pani Manvers, aktywna działaczka Stowarzyszenia Trzeźwości w Bath. Mój udział w rozmowie sprowadza się do wypowiedziania banałów – desperacko próbuję nie urazić żadnej ze stron.

Nie jest to przyjemny wieczór. Później nie mogę sobie przypomnieć, co jedliśmy ani jakie piliśmy wina. Pamiętam tylko, że czułam się tak, jakbym chodziła boso po potłuczonym szkłe. Kiedy zostaję sama w swoim pokoju, odzyskuję trochę równowagę, choć ciągle jestem roztrzęsiona.

Wiele poświęciłam, by tu przyjechać. Siedzę z podkulonymi nogami na fotelu obok okna, drząc z zimna i patrząc na cichą uliczkę, i rozmyślam. Kiedy nie miałam własnych pragnień, łatwo było spełniać życzenia Aurelii. Teraz wszystko wygląda zupełnie inaczej, bo mam – miałam – ukochanych przyjaciół, z którymi mogłam spędzać czas. I nie tylko to! Miałam radosnego psa, oranżerię, rzekę i ogród (nawet jeśli, ściśle biorąc, nie należały do mnie). Miałam też nadzieję. Od pierwszych lodowatych poranków w Twickenham w lutym. Właśnie tego mi najbardziej brakuje. Pani Riverthorpe wydaje się zmęczona życiem. Prawdopodobnie uważa nadzieję za fanaberię. Sądzę, że gardzi również miłością.

Z ociąganiem wchodzę do przeraźliwie zimnego łóżka i wpatruję się w ciemność, zastanawiając się, dlaczego Aurelia mnie tu przysłała. Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, to plan poznania mnie z Frederikiem Meredithem. Przynajmniej sobie, że kiedy znów zobaczę panią Riverthorpe, spytam ją, czy go zna. Teraz, gdy wiem o Robinie, coraz mniej rozumiem rolę Frederica Mereditha w życiu Aurelii. Opadają mi powieki, lecz nadal zastanawiam się, co o nim wiem. Dżentelmen

– oczywiście. Przystojny – oczywiście. Świetnie tańczy. Aurelia dużo o nim pisała przez dwa miesiące, lecz pod koniec życia wspomniała go zaledwie dwa, może trzy razy. Kręcę ze znużeniem głową.

Jeśli zamierzałaś stworzyć zagadkę, Aurelio, doskonale ci się to udało.

Zamknąć oczy i zapaść w sen w tym niepokojącym domu wydaje się niemal głupotą. Powtarzam sobie, że mam siedemnaście lat i nie wierzę w duchy ani wampiry.

Bath. Przyjechałam w środę i w piątek rano jestem kompletnie nieszczęśliwa. Próbuję zrozumieć swoją nową sytuację i poznać otoczenie, podchodząc do wszystkiego pozytywnie. Próbuję. Ale w tej chwili tęsknię za Wisterami równie mocno jak za Aurelią, a za Mulberry Lodge znacznie bardziej niż za Hatville. Czuję się zagubiona w Bath.

Stoję posłusznie na deszczu przed katedrą i spoglądam na rzeźby ludzi wspinających się po drabinie do nieba, szczebel po szczeblu. Dobrze ich rozumiem. Przynajmniej nie muszą uczestniczyć w poszukiwaniu skarbu Aurelii.

Wczoraj, zmęczona i zirytowana, postanowiłam zwiedzić Bath, by uciec z domu. Z grzeczności spytałam wcześniej o pozwolenie panią Riverthorpe, by nie narazić jej na wstyd, że chodzę po mieście bez przyzwoitki. Prychnęła i nawet nie raczyła odpowiedzieć. Dlatego wyszłam sama i ludzie bez przerwy się na mnie patrzyli. Kiedy zerkałam na swoje odbicie w lśniących witrynach wspaniałych sklepów, spostrzegłam, że przekrzywiam głowę w wyraźnie wyzywający sposób.

Wczoraj po południu grzecznie uczestniczyłam w przyjęciu, podczas którego graliśmy w karty. Było równie nudne i męczące jak obiad. Goście także stanowili przypadkową zbieraninę. Po ich wyjściu rozmawiałam z panią Riverthorpe o nadchodzącym balu. Powiedziałam, że chciałabym z niego zrezygnować. Wyjaśniłam, że niedawno uczestniczyłam w balu w Richmond i nie mam ochoty na następny.

Nie chciała o tym słyszeć. Oznajmiła, że bal w Richmond to zupełnie co innego niż bal w Bath. Jeśli ktoś przyjeżdża do Bath, musi uczestniczyć w balach. Mogę zrezygnować z następnego balu, lecz powinnam wybrać się z nią na pierwszy. I mam włożyć coś mniej skromnego.

Zagadnęłam, czy zna pana Frederika Mereditha, lecz utrzymuje, że nigdy o nim nie słyszała. Zamierzałam spytać, czy coś wie o poszukiwaniu skarbu Aurelii, ale jej cierpliwość się wyczerpała. Nim zdążyłam się odezwać, pojechała na proszoną kolację.

Dziś znowu wcześniej wyszłam z domu. Nie dlatego, że mam ochotę zwiedzać Bath, ale po prostu nie chcę siedzieć przez cały dzień w Hades House i czekać na bal. W południe jestem już zmęczona i mokra. Podziwiam domy na Royal Crescent. Patrzę na Crescent Fields. Chce mi się płakać na myśl, jak mogłabym spędzić deszczowy dzień w Mulberry Lodge.

Dochodzę aż do rzeki i staję na moście. Z coraz mniejszym zainteresowaniem spoglądam na służę

i płynącą wodę, gdy nagle słyszę energiczne kroki mijającego mnie dżentelmena. Po chwili zwalnia, zawraca i podchodzi do mnie.

– Bardzo przepraszam, madame...

Robi mi się głupio. Czy chodząc samotnie po mieście, narażam się na zaczepki nieznajomych mężczyzn? Spoglądam na niego przez zasłonę kropelek, które spadają z mojego kapelusza.

Zamazana postać uchyla cylindra.

– Nie chciałbym pani urazić ani zaniepokoić, ale czy dobrze się pani czuje? Zobaczyłem panią stojącą samotnie na deszczu i ośmieliłem się spytać. Czy mógłbym pani pomóc?

Jego głos wydaje mi się znajomy. Unoszę dłoń, by powstrzymać kaskadę wody, i do mojego rękawa wpada lodowaty strumień. Chwieję się lekko, ale nie z powodu wilgoci, tylko zdumienia. Henry Mead wyciąga rękę, by mnie podtrzymać, lecz natychmiast ją cofa.

– Bardzo przepraszam. Źle się pani czuje?

– Ależ, Henry! – wołam. – Co pan tu robi?! Co u pana słyhać?!

Jest oczywiste, że mnie nie pamięta. Dziwię się, że na jego widok tak mocno bije mi serce, i jest mi okropnie przykro, że zapomniał o naszym spotkaniu. Z pewnością nie myślał o mnie tak często jak ja o nim. Wygląda na to, że nie zapadam ludziom w pamięć.

Wydaje się zażenowany.

– Proszę mi wybaczyć, ale...

– Och, proszę nie przepraszać, panie Mead. – Jestem przerażona, że powitałam go jak starego przyjaciela, choć oczywiście nim nie jest. – Dlaczego miałby mnie pan pamiętać? Spotkaliśmy się tylko raz u pańskiego dziadka, kilka miesięcy temu. Po prostu ucieszyłam się na widok znajomej twarzy w Bath, rozumie pan, a potem...

– Amy?! Amy Snow?! To naprawdę pani?! – Spogląda na mnie przez deszcz i nagle z radością zdaje sobie sprawę, że mnie nie zapomniał. Po prostu mnie nie poznał! – Wygląda pani zupełnie inaczej! Nie spodziewałem się tu pani spotkać! Co sprowadza panią do Bath? I dlaczego stoi pani sama na moście w czasie ulewy?

Kręci głową, ściska moją dłoń i na jego twarzy pojawia się szelmowski uśmiech, który tak dobrze pamiętam. Ja również się uśmiecham, choć jestem pewna, że znów zachowuję się w sposób, który nie przystoi damie.

Po naszych twarzach spływają krople wody i chwiejemy się w podmuchach wiatru. Henry proponuje, byśmy wstąpili do kawiarni, a ja z wdzięcznością się zgadzam. Dlaczego miałabym się czymkolwiek martwić? Pani Riverthorpe nie interesuje się tym, co robię. A ja nie mam zamiaru wywoływać skandali towarzyskich w Bath. Chcę znaleźć suche, ciepłe miejsce z dala od Hades House i porozmawiać z Henrym.

Henry podaje mi ramię i śpieszymy z powrotem do miasta. Mijamy eleganckie sklepy i duszne puby widoczne w strugach ulewy. W pobliżu starożytnych rzymskich łaźni Henry skręca w wąskie drzwi, a ja podążam za nim. Znajduję się w długim, ciepłym pomieszczeniu, w którym unoszą się pachnące opary kawy przypominające delikatną mgiełkę. Znajdujemy miejsca przy oknie podzielonym pionowymi framugami. Po szybach ściekają krople deszczu, tworząc fantastyczne wzory, a miasto spowija mgła. Zdejmuję kapelusz, z którego spływa kaskada wody.

– Ach, nareszcie dobrze panią widzę! – woła rozpromieniony Henry. Wydaje się bardziej zachwycony, niż się tego spodziewałam. – Tak się cieszę, że znowu panią spotykam, Amy! Przyznaję, że czułem wielki żal, nie mogąc bliżej pani poznać w styczniu. Zajmowała się pani jakimiś tajemniczymi sprawami, więc cóż mogłem zrobić, prawda? Przyznaję również, że dziadek zabronił mi pytać panią o adres. I oto znowu panią widzę!

Kelner przynosi wysoki srebrzysty samowar z kawą. Nalewa ciemny, parujący płyn do filiżanek z cieniutkiej kremowej porcelany, przejrzystej jak płatki kwiatu, po czym składa ukłon i odchodzi.

– Naprawdę czuł pan żal? – pytam, gdy zostajemy sami.

– Ależ oczywiście! Spędziliśmy miły wieczór w Holborn, prawda? Nawiązała się między nami nić przyjaźni. Chyba że przyjemnie było tylko mnie, a tajemne sprawy to tylko wymówka, by uwolnić się wreszcie od bezmyślnego durnia, który zepsuł pani kolację, opowiadając bzdury przez cały wieczór.

– Ależ nie! To znaczy tak, wieczór był naprawdę miły. Żałuję, że nie mogłam zostać w Londynie i znowu zobaczyć się z panem i panem Crummem.

– Spada mi kamień z serca. W takim razie wnieśmy toast. Za przyjaźń! I za przypadkowe spotkania w niespodziewanych miejscach! – Unosi filiżankę, która wydaje się maleńka w jego wielkiej dłoni. Uśmiecham się i trącam filiżankę. Wiem, że gapię się na niego, ale nie mogę uwierzyć, że naprawdę siedzi naprzeciwko mnie. Minęło tyle czasu... Jest rzeczywisty! Namacalny, mokry od deszczu, i rzeczywisty!

– Czym się pani teraz zajmuje, Amy? Wolno pani o tym mówić czy powinienem przestać zadawać pytania? Nie jestem wścibski, po prostu zaciekawiony. W razie potrzeby proszę kazać mi milczeć.

Słyszając te pytania, mimo woli sztywnieję, po czym wzruszam ramionami. Na kilka minut zupełnie zapomniałam o swoich problemach.

– Szczerze mówiąc, nie mam pełnej swobody, Henry. W dalszym ciągu rządzi mną moja zmarła przyjaciółka, która kieruje moimi działaniami. Obawiam się, że nie wolno mi wyjaśnić tego szczegółowo, choć bardzo bym pragnęła. Może mi pan zadawać dowolne pytania, lecz na wiele z nich nie odpowiem.

Wyciąga rękę nad stołem i ściska moją dłoń, uśmiechając się współczująco. Kiedy mnie dotyka, czuję się jak porcelanowa filiżanka, krucha i delikatna.

– Rozumiem. Ale czy nie ma pani jakichś kłopotów? Od jak dawna przebywa pani w Bath? Czy wszystko... hm...

Cofa dłoń i wykonuje niejasny gest, jakby chciał spytać, czy moje życie ma jakikolwiek sens. Ogarnia mnie pokusa, by pogłodzić go po policzku. Zamiast tego wypijam łyk kawy.

– Dziękuję, nic mi nie jest, i w ciągu ostatnich miesięcy odnalazłam szczęście, o jakim nawet nie marzyłam. – Rozglądam się po kawiarni. Nigdy wcześniej nie byłam w takim lokalu. Podoba mi się ta mgiełka w powietrzu i szybkie, zdecydowane ruchy kelnerów. – Byłam w Twickenham u bardzo miłych ludzi. Żałowałam, że muszę ich opuścić. Przyjechałam tu w środę i bardzo boleśnie odczuwam zmianę środowiska. Mam coś ważnego do załatwienia w Bath. To piękne miasto, ale... ja... Cóż, szczerze mówiąc, wyjątkowo źle się tu czuję.

– Jak to możliwe?! To przecież Bath, moja droga! – Z pozoru wydaje się wstrząśnięty, ale widzę, że usiłuje mnie sprowokować. Jeśli ktoś mówi, że trzeba koniecznie lubić jakieś miejsce, naturalna reakcja jest zupełnie odwrotna: człowiek czuje, że jest ono obrzydliwe, prawda?

– Tak! To bardzo modne miasto, Henry, ale ja nie jestem modną osobą. Bath jest piękne, z pewnością, lecz ludzie przyjeżdżają tu z różnych powodów: pokazywać się w towarzystwie, tańczyć, flirtować... To bardzo miłe w sympatycznej kompanii, ale nie mam tu przyjaciół, a poza tym w głębi serca marzę o spokojniejszym życiu.

– Pani życie wydaje się wyjątkowo niespokojne – zauważa Henry, prostując się na krześle i spoglądając na mnie. – Tajemnice, podróże z miasta do miasta. Młode damy zwykle nie postępują w tak niekonwencjonalny sposób.

– Owszem. Moja sytuacja jest dość niezwykła, zapewniam pana.

– Powiedziała pani, że nie jest pani modną osobą. Nie mogę się z tym zgodzić. Może w Londynie...

Tym razem to ja staram się go sprowokować.

– Co takiego?! Jak może pan mówić takie niegrzeczne rzeczy?!

– Może niegrzeczne, ale to prawda. Jednak teraz... Cóż, nic dziwnego, że nie poznałem pani na moście. Prześliczna suknia, ogromny kapelusz całkowicie zasłaniający twarz. W tej chwili wygląda pani arcymodnie. – Uśmiecha się szeroko i wyciąga pod stołem długie nogi. Dotykają moich i cofa je pośpiesznie, prostując plecy. – Przepraszam, Amy!

– W głębi duszy się nie zmieniałam, niezależnie od rozmiaru kapelusza! – odpowiadam szybko, w nadziei że nie zwróci uwagi na moje rumieńce. – Aurelia... Aurelia przygotowała mi wiele strojów.

Jestem lepiej ubrana niż kiedykolwiek, ale w dalszym ciągu wśród towarzystwa mogę uchodzić za osobę nieobytą. Nie zaprzeczam, że miło jest ładnie się ubierać i nie być obiektem pogardliwych spojrzeń na ulicach, ale nie zależy mi na udawaniu wielkiej damy.

– A na czym?

– Chcę dochować wierności Aurelii, zrobić to, o co mnie prosiła, spełnić swój obowiązek.

– Ale... co z pani własnym życiem?

Marszczę brwi. Zapada chwila miłej ciszy, a ja zastanawiam się, jak mu wszystko wytłumaczyć. Z tyłu otwierają się z brzękiem dzwonek drzwi. Jeden z gości wychodzi na ulicę, a drugi wchodzi. Ktoś potrąca moje krzesło, gdyż stoliki znajdują się dość blisko siebie. Henry zrywa się z miejsca, lecz klient bardzo grzecznie przeprosza i idzie dalej.

– Wszystko dobrze, Henry. – Uśmiecham się, a on znowu siada.

Splatam dłonie na blacie stołu i ciągnę:

– Na razie myślę tylko o Aurelii. To ona decyduje, gdzie i kiedy pojedę. Gdy dotrę do końca tej... wędrówki, będę musiała zająć się sobą, zdecydować, gdzie się osiedlić i jak żyć. Mam dość pieniędzy, by nie pracować, ale nie jestem damą z urodzenia. Nie zamierzam udawać damy, nie chcę również prowadzić samotnego, próżniaczego życia. Nie mam rodziny... więc będę miała o czym myśleć po zakończeniu tej sprawy. – Znów wzruszam ramionami. Rozumiem, że wyraziłam się niejasno, ale nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć – chyba że zdradziłabym sekret.

Henry pochyla się w moją stronę. Wygląda, jakby również głęboko się zastanawiał, co powiedzieć.

– Pani lojalność jest godna podziwu. Widzę, że bardzo kochała pani Aurelię. Nie jest pani czasem... ciężko, że spełnia pani jej życzenia?

Wzdycham.

– To moje błogosławieństwo i przekleństwo. – Milknę, a Henry obserwuje mnie cierpliwie. – Dopóki się tym zajmuję, nie mogę podejmować własnych decyzji, tworzyć własnego losu. Bywa mi ciężko, tak. Poznają przyjaciół, ale nie wolno mi z nimi zostać. Oczywiście poznają ich dzięki Aurelii! Jednak czuję się bez niej trochę zagubiona i nie jestem jeszcze pewna, Henry, czy czeka mnie szczęśliwa przyszłość. Teraz przypominam... powóz. A życzenia Aurelii to koń ciągnący mnie do przodu.

– Rozumiem. Świadomość celu to cenna rzecz. Może wkrótce poczuje pani, że jest jednocześnie powozem i koniem, kto wie?

– Może. A co z panem, Henry? Co pana sprowadza do Bath?

Henry miesza kawę i zjada kawałek ciasta. Na rękaw spadają mu srebrne ziarenka cukru, więc je strzepuje.

– Och, banalne sprawy. Pokazać się w towarzystwie, tańczyć, flirtować...

Ogarnia mnie lekki smutek. Po chwili zdaję sobie sprawę, że znów się ze mną drażni.

– W istocie zesłano mnie tu za karę. Nie, kara to zbyt mocne słowo. Kazano mi przyjechać do Bath, bym przemyślał swoje grzechy.



– Ach! Czy... czy przemysłenia przyniosły jakieś wyniki?

Spogląda przez okno na deszcz i ponurą ulicę, po czym odwraca głowę w moją stronę.

– Szczerze mówiąc, nie dowiedziałem się niczego nowego. Tylko to, że unoszę się na fali wydarzeń, bez motywacji i celu. Rzuciłem studia, Amy. Pamięta pani, że skarżyłem się na nie, gdy się spotkaliśmy. Podjąłem je wkrótce potem i czułem się lepiej po przerwie. Zabrałem się energicznie do nauki, naprawdę! Mój opiekun był ze mnie bardzo zadowolony przez prawie dwa tygodnie! A później znów pojawiło się duszące poczucie, że za oknem mojego gabinetu jest prawdziwy świat, który mi ucieka. Mój mózg przestał działać, Amy. – Uniósł ręce na znak kapitulacji. – Nie chciałem uczyć się o kolejnych kościach i bakteriach.

– Naprawdę? Cóż innego mógłby pan robić? Dlaczego wybrał pan medycynę, Henry?

– Chciałem pomagać ludziom. Uwielbiam naukę, nienawidzę cierpienia. Medycyna wydawała się logicznym wyborem. A potem okazało się, że nie jestem w stanie się uczyć. Zamiast ludzi widziałem tylko ich części – osobno czaszka, osobno obojczyk. Męczyłem się! Praca lekarza w dalszym ciągu wydaje mi się szlachetnym zajęciem, lecz nie potrafię studiować medycyny. To nie jest droga, po której mógłbym stąpać choćby minutę dłużej. – Drży na wspomnienie swoich problemów. – W związku z tym pojawia się pewna kwestia, która jest ważna dla mnie i dla mojego ojca. Czy mój brak determinacji w realizowaniu szczytnych celów oznacza, że jestem pozbawiony charakteru?

– Rozumiem... hm... Więc przyjechał pan do Bath, by się nad tym zastanowić. – Nie próbuję odpowiedzieć na pytanie zadane przez Henry'ego, gdyż nie mam prawa go oceniać. Nie wydaje mi się głupi ani nieodpowiedzialny, lecz zdaję sobie sprawę, że mogę zwracać nadmierną uwagę na jego kędzierzawe włosy, szczupłą sylwetkę, oczy. (Mają wyjątkowo ciemny odcień brązu, a na czarnych rzęsach lśni w tej chwili srebrzysta kropelka deszczu). Ale nawet ja mam świadomość, że włosy i szczupła sylwetka nie są wartością mężczyzny. Nie są nią również ciemne, lśniące oczy.

– Moja rodzina zapewne uważa, że przeszkadza mi w nauce młodzieńcze upodobanie do zabaw, Amy – dodaje ze śmiechem, jakby nie rozumiał, co mogłoby ich skłonić do takiej opinii. – Ale nie sądzę, że bale i flirty to najważniejsza rzecz w życiu, choć nie mam nic przeciwko nim. Nie chcę marnować czasu! – dodaje z przekonaniem, po czym opiera łokcie na blacie stołu i lekko się garbi. – Zmarnowałem go już mnóstwo, a teraz chciałbym mieć konkretny cel... Po prostu nie umiem go znaleźć.

Oboje pochylamy się do przodu, więc znajdujemy się bardzo blisko siebie. Czuję rozkoszny dreszczyk emocji, że się sobie zwieramy, i nie potrafię, nie chcę się odsunąć. Pragnęłabym mu tak wiele powiedzieć. Czuję się zaszczycona, że jest ze mną szczerzy, podziwiam jego determinację, by odnaleźć cel w życiu, moim zdaniem ma najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widziałam... Bardzo mocno bije mi serce.

– Może jeszcze kawy? – pyta nagle i unosi rękę, wzywając kelnera, zanim odpowiem.

Znów siadam należycie i rozglądam się, by się uspokoić. Kawiarnia jest coraz bardziej zatłoczona. Brzęczą dzwonki w drzwiach, oznajmiając przybycie następnego klienta. Ktoś znowu potrąca moje

krzesło. Spoglądałam na kobietę, która na nie wpadła, ale nie zwraca na mnie uwagi. Przerazona, prawie zupełnie chowam głowę pod stołem, jakbym musiała pilnie poprawić sznurówki butów.

– Amy? Co się stało, Amy? – Słyszę nad sobą głos Henry’ego i niechętnie się prostuję. Zerkam w lewo, ale kobieta, która weszła przed chwilą do kawiarni, znajduje się już w połowie długiej prostokątnej sali. Oddala się ode mnie, sztywno wyprostowana, lecz fakt, że tu jest, oznacza, że nie mogę zostać.

– Dobrze się czujesz, Amy? – pyta Henry, pochylając się nad stołem.

– Tak, dziękuję, ale muszę już iść!

– Naprawdę? – Robi nieszczęśliwą minę i wyjmuje złoty zegarek kieszonkowy. – Na Boga, rzeczywiście, rozmawialiśmy bardzo długo. Ja też jestem już spóźniony. Ale czy mogę najpierw odprowadzić panią do domu? Wolę się spóźnić, niż patrzeć, jak znika pani samotnie w deszczu.

Właśnie to powinnam zrobić. Uciekam niczym Kopciuszek, choć mam na nogach oba pantofelki. Przechodzę przez dzwoniące drzwi, a Henry rzuca monety na stół, chwyta cylinder i biegnie za mną.

– Przepraszam, Henry. – Kiedy podchodzi do mnie na mokrej ulicy, odwracam się w jego stronę i biorę go za rękę, nie zważając na przyzwoitość. – Bardzo chciałabym zostać dłużej, ale nie mogę zwlekać. Czeka na mnie moja gospodyni. Chyba nie zamierza pan uczestniczyć dziś wieczorem w balu w Greatmead Hall?

Nie zamierza. Mieszka u przyjaciół, którzy wydają wieczorem obiad w swoim domu na Henrietta Street.

– Ale słyszałem o dzisiejszym przyjęciu. To bal z okazji zaręczyn panny Genevieve Colt, prawda? Obawiam się, że ja i moi przyjaciele jesteśmy zbyt skromnymi ludźmi, by nas zaproszono. Obraca się pani w eleganckim towarzystwie, Amy. Niech pani nie robi takiej ponurej miny! Połowa Bath dałaby sobie rękę uciąć, by uczestniczyć w tym balu!

Nie poprawia mi to nastroju. Obracanie się wśród ludzi, którzy nie cenią Henry’ego Meada, nie wydaje mi się zaszczytem.

– Zobaczę pana znowu w czasie pobytu w Bath?

– Naturalnie. – Wydaje się zdziwiony moim pośpiesznym wyjściem z kawiarni i zerka kątem oka na ulicę. – Wezwę dorożkę, jeśli nie mogę pani odprowadzić. Hej tam! – Gwiżdże przenikliwie. – Gdzie pani mieszka, Amy? Gdzie mogę panią znaleźć?

– Na Rebecca Street. – Podjeżdża dorożka, końskie kopyta i koła pojazdu rozpryskują wodę, po czym otwierają się drzwiczki. – Dom nosi nazwę Hades House, łatwo zapamiętać! Moja gospodyni to pani Ariadne Riverthorpe. Niech pan mnie odwiedzi, Henry! – Wsiadam do dorożki, a Henry zamienia słowo z woźnicą i wręcza mu kilka monet.

– Przyrzekam. Już jutro. Hades House? To brzmi jak nazwa z baśni.

– To prawda. Ach, Henry, tak się cieszę, że się znowu spotkaliśmy...

– Ja też się cieszę, że panią widzę, Amy. A zatem do jutra! Przyjdę rano. – Zatrzaskuje drzwiczki.

Postanawiam zadać mu jeszcze jedno pytanie i wychylam się przez okno.

– Czy w czasie swojego pobytu w Bath poznał pan niejakiego Frederica Mereditha? Był chyba przyjacielem Aurelii.

– Frederica Mereditha? Przykro mi, Amy, nie. Zapytam przyjaciół, jeśli pani chce, ale nigdy nie słyszałem tego nazwiska.

Dorożka odjeżdża, w deszczu słychać chlupot kół, a ja cała drzę nieszczęśliwa. Moja przeszłość znów sprawiła, że uroczne spotkanie nagle się skończyło. W kawiarni myślałam przez chwilę, że dwie noce spędzone w Hades House całkowicie odebrały mi rozum.

Arystokratyczne rysy – nigdy ich nie zapomnę – dumna postawa, długie, kasztanowe włosy i błękitne oczy. Nie była to lady Vennaway, lecz ktoś niemal tak samo niebezpieczny.

Jej siostra Arabella Beverley.

Kiedy docieram do Hades House, wmawiam sobie, że nie stało się nic złego. Pani Beverley mnie nie zauważyła. Chociaż przykro mi znów rozstawać się z Henrym, już jutro się z nim zobaczę. Wchodzę śpiesznie do domu, świeżo pogodzona z pobytem w Bath. To, że mam w mieście przyjaciela, rzuca zupełnie nowe światło na nadchodzące tygodnie. Światło przygasa, gdy okazuje się, że w holu czeka na mnie pani Riverthorpe. Przywodzi na myśl złowrogiego krokodyla, cierpliwie czającego się w mroku na ofiarę.

– Widzę, że próbowałaś się utopić, by uniknąć pójścia na bal! Zapewniam cię, że nie uda ci się tak łatwo wykręcić. Nigdy na to nie pozwolę!

– Nie wątpię, pani Riverthorpe. Wróciłam, by się wysuszyć i przygotować.

– Żeby cię przygotować, nie wystarczy samo wysuszenie, moja panno! Wyślę do ciebie Cecile. Zajmie się tobą.

Nie wiem, kim jest Cecile, lecz wolę się nie sprzeczać. Hades House wydaje się dość dziwnym domem, lecz jak dotąd znam go dość pobieżnie, bo poznałam tylko panią Riverthorpe oraz Ambrose. Ta ostatnia zdaje się pełnić wiele funkcji: gospodyni, pokojówki, a zarazem bliskiej przyjaciółki. Nie bardzo wiem, jak z nią rozmawiać, i dostrzegam w tym szczyptę ironii.

Pani Riverthorpe jest w jakiś zagadkowy sposób związana z sekretem Aurelii, więc chyba powinnam jej wspomnieć, że ciotka Aurelii przebywa w Bath. Ale pani Riverthorpe pogania mnie schodami na górę, bym przygotowała się do balu. Przynuram sobie, że powiem jej dziś wieczorem. Na pewno pojawi się stosowny moment.

Wyjmuję suknię i nawijam włosy na papiloty, a potem przychodzi Cecile. Ponownie wybieram różową suknię, choć wstyd wkładać drugi raz to samo. Wolałabym brzoskwiniową, lecz wiem, że nie spodoba się pani Riverthorpe. Chyba nic jej się nie spodoba, ale nie ma na to rady.

Cecile spogląda na mnie i wydyma wargi. Pochodzi z Francji, jest młodziutka i zachowuje się, jakby pozjadała wszystkie rozumy. Bez pytania otwiera szafę i przegląda moje suknie, jakby wertowała książkę. Zatrzymuje się przy czerwonej.

– Nie, Cecile, nie mogę tego włożyć. Nie pasuje. – Staram się mówić prostym językiem, by zrozumiała, lecz spogląda na mnie ze zdumieniem.

– Nie pasuje, mademoiselle?! Proszę wybaczyć, ale chyba panienka się myli. Jest idealna na bal.

– Nie. Chodzi o to, że ta czerwona suknia jest trochę śmielsza od tych, które noszę normalnie. To podarunek od przyjaciółki, bardzo miły podarunek, ale wolałabym różową.

– Czerwona będzie idealna. Znacznie lepsza od różowej. – Wzrusza ramionami i wyjmuje suknię. – Proszę przymierzyć, mademoiselle, pani Riverthorpe chce panią obejrzeć przed wyjściem. Nie marnujmy czasu.

– Nie, doprawdy, Cecile. To bardzo miło z twojej strony, że mi pomagasz, ale nie będę się dobrze czuła. Nie chodzi o to, że nie pasuje, ale nie czułabym się w niej dobrze. Ta suknia... nie wyraża tego, kim jestem. Nie pasuje do mego charakteru, rozumiesz?

– Doskonale panią rozumiem, mademoiselle, wyjaśnia to pani wyjątkowo klarownie, ale nie o to chodzi. Strój balowy nie musi wyrażać charakteru. Powinien wyglądać... *comme il faut*. Różowa się nie nadaje.

Angielski Cecile jest nieskazitelny, lecz nie mówimy tym samym językiem, to jasne.

Z niezwykłą zręcznością zdejmuje obręcz mojej krynoliny, zamienia ją na większą, pomaga mi włożyć czerwoną suknię i wyciąga papiloty z moich włosów. Wszystko zajmuje zaledwie kilka minut.

Biegnie po czerwone róże, olejek z pigwy i coś przypominającego wosk parafinowy, po czym układa moje włosy w niezwykły sposób. Kiedy kończy, są dwa razy wyższe niż zwykle: piętrzą się na mojej głowie i dodają mi kilkanaście centymetrów wzrostu. Koło moich policzków wiszą wydłużone loczki przypominające znaki zapytania, a głowę zdobią wpięte we włosy róże. Pachnę cudownie.

Szepcę, że mogła nie docenić moich niesfornych włosów, ale zdecydowanie kręci głową i mam nadzieję, że tego wieczoru nawet moje włosy okażą się posłuszne.

Biorę czarny wachlarz, czarny szal i czarną torebkę wyszywaną paciorkami. Cecile dokładnie ogląda mnie ze wszystkich stron, wygładza gorset, poprawia fałdy krynoliny i w końcu wypuszcza mnie z pokoju.

Pani Riverthorpe prawie na mnie nie patrzy, lecz wiem, że dokładnie oceniła mój wygląd jednym krótkim spojrzeniem.

– Doskonale, Cecile. Dobranoc.

Kiedy wychodzimy do powozu, przez chwilę widzę swoje odbicie w wysokim lustrze w holu. Mam ochotę płakać. Czuje się obnażona, skrzepowana, zupełnie inna niż zwykle, a poza tym nawet nie wyglądam ładnie! Fryzura nie podkreśla urody mojej twarzy. Róże zbyt rzucają się w oczy, a czarne dodatki sprawiają, że cera wydaje się blada. Skoro muszę być dziś kimś innym, wolałabym być piękną.

Najbardziej zdumiewające jest to, że robię dobre wrażenie. Jeśli jestem skoncentrowana, zachowuję się nieskazitelnie. To oczywiste, nauczyłam się dobrych manier od Aurelii. Wszyscy podziwiają moją suknię i fryzurę. Wydaje się, że jestem najmodniej ubrana.

Pani Riverthorpe przedstawia mnie w cudownie niejasny sposób jako „młodą przyjaciółkę z prowincji”. Nikt się nie interesuje skąd – skoro nie z Bath, nie budzi to żadnej ciekawości. Przez cały wieczór wszyscy rozmawiają wyłącznie o Bath i pytają tylko o to, co o nim sędzę. Mówię, że to wyjątkowo piękne miasto, które oferuje wiele rozrywek, i moi rozmówcy są zachwyceni.

Stale otacza mnie morze ludzi. Pani Riverthorpe, choć zachowuje się wobec gości szokująco niegrzecznie, wydaje się bardzo popularna. Stoję wśród uczestników balu, którzy traktują mnie jak znakomitość, lecz czuję się wyjątkowo osamotniona. Tęsknię za Madeleine i Priscillą, za Edwinem i Constance, za Michaeliem. Tęsknię za Henrym. Tęsknię za znajomą twarzą.

I nagle dostrzegam znajomą twarz! To już trzecia niespodzianka w tym dniu. Zaczynam podejrzewać, że dziś wieczorem w Bath pojawią się wszystkie osoby, które poznałam w całym swoim życiu (przyznaję, że nie jest ich wiele). Widzę, jak wzrok tego mężczyzny spokojnie i metodycznie przesuwa się po twarzach ludzi obecnych w sali balowej. Kiedy dociera do grupki, w której stoję, patrzy na mnie z ciekawością, po czym przenosi spojrzenie na panią Riverthorpe. Nic dziwnego, że mnie nie poznał. Skoro wcześniej nie rozpoznał mnie Henry, z pewnością dziś wieczorem nie uda się to panu Garlandowi. Moja przemiana weszła w nową fazę.

Mimo to w dalszym ciągu mam nadzieję, że z nim porozmawiam. Bardzo chciałabym poznać nowiny z Twickenham i może dowiedzieć się czegoś o przyjaciółach.

Pan Garland odłącza się od swojej grupy i idzie w naszą stronę. Bardzo taktownie przeciska się przez tłum. Zastanawiam się nerwowo, czy mnie pozdrowi. Dociera do pani Riverthorpe, tego wieczoru ubraną w dziwaczną suknię z lśniącego brokatu, a następnie całuje ją w rękę.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, droga Ariadne. Wyglądasz prześlicznie! Jak twoje sprawy?

Pani Riverthorpe dyga sztywno, jakby jej kości stawiały opór zasadom dobrych manier.

– Ach, Quentin... Wszystko normalnie, to znaczy ciągle żyję, ciągle mam fortunę i ciągle trudno mi znieść ludzi, których spotykam. Wątpię, czy potrafisz mnie rozbawić. Ale przynajmniej wyglądasz trochę lepiej od reszty. Zawsze uważałam, że jeśli mężczyzna nie jest przystojny, powinien siedzieć w domu

i nie narzucać się innym. Wymaga tego taktowność. A jednak stale otaczają nas nudni, nieatrakcyjni mężczyźni. Cóż można zrobić?

Jestem zdumiona jej śmiałością. Dżentelmeni, o których mowa, uśmiechają się uprzejmie, jakby koniecznie chcieli sprawić przyjemność pani Riverthorpe.

Pan Garland słyszy moje westchnienie i obraca się w moją stronę z czarującym uśmiechem.

– Czy zechciałabyś mnie przedstawić swojej nowej znajomej, Ariadne?

– Pomyślałam, że ją polubisz, Quentinie. To moja młoda przyjaciółka z prowincji, panna Amy Snow.

Amy, pozwól, że ci przedstawię pana Quentina Garlanda. To nudziarz, podobnie jak cała reszta, ale jest przystojny i bogaty, więc trudniej to zauważyć.

– Dobry wieczór, panie Garland. – Kłaniam się nisko.

Słyszając moje nazwisko, unosi ze zdziwieniem brwi.

– Wielkie nieba! Wprost nie mogę w to uwierzyć... Panna Snow?!

– Tak, Quentinie. Amy, poznałaś już wcześniej tego fircyka?

– Ależ tak, w Twickenham. Co u pana słyhać, panie Garland? Bardzo się cieszę, że znowu pana widzę.

Rzeczywiście się cieszę. Wygląda przystojniej niż kiedykolwiek, wysoki i szczupły, a światło żyrandoli lśni w jego złocistych włosach jak promienie słońca na powierzchni jeziora. Jasnobłękitny krawat ma teraz blady, chłodny odcień przypominający lód.

– Tak bym tego nie określiła, Amy. Trudno się cieszyć ze spotkania pana Garlanda, zajętego mnóstwem nudnych interesów. Boże, ziewam na jego widok...

Pan Garland wydaje się szczerze rozbawiony.

– Mam nadzieję, że nie zapamiętała mnie pani w ten sposób, panno Snow, a jeśli tak jest w istocie, chciałbym to naprawić dziś wieczorem. Czy uczyniłaby mi pani ten zaszczyt i zgodziła się ze mną zatańczyć?

Zaglądam do karneciku, upuszczając torebkę i wachlarz. Schylam się, by je podnieść, lecz przypominam sobie, że mam na sobie gorset i krynolinę, toteż jest to niemożliwe. Poza tym dobre wychowanie nakazuje stać i czekać, aż pomogą mi uprzejmi dżentelmeni. I rzeczywiście tak się dzieje. Pan Garland zawsze zachowuje się nienagannie.

Mija wieczór, niepokojący jak sen. Och, wszystko jest równie piękne jak w Richmond: wirujące suknie, błyszczące kryształki, piękne młode damy i ogromne bukiety. Ale ten bal jest wspanialszy, choć Lowbridge było dla mnie wystarczająco wspaniałe. Mam wrażenie, że w ciągu jednego wieczoru poznałam wszystkich mieszkańców Bath. Tańczę wiele godzin.

Usiłuję sobie wyobrazić Aurelię tańczącą przede mną na tej sali, zbyt zajęta flirtami, by wrócić do Hatville. Przez cały czas spodziewam się, że ją zobaczę, śmiejącą się do mnie i przewracającą oczami. Kiedy rozpoczęłam tę podróż, czułam tak bez przerwy, lecz po pewnym czasie to minęło. Z przerażeniem

zdaję sobie sprawę, że w trakcie podróży musiałam się pogodzić ze śmiercią Aurelii.

Kilkakrotnie tańczę z panem Garlandem i czuję się w jego obecności bardzo dziwnie, zwłaszcza po dzisiejszym spotkaniu z Henrym w mieście. Mam wrażenie, że różne fragmenty mojego życia łączą się na nowo i że czas się zaciera.

Taniec z panem Garlandem okazuje się czymś zupełnie innym od rozmowy z nim. Czuję, że jestem mała i niezgrabna. Pan Garland sunie po sali, a ja biegnę drobnym kroczeniem; on majestatycznie się skłania, ja podryguję. Chciałabym czuć się swobodnie, zrobić na nim dobre wrażenie, lecz jestem pewna, że wydaję się przy nim nieokrzesana i pozbawiona poluru. Jeśli on też ma takie wrażenie, nie daje tego po sobie poznać i rozpoczyna każdy taniec z równym entuzjazmem jak poprzedni.

W końcu nie daję sobie rady z żywym irlandzkim reelem. Nie jestem w stanie dotrzymać kroku długonogiemu panu Garlandowi, który odprowadza mnie do fotela, przynosi kieliszek ponczu i podaje mi go z ukłonem. Udało mu się znaleźć spokojne miejsce w sali, choć uważałam to za niemożliwe. Po chwili siada obok mnie i pochyla głowę w moją stronę.

Z ulgą zagłębiam się w fotelu, łapię oddech i wreszcie mogę go spytać o przyjaciół. Jestem rozczarowana, gdy okazuje się, że od naszego ostatniego spotkania nie słyszał żadnych nowin o Wisterach. Mówi, że odwiedził ich po powrocie z Edynburga i zostawił wizytówkę grubej służącej o czerwonej twarzy.

– Och, jak się miewa Bessy?! – wołam.

Spogląda na mnie dziwnie.

– Nie pytałem. Wydawała się... zdrowa.

Oczywiście pan Garland nie mógłby przywitać się i porozmawiać ze służącą.

Wisterowie byli poza domem i Bessy powiedziała, że wyjechałam, lecz nie potrafiła wyjaśnić dokąd. Był rozczarowany, że mnie nie zastał, ale pogodził się z losem.

– Skoro znikam na długie tygodnie, czego mogę się spodziewać? – Wzrusza ramionami z ponurą miną.

– Nie bardzo chciałem odwiedzać ludzi, których znam dość słabo, i pytać, dokąd pani wyjechała. Mimo to bardzo się cieszę, że znów panią spotkałem, panno Snow.

Uśmiecham się. Chociaż nie wspomnieliśmy o balu w Lowbridge, jestem pewna, że musiały do niego dotrzeć plotki o skandalu z panią Ellington. Dobrze wiedzieć, że nie żałuje z tego powodu znajomości z nami.

Kolejną niespodzianką jest to, że nikt w Bath nie zna Aurelii. Pytam trzy lub cztery osoby, lecz nazwisko lady Aurelii Vennaway nie wywołuje żadnych miłych wspomnień. Poza tym nikt nie wspomina o Fredericu Meredicie. Zastanawiam się, czy ludzie wychodzą tu z mody równie szybko jak kapelusze.



Mijają godziny, zdieram pantofelki. Pani Riverthorpe regularnie wzywa mnie do siebie, bym kogoś poznała lub wyraziła opinię na czyjś temat. Nie wiem po co, bo nigdy się ze mną nie zgadza.

W którymś momencie prosi mnie o przyniesienie kieliszka ponczu. Zanurzam łyżkę wazową w kryształowym naczyniu – wielkim jak balia – i nagle znowu widzę kogoś znajomego. Ale tym razem, inaczej niż w przypadku Henry’ego lub pana Garlanda, nie jest to przyjemna niespodzianka. Długie kasztanowe włosy, arystokratyczne rysy... czuję lodowaty chłód i zamiera mi serce. Powinnam wiedzieć, że ją tu spotkam. Powinnam wiedzieć i uprzedzić panią Riverthorpe.

– A więc to ty! – syczy Arabella Beverley, młodsza siostra lady Vennaway.

Nosi dyskretną żałobę i wstydzę się czerwieni swojej sukni, której barwa kojarzy się z krwią. Arabella, chociaż znacznie mniej urodziwa, ma takie same bujne włosy jak starsza siostra i podobną figurę. Czuję się, jakbym ujrzała ducha. Zbliżam się, by jej dotknąć, spodziewając się, że rozwieje się niczym widmo, bo choć mój umysł pojmuje, że to Arabella Beverley, serce poszukuje Aurelii Vennaway.

Cofa się przed moją wyciągniętą ręką. Rozlewam poncz.

– Nigdy bym cię nie poznała, ale Marianne Hamilton przed chwilą powiedziała, że ktoś pytał o Aurelię, więc zaczęłam się rozglądać. Jak to się stało, że pojawiłaś się w takim wspaniałym stroju na balu z okazji zaręczyn lorda Littletona? – Mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. –Widzę, że żałoba ci nie przeszkadza!

Ogarnia mnie panika, mąci mi się w głowie. Wiem tylko, że Arabella nie może się nigdy dowiedzieć, że Aurelia pozostawiła mi fortunę. Jej siostra już do mnie napisała. Ciągle o mnie myśli. Jeśli Arabella Beverley wróci do Surrey i powie lady Vennaway, że obracam się wśród śmietanki towarzyskiej Bath i mam mnóstwo pieniędzy, zaczną mnie ścigać... i odkryją sekret Aurelii. Wszystkie etapy mojej podróży, wszystkie środki ostrożności, wszystko na próżno...

Odwracam się, by uciec, ale chwyta mnie za ramię chudą ręką.

– Dokąd się wybierasz, mała latawico?! Co ukrywasz?! Chcesz, żebym powiedziała całemu Bath, kim jesteś i skąd pochodzisz?!

– Mam w nosie Bath, madame! Może pani opowiadać, co pani chce! – rzucam, dygocąc z wściekłości. Czuję, że znów mnie zaatakowano, lecz tym razem nie próbuję uniknąć nieuchronnej konfrontacji.

– Doprawdy? – odpowiada powoli, w dalszym ciągu bacznie mnie obserwując. – Dlaczego

lekceważysz swoją reputację, panienko, skoro udało ci się wspiąć tak wysoko? Zastanawiam się, jak to zrobiłaś w tak krótkim czasie. Ach, rozumiem. Rozumiem!

Ja nie rozumiem. Najwyraźniej doszła do jakiegoś wniosku, lecz nie mam pojęcia, co to jest.

– Amy, czy ta osoba ci się narzuca?

Na ratunek przychodzi mi ktoś, od kogo najmniej spodziewałabym się pomocy. Szare oczy pani Riverthorpe stają się czarne, gdy spogląda na panią Beverley.

– To pani Beverley, ciotka Aurelii.

Mamroczę wyjaśnienie, ponieważ oficjalna prezentacja wydaje się nie mieć żadnego sensu. Chcę, by pani Riverthorpe rozumiała, że stawką jest tajemnica Aurelii.

Ujmuję mnie za drugie ramię i przez chwilę czuję się jak lalka, którą dzieci wyrywają sobie nawzajem. Pani Beverley mnie puszcza i robię krok w stronę pani Riverthorpe. Moja gospodyni zwykle robi wrażenie słabej, szczupłej damy, ale teraz, kiedy stoi obok mnie, wydaje się silna jak dąb.

– Zna pani tę osobę? – prychna pani Beverley.

– Naturalnie – odpowiada lekceważąco pani Riverthorpe. – To Amy Snow. Opuściła dom pani siostry biedna jak mysz kościelna, lecz teraz jest w znacznie lepszej sytuacji. O co chodzi?

Pani Beverley spogląda na brylanty oponentki, nagie, pomarszczone ramiona i pióra wpięte kokieteryjnie w siwe włosy. Później patrzy na moją jaskrawą, wydekoltowaną suknię, na czarne rękawiczki i naszyjnik, na róże zdobiące uwodzicielsko moją głowę. Widzę, że dokonuje nieuniknionego porównania.

– Chciałabym wiedzieć, skąd się wzięła w Bath. Nie powinna się obracać wśród szanowanych ludzi. Aurelia zostawiła jej bardzo skromny spadek, co pokrzyżowało jej szyki, ale wydaje się, że znalazła inny sposób dbania o swoje interesy... cóż, przynajmniej pod względem finansowym.

Na jej twarzy maluje się mieszanka zgrozy i zadowolenia, którą tak często widywałam w Hatville. Powoli rozumiem, co o mnie sądzi pani Beverley. Oczywiście wiem, że samotne młode kobiety pozbawione opieki i majątku mają w gruncie rzeczy niewiele możliwości – i w zasadzie istnieje tylko jeden sposób, by tak szybko się wzbogacić.

– Szanowanych ludzi?! – rzuca szyderczo pani Riverthorpe. – Pani szanowana siostra wyrzuciła Amy z domu bez grosza, choć przez całe życie służyła jej córce! Amy zdołała to zmienić, z wielkim sukcesem. Jestem z niej dumna.

Chcę się odsunąć, lecz przytrzymuje mnie ręką. Nie obchodzi mnie, że ludzie znają moje skromne pochodzenie, ale czuję się urażona, że myślą o mnie takie rzeczy. Chciałabym zaprotestować, że jestem bogata dzięki Aurelii i tylko dzięki niej, lecz nie mogę tego zrobić. Pani Beverley może o mnie myśleć najgorsze rzeczy, byle tylko nie dowiedziała się o spadku.

– Nie znam pani nazwiska, bo nie była pani łaskawa się przedstawić – mówi ciotka Aurelii. – Nie jestem jednak pewna, czy to, co uważa pani za powód do dumy, jest traktowane w taki sam sposób w towarzystwie. Sądzę, że upływ lat nakazuje godne zachowanie i powściągliwość w mowie.

– Ach, zależy pani na przestrzeganiu konwenansów, tak? W takim razie podam pani swoje nazwisko. Jestem Ariadne Riverthorpe.

Kiedy w czasie balu w Richmond pojawiły się pierwsze oznaki, że dojdzie do kłótni, natychmiast otoczyła mnie grupka ludzi. Obecność pani Riverthorpe to gwarancja, że za chwilę również coś się wydarzy. Nagle przychodzi mi do głowy myśl, że pan Garland uzna, iż moja obecność na balu nieodmiennie prowadzi do skandali.

Pani Beverley niewątpliwie zna nazwisko pani Riverthorpe, bo jej jasnobłękitne oczy się rozszerzają. Resztki mojej reputacji znikają jak woda deszczowa spływająca do kanału. Pani Riverthorpe ciągnie, nie zwracając uwagi na słuchaczy:

– Godne zachowanie i powściągliwość w mowie, tak to pani nazwała? Czy kiedy kobieta widzi na swojej twarzy pierwszą zmarszczkę, powinna zamknąć się w domu? Zasłonić woalką i milczeć? Czy mężczyźni muszą się wstydzić, kiedy przestają wyglądać reprezentacyjnie? Czy to tak piękne istoty, że zawsze mają bujne włosy, mocne szczęki i sprawne łędwie? Moim zdaniem nie!

Wśród gości rozlegają się chichoty. Przywodzą na myśl bąbelki w kieliszku szampana.

Pamiętam, że w Richmond bardzo się zawstydziłam, gdy wypowiedziałam publicznie słowo „nagość”, ale przynajmniej nie mówiłam o „sprawnych łędźwiach”! Blade policzki pani Beverley czerwienieją.

– Jest pani hipokrytką, pani Beverley – ciągnie niezwykła przyjaciółka Aurelii. – Szuka pani azyłu w konwenansach i przekonuje samą siebie, że zawarte przez panią układy są moralne, ponieważ sankcjonuje je społeczeństwo. Takich usprawiedliwień potrzebują tylko słabi ludzie. Niech pani wraca do domu i powie rodzinie, że Amy jest teraz bogata. Proszę dodać, że ich pragnienia, aby była uboga, upokarzana i nieznana w towarzystwie, się nie spełniły. Odrzuca takie życie.

Pani Beverley kiwa głową.

– Ach, powiem im o tym, może pani być tego pewna.

Podchodzi do niej tęgi dżentelmen o bezbarwnym wyglądzie, chyba wuj Aurelii. Pani Beverley odwraca się w jego stronę, wydając z siebie coś w rodzaju szloch. Mężczyzna spogląda ze zdziwieniem na dwie nieznajome damy rozmawiające z jego żoną i odprowadza ją na bok. Niewielki tłumek się rozprasza.

Pani Riverthorpe śmieje się ochryple.

– Ha! Świat jest mały, prawda? To niezbyt miłe, ale chyba nie stało się nic złego.

– Czy... ona...

– Co się z tobą dzieje, dziewczyno? Język zawiązał ci się na supeł? Gdzie mój poncz?

Zdumiona, napełniam kieliszek, który ciągle trzymam w ręku, i podaję go pani Riverthorpe.

– Jeśli dobrze rozumiem, pani Beverley myśli, że jestem... Pani również to zasugerowała... Teraz wszyscy w Hatville będą mnie uważali za..

– Naturalnie! Ha! Widzisz, jakie to użyteczne, gdy ludzie są gotowi źle o tobie myśleć?

– Ależ pani Riverthorpe! Wszyscy to słyszeli! Te plotki będą krążyły nie tylko w Hatville, ale w całym

Bath...

– Myślałam, że masz w nosie Bath.

– Cóż, owszem, ale...

Pochyliła się w moją stronę i uważnie spogląda na mnie małymi oczkami.

– Amy, nie udawaj niewiniątka. Gdybyśmy tego nie powiedziały, pomyślałaby, że Aurelia zostawiła ci spadek. Wyprowadziłam ją w pole. O to chodziło, prawda?

– Tak.

– A ty masz w nosie towarzystwo z Bath!

– Tak, ale przykro mi, że obcy ludzie przypiszą mi rzeczy całkowicie niezgodne z prawdą. To zupełnie sprzeczne z moją wrażliwością.

– Phi, wrażliwością! Amy, urodziłaś się z hańbiącego związku i tak cię traktowano przez większą część życia. Gdziekolwiek się pojawiaasz, ludzie przypisują ci rzeczy niezgodne z prawdą. Przypuszczają, że twoje przywiązanie do Aurelii to oszustwo mające na celu wyłudzenie od niej pieniędzy! Jesteś młodą kobietą podróżującą samotnie po kraju, którego społeczeństwo nienawidzi niezależności kobiet! Sama się prosisz, by cię krytykowano i błędnie rozumiano. Nie możesz sobie pozwolić na wrażliwość.

Patrzę na nią, nie mogąc znaleźć słów.

– Spójrz prawdzie w oczy, Amy. Niczego nie zmienisz. Lubisz myśleć, że Aurelia postawiła cię w trudnym położeniu, ale przecież nie chciałabyś wrócić do dawnego życia. Nie chcesz być głupiutką, zależną, poniewieraną dziewczyną. Nie ma powrotu do przeszłości! – Wypowiada te słowa i odchodzi.

Stoję przez chwilę oniemiała i patrzę za nią. Później obracam się na pięcie i ruszam szybko w przeciwnym kierunku.

Wbiegam po schodach na wielką galerię i zmierzam w stronę drzwi na balkon. Chcę, by chłodne nocne powietrze zmyło ze mnie wstyd. Nie mogę znieść myśli, że pani Riverthorpe mówiła prawdę. Chciałabym odzyskać Aurelię za wszelką cenę. Chciałabym?

Koło drzwi zebrała się grupka gości i muszę zwolnić. Kiedy ich mijam, patrzę na ogromne lustro w ozdobnej złotej ramie. Odbijają się w nim niewinne, świeże dziewczęta ubrane w białe lub kremowe suknie, stojące u boku matek, chłodne i czyste niczym śnieżynki. A na pierwszym planie stoję ja w swojej jaskrawej sukni, czerwonej jak wino. Moje włosy pokonały Cecile: piramida ciemnych splotów uległa prawom grawitacji i opada wraz z różami. Mam zaczerwienioną twarz, płonące oczy. Jestem w tym samym wieku co te dziewczęta, ale moje doświadczenia są zupełnie inne. Mijam je niepewnym krokiem, bo są takie ładne, blade i bezpieczne.

A jednak, gdybym miała wybierać... Po raz pierwszy w życiu czuję podziw na swój widok. Poznaję świat, choćby nieudolnie. Nie jestem głupiutką i zależną. Jestem wściekła i wolna. Ze wstydem przyznaję, że pani Riverthorpe miała rację: nie ma powrotu do przeszłości.

Jazda powozem do domu upływa w niezręcznej ciszy. Muszę się zastanowić nad wieloma rzeczami, czy to się podoba pani Riverthorpe, czy nie. W końcu wchodzimy do holu Hades House, bardziej upiornego niż zwykle, oświetlonego jedną lampą, która rzuca długi snop słabego światła w głąb mrocznego pomieszczenia. Podążam za panią Riverthorpe do salonu. Żadna z nas nie wypowiada ani jednego słowa. Wypijemy razem po kieliszku madery.

W kominku płonie niewielki ogień. Pani Riverthorpe siada na nierównym zielonym szeslongu i nagle pojmuję, że to stara kobieta. To, że spostrzegam to dopiero teraz, dwa dni po jej poznaniu, może się wydawać dziwne, lecz pani Riverthorpe odznacza się nieugiętą wolą i ogromną żywotnością, ubiera się w ekscentryczny sposób. Trudno zwracać uwagę na jej wiek, gdyż każde jej spojrzenie i słowo, każdy strój to uniemożliwia. Tak czy inaczej, nie każda osiemdziesięcioletnia kobieta zostaje na balu do drugiej w nocy, wdając się w sprzeczki z napotkanymi ludźmi.

Uświadamiam sobie, że trochę przypomina Aurelię. Oczywiście Aurelia była młoda, piękna i czarująca, lecz pani Riverthorpe również mogła kiedyś posiadać te cechy. Łączy je energia, determinacja i błyskotliwość.

Pod wpływem tej myśli czuję do niej większą sympatię i podaję jej kieliszek. Zauważam, że jej szponiasta dłoń drży lekko, gdy go bierze.

– Cóż, i co też panna Amy sądzi o dzisiejszych wydarzeniach? A może zadaję to pytanie za wcześnie? Może potrzebujesz kilku tygodni, by to przemyśleć?

Jej szyderstwo wydaje się wręcz dobroduszne. Nawet się do mnie uśmiecha. Musi być zmęczona.

Napełniam swój kieliszek i siadam naprzeciwko niej.

– Boję się, że potrzebuję całego życia, by to przemyśleć. Miałam wrażenie, że śnię, pani Riverthorpe: ludzie z Hatville, ludzie z Twickenham, zderzenie różnych fragmentów mojego życia.

– To dość normalne. Wystarczy spędzić pięć minut w Bath, by spotkać ludzi, których zna się z innych miejsc.

– Zaczynam rozumieć! Mój krąg znajomych nie jest duży, lecz nawet ja widziałam dwie znajome osoby. – Nie wspominam o Henrym, bo nie chcę, by ze mnie szydziła. – Jak ciotka Aurelii mogła pomyśleć o mnie coś takiego?!

– Już wcześniej nie miała o tobie dobrej opinii. Bardzo mi przykro, ale sama znajomość ze mną rzuca

cień na twoją reputację. Krążą o mnie dziwne plotki. Nie przejmuj się, co myślą inni, Amy. A jeśli już się przejmujesz, nie daj nic po sobie poznać.

– Te plotki są prawdziwe?

– Czy to ważne?

– Nie, po prostu jestem ciekawa. Przyjaźniła się pani z Aurelią. Mieszkam w pani domu. I nic nie wiem o pani życiu.

Śmieje się. Nie jest to jej zwyczajny chrapliwy rechot, lecz znużony śmiech, który sprawia, że uginają się pode mną kolana.

– Nigdy się nie dowiesz, czym było moje życie. Och, nie mam zamiaru cię obrazić! Nikt nie byłby w stanie tego pojąć. W naszym świecie kobiety muszą żyć według ustalonego wzorca, Amy, i niechaj Bóg ma w swojej opiece te, które postępują inaczej. Jeśli los rzuca nam wyzwanie i zmusza do życia niezgodnego ze wzorcem, co możemy zrobić? Śmiesz mnie, że kobiety mają tak niewielki wybór, a później są karane za to, że dokonują wyboru. Śmiesz mnie, że kobiety są potępiane za wykorzystywanie swojej jedynej prawdziwej siły! Śmiesz mnie, że jesteśmy skazane na życie w hańbie, ponieważ odrzucamy absurdalny paradoks, w który zmieniają nas natura i edukacja. Śmiesz mnie bardzo wiele rzeczy, Amy, choć żadna z nich nie jest śmieszna. – Kołysze się powoli do przodu i do tyłu, ponuro parodiując śmiech.

– Mówi pani to samo co Aurelia.

Twarz pani Riverthorpe łagodnieje.

– Kiedyś byłam do niej bardzo podobna: dama o wielkich perspektywach. Byłam młoda, mniej więcej w twoim wieku, gdy uwiódł mnie i porzucił pewien szubrawiec. Uciekłam z nim, więc nie można było udawać, że nic się nie stało. Sprawa była publicznie znana. Podobna rzecz przydarzyła się kilka lat wcześniej innej dziewczynie, mojej znajomej. Zabiła się ze wstydu.

Wstaje, podchodzi do kominka i roznieca ogień pogrzebaczem. Płomienie buchają, jakby chciały zaprotestować, lecz nie robi się cieplej. Pani Riverthorpe znów siada na szezlongu naprzeciwko mnie. Jej prawa ręka spoczywa na mahoniowym oparciu, a druga jest wyciągnięta. Nie splata skromnie dłoni na kolanach – to nie w jej stylu.

– Ogólnie przyjmowano, że jest niewinną ofiarą. Samobójstwo uznano za wyraz wrażliwości i cnoty mimo popełnionego błędu. W znakomity sposób udało jej się odzyskać dobre imię. Problem polegał na tym, że straciła życie.

– Wydaje się, że dokonała pani innego wyboru.

– W istocie. Tylko głupcy wolą śmierć od hańby.

Mam wrażenie, że otacza nas coraz głębszy mrok.

– Zgadzam się z panią, pani Riverthorpe. Czy jest pani... – Słowo „szczęśliwa” nie zabrzmiałoby właściwie. – Kiedy myśli pani o przeszłości, czy jest pani zadowolona ze swojego życia?

Ku mojemu zaskoczeniu spogląda na mnie z namysłem, jakby było to dobre pytanie.

– Myślę, że gdyby Bóg uważał mój grzech za niewybaczalny, sam by mnie zabił, lecz tego nie zrobił, Amy. Zdarzyło się to sześćdziesiąt pięć lat temu. Miałam niełatwe życie, nie zawsze ładne, pełne zmagania, ale było moje. Tylko moje i nikt nie może odebrać mi do niego prawa. – Zdecydowanie kiwa głową i wychyla duszkiem kieliszek madery. – Stałam się tematem plotek, możesz mi wierzyć. Wiele historii na mój temat to prawda. Inne to kłamstwa. Tak właśnie jest, gdy ktoś się wyrwie z klatki. Ale niczego nie prostuję, bo to poniżej mojej godności. Taką mnie poznałaś. Nie jestem godna szacunku, lecz wpływowa, a to coś zupełnie innego.

Milczę przez chwilę, rozmyślając nad jej słowami. Nie mogę zaprzeczyć, że podziwiam jej charakter, odwagę, by żyć dumnie wśród ludzi, zamiast się ukrywać. Świadkowie skandalu – rodzice, zgorszeni sąsiedzi – prawdopodobnie od dawna nie żyją, sam uwodziciel pewnie też. A jednak dawne grzechy ciągną się za człowiekiem, o czym sama dobrze wiem.

Próbuję sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby odkryto romans Aurelii i Robina. Gdyby była zdrowa, z odwagą stawiałaby czoło skandalowi, a nawet sprawiłby jej on przyjemność. Zmęczona, słaba, w obliczu śmierci miała inne problemy. Zaczynam rozumieć jej dziwną przyjaźń z panią Riverthorpe. Zaczynam rozumieć, dlaczego ujawniła mi prawdę o swoich ostatnich latach. Mnie i tylko mnie.

– Nie rozumiem, dlaczego ktoś chciałby wybrać takie życie – mówię w końcu. – Nie potrafiłabym tego znieść. Być zawsze wystawionym na widok publiczny, zawsze wszystkich podejrzewać, zastanawiać się, co mówią ludzie...

– Naprawdę sądzisz, że gdzie indziej jest inaczej?

Przypominam sobie Hatville: niekończący się potok podsłuchanych oszczerstw, plotek.

Przypominam sobie Londyn: chłodne, oburzone spojrzenia eleganckich pań i panów na Picadilly, gdy chodziłam bez damy do towarzystwa.

Przypominam sobie panią Ellington: „Ośmiela się pani nazywać to przyjaźnią?! Jak można mówić o przyjaźni między panną z najlepszego rodu Surrey a kimś takim jak pani, osobą nieznanego pochodzenia, bez majątku i koneksji?!”. Każde wspomnienie sprawia, że ogarnia mnie coraz większy smutek.

Później przypominam sobie Henry’ego i Alberta, Wisterów i Bessy. Przede wszystkim przypominam sobie Aurelię, tak wyraźnie, jakbym widziała ją wczoraj. „Chodź, Amy, jest piękna pogoda, wybierzmy się razem nad strumień!”.

Napływają mi do oczu łzy i ściska mi się gardło. Wypijam duszkiem maderę, wstaję i znowu napełniam kieliszek.

– Może być inaczej. Może nie zawsze i wszędzie, ale na pewno czasami, w niektórych miejscach. Zawsze uważałam, że jestem pechowa, pani Riverthorpe, ale wcale nie jestem, bo znam prawdziwą przyjaźń. To najwspanialsza rzecz w życiu.

– Bardzo dobrze, dziecko, nie ekscytuj się. Tak, tak, na świecie jest mnóstwo wspaniałych ludzi i prawdziwych uczuć, które sprawiają, że panuje powszechna szczęśliwość. Czy to właśnie dlatego

byłam dziś wieczorem taka popularna?

Parskam śmiechem.

– Proszę mi wybaczyć, pani Riverthorpe, ale jestem zdumiona, że była pani dziś wieczorem taka popularna.

Chichoce.

– Oczywiście dlatego, że jestem bogata i, co więcej, zupełnie samotna, zatem nie ma nikogo, kto mógłby odziedziczyć moją fortunę. Krążą nade mną jak sępy, Amy, czekają na moją śmierć, by mnie rozszarpać. Udują, że ich bawię, że podziwiają moją determinację, by żyć wiecznie, a w gruncie rzeczy uważają mnie za męczącą staruchę. Jestem bardzo niepewną inwestycją: wiedzą, że mogliby zalecać się do mnie przez całe lata i znosić moje kompromitujące zachowania, a później nie dostaliby ani grosza. – Uśmiecha się złośliwie, jej szare oczy płoną w ciemności.

Nie mogę się powstrzymać i również się uśmiecham, choć nie jest to miłe. Nagle czuję, że lubię jej towarzystwo. Gdybym nie nosiła krynoliny z gigantyczną obręczą, chętnie podwinęłabym nogi na dużym brązowym fotelu.

– Nie rozumiem pani, pani Riverthorpe. Utrzymuje pani, że gardzi eleganckim towarzystwem, a jednak stale uczestniczy pani w przyjęciach. Dlaczego?

– Dobrze znam dandysów spędzających czas w Bath. Bawią mnie! Nie mam ochoty prowadzić spokojnego życia wśród damulek, które haftują, uśmiechają się i ofiarowują sobie chusteczki. Wolałabym polecieć na Księżyc! Na tym właśnie polega pyszna ironia, Amy. Karmię się nimi! Chcą, żebym umarła, i trzyma mnie to przy życiu. Na przykład obserwuję, jak zaleca się do ciebie Quentin Garland. – Pochyliła się w moją stronę i patrzy uważnie na moją twarz. – Śmiechu warte! Założę się, że nie wie o twoim skromnym pochodzeniu. Założę się, że uważa cię za bezpieczną inwestycję.

– Myli się pani. – Wypowiedzenie tych słów sprawia mi wielką przyjemność. – Pan Garland poznał mnie, gdy byłam brzydko ubrana i zagubiona. Zachowywał się równie elegancko jak dziś. Niech pani sobie wyobrazi, że wie, skąd pochodzę, bo wie o tym całe Richmond, a on ma tam znajomości.

– Doprawdy? Cóż, ciekawe. W takim razie bądź ostrożna. Ach, jestem dziś w łagodnym nastoju. Nie marnuj okazji i spytaj o to, o co naprawdę chcesz spytać. – Siada wygodnie na szeszlunku i czeka.

Jej uwagi na temat pana Garlanda trochę mnie zdenerwowały, ale znalazła doskonały sposób, by odwrócić moją uwagę.

– Mogę zabrać list Aurelii i wyjechać?

– Haaa! Tak ci u mnie źle, co? Przyjechałaś dopiero dwa dni temu! Nie, nie możesz. Obie przyrzekłyśmy coś Aurelii. Nie zamierzam jej zawieść.

– Wiedziałam, że pani to powie. Ale dlaczego sobie tego życzyła? Na litość boską, nie mogła sądzić, że będę tu szczęśliwa! Zna pani jej wielki sekret, pani Riverthorpe, do którego Aurelia mnie prowadzi?

– Znam. Oczywiście nic ci nie powiem, ale znam.

Marszczę brwi i spoglądam na przygarbioną, doświadczoną przez los kobietę, która siedzi



naprzeciwnie mnie. Aurelia nie tylko powierzyła jej list, lecz również zdradziła swoją tajemnicę. Patrząc na panią Riverthorpe nowymi oczyma. Litości, czy moja podróż ma się rzeczywiście skończyć w Bath, gdzie teraz wszyscy uważają mnie za kurtyzanę?

– Tak się składa, że znam odpowiedź na twoje drugie pytanie, i mogę ci jej udzielić. Aurelia nie kazała ci przyjechać do Bath, żebyś była szczęśliwa, Amy, tylko byś dokonała wyboru. – Pani Riverthorpe potrafi czytać w moich myślach, jestem tego pewna. – Większość ludzi gwałtownie pożąda bogactwa i życia w modnym towarzystwie. Można to aprobować albo nie, ale taka jest prawda. Aurelia chciała, byś miała swobodę wyboru.

Tym razem to ja się krzywię. Teoria pani Riverthorpe wydaje się dziwaczna.

– Przecież Aurelia doskonale mnie знаła. Uwielbiała flirtować i przyjmować hołdy od mężczyzn. Ja jestem inna.

Twarz pani Riverthorpe jak zwykle ma w sobie coś łobuzerskiego. Wyciąga kościstą dłoń i bierze mnie za rękę.

– Nie odrzucaj tak szybko eleganckiego świata i nie zadzieraj nosa. Jesteś tu dopiero od dwóch dni i nic nie wiesz! Nie masz pojęcia o towarzystwie, bo skąd mogłabyś je mieć? Aurelia chciała, żebyś dokonała świadomego wyboru. Nie mów, że ci nie pochlebiało, gdy dziś wieczorem umizgał się do ciebie ten fircyk Garland. Sądzisz, że to twoja prawdziwa miłość? Czy jego względy sprawiają, że czujesz się zaszczycona jak nigdy wcześniej? Czy to lubisz?

Coś bełkoczę, chcąc się bronić, ale ona nie przestaje mówić, ciągle ściskając moją dłoń:

– Nie zauważyłaś zazdrosnych spojrzeń, którymi obrzucały cię dziś inne młode damy? Skoro tak, może jednak lubisz być w centrum zainteresowania? Jeśli niczego nie spostrzegłaś, musisz być trochę głupia.

– Ja... ja nie... – mamrocę. Widocznie naprawdę jestem trochę głupia. Pani Riverthorpe nie wydaje się zdziwiona.

– Cóż, właśnie na tym polega problem. Zastanów się, Amy: dysponując fortuną Aurelii i jej koneksjami, możesz zostać w Bath i prowadzić życie wielkiej damy. Niewątpliwie możesz poślubić jakiegoś eleganckiego dandysa takiego jak Quentin Garland i mieć eleganckie dzieci. Jestem prawie pewna, że nie dokonasz takiego wyboru, jednak przez cały czas istnieje taka możliwość, dopóki z niej nie zrezygnujesz. Aurelia zdawała sobie sprawę, że pozbawiła cię możliwości wyboru, trzymając cię przy sobie. Teraz wszystko się zmieniło. Możesz mieć wszystko, co chcesz.

Wreszcie puszcza moją rękę. Późna pora i dramatyczne wydarzenia wieczoru sprawiają, że czuję się przytłoczona.

– To nieprawda! Nie mogę wskrzesić Aurelii! Nie mogę wrócić do Twickenham, chyba że zawiodę jej zaufanie! Nie mogę wyjechać jutro z Bath! Nie, nie mogę mieć wszystkiego, czego chcę!

Pani Riverthorpe zaciska z niesmakiem usta.

– Bardzo dobrze, moja droga, szkoda mi ciebie.

Milkniemy. Ogień przygasł i jest bardzo zimno. Powinnam przynieść jakieś cieplejsze okrycie, ale

boję się odwrócić plecami do pani Riverthorpe, bo może zniknąć w obłoku dymu. Nagle przychodzi mi coś do głowy. Na próżno rozniecam ogień pogrzebaczem, i tak w każdej chwili może zgasnąć.

– Pani Riverthorpe, zupełnie nie pojmuję, dlaczego Aurelia przysłała mnie właśnie do Bath. Bardzo starała się chronić swoją tajemnicę. Poszukiwanie skarbu! Listy rozsiane po całej Anglii! Podróżuję tu i tam, zupełnie nie wiedząc, o co chodzi! Ale jeśli wszystkie osoby, które spotkałam w czasie tej podróży, pojawią się w Bath, próba zachowania tajemnicy nie ma absolutnie żadnego sensu.

– Masz całkowitą rację. To pomyłka z jej strony. I na dodatek wyjątkowo niedogodna.

– Zatem dlaczego to zrobiła?! Dlaczego nalegała, by starannie strzec tajemnicy, a potem kazała mi pojechać do miasta, w którym roi się od towarzystwa?

– Bo nie zdawała sobie sprawy.

– Aurelia nie była głupia. Musiała przewidywać, że mogę tu spotkać przynajmniej jedną osobę, którą poznałam wcześniej.

– Nie przewidywała.

– Dlaczego?

– Bo nigdy nie była w Bath, moja droga.

Ciaśniej okręcam się szalem. Mam na rękach gęsią skórkę.

– Oczywiście, że była! Dostawałam od niej listy. Chce pani powiedzieć, że nie mieszkała w tym domu? Miała tu innych przyjaciół? Niewłaściwych przyjaciół... może wśród służby? Może dlatego nie słyszała pani nazwiska Frederica Mereditha? Czy to właśnie dlatego nikt dziś nie mógł sobie przypomnieć Aurelii?

Pani Riverthorpe wstaje sztywno i opiera się mocno na lasce. Z ciężkim sercem zdaję sobie sprawę, że tego wieczoru już nic z niej nie wyciągnę.

– Nie, Amy. Nie poznałam Aurelii w Bath. To ostatnia rzecz, jaką ci mówię. Teraz chodźmy spać, bo zamierzam jutro wywołać kilka skandali i muszę odpocząć. Aurelia nie wiedziała, jak wygląda Bath, bo nigdy tu nie była. A jeśli chodzi o Frederica Mereditha, wątpię, czy w ogóle istnieje.

W sobotę rano budzę się wcześniej i przypominam sobie ostatnie wydarzenia. Moje myśli są niczym wierzgające kuce. Mam wrażenie, że to wszystko przytrafiło się komuś innemu – może energicznej dziewczynie w czerwonej sukni widzianej wczoraj wieczorem w lustrze? Nie, to byłam ja, nie mogę zaprzeczyć.

Jeszcze bardziej niepokoją mnie rzeczy, których dowiedziałam się o sobie i Aurelii. Wyjechałam z Londynu zaledwie dwa tygodnie temu, a później Aurelia zdradziła mi jeden ze swoich sekretów. Ale to nic w porównaniu z wczorajszymi rewelacjami. Jestem w Bath, natomiast ona nigdy tu nie była. Frederic Meredith nie istnieje? Aurelia nie tylko ukrywała przede mną wiele szczegółów swojego życiorysu, lecz również kłamała. Czy pani Riverthorpe coś knuje? A może się myli? Jeśli mówi prawdę, gdzie poznała Aurelię? W jakich okolicznościach samotna dziedziczka z Surrey mogła spotkać starą ekscentryczną damę z Bath – i najwyraźniej serdecznie się z nią zaprzyjaźnić? Istnieją niezliczone możliwości i trochę mnie to przytłacza.

Wychodzę z łóżka i dzwonię po kawę. Okręcam się szalem i wydaję listy Aurelii, nie te niedawne, lecz te sprzed lat. Wracam do łóżka i postanawiam nie wyjeżdżać, dopóki nie przeczytam ich wszystkich jeszcze raz. Dokładnie.

Na początku Aurelia zachwycała się swoim pobytem w Londynie, tęskniła za mną i za domem. Nie wspominała o rodzicach. Nie wydaje mi się to dziwne.

Później pojechała do Twickenham. Przysłała stamtąd wiele szczegółowych listów, wydawała się szczęśliwa. W czasie swojego pobytu w Twickenham przejrzałam te stare listy – a teraz znów je czytam, patrząc na nie w nowy sposób, zwracając uwagę na inne szczegóły.

W okresie upałów w lecie 1844 roku czytałam te listy i martwiłam się, że Aurelia nie wytrzyma podróży, że zachoruje, umrze i nigdy więcej jej nie zobaczę. Teraz, gdy lęki odeszły w przeszłość, spoglądam na listy inaczej. Usiłuję sobie wyobrazić, jak naprawdę czuła się Aurelia, gdy najpierw odnalazła szczęście w ramionach Robina, a później gorzko zawiodła się na rodzicach i uciekła z domu. Z pewnością bardzo pragnęła odzyskać zdrowie i starała się korzystać z każdej chwili bez obserwacji matki. Czuła gniew i lęk, gdy choroba uniemożliwiła jej odzyskanie wolności, o którą tak walczyła.

Wiele razy wracam do niektórych fragmentów.

31 maja 1844

*Dziś rano źle się czułam i byłam pewna, że powinnam zrezygnować z pikniku w Whitton, ale zdołałam przełknąć trochę zupy i mimo wszystko wzięłam się w garść!*

5 czerwca 1844

*Bal u lady Caulton był wyjątkowo zabawny – śmietanka towarzyska, która próbowała zachowywać się mniej poważnie przez jeden wieczór. Zapraszano mnie prawie do każdego tańca. Imponujące, biorąc pod uwagę, jak słaba i brzydka czułam się tego samego ranka.*

17 czerwca 1844

*Przynajmniej raz mój upór nic nie dał. Zmusiłam się, by się wystroić, lecz później ogarnęły mnie mdłości. Zemdlałam, Amy. Na szczęście drzwi sypialni były otwarte. Hollis zauważył, że leżę na podłodze, i wezwał krzykiem siostry. Szybko doszłam do siebie, ale droga Madeleine nie chciała mnie opuścić mimo moich próśb...*

Nagle nachodzą mnie podejrzenia, od których kręci mi się w głowie. Zastanawiam się, czy Aurelia też to podejrzewała. Chyba nie, bo nie opisałaby tak szczerze swoich objawów. Oczywiście były to tylko krótkie wzmianki wśród długich opisów szczęśliwych chwil. Cała Aurelia!

Później nagle pojechała do Derby. Nigdy nie zapomniałam ostrzeżenia, że oznacza to przerwę w naszej korespondencji:

*Podróż będzie długa, gołąbeczko, i wymaga mnóstwa przygotowań... Proszę, nie niepokój się opóźnieniem.*

Korespondencja stała się rzadsza. W lipcu otrzymałam tylko trzy krótkie listy wysłane z Derby. Byłam zahukaną trzynastolatką i nudziły mnie opowieści o dzentelmenie mającym roczne dochody w wysokości piętnastu tysięcy funtów oraz młodym baronecie z dwudziestoma tysiącami funtów. Dzisiaj w dalszym ciągu mnie to nudzi, lecz z innego powodu: takie osoby nie mają w sobie ciepła, nie wydają się ludźmi z krwi i kości.

Aurelia mogła próbować zapomnieć o Robinie, zastępując go kimś innym. A może czuła gorycz na myśl, że ich miłość nie ma żadnej przyszłości, i flirtowała z pierwszym lepszym dzentelmenem, by zapomnieć o bólu? Jakkolwiek próbuję to wyjaśniać, listy wysyłane przez Aurelię z Derby brzmią inaczej niż zwykle.

Przypominam sobie wczorajszą relację pani Riverthorpe i zastanawiam się, czy Aurelia w ogóle była w Derby.

To szalona myśl. Oto listy z sierpnia, wszystkie wysłane z Derby. Ale... w sumie dość nieliczne,

biorąc pod uwagę długość jej pobytu w tym mieście.

Rysunki również wydają się nieprzekonujące. Nie mam na myśli wartości artystycznej, lecz szkice Aurelii zawsze miały w sobie coś głęboko osobistego, odrobinę kapryśnego. Rysunki z Derby przedstawiają wyłącznie wzgórza, żadnych ludzi, zwierząt ani niezwykłych miejsc. Nie pasują do listów i nie zawierają drobnych szczegółów, które zwróciły uwagę Aurelii i którymi chciałyby się ze mną podzielić. Wyglądają jak przerysowane z książki.

Przypominam sobie rano, gdy opuściłam Twickenham. „Zbyt szybko wyjechała, nagle znikła, podobnie jak ty”, powiedział mi wtedy Michael.

Dlaczego wydawało mu się to nagłe? Zawsze zamierzała wyjechać z Twickenham w czerwcu i wrócić do Hatville. Skoro postanowiła przedłużyć podróż, czemu skróciła pobyt w Twickenham?

Próbuję wysunąć nową hipotezę i zobaczyć, co z tego wyniknie. A jeśli Aurelia spodziewała się dziecka Robina?

Nie ulega wątpliwości, że staraliby się do tego nie dopuścić, ale przecież nigdy nie można być pewnym, prawda? Gdyby dało się nad tym całkowicie panować, nie byłoby nieślubnych dzieci. Przynosi to hańbę kobiecie, lecz również mężczyzna musi się liczyć z poważnymi konsekwencjami.

Przypominam sobie pana Templetona i pokojówkę z jasnymi loczkami. Niezależnie od wszystkiego, pan Templeton się skompromitował. Jego romans wyszedł na jaw, gdy okazało się, że dziewczyna jest brzemienna. Gdyby mógł do tego nie dopuścić, dlaczego by o to nie zadbał?

Jeśli przyjąć założenie, że Aurelia spodziewała się dziecka, co wtedy? Kiedy mogła zdać sobie z tego sprawę? Co czuła? Z pewnością tłumaczyłoby to jej niechęć do opisywania tego, co naprawdę przeżywała.

A później? W ostatnich latach życia, kiedy połączyła nas nowa, dojrzała przyjaźń, gdy stałyśmy się dwiema młodymi kobietami, a nie starszą siostrą i dzieckiem, czy mogła ukrywać przede mną tak wielką tajemnicę? Zaciskam zęby. Ciągle te same stare pytania w nowym kontekście.

Może poroniła, podobnie jak wcześniej jej matka? Może kobiety z rodziny Vennawayów łatwo tracą dzieci? Właściwie prawie nic o tym nie wiem. Gorączkowo się zastanawiam. Bardziej prawdopodobne wydaje się jednak to, że Aurelia urodziła dziecko i o niczym mi nie powiedziała. Według doktora Jacobsa ryzyko było dość duże. Nie kochała się z Robinem tylko raz, w chwili rozpaczy, lecz wielokrotnie. Na pewno by tego nie robiła, gdyby nie miała pewności, że jest bezpieczna. Dawna Amy nie może sobie wyobrazić, że Aurelia – mądra starsza siostra – mogłaby popełnić tak ogromną nieostrożność. Nowa Amy, która szybko dojrzewa, doskonale rozumie, że Aurelia potrafiła się mylić i popełniać błędy. Była zdesperowana, co nie sprzyja chłodnej ocenie. Mimo to trudno w tym odnaleźć jakiś sens.

Czytam dalej. Jeśli wierzyć listom, zatrzymała się w Derby, a w sierpniu ruszyła dalej na północ do Manchesteru i Leeds. Przrzekła wrócić na Boże Narodzenie. W tym momencie jej listy znów brzmiały naturalnie, przekonująco:

*Powinnaś zobaczyć przędzalnię bawełny w Hatby pod Manchesterem, kochanie. Można pomyśleć, że przez cały rok trwa tam Boże Narodzenie, bo z nieba bez przerwy spadają białe płatki. Ale nie ma bałwanów ani radości, a robotnicy pracujący w fabryce – mężczyźni, kobiety i dzieci, czasem zaledwie sześćioletnie – mają czerwone oczy i ciągle kaszlą, choć nie słychać tego z powodu huku maszyn.*

Przypominam sobie artykuł o przemyśle, który czytałyśmy kilka lat temu. Przed jej podróżą czy po niej? Chyba przed. Zastanawiam się, czy miejscowość o nazwie Hatby rzeczywiście istnieje i czy Aurelia naprawdę widziała wewnątrz przędzalni.

*Amy, w porównaniu z północną częścią Anglii Surrey wygląda jak blada imitacja wsi. Wielkie wzgórza, które przypominają uformowane przez wichury, olbrzymie pagórkowate wrzosowiska, spienione rzeki, skały i wodospady, gładkie jeziora wśród skał i czarodziejskie polany. Tak! Widziałam duszki z bajek – wszędzie – i nikt mi nie wmówi, że nie istnieją.*

*Wczoraj, Amy, pojechałam do Yorku! Cóż za śliczne miasto...*

*W zeszłym tygodniu widziałam morze w Scarborough. Bardzo by Ci się podobało, moja droga.*

Próbuję sobie wyobrazić, że Aurelia spodziewa się dziecka i, co zrozumiałe, bez przerwy o tym myśli. Albo poroniła, więc jest osłabiona i zrozpaczona. Próbuję sobie wyobrazić, jak jeździ z miasta do miasta, przez całe lato, w okresie upałów. Gdyby nie była brzemienna, zachowywałaby się jak osoba niespełna rozumu – przecież chorowała na serce. Nie ma żadnej zadowalającej odpowiedzi. Po lipcu nie wspominała o swoim zdrowiu.

Czytam dalej. Czytam o decyzji przedłużenia podróży i powrotu przez Shrewsbury i Bath. Do obu miast zaprosili ją przyjaciele, o których nigdy nie słyszałam.

Niezbyt dobrze pamiętam listy z Bath. Mam je wszystkie, w kopertach z ostemplowanymi znaczkami. Są pełne banałów o przystojnych rysach Frederica Mereditha, choć pani Riverthorpe twierdzi, że Frederick Meredith nie istnieje.

To ostatnie listy. Aurelia nie uprzedziła mnie o swoim powrocie. Wydaje się, że chciała zrobić wszystkim niespodziankę.

Spoglądam na kartki papieru rozrzucone na łóżku. Oto nowa zagadka, kolejny etap poszukiwań skarbu. A co wiem na pewno? Aurelia odwiedziła Twickenham. Nie mam wątpliwości, bo tam byłam. Widziano ją w mieście, listy z Twickenham są wiarygodne i liczne. Według pani Riverthorpe Aurelia nie odwiedziła Bath. Jej listy wydają się dziwne i jest ich mało. Listy z miejsc znajdujących się między tymi dwoma miastami również są dziwne i nieliczne, co sprawia, że część podróży Aurelii budzi wątpliwości. Gdzie zatem była i co robiła?

Myśl, że mogła urodzić dziecko, wydaje się zupełnie fantastyczna. Jeśli rzeczywiście tak było, gdzie

ono w tej chwili przebywa? Ale jest to jedyne wyjaśnienie obsesyjnej tajemniczości Aurelii, bo tylko taki sekret mógłby być na tyle ważny, żeby wysłać mnie do różnych miast na terenie Anglii, choć w dalszym ciągu nie rozumiem dokładnych mechanizmów myślenia Aurelii.

Aurelia nie zawsze postępowała racjonalnie. Nie zawsze w sposób przemyślany. Często zachowywała się nieprzewidywalnie. Może działała pod wpływem kaprysu? Przypomina to nasze dawne tajemnice – nierozwiązywalne i powtarzające się cyklicznie.

Czuję, że jestem bliska rozwiązania zagadki, bardzo bliska, a jednak muszę czekać jeszcze trzy tygodnie! Mam tylko nadzieję, że reszta pobytu w Bath nie okaże się tak bogata w wydarzenia jak poprzedni wieczór.

Reszta poranka nie obfituje w wydarzenia. Ściśle biorąc, nie wydarza się to, o czym marzę. Nie odwiedza mnie Henry. Nie składa nam wizyty, nie zostawia biletu wizytowego, nie wysyła listu.

Kiedy ranek się rozpływa, a potem nastaje popołudnie, zapominam o sekrecie Aurelii i swoich nowych szokujących podejrzaniach. Myślę tylko o Henrym. Jego nieobecność ciąży mi jak wielki głaz. Snuję się po korytarzach, siedzę w swoim pokoju. Patrzę po tysiąc razy na każdy zegar. O jedenastej, w południe, w czasie lunchu powtarzam sobie, że ma tego ranka ważne sprawy i że przyjdzie po południu, uśmiechnięty, przepraszając za spóźnienie.

Jest słoneczny kwietniowy dzień, ale mimo wyjątkowo pięknej pogody z własnej woli zamykam się w szarym wnętrzu Hades House. O trzeciej martwię się, że Henry może być zajęty przez cały dzień i że zobaczę go dopiero jutro – albo w poniedziałek... Naprawdę nie wiem, czy zdołam wytrzymać tak długo. O wpół do czwartej, kiedy ktoś mocno puka do drzwi frontowych, serce podchodzi mi do gardła. Zrywam się z miejsca, po czym przypominam sobie, że to nie ja powinnam witać gości przy drzwiach. Czaję się na schodach, kiedy Ambrose idzie do wejścia – czy zawsze chodzi tak powoli?! Jestem straszliwie rozczarowana, gdy oznajmia przybycie pana Garlanda.

Mam wrażenie, że nabrał zwyczaju dowiadywania się, gdzie mieszkam, po czym przychodzi bez zaproszenia. Zastanawiam się nad tym ponuro, niezadowolona, że to nie Henry. Ambrose prowadzi go do salonu. Pojawia się pani Riverthorpe w fioletowej sukni, ze złośliwym błyskiem w oczach. Jej wzrok wywołuje mój niepokój.

Wygląda na to, że pan Garland przybył się upewnić, czy pojawię się jutro po południu na zawodach łuczniczych. Pyta panią Riverthorpe i mnie, czy chciałybyśmy obejrzeć dwa nowe konie, które niedawno kupił. Może miałybyśmy ochotę przejechać się po mieście jego powozem?

Pani Riverthorpe szybko wyraża zgodę, następnie wstaje i rusza w stronę drzwi.

– Wyjątkowo nudny dzień, prawda? – odzywa się i patrzy na mnie z wyrzutem, jakbym miała obowiązek dostarczać jej rozrywek, choć nie widziałam jej od rana.

Stoję przy kominku, waham się.

– Niestety... niestety nie mogę... – mamrocze niezręcznie. – Ale dziękuję za zaproszenie. – Nie wyjdę z domu, bo Henry mógłby mnie nie zastać, lecz zdaję sobie sprawę, że nie mam dobrej wymówki.

– Dlaczego? – pyta ostro pani Riverthorpe, a ja czuję się jak ryba rozszarpywana przez czaplę. –



Jesteś wyczerpana obowiązkami towarzyskimi? W ciągu ostatnich trzech dni poznałaś tyle nowych osób?

Zmuszam się do uśmiechu.

– Oczywiście, że nie. Ale mam dziś po południu wiele rzeczy do zrobienia, muszę napisać listy...

– Ach, naturalnie, liczny krąg osób, z którymi korespondujesz... – odpowiada szyderczo.

– Proszę nie robić sobie kłopotu, panno Snow. – Pan Garland, taktowny jak zawsze, zbliża się do mnie, pozostawiając panią Riverthorpe w drzwiach salonu niczym niecierpliwe dziecko. – Wysunąłem tę propozycję pod wpływem nagłego impulsu, nie mając gwarancji, że będzie pani wolna. Muszę czekać do jutra, by cieszyć się pani towarzystwem, ale czy nie chciałaby pani przynajmniej obejrzeć koni, nim zostawimy panią w spokoju? Stoją przed domem, a pamiętam, że wspominała pani kiedyś o swojej wielkiej miłości do zwierząt.

– Ach, uwielbiam konie! Ma pan rację, to miło, że pan o tym pomyślał. – Jestem zachwycona, że pamiętał moje słowa. – Bardzo dobrze, panie Garland, jest pan niezwykle uprzejmy. – W istocie czuję radość, że mogę na kilka minut zapomnieć o nieobecności Henry’ego.

Wychodzimy z domu. Świeci ciepłe, kwietniowe słońce. Pan Garland ma modny faeton pomalowany na jasny błękit i złoto. Właśnie tak wyobrażałam sobie jego powóz. Nowe konie to dwa lśniące gniadosze tej samej wysokości. Mają silne nogi i ładne łby. Lord Vennaway byłby nimi zachwycony. Z uśmiechem głaszczę ich gładkie chrapy i wilgotne, aksamitne pyski. Opuszczają łby i trącają mnie w pierś, niezadowolone, że nie przyniosłam jakiegoś smakołyku. Chwieję się i wybucham śmiechem, a pan Garland wyciąga rękę, by mnie wesprzeć. Zaniepokojona dotknięciem ciepłej dłoni, muskam czarne, aksamitne grzywy, proste i starannie uczesane. Kontakt z końskimi włosami jak zawsze sprawia mi przyjemność.

– Prędejj, prędejj! – woła pani Riverthorpe z wnętrza faetonu. Pan Garland uśmiecha się melancholijnie i składa ukłon.

– Do zobaczenia jutro, panno Snow. – Wchodzi zgrabnie do powozu, który odjeżdża. Żałuję, że te piękne zwierzęta znikają. W Hatville konie stanowiły część mojego życia, zawsze były urozmaiceniem, nigdy komplikacją. Kłusują ulicą, aż wreszcie wesoły stukot kopyt cichnie, a ja wracam do domu i czekam.

Czekam. Mijają dni, Henry się nie pojawia, a ja czuję się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Gdy pani Riverthorpe pyta, czy pojedę z nią na jakieś przyjęcie, najczęściej się zgadzam dla zabicia czasu. Wiezorami biorę udział w życiu towarzyskim, a rano wybieram się na spacer. Codziennie chodzę tam i z powrotem Henrietta Street, w nadziei że przypadkiem spotkam Henry’ego. Codziennie wracam do mostu, na którym do mnie podszedł, mijam kawiarnię, gdzie rozmawialiśmy i zawarliśmy przyjaźń. Widzę go wszędzie, choć nigdzie go nie ma.

Nie potrafię tego zrozumieć. Jego radość na mój widok wydawała się autentyczna. Nasza przyjaźń była szczera. Obiecał mnie odwiedzić nazajutrz rano. Ponosi mnie wyobraźnia. Słyszał, że jestem kobietą

lekkich obyczajów, i uwierzył w to... a może po prostu po namyśle postanowił zrezygnować z przyjaźni z kobietą prowadzącą niekonwencjonalny tryb życia. Jestem zbyt niezwykła, zbyt swobodna. Przypominam sobie lęki, które odczuwałam w czasie naszego pierwszego spotkania, i zdaję sobie sprawę, że musiałam mu się wydawać młoda, nudna i brzydka.

Teraz to się bardzo zmieniło... ale nie mam pojęcia, co oznacza jego milczenie. Wiem, że zna mój adres – niełatwo go zapomnieć.

Może wspomniał o mnie swoim przyjaciom Longacre'om, którzy powiedzieli mu o mnie coś niemiłego? Podobno chcą go skłonić, by się ustatkował. Mogą odnosić się podejrzliwie do samotnej kobiety niewiadomego pochodzenia, która podróżuje samotnie po Anglii.

A może poznał kogoś – damę – i uważa, że nasza dziwna, krótka przyjaźń to przeszkoda, by nawiązać nowy romans? Jeśli to prawda, życzę mu szczęścia, bo przede wszystkim tego pragnę dla niego. W głębi duszy marzę, by dać mu to szczęście, i chciałabym, by o tym wiedział.

Czas mija boleśnie powoli. Dowiedziałam się o Aurelii mnóstwa rzeczy, kolejnych się domyśliłam i teraz nie mogę się doczekać następnego listu. W dalszym ciągu jestem przekonana, że zbliża się koniec podróży i że wkrótce poznam rozwiązanie zagadki. Rozsądnie nie namawiam pani Riverthorpe, by dała mi list przed czasem, więc wszystko sprowadza się do liczenia dni. Jeśli jest zadowolona z mojego towarzystwa, dobrze to ukrywa, ale nie zabrania mi towarzyszyć sobie na przyjęciach. Obecność Quentina Garlanda sprawia, że łatwiej mi na nich wytrzymać.

Oczywiście widziałam go na zawodach łuczniczych w niedzielę. Zaprosił mnie na lunch u pani Rathbone w poniedziałek. Po południu wezwał swój powóz i zabrał panią Riverthorpe i mnie na przejażdżkę. Ona traktuje go wyjątkowo niegrzecznie, ale jego towarzystwo wydaje się sprawiać jej przyjemność. Odkryłam, że ją lubię, chociaż zupełnie tego nie rozumiem, czuję też sympatię do niego. Jest zawsze grzeczny i zawsze można na nim polegać. Uważam, że jest przesadnie gładki i uprzejmy, lecz staram się nie zwracać na to uwagi, bo postanowiłam, że powinien sam podjąć decyzję, czy chce zostać moim adoratorem. Z pewnością wydaje się szukać mojego towarzystwa, co sprawia mi przyjemność. W moim sercu pojawia się nowe, ciepłe uczucie.

Mam wrażenie, jakbym spędziła w Bath jakieś pół roku, gdy tymczasem okazuje się, że minął zaledwie tydzień. Szykując się do następnej kolacji, zatrzymuję się przy oknie, przyciskam czoło do szyby i patrzę na ulicę. Stało się to moim zwyczajem. Widzę czarne ogrodzenie parku z metalowych giętych prętów, starszą panią spacerującą z psem w towarzystwie służącej. Widzę różowe pąki wiśni w ogrodzie i idącego szybkim krokiem dżentelmena. Obserwuję go bez zainteresowania i zauważam, że uchyla cylindra, by pozdrowić innego dżentelmena zdążającego w przeciwnym kierunku. Staję prosto i patrzę jeszcze raz. Nadchodzący dżentelmen to Henry! Henry! Przez moment nie mogę się poruszyć z radości, kiedy widzę, jak idzie Rebecca Street, by się ze mną spotkać. Och, co za ulga! Nie mam pojęcia, dlaczego przybywa tak późno, ale jestem pewna, że istnieje jakaś ważna przyczyna i że wkrótce ją poznam.

Odwracam się, by pójść do drzwi, po czym zatrzymuję się i patrzę na Henry'ego. Zawoła mnie Ambrose i chcę smakować tę chwilę.

Wydaje się wyższy niż kiedykolwiek. Jest elegancko ubrany i ma nowy cylinder – a przynajmniej taki, którego jeszcze nie widziałam. Zauważam, że nie wygląda tak nieskazitelnie jak pan Garland. Z mankietu wystaje mu rękaw koszuli i ma nieco przekrzywiony krawat, jakby mocno go związał, a później rozluźnił. Twarz okalają ciemne włosy. Stawia długie kroki. Topnieje mi serce. Właśnie tak powinien wyglądać mężczyzna.

Zatrzymuje się w pewnej odległości od domu, a ja się uśmiecham. Nie, to tu, Henry, naprowadzam go myślami. Chyba nie pomylił domu, bo patrzy prosto na Hades House. Może odstręcza go ponury wygląd Willi pani Riverthorpe? Widzę ze swojego miejsca jego twarz i ku mojemu przerażeniu nie wygląda na uszczęśliwionego. Nie ma miny mężczyzny zamierzającego odwiedzić kobietę, którą... Cóż, czego właściwie się spodziewam? Nie wygląda nawet jak człowiek idący z wizytą do przyjaciela. Jeszcze nigdy nie widziałam Henry'ego w ponurym nastroju. Zdejmuje cylinder i drapie się po głowie, mierzwiąc sobie włosy, po czym wkłada cylinder tak gwałtownym ruchem, jakby chciał go połamać.

Przychodzi mi do głowy okropna myśl. Bronię się przed nią, ale może to prawda? A jeśli nie przyszedł tutaj, by podtrzymać naszą przyjaźń? Może chce mi powiedzieć, że to koniec? Na pewno chodzi o bal – słyszał plotki po balu i teraz chce mi powiedzieć, że nie może podtrzymywać znajomości z kobietą o takiej reputacji. Czuję wstyd... Przecież mogę mu wszystko wytłumaczyć! Powie to, co zamierza powiedzieć, a ja wszystko sprostuję i będziemy się z tego śmiać...

Odchodzi! Przez dłuższą chwilę patrzy na Hades House, obraca się na pięcie i odchodzi drogą, którą przyszedł. Wykrzywiam twarz ze zgrozy. W końcu się pojawił, znalazł się tak blisko, a ja nawet nie mogę z nim porozmawiać?! Nie mogę tego znieść!

Wybiegam z pokoju i pędzę w dół po spiralnych schodach. Szybko przemierzam długi hol, w którym odbija się echo moich kroków, i otwieram drzwi frontowe, zapominając o papilotach, które ciągle tkwią w moich włosach. Wybiegam na ulicę i widzę wysoką postać Henry'ego znikającą za rogiem. Biegnę za nim tak szybko, jak pozwala moja niebieska suknia. Mam na nogach miękkie buty, więc czuję każdy kamień i nierówność. Nie zważam na to. Chcę tylko zobaczyć Henry'ego, powiedzieć mu, że się myli co do mnie, i znów ujrzeć na jego twarzy ciepły, miły uśmiech.

Kiedy docieram do końca ulicy, znika. Nie widzę go nigdzie na wzgórzu. Po prawej i lewej stronie jest kilka ulic. Rozglądam się, lecz bezskutecznie. Patrzą się na mnie ludzie. Henry może być wszędzie.

Przerażona zbliżającą się katastrofą, uciekam jak pies z podkulonym ogonem. Przy drzwiach stoi powóz pana Garlanda. Nie mogąc znieść myśli, że mógłby mnie teraz zobaczyć, biegnę na górę i zdzieram papiloty z głowy. Potem padam na łóżko i płaczę, płaczę...

W ciągu następnych dni popadam w odrętwienie. Nie mogę uwierzyć, że Henry Mead, który był dla mnie taki miły w Londynie, a później, zaledwie kilka dni temu, tak szczerze zwierzał mi się w Bath, postanowił mnie odwiedzić, a jednak w końcu się rozmyślił. Nie mogę uwierzyć, lecz stało się to na moich oczach. Wiele razy płaczę z tego powodu, ale niczego to nie zmienia.

W piątek przeżywam szok, gdy zdaję sobie sprawę, że spędziłam znacznie więcej czasu w towarzystwie Quentina Garlanda niż Henry'ego, choć uważam tego drugiego za przyjaciela, pierwszego zaś za znajomego. W istocie nieobecność Henry'ego jest wręcz ostentacyjna – najwyraźniej postanowił ze mną zerwać, bym mogła poślubić kogoś pokroju pana Garlanda. Pani Riverthorpe oznajmiła mi bez ogródek, że mogę to zrobić, jeśli zechcę wykorzystać swoją fortunę i koneksje. Jeśli zdecyduję się zostać w Bath.

W dalszym ciągu nie czuję, że jestem stworzona do życia w modnym towarzystwie, do tańców, przyjęć i gry w karty. A jednak właśnie tym się zajmuję. Każdy dzień gładko przechodzi w następny. Skupiam się na codziennych sprawach i nie mam ochoty zastanawiać się nad znaczeniem tego, co się dzieje. Jestem inna niż Aurelia, która zawsze uwielbiała patrzeć w przyszłość. Chciałabym się ustatkować, ale na własnych zasadach.

Czy pan Garland jest człowiekiem, z którym mogłabym żyć na takich zasadach? Dlaczego w ogóle zadaję sobie to pytanie? Chyba dlatego, że mi nadskakuje, że jest przystojny i inteligentny, że ma wszystkie cechy, które można podziwiać w mężczyźnie. Jest już jasne, że się do mnie zaleca, widzę to mimo swojej naiwności. Niezwykle mi to pochlebia, pragnę napisać o tym Madeleine i Priscilli, ale nie wolno mi tego robić. Zgodnie z obietnicą napisałam do ich ojca, stąd wie, że jestem bezpieczna i zdrowa. Ciągle mam nadzieję, że moje poszukiwania zakończą się w Bath za niespełna dwa tygodnie, a potem stanę się wolna – będę mogła robić, co zechcę, być tym, kim zapragnę, pisać, co przyjdzie mi do głowy. Chociaż wiem, że dziewczęta byłyby zachwycone plotkami, nie mam serca tego robić.

Pan Garland jest taki sam jak zawsze: chłodny, elegancki, perfekcyjny. Całkowicie obcy. Może właśnie dlatego mężczyźni czasem tak fascynują kobiety? Kiedy siedzimy w powozie, spostrzegam lekkie poruszenia jego ciała kołyszącego się w czasie jazdy, płynnie dostosowującego się do otoczenia. Kiedy prowadzimy uprzejme rozmowy w salonie Hades House, zauważam lśnienie jego złocistych bokobrodów. Kiedy otwiera mi drzwi albo podaje kieliszek, widzę czyste, żółte rękawiczki i kremowe rękawy koszuli.

Co mnie w nim tak intryguje? Na pewno nie tylko to, że jest przystojny – przecież nie jestem taka głupia, prawda? W Hatville widywałam wielu eleganckich dżentelmenów. W odróżnieniu od pani Riverthorpe nie uważam pana Garlanda za nudziarza. Wydaje mi się inteligentny i ujmujący. Kiedy stoi u mojego boku w czasie przyjęć, czuję, że wszyscy mnie akceptują. Zapominam o plotkach na temat swojego tajemniczego pojawienia się w eleganckim towarzystwie – mam wrażenie, że jestem wśród przyjaciół. Nigdy nie wypowiedział żadnej krytycznej uwagi na temat mojej zdumiewającej gospodyni, mojego tajemniczego pochodzenia, smutnego dzieciństwa. Nie wspomniał o awanturach na balach, nigdy nie czułam się przy nim kimś gorszym, niechcianym. Zaczynam się zachowywać przy nim swobodniej, a jego towarzystwo sprawia mi przyjemność.

Nigdy wcześniej się do mnie nie zalecano. Gdy rozmawiamy sam na sam, opowiada mi o swojej posiadłości w Berkshire, koniach, licznych inwestycjach. Zdaję sobie sprawę, że mówi rzeczy, które, jak sądzi, przedstawią go w korzystnym świetle. Dlaczego tak się stara, skoro wszyscy i tak uważają go za ideał? Nie wiem, do czego to wszystko doprowadzi, ale czuję ulgę, że dzięki panu Garlandowi mój pobyt w Bath jest mniej przykry, niż się spodziewałam.

Zastanawiam się nad tym wszystkim podczas jednego z nieustannie odbywających się przyjęć karcianych pani Riverthorpe. Siedzimy w zakurzonej salonie, oświetleni ciepłymi promieniami słońca. Gośćmi są pan Garland, pan Pierpont, dawny wioślarz, pani Manvers ze Stowarzyszenia Trzeźwości w Bath, a także pan Gladsby, który stanowczo sprzeciwia się idei krzewienia edukacji wśród klas niższych, ponieważ uważa je za zdegenerowane i anarchistyczne.

Rozmowy brzmią surrealistycznie, więc zajmuję się własnymi myślami, patrząc na snopy światła wpadające przez okno, w których tańczą drobinki kurzu. Wyobrażam sobie środę i następny list Aurelii. Przyzwyczaiałam się już do dziwnych spotkań towarzyskich pani Riverthorpe. Przypuszczałam, że doбира gości w taki sposób, by móc ich dręczyć, co później sama potwierdziła.

Spoglądam na pana Garlanda, który również na mnie patrzy. Uśmiecha się, jakby rozumiał, dlaczego na chwilę się zamyśliłam. Pani Manvers wyjaśnia, po co warto tworzyć biblioteki publiczne. Bo robotnicy lubiący mocne trunki mogą tam odpocząć po ciężkiej pracy, zamiast spędzać czas w gospodach.

Pan Gladsby szybko odpowiada, że „żaden członek tej klasy społecznej” nie może się wyrzec diabelskiego trunku i że najchętniej spaliłby wszystkie biblioteki, gdyby miał po temu okazję.

Pani Manvers jest bliska płaczu. Pani Riverthorpe cicho się śmieje, a pan Pierpont korzysta z okazji, by wrócić do tematu, który go najbardziej interesuje.

– W tysiąc osiemset trzecim roku na Tamizie nieopodal Henley odniosłem swój największy triumf. Był piękny, słoneczny dzień...

W tym interesującym momencie rozlega się pukanie i wchodzi Ambrose.

– Bardzo przepraszam, pani Riverthorpe – zwraca się do swojej chlebodawczyni, kiwając głową. – Panno Snow, czy mogłabym zamienić z panią kilka słów?

Jestem zdumiona.

– Ależ oczywiście! Niech państwo mi wybaczą. Mam nadzieję, że nie zepsuję gry.

Ostrożnie odkładam karty na stół, by nikt ich nie widział, choć w rzeczywistości nie ma to żadnego znaczenia; nigdy nie wygrywam. Pan Garland wygrywa prawie każde rozdanie, a pani Riverthorpe wielokrotnie napomykała, że ma on wielki talent do gry w karty. Powiedział jej kiedyś, że nie gra po to, by przegrywać, ona zaś odrzekła, że doskonale to rozumie.

Wychodzę do holu i zbliżam się do Ambrose.

– Przepraszam, że oderwałam panią od gry, panno Snow, ale przed domem czeka dżentelmen, który chciałby się z panią zobaczyć.

Wstrzymuję oddech.

– Henry?

Ambrose spogląda na bilet wizytowy i wręcza mi go.

– Tak. Pan Henry Mead. Zatem to pani znajomy. Pani Riverthorpe byłaby uszczęśliwiona, gdyby zaprosiła go pani do salonu, panno Snow.

Doskonale wyobrażam sobie zachwyt pani Riverthorpe, gdybym nakłoniła biednego, niczego niepodejrzewającego Henry'ego do wejścia do tego gniazda żmij. Chcę zobaczyć się z nim sam na sam.

– Dziękuję, Ambrose, to nie potrwa długo. Wyjdę do niego.

– Bardzo dobrze, panno Snow.

Jestem zadowolona, że mam na sobie piękną szmaragdowozieloną suknię, którą tak pogardza pani Riverthorpe. Powtarzam sobie, że nie powinnam mieć zbyt wielkich nadziei. Henry mógł przyjść tylko z grzeczności i nic do mnie nie czuje. Ale zupełnie w to nie wierzę!

Muszę zachować spokój. Z trudem otwieram wielkie drzwi i wychodzę na ganek. Po drugiej stronie ulicy stoi kremowy faeton, z którego wyskakuje Henry. Widzę jego długie nogi i ciemne oczy. Przebiega przez ulicę, a następnie ku mojemu zdumieniu chwyta mnie za ramiona i spogląda mi w oczy.

– Amy! Chyba się cieszysz, że mnie widzisz?

– Naturalnie, Henry! Dlaczego miałabym się nie cieszyć? Gdzie byłeś? Mówiłeś o sobocie, a ja czekałam i czekałam... – Urywam, uświadamiając sobie, że tracę resztki godności, jakie mogłam jeszcze zachować. Ale wydaje mi się, że jeśli doszło do jakiegoś nieporozumienia, straciliśmy już dość czasu.

Henry puszcza mnie i nie wydaje się niezadowolony z mojej uwagi. Ujmuje na moment moją rękę, po czym ją również puszcza. Wygląda, jakby nie wiedział, jak się zachować.

– Bardzo przepraszam, Amy – mówi w końcu, w dalszym ciągu bardzo poważny. – Nie przypuszczałem, że cię urażę. Bardzo żałuję, że tak się stało. Obiecałem przyjść i powinienem był to zrobić. Zresztą chciałem.

– Zatem dlaczego nie przyszedłeś?

Pociera dłonią policzek i uśmiecha się do mnie, ale nie jest to jego zwyczajny radosny uśmiech.

– Głupia męska duma. Tak naprawdę przyjechałem, ale nie rano, jak mówiłem. Kiedy żegnaliśmy się

przed kawiarnią, strasznie się bałem, że cię stracę, i nie byłem w stanie myśleć. Obiecałem Gusowi – panu Longacre’owi, przyjacielowi, u którego zatrzymałem się w Bath – że w sobotę rano pojedę z nim do Bristolu i będę świadkiem podpisania pewnych ważnych dokumentów. Nie mogłem go zawieść, więc przyszedłem do ciebie dopiero po południu.

– Przyszedłeś w sobotę po południu? Przecież czekałam na ciebie przez cały dzień, Henry!

– Naprawdę? – Jego uśmiech jest szerszy, swobodniejszy, lecz trochę zalękniony. – Ach, Amy, teraz powiem ci całą prawdę, co oznacza, że najem się straszego wstydu. Czy jesteś gotowa mnie lubić, nawet jeśli uznasz mnie za głupca?

Przyrzekam, że nie przestanę go lubić.

– Doskonale. Cieszę się, że potrafisz wybaczać. Uchodzę za inteligentnego człowieka, ale czasem zachowuję się jak idiota. Kiedy przyjechałem w sobotę, zobaczyłem, że rozmawiasz na ulicy z wyjątkowo przystojnym, bardzo eleganckim mężczyzną. Staliście sami, uśmiechałaś się i wyglądałaś na szczęśliwą. Trzymał cię pod rękę i głaskaliście konie. Byliście pięknie ubrani i pasowaliście do siebie, nie można tego ukryć. Wyglądał jak bardzo zamożny człowiek sukcesu, czego zupełnie nie można powiedzieć o mnie...

– Ależ Henry! To nie tak! Ja nigdy...

– Nie, zaczekaj, pozwól mi skończyć, Amy. Skoro rzeczywiście na mnie czekałaś, zasługujesz na wyjaśnienie. Ten dżentelmen wskoczył do powozu i odjechał, a ty przez długi czas spoglądałaś za nim, jakbyś nie mogła znieść rozstania. Obserwowałem cię.

Nie mogę uwierzyć w jego słowa.

– Henry, gdzie byłeś?

– Na ulicy, w pewnej odległości. Tam! – Wyciąga rękę.

– Powinieneś był zawołać! Dlaczego nie zapukałeś do drzwi, kiedy weszłam do środka?

– Zdenerwowałem się, to wszystko. Przepraszam. Stale uciekasz, najpierw w Londynie, a potem w zeszłym tygodniu. Wiem, że masz wiele spraw ważniejszych niż ja. Wczoraj wieczorem poszłaś na bal u lorda Littletona. Obracasz się w najlepszym towarzystwie. Dżentelmen, z którym rozmawiałaś, tak właśnie wyglądał. Ty także. Pomyślałem, że nasza przyjaźń jest ważniejsza dla mnie niż dla ciebie.

Kręcę głową, usiłując zebrać myśli, próbując się nie śmiać. To wszystko jest takie absurdalne...

– Mój drogi Henry, gdybyś tylko wiedział! Wszystko wygląda zupełnie inaczej. Nasza przyjaźń jest dla mnie bezcenna i byłam szczęśliwa, że spotkaliśmy się znowu w Bath. Nie patrzyłam za panem Garlandem, tylko za jego końmi! Uwielbiam konie, Henry. Uśmiechałam się, bo konie były bardzo piękne. Pan Garland to przyjaciel mojej gospodyni, poznałam go w Twickenham. A poza tym wcale nie byliśmy sami, bo w powozie siedziała pani Riverthorpe. Och, Henry, rzeczywiście jesteś trochę niemądry...

Uśmiecham się. Przyjemnie jest mówić do niego tak szczerze. Zdaję sobie sprawę, że jestem dla niego ważna. Był zazdrosny, myślę z zadowoleniem. Teraz on również się rozpromienia i w końcu na jego twarzy pojawia się uśmiech, który tak dobrze pamiętam – uśmiech sprawiający, że świat jest piękny.

Stoimy naprzeciwko siebie przez długi czas i wydaje się, że gdybyśmy nie znajdowali się na ulicy, Henry chciałby powiedzieć wiele rzeczy. Czuję napięcie – rozkoszne napięcie, wzbiera we mnie i chce mi się chichotać.

Myślę, że Henry czuje coś podobnego, bo z rozbawioną miną spogląda na imponującą fasadę Hades House.

– Boże, Amy!

– To samo powiedział dorożkarz, który mnie tu przywiózł.

– Bystry jegomość. Co za dom! Nic dziwnego, że byłaś trochę przygnębiona, gdy spotkałem cię na moście. Kim jest twoja gospodyni? Widmem w długiej białej sukni? Skrzydlatym demonem, który zamierza wyssać ci krew? Mam nadzieję, że nie to drugie, bo jako niedoszły lekarz nie zalecam nadmiernego puszczania krwi.

– Nie żartuj, Henry. – Wybucham śmiechem. – Pani Riverthorpe nie jest ani widmem, ani demonem, choć gdybyś ją zobaczył, uznałbyś ją za zdumiewającą osobę. Ma przeszło osiemdziesiąt lat, w ogóle nie przejmuje się opinią publiczną, a jednak zna wszystkich w Bath i codziennie chodzi na przyjęcia. Nie potrafię jej zrozumieć. Mam nadzieję, że ją poznasz. – Milczymy przez chwilę.

– Zatem gdybym miał cię wkrótce odwiedzić, byłabyś zadowolona? – pyta w końcu nieco nieśmiałym, oficjalnym tonem.

Przewracam oczami.

– Jeśli rzeczywiście przyjdiesz, będę zachwycona.

Kiwa głową.

– *Touché!* Dziękuję, Amy. Przyjdę. Nie mogę już chyba dłużej trzymać cię na ulicy. Moi przyjaciele Longacre'owie czekają w powozie. Jedziemy obejrzeć zachód słońca z klifu Beachen. Może się do nas przyłączysz? To naprawdę piękny widok.

Nagle dociera do mnie, że choć wybieram się niekiedy na samotne spacerunki po mieście, spędzam większość czasu w salonach, salach balowych i jadalniach. Wiosna sprowadza się dla mnie do oczekiwania na następny list Aurelii. Straciłam poczucie zmiany pór roku.

– Bardzo chętnie, Henry, nawet sobie nie wyobrażasz, jaką mam na to ochotę, ale pani Riverthorpe zaprosiła gości na karty i nie mogę jej zostawić.

– Nieważne. To zbyt nagłe zaproszenie. Przywitaj się szybko z moimi przyjaciółmi, a potem wracaj do domu.

Przechodzę przez ulicę i poznaję Longacre'ów, Gusa i Ellen, sympatyczne małżeństwo kilka lat starsze od Henry'ego. Pozdrawiają mnie ciepło i zapraszają na kolację wieczorem następnego dnia. Obiecują, że będą tańce. Przyjdzie tylko kilku bliskich przyjaciół, lecz mimo to przewidziane są tańce.

Z radością przyjmuję zaproszenie, ściskam wszystkim ręce i wracam do półmroku Hades House.



Później wpadam – dosłownie wpadam – na pana Garlanda, który stoi w holu. Odsuwam się i dotykam dłońmi płonących policzków. Z jakiegoś powodu czuję się przyłapana na gorącym uczynku – i zirytowana. Ukrywam swoje emocje, rozplývając się w przeprosinach, choć w żadnym wypadku nie mogłam się spodziewać, że zastanę go za drzwiami.

– Proszę nie przepraszać, panno Snow, stałem pani na drodze. Pani Riverthorpe kazała mi sprawdzić, czy wszystko w porządku.

– Och, panie Garland, to bardzo miło z pana strony! Czuję się bardzo dobrze, dziękuję. Po prostu spotkałam starego przyjaciela. Wrócimy do kart?

– Doprawdy, bardzo chciałbym poznać kolejne oświecone poglądy pana Gladsby’ego! – Puszcza do mnie oko i kładzie dłoń na moim ramieniu. – Chociaż... proszę zostać, panno Snow. Skoro jesteśmy sami, może moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? Mam ochotę to zrobić już od kilku dni, lecz nie jest to łatwe, gdyż pani Riverthorpe bardzo lubi mieć wszystkich na oku.

Śmieję się. To z pewnością prawda. Czuje się nieco zażenowana, że taki atrakcyjny dżentelmen chciałby porozmawiać ze mną sam na sam, i to zaledwie chwilę po spotkaniu z Henrym. Wciąga mnie do niszy za jedną z kolumn.

– Miałem nadzieję, że zobaczymy się w miłszym otoczeniu – mruczy. – Nieważne. Panno Snow, jutro muszę się udać w interesach do Londynu. Och, tylko na trzy czy cztery dni, ale chciałem z panią porozmawiać przed wyjazdem. Jestem pewien, że nie zdziwi się pani, gdy powiem, że wielce panią podziwiam.

Spoglądam na niego ze zdumieniem. Myli się! Pogodziłam się z myślą, że w jakiś sposób się mną interesuje, ale... wielce mnie podziwia?! Dlaczego? Patrzy na mnie czułym wzrokiem.

– Proszę się nie obawiać, panno Snow, nie zamierzam prosić pani o rękę. Zdaję sobie sprawę, że znamy się od niedawna. Jestem realistą, a nie porywczym młodzikiem, i uważam, że prawdziwa przyjaźń nie rodzi się z dnia na dzień. Mam nadzieję, że z czasem nasza nabierze mocy i głębi... Postanowiłem jednak... w jakiś sposób panią przygotować. – Śmieje się cicho. – Na wypadek gdyby chciała pani na zawsze zamknąć mi usta! Nie zamierzam sprawiać pani żadnych przykrości. Ale byłbym bardzo zadowolony, gdyby zgodziła się pani poznać mnie lepiej ze świadomością, że mój podziw dla pani ma charakter bardzo osobisty.

Przytłacza mnie jego uroczysty ton. Mam wrażenie, że otaczające nas szare kamienne kolumny to świadkowie. Łukowaty sufit i długi kamienny hol sprawiają, że czuję się jak w kościele. Pan Garland delikatnie ujmuję moją dłoń i nakrywa ją drugą ręką. Chyba jestem trochę odrętwiała ze zdziwienia, bo prawie tego nie czuję. Nagle w mojej głowie pojawiają się wspomnienia. Nasze poprzednie spotkania: pan Garland zawsze grzeczny, zawsze troskliwy, zawsze *comme il faut*... a ja wytrącona z równowagi, niezręczna, spłoszona. Czy kiedykolwiek naprawdę dobrze się czułam w jego towarzystwie?

– Panie Garland, ja... Prawie nie wiem, co odpowiedzieć... ja... – Jąkam się.

Mimo jego uwagi wszystko wydaje się takie nieprawdopodobne. Zupełnie nie pojmuję, co dżentelmen taki jak pan Garland może podziwiać w pełnej sprzeczności dziewczynie podobnej do mnie. Jednak kiedy na mnie patrzy, w jego oczach malują się uczucia, o których mówi. Postanawiam odpowiedzieć całkowicie szczerze.

– Panie Garland, to dla mnie zaszczyt, lecz przyznaję, że jestem zdziwiona. Chciałabym panu podziękować za wielki komplement. W czasie całego pobytu w Bath okazuje mi pan przyjaźń i wysoko pana cenię, naprawdę, bardzo wysoko. – To wszystko prawda. Oddycham nieco lżej.

– Miło mi to słyszeć, panno Snow. Czy mogę zatem mieć nadzieję, że spojrzy pani na mnie przychylnym okiem jako na konkurenta do pani ręki? W przyszłości, jeśli nie natychmiast?

– Każda młoda kobieta cieszyłaby się z pańskiego zainteresowania, panie Garland.

– A czy ty, Amy, też byś się cieszyła?

Cieszyłabym się? Nie potrafię się zdecydować. Bardzo go podziwiam, to prawda. Ale czy potrafiłabym zmienić ten podziw w bardziej intymne uczucie? Jest niewiarygodnie przystojny. Czasami nie mogę oderwać od niego wzroku. Ale mam wrażenie, że w małżeństwie liczy się nie tylko wygląd.

I jest także Henry.

Instynktowny przypływ radości na widok Henry'ego wydaje się bardziej spontaniczny i naturalny od stopniowo narastającej sympatii do pana Garlanda. Ale... teraz, gdy Henry jest nieobecny, gdy nie patrzy na mnie ciemnymi oczyma i nie uspokaja pięknymi uśmiechami, przypominam sobie samotność i zamęt, które czułam w zeszłym tygodniu. Zranił mnie. Obserwowałam go, gdy się zastanawiał, czy mnie odwiedzić, i postanowił odejść. Pan Garland pojawia się codziennie, usłużny, troskliwy. Pomógł mi w trudnym okresie, choć nie zdawałam sobie z tego sprawy. Akceptuję wyjaśnienia i przeprosiny Henry'ego. Wiem, że mówi szczerze. Ale jeśli zacznie znikać za każdym razem, gdy zwątpi w moje uczucia, i znowu zostanę sama... To wyjątkowo bolesne.

Jestem świadoma, że czas płynie. Pan Garland czeka na moją odpowiedź, a pani Riverthorpe i jej przedziwna zbieranina ekscentrycznych miłośników gry w karty czeka na nasz powrót. Nie jest to dobry moment, by się nad tym wszystkim zastanawiać. Czuję się jak jedna z tajemniczych ciem pani Riverthorpe – uwięziona w szklanej gablotce. Mówi, że to nie oświadczy. Nie prosi mnie o jednoznaczną odpowiedź, nie teraz.

– Myślę, że może... może... tak. – Rumienię się, słysząc własne niezręczne słowa. – To znaczy,

wcześniej się nad tym nie zastanawiałam. To dla mnie zbyt wielki zaszczyt. Ale pana towarzystwo sprawia mi ogromną przyjemność, a poza tym bardzo podziwiam pana uprzejmość i inteligencję... – Zdaję sobie sprawę, że myślę na głos, więc milknę.

– Bardzo miło to słyszeć, panno Snow. Może powinniśmy wrócić do reszty towarzystwa, by nie prowokować spekulacji, ale pragnę odnowić naszą przyjaźń po swoim powrocie z Londynu.

– Tak, ale... Panie Garland, jest jeszcze jedna kwestia. Nie chciałabym... nie chciałabym dawać panu fałszywych nadziei, bo obecnie moje życie nie zależy tylko ode mnie. To bardzo skomplikowana sprawa, jednak pewne okoliczności sprawiają... Mogę wkrótce opuścić Bath i nie wiem, dokąd pojedę. Na pewno brzmi to bardzo dziwnie...

Pan Garland pochyla się i całuje moją dłoń.

– Panno Snow, oczywiście rozumiem, że pani położenie jest dość... trudne. Wiem, że podróżuje pani samotnie i że pani los często się odmienia. I naturalnie rozumiem, że pani pochodzenie stawia panią w dwuznacznej sytuacji. Zapewniam panią, że te kwestie w żaden sposób nie wpływają na moje uczucia do pani. Proszę nie sądzić, że powinna mi pani cokolwiek tłumaczyć. Przyjdzie czas, że wszystko się wyjaśni. Idziemy?

Podaje mi ramię, a ja ujmuję jasnoblękitny rękaw i wracamy do salonu. Mam mętlik w głowie i czuję ulgę, że zobaczymy się dopiero za kilka dni. Jestem trochę zła, że to wszystko stało się tak nagle po ponownym pojawieniu się Henry'ego. Przede wszystkim bardzo się cieszę, że żaden nie kazał mi niczego tłumaczyć.

Naturalnie jest również wstydliva przyjemność, że prawie oświadczył mi się dżentelmen, na którego niegdyś patrzyłam z nabożnym podziwem. Nie potrafię sobie przypomnieć, co właściwie odpowiedziałam.

Po wyjściu gości jestem zdziwiona, że pani Riverthorpe nie pyta mnie o nieobecność na spotkaniu. Skoro była taka zatroskana, że wysłała za mną pana Garlanda, wyobrażałam sobie, że może być ciekawa.

Nazajutrz rano wychodzę. Longacre'owie mają przysłać po mnie powóz o piątej i nie wiem, jak spędzić czas do popołudnia. Dobrze, że postanawiam opuścić dom, bo pod platanem na ulicy stoi Henry.

– Amy! – woła radośnie, patrząc na mnie z podziwem.

Mam na sobie białą suknię w jasnobłękitną kratkę z bufiastymi rękawami i prostym łukowatym dekoltem. Dzień jest pogodny i nie wzięłam peleryny. Przestałam myśleć o panu Garlandzie. Mogę o nim zapomnieć co najmniej na trzy dni. Nie ulega wątpliwości, że jeśli nie wezmę się w garść, zacznę wymyślać jakieś fantastyczne rzeczy.

– Dzień dobry, Henry! – Kiedy na niego patrzę, na mojej twarzy jak zwykle pojawia się wesoły uśmiech. To trochę jak widok wielkiego psa skaczącego do rzeki. Nie można nie czuć radości. – Co tu robisz? Och, czyżby odwołano przyjęcie?

– Ależ z ciebie pesymistka! Naturalnie, że nie! Chciałem po prostu wcześniej spędzić z tobą trochę czasu. W ciągu ostatnich kilku dni zmarnowaliśmy go już za wiele. Tak bardzo chciałem go nadrobić, że przyjechałem za wcześnie, by złożyć ci wizytę. I dlatego zastajesz mnie czającego się pod drzewem, jakbym planował włamanie.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę.

– Wychodzisz. Przybyłem nie w porę?

– Wybieram się na spacer. Możemy iść razem.

Podaje mi ramię i ruszamy w milczeniu. Zeszłego wieczoru czułam podniecenie i zamęt wywołany ponownym pojawieniem się Henry'ego i deklaracją pana Garlanda, lecz w tej chwili przejaśniło mi się w głowie. Zaloty pana Garlanda to kusząca propozycja, przyznałaby to każda młoda dama. Ale w głębi serca czuję, że od samego początku Henry budzi we mnie cieplejsze uczucia. Przrzekam sobie, że nie będę więcej zachęcać pana Garlanda – wcale nie mam na to ochoty. Porozmawiam z nim po jego powrocie z Londynu, choć straszliwie się tego boję. Najpierw jednak muszę się zorientować, jak układają się moje sprawy z Henrym. A poza tym, oczywiście, jest również sprawa Aurelii...

Idziemy do Crescent Fields i siadamy pod kasztanowcem, który wypuszcza bladorożowe pąki. Henry rozkłada na ziemi surdut, bym nie pobrudziła sukni trawą. Podtrzymuje mnie, gdy siadam, a następnie

zajmuje miejsce obok mnie. Wiatr rozwiewa mu włosy.

– Miło cię widzieć, Amy – mówi cicho. – W tym tygodniu nie zachowywałem się jak prawdziwy przyjaciel i pragnę cię jeszcze raz przeprosić. Nie chciałem zawracać ci głowy, czułem, że nie zasługuję na to, by cię odwiedzać, a ty pomyślałaś, że o tobie zapomniałem.

Patrzę na pola. Promienie porannego słońca oświetlają trawę i pajęczyny pokryte rosą. Jest wcześnie i na zielonej polanie prawie nie ma ludzi, choć tu i tam spaceruje lub gra w krokieta kilka rodzin. Nad naszymi głowami szeleści kasztanowiec, a ja myślę o wyspie Eel Pie, Constance i wierzbie Edwina.

– Widziałam cię w środę, Henry. Och, spacerowałam po całym Bath, mając nadzieję, że cię zobaczę, ale zauważyłam cię tylko raz, z okna swojego pokoju. Szedłeś ulicą i byłam bardzo szczęśliwa, ale potem zatrzymałeś się w pewnej odległości od Hades House, odwróciłeś się i zniknąłeś.

Henry się krzywi.

– Był to dla mnie trudny moment. Zobaczyłem cię z panem... Garlandem, tak..., po czym doszedłem do wniosku, że nie jesteś zainteresowana podtrzymywaniem przyjaźni ze mną. Mimo to w głębi serca ciągle miałem cień nadziei. Liczyłem na to, że przypadkiem się spotkamy i spróbuję się zorientować, czy się ucieszyłaś, bez podejmowania ryzyka pojawiania się pod twoimi drzwiami i manifestowania swoich intencji. Później uznałem, że postąpiłem jak tchórz, więc wróciłem we środę, ale straciłem pewność siebie, jak sama widziałaś. Tak się cieszę, że mimo wszystko wytrwałem... Ale niepotrzebnie mówię tak zawile, powinienem to powiedzieć jaśniej!

Siada prosto i bierze głęboki oddech.

– Amy, gdybyś miała jakieś wątpliwości... Chciałbym być dla ciebie kimś więcej niż przyjacielem, ale w tej chwili czuję, że to niemożliwe, bo nie mam żadnego zawodu ani nawet perspektywy, że go zdobędę, toteż nie mogę ci nic zaoferować. Poza tym widzieliśmy się zaledwie dwa razy i chyba jest jeszcze za wcześnie. Tak naprawdę nie powinienem nic mówić, lecz skoro poczułaś się urażona, że cię nie odwiedziłem, muszę wszystko wytłumaczyć, rozumiesz?

Przelatuje obok nas pierwsza wiosenna pszczoła, brzęcząc głośno. Czuję na twarzy ciepło słońca. Henry mnie lubi. Nie mogę się powstrzymać od uśmiechu.

– A zatem wytłumaczyłeś – mówię. – Ja również powiedziałam więcej, niż nakazuje rozsądek. Po naszym spotkaniu w Londynie często... często o tobie myślałam. Kiedy pojawiłeś się w Bath, byłam bardzo szczęśliwa, lecz potem pomyślałam, że w ogóle cię nie obchodzę. Wiem, że prawie się nie znamy, a jednak mam wrażenie, że znam cię od dawna.

– Ja też mam wrażenie, że cię znam. Możemy spędzać ze sobą więcej czasu i więcej się o sobie dowiedzieć. Rozumiesz już, że mam swoje wady, jak każdy mężczyzna. Jedną z nich to oczywiście duma. – Robi zmartwioną minę. – Jednak nie przypuszczałem, że duma uczyni ze mnie tchórza. Postaram się, by to się nie powtórzyło. Przeżywam trudny okres, Amy. Zrezygnowałem ze studiów medycznych, a teraz ta sprawa... Zawsze uważałem, że jestem wspaniały, a okazuje się, że nie zawsze łatwo jest być mężczyzną. Rozumiesz? Nie powinienem ci tego mówić! Powinienem opowiadać banały i próbować cię przekonać,

że jestem ideałem.

– Nie wierzyłabym ci, Henry, ani przez chwilę. Ale uważam, że czeka cię wspaniała przyszłość. Jesteś ciągle młody, podobnie jak ja.

Odwraca głowę i spogląda z uśmiechem na pola.

– Dziękuję, Amy.

Przez chwilę siedzimy i patrzymy na bardzo grubego chłopca w wieku około siedmiu lat bawiącego się z psem w czarno-białe łaty. Kiedy chłopiec się potyka i upada na zwierzę, jesteśmy zaniepokojeni. Ale nie dzieje się nic złego. Podnoszą się i radośnie kontynuują zabawę.

Kiedy słucham zwierzeń Henry’ego, mam wrażenie, że promienie słońca rozpraszają mrok. Jestem bardzo zmęczona tajemnicami Aurelii i tym, że stale muszę się mieć na baczności. Czuję, że ja i Henry jesteśmy sobie bliżsi niż kiedykolwiek, choć wiem, że zostało nam niewiele czasu. Może się okazać, że za tydzień będę zmuszona opuścić Bath. Naturalnie nie mogę z nim rozmawiać całkowicie otwarcie, ale mam ochotę powiedzieć mu wszystko, co wolno mi powiedzieć, a może nawet więcej, niż powinnam. Nie chcę przerywać milczenia, lecz w końcu to robię.

– Nie tylko twoje życie znalazło się w punkcie zwrotnym, Henry – mówię cicho, zerkając na jego przystojny profil. Ma piękne, pełne wargi.

Kiwa głową, w dalszym ciągu patrząc na pola, ale widzę, że słucha. Zdejmuję kapelusz i kładę go na trawie, bo chcę dobrze widzieć Henry’ego.

– Cała tajemnica ma związek z Aurelią, moją ukochaną przyjaciółką, która zmarła w styczniu.

Widzę, że bardzo go to interesuje.

– Mój dziadek znał tę młodą damę. Wychowałaś się z nią, prawda?

– Tak. Nasza przyjaźń była silniejsza, niż przypuszczasz, bo zawdzięczam jej życie. Kiedy byłam niemowlęciem... znalazła mnie w śniegu.

– Co takiego?! – Odwraca się w moją stronę i wbija we mnie wzrok.

– Tak. Ktoś zostawił mnie w śnieżnej zaspie. Byłam... – Nie mam ochoty mówić, że byłam naga. –

Byłam sina z zimna, a Aurelia, która miała wtedy osiem lat i bardzo czułe serce, podniosła mnie i zabrała do domu. Pochodziła z arystokratycznej rodziny, Henry, choć wtedy nie zdawała sobie z tego sprawy, a później niewiele ją to obchodziło. Jej rodzice mnie nie chcieli, bo uważali, że przynoszę im wstyd. – Nerwowo zakładam włosy za uszy. Nie jestem przyzwyczajona do opowiadania tej historii.

Na twarzy Henry’ego pojawia się zdumienie.

– Przynosisz wstyd?! Ty, niewinne dziecko?! Nie rozumiem tej logiki.

– Cieszę się, że to mówisz. Przez wiele lat sądziłam, że mają rację, w przeciwnym wypadku nie traktowałiby mnie tak źle. Gdyby nie Aurelia, która uparła się, bym została, wysłaliby mnie do sierocińca. Ich zachowanie względem mnie wywarło wpływ na moje życie.

– Nie wątpię. Byli wobec ciebie bardzo niemili, Amy?

Przełykam ślinę.

– Tak. Moim zdaniem zawsze żałowali, że zgodzili się mnie przyjąć pod swój dach. – Oczywiście wypełniają mi się łzami, ale powstrzymuję płacz, bo chcę wszystko z siebie wyrzucić. – Polecili, bym nie pokazywała się im na oczy, ale Aurelia nie chciała przestać się ze mną widywać. Była rozpieszczona i samotna. Miała także bujną wyobraźnię. Moim zdaniem zagadka tajemniczego dziecka znalezionej w śnieżnej zaspie budziła jej fascynację.

– Na pewno, Amy. Czy w końcu dowiedziałaś się czegoś o swoim pochodzeniu?

Spuszczam wzrok i zauważam, że zbieleły mi kostki. Trzymam dłonie na kolanach i poruszam nimi nerwowo.

– Nie, nigdy.

– Przykro mi to słyszeć. Widziałaś kilku członków mojej rodziny. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak można w ogóle jej nie mieć.

Nie wiem, jak mu o tym opowiedzieć. Jak opisać bezinteresowną dobroć Cook, gorzką nienawiść lady Vennaway, ponurą świadomość, że jestem ledwo tolerowaną znajdą?

Mimo wszystko próbuję, wypowiadając nieskładne zdania, bo chcę, żeby Henry rozumiał. Udaje mi się streścić siedemnaście lat w ciągu pięciu minut, a potem spoglądam na niego, by zobaczyć, czy go nudzę. Wydaje się wyjątkowo zainteresowany.

– Pamiętaj, Amy, że niezależnie od twojej przeszłości, różni Meadowie i Crummowie zawsze będą uszczęśliwieni, mogąc przyjmować Amy Snow.

– Drogi Henry... – Nie mogę nad sobą zapanować. Wyciągam rękę i ujmuję jego dłoń. To wbrew etykiecie, ale kiedy dotykam jego ręki, nie jestem w stanie się poruszyć, a Henry jej nie cofa. Następuje uroczna, wstydliva chwila, gdy siedzę na łące wśród morza jasnożółtych pierwiosnków i trzymam za rękę przyjaciela... młodego i przystojnego... – Dziękuję – szepczę.

– Nie musisz mi dziękować, Amy – odpowiada łagodnie.

Powoli się odsuwam i cofam rękę.

– Wybacz mi, Henry, jeśli zachowuję się niestosownie. Mam wrażenie, że nagle obudziły się we mnie wszystkie dawne emocje. Nie jestem przyzwyczajona do opowiadania o sobie.

– Nie mów nic więcej, jeśli wytrąca cię to z równowagi, Amy, choć przyznaję, mam nadzieję, że potrafisz się przemóc. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, na czym polega sekret Aurelii i jak wpływa teraz na ciebie. Na twoje decyzje, twoje życie.

– Spróbuję ci coś wyjaśnić. Nie mogę zdradzić sekretu Aurelii, nie tylko dlatego, że nie wolno mi tego zrobić, po prostu go nie znam. Powiem ci wszystko, co wiem, Henry, ale... Aurelia zostawiła mi po śmierci kilka listów, każdy z nich zawiera żarliwą prośbę o dochowanie tajemnicy. Było to dla niej niezwykle ważne i nie mogę jej zawieść. Jednak trudno żyć tak tajemniczo.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo dręczy mnie ta zagadka. Łatwo strzec sekretu w Bath, gdzie nikogo to nie obchodzi. Ale Henry chce się czegoś o mnie dowiedzieć. Jest wysoki, sympatyczny i dobry. Jeśli wkrótce mu czegoś nie powiem, wybuchnę i rozsypię się jak płatki kwiatów.

Bierze mnie za rękę, nie robi tego gwałtownie ani szybko. Trzyma ją mocno, zdecydowanie. Mimo piękna tej chwili instynktownie się rozglądam, czy widzi mnie ktoś znajomy. Plotki mają potężną moc.

– Amy, zachowam w całkowitej tajemnicy wszystko, co mi powiesz. Będę dumny, jeśli uczynisz mnie swoim powiernikiem, i nikomu niczego nie zdradzę. Uszanuję tajemnicę Aurelii, niezależnie od tego, czym jest. Przyrzekam.

Wypowiedziawszy tę uroczystą deklarację, puszcza moją dłoń, a ja czuję ulgę, a zarazem żal.

Opowiadam Henry’emu o poszukiwaniu skarbu. Mówię, że każdy list ujawnia kolejne nieznane mi informacje, choć nie podaję żadnych szczegółów. Mówię, że mam tak dużo pieniędzy i pięknych strojów, że nie wiem, co z nimi robić, ale brakuje mi rzeczy, za którymi tęskni moje serce: bezpieczeństwa, rodziny, odpowiedzi na dręczące mnie pytania. Wiem, że nie przestrzegam instrukcji Aurelii, lecz jest to kompromis, który pozwala mi czuć, że moje życie również coś znaczy.

Przyznaję, że czasem płakałam z gniewu, czując się jak pionek na rodzinnej szachownicy Vennawayów. Aurelia nie była ideałem, boli mnie to, że za życia tak wiele przede mną ukrywała. Na koniec wzdycham i mówię, że w głębi serca w dalszym ciągu jestem wobec niej bardzo lojalna i że zawsze tak pozostanie.



Jestem taka szczęśliwa! Cudownie, niesamowicie, absolutnie szczęśliwa! To jak promienie słońca na skórze, plusk deszczu i zapach herbacianych róż, wszystko jednocześnie!

Henry mnie kocha! Naprawdę kocha! I ja go kocham. Oczywiście! Ostatnie pięć dni to najszczęśliwszy okres mojego życia.

Kiedy wyrzucałam z siebie wszystko na Crescent Fields, słuchał i słuchał. Wreszcie skończyłam, on zaś położył się na trawie, splótł dłonie na karku i zamknął oczy. Czułam, że to oznaka głębokiego namysłu, a nie nudy.

Jeszcze nigdy nie widziałam go leżącego, więc wykorzystałam okazję i dokładnie przyjrzałam się czarnym, kręconym włosom, opalonej skórze i miłej linii ust. Zauważyłam delikatny uśmiech i lekką bladość szyi w miejscu, gdzie znikwała pod wysokim kołnierzykiem koszuli. Nie miał na sobie granatowego wizytowego garnituru, lecz brązowy surdut, białą koszulę i czerwoną kamizelkę. Nagle poczułam chęć oparcia głowy na jego szerokiej piersi.

Nie zrobiłam tego oczywiście.

Zdumiewała mnie długość jego nóg. Naturalnie w porównaniu ze mną każdy ma długie nogi, lecz nogi Henry'ego wydają się wyjątkowe.

Kiedy w końcu usiadł, wzdrygnęłam się, jakby przyłapano mnie na czymś niedozwolonym, chociaż, szczerze mówiąc, uważam, że to nic złego, gdy kobieta podziwia przystojnego mężczyznę. Może to wpływ pani Riverthorpe? Może to dobrze?

Wieczorem Longacre'owie zgodnie z obietnicą przysłali po mnie powóz. Włożyłam ukochaną sukienkę z muślinu w morelowym kolorze. Samodzielnie wybrałam strój, miałam proste uczesanie, co sprawiło mi wielką przyjemność. Cecile by tego nie zaaprobowała, lecz opuściłam swój pokój zadowolona.

W holu zderzyłam się z panią Riverthorpe, która wkładała długie, czarne rękawiczki z satyny.

– Dziecko! – Zadrżała na mój widok. – Zamierzasz spędzić dzisiejszy wieczór w klasztorze?

Nie udało jej się wytrącić mnie z równowagi.

– Jadę z wizytą do przyjaciół, pani Riverthorpe. Mam nadzieję, że spędzi pani miły wieczór.

– Wątpię, szczerze wątpię – mruknęła i wyszła z domu, podpierając się laską.

Przez chwilę spontanicznie zapragnęłam zabrać ją ze sobą i pokazać, jak wyglądają naprawdę sympatyczni ludzie, lecz szybko odzyskałam rozsądek.

Spędziłam wyjątkowo przyjemny wieczór. Longacre'owie i ich przyjaciele sprawili, że bardzo dobrze się czułam. Jedzenie było proste, lecz znakomite. Tańczono w niewielkim salonie, w którym mieściły się tylko trzy pary. Wszyscy tańczyli ze wszystkimi, lecz taniec z Henrym okazał się wspaniały. Henry był szarmancki, pewny siebie, zabawiał mnie dowcipnymi uwagami i anegdotkami.

Wróciłam do Hades House w świetnym nastroju, którego nie popsowały nawet mroczne, niesamowite korytarze i sztychy przedstawiające ćmy. Jeszcze nie było pani Riverthorpe.

Spędziłam następne cztery dni z Henrym, Gusem i Ellen. Byłam niesamowicie szczęśliwa. Zatrwożeni, że nie widziałam okolic Bath, postanowili pokazać mi widok z klifu Beachen i leśne drogi w Widcombe. Urządzili piknik na łące nad rzeką. Myślę, że ten dzień zawsze będzie mi się kojarzyć z pluskiem wody, latającymi biedronkami, ciepłymi promieniami słońca i śmiechem.

Tworzymy dwie pary – to dziwne, cudowne i zupełnie nowe przeżycie. Kiedy tylko mogę, przyglądam się ukradkiem Gusowi i Ellen. Jest niska, jasnowłosa, wesoła i bardzo lubi parasolki. Za każdym razem nosi inną. Gus nie jest przystojny – ma bujne rude bokobrody i imponującą brodę – ale wydaje się troskliwy i dobroduszny. Widać, że się kochają. Zastanawiam się, jak ja i Henry wyglądalibyśmy po dziesięciu latach, gdyby połączył nas los.

Kiedy Henry pełni funkcję przewodnika, miasto wydaje mi się zupełnie inne. Wie zaskakująco dużo o wielu rzeczach. Nie mam pojęcia, dlaczego mnie to dziwi, choć czasem jest niezwykle skromny. Pokazuje mi służę i sprawia, że widzę nie tylko spiętrzoną wodę, lecz także skomplikowany symbol współczesnego świata. Opisuje system śluz i kanałów, który przekształcił Bath w ważny ośrodek transportu i handlu, a nie tylko mody i flirtu. Kiedy jesteśmy razem, wspaniała architektura staje się dla mnie czymś żywym.

Czuję, że opuszcza mnie niechęć do Bath i frustracja wywołana zagadką Aurelii. Mimo wszystko znajduję czas, by odpocząć i cieszyć się życiem. W obecności Henry'ego zapominam o swoich troskach. Jest jak piecyk w mroźny dzień, przyciąga mnie do siebie coraz bliżej, sprawia, że czuję się doceniana i chciana.

Spacerujemy po Royal Crescent, lecz zaglądamy również w boczne uliczki. Tylne ściany wysokich, eleganckich domów są nierówne i krzywe. Przychodzi mi do głowy, że tak właśnie wygląda społeczeństwo – z pozoru wydaje się idealne i eleganckie, lecz za ładną fasadą kryje się gorycz i brzydota. Henry wypowiada na głos tę myśl. Takie przypadki zdarzają się często.

Czasem spotykamy kogoś znajomego. Jestem tak zaabsorbowana tymi czarodziejskimi chwilami, że czuję się wtedy jak zbudzona z dziwnego snu. W foyer hotelu Royal, po obfitym lunchu z okazji urodzin Ellen, widzimy panią Manvers rozdającą ulotki Towarzystwa Trzeźwości. Wspaniałomyślnie wręcza każdemu z nas po jednej (choć mam już trzy), po czym długo rozmawia z Henrym, gdy tymczasem Gus, Ellen i ja podziwiamy fontannę na dziedzińcu.

Henry okazuje się inteligentnym, refleksyjnym człowiekiem, a nie lekkoduchem, za jakiego sam się

uwaga. Przez całe życie wmawiano mi, że jestem bezwartościowa i głupia, co nie było dla mnie przyjemne. Nie widzę sensu, by Henry sam się zadreślał, więc każę mu z tym skończyć. Wydaje się mnie rozumieć.

Wczoraj wieczorem, po wczesnej kolacji na Henrietta Street, powiedział, że mnie kocha.

Zjedliśmy kolację na tarasie otoczonym wiciokrzewem. Gus przeprosił nas i poszedł przejrzeć jakieś papiery, a Ellen postanowiła pograć na pianinie. Henry i ja zostaliśmy na dworze mimo zimna. Chociaż ostatnio było słonecznie, wieczory zrobiły się znacznie chłodniejsze. Henry tłumaczy, że przyczyną jest położenie Bath, które leży w kotlinie. Okazuje się, że moje narzekania na zimno mają wyjaśnienie geograficzne i nie są po prostu wyrazem rozczarowania tym miastem, jak dotychczas przypuszczałam. Rozmawialiśmy o literaturze i przeczytaliśmy kilka sonetów, słuchając śpiewu kosów szykujących się do lata. Później opowiadaliśmy o swoim dzieciństwie.

– Zastanawiam się, co się z nami stało – mówi nagle Henry. – Z niezgrabną dziewczynką biegnącą za inteligentną starszą siostrą i z urwisem, który po wyjściu z domu zawsze wpadał w tarapaty. Ciekawe, czy istnieją już tylko w naszych wspomnieniach i sercach?

– Najczęściej wciąż czuję się niezgrabną dziewczynką. Prawdę mówiąc... wciąż się uganiam za Aurelią.

– Najczęściej? A poza tym? Jak się czujesz?

Zmarszczyłam brwi i przez dłuższą chwilę myślałam nad odpowiedzią.

– Jak dorosła kobieta, którą zawsze pragnęłam być, żeby móc samodzielnie się o siebie troszczyć. – Zdziwiłam się, gdy to sobie uświadomiłam. – Rozsądna, pewna siebie, zrównowazona. Bardzo kochałam Aurelię, ale nie była zrównowazona. Przypominało to miłość do płomienia. Ale... staję się sobą, Henry. Moja droga przez życie jest niekonwencjonalna, lecz jednak posuwam się naprzód! Nigdy się tego nie spodziewałam. A ty, Henry? Czy ciągle czujesz się tym samym urwisem?

– Nie. – Pokręcił zdecydowanie głową. – Och, wiem, że w głębi serca dalej nim jestem, ale teraz mam w sobie coś więcej. Dojrzałem, pojawiły się nowe rzeczy. Jestem już mężczyzną, nie chłopcem. Tylko...

Pamiętam zaskoczenie, które przeżyłam, ujrawszy wysoką postać Henry'ego w drzwiach domu jego dziadka. Z pewnością nie jest chłopcem.

– Tylko co?

Rozgląda się po ogrodzie, zakłada nogę na nogę i myśli. Zapada zmrok, światło przybiera liliową barwę, robi się zimno. Przeszywa mnie dreszcz.

– Tylko... nie jestem takim mężczyzną, jakim chciałbym być. Przypominam szkic, a chciałbym być gotowym portretem.

– Masz na myśli to, że nie wybrałeś jeszcze żadnego zawodu?

– Na pewno odgrywa to dużą rolę. Część mojej osobowości pędzi do przodu, a część wlecze się z tyłu. Pierwsza część jest niecierpliwa i pragnie... wielu rzeczy. Maruderzy bardzo się starają, lecz boją

się stawianych im wymagań. Czy to brzmi sensownie?

Moim zdaniem to oznacza, że Henry dojrzeła. Nigdy nie miałam okazji stopniowo się rozwijać, bo zawsze musiałam radzić sobie z sytuacjami, z którymi zwyczajne dziecko nie ma do czynienia. Jednak widziałam zmagania Aurelii, targające nią sprzeczności. W ten sam sposób reagował Henry.

– Tak, sensownie. Nie sądzisz, że powinieneś się traktować bardziej wyrozumiale, okazać maruderom trochę współczucia?

– Nie jestem tego pewien. Uważam, że powinienem traktować się surowiej. Wiesz, co sprawia, że jestem taki niecierpliwy, Amy? Domyślasz się, czego chcę?

Popatrzył na mnie tak intensywnie, że zaczęło mi walić serce, jakbym przeczuwała, że moje życie za chwilę się zmieni. Nie mogłam wykrztusić słowa, więc pokręciłam głową.

– Och, najdroższa Amy, nie domyślasz się? Chodzi o ciebie! Wszystko we mnie kipi! Nie chciałym cię zawstydzać, ale muszę to powiedzieć. Fascynujesz mnie od pierwszego wieczoru, gdy się poznaliśmy. Wyglądałaś na bardzo smutną, bardzo samotną, a jednak miałaś w sobie ogromną determinację. Nie chciałem pozwolić ci wyjechać, ale ty i dziadek jasno stwierdziliście, że to konieczne. Potem spotkałem cię w Bath! Miałem okazję lepiej cię poznać, rozmawiać z tobą, słuchać twoich zwierzeń, przedstawić cię swoim przyjaciołom. Och, wiem, że znamy się od niedawna, i z pewnością możemy się dowiedzieć o sobie wielu rzeczy, ale w ciągu ostatnich trzech dni spędziłem z tobą tyle czasu, że wiem jedno: bez ciebie moje życie byłoby uboższe. Amy, jeśli czujesz do mnie tylko przyjaźń, pamiętaj, że zawsze będę ją traktował jak największy skarb. Niech moje wyznanie nie budzi w tobie zawstydzienia ani złości. Ale gdybyś mnie pokochała... gdybyś mogła mnie kiedykolwiek pokochać, to wtedy... wtedy...

– Co wtedy, Henry? – spytałam cicho i przysunęłam ku sobie jego dłoń na blacie stołu z kutego żelaza.

Popatrzył na mnie z niezwykłą nadzieją w oczach. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. W moim sercu stopniał lód, choć wcześniej nawet nie wiedziałam, że tam był.

– Chcę, żebyśmy zawsze byli razem, Amy. Chciałbym zbudować z tobą swoje życie, gdybyś się na to zgodziła. Wiem, że na razie nie mogę o to prosić. W tej chwili nie mam nic do zaoferowania oprócz bezwzględного oddania, ale czy zgodziłabyś się zostać moją żoną, gdy sytuacja się zmieni?

Do oczu napłynęły mi łzy i pociekły po policzkach. Chciałam otrzeć je szalem, ale Henry natychmiast usiadł obok, objął mnie ramieniem i delikatnie osuszył je swoją chusteczką.

– Powiedz mi, że to łzy szczęścia, Amy. Proszę, powiedz, że to łzy radości! Jeśli wzmianka o małżeństwie sprawia, że dziewczyna zaczyna płakać, nie wpływa to dobrze na pewność siebie mężczyzny.

Kiedy przestałam się śmiać przez łzy i wreszcie się uspokoiłam, zapewniłam Henry'ego, że płaczę ze szczęścia. Siedziałam w ogrodzie, kręciło mi się w głowie, mocno biło mi serce i ogarniały mnie fale oszałamiającej radości. Miałam ochotę zebrać wszystkie słowa wypowiedziane przez Henry'ego i przycisnąć do piersi. Marzyłam, by je usłyszeć.

– Dla mnie wszystko się zaczęło w chwili, gdy się roześmiałaś z mojej głupiej miny – ciągnął. –

Pamiętam, że dziadek wspomniał, że musisz spędzać czas tylko z nim i ze mną, bo mama leży w łóżku z powodu przeziębienia. Skrzywiłem się i nagle twoja twarz się zmieniła. Od początku budziłaś we mnie opiekuńcze uczucia, ale kiedy spostrzegłem, jak wyglądasz, gdy jesteś szczęśliwa, cały świat stanął na głowie. Pamiętam, że musiałem wyjść z pokoju pod jakimś pretekstem.

– Naprawdę?! Rzeczywiście, wydawało mi się, że patrzysz na mnie osobliwie! Myślałam, że to z powodu mojego dziwnego uśmiechu.

– Dziwnego uśmiechu? Co ci przyszło do głowy?!

– Zawsze mi to mówili w kuchni.

– Cóż, całkowicie się mylili. Najdroższa Amy, śmiejesz się tak pięknie, że każdy marzy tylko o tym, by uczynić cię szczęśliwą. A ty? Zakochałaś się we mnie od pierwszego wejrzenia, gdy ujrzałaś mnie w drzwiach sklepu dziadka?

– O tak, właśnie wtedy – odpowiadam i śmieję się, by ukryć zawstydzenie. Teraz mogę się przyznać do tego przed sobą. Nie mogę uwierzyć, że w końcu rozmawiam z Henrym o chwilach, gdy myślałam o nim w ostatnich miesiącach. O tym, jaka szczęśliwa byłam na jego widok, jak dobrze się czuję w jego towarzystwie, a także o tym, że nigdy nie marzyłam, by ktokolwiek darzył mnie takim uczuciem – zwłaszcza ukochany, przystojny Henry.

Długo rozmawialiśmy, pełni uniesienia, czując zawroty głowy. Nie dyskutowaliśmy o praktycznych sprawach, nie martwiliśmy się, że nie wiem, dokąd pojedę za tydzień, że Henry nie ma pojęcia, co zrobić ze swoim życiem. Rozmawialibyśmy w ten sposób przez całą noc, lecz wreszcie przyszła Ellen i spytała, czy wezwać dla mnie dorożkę.

Cudowny sen trwa. Życie pędzi do przodu, budząc radość i oszołomienie. Nie śpię przez całą noc, lecz z innych powodów niż po śmierci Aurelii. Teraz żałuję tylko, że nie może poznać Henry'ego.

Z lekką głową i piekącymi oczami wyskakuję z łóżka, jakbym spała jak suseł, wkładam kremową suknię w czerwone paski. Henry jeszcze jej nie widział. Przychodzi poznać panią Riverthorpe. To zbędna formalność, lecz jesteśmy tak podekscytowani, że chcemy dzielić się ze wszystkimi swoją radością, a pani Riverthorpe jest w Bath kimś w rodzaju mojej opiekunki. Chciałabym, by Henry poznał Constance i Edwina. Obiecał, że odwiedzi ich ze mną w Twickenham, gdy tylko odzyskam wolność.

Naturalnie ostrzegłam go przed panią Riverthorpe. Teraz pora przygotować do spotkania również moją gospodynię.

– Haaa! – skrzeczy, gdy mówię, że jestem lub wkrótce będę zaręczona z mężczyzną, którego zamierzam kochać do końca życia. – Jesteś zaręczona czy nie? Dostałaś pierścioneł? Och, dziecko, dziecko, nie nudź mnie głupimi wyjaśnieniami. Myślałam, że masz dość rozsądku, by nie dodawać zaręczyn do długiej listy swoich kłopotów.

W końcu się spotykają. Henry energicznie puka do drzwi o dziesiątej, dokładnie o wyznaczonej godzinie, a ja biegnę otworzyć ku niezadowoleniu Ambrose, która czai się w holu, nie kryjąc, że chciałaby zobaczyć mojego narzeczonego.

– Boże, Henry! – wołam, otworzywszy drzwi. Kiedy się z nim widywałam, zawsze nosił bezpretensjonalne tabaczkowe surduty świetnie nadające się do długich spacerów po mieście. Dziś ma na sobie ciemnoszary frak w kolorze listopadowego nieba oraz czarną kamizelkę w białe prążki. Koszula, rękawiczki i krawat są śnieżnobiałe. Włosy zaczesał do tyłu, choć gdy zdejmuje cylinder, w każdej chwili mogą się nastroszyć. Wygląda tak olśniewająco, że przez moje ciało przebiega ciepły dreszcz. Czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Wydaje się, że te dziwne sensacje zupełnie nie pasują do damy.

– Wyglądasz prześlicznie – szepce Henry i całuje moją dłoń. – Ta suknia znakomicie podkreśla twoją urodę.

– Na pewno jest pan adwokatem albo przedsiębiorcą pogrzebowym – zauważa kwaśno pani Riverthorpe, która staje w drzwiach salonu i zaprasza nas do środka szponiastą dłonią. Nosi zdumiewającą pomarańczową suknię, która byłaby zbyt śmiała podczas wieczornego przyjęcia, a o dziesiątej rano jest zupełnie nie na miejscu. – Amy, przedstawisz go wreszcie? A może po prostu

zamierzasz się gapić na niego jak ciele? Ambrose! Dobrze wiesz, że potrafię patrzeć przez kolumny. Przestań szpiegować i wracaj do roboty. – Odchodzi, powłócząc nogami. – Poza tym mam oczy z tyłu głowy – dobiega nas jej głos. – Potrzebujemy herbaty!

Jestem przerażona, lecz Henry tylko się śmieje. Bierze mnie za rękę i wprowadza do salonu.

– Pani Riverthorpe, nazywam się Henry Mead – przedstawia się, zgadując, że nie pomogę w prowadzeniu konwersacji. – Bardzo mi miło, że mogę panią poznać. – Całuje panią Riverthorpe w rękę. – Amy dużo mi o pani opowiadała.

– Jestem pewna, że same najgorsze rzeczy – odpowiada wyzywająco staruszka, celując w niego szpiczastym podbródkiem.

Henry pomaga jej usiąść, po czym odwraca się w moją stronę, by pomóc również mnie. Naturalnie nie jestem stara i zeszywniała, lecz ogarnęło mnie takie przerażenie, że nie mogę się poruszyć.

– Zatem kim jest? – pyta pani Riverthorpe, gdy wszyscy siedzimy na swoich miejscach. Obrzucam ją wściekłym spojrzeniem, lecz nie zwraca na mnie uwagi.

– Adwokatem czy przedsiębiorcą pogrzebowym? – pyta spokojnie Henry. – Obecnie nie jestem przedstawicielem żadnej z tych profesji, choć w przyszłości zastanowię się, czy nie wybrać jednej z nich. W tej chwili poszukuję nowego zawodu.

– Czym się pan ostatnio zajmował?

– Medycyną. Studiowałem ją przez jakiś czas.

Pani Riverthorpe drży.

– To sprzeczne z ludzką naturą. Proszę jak najszybciej zapomnieć o medycynie. Nie chciałybyś poślubić lekarza, prawda, Amy? A zatem nie poszukuje pan nowego zawodu, tylko jest pan młodym próżniakiem, który dopiero zamierza coś osiągnąć?

Krzywię się lekko, zdając sobie sprawę, że to dla Henry'ego drażliwy temat. Jak mogłam go tu sprowadzić? Ale wydaje się nieporuszony.

– Właśnie tak wygląda w tej chwili moja sytuacja, pani Riverthorpe, choć zamierzam to jak najszybciej zmienić. – Kiwa głową w moją stronę i uśmiecha się, a ja odwzajemniam uśmiech, dumna z niego. Jestem wzruszona, że włożył tyle wysiłku, by jak najlepiej się prezentować. Chciał uhonorować moją gospodynię i zrobić dobre wrażenie, jeśli to w ogóle możliwe.

– A jednak Amy zadurzyła się w panu i zamierza kontynuować ten romans – zauważa pani Riverthorpe tonem, który sugeruje, że stawia moją inteligencję pod znakiem zapytania. Kręci głową.

– Bardzo miło mi to słyszeć! – odpowiada Henry. – A pani, pani Riverthorpe? Podobno jest pani groźną kobietą, która zawsze robi to, co chce. Cieszy mnie to, choć mam nadzieję, że nie demoralizuje pani mojej Amy, bo zamierzam zmienić ją na całe życie w niewolnicę, jeśli mi się uda.

Zamykam oczy. Pani Riverthorpe śmieje się z uznaniem i zaczynają wymieniać kurtuazyjne żarty, jakby znali się od wieków. Nie jestem pewna, czy to dobrze, czy źle.

Ambrose przynosi herbatę w porcelanowych filiżankach w zielone gałązki, a pani Riverthorpe

wypytuje Henry'ego o każdy szczegół jego życia. Chce wiedzieć, kim są jego rodzice, czym chce się zajmować i jakie ma zamiary wobec mnie (przyznaję, że mnie również to interesuje, mogłabym słuchać tego w nieskończoność). Oczywiście odnosi się do niego bardzo niegrzecznie, ale Henry zachowuje dobroduszny spokój. Widać, że pani Riverthorpe go fascynuje. Interesują go ludzkie dziwactwa, podobnie jak Aurelię. Lubi cieszyć się światem i nie ocenia ludzi pochopnie. Po półgodzinie, po której jestem słaba ze zmęczenia, rozstają się, nie czując do siebie urazy.

Macham Henry'emu na pożegnanie i spoglądam za nim długo po jego zniknięciu w tłumie przechodniów. Spotkamy się dopiero jutro. Boję się, że nie przetrzymam wieczoru, ale obiecałam wybrać się z panią Riverthorpe na koncert i nie chcę łamać danego słowa.

– Chodź, głupie dziecko – szepcze mi nagle do ucha, aż się wzdrygam. – Lepiej wypijmy kieliszek czegoś mocniejszego. Po każdym takim sentymentalnym przedstawieniu muszę się czegoś napić. Nie wpłynie to na twoje uczucia, prawda?

Przez całe dzieciństwo usiłowałam ukrywać ból i strach, a później przez wiele lat pomagałam umierającej Aurelii, udając, że jestem dzielna i sobie radzę. W ciągu ostatnich kilku miesięcy usiłuję rozwiązać jej zagadkę i wypełniam niezrozumiałe polecenia. Myślę o tym wszystkim i nie mam sił się sprzeczać. Zawsze broniłam się przed światem, zachowując rezerwę, lecz Henry w jakiś sposób sprawił, że stało się to zupełnie niemożliwe.

Siadamy i unosimy kieliszki.

– Za miłość! – ironicznie wznosi toast pani Riverthorpe, gdy nagle do drzwi puka Ambrose.

– Przyszedł pan Garland i chciałby się widzieć z panną Snow. Zechce go panienka przyjąć?

– Haaa! – skrzeczy pani Riverthorpe. – Pyszne!

Rumieniec szczęścia, który tak ją irytuje, natychmiast znika z mojej twarzy. Zupełnie zapomniałam o panu Garlandzie.

– Ja... ja... – jąkam się. Z całego serca pragnę, by sobie poszedł, lecz nie mam pojęcia, jak mogłabym wytłumaczyć, że nie chcę go widzieć.

– Język zawiązany na supeł, znowu! – woła moja gospodyni. – Amy chciałaby udawać, że nie ma jej w domu, ale nie wie, jak to powiedzieć!

Niesamowite...

– Moim zdaniem musisz się z nim zobaczyć, więc go wprowadź, Ambrose, a ja zostawię ich samych.

– O nie, pani Riverthorpe, proszę... Nie musi pani odchodzić. Pan Garland to również pani przyjaciel, nawet bardziej niż mój. Na pewno chce się z panią zobaczyć.

Staruszka wzrusza kościstymi ramionami.

– Ale ja nie mam ochoty go oglądać.

Znika. Jeśli chce, potrafi się poruszać zaskakująco szybko.

Ambrose wprowadza do salonu pana Garlanda, a ja oblewam się rumieńcem, przypominając sobie naszą ostatnią rozmowę. Zachowywał się bardzo taktownie, ja natomiast szybko o wszystkim



zapomniałam. Czy znowu będzie mówił o oświadczeniach? Tak czy inaczej, muszę natychmiast rozwiązać jego fałszywe nadzieje. Nagle zdaję sobie sprawę, że pan Garland nie jest przyzwyczajony do rozczarowań. Jego sympatia wywołuje poczucie... obowiązku. Jak mam mu powiedzieć, że chociaż przed tygodniem starałam się go nie zniechęcać, teraz zgodziłam się poślubić kogoś innego? Takie wyznanie z pewnością nie przysłoby łatwo żadnej młodej damie, a cóż dopiero Amy Snow, szarej myszce z Hatville!

– Moja droga panna Snow!

Wchodzi rozpromieniony i elegancki do salonu, wyraźnie uszczęśliwiony na mój widok. Zapomniałam, jaki jest przystojny, lecz nie powinno mnie to rozpraszać. Jeśli zauważył, że nerwowo wykręcam sobie palce, nie robi to na nim wrażenia.

– Ogromnie się cieszę, że panią znowu widzę, Amy. Jest pani bardzo do twarzy w tej kremowej sukni. Przykro mi, że tak długo przebywałam poza Bath. – Podchodzi do mnie szybkim krokiem i składa wdzięczny ukłon.

Przełykam ślinę. Gdyby wiedział, że straciłam rachubę czasu w miłosnym zamroczeniu... Właściwie nie mam pojęcia, jak długo go nie było.

– Co... co u pana słyhać, panie Garland? – mamrocę i dygam. – Ufam, że pańskie interesy w Londynie zakończyły się powodzeniem? – Nagle znowu czuję się jak Amy z Hatville, przyłapana na jakimś występku. Słyszę trzask jednego ze swoich palców, zaraz go sobie urwę. Zmuszam się do opuszczenia rąk i chowam je w fałdach sukni.

– O tak! Jestem bardzo zadowolony. Ale jeszcze większą przyjemność sprawia mi powrót do Bath. Teraz znowu jestem wśród przyjaciół. Ufam, że u pani wszystko w porządku?

– Tak, w porządku, dziękuję. W gruncie rzeczy... w porządku, tak. – Nie jestem w stanie spojrzeć mu w oczy i wbijam wzrok w jego błękitny krawat. Materiał jest tak lśniący, że mogłabym przysiąc, iż mruga do mnie niczym oko.

– Doskonale! – Porusza lekko cylindrem trzymanym w ręku. Nie zostawił go w holu, więc mam nadzieję, że wkrótce sobie pójdzie. – Zastanawiam się, czy zdołałbym namówić panią i drogą Ariadne do wybrania się ze mną dziś wieczorem na koncert smyczkowy? Mój stary przyjaciel Quintus Crace gra na altówce i byłbym szczęśliwy, gdyby mogły go panie poznać.

– Koncert ma się odbyć w Upper Rooms, panie Garland?

– Tak.

– Już się tam wybieramy. Zdaje się, że pani Riverthorpe zna wiolonczelistę. Zresztą wydaje się, że zna cały kwartet i publiczność.

Pan Garland wybucha śmiechem.

– Znakomicie! A zatem czeka nas wieczór muzyczny. Czy mógłbym zająć dla pań fotele, gdy przybędę na miejsce?

– Byłybyśmy bardzo wdzięczne. Ach, panie Garland... ja... ach...

– Coś się stało, panno Snow?!

Siada z zatroskaną miną. Żałuję, że się odezwałam. Zamierzał wyjść, rozmowa była prawie zakończona. Jednak nie mogę znieść myśli, że znów spotkam się z nim dziś wieczorem, obserwowana przez złośliwą panią Riverthorpe, i że wcześniej niczego mu nie wytłumaczę.

– Nic, to znaczy tak. – Stoję przed nim, znów wyłamując sobie palce. – Czuję się bardzo niezręcznie, poruszając ten temat, ale uważam, że to konieczne... Ma to związek z naszą rozmową przed pańskim wyjazdem do Londynu, kiedy...

– Kiedy mówiłem o swoim wielkim podziwieniu dla pani, panno Snow, pamiętam.

Z ulgą kiwam głową.

– Po prostu... czułam, że to dla mnie wielki zaszczyt, panie Garland, i nie widziałam wtedy powodu, by pan o tym nie mówił, zapewniam pana. Ale od tamtego czasu złożyłam obietnicę innemu dżentelmenowi, staremu przyjacielowi, który niedawno znów pojawił się w moim życiu. Nie chciałabym, żeby pan... Nie chciałabym, żeby pan...

Naturalnie nieco przesadzam, opisując Henry'ego jako starego przyjaciela. Pan Garland nie wie, że znam go od niedawna, lecz takie przedstawienie sprawy wydaje się delikatniejsze. Płoną mi policzki. Mam ochotę zapaść się pod ziemię. Zerkam na niego ukradkiem. Pochyla głowę i nie widzę jego twarzy. Jeszcze nie widziałam pana Garlanda wytrąconego z równowagi. To okropne. Jego złociste włosy lśnią. Przygryzam wargi. Czuję się okropnie.

– Rozumiem, panno Snow – mówi cichym głosem. – Pani uczucia się zmieniły i nie chce pani wprowadzać mnie w błąd.

– Właśnie tak, panie Garland, dziękuję. Mam nadzieję, że możemy pozostać przyjaciółmi. Bardzo cenię pańską przyjaźń.

– I ja pani, panno Snow. – W końcu spogląda na mnie z dzielnym uśmiechem. Jego oczy mają dziwny wyraz. Domyślałam się, że to rozczarowanie, i jego słowa to potwierdzają. – Naturalnie odczuwam zawód, jestem mężczyzną! Ale nie jestem na tyle porywczy, by odrzucać szczerą propozycję przyjaźni.

Powiedziałam to, co zamierzałam powiedzieć. Z ulgą siadam w fotelu, choć wciąż jest mi trochę słabo.

– Czy między panią a pani przyjacielem wszystko jest już ostatecznie ustalone? – pyta.

– Tak.

– Nie widzę na pani palcu pierścionka zaręczynowego, panno Snow.

Czuję pulsowanie w głowie.

– Nie jesteśmy jeszcze zaręczeni. Nie pozwalają na to okoliczności... Ale złożyliśmy sobie bardzo wyraźne przyrzeczenie, panie Garland.

– Rozumiem. Naturalnie. – Kiwa głową i znów się uśmiecha. Przez chwilę milczymy. Zastanawiam się, kiedy wyjdzie. Wreszcie pyta: – Okoliczności związane z panią czy tym dżentelmenem?

– Cóż, szczerze mówiąc, z nami obojgiem. Chyba wspominałam panu, że nie mam w tej chwili

całkowitej swobody. Moja sytuacja się nie zmieniła.

– Pamiętam. A kim jest szczęśliwy dżentelmen? Może go znam?

– Wątpię, panie Garland. Nie pochodzi z Bath, po prostu zatrzymał się na jakiś czas u przyjaciół. I nie... nie uczestniczył w żadnym spotkaniu towarzyskim, na którym byliśmy obecni.

– Och! – W głosie pana Garlanda brzmi zaskoczenie i lekka dezaprobata. – Ale to poważny dżentelmen o ustabilizowanej pozycji? Równy pani pod każdym względem? Potrafiący dotrzymać swoich zobowiązań?

Och, to straszne! Straszne!

– Równy, tak, oczywiście – odpowiadam, wygładzając dłońmi fałdy sukni. – Nie ma jeszcze zupełnie ustabilizowanej pozycji, ale zamierza szybko ją osiągnąć.

Pan Garland unosi złociste brwi.

– Nie wątpię. Po prostu mam nadzieję... cóż, że jest pani pewna jego charakteru i że nie jest to jakiś młody próżniak, dandys, który ma wiele pomysłów, lecz nic nie robi. Wierzę, że bierze pod uwagę pani potrzeby i to, na co pani zasługuje. W takim przypadku życzę wam szczęścia. I oczywiście tak na pewno jest, bo inaczej nie składałaby mu pani żadnych obietnic. Proszę mi wybaczyć, panno Snow, ale czuję, że chciałbym panią chronić, choć przyznaję, że nie jest to moja rola. Odejdę teraz. Zobaczymy się wieczorem. Skoro mamy pozostać przyjaciółmi, mogę panią zobaczyć dziś wieczorem?

– O tak! Naturalnie!

– Ten dżentelmen nie będzie pani towarzyszył?

– Nie, panie Garland.

– Rozumiem.

Na jego przystojnej twarzy pojawia się wyraz lekkiego zaskoczenia. Była to jedna z najtrudniejszych rozmów w moim życiu.

Wzywam dzwonkiem Ambrose, która wyprowadza pana Garlanda, ale nie mam czasu myśleć o tym wszystkim, co budzi moje obawy – że zachowałam się niewłaściwie, że zraniłam jego uczucia, że zbyt dokładnie lub niedokładnie odpowiadałam na pytania – ponieważ wraca pani Riverthorpe, nalewa sobie drugi kieliszek madery i zaczyna plotkować. Dzień zmienia się w ciąg kolejnych rozmów, które stają się coraz mniej przyjemne.

– Czy mogłabym iść do siebie, pani Riverthorpe?

– Nie, Amy Snow. Usiądź. Porozmawiajmy. Rzadko budzisz moje zainteresowanie. Co się dzieje między tobą a panem Garlandem? Założę się, że coś ci powiedział, a teraz, gdy związałaś się z tym Henrym, czujesz się bardzo niezręcznie.

– Jak zwykle ma pani całkowitą rację, pani Riverthorpe. Mogę szczerze z panią porozmawiać?

– Jestem zwolenniczką szczerości, młoda damo, z pewnością to zauważyłaś.

Zamykam drzwi, głównie po to, by podkreślić, że Garland odszedł, i pocieszyć się w ten sposób. Siadam na szeszlunku. Zauważam, że pani Riverthorpe nosi ładny złocisty szal, który sprawia, że jej

pomarańczowa suknia wydaje się skromniejsza. Jestem pewna, że celowo ubrała się dziwacznie na przyjęcie Henry'ego. Ale to w tej chwili moje najmniejsze zmartwienie.

– Rzeczywiście, czuję się bardzo niezręcznie. Boję się, że zraniłam uczucia pana Garlanda...

– Haaa! Możesz się tym nie przejmować. To nie sentymentalny młodzian, któremu łatwo złamać serce.

Ale nie należy z nim również zadzierać.

– Dlaczego pani to mówi?

– Pamiętasz, co nam powiedział w zeszłym tygodniu? Nie lubi przegrywać.

Marszczę brwi.

– Miał na myśli kanastę, pani Riverthorpe.

– Tylko kanastę?

– Dlaczego nie?

Pani Riverthorpe przewraca oczami.

– Mów dalej.

Oddycham głęboko i próbuję zebrać myśli.

– Tamtego wieczoru, podczas gry w karty, Ambrose odwołała mnie od stolika... Później poprosiła pani pana Garlanda, żeby sprawdził, czy nic mi nie jest, prawda?

– O nic go nie prosiłam. Pamiętaj, Amy, jestem jedną z nielicznych osób, które uważają, że jeśli kobieta wychodzi z pokoju na pięć minut, nie musi dojść do katastrofy.

– Ale... Jak to? Sam mi to powiedział.

– Doprawdy? – Pani Riverthorpe znów przypomina czaplę, która wyciąga szyję i wypatruje ryby. – Nie. Opuścił salon zaraz po twoim wyjściu. Jestem wyjątkowo spostrzegawcza.

– Zaraz po moim wyjściu? A zatem...

Marszczę brwi. Rozmawiałam z Henrym i Longacre'em przez co najmniej kwadrans. Pamiętam, że wchodząc do domu, zderzyłam się z panem Garlandem. Stał tuż za drzwiami. Obok drzwi znajduje się ozdobne okno witrażowe. Czy to możliwe, że mnie obserwował? Może widział Henry'ego? Może wyznał mi swoją sympatię właśnie dlatego, że go zauważył? Może postanowił mi się oświadczyć, bo zorientował się, że jest inny mężczyzna? A jeśli nawet – czy to coś złego?

– Przestań marszczyć brwi, Amy. Wyglądasz koszmarnie. Mów dalej!

– Kiedy weszłam do środka, powiedział, że mnie podziwia. – Relacjonuję to, co zapamiętałam z naszej rozmowy, mimo woli dalej marszczę brwi. – Nie poprosił mnie o rękę. Oświadczył, że jest realistą, a nie porywczym młodzikiem. – Czy Henry wydał mu się porywczym młodzikiem? Czy Henry jest porywczym młodzikiem? – Chciał się upewnić, czy w przyszłości, gdy lepiej się poznamy, mogłabym go traktować jako kandydata do małżeństwa.

– I zgodziłaś się?

– Nie jestem... nie jestem pewna.

Na twarzy pani Riverthorpe maluje się kompletne zdumienie.

– Nie wiesz, co powiedziałaś?!

– Nie! Chodzi o to, że mówiłam niejasno. Byłam bardzo zdziwiona. Mile połączona, ale zdziwiona!

Pani Riverthorpe jeszcze bardziej niż ja marszczy brwi, a ja z wielkim wysiłkiem powstrzymuję się od uwagi, że tym razem to ona wygląda koszmarnie. Zamiast tego dotykam dłonią plamy słońca na szeszlunku.

– Quentina nie da się łatwo zniechęcić. Z pewnością nalegał, byś udzieliła mu mniej kretyńskiej odpowiedzi?

– Cóż, tak. Powiedziałam, tak mi się przynajmniej zdaje, że bardzo go podziwiam, że jego towarzystwo sprawia mi wielką przyjemność i że lubię spędzać z nim czas. To wszystko prawda! Wydawał się usatysfakcjonowany i zaproponował, byśmy wrócili do kart. Dziś przeprosił, że wrócił później, niż zapowiadał, choć w ogóle tego nie zauważyłam! Od tamtej pory spędzałam każdy dzień z Henrym. Zapomniałam o panu Garlandzie!

Och, czuję się strasznie. Unoszę dłonie do twarzy. Ostatnio zdarza mi się to coraz częściej.

– Haaa! Paradne! Dobra robota, Amy, jeszcze nigdy nie powiedziałaś niczego równie zabawnego. Zapomniałaś o nim! Pan Garland nie jest przyzwyczajony, by o nim zapominano. I by go lekceważono. Znam go od mniej więcej pięciu lat i co roku widzę, jak młode damy walczą o niego jak sroki o świecidełko. To on je lekceważy. Uważam, że tak łatwo się go nie pozbędziesz.

Wiercę się niespokojnie. Pan Garland opisywany przez panią Riverthorpe całkowicie różni się od sympatycznego dżentelmena, za jakiego go uważałam. Patrząc na drobinki kurzu wirujące w promieniach słońca wpadających przez okno. Przez kilka dni, przebywając w towarzystwie Henry'ego, miałam wrażenie, że wszystko rozumiem. Teraz znowu pojawiają się pytania, zawsze pytania.

– Ale przed chwilą z nim rozmawiałam. Powiedziałam prawdę, że złożyłam obietnicę komuś innemu.

– A on przyjął to z radością i życzył wam wielu szczęśliwych lat życia?

– Niezupełnie, ale zachował się jak dżentelmen.

– Oczywiście. Quentin zawsze zachowuje się jak dżentelmen. – Śmieje się do siebie dziwacznie, trudno to określić inaczej niż złośliwy chichot. – I co powiedział? Zasiał w twojej głowie kilka ziaren wątpliwości, prawda?

– Nie wątpię w uczucia Henry'ego, pani Riverthorpe. Ale, owszem, pan Garland zasugerował, że mój przyjaciel nie ma jeszcze ustabilizowanej pozycji. Tak się wyraził. Dodał, że zasługuje na więcej.

Pani Riverthorpe kiwa głową i uśmiecha się ponuro.

– Czyli na Quentina Garlanda, nie ma co do tego wątpliwości. Cóż, jest znacznie przystojniejszy od Henry'ego, który, choć pospolity, wygląda dość sympatycznie, ale nie ma w sobie nic naprawdę szczególnego. Muszę przyznać, że takiej zabawnej dziewczynie jak ty, udało się zainteresować dwóch ciekawych ludzi!

Całkowicie się myli! Czy nie rozumie, że Henry jest przystojny, wesoły i naturalny, a uroda pana Garlanda przypomina wypolerowany marmur?!

– A zatem uważa pani, że powinnam poślubić pana Garlanda? – pytam ze zdziwieniem. Myślałam, że

pani Riverthorpe i Henry raczej się lubią.

– Na Boga, nie! Wychodź za mąż, za kogo chcesz! Albo zostań starą panną! Wyjdź za mąż za obydwu, ale przede wszystkim miej otwarte oczy!

Niewielki brązowy zegar na półce nad kominkiem wybija dwunastą. Kwietniowe słońce doszło prawie do zenitu. Siedzę w tym pomieszczeniu od rana i mam ochotę na spacer. Wstaję i podchodzę do okna. Ulica, oświetlona złocistymi promieniami, roi się od ludzi. Moje skomplikowane problemy to nie wszystko, w dalszym ciągu istnieje świat pełen krzątaniny i gwaru.

– Co pani ma na myśli, pani Riverthorpe? Proszę mówić otwarcie. Może się to pani wydawać banalne, ale nie jestem podobna do pani. Wie pani coś, o czym nie mam pojęcia?

– Moja droga... – zaczyna. Odwracam się od okna i spoglądam na nią ostro. Szydź ze mnie? – Jak sądzisz, dlaczego w każdym pokoju mojego domu znajdują się sztychy przedstawiające ćmy?

Nie rozumiem, o co jej chodzi.

– Zawsze sądziłam, że interesuje się pani entomologią.

– Ha! Ja, entomologią?! Czy to do tego sprowadza się moja fascynacja cudami natury?

Pochylam sztywno głowę. Przyzwyczaiałam się już do manier pani Riverthorpe, lecz nie lubię jej pogardliwych uwag. Rzeczywiście, nie wygląda jak miłośniczka entomologii. Jest przede wszystkim ekscentryczna.

– Niemądre dziecko, trzymam w domu te rysunki, bo zawsze trzeba mieć na oku swoich wrogów. Te małe brązowe mole wyglądają bardzo niewinnie, ale niszczą ubrania... przynajmniej, gdy są młode. Wygryzają dziury w moich pięknych sukniach. Toczę z nimi wojnę, poluję na nie. Kiedy schwytam takiego owada, umieszczam go w szklanej gablotce. Rysunki są zawsze przed moimi oczami, by mi przypominać, że wszędzie czają się wrogowie, którzy chcą zniszczyć moje szczęście. Małe, z pozoru nieszkodliwe gąsienice.

Wysoko unoszę brwi. Zawsze wiedziałam, że pani Riverthorpe to dziwna kobieta, ale jej ostatnie słowa brzmią zdumiewająco. Wracam na swoje miejsce i staram się symetrycznie rozłożyć fałdy sukni, by dać sobie czas do namysłu.

– Wielkie nieba, dziury w pani pięknych strojach muszą budzić naprawdę... hm... przykre uczucia. To ciekawe, ale... nie bardzo rozumiem... Ach! Portrety dżentelmenów? – Zerkam na obrazy wiszące na ścianach, oświetlone bladymi promieniami słońca.

– Masz całkowitą rację, dziecko. Powód jest ten sam. Zawsze trzeba mieć na oku swoich wrogów.

– Rozumiem. Trzeba się strzec mężczyzn, bo mogą zniszczyć szczęście kobiety.

– Ha! Bardzo dobrze. Słusznie, słusznie.

Biorę kieliszek madery.

– Czy te portrety przedstawiają konkretnych mężczyzn, pani Riverthorpe, czy przypadkowe osoby?

– To moi byli mężowie i kochankowie.

Wstrząśnięta, rozlewam trochę wina.

– Wszyscy?!

– Nie bądź niemądra, dziecko, zabrakłoby miejsca na ścianach, gdybym miała powiesić portrety wszystkich. To główni sprawcy moich kłopotów. W życiu nie ma szczęśliwych zakończeń, Amy. Uwolnij się od takich oczekiwań. Nawet jeśli wyjdiesz za mąż z miłości, a może zwłaszcza wtedy. Wysocy, niscy, bogaci, biedni, przystojni, groteskowi, którzy uważają się za przystojnych. Miałam ich wszystkich i okazało się, że wygryzają dziury, Amy, wygryzają dziury!

Ta rozmowa budzi przerażenie. Rozglądam się po salonie. Wydaje się znajomy, lecz ciągle nie czuję się w nim jak w domu. Kojarzą się z nim zaskakujące sytuacje, trudne pytania, niepokojące myśli...

– Ale przecież nie wszyscy mężczyźni? Z pewnością niektórzy mają dobre serce, są honorowi, popierają prawa kobiet do zdobywania wiedzy, wybrania własnej drogi i... i...

– I oddychania? Jak to miło z ich strony... Zamierzam prosić ich o pozwolenie, gdy postanowię skorzystać z jednego z podstawowych ludzkich praw. Cóż, przypuszczam, że uważasz Henry'ego za wspaniałego człowieka, i wierzysz, że będziecie żyli razem długo i szczęśliwie?

– Tak, właśnie tak sądzę.

– Ale nie będziecie żyli razem długo i szczęśliwie! – Uderza pięścią w stół, a ja się wzdrygam. – Nie będziecie nawet próbowali! Nie ma żadnego zawodu, fachu. Ty jesteś niedoświadczoną trzpiotką, zupełnie nie znasz świata. Jestem pewna, że jego rodzina to dobrzy ludzie, ale wątpię, czy stać ich na to, by utrzymywać go w nieskończoność na przyzwoitym poziomie. Oczywiście masz pieniądze, ale czy Henry o tym wie? Czy w ogóle o tym rozmawialiście? A może po prostu patrzyliście sobie w oczy, wzdykaliście i deklamowaliście poezje?

Najeżam się.

– Przeczytaliśmy kilka sonetów, ale wyznaliśmy sobie miłość dopiero wczoraj. Moim zdaniem można nam wybaczyć, że jak dotąd nie zaplanowaliśmy całego naszego życia. – Czuję, że płoną mi policzki. – Proszę pamiętać, że nie jesteśmy jeszcze zaręczeni. Nie postępujemy pośpiesznie.

Wygląda na to, że pani Riverthorpe przestaje się interesować mną i Henrym.

– Zresztą nie sądzę, by Quentin dał ci więcej szczęścia. Zastanawiam się, dlaczego zainteresował się właśnie tobą, gdy w Bath roi się od bogatych panien na wydaniu.

– Sądzi pani, że pan Garland zaleca się do mnie, bo wydaję się bogata? To przecież niemożliwe... Dlaczego miałby tak myśleć? Nie mam naprawdę wielkiego majątku!

– Nie wie, jak duży jest twój majątek, pamiętaj. Najpierw widział cię biedną, a potem, nagle, ubraną jak księżniczkę i obracającą się w najlepszym towarzystwie. Może nawet podejrzewać, że odziedziczysz moją fortunę. Nie wie nic konkretnego, ale wygląda to obiecująco.

– To chyba prawda. Ale sam jest bogaty. Nie musi się żenić dla pieniędzy.

– Cóż, na pewno nie ożeni się z miłości. – Pani Riverthorpe pochyła się do przodu i spogląda na mnie uważnie. – Amy, próbowałam to powiedzieć wcześniej i chcę, żebyś mnie posłuchała. Uważaj na Quentina Garlanda. Nie wiem nic konkretnego, bo inaczej bym ci powiedziała, ale przez wiele lat miałam

do czynienia z wieloma mężczyznami i dużo się nauczyłam. Intuicja podpowiada mi, że Quentin nie jest tym, na kogo wygląda. Bądź ostrożna. Bardziej lubisz Henry'ego, prawda?

– Tak. Podziwiam pana Garlanda, ale kocham Henry'ego. Instynktownie czuję, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

– W takim razie bądź jeszcze ostrożniejsza. A teraz moje ostatnie słowo, Amy. Gdybyś znalazła się kiedyś w północnej części Anglii, odszukaj, proszę, rodzinę Caplandów. To moi przyjaciele. Och, nie bój się, nie są podobni do mnie. Wyobrażam sobie, że twoi Twisterowie, Willowowie, czy jak tam się nazywają, są dość podobni do Caplandów.

Nagła zmiana tematu jest równie dziwna jak obrazy ciem wiszące na ścianach. Zastanawiam się, jaki to ma związek z tym, o czym rozmawiamy.

– Pan Capland to bardzo miły człowiek, właściciel sklepu, cieszy się powszechnym szacunkiem. Mnie, oczywiście, w ogóle to nie obchodzi. Pani Capland jest głupiutka, ale ma dobre serce, co wiele znaczy dla niektórych ludzi. – Spogląda na mnie. – Zapamiętasz to nazwisko, Amy? Capland? A może już zupełnie odebrało ci rozum i jesteś w stanie myśleć tylko o ciemnych oczach Henry'ego?

– Na pewno zapamiętam, pani Riverthorpe. Ale co Caplandowie mają wspólnego z Henrym, panem Garlandem i tym wszystkim?

Przewraca oczami.

– Ależ zupełnie nic, moje dziecko. Ta rozmowa po prostu straszliwie mnie nudzi...



Następnego ranka uczestniczę w skromnym śniadaniu na Henrietta Street. W czasie posiłku Henry tryska dobrym humorem, a na jego twarzy maluje się tłumiona niecierpliwość.

Później siadamy w ulubionym rogu tarasu. Całuje mnie w sposób, który sprawia, że moje nogi są jak z waty, a następnie spogląda na mnie roześmianymi oczyma.

– Amy, muszę ci powiedzieć mnóstwo rzeczy.

Wiedziałam!

– Amy, zaręczyliśmy się, bo naprawdę się kochamy. Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie. Ostatnie dni były cudowne. Ale zdaję sobie sprawę, że nie mam ci nic do zaoferowania. Moja sytuacja życiowa nie pozwala mi jeszcze prosić cię o rękę.

Przypominają mi się słowa pana Garlanda, ale odsuwam je od siebie i biorę Henry'ego za rękę.

– Amy, czuję, że to powinno jak najszybciej się zmienić. Nie spałem przez całą noc, zastanawiając się, co robić. Muszę zdobyć pracę, która będzie mi odpowiadała i którą potrafię wykonywać z przyjemnością, by nie być nudnym i zgryźliwym mężem.

– Całkowicie się z tobą zgadzam.

Henry rozluźnia krawat.

– W czasie ostatnich nocy rozmyślałem o wszystkich zawodach świata i wybrałem co najmniej siedem!

Uśmiecham się.

– Z pewnością zdobyłeś fortunę, najdroższy.

– Ach, byłem bogaty jak Krezus. Znalazłem rozwiązanie. Dochody są skromne i nie jest to szczególnie poważana praca. Niewątpliwie wielu ludzi uzna, że z moją edukacją i inteligencją mógłbym zrobić większą karierę, ale zdaje się, że wspomniałaś, że nie zależy ci na pięknych strojach i eleganckim domu, prawda?

Wiercę się niecierpliwie, nie mogąc się doczekać, aż opisz mi swoje plany.

– Tak, nie zależy mi na tym. Najważniejsze jest dla mnie twoje szczęście, kochany. Powiedz natychmiast, jaką podjąłeś decyzję.

– Myślałem o twoich przyjaciółkach Wisterach i o tym, co mówiłaś o planach młodego Michaela, by uczyć dzieci z ubogich rodzin. – Henry prostuje plecy, błyszcza mu oczy. – Chciałbym się zająć właśnie

tym, Amy. Pragnę znaleźć stałe zajęcie bez konieczności dalszych studiów. Chcę pracować z ludźmi, pomagać im. Nie wiem, dlaczego nigdy wcześniej o tym nie myślałem. Chyba zależało mi na wyższych dochodach, a poza tym czułem, że świat oczekuje po mnie czegoś więcej. Ale nie! Mogę podjąć decyzję samodzielnie! – Puszczam moją dłoń i zaczyna spacerować energicznym krokiem po tarasie. Patrzę na niego, jakbym obserwowała piłkę tenisową podczas gry. – Przede wszystkim chcę zapewnić nam szczęście. To droga do osiągnięcia tego celu, jestem tego pewien, i jest to dla mnie ważniejsze od zarabiania mnóstwa pieniędzy jako wzięty adwokat i imponowania ludziom. Pod warunkiem że ty, kochana, zgodzisz się zostać żoną nauczyciela. Ale muszę cię uprzedzić, że będziemy prowadzić skromne życie, powinnaś o tym wiedzieć. Jeśli każesz mi postąpić inaczej, posłucham cię. Jeżeli pragniesz żyć na wyższej stopie, postaram się znaleźć lepiej płatne zajęcie.

Zrywam się z miejsca i całuję go.

– Henry, nie! Znasz moje serce. Mam dość wielkich chłodnych korytarzy i pustych pokoi. Jestem zmęczona eleganckim towarzystwem, balami, skandalami i bogactwem.

– Wiedziałem, że to powiesz! – woła Henry, bierze mnie za ramię i zaczynamy spacerować razem. – W takim razie poproszę Elsie, by w czasie pobytu w mieście nadała list, który napisałem dziś rano. Nie chciałem go wysłać przed rozmową z tobą.

– Do kogo napisałeś, Henry?

– Do swojego znajomego w Twickenham, przyjaciela dziadka. Zajmuje się polityką, a także edukacją. Wystarczy powiedzieć, że jest wpływową osobą zaangażowaną w reformy szkolnictwa, na pewno coś wie o inicjatywach podobnych do Kneller House. Pytam go o możliwości zatrudnienia i proszę o zgłoszenie mojej kandydatury, jeśli pojawią się jakieś wolne posady.

Zatrzymuję się i patrzę na niego.

– W Twickenham, Henry?

Uśmiecha się.

– Nie chciałabyś zamieszkać w pobliżu przyjaciół, kochanie?

– Och, bardzo! A ty? Gdzie chciałbyś zamieszkać?

Śmieje się swobodnie.

– Naturalnie z tobą! Nie, przestań marszczyć brwi! To żadne poświęcenie. Twickenham to piękne miasto, położone blisko Londynu, dziadka i ciotki Annie. Matka mieszka w hrabstwie Hertford, nie tak blisko, lecz również nie wyjątkowo daleko. Bardzo ją kocham, ale ma gwałtowne usposobienie. Twickenham to nie Cardiff ani Manchester! Uważam, że w Twickenham żyłoby się nam bardzo przyjemnie.

Nagle widzę, że wszystkie moje marzenia zaczynają się spełniać. Przypominają kwitnące róże.

– Henry, czy uważasz, że mogłabym... Nie, może... Cóż, czy myślisz, że mogłabym ci w jakiś sposób pomagać? Nie wiem jak. Może czytać wypracowania, gdybyś miał ich zbyt wiele, albo pomagać w przygotowywaniu nowych pomysłów.

- Amy, byłbym zachwycony!
- A co... co sądzisz o oranżerii?
- Uwielbiam oranżerie, kochanie, bardzo mi się podobają.
- Myślisz, że moglibyśmy mieć kucyka, Henry?
- Choćby dziesięć kucyków, najdroższa.

– Jeden z pewnością wystarczy. Henry, muszę ci coś powiedzieć... – Nagle przypominam sobie słowa

pani Riverthorpe i chcę mu wszystko wyznać, zaufać mu. – Mam... mam pięć tysięcy funtów. Zapisła mi je Aurelia, oczywiście w tajemnicy. Są twoje, to znaczy nasze, mogą się przydać, gdy będziesz rozpoczynał pracę. Możemy kupić za nie dom albo... albo... Tak naprawdę nie wiem, jak można wykorzystać pięć tysięcy funtów, bo nigdy wcześniej nie miałam ani szylinga, ale chcę, żebyś wiedział, że mamy te pieniądze.

Henry mocno mnie całuje. Znowu kręci mi się w głowie i drżą mi kolana, a on delikatnie pomaga mi z powrotem usiąść. Zajmuje miejsce obok mnie i robi poważną minę.

– Cieszę się, że posiadasz własny majątek. Ale nie mógłbym przyjąć twoich pieniędzy, by rozpocząć samodzielne życie, powinienem to zrobić sam. Muszę zadbać, byśmy mieli dom. Niewątpliwie uznasz, że jestem staroświecki, ale będę się cieszył ze spełnienia tego obowiązku. Powinnaś wykorzystać swoje pieniądze dla siebie.

– Chciałabym... zainwestować je w nasze wspólne życie. Będziesz pracował i zarabiał. To może być mój wkład do naszych finansów.

– W takim razie może odłożymy je na specjalne wydatki? Na przykład na wypadek kłopotów lub gdyby trafiła się jakaś znakomita okazja? A może dla naszych dzieci?

Gdybym wzięła na poważnie zastrzeżenia pana Garlanda co do stałości Henry'ego, powinnam się teraz uspokoić. W następnym tygodniu Henry zachowuje się jak człowiek pełen determinacji. Pisze niezliczone listy: do dawnych nauczycieli, prosząc o świadectwa, do rodziny z informacją o swojej decyzji, do zakładów edukacyjnych w Richmond, Twickenham, Hammersmith i Ham, pytając o wolne posady. Zwraca się do miejscowego nauczyciela i prosi, by opowiedział mu o swoich doświadczeniach, bo chciałby dysponować szczegółową wiedzą w czasie rozmowy wstępnej. Namawia Longacre'ów, by zaprosili na kolację miejscowych polityków, i szczegółowo dyskutuje z nimi na temat reformy szkolnictwa.

To nerwowy, ekscytujący, pełen wydarzeń tydzień i Henry zawsze ma mi coś nowego do powiedzenia. Spotykam się z panem Garlandem tylko dwa razy, na koncercie w Upper Rooms i na kolacji cztery dni później. Czuję się bardzo niezręcznie, mam wyrzuty sumienia, że jestem taka szczęśliwa, lecz oczywiście jest uprzedzająco grzeczny i nie wspomina o naszych sprawach osobistych. Wydaje się, że zaakceptował moją decyzję i w eleganckim stylu pogodził się z przegraną, jak można się było spodziewać.

Wkrótce nadchodzi dwudziesty dziewiąty kwietnia i mam otrzymać następny list Aurelii.

Pani Riverthorpe rzuca go niedbale na moje kolana w drodze do wyjścia, a ja zrywam się z miejsca. Nie zapomniałam daty – wręcz przeciwnie – lecz w ciągu ostatnich dni rzadko widywałam panią Riverthorpe i nie miałam okazji o nim wspomnieć. Spodziewałam się, że mnie wezwie i uroczyście mi go wręczy przy kieliszku madery, a nie rzuci w czasie śniadania.

Opuszcza mnie apetyt. Słyszę trzaśnięcie frontowych drzwi, gdy pani Riverthorpe wychodzi. To tylko prostokątna kremowa koperta, ale teraz, gdy w moim życiu pojawił się Henry, mam wrażenie, że nad moją głową wisi miecz Damoklesa.

Zostawiam niedojedzone piklingi, mówię Ambrose, że dla nikogo nie ma mnie w domu, i pędzę do swojego pokoju. Zamykam drzwi, siadam w fotelu przy oknie i podwijam nogi. Nabieram powietrza w płuca i otwieram kopertę.

*Moja Najdroższa Amy!*

*Mam nadzieję, że jesteś zdrowa i szczęśliwa. Mam nadzieję, że odnajdujesz własną drogę, by cieszyć się tym, co może oferować życie.*

*Miałam dziś zły dzień. Przyszedł pan Clay, by porozmawiać o szkole, ale po śniadaniu zasłabłam i nie mogłam się z nim zobaczyć. Doszłam do siebie dopiero o zmroku. Straciłam cały cenny dzień!*

*Nieważne, przyrzekłam sobie, że napiszę ten list dziś wieczorem, i rzeczywiście go piszę, choć w nieco bardziej ponurym nastroju niż poprzednie. Nie mam ochoty relacjonować zabawnych wspomnień, zwierzać się ze swoich uczuć ani zdradzać Ci swojego największego, najcenniejszego sekretu. Nie teraz.*

*Twoje poszukiwania zbliżają się do końca, Amy. To nie potrwa długo. Dlatego proszę, ukochana przyjaciółko, wybierz się dla mnie w jeszcze jedną podróż. Jedź do Yorku. To piękne miasto. Północna Anglia jest dzika i cudowna. Wierzę, że Ci się spodoba.*

*Najdroższa Amy, mój następny list będzie ciekawszy i dłuższy. Podróżuj samotnie, nie mów nikomu, dokąd zmierzasz, i pamiętaj, że moje zaufanie do Twojej dyskrecji to jedyne źródło pocieszenia dla mojego biednego, zboląłego serca.*

*Z wyrazami miłości od Twojej oddanej  
AV*

Opieram czoło o szybę. Jedź do Yorku.

Spoglądam na wąską, cichą uliczkę. W dole przejeżdża powóz, dwa czarne konie unoszą wysoko nogi. Po jasnym murze biegnie wiewiórka, zatrzymuje się, po czym znika, machając ogonem. Świeci słońce. Jedź do Yorku.

Pieką mnie oczy i po policzku spływa łza. Patrzę przez okno, och, chyba dziesięć minut, jeśli nie więcej.

Nagle ogarniają mnie złe przeczucia i słyszę radosny głos Henry'ego, który planuje nasze życie w Twickenham.

„Twickenham to nie Cardiff ani Manchester!”.

Zdaje się, że York jest dalej niż Manchester.

Oddycham głęboko, opuszczam nogi na podłogę i patrzę na pokój. „Mój” pokój. Dziwne miejsce o szarych ścianach, z dużymi skosami, z oprawionymi szkicami przedstawiającymi ómy i dawnych kochanków pani Riverthorpe. Pora stąd odejść. I nagle rozumiem, co czuję.

Jestem wściekła! Och, taka zła, że prawie nie mogę wytrzymać! Czym był mój pobyt w Bath?! Co osiągnęłam w ciągu ostatnich tygodni?! Cóż, zdobyłam Henry'ego, lecz Aurelia nie mogła tego przewidzieć. W innym przypadku męczyłabym się w ponurym domu pani Riverthorpe. Znosiłabym bezlitosne szyderstwa, umierałabym z nudów podczas oficjalnych przyjęć i z zażenowaniem spotykałabym się z dżentelmenem, z którym nigdy nie powinnam się zadawać. Niczego się nie dowiedziałam o rocznej nieobecności Aurelii, która nigdy nie była w Bath, co sprawia, że mój pobyt w tym mieście jest jeszcze bardziej bezsensowny. Tylko po to tu tkwiłam?! By się dowiedzieć, że mam jechać do Yorku?! Miasta, gdzie Aurelia przebywała tylko przez parę dni? A może tam również nie dotarła?! Tymczasem moje własne życie zaczęło nabierać kształtu!

Długo wyczekiwana wskazówka, dla której tyle wycierpiałam, składa się z trzech słów. Mam ochotę splunąć. Koniec. Koniec z Aurelią. Koniec z jej śmiesznymi poszukiwaniami, żądaniem lojalności, tajemnicami, koniec.

– Dobrze się czujesz, Amy, kochanie? – pyta łagodnie Henry przy kolacji. – Jesteś dziś taka cicha.

Odkładam widelec i gładzę Henry’ego po dłoni.

– Nic mi nie jest, tylko ciągle myślę o naszych szczęśliwych planach. – Bezwiednie napływają mi do oczu łzy.

– Cóż, szybko się przyzwyczaj do myśli, co nas wkrótce czeka. Musimy pojechać do Londynu i porozmawiać z moim dziadkiem. Będzie uszczęśliwiony, że znowu cię widzi i że zostaniesz członkiem naszej rodziny. Później czeka nas podróż do hrabstwa Hertford i spotkanie z moją matką. A potem Twickenham i wizyta u Wisterów. A może najpierw Twickenham, później Londyn, kolejność nie ma znaczenia...

– Co się z tobą dzieje, dziecko? – rzuca pani Riverthorpe w czasie lunchu następnego dnia. – Wyglądasz wyjątkowo apatycznie. Nie martwisz się czymś?

– Nie, dziękuję, nic mi nie jest.

– Hmm, zakochani młodzi ludzie łatwo ulegają męczącej melancholii. Szkoda. Zamierzałam prosić, byś odwiedziła dziś ze mną panią Manvers, ale przypuszczam, że wolisz zostać w domu i wzdychać.

– Wręcz przeciwnie. Jeśli pani zaczeka, aż się przebiorę, z radością będę pani towarzyszyć.

– Doprawdy? Zdumiewasz mnie. Tak, przebierz się, naturalnie. I popraw makijaż, jeśli możesz to dla mnie zrobić. Och, Amy... Nie myśl, że jestem nieuprzejma, ale postanowiłaś mnie opuścić?

Zatrzymuję się z ręką na klawecie.

– Nie, pani Riverthorpe. Chyba że ma pani coś przeciwko temu, bym została. – Przygotowuję się na jadowitą ripostę.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Mijają dni. W dalszym ciągu uważam, że skończyłam z Aurelią. Nie mam zamiaru jechać do Yorku. Będę prowadzić własne życie, a w tej chwili toczy się ono w Bath. Przez jakiś czas panuje ładna pogoda, lecz później znów zaczynają się deszcze, pojawiają się mgły, opary. Nie zwracam uwagi na pogodę. Kiedy jest słonecznie, urządzamy pikniki, wybieramy się na spacer lub przejażdżki na wsi. W czasie deszczu odwiedzamy opactwo albo kawiarnie, gramy na pianinie, rozmawiamy lub czytamy.

Henry otrzymuje kilka listów w odpowiedzi na swoje zapytania. Wszystkie są bardzo ciekawe i uprzejme, lecz jeden wydaje się szczególnie interesujący: zaproszono go na rozmowę do szkoły dla dziewcząt w Richmond. Nie wyobrażał sobie, że mógłby uczyć dziewczęta, bo szkoły żeńskie są wyjątkowo nieliczne. Zauważa, że edukacja przedstawicielek płci pięknej z pewnością nie jest gorsza od nauki chłopców pochodzących z ubogich rodzin.

Rozmowa wstępna ma się odbyć dopiero za kilka dni z powodu ważnego meczu krykieta z pobliską szkołą dla chłopców.

– Cóż, wygląda to bardzo ciekawie! – woła Henry i odkłada list na stół.

Ten prosty gest sprawia, że czuję przypływ tkliwości. Patrząc na ruch jego ręki, mam wrażenie, że widzę wszystkie listy, które otrzymamy w nadchodzących latach. Niezależnie od tego, czy będą zawierały smutne czy radosne wiadomości, Henry będzie je odkładał w ten sam sposób, a ja dobrze poznam jego maniery.

– Pozwala mi to spędzić z tobą trochę więcej czasu, kochana. Poza tym mam wrażenie, że szkoła, która skupia się bardziej na krykiecie niż na naborze pracowników, musi być bardzo interesującym miejscem, nie sądzisz?

Śmieję się.

– Tak, masz rację. Jestem bardzo szczęśliwa. Będziesz fantastycznym nauczycielem. – To prawda. Henry ma zadatki na świetnego pedagoga. A kiedy zdobędzie pracę, wreszcie się zaręczymy i zrealizujemy swoje marzenia, zamiast siedzieć w Bath i rozmawiać o nich. – Pan... Merritt, prawda...? Z pewnością uzna cię za znakomitego kandydata do pracy. Cudowne nazwisko dla nauczyciela!

– Jaką profesję mógł wybrać, mając takie nazwisko? <sup>1</sup> Amy, najdroższa, kiedy mi wreszcie powiesz? – pyta Henry, biorąc mnie za rękę.

– Co mam ci powiedzieć? – Nagle zaczynam się mieć na baczności. – Co masz na myśli?

– Powiedz mi, co cię wytrąca z równowagi w ciągu ostatnich kilku dni. Nie jesteś szczęśliwa i bardzo mi się to nie podoba.

Odsuwam się od niego szybciej, niż zamierzałam.

– Jestem szczęśliwa, Henry! Jak możesz tak mówić? Jestem po prostu przytłoczona, zbyt wiele szczęścia, zbyt wiele radości. Trudno mi się przystosować. Moje dotychczasowe życie było zupełnie inne.

– Nie, na pewno chodzi o coś innego – mówi łagodnie, obserwując moją twarz, na której mógł się pojawić grymas. – Znam cię od niedawna, ale chyba już wiem, jak wyglądasz, gdy jesteś szczęśliwa. Przychodzą mi do głowy dwa wyjaśnienia. Mogę o nich powiedzieć?

Czuję, że mam rozpalone policzki. Czy właśnie tak ma wyglądać małżeństwo: ktoś będzie odgadywał każdą moją myśl, choć jestem przyzwyczajona do samodzielności i decydowania o sobie?

– Wolałabym, żebyś tego nie robił – mamrocę.

Wyciąga rękę i unosi moją opuszczoną głowę.

– Obawiam się, że muszę to zrobić. Wiem, że jestem podobny do strumienia w lecie, szerokiego i spokojnego, ale jest we mnie ukryty upór, który czasem może budzić lęk. Powinnaś o tym wiedzieć, skoro zamierzasz mnie poślubić. Po pierwsze, możesz mieć wątpliwości co do naszego związku, choć mam nadzieję, że nie o to chodzi, bo, jak widzisz, jestem chodzącym ideałem.

Uśmiecham się. Henry zawsze, zawsze potrafi mnie rozbawić.

– Naturalnie, że nie o to chodzi. Jednak nie rozumiem, jak możesz być chodzącym ideałem, a jednocześnie kryć w sobie upór, o którym mówisz.

– Dodaje mi uroku. W takim razie sądzę, że wytrącił cię z równowagi list od Aurelii. Mam rację, Amy?

Jestem zdumiona. Nie wspomniałam ani słowem o liście.

– Miałas go dostać dwudziestego dziewiątego kwietnia, prawda? Tego samego dnia zauważyłem, że twój piękny uśmiech zaczął blednąć. Nie chciałem pytać natychmiast, bo uznałem, że potrzebujesz czasu do namysłu. Nie zamierzałem cię popędzać, kochana, ale teraz zastanawiam się, czy w ogóle coś mi kiedyś powiesz!

– Nie zdawałam sobie sprawy, że pamiętasz datę. Że zwróciłeś na nią uwagę. Och, Henry, tak mi przykro! – Zasłaniam dłońmi twarz, a później patrzę na niego z niedowierzaniem. To źle, że pamięta o liście od Aurelii, bo nie pozwala mi dalej unikać tego tematu, lecz mimo wszystko jestem mu wdzięczna w głębi serca.

– Naturalnie, że zwróciłem uwagę. To dla ciebie bardzo ważne, a zatem również dla mnie. Poza tym... – Waha się i przez chwilę na jego twarzy maluje się niepewność. – Zastanawiam się, jak to może na nas wpłynąć. – Nabiera powietrza w płuca. – Jeśli twoje poszukiwania dobiegły końca (wiem, że masz taką nadzieję), możesz pojechać ze mną do Richmond na rozmowę wstępną. Towarzyszyłbym ci w czasie podróży, to najzupełniej właściwe, a później zatrzymałabyś się u swoich przyjaciół. Miałem nadzieję, że



do nich napiszesz.

Nie jestem w stanie wykrztusić słowa. Spoglądam na inteligentną, pełną optymizmu twarz Henry'ego, na gładkie czoło i głowę, w której rodzą się plany i marzenia, wszystkie związane ze mną. Nagle dociera do mnie, że znalazłam się w straszliwie trudnej sytuacji.

– A jeśli twoje poszukiwania się nie skończyły – ciągnie – możesz mi przynajmniej o tym powiedzieć, bym się przygotował do rozstania. Jeśli musimy się rozstać, Amy, z pewnością możemy korespondować, prawda? Nie chcę wywierać na ciebie presji, jeśli musisz podjąć trudne decyzje, ale to naturalne, że chciałbym wiedzieć, co nas czeka.

Spoglądam na jego twarz, w tej chwili nieco zatroskaną, słucham rozsądnych pytań i nie jestem w stanie dłużej wytrzymać. Podjęłam już decyzję. Zostawię Aurelię i skupię się na swoim życiu z Henrym. Właśnie tak powinnam postąpić. Każdy by tak postąpił.

– Napiszę do Edwina i Constance, Henry. Pojadę z tobą do Richmond. Poszukiwania dobiegły końca. Widzę na jego twarzy niepewność.

– Jak to dobiegły końca? Co masz na myśli?

– To jasne. Sprawa jest zakończona. Zamknięta. Jestem wolna. Nie będę podejmowała kolejnych bezsensownych, głupich, samotnych podróży. Mogę jechać, dokąd chcę.

Podnoszę głos, a Henry przekrzywia głowę.

– Zatem dlaczego nie jesteś szczęśliwa? Co się stało? Nic nie rozumiem.

– Oczywiście, że nie rozumiesz. Jak mógłbyś rozumieć? Wiem znacznie więcej od ciebie i nawet ja nic nie rozumiem. Jednak powinniśmy zostawić tę sprawę, bo przed nami jasny cel.

Robi bardzo poważną minę, zastanawia się nad moją propozycją, po czym kręci głową.

– Nie, Amy, nie możemy tego zostawić. Jesteś nieszczęśliwa, wydajesz się rozdarta wewnątrz. Powiedziałaś wszystko, co pragnąłem usłyszeć, lecz nie brzmi to przekonująco. To nie koniec, prawda? Jest coś jeszcze, ale postanowiłaś zrezygnować. Dlaczego? Mam nadzieję, że nie dla mnie. Oczywiście chcę, żebyś ze mną pojechała, chociaż nie kosztem rezygnacji ze zobowiązań wobec Aurelii.

Mocno przyciskam dłonie do blatu.

– Chcę z tobą pojechać! Pragnę tego najmocniej na świecie. Czy mam żyć wbrew sobie, Henry? Nie zamierzam robić tego, co kazała Aurelia. Tylko czy odzyskam kiedykolwiek spokój ducha, jeśli zrezygnuję z tych poszukiwań, choć mam na to ogromną ochotę?

– Co kazała ci zrobić?

W odrętwieniu sięgam do kieszeni i wyjmuję list. Przyzwyczyłam się zawsze nosić przy sobie ostatnią wiadomość od Aurelii, dlatego zrobiłam to również tym razem. Wręczam Henry'emu list.

– Mam przeczytać? Jesteś pewna?

– Nie ma w nim żadnych sekretów, możesz mi wierzyć. Nie dowiesz się niczego, czego nie powinieneś wiedzieć. Poznasz tylko cel mojej podróży. Wyznaczony przez Aurelię, bo nie zamierzam tam jechać.

Kiwa głową i czyta list. Zajmuje to zaledwie minutę.

– York?

– York.

– York odgrywa ważną rolę w twoich poszukiwaniach?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Milczymy przez chwilę, a potem zaczynamy rozmawiać. Opowiadam Henry'emu o swojej złości, frustracji i nadziei, że będzie to ostatni list zawierający odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Ale nie ma żadnych wyjaśnień. Aurelia skarży się tylko, że tego dnia była zbyt zmęczona, by napisać coś więcej! Dlaczego nie mogła po prostu dokończyć listu innego dnia?! Poprzedni miał cztery strony, Henry. Cztery strony! Rewelacje, których w ogóle się nie spodziewałam. A teraz to! Czekałam w Bath, męczyłam się na przyjęciach, znosiłam panią Riverthorpe, tolerowałam plotki, insynuacje i zwykłe zniewagi. I po co?! Żeby przeczytać trzy słowa? „Jedź do Yorku”. Skończyłam z Aurelią, Henry.

Wygłosiwszy tę deklarację, natychmiast zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe. Aurelia jest częścią mnie. Uratowała mi życie.

– Muszę pojechać z tobą – mówi zdecydowanie Henry.

– Nigdzie nie jadę. – Mój głos brzmi słabo. Mówię jedno, myślę coś innego i gardzę sobą z tego powodu.

– Amy, nie jesteś szczerą wobec samej siebie. – Henry marszczy brwi. – Jeszcze nigdy nie widziałem, żebyś była taka nieszczęśliwa. Jest tak, jak mówisz. Jeśli zdradzisz Aurelię, nigdy nie odzyskasz spokoju ducha. Nie twierdzę, że rozumiem sens tych dziwnych poszukiwań. Nie mam pojęcia, o co chodziło Aurelii, gdy wymyśliła ten... niezwykle plan. Nie mieści mi się w głowie, jak można zmuszać kogoś do wykonywania takich absurdalnych poleceń. – Robi niecierpliwy gest. – Wiem tylko, że jeśli spełnisz wszystkie jej rozkazy i powiesz mi: „Henry, idę z tobą, zakończyłam poszukiwania”, zrobisz to z czystym sumieniem i radością w sercu. Ale nie musisz robić tego sama. Masz mnie. – Spogląda na mnie uważnie.

– Nie. Napisała, bym pojechała sama. Nie mogę cię zabrać.

Milczenie.

– Ależ kochanie, napisała również, że nie wolno ci nikomu zdradzić, dokąd masz pojechać, a już to zrobiłaś! Gdybyś wzięła mnie ze sobą, nie byłoby to większą zdradą niż rezygnacja z całego przedsięwzięcia, prawda? Spójrzmy na to racjonalnie, najdroższa.

– Racjonalnie? – W którymś momencie wstałam i zaczęłam spacerować po salonie. – Nie ma w tym wszystkim niczego racjonalnego. Moje poszukiwania w sytuacji, w jakiej się znalazłam z woli Aurelii, koleje mojego życia i to, co czuję – nie ma w tym wszystkim niczego racjonalnego!

Henry obserwuje mnie zatroskanym wzrokiem, gdy wyrzucam z siebie kolejne zdania.

– Amy! Nie miałem zamiaru cię krytykować, chciałem po prostu powiedzieć, że nie ma sensu się męczyć, jechać na północ samotnie albo postępować wbrew własnemu sumieniu. Zrób to, co powinnaś! Ale nie podróżuj sama, bez opieki. Właśnie po to są mężowie.

– Nie jesteś jeszcze moim mężem!

– W takim razie weźmy natychmiast ślub i uprośmy sprawę.

– Nie, Henry, nie postępujemy tak. Nie działajmy pośpiesznie, nie kierujmy się względami praktycznymi. Nie mogę cię ze sobą zabrać. Nie potrafię tego wyjaśnić, bo sama dobrze wszystkiego nie rozumiem. Ale nie mogę tak postąpić, jestem zupełnie pewna.

Wyraz bólu na jego twarzy to dla mnie cios. Zapada nerwowa cisza. Wiem, że Henry czeka, aż skapituluję, lecz tego nie zrobię.

– Informacje zawarte w kilku ostatnich listach są wyjątkowo delikatne – mówię łagodniejszym tonem. Zamierzałam powiedzieć, że to sprawy kobiece, lecz obawiam się, że nawet to zbyt wiele by ujawniło. Jak mogłabym mu to wszystko wytłumaczyć? Romans Aurelii i pytania krążące w mojej głowie w ciągu ostatnich tygodni są zbyt prywatną sprawą, by o nich opowiadać. Aurelia jest kobietą, ja jestem kobietą i nie mogę zdradzać nikomu takich tajemnic, zwłaszcza mężczyźnie.

Kiedy pokazałam Henry’emu list, przez chwilę czułam ulgę, że mogę się podzielić odpowiedzialnością. Ale teraz mam wrażenie, że znalazłam się w potrzasku. Muszę wyjechać sama, York okaże się podobny do Londynu, lecz nie będzie tam Entwistle’a, który wskazałby mi drogę. Może nie znajdę żadnego wyjaśnienia, tylko kolejną wskazówkę, zaproszenie do kolejnej podróży? Albo skończy się na niczym. Nie znoję, by Henry był tego świadkiem.

– Nie wiem... nie wiem, co znajdę w Yorku. Gdybym postanowiła kontynuować poszukiwania, byłaby to bardzo osobista sprawa dotycząca Aurelii i mnie. Jeśli postanowię z tym skończyć, to również będzie osobista decyzja. Tak czy inaczej, muszę dokonać wyboru samodzielnie. Gdybyś ze mną pojechał, wydawałoby się to... sama nie wiem... złe? Niesprawiedliwe?

Henry gwałtownie wstaje z miejsca i podchodzi do okna. Z niepokojem patrzę na jego plecy. Jak to się stało, że przed chwilą razem się śmialiśmy, a teraz będziemy się kłócić?

– A twoja obietnica, że chcesz dzielić ze mną życie, we wszystkich dziwnych i skomplikowanych sytuacjach, czy to nie sprawa osobista, Amy? Czy to, że sobie ufamy, nie jest sprawą osobistą?! Informacje zawarte w listach Aurelii mogą mieć delikatny charakter. Jednak list, który przeczytałam, nie zawiera żadnych wskazówek! Gdzie będziesz szukać kolejnego listu, skoro wiesz tylko, że znajduje się gdzieś w Yorku?

Żądania Aurelii nie stawiają jej w pozytywnym świetle. Nie chcę, by Henry miał o niej złe zdanie. Nie chcę również myśleć, że kilkakrotnie naraziła mnie na niebezpieczeństwo. Nie chcę rozważać tej sprawy zbyt szczegółowo i rzucam ostro:

– Dziesięć dni temu mówiłeś coś innego, Henry. Powiedziałeś, że rozumiesz moją lojalność wobec Aurelii. Twierdziłeś, że przede wszystkim powinnam zakończyć poszukiwania. Obiecywałeś, że będziesz mnie wspierał!

– Wspieram! Właśnie to robię, proponuję pomoc. Wybacz, ale nie mogę być zupełnie spokojny, gdy wyobrażam sobie, że samotnie przemierzasz całą Anglię, nie znając ostatecznego celu podróży!

Podtrzymuję swoją propozycję, Amy. Wszystko wygląda inaczej, gdy siedzimy razem w cieniu drzew i snujemy hipotezy. Znacznie trudniej jest w sytuacji, gdy wyznaliśmy sobie miłość, zaczęliśmy planować przyszłość, a ty znowu mnie opuszczasz! Dlaczego musisz wybierać między lojalnością wobec Aurelii a lojalnością wobec mnie? Staram się to zrozumieć, ale nie mogę. Możesz być lojalna wobec nas obojga! Nie musisz zdradzać Aurelii, żeby być moją żoną. Nie proszę cię o to. Nie wymagam od ciebie takiego wyboru. Po prostu weź mnie ze sobą, pozwól mi sobie pomagać. Właśnie tak powinien postąpić mężczyzna, który cię kocha! A może mi nie ufasz? Myślisz, że źle ocenię Aurelię albo ciebie i że zawiodę twoje zaufanie? Tak czy inaczej, Amy, to nie ma sensu!

Pod koniec tej koszmarnej przemowy spogląda na mnie wściekłym wzrokiem. Mój uśmiechnięty, pogodny Henry złości się na mnie. Chce, żebym zrobiła coś, czego nie mogę zrobić. Nie da się połączyć mojego dawnego życia z obecnym. Prosi, bym wyjaśniła to, czego nie można wyjaśnić. Czy nie pojmuję, że przez całe życie zadreślałam się nieprawdopodobnymi zagadkami i wieloznacznościami? Nie ma to żadnego sensu. Nic nigdy nie miało sensu.

– Bardzo mi przykro, Henry. – Łkam. – Nie mogę być tym, kim chcesz! Wiedziałam, że tak to się skończy! Nigdy nie potrafiłam się dostosować do otoczenia, nie nadaję się do miłości i normalnego życia, jestem za bardzo uwikłana w różne sprawy. Bardzo mi przykro! – Biegnę w stronę drzwi.

Łapie mnie w połowie drogi i obejmuje.

– Puść mnie, Henry! Nie wytrzymam dłużej tej rozmowy! Spotkajmy się rano, gdy znowu będę sobą. Jest silny, delikatnie obejmuje mnie ramionami.

– Ciii, kochanie! Przepraszam cię. Wybacz mi, Amy. Przestańmy dziś o tym rozmawiać. Zrób to, co uważasz za słuszne, i nie denerwuj się. Proszę, najdroższa, nie odchodź. Jesteś zbyt zdenerwowana. Zapomnijmy o całej sprawie, uspokójmy się.

Rzeczywiście, trochę się uspokajam. Później, gdy życzymy sobie dobrej nocy, jesteśmy bardziej opanowani, pełni czułości.

Ale czuję w sercu ciężki, gryzący ból, ponieważ wiem, że nie zachowuję się jak naprawdę oddana narzeczona. Rozczarowana uświadamiam sobie, że zupełnie nie nadaję się na żonę. Może takie cudowne marzenia nie mogą się spełnić – nie w moim przypadku.

W ciągu następnych dwóch dni uczę się, do czego może doprowadzić unikanie problemu – i do czego nie może. Tymczasowe korzyści wiążą się z ogromnymi kosztami. Henry i ja okazujemy sobie troskę i czułość, lecz w tej chwili jest między nami jakieś odrętwienie, choć poprzednio iskrzyło od namiętności. Kiedy jesteśmy razem, trzymamy się za ręce i uśmiechamy się. Pijąc herbatę, podajemy sobie cukier i mleko. Wyglądamy jak wzorowi narzeczeni, lecz przestaliśmy wybuchać śmiechem. Nie uśmiechamy się, nie żartujemy, nie zapominamy się i nie całujemy do utraty tchu. Jesteśmy znów blisko siebie, lecz pojawiła się między nami czarna otchłań.

Przekonuję sama siebie, że Henry się dąsa, bo nie postawił na swoim, bo nie rozumie mojej sytuacji. Rozmawiamy pogodnie o przyszłości, lecz nasze słowa nie brzmią prawdziwie. Nie mówimy o konkretach, ponieważ nie wiemy bardzo wielu rzeczy, a resztę pomijamy milczeniem. Znaleźliśmy się w straszliwym stanie połowicznego rozpadu. W dalszym ciągu nie mogę się zdecydować, by wyrzec się Aurelii, jednak teraz, kiedy coś się między nami popsło, perspektywa opuszczenia Henry’ego wydaje się jeszcze trudniejsza. Chyba czekam z decyzją do chwili, gdy wszystko będzie takie jak przedtem – ale z dnia na dzień stajemy się coraz bardziej odrętwiali. Coraz bardziej odwlekam dalsze poszukiwania nakazane przez Aurelię i mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Mam wyrzuty sumienia z powodu Henry’ego. Czuję, podobnie jak w Hatville, że Amy Snow to nieszczęśliwa, irytująca osoba.

Spędzanie czasu bez Henry’ego przynosi ulgę. Jeśli pani Riverthorpe jest zdziwiona, dlaczego znów uczestniczę w jej spotkaniach karcianych, zupełnie tego nie okazuje. I w ten sposób po raz kolejny zostaję sam na sam z panem Garlandem.

Przyjechał wcześniej na kanastę – nie wiem dlaczego – ale pani Riverthorpe wydaje się zirytowana jego obecnością. Mówi mu, że ma jeszcze kilka rzeczy do zrobienia przed przybyciem pozostałych gości, po czym odchodzi, zostawiając nas w salonie. Narzucam na ramiona gruby fioletowy szal. Jest maj, więc popołudniami na kominku nie płonie ogień i pokój wydaje się wyjątkowo smutny. A może to po prostu stan mego umysłu?

Naturalnie pan Garland jest nieskazitelnie ubrany. Ma na sobie granatowy surdut i świetnie skrojone kremowe spodnie. Ciemny kolor surduta podkreśla jasny błękit jego oczu, krawata i jasnoniebieskich rękawiczek. Zdejmuje je teraz, delikatnie pociągając za koniuszki palców. Dzwonię po herbatę, by wypełnić czymś czas.

Przez chwilę wymieniamy sztywne uprzejmości, nie zwracając uwagi na herbatę stygnącą na srebrnej tacy. Później pan Garland zaszczyca mnie uśmiechem.

– Panno Snow, czy mogę mówić zupełnie otwarcie? Obawiam się, że ostatnie wydarzenia położyły kres naszej poprzedniej miłej przyjaźni, czego żałuję. Nigdy bym tego wszystkiego nie mówił, gdybym wiedział, że strata okaże się tak wielka. Mimo to chciałbym pozostać pani szczerym przyjacielem, jeśli to możliwe. Zgadza się pani?

Nie przypominam sobie, by łączyła nas miła przyjaźń, gdyż zawsze budził we mnie lęk, lecz oczywiście się zgadzam.

– Proszę mi wybaczyć, ale czy dobrze się pani czuje? Wydaje się pani zmęczona, nieco... zatroskana. Gdyby miała pani jakieś kłopoty, mógłbym pomóc.

Nic dziwnego, że wydaję się zmęczona. Kiedy Henry po raz pierwszy powiedział, że mnie kocha, nie mogłam spać wskutek euforii. Teraz źle śpię z innych powodów. Prześladowają mnie wspomnienia Hatville, a gdy już zasypiam, pojawiają się dziwne sny. Od jakiegoś czasu nie miałam ani jednej spokojnej nocy.

– Jestem po prostu zmęczona, panie Garland. Pamięta pan, że wspomniałam panu o sprawie, która mnie zajmuje? O tym, że będę musiała wkrótce wyjechać?

– Naturalnie, pamiętam.

Nagle czuję potrzebę opowiedzenia komuś o swoich problemach. Komukolwiek.

– Cóż, zbliża się ten moment, a sprawa jest... delikatna. Ma pan rację, jestem zatroskana. Nie mogę się zdecydować, jak postąpić, co budzi moje zdziwienie.

– A pani przyjaciel? Nie ma nic przeciwko pani wyjazdowi?

– To zupełnie inna kwestia, panie Garland. Henry pragnie pojechać ze mną. Nie chce, bym podróżowała sama.

– Moim zdaniem to naturalne, że nie chce się z panią rozstać. Młode damy niezwykle rzadko podróżują samotnie, jak to się pani zdarzało. Może jest osobą o tradycyjnych poglądach, podobnie jak ja?

– Moim zdaniem nie chodzi o względy przyzwoitości. Sądzę, że troszczy się o moje bezpieczeństwo. Poza tym, jak przypuszczam, czuje się dotknięty, że nie wtajemniczyłam go w istotę sprawy.

– Ale to tajemnica, jak pani powiedziała?

– Tak, tajemnica! – W moim głosie brzmi frustracja.

– W takim razie nie należy nic więcej mówić. Sekret powinien zostać dotrzymany. Zwłaszcza sekret między dwiema młodymi damami. – Uśmiecha się, zadowolony. – Jeśli to właściwy kandydat na pani męża, panno Snow, z pewnością uszanuje potrzebę zachowania dyskrecji.

– Dziękuję, panie Garland, jest pan bardzo miły.

Słowa pana Garlanda przywracają mi poczucie, że nie postępuję nierozsądnie. Może pozwalam mu się pocieszać dlatego, że chcę w to wierzyć? Przez jedną szaloną chwilę zastanawiam się nawet, czy to pan Garland nie byłby najlepszym kandydatem na męża. Byłoby to łatwiejsze, bo miałabym do czynienia z kimś, kto bezwzględnie szanuje tajemnicę Aurelii i nie wywiera na mnie nacisków. Ale oczywiście nie

o to chodzi. Najważniejsze jest to, że kocham Henry'ego.

Przybywają pozostali goście i mam nadzieję, że gra, chociaż nużąca, pozwoli mi na pewien czas zapomnieć o moich problemach. Niestety nie mogę się od nich uwolnić. Wiem, że za dwa dni Henry wyjeżdża do Richmond, i w dalszym ciągu nie mam pojęcia, co robić.

Gra toczy się powoli. Pan Garland wygrywa każde rozdanie. Pani Riverthorpe gdera. Rozmowa się nie klei. Wiem, że mój ponury nastrój nie pomaga. Na dworze wieczorne majowe niebo przypomina gładki aksamit, więc postanawiam odetchnąć świeżym powietrzem. Wymawiam się bólem głowy. Cieszę się, że pan Garland nie proponuje, że będzie mi towarzyszyć.

Idę na Crescent Fields i przypominam sobie dzień, gdy spotkałam Henry'ego. Ulewa i woda kapiąca z kapelusza. Stałam w tym samym miejscu, myślałam o perspektywie spędzenia trzech tygodni w Bath i spodziewałam się, że czas będzie mi się straszliwie dłużył. Teraz mój pobyt dobiega końca i nie mam ochoty wyjeżdżać. Stoję w promieniach zachodzącego słońca i patrzę na letni księżyc wiszący nisko nad horyzontem. Przestałam podążać śladem Aurelii i wszystko wydaje się nie takie, jak trzeba.

Zmuszam się, by oddychać i myśleć. Powtarzam sobie, że jestem panią swojego życia i że to ja powinnam podejmować nawet najtrudniejsze decyzje. Tyle tylko, że nie mogę ich podjąć. Nie mam wyboru. Gdybym zrezygnowała z poszukiwań, z pewnością nie zniósłabym związanego z tym poczucia winy, które rzuciłoby cień na całe moje życie. Lecz nie mogę opuścić Henry'ego. Nie chcę ryzykować jego utraty. Chcę pojechać z nim do Richmond. Pojadę z nim do Richmond... Przez chwilę to sobie wyobrażam. A jednak...

Mówię sobie, że nie wrócę do Hades House, dopóki nie podejmę decyzji. Niebo powoli ciemnieje.

Kiedy w półmroku mija mnie nieznajomy w kapeluszu z szerokim rondem zasłaniającym twarz i spogląda na mnie spod półprzymkniętych powiek, dociera do mnie, że nie powinnam chodzić sama po mieście i rozmyślać. Popełniłam błąd. Muszę podjąć decyzję dziś wieczorem.

Wracam szybko do Hades House i czuję ulgę na widok tego domu, choć wieżyczki i okapy mogłyby się wydawać groźne w półmroku. Jednak ulga okazuje się krótkotrwała. W holu spaceruje tam i z powrotem przygarbiona pani Riverthorpe. Kiedy mnie spostrzega, rusza w moją stronę i patrzy na mnie wściekłym wzrokiem.

– Amy, musisz natychmiast się wyprowadzić.

Godzina moich snów na jawie nagle się kończy.

– Słucham? Dlaczego?

– Zatem jej nie widziałaś?

– Kogo? Nikogo nie zauważyłam.

– Gdzie byłaś?

– Na Crescent Fields. Co się stało, pani Riverthorpe? Dlaczego muszę się wyprowadzić?

– Ktoś cię odwiedził, Amy.

– Henry? O tej porze?

– Nie, nie Henry. Przybyła do nas lady Celestina Vennaway we własnej osobie i zażądała spotkania z Amy Snow.

Wyciągam rękę i opieram się o stolik, by nie stracić równowagi.

– Lady Vennaway? Tutaj?! Czego chciała? Co jej pani powiedziała?

– Że nigdy o tobie nie słyszałam, oczywiście. Poszła sobie, choć naturalnie mi nie uwierzyła. To bez znaczenia, pod warunkiem że cię nie dopadnie i nie dowie się, gdzie pojechałaś. Idź i spakuj swoje rzeczy. Przygotuj się. O świcie pojedziesz kareta do Londynu. Oczywiście mogłabyś tam dotrzeć pociągiem, ale lepiej, byś nie zostawiała żadnych śladów. Nie chcę, żeby lady Vennaway oczarowała jakiegoś głupca, który zdradzi, dokąd pojechałaś. Kiedy dotrzesz do Londynu, wsiądziesz na dworcu Euston do pociągu jadącego bezpośrednio do Yorku. Wyślę z tobą Ambrose, która zajmie się twoimi bagażami. Cecile będzie śledzić lady Vennaway i dopilnuje, by nie zbliżyła się do domu. Ja...

– Pani Riverthorpe, proszę przestać!

Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Mówi bez przerwy, głośno myśli, snuje plany, jakby mnie w ogóle nie było, choć to mnie dotyczą. Przypominam sobie, że zna sekret Aurelii. Musi być wyjątkowo ważny, skoro pojawienie się lady Vennaway do tego stopnia wytrąciło ją z równowagi.

– Nigdzie nie pojedę, dopóki czegoś mi pani nie wyjaśni. Z pewnością świat się od tego nie zawali. Proszę powiedzieć, co się stało i co mówiła lady Vennaway. Jak wyglądała?

Nie wiem, dlaczego o to pytam, ale lady Vennaway przez długi czas stanowiła część mojego życia. Chociaż mną gardzi, wiem, że cierpi z powodu śmierci Aurelii.

– Jak wyglądała? Zagubiona, blada, wytworna. Była w żałobie i wyglądała jak królowa.

Pani Riverthorpe opowiada, jak w pewnym momencie rozległo się głośne pukanie do drzwi. Doszła do wniosku, że jeden z gości czegoś zapomniał, więc mimo późnej pory wysłała Ambrose, by otworzyła. Ale Ambrose wróciła z biletem wizytowym lady Celestine Vennaway.

Pani Riverthorpe natychmiast znalazła się przy drzwiach, by odprawić lady Vennaway przed moim powrotem. Pokuśtykała do jej powozu.

– Mogłabym wejść, pani Riverthorpe? – spytała lady Vennaway.

– Nie – odparła pani Riverthorpe.

Kiedy lady Vennaway spostrzegła, że jej rozmówczyni jest zdeterminowana i wiekowa, zaproponowała, by na czas rozmowy weszła do powozu. Pani Riverthorpe odrzuciła zaproszenie, oznajmiając, że nie warto, bo rozmowa będzie krótka.

Przez chwilę wyobrażam sobie konfrontację dwóch najdumniejszych kobiet, jakie znam: wyniosłych i przyzwyczajonych, że zawsze stawiają na swoim nawet w najdrobniejszych sprawach. Nie wierzę, że kiedykolwiek ktoś się im sprzeciwił. Musiało to wyglądać jak spotkanie egzotycznego smoka z prehistorycznym potworem.

Lady Vennaway spytała o mnie. Powiedziała, że byłam widziana przez jej siostrę w towarzystwie damy podającej się za moją opiekunkę. Lady Vennaway chciała porozmawiać w pilnej sprawie, gdyż nie



udało jej się skontaktować ze mną listownie, i postanowiła przyjechać.

Pani Riverthorpe bezwstydnie skłamała, że nigdy mnie nie widziała ani o mnie nie słyszała, że to z pewnością jakaś pomyłka. Mówiła z takim przekonaniem i tak nonszalancko, że chociaż lady Vennaway jej nie uwierzyła, była zmuszona odjechać.

W głębi serca szczerze żałuję, że nie mogłam obejrzeć tej sceny.

Pani Riverthorpe oznajmia, że muszę wyjechać nazajutrz rano.

– Czy rozmowa rzeczywiście przyniosłaby tak wielkie szkody? – pytam. – Gdybym spotkała się z nią tutaj, w pani obecności, czułabym się bezpieczniej. Bez przerwy uciekam, bojąc się, że natknę się na kogoś znajomego. Jestem już tym zmęczona. Czy nie mogłabym po prostu stawić jej czoło?

– Nie, Amy. Jej zainteresowanie nie wróży niczego dobrego i naraża na szwank twoje poszukiwania. Co gorsza, nie umiesz kłamać, dziecko. Musisz wyjechać, bardzo mi przykro.

Mam wrażenie, że stoję na skraju przepaści. Nigdy nie przypuszczałam, że będę czuć żal w chwili opuszczania Hades House, lecz teraz, gdy powinnam to zrobić, okazało się, że dziwnie przywiązałam się do tego miejsca. Moja misja jest dość niezwykła, a ekscentryczne zachowanie pani Riverthorpe, która odrzuca konwencje obowiązujące w społeczeństwie, paradoksalnie stały się dla mnie źródłem wsparcia. Dobrze poznała świat i nie darzy szacunkiem większości ludzi. Nie jest łagodną, współczującą mentorką, lecz swego rodzaju ostoją. Teraz muszę ją opuścić, zrezygnować z namiastki stabilizacji, którą mi dała, i wyruszyć w najdłuższą część mojej podróży bez przewodnika.

– Pani Riverthorpe, skąd pani wie, że mam pojechać do Yorku?

– Wiem wszystko.

– Proszę, proszę, błagam, niech mi pani powie, co mam zrobić i co tam znajdę. Posłusznie podążałam tropem Aurelii, naprawdę, ale teraz muszę myśleć o Henrym... Zadręczam się tym... Nie może mi pani powiedzieć prawdy, bym ominęła ostatni etap? Wolałabym drogę na skróty.

– Nie, Amy. Nie chcę ci utrudniać życia... – unosi brwi – ...ale już ci mówiłam, że przyrzekłam Aurelii nie zdradzić jej sekretu. Uważam, że lepiej będzie, jeśli poznasz go w sposób, jaki zaplanowała. Henry zaczeka.

– W takim razie niech mi pani powie jedną rzecz, tylko jedną. Proszę obiecać.

– Jeśli będę mogła.

– Podróż ma się zakończyć w Yorku? Czy to ostatni etap?

Spogląda na mnie dłuższą chwilę. Zastanawia się, czy odpowiedzieć. Najwyraźniej rozważa argumenty za i przeciw. W końcu wzdycha.

– Ostatni.

Ach! Nareszcie mogę być czegoś pewna. Jak cudownie, że będę mogła to powiedzieć Henry'emu. Tym razem nie jest to tylko podejrzenie ani bolesna nadzieja. Z pewnością rozstanie okaże się względnie krótkie, mogę wreszcie go uspokoić. To wszystko zmienia. Mogę mimo wszystko kontynuować poszukiwania... choć oczywiście decyzję podjęła za mnie Celestina Vennaway.

– Będzie mi pani brakowało, pani Riverthorpe. Dziękuję za wszystko, co pani dla mnie zrobiła...  
Chociaż czasem czułam się dziwnie, szczerze wierzę, że znowu się spotkamy, jeśli za bardzo pani nie nudzę.

Kolejna chwila milczenia i wydaje mi się – nie, to prawda – że jej twarz lekko łagodnieje.

– Idź spakować swoje rzeczy, Amy. Musisz jutro wyjechać.

To wszystko, co mówi.

Budzę się, słysząc walenie do drzwi. Jest noc i zaglądam do ciemnych zakamarków swojego umysłu, szukając czegoś, o czym zapomniałam. Widzę w półmroku pustą szafę z otwartymi drzwiami i przypominam sobie, że muszę dziś wyjechać.

Do mojego pokoju wpada pani Riverthorpe i ściąga ze mnie kołdrę.

– Zbudź się, młoda damo! Wstawaj! Wstawaj!

Wypadam z łóżka jak młody wróbel z gniazda, ślepy i zdezorientowany. Czuję się, jakby za chwilę miały mnie rozszarpać koty.

– Niech pani zaczeka, pani Riverthorpe! Jest jeszcze ciemno. Proszę mi dać trochę czasu.

Nie zważa na moje protesty.

– Nie mam czasu! Ta kobieta może przyjść z samego rana. Musisz wyjechać. Widzę, że jesteś spakowana. Dobrze. Ubierz się. Dam ci chleb na drogę.

– Nie zjem śniadania przed odjazdem?

– Możesz zjeść śniadanie w Yorku. Chodź, chodź, przestań marudzić!

Ubieram się pośpiesznie i podchodzę do drzwi frontowych. Wyniesiono już mój kufer, na ulicy czekają konie, brzęczy uprząż, kopyta uderzają o bruk. Na niebie płyną mgliste obłoki i świeci księżyc w trzeciej kwadrze.

Pojawia się Ambrose w podróżnej pelerynie, niosąc zawiniątko z chlebem. Marzę o kawie.

– Nie pojedzie pani ze mną do Londynu, pani Riverthorpe? Chciałabym zadać pani mnóstwo pytań.

W czasie mojego pobytu u pani prawie nie rozmawiałyśmy o Aurelii.

To nie wszystko. Czuję dziwną niechęć na myśl o rozstaniu z panią Riverthorpe. Jest stara. A jeśli nigdy więcej jej nie zobaczę?

– Gadanie nie przywróci Aurelii życia. Nie, jeśli jej matka znowu się pojawi, muszę się nią zająć. Ta kobieta nie może odkryć prawdy. Zajmę się również Henrym, gdy przyjdzie tu węszyć, co niewątpliwie zrobi. Nie obawiaj się, postaram się być grzeczna.

– Ależ pani Riverthorpe! Nie może pani oczekiwać, że wyjadę bez pożegnania z Henrym! To absurd!

– Nie ma czasu na sentymentalne pożegnania. Zrozumie, jeśli jest ciebie wart. Zastanów się: nie wiemy, gdzie się zatrzymała matka Aurelii. A jeśli przypadkiem ją spotkasz w drodze do Henry'ego? Nie, musisz wsiąść do powozu i nie wysiadać z niego, dopóki Bath nie zostanie daleko w tyle. Poza tym jest

piąta rano. Nikt nie będzie zadowolony z wizyty o tej porze.

Nie jestem w stanie wypowiedzieć czułych słów pożegnania. Trzęsę się z wściekłości, więc wolę się nie odzywać. Milczę. Schodzę po schodach i wsiadam do powozu, odtrącając rękę woźnicy, który chce mi pomóc. Wciągam do środka fałdy sukni – wydaje się, że dziś rano są ich całe kilometry – po czym zatraskuję drzwiczki. Pani Riverthorpe jest nedorzecznie dramatyczna i i straszliwie niemiła. Ambrose siada obok mnie i odjeżdżamy. Nie oglądam się za siebie. Nie patrzę również na Ambrose.

Szybko jedziemy ulicami, które jeszcze nigdy nie były takie puste. Ptaki wzbijają się w powietrze na widok zbliżającego się pojazdu. Obawiam się, że obudzimy całą okolicę, któryś z mieszkańców rozpozna karetę pani Riverthorpe i powiadomi lady Vennaway, że ktoś opuścił Hades House o piątej rano. Domyśli się, że to ja. To niebezpieczne – czy pani Riverthorpe nie zdaje sobie z tego sprawy? List lady Vennaway dotarł do mnie w Twickenham, a później odnalazła mnie w Bath. Czuję się jak tropiona zwierzyna i bardzo mi się to nie podoba.

Kiedy przejeżdżamy w pobliżu Henrietta Street, wstaję i z całych sił walę pięścią w dach karety.

– Niech pani usiądzie, panno Snow! – woła zaniepokojona Ambrose. – Przewróci się pani. Nie możemy się zatrzymywać.

– Nie obchodzi mnie to – odpowiadam przez zaciśnięte zęby, chwając się niebezpiecznie. W dalszym ciągu uderzam pięścią w dach.

Kareta staje, a ja upadam na przeciwległą ścianę. Ambrose usiłuje mnie podeprzeć, lecz chwyta tylko fałdy mojej piekielnej sukni. Co właściwie mam na sobie? Czerwoną suknię podróżną. Nie przypominam sobie, bym ją wybrała.

– Nie próbuj mnie powstrzymać, Ambrose – ostrzegam. – Wiem, że jesteś lojalna wobec pani Riverthorpe, ale nic mnie to nie obchodzi. Nie możesz mnie powstrzymać. Zaczekaj w karecie. Wrócę za dziesięć minut.

Wyskakuję na ulicę, nim Ambrose jest w stanie odpowiedzieć. Spodziewam się, że może za mną iść, ale najpierw musiałaby dotrzymać mi kroku. Dobijam się do drzwi domu Longacre'ów przed wpół do szóstej rano.

Służący powinni być już na nogach – doskonale o tym wiem.

– Za przeproszeniem, panienko, czy coś się stało? – pyta Elsie, patrząc na mnie ze zdumieniem. Jest rozespana i mimo woli ziewa. Po chwili odsuwa się, by mnie wpuścić.

– Nie, nic, Elsie, nie przejmuj się. – Opieram się o framugę, zadowolona, że przynajmniej ona jest solidna. W holu panuje półmrok. Domyślałam się, że na górze wszyscy jeszcze śpią. Ogarnia mnie głęboki smutek. – Muszę natychmiast porozmawiać z panem Meadem. Nie ma czasu do stracenia.

– Oczywiście, panienko. Proszę wejść. – Zaprasza mnie gestem do wnętrza domu.

Czekam w pokoju śniadaniowym, gdzie tak często spędzałam miło czas, pijąc kawę i rozmawiając z przyjaciółmi. Jest elegancki i cichy, podobnie jak cały dom. Za oknem widzę ogród, w którym Henry powiedział mi, że mnie kocha. Znów musimy się pożegnać.

Po chwili pojawia się Henry w luźnej białej koszuli nocnej wetkniętej w spodnie, z szelkami wiszącymi po bokach. Ma rozczochrane włosy – podobnie jak ja. Nagle widzę swoje odbicie w lustrze i spostrzegam, że zapomniałam się uczesać. Henry ma wojowniczą minę.

– Amy! Coś się stało?! Ktoś cię skrzywdził?! Dlaczego jesteś tak ubrana?

– Jadę do Yorku, Henry, w tej chwili. Lady Vennaway jest w Bath i wczoraj wieczorem szukała mnie w Hades House. Pani Riverthorpe kazała mi natychmiast wyjechać.

Wygląda, jakby niczego nie rozumiał. Jestem rozczarowana.

– Dlaczego musisz wyjechać?! Niech przychodzi. Nic jej nie powiesz. Nie może się niczego dowiedzieć, bo nikt nic nie wie oprócz mnie i pani Riverthorpe, a my cię nie zdradzimy.

Oboje mamy zamęt w głowie. Co powinnam powiedzieć?

– Wiem. Pani Riverthorpe chce, żebym wyjechała. Przyszedł czas... Henry... Muszę to zrobić. – Głos mi się załamuje, gdy wypowiadam słowo „muszę”. Siadam w fotelu, poddając się nieuniknionemu. Spoglądam na Henry’ego, błagając go w duchu, by zrozumiał. – Posłuchaj mnie, Henry. Moje poszukiwania mają się zakończyć w Yorku. Tak powiedziała pani Riverthorpe. Zna sekret Aurelii. Prosiłam, by mi go zdradziła, ale nie chciała. Jednak obiecała, że wszystko skończy się w Yorku. Wrócę do ciebie, kochany. Już niedługo.

Henry spogląda na mnie jak na wariatkę. Podchodzi do mnie trzema długimi krokami, pada na kolana i chwytając moje dłonie.

– Pozwól mi ze sobą pojechać. Teraz. Ubiorę się w niespełna minutę. Nie jedź sama.

– Nie, Henry! Musisz jechać na rozmowę do szkoły w Richmond.

– Zatem jedź ze mną do Richmond! Zatrzymaj się dziś na Henrietta Street. Lady Vennaway nie będzie cię tu szukać. A po mojej rozmowie pojedziemy razem do Yorku, natychmiast, bez żadnej zwłoki. –

Kurczowo ściska moje ręce, jakby stanowiły ostatni łącznik ze zdrowym rozsądkiem. Kręcąc głową z nieszczęśliwą miną.

– Nie, Henry, wiesz, że nie mogę cię tam zabrać. Przykro mi. Ale wkrótce się zobaczymy – dodaje szeptem.

Odsuwa się i wstaje.

– Amy, nie zostawisz mnie w ten sposób!

Czuję, że za chwilę się rozpłaczę.

– Rozkazujesz mi, Henry? Tak, rzeczywiście, mam rozkazy, które muszę wykonać.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem i unosi dłonie do czoła.

– Nie rozkazuję ci! Ale cię kocham. Będę się o ciebie martwić. Spodziewasz się, że pojedę do Richmond na rozmowę, która może zdecydować o naszym przyszłym życiu, i nawet nie będę wiedział, kiedy cię znowu zobaczę? To szaleństwo! Nie dasz mi adresu, na który mógłbym do ciebie pisać?

Mam wrażenie, że z każdą chwilą coraz bardziej się kurczę.

– Nie mam adresu, Henry! Myślałam, że zrozumiesz. Pani Riverthorpe powiedziała, że powinieneś to

zrozumieć, jeśli... jeśli...

– Jeśli co?! Jeśli jestem ciebie wart? Amy, pani Riverthorpe ma zwariowane poglądy na temat miłości. Myślę, że o tym wiesz. Znasz mnie. Nie będę apodyktycznym mężem żądającym od żony ślepego posłuszeństwa. Ale nie można wymagać od kogoś, kto cię kocha, by godził się na twoją tajemniczą nieobecność przez nieokreślony czas, na samotną podróż do nieznanego miasta. Trudno wymagać, bym nie znał części twojego życia, nie miał dostępu do twojego serca, jakbym był nikim... Wiem, że obiecałem cię wspierać w twoich poszukiwaniach, Amy, ale tym razem prosisz o zbyt wiele. Jeśli uważasz, że postępujesz rozsądnie, nie możesz kochać mnie tak samo jak ja ciebie.

– Kocham cię tak samo jak ty mnie, ale moja sytuacja jest inna. Nie jestem wolna! Wiesz, że nie jestem wolna! – Mój głos jest bardzo cichy w porównaniu z głosem Henry'ego.

– Powtarzam: nie proszę cię, żebyś porzuciła Aurelię. Wszystko to wydaje mi się dziwne, tajemnicze i mroczne, proszę cię tylko, byś nie zostawiała mnie do czasu, aż rozwiążesz zagadkę. Chcę, żebyśmy stawili temu czoło razem. Właśnie do tego zobowiązuje miłość, Amy! Nie możesz mi tego ofiarować?

Patrzę na niego z nieszczęśliwą miną. Kręci mi się w głowie. Ledwo rozumiem, co do mnie mówi. Czeka na odpowiedź. Wpatruje się we mnie. Tyle razy już mi mówiono, co mam robić, a czego nie. Mój spakowany kufer znajduje się w karecie. Ambrose czeka. Chcę dotrzeć do Yorku, by wreszcie zakończyć tę sprawę.

Wstaję.

– Nie teraz, Henry, wiesz o tym. Ale nie wolno ci mówić, że nie kocham cię tak samo jak ty mnie. To okrutne. Wiesz, że bardzo cię kocham.

Spodziewam się, że znowu będzie próbował mnie zatrzymać, ale jego furia ustąpiła. Odsuwa się ode mnie. Wydaje się smutny, zmęczony, nagle dziesięć lat starszy.

– Miłość nie składa się ze słów, choć można o niej mówić. Składa się z wyborów dokonywanych przez żywych ludzi. Twoje wybory nie biorą mnie pod uwagę. Mówisz o przyszłości, a przyszłość rodzi się teraz. W tej chwili, gdy tu stoimy.

Jestem odrętwiała. Nie czuję własnej twarzy.

– Henry, bardzo chciałabym porozmawiać z tobą o naturze miłości, ale nie mam w tej chwili czasu. Nie powinno mnie tu być, zabroniono mi nawet pożegnać się ze znajomymi. Ale nie chciałam cię opuścić bez pożegnania, Henry.

– Och, powinienem ci podziękować?! Że nie opuściłaś Bath w tajemnicy, nie wyjechałaś bez słowa wyjaśnienia?! Cóż, bardzo dziękuję, ale wydaje się to niewielką uprzejmością! A co z przyszłością? Czy zawsze mam cię radośnie żegnać, gdy ktoś ci każe gdzieś jechać, powie, co masz robić?! Dlaczego musisz wykonywać cudze polecenia, Amy? Nie jesteś już służącą z Hatville.

Unoszę podbródek.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę! To wszystko, co mogę ci dziś powiedzieć. Naprawdę, Henry, nie chcę cię ranić, ale nie mam wyboru... – Milknę, wiedząc, że powtarzam sobie te słowa od stycznia,

lecz już w nie nie wierzę. Czekam, aż Henry mi to wytknie, ale myśli o czymś innym.

– Może jest jeszcze za wcześnie... – mówi. – Może jesteś ciągle zbyt mocno zaangażowana w tę intrygę i zajęta przeszłością? Może po prostu patrzysz na to inaczej niż ja? Nie potrafię tego zrozumieć, ale wiem, że coś jest nie tak. Powinno być inaczej.

Ma zrozpaczoną minę. W jego oczach czai się mrok, zgarbił się. Nie rozumiem, co się dzieje. Robię krok w jego stronę, ale odwraca się ode mnie i kładzie dłonie na półce nad kominkiem.

– Najdroższa Amy... Myślę... Zwalniam cię z danego słowa. Widzę, że dźwigasz wielki ciężar, i nie chcę go powiększać. Masz zbyt wiele zobowiązań i nie zamierzam dodawać ci nowych. Nie potrafię żyć tak, jak tego oczekujesz: na marginesie, na odległość. Nie jesteś... Wielki Boże...! Nie jesteś mi obojętna! – Nagle uderza pięścią w półkę nad kominkiem, aż podskakują świeczniki. – Chcę się tobą opiekować! Chcę, żeby nasz związek był oparty na zaufaniu i miłości. Nie zniosę sytuacji, gdy jestem po prostu... durniem czekającym za kulisami!

Jeśli wcześniej byłam odrętwiała, teraz cała zmieniam się w lód.

– Co mówisz? Nic nie pojmuję. Zrywasz ze mną?!

– Postaraj się mnie zrozumieć, Amy. – Kręci smutno głową. – Nie chciałem tego, ale próbuję robić to, co dla nas najlepsze.

Mam wrażenie, że moje słowa dobiegają z głębin. Mówię zduszonym, ledwo słyszalnym głosem.

– Przecież to absurd, Henry, absurd! Proszę cię tylko o czas... i wyrozumiałość... Muszę załatwić pewne sprawy... przygotować się... zanim ty i ja...

– Dokonałaś wyboru. Żegnaj, Amy. Życzę ci powodzenia w twoich poszukiwaniach. Mam nadzieję, że nie spotka cię nic złego i że wrócisz do mnie, gdy odzyskasz swobodę i będziesz mogła kochać mnie tak samo jak ja ciebie. Ale nie uważam tego za pewne, bo nikt nie wie, co jeszcze będziesz musiała zrobić i czy nie okaże się to ważniejsze od naszego związku. Mam nadzieję, że znowu się zobaczymy. Do tego czasu zamierzam prowadzić swoje życie tak, jak uznaję za stosowne.

Nie zbliża się do mnie, by mnie pocałować albo wziąć za rękę. Stoi wyprostowany, gotowy natychmiast się odsunąć, jakby się obawiał, że moje dotknięcie mogłoby go oparzyć. Wbijam wzrok w podłogę. Opuściła mnie cała energia, spłynęła na dywan. Lód się topi i zastępuje go ból. Czy to koniec? „Dureń czekający za kulisami?!”.

Dlaczego nic nie rozumiem?! W swoim dotychczasowym życiu kochałam tylko jedną osobę – Aurelię. Nie wiem, jak zdobyć coś więcej. To nie tylko poszukiwanie skarbu, myślę z goryczą. To miłość – zobowiązanie. Nie nadaję się do miłości. Brakuje mi doświadczenia. Potrzebuję czasu, by wszystko zrozumieć, uwierzyć, że na nią zasługuję, by spojrzeć na swoje życie przez szkło powiększające miłości. Brakuje mi czasu. Nie mam czasu.

Obracam się na palcach i szybko wychodzę z pokoju. Opuszczam dom Longacre'ów, trzaskają za mną drzwi. Biegnę ulicą, która budzi się ze snu, by powitać nowy dzień.

Nieszczęśliwa i rozkojarzona, nie idę prosto do karety. Po twarzy spływają mi łzy i prawie nic nie widzę. Skręcam w prawo zamiast w lewo i staję na moście Pultney.

Woła mnie woda. Bez namysłu zbiegam w dół kręconymi kamiennymi schodami. Ale kiedy widzę przed sobą wąski kamienny tunel, waham się. Jest zimny i wilgotny, nie dociera do niego poranne słońce. Stopnie są śliskie i zielone, jakby z wody wypełzły rzeczne wodorosty i posuwały się w stronę miasta. Mimo to idę naprzód – wyobrażam sobie, że bliskość rzeki mnie uspokoi.

Nic z tego. Potrzeba czegoś więcej niż rzeki, by ukoić ból mego serca. Henry zerwał zaręczyny. Naturalnie nie były to jeszcze oficjalne zaręczyny, ale obiecaliśmy sobie pewne rzeczy – cofnął swoje przyrzeczenie! Nie zniosę tego! Nie wytrzymam. Skoro nie mogę wrócić do Henry’ego, nie obchodzi mnie, dokąd pojedę ani na jak długo. Może na zawsze zostanę w Yorku, z dala od świata, z dala od zawiedzionych nadziei i niespełnionych marzeń? Im dalej, tym lepiej.

Chwytam poręcz i wpatruję się w tajemniczą, zielonkawą wodę, która pędzi obok mnie. Jestem bliska omdlenia. Mam ochotę wrócić i błagać Henry’ego, by mi przebaczył, ale to niemożliwe. Prosi mnie o coś, czego nie mogę mu ofiarować. Szczerze mówiąc, nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Przecież nie mógł przestać mnie kochać w ciągu kilku minut. Wydawał się taki zdecydowany, zdeterminowany.

„Zamierzam prowadzić swoje życie tak, jak uznam za stosowne” – to był ten upór, o którym kiedyś wspomniał. Wyraz jego oczu, ból, jaki mu sprawiłam... Jest mi szczególnie przykro z tego powodu, bo rozumiem, że nie zasługuję na Henry’ego.

„Dziwne, tajemnicze i mroczne”. Znowu czuję się jak goblin czający się w wilgotnym mroku. Mówię sobie, że dla Henry’ego będzie lepiej, jeśli nie wrócę. I gardzę sobą bardziej niż kiedykolwiek, bo wiem, że to nieprawda.

Za zakolem rzeki słyszę głosy pijanych mężczyzn, którzy śmieją się i śpiewają. Czuję lęk. Głupia Amy. Sama o szóstej rano na pustym moście. Żadna dama by tu nie przyszła. Nikt nie wie, gdzie jestem.

Wchodzę po schodach, ale potykam się na śliskim stopniu i zsuwam się w dół, raniąc sobie rękę i uderzając się w podbródek. Kiedy odzyskuję równowagę, zza zakrętu wypadają mężczyźni i mogę tylko stanąć pod ścianą, podtrzymując spódnicę. Jeśli postanowią wejść schodami na most Pultney, wkrótce mnie zobaczą, ale jeżeli pójdą brzegiem rzeki, mogą mnie nie zauważyć.

Jest ich trzech. Dzentelmeni. To znaczy wyglądają zamożnie i mają na sobie wieczorowe stroje. Nie



jestem zdziwiona. Wczesnym rankiem rzadko widuje się pijanych marynarzy, bo zaczynają o tej porze pracę. Ci mężczyźni wracają do domu po całonocnej hulance.

Przyciskam się do ściany, czując jej wilgoć przez suknię. Mocno bije mi serce. Patrzę, jak idą rozkołysanym krokiem. Poznaję jednego z nich, pana Leaforda, Leftona albo coś w tym rodzaju. Przedstawił mi go pan Garland.

Mam ochotę się wymknąć, ale jeśli się poruszę, zwrócę na siebie ich uwagę. Kiedy milknie ostatnia strofa *Sweet Molly's Favours*, nagle słyszę znajome nazwisko.

– Wczoraj wieczorem stary Garland wysoko przegrał w faraona! – bełkoce radośnie jeden z mężczyzn. – Stracił mnóstwo forsy! Gra za wysoko, panowie! Stanowczo za wysoko! O tak, za wysoko! – powtarza, podkreślając swoje słowa.

Jego towarzysze śmieją się serdecznie.

– To nie zabawy z damulkami! – zauważa pan Leworth, bo tak się właśnie nazywa. Przypomniałam sobie. – Cieszę się, że trochę utarto mu nosa. Jeszcze nigdy nie spotkałem takiego dumnego typu. Puszy się jak paw!

Obrażliwa uwaga pod adresem pana Garlanda wywołuje moje oburzenie. Z pewnością wygląda lepiej niż ci trzej. Dlaczego nie miałyby być z tego dumny?

– Utrzeć mu nosa! – powtarza niski, ciemnowłosy mężczyzna, pocierając ręką własny nos. – Utrzeć mu nosa! Powinien znać swoje miejsce!

– Spokojnie, Whentforth! Nie kołysz się, bo wpadniesz do rzeki, a ja nie zamierzam cię wyławiać. Zostawię cię rybom! Ukradłeś mi wczoraj wieczorem Marię Gatsby. Rybom, rybom! Podstępny spryciarz! Nie mam pojęcia, co te damulki w tobie widzą.

Whentforth wybucha śmiechem.

– Doprawdy nie wiesz? Zatem ci pokażę! – odpowiada i rozpina spodnie. Odwracam z przerażeniem oczy, po czym znów spoglądam z ciekawością, lecz widzę tylko rozwiane poły białej koszuli zasłaniające rozporek. – Wszystkie są takie same – ciągnie Whentforth. – Niczym się nie różnią! Nieważne, czy to żony baronetów, czy portowe dziewczki. – Mrużę oczy. – Mogę mieć każdą kobietę, jaką zechcę!

– Każdą z wyjątkiem trzech, pamiętaj! – wtrąca Leworth. – Rhody Carmichael, Bellatrix Davenport i Amy Snow. Te są poza twoim zasięgiem!

Bezwiednie pochylam się do przodu i marszczę brwi. Amy Snow?! Czy przypadkiem nie chodzi o mnie?

Trzej mężczyźni przystanęli i stoją odwróceny do mnie plecami, kołysząc się i patrząc na rzekę. Wpadli w nieco refleksyjny nastrój, ale ciągle rozmawiają podniesionymi głosami. Wydaje się, że słuchanie własnych pokrzykiwań sprawia im przyjemność.

– To prawda! – ryczy trzeci. – Zajmuje się nimi Garland! Ale uważajcie, jak już wybierze jedną z nich, będzie można zapolować na pozostałe dwie! Zapolować, powiadam, zapolować! Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby się dobrać do tej Davenport. Jak ona ma na imię? Belinda? Jest bardzo ładna i na

pewno nie taka wyniosła, gdy leży na plecach z sukienką za uszami!

Przełykam ślinę i znów przyciskam się plecami do ściany. Mam ochotę zniknąć, ale... co to właściwie znaczy, że „zajmuje się nimi Garland?”.

– Nie mam pojęcia, co widzi w tej Snow – ciągnie. – Snow, no wiecie, Snow, co najpierw była biedna, a potem zrobiła się bogata i wszyscy wiedzą dlaczego! Ze swoją tajemnicą, o której nie może powiedzieć Garlandowi. Nie wierzę! Jakby go to w ogóle interesowało! Skąd on ją wytrzasnął?! Zabawna mała gaska! Nigdy bym się z nią nie ożenił, nawet gdyby miała fortunę!

– Tak tylko gadasz, Brazil, bo nie masz długów wartych połowę majątku! Poza tym wolę ją od pozostałych. Wygląda zabawnie i ma ładne oczy, nie sądzisz, Whentforth?

Whentforth zrezygnował z udziału w rozmowie. Leży na ziemi z rozrzuconymi ramionami.

– Jej też trzeba utrzyć nosa... – mruczy sennym głosem. – Wszystkim trzeba utrzyć nosa...

– Do licha, zabierzmy go do domu – mówi Brazil, patrząc z niepokojem na towarzysza. – Którędy bliżej, Leworth? Nad rzeką czy górą?

– Nad rzeką, do garsoniery Whentforth. – Leworth kiwa ręką w stronę wody i zatacza się. – To wstyd, że ma taką słabą głowę. Myślisz, że Garland wrócił do domu? Jeszcze nigdy nie widziałem go tak pijanego.

– Moim zdaniem nie wytrzyma napięcia. – Brazil kładzie rękę na ramieniu Lewortha i obaj się chwieją. – Za dużo intryg. Dobrze mu tak! Uwodzi trzy kobiety jednocześnie, a niektórzy z jego przyjaciół nie mają ani jednej. W zeszłym tygodniu poprosił o rękę Rhodę Carmichael, wiesz?

Rozszerzam oczy ze zdumienia.

– Nie powiedziała ani tak, ani nie, dlatego zajął się pozostałymi dwiema. Panna Snow ciągle wzdycha do jakiegoś zera, a panna Davenport wzięła na muszkę starego księcia z Europy, więc Garland jest drugi w kolejności. Drugi w kolejności, rozumiesz? – Beka przeciągle. Krzywię się z niesmakiem.

– Bardzo zabawne. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś taki jak Garland może mieć kłopoty ze znalezieniem narzeczonej. Przystojny, gładkie maniery i tak dalej... – Leworth macha ręką przy głowie. – Może wyczuwają, że coś z nim jest nie tak?

– Wątpię, stary – oponuje Brazil, robiąc głupią minę. – Szczerze mówiąc, nie sądzę, by kobiety były tak inteligentne. Podejrzewam, że w tej chwili ma po prostu pecha. Ale szczęście wreszcie się do niego uśmiechnie. Zawsze tak jest z Garlandem. Wiesz, jaki to człowiek. Jesienią będzie żonaty z jedną, zbałamuci drugą i zrobi dziecko trzeciej, ale się do niczego nie przyzna.

– Chyba masz rację, Brazil, chyba masz rację. – Leworth pociąga za rękę chrapiącego Whentforth. – Chodź, zabierzmy tego głupca do domu. W tym tygodniu chyba odstawię brandy na kilka dni.

Pod łukowatym sklepieniem odbija się echem śmiech Brazila.

– Zawsze to mówisz, Leworth!

Leworth zarzuca rękę nieprzytomnego mężczyzny na swoje ramię.

– Owszem, owszem... Boże, ciężki jak na takiego karła... Weź jego lewą rękę, Brazil.

Wstrząśnięta, patrzę, jak dźwigają nieprzytomnego towarzysza, stękając i jęcząc, po czym idą z nim wzdłuż rzeki. Ma opuszczoną głowę, a jego nogi wloką się po ziemi.

Kiedy odchodzą dostatecznie daleko, odwracam się ostrożnie i wchodzę po schodach. Drżą mi kolana. W tej chwili nie jestem w stanie myśleć o tym, co usłyszałam. Spróbuję się zastanowić w powozie, gdy zostawię za sobą Bath.

Wchodzę na most Pultney, gdzie mija mnie kolejny podpity dżentelmen w stroju wieczorowym. Przenika mnie dreszcz przerażenia. To Quentin Garland, choć jeszcze nigdy go takim nie widziałam. Ma rozluźniony krawat, rozczochrane włosy. Jest bez cylindra, rękawiczek i laski. Jego jasnobłękitne oczy są przekrwione.

– Dzień dobry, panie Garland! – odzywam się dźwięcznie. Jestem zdumiona własnym zachowaniem, bo w ogóle nie zamierzałam się do niego odezwać.

Zatrzymuje się chwiejnie i rozgląda się, szukając źródła głosu, choć stoję naprzeciwko niego.

– Witam, panie Garland! To ja, Amy Snow. Pamięta mnie pan?

Spogląda na mnie i pochyła się w moją stronę. Czuję wyraźny odór alkoholu.

– Męcząca noc, prawda, panie Garland? – nalegam, nie wiedząc, co we mnie wstąpiło.

– Na Boga... Amy! Miło cię widzieć, Amy! – Zbliży się do mnie. – Męcząca noc? Tak, można tak powiedzieć. Nie widziałaś trzech dżentelmenów? Zdaje się, że poszli w tę stronę. Są mi winni pieniądze. Och, po prostu graliśmy w karty. Nic zdrożnego, rozumiesz...

– Naturalnie, że nie. Nie, nikogo nie widziałam, panie Garland. Cóż, jeszcze raz dzień dobry!

– Dzień dobry, Amy! – Wyciąga rękę w stronę poręczy mostu, ale nie trafia i potyka się o własne nogi. Pada ciężko na ziemię, następnie siada i spogląda na mnie, śmiejąc się cicho. Jego błękitny krawat zsunął się z szyi i wpadł do kałuży.

Mimo woli czuję się zawstydzona i podaję mu rękę. Wstaje i opiera się o mnie, dysząc ciężko. Czuję smród wymiocin. Staram się jak najszybciej od niego odsunąć i opieram go o poręcz, gdyż stanie sprawia mu dużą trudność.

– Wiesz, wyglądasz trochę... – Marszczy brwi, wyciąga palec i niezręcznie dotyka mojego podrapanego podbródka. Krzywię się z bólu. Spogląda na swój palec i przeszywa go dreszcz. – Krew. Tak myślałem. Nie jesteś dziś rano w najlepszym stanie, Amy. – Niezgrabnie puszcza do mnie oko. – Cóż, nikomu nie powiem, nie bój się. Nie zdradzę twojej tajemnicy. Nie zdradzę żadnych twoich tajemnic. – Kiwa głową, szczyrzy zęby i puka się palcem w skrzydełko nosa.

– Jest pan prawdziwym przyjacielem, panie Garland. Do widzenia.

Biegnę do karety z dziwnym poczuciem triumfu. Ambrose zachowuje się zdumiewająco spokojnie. Nie było mnie znacznie dłużej niż dziesięć minut. Kiedy dostrzega zraniony podbródek, wydaje przerażony okrzyk, ale nie chcę niczego wyjaśniać. Bez dalszej zwłoki wyjeżdżamy z turkotem z Bath i po chwili złociste miasto pozostaje z tyłu.

Zmierzam na północ. Opuściłam Henry'ego, który czuje do mnie żal. Elegancki, przystojny Quentin

Garland, temat plotek w Twickenham i Bath, pozostał w mojej pamięci jako blady, zagubiony i pijany hulaka oparty o kamienną balustradę.

# CZĘŚĆ CZWARTA

Po dwóch dniach przybywam do Yorku. Zakończenie podróży kolejowej dostarcza wielu nowych wrażeń, lecz czuję się wyjątkowo samotna. W tej chwili rzucam się w oczy bardziej niż kiedykolwiek. Brzydko ubrana, uboga dziewczyna może podróżować z wielu powodów – naturalnie przynoszących ujmę – ale szykowna dama zwraca na siebie uwagę. Jednak elegancki strój i bogactwo pozwalają mi ignorować ciekawskie spojrzenia i komentarze. Dumnie prostuję głowę i pewnym tonem wydaję polecenia. To coś, czego mogłam się nauczyć od pani Riverthorpe.

Kiedy wychodzę na peron w mieście nieskończenie odległym od mojego domu, nie odczuwam lęku. Jestem zbyt zaabsorbowana pytaniami, które kłębią się w mojej głowie, i bólem, jaki znów pojawia się w moim sercu. W tych okolicznościach to, że powinnam wezwać bagażowego, znaleźć hotel i wynająć pokój, wydaje się drobnostką.

Niebawem zostaję wprowadzona do dużego apartamentu w hotelu Jupiter. „Najlepszy hotel w Yorku, czcigodna pani, położony bardzo blisko dworca”, jak zapewnił mnie bagażowy.

Prawie nie zwracam uwagi na bogate umeblowanie i kremowo-zielone draperie, grube dywany i wielkie wazony z różami. Jestem wyczerpana po ośmiogodzinnej podróży pociągiem. Wczoraj spędziłam dziesięć lub jedenaście godzin w karecie. Czuję się upokorzona odkryciem, że ktoś uznał mojego przyjaciela za rozpustnika, podstępного łotra. Czuję gorycz z powodu utraty mężczyzny, którego pragnę poślubić – wskutek jego lub mojego uporu; a może oboje byliśmy zbyt uparci? Nie jest to przyjemna sytuacja.

Nie mam żadnej wskazówki, którą mogłabym się posłużyć. Przyjechałam do Yorku. Wykonałam polecenie Aurelii. Co teraz?

Przede wszystkim muszę się przespać. Dlatego kładę się do łóżka, bo nawet najbardziej zgnębiona dusza ma granice wytrzymałości. Kiedy się budzę, jest świeży letni poranek i słyszę dzwony katedry.

Pierwsze uczucie to ulga, że wypoczęłam. Później pojawia się znajoma, męcząca świadomość, że jestem w zupełnie nowym mieście – muszę zacząć wszystko od nowa. Już nie wątpię, że dam sobie radę, ale pewność siebie jest kiepską pociechą, bo jestem znowu sama.

Nagle ponownie do mnie dociera, że ciągle poruszam się jak we mgle. Nic nie zostało wyjaśnione. Postanawiam wstać i obejrzeć York. Zadręczałam się swoimi kłopotami w czasie długiej jazdy kareta i pociągiem, lecz nic nie osiągnęłam. Nie pogodziłam się z tym, co się wydarzyło, ani nie podjęłam

decyzji, co dalej robić. Naturalnie jest jeszcze za wcześnie, by zapomnieć o przeszłości i zacząć wszystko od początku. Krótko mówiąc, czuję się nędznie.

Najgorsze jest zerwanie z Henrym. Nie mogę uwierzyć, że nasza przyszłość legła w gruzach, i boję się, że tak się stało. Nienawidzę tych myśli. Jeszcze nie potrafię przyznać, że Henry miał rację, lecz kiełkujące podejrzenie, że tak było, podsyca moją irytację. Najbardziej ze wszystkiego chciałabym natychmiast opuścić York, pojechać do Richmond i wszystko naprawić.

Ale się boję. A jeśli zdążył już dojść do wniosku, że miłość do mnie to błąd, przed którym szczęśliwie zdołał się uchronić? A jeśli wycofał swoją propozycję małżeństwa na zawsze? Kiedy mówił o miłości i wyborach, o szacunku dla własnych uczuć i postępowaniu zgodnie z nimi, racjonalna część mego umysłu rozumiała jego słowa, lecz mroczne zakamarki mojego serca niczego nie pojmowały. W tych mrocznych zakamarkach zawsze jestem samotna. Tam nigdy nie przestałam być biedną znajdą z krzywym uśmiechem i brudnymi rękoma. Nauczyłam się, że oddanie swego losu w cudze ręce może wiele kosztować. Po śmierci Aurelii umiałam się o siebie zatroszczyć i chociaż jestem samotna, tak jest bezpieczniej. Te mroczne zakamarki zawsze szepczą, że nigdy nie będę szczęśliwa...

Zastanawiam się, czy napisać do Henry'ego, ale nie wiem, co mam zawrzeć w liście. Odnoszę wrażenie, że nie widzieliśmy się całą wieczność, choć minęły tylko dwa dni. Na pewno ciągle jest zły – a ja odjechałam. Poza tym chyba jest już w Richmond... nie wiem gdzie. Dokąd stamtąd pojedzie? Jak go znaleźć? List do niego musiałby przejść przez ręce kilku osób, oczywiście pod warunkiem, że powiedziałby komuś, gdzie się udaje. „Zamierzam prowadzić swoje życie tak, jak uznam za stosowne”, oświadczył. Straciłam go, przynajmniej na razie.

Czuję się wyjątkowo dziwnie. Wydaje mi się, że stoję na wąskiej kładce i lada chwila spadnę. Chciałabym coś zrobić, cokolwiek, by to się nie stało, lecz nie mogę. W tej chwili muszę zapomnieć o próbie złożenia w całość łamigłówki mojego życia z Henrym, gdyż najpierw powinnam rozwiązać tajemnicę Aurelii, a przynajmniej czegoś się o niej dowiedzieć, by lepiej radzić sobie z sytuacją.

W chwilach ponurej kontemplacji martwię się także tym, jak bezwstydnie wykorzystał mnie Quentin Garland – podobnie jak połowę młodych dam z Bath. Łowca posagów. Rozpustnik. Łgarz. Szubrawiec w eleganckim kremowym surducie i błękitnym krawacie. Kiedy teraz o tym myślę, dostaję gęsiej skórki. Czuję się straszliwie głupia, przypominając sobie wszystkie chwile, gdy instynkt podpowiadał mi, jak jest naprawdę, lecz niemal nie zwracałam na to uwagi, olśniona eleganckimi pozorami. Kiedy wpadałam w ponury nastrój i czułam się jak wyrzutek, kiedy myślałam, że Henry mnie nie kocha, umizgi pana Garlanda mi imponowały, potwierdzały moją wartość... A jednak przez cały czas miałam wrażenie, że coś jest nie tak. Brak poczucia bezpieczeństwa sprawił, że nie słuchałam głosu intuicji. Jestem zła na siebie. I oczywiście na pana Garlanda – wydaje się, że w tej chwili jestem zła na cały świat.

Jakim prawem uznał mnie za... za cel. Jakim prawem postanowił wykorzystać moje życie, serce, moją przyszłość dla realizacji własnych interesów?! Całkowita pogarda dla ludzkich uczuć! Z gniewem przypominam sobie sprytne, subtelne intrygi, gdy próbował mnie poróżnić z Henrym, i to, jak odszukał

mnie w Twickenham i Bath, kiedy zorientował się, że przeszłam radykalną przemianę. Och, domyślił się, że odziedziczyłam fortunę, i skupił się na niej jak ogar, który złapał trop. A mnie pochlebiało, że interesuje się mną taki wspaniały dżentelmen! Co za głupota!

Czuję wstyd, gdy przypominam sobie swoją naiwność. Wierzyłam, że się o mnie troszczy, ponieważ w odróżnieniu od Henry'ego wydawał się szanować mój sekret. Quentin Garland nie szanował mojego sekretu – po prostu w ogóle się nim nie interesował! Opowiadał o nim nawet swoim przyjaciółom.

Wiem, że nie ma sensu się tym wszystkim martwić, a jednak nie mogę przestać, chociaż się staram. Jest ciepły, pogodny ranek. Wychodzę z domu i spaceruję ulicami Yorku.

Znalazłam się w innym świecie. Miasto jest stare i piękne, lecz całkowicie różne od Bath. Budynki są ciemniejsze, mają charakter obronny. Miasto przecinają wąskie zaułki, a śpieszący się przechodzień może w ogóle nie zauważyć, że wkracza z jednej uliczki w drugą. Pod kamieniami, po których stąпам, kryje się ponoć inne, starsze miasto, na zawsze zapomniane. Właściwe miejsce, by zakończyć poszukiwania. Kamieniczki mają lekko pochyłe ściany, a podzielone pionowymi kolumnkami okna lśnią w promieniach słońca. Chociaż niebo jest czyste, w wąskich uliczkach panuje cień, nawet gdy zbliża się południe. Całkowicie się zgubiłam.

W Bath dość łatwo orientowałam się w otoczeniu. Hades House znajdował się na wzgórzu, Crescent Fields jeszcze wyżej, opactwo w dole, rzeka na wschodzie. W Yorku ulice są kręte i zwodnicze. Kiedy ustalam jakiś punkt orientacyjny – sklep, kościół lub ogród – szybko tracę go z oczu i zupełnie nie potrafię go odnaleźć. Przeszłam kilka kilometrów, ale dźwięk dzwonów katedry, które wybijają godziny, sugeruje, że poruszam się w zamkniętej przestrzeni, jakbym krążyła ścieżkami labiryntu. To piękne, zagadkowe miasto.

Wracam okrężną drogą do hotelu i piszę do Edwina Wistera. Informuję, gdzie jestem, i dodaję, że członkowie rodziny mogą pisać do mnie do hotelu, jeśli mają ochotę. Obiecuję poinformować ich o swoim wyjeździe. Dodaję, że wszystko w porządku, bo nie chcę wspominać o swoich zmartwieniach związanych z Henrym. Oddaję list pokojówce i mam mnóstwo czasu.

Mogłabym znów wędrować po ulicach, tylko po co? Mogłabym spróbować znaleźć jakieś inteligentne rozwiązanie łamigłówek Yorku, ale moje myśli biegną leniwie, bez przerwy skupiają się na Henrym. Mogłabym napisać do pana Garlanda, wyznając, co o nim sędzę, lecz musiałabym użyć słów, których nie wypada używać damie, toteż rezygnuję z tego pomysłu. Jestem wściekła, że nie skorzystałam ze sposobności i nie powiedziałam mu wszystkiego dziś rano, gdy spotkałam go na moście. Na pewno by tego nie zapamiętał ze względu na swój stan, lecz poinformowanie go, że nim gardzę, sprawiłoby mi wielką satysfakcję.

Henry... Chcę napisać do Henry'ego... Zaczynam kolejne listy, choć nie mam ich dokąd wysłać, aż podłoga mojego pokoju jest pokryta zmiętymi kulami papieru i z niesmakiem odrzucam pióro. Siedzę przy oknie i patrzę na gołębie latające pod okapami dachów. Zapada zmierzch. To mój pierwszy dzień w Yorku.



Ból serca sprawia, że głupieję. W następnych dniach próbuję się zabrać do wyznaczonego mi zadania. Usiłuję rozszyfrować znaczenie listów Aurelii, wymyślam teorie, rozważam różne możliwości. Siedzę godzinami przy oknie, myśląc o Aurelii, w nadziei że znajdę wskazówkę w jakimś wspomnieniu z dzieciństwa, jak to się stało w Londynie. Ale w najbardziej niespodziewanych momentach nawiedzają mnie wspomnienia pocałunków Henry’ego, błysku w jego oczach. Pamiętam ciepło, wzruszające uczucie rozplływania się, które odczuwałam w jego obecności. Nie mogłam się oprzeć, by go nie dotknąć. Staram się o nim zapomnieć, lecz podąża za mną krok w krok...

Piszę do pani Riverthorpe, przepraszając za wybuch gniewu, gdy się zegnałyśmy. Zapewniam ją o swoim szacunku – choć jestem pewna, że nie ma to dla niej znaczenia – i proszę, by napisała mi wszystko, co wie, bo inaczej spędzę resztę życia w hotelu Jupiter.

Otrzymuję listy od Madeleine, Michaela i Edwina. Wszystkie zawierają dobre wiadomości i cieszę się, że w innym świecie, z dala od mojego dziwnego, powikłanego życia, dzieją się dobre rzeczy. Madeleine w końcu się zaręczyła i jej list jest pełen uniesienia.

Stara pani Nesbitt ma wielbiciela! Michael opowiada o tym z lekkim niesmakiem, ale, ponieważ jest chłopcem, nie podaje żadnych szczegółów, ku mojemu wielkiemu zmartwieniu. Jednak załącza ostatni esej napisany w szkole, analizę poezji Johna Donne’a. Rozprawa jest bardzo erudycyjna.

Edwin oznajmia, że Constance spodziewa się kolejnego dziecka! Piszę o tym skromnie, lecz z wyraźnym zachwytem. Poza tym kupiła do oranżerii alabastrowy posąg Afrodyty.

Czytam listy, płaczę i spaceruję. Krążę wśród starożytnych murów obronnych, świadoma, że to znakomita okazja do rysowania i zdobywania wiedzy o architekturze, choć, szczerze mówiąc, w ogóle mnie to obchodzi.

Pewnego wieczoru wracam do hotelu po bezcelowej wędrówce, gdy nagle coś zwraca moją uwagę. Zatrzymuję się.

Następnie się rozglądam: kręta uliczka podobna do wielu innych, kawiarnia i kilka sklepów, w tej chwili zamkniętych. Zamierzam iść dalej, ale nie – coś mnie uderza i muszę sprawdzić, o co chodzi. Spoglądam na budynki, bramy, na kota, który skrada się koło moich nóg, a później pędzi w dół ulicy. Potem widzę sklep.

„J. Capland, rzeźnik”, głosi szyld. Skąd znam to nazwisko?

Nagle przypominam sobie słowa pani Riverthorpe: „Gdybyś znalazła się kiedyś w północnej części Anglii, odszukaj, proszę, rodzinę Caplandów. To moi przyjaciele... Zapamiętasz to nazwisko, Amy? Capland? A może już zupełnie straciłaś rozum i jesteś w stanie myśleć tylko o ciemnych oczach Henry’ego?”.

Zmuszam się, by nie myśleć o ciemnych oczach Henry’ego, i patrzę na sklep. Czy historia Aurelii ma się zakończyć u rzeźnika? Nieważne, mogłaby się nawet zakończyć w rzeźni, jeśli oznaczałoby to, że wypełnię swoje zadanie.

Wracam na kolację w lepszym nastroju. Muszę przyznać, że wymyślona przez Aurelię zabawa w poszukiwanie skarbu ma jedną zaletę – każdy krok do przodu sprawia radość.

Po raz pierwszy od wyjazdu z Bath czuję optymizm. Może już za dzień lub dwa napiszę do Madeleine i zawiadomię ją, że wracam do Twickenham? Madeleine i Constance przekażą mi wiadomości o Henrym i znajdę go, niezależnie od tego, jak trudne miałyby się to okazać. Bezpośrednia rozmowa jest lepsza od jakiegokolwiek listu. Będę wreszcie wolna i zobaczy to w moich oczach. Tak, odnajdę go i powiem, że jest mi bardzo, bardzo przykro...

Usiłuję sobie przypomnieć, co pani Riverthorpe mówiła o Caplandach. Nagle zmieniła temat rozmowy i teraz staje się jasne, że przekazywała mi ważne informacje. Jednak w owym czasie wydawało się to tylko jedną z jej typowych dygresji: „Pan Capland to bardzo miły człowiek, właściciel sklepu, cieszy się powszechnym szacunkiem... Pani Capland jest głupiutka, ale ma dobre serce... Och, nie bój się, nie są podobni do mnie”.

Przez cały wieczór czuję gorączkowe podniecenie. Koniec poszukiwań jest w zasięgu ręki. Już kilkakrotnie pozwoliłam sobie na taką nadzieję, lecz były to tylko pobożne życzenia. Tym razem mam pewność. Jeszcze nigdy nie czułam takiego przypływu energii. Przeklinam brytyjskie prawo handlowe i konieczność oczekiwania do rana. Z trudem zasypiam, lecz wreszcie nadchodzi głęboki sen.

Budzę się nagle, zaskoczona. Świta. Zdarzyło się coś bardzo ważnego. Siadam na łóżku, czujna, słuchając śpiewu ptaków dobiegającego zza okna. Miałam sen.

Pamiętam go wyraźnie – galeria twarzy. Ciągłe stoją mi przed oczyma. Pan Clay wręczający mi paczkę w styczniu, o świcie. Pan Carlton w hotelu Pod Różą i Koroną, jego entuzjazm dla podróży koleją. Drogi pan Crumm ze swoimi książkami i czasopismami, jego przystojny wnuk. Madeleine i jej rodzina. Pani Riverthorpe z ostrym jak brzytwa językiem i rajerem na głowie – wszyscy ludzie, którzy pomagali mi w czasie mojej wędrówki. Widziałam Henry’ego i Aurelię, świetlistą jak anioł, roześmianą w środku lata.

Jest ciągle zbyt wcześnie, by odnaleźć moje przeznaczenie u rzeźnika. Czekam, drżąc z niecierpliwości. Noc mnie zmieniła. Pamiętam Hatville, pamiętam wszystko i nie odpycham już od siebie wspomnień. Wczesne lata mnie uformowały, a poszukiwanie skarbu Aurelii uczyniło mnie twardą jak glina wypalona w ogniu. Teraz już wiem, że stanę się dzięki temu silniejsza i lepsza.

Pewne rzeczy utraciłam na zawsze: nigdy więcej nie zobaczę Aurelii ani miejsca, gdzie się wychowałam. W głębi serca czuję, że nigdy nie poznam prawdy o swoich rodzicach. Niechaj tak będzie. Inne rzeczy nie znikną – moja miłość do Henry’ego, przyjaciele, marzenia, szacunek dla samej siebie, determinacja. Mogłabym je utracić tylko wtedy, gdybym sama tak postanowiła.

Świat zabronił mi i Aurelii się przyjaźnić – pochodziłyśmy z różnych sfer. Nie zgodziłyśmy się na to. Mimo trudnej młodości, obwarowane mnóstwem zakazów, potrafiłyśmy odnaleźć radość w tym, co nas otaczało. Uwielbiałyśmy przebiśniegi i dzwonki, konie i baśnie, dobre jedzenie, poranki nad strumieniem i siebie. Ale w tej chwili uważam, że najbardziej jednoczył nas wojowniczy temperament, choć każda z nas okazywała go w nieco inny sposób. Obie broniłyśmy się przed nakazami, wolałyśmy podejmować samodzielne decyzje. Wybierałyśmy to, co dla nas ważne.

Zawsze uważałam, że załamałabym się bez Aurelii. Traktowałam ją jak księżniczkę, a ja byłam jej skromną towarzyszką. Ale teraz mimo wszystko rozumiem, że ja również jestem wojowniczką – zrozumiałam to, patrząc na swoje odbicie w lustrze na balu w Bath. Czułam to każdego dnia, gdy krążyłam samotnie po Londynie, Bath lub Yorku, wbrew rozsądkowi i konwenansom, starając się stopniowo odnaleźć własną drogę i ryzykując potępienie przez ludzi. Wiedziałam to tamtego dnia w jadalni w Hatville, tuż przed utratą włosów, gdy stawiałam czoło lady Vennaway i tupnęłam nogą.

Odtąd będę uważniej słuchać głosu kryjącej się we mnie wojowniczkki. A co z mrocznymi szeptami w moim sercu, że nikt mnie nigdy nie pokocha? Nie będę ich słuchać. Historia dwóch dziewcząt, nierozłącznych i niepokornych, wkrótce się skończy. Dalszy ciąg będzie miało tylko jedno życie – moje.

Ogarnia mnie wielki spokój. Kiedy przyjdzie pora, by iść do miasta, bez trudu znajdę sklep pana Caplanda, choć wcześniej stale się w Yorku gubiłam. Dni, gdy błąkam się z zamętem w głowie, odchodzą w przeszłość.

Wchodzę do sklepu. Rzeźnik przestaje zρέcznie dzielić zwierzęcą tuszę na porcje i spogląda na mnie. Od razu zauważam, które kawałki są przeznaczone dla biednych rodzin, a które dla bogatych domów.

Zapach krwi i świeżego mięsa przypomina mi dzieciństwo, gdy patrzyłam na Cook pracującą w kuchni. Widok tasaka kojarzy mi się z lady Vennaway, zbliżającą się do mnie, by obciąć mi włosy. Zaskoczenie na twarzy rzeźnika świadczy, że wyglądam w tej chwili jak dama.

– Dzień dobry, szanowna pani – odzywa się zdumiony. – Mam nadzieję, że nic pani nie jest? Czym mogę służyć?

Przypominam sobie, jak w księgarni podszedł do mnie pan Crumm i od razu się domyślił, kim jestem. Przypominam sobie serdeczne powitanie Wisterów. Przypominam sobie Ambrose, która natychmiast zaakceptowała moją obecność w Hades House. Za chwilę powinien wszystko zrozumieć.

– Dzień dobry, panie Capland. Czuję się znakomicie. Cieszę się, że mogę pana poznać. Nazywam się Amy Snow.

Moje nazwisko wyraźnie nic mu nie mówi.

– Bardzo przepraszam, panno Snow...

– Amy Snow – powtarzam, nie wiedząc, co powiedzieć. – Nazywam się Amy Snow.

Wydaje się coraz bardziej zaskoczony. Nic mu to nie mówi. Widzę, że zastanawia się, kim jest ekscentryczna kobieta, która lubi powtarzać swoje nazwisko. Jest wysokim, barczystym mężczyzną o czarnych włosach i bujnej, kręconej brodzie. Ma łagodne oczy, które nie pasują do potężnej postury i fartucha zachlapanego krwią.

– Bardzo mi przykro, panie Capland. Nie wyjaśniłam, o co chodzi. Odbylam długą podróż, by się z panem zobaczyć. Zdaje mi się, że cztery lata temu poznał pan moją drogą przyjaciółkę, Aurelię Vennaway?

– Cztery lata temu... Vennaway... – mruczy. Ma fioletową twarz, biedaczyna. – Bardzo mi przykro, panienko. Nie przypominam sobie. Przepraszam, ale dlaczego zwraca się pani z tym właśnie do mnie? O co właściwie chodzi?

– Cóż, sama nie wiem. Myślałam, że pan mi powie, po co miałam przyjechać do Yorku. Na pewno pamięta pan Aurelię. Aurelię Vennaway!

Wyraźnie uważa mnie za wariatkę.

– Nie rozumiem...

Przez jedną straszliwą chwilę zastanawiam się, czy uwaga pani Riverthorpe była nie tyle wskazówką, ile przypadkową dygresją.

– Pani Riverthorpe, panie Capland. Ariadne Riverthorpe z Bath. Jest pana dobrą przyjaciółką, prawda?

Snow, Vennaway, Riverthorpe... Zrzucam biedaka nazwiskami, które nic mu nie mówią.

Kręci powoli głową z namaszczoną miną.

– Bardzo mi przykro, panienko. Nie znam również pani Riverthorpe. Riverthorpe, tak? Nie, panienko.

– Och, na litość boską! Nie, proszę mi wybaczyć, nie jestem zła na pana, tylko na sytuację, w jakiej się znalazłam. Pani Riverthorpe to... cóż, można ją nazwać moją przyjaciółką. Powiedziała mi dwa tygodnie

temu, że gdybym była w tej okolicy, powinienam odwiedzić jej przyjaciół Caplandów. Wspomniała, że jest pan właścicielem sklepu i że ma pan sympatyczną żonę.

– Nie, panienko. Nie mam jeszcze żony, choć we wrześniu zamierzam poślubić pannę Mary Avery.

– Cóż... gratuluję... Ale czuję się trochę zirytowana... i rozczarowana...

– Przypuszczam, że pani przyjaciółka miała na myśli mojego brata, panienko.

– Ach, ma pan brata?!

– Tak, panienko. Nazywam się Jeremiah Capland. Mój brat Joss prowadzi sklep tekstylny na ulicy

High Petergate. Jest żonaty i ma dwóch synów.

– Dziękuję, panie Capland, na pewno chodziło właśnie o niego. High Petergate, mówi pan? To

daleko?

Wyjaśnia, jak się tam dostać, i zbieram się do odejścia.

– Może znowu się spotkamy, panie Capland, jeśli widuje się pan często z bratem.

– Tak, regularnie się spotykamy, panienko.

Idę z bijącym sercem na High Petergate. Znalazłszy się na miejscu, znowu widzę szyld z nazwiskiem Capland. Wisi nad wyjątkowo ładnym sklepem. Na ciemnozielonym tle znajduje się śnieżnobiały napis: „Joss Capland i Synowie. Artykuły tekstylne i konfekcja”. Framugi ozdobnych okien również są ciemnozielone, a drzwi białe.

Na wystawie leży efektowny kapelusz ozdobiony herbacianymi i czerwonymi różami, wstążkami, guzikami, piórami, szpilkami i koronką. Przypomina polukrowany tort. Wokół starannie rozłożono kupony materiałów w jaskrawych kolorach. Podejrzewam kobiecą rękę.

Wchodzę do sklepu przy akompaniamencie wesołego dźwięku dzwonka. Pojawia się około czterdziestoletni mężczyzna i wita mnie z uśmiechem. Od razu wiem, że to właściwe miejsce.

– Dzień dobry, panie Capland. Ufam, że jest pan w dobrym zdrowiu. Mam nadzieję, że będzie pan wiedział, kim jestem, kiedy powiem, że nazywam się... – Waham się. Kim jestem? – Nazywam się Amy Snow.

Joss Capland przypomina brata tylko dzięki ciemnej karnacji. Jest niższy, szczuplejszy i ma wyraźny południowy akcent z dziwną domieszką, której nie potrafię rozpoznać. Tak czy inaczej, jest bardzo miły. Gdy jedziemy z turkotem jego dwukółką, mamy mnóstwo czasu na pogawędkę. Natychmiast się zorientował, kim jestem, i szybko opuścił sklep, który kazał zamknąć Sampsonowi, chłopcu w wieku około dwunastu lat.

Spytałam, czy Sampson to jego syn. Joss Capland uśmiechnął się i przygryzł wargę.

– Nie, panno Snow. Sampson to terminator. Mój syn jest jeszcze za mały do pracy w sklepie, choć jego entuzjazm nie zna granic.

Caplandowie mieszkają w Fountain Cottage w Heworth, porośniętej drzewami wiosce na północny wschód od Yorku. Jest wietrzny poranek – chwilami pada deszcz, czasem zza chmur wychodzi blade słońce. Północna część Anglii jest znacznie chłodniejsza od Bath, ale to nie dlatego mam dziś dreszcze. Wzięłam ze sobą najcieplejszy fioletowy szal. Zęby szczękają mi z podniecenia i mam wrażenie, że moje stopy zmieniły się w sople lodu. Siedzę obok mężczyzny, który może mi wszystko wyjaśnić i sprawić, że moja wędrówka się zakończy – że poznam rozwiązanie zagadki. Jedziemy trawiastymi drogami wśród pól, w cieniu rozłożystych dębów. Okolice jest płaska, w powietrzu unosi się woń roślin. Przyjemnie jest być znowu na wsi i słuchać śpiewu drozdów.

Joss Capland gawędzi o nieistotnych sprawach i mówi, że jeśli wiatr wieje w odpowiednim kierunku, dźwięk dzwonów katedry dociera aż tutaj. Później mruga do mnie i wyjaśnia, że nie może mi nic powiedzieć pod nieobecność żony, bo spotkałyby go straszne konsekwencje.

– Bardzo pragnie panią poznać. – Uśmiecha się.

Domu jeszcze nie widać, gdy na trawiastej drodze pojawia się kobieta w białej sukni. Biegnie w naszą stronę, machając rękami, a za nią dzielnie podąża mała dziewczynka.

– Panno Snow, to pani, prawda?! – woła, choć koń jeszcze się nie zatrzymał. Jestem zdumiona.

– Wreszcie nas znalazła, Elspeth! – mówi pan Capland. Zatrzymuje dwukółkę i zeskakuje na ziemię. Całuje żonę, po czym wyciąga do mnie rękę, by pomóc mi wysiąść. Stoję naprzeciwko najładniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widziałam, nie licząc Aurelii. Pani Capland ma ciemne włosy, podobnie jak mąż, i wielkie, lśniące, ciemne oczy. Dziewczynka wreszcie dogania matkę, chwytając ją za suknię i przygląda mi się uważnie. Wygląda jak miniaturowa kopia matki. Jest tak prześliczna, że z mojej piersi

wyrywa się okrzyk zachwytu i klękam przed nią na trawie. Rozpromienia się – ma uśmiech ojca.

– Panno Snow, wiedziałam, że to pani – znów odzywa się pani Capland. – Zauważyłam dwukólkę z okna na piętrze. O tej porze mogło to oznaczać, że Joss wcześniej zamyka sklep albo przyjechała panna Snow. Kiedy zobaczyłam z mężem młodą kobietę, domyśliłam się, co się stało. Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać.

– Panno Snow, czy wolno mi przedstawić moją żonę, Elspeth, i córkę Verity?

Wstaję, by się przywitać z Elspeth Capland, ona zaś ściska moją dłoń i całuje mnie w policzek. Jestem wzruszona miłym powitaniem.

– Ja też jestem szczęśliwa, że panią spotykam, ale czy mogłaby pani mówić do mnie Amy?

– Naturalnie. Zapraszamy do domu. Proszę czuć się jak u siebie.

Elspeth bierze Verity na ręce, a Joss prowadzi konia. Idziemy razem w stronę domku.

– Gdzie Louis, kochanie? – pyta Joss.

– Próbowałam go namówić, by odpoczął. Właśnie wtedy was zauważyłam.

Joss wybucha śmiechem.

– Namówić Louisa do odpoczynku?!

– Tylko próbowałam, co oczywiście nie znaczy, że mi się udało. Ach! – dodaje ze smutnym uśmiechem. – Oto i on. Amy, to mój nieokiełznany syn, Louis.

Z piersi wyrywa mi się westchnienie. Prawie doszliśmy do kwadratowego domku o brązowych ścianach, obrośniętego białymi różami pnącymi, lecz w tej chwili nie zwracam na nie uwagi.

W salonie Hatville Court wisi portret przedstawiający Aurelię w wieku około czterech lat siedzącą na kolanach matki. Mam wrażenie, że Aurelia zesza z obrazu i biegnie w moją stronę po pokrytej kamiennymi płytami ścieżce przy domu Caplandów. Jej długie kasztanowe włosy lśnią w słońcu.

– Wróciłeś do domu, tato! – Zauważywszy nieznaną osobę, chłopiec zatrzymuje się i chowa za matkę. Przygląda mi się z bezpiecznego miejsca błyszczącymi, fiołkowymi oczyma. – Mamo, kim jest ta ładna pani?

Elspeth klęka.

– Louis, kochany, to pani Amy Snow. Opowiadaliśmy ci o niej, pamiętasz? W końcu nas odwiedziła.

Louis uśmiecha się, zadowolony.

– Zostanie na lunch? Obejrzy ze mną ogród? Przeczyta mi bajkę?

Znów do złudzenia przypomina Aurelię, ubrany w ciemnogramatowy strój marynarski, czupurny, pełen niespożytej energii, z twarzą cherubina.

Joss wyciąga rękę, unosi chłopca i wiruje wraz z nim na trawie. Louis piszczy z radości, a jego stopy są prawie niewidoczne. Wydawane przez niego dźwięki przypominają śpiew ptaka.

– Sama widzisz, Amy... – mówi cicho Elspeth. – Wytlumaczmy ci, gdy dzieci czymś się zajmą.

Bierze mnie za rękę. Moje oczy wypełniają się łzami.

– Moja droga... – szepce.

To wystarczy.



Oczywiście coś podejrzewałam, lecz podejrzewania nie przygotowały mnie do spotkania z Louisem. Kiedy widzę żywe wcielenie Aurelii, czuję się jak żagiel wydmuty przez wiatr. Sztywnieję ze zdumienia.

Rodzice z namaszczeniem przedstawiają chłopca, który składa ukłon i ściska moją dłoń. Pochyliam się i ujmuję małą rączkę. Mam wrażenie, że śnię. To najdziwniejsze przeżycie, jakie mnie spotkało po śmierci Aurelii. Jej syn, gdzieś w hrabstwie York. Wszystko znikło – rozkołysane drzewa, wiatr, który przegnał ulewę, trawiasta droga – został tylko Louis. Pragnę go przytulić i obsypać pocałunkami, ale jestem dla niego obcą kobietą. Dlatego się powstrzymuję, choć oczywiście nie mogę oderwać od niego oczu. Mówi, że cieszy się z poznania mnie, i znów mówi o ogrodzie i bajkach. Mam ochotę zgodzić się na wszystko, czego chce, byle tylko cieszyć oczy jego widokiem – gładkie, pulchne, różowe policzki, silny podbródek świadczący o zdecydowaniu... wszystko takie znajome, lecz małe i osobliwe.

– Może Amy chciałaby najpierw wejść do domu, Louisie? – odzywa się łagodnie matka. – Może chce jej się pić albo jest zmęczona? – Patrzę jej w oczy i czuję, że rozumie moje zdumienie.

Louis zgadza się odłożyć na chwilę naszą wyprawę do ogrodu.

– Chyba że wolałabyś... – dodaje Elspeth. – Moglibyśmy iść z Verity do domu, gdybyś chciała najpierw spędzić trochę czasu z Louisem. Decyzja należy do ciebie.

Stopniowo znów zwracam uwagę na otoczenie: drogę, lekki wiatr, blask słońca. Głęboko oddycham chłodnym, czystym powietrzem. Kiedy się odzywam, mój głos odrobinę drży.

– Jest taki śliczny ranek... Może mimo wszystko najpierw obejrzę ogród, a potem możemy posiedzieć razem.

– Bardzo się cieszę, panno Amy! – mówi piskliwie Louis i bierze mnie za rękę. – Tędy! Chcę ci pokazać fontannę!

Podążam za chłopcem, mając wrażenie, że cofam się w czasie. Ogród jest przepiękny. Jest w nim fontanna i gołębnik, wszędzie rosną łąbiny i malwy. Na trawniku kwitną stokrotki i widać wysokie żywopłoty z wiciokrzewu. Louis objaśnia znaczenie każdego szczegółu i pokazuje swoją tajemną kryjówkę w żywopłocie. Idąc za nim, powracam do krainy dzieciństwa, pełna zachwyty jak mała dziewczynka zafascynowana baśniowymi tajemnicami ogrodu. Doskonale pamiętam to uczucie.

Moje komentarze podobają się Louisowi. Kiedy wyjaśniam, że znam się na ogrodach, bo w jego wieku zwykle jeździłam taczka, przez chwilę nie może wydobyć z siebie głosu. Pyta, czy będę wozić go

na taczce.

Na trawnik wybiega biały kotek, a ja siadam na ławce i patrzę zafascynowana, jak Louis się z nim bawi. Jest tak podobny do Aurelii. Śmiech, radość, promiennosc...

Mój biedny, zdumiony umysł powoli wraca do życia. Stopniowo pojawiają się myśli. Teraz wszystko nabiera sensu – a przynajmniej zaczyna. Oto właśnie sekret, który warto chronić za pomocą ukrytych listów i wskazówek zawierających podstępne pułapki, dla którego warto podróżować po całej Anglii. Louis ma w sobie coś czarodziejskiego. Czuję, że zrobiłabym wszystko, by był bezpieczny, i pogodziłam się już z wszelkimi trudnościami, które musiałam pokonać, by tu dotrzeć. Niezwykłe środki ostrożności zastosowane przez Aurelię, by chronić jej sekret – dziecko – stają się teraz całkowicie jasne. Louisa nie spotka los Aurelii. Nie podąży drogą, która zupełnie do niego nie pasuje, nikt mu nie powie, z kim może się przyjaźnić, a z kim nie. Nikt nie będzie poskramiał jego natury, jak to próbowała robić matka Aurelii. Nikt nie okiełzna wrodzonych cech jego jasnej duszy. Caplandowie to dobrzy ludzie, łatwo to spostrzec, kochająca, normalna rodzina. Louis będzie szczęśliwy.

Och, pomyśleć, że Aurelia nigdy nie zobaczy swojego syna chodzącego do szkoły, stojącego się mężczyzną... Och, gdyby Vennawayowie wiedzieli!

– Dlaczego jest pani taka smutna, panno Amy? Pani płacze? – Louis wdrapał się na ławkę obok mnie i puścił kotka, który skacze na tylnych łapkach, szarpiąc mu pazurami buty. Ujmuję drobną rączką moją dłoń.

– Myślałam o swojej ukochanej przyjaciółce, która umarła, Louisie. Ciągłe za nią tęsknię i przyszło mi do głowy, że bardzo by się ucieszyła, gdyby mogła cię poznać i zobaczyć ten piękny ogród.

Chłopiec marszczy brwi, a ja zastanawiam się przez chwilę, czy rozmawiając z takim małym dzieckiem, powinnam wspominać o śmierci.

– Miałam żabę, która umarła – mówi w końcu. – Było mi smutno. Nazywała się Gregory. Gdybym poznał pani przyjaciółkę, pokazałbym jej swoją kryjówkę w żywopłocie. Ciekawe, czy by się jej podobała?

– Byłaby zachwycona, bo uwielbiała tajemnice i przygody. Zawsze świetnie się bawiłyśmy. Kiedy byłam mała, szukała ze mną skarbów w ogrodzie. To było fantastyczne.

– Jak się szuka skarbów?

– Nigdy tego nie robiłeś? Cóż, Louisie, któregoś dnia przygotuję dla ciebie skarb i wtedy zobaczysz.

Po pewnym czasie do ogrodu przychodzą Elspeth, Joss i Verity. Przynoszą dzbanek lemoniady. Oczy znów zachodzą mi łzami. Aurelia uwielbiała lemoniadę, nigdy nie spotkałam nikogo, kto by tak ją lubił. W dalszym ciągu najbardziej wzruszają mnie drobne rzeczy, ale straciłam ją zaledwie przed pięcioma miesiącami, choć teraz mam wrażenie, jakby to było wiele lat temu.

Dzieci bawią się w bezpiecznej odległości, a my rozmawiamy. Na początku Joss wręcza mi grubą kopertę z moim imieniem napisanym ręką Aurelii. Podobnie jak wszystkie poprzednie listy, koperta znika w mojej kieszeni. To ostatnia wiadomość od Aurelii, więc jest dla mnie szczególnie cenna. Teraz chcę poznać ludzi, którym powierzyła swojego ukochanego syna. Chcę się wszystkiego dowiedzieć.

– Historia tak naprawdę rozpoczyna się od dzieciństwa Jossa w Walii – mówi Elspeth. – Opowiedz, Joss.

Joss kiwa głową.

– Naturalnie. Urodziłem się w Walii i bardzo szybko straciłem rodziców. W ogóle ich nie pamiętam. Podobno pochodziłem z górniczej rodziny, ale najbliższy sierociniec znajdował się w Cardiff i wysłano mnie tam, kiedy miałem dwa lata. Był to sierociniec nie gorszy od innych, ale nie czułem się w nim szczęśliwy. Prowadzili go ludzie, którzy nie przejawiali większego zainteresowania swoją pracą i wykonywali ją tylko dla zarobku. Dzieci nie zachęcano do zawierania przyjaźni, a edukacja ograniczała się do podstaw: liczenie do dziesięciu, umiejętność podpisania się i tak dalej. Wszyscy wiedzieliśmy, że w wieku ośmiu lat musimy odejść, i nie mieliśmy żadnych złudzeń, jaka przyszłość nas czeka. Była to ponura egzystencja.

Ale kiedy miałem sześć lat, spotkało mnie największe szczęście, jakie można sobie wyobrazić. Jedna z członkiń rady nadzorczej sierocińca, lady Everdene, miała przyjaciela Johna Caplanda, który napisał do niej z Yorku. Chciał zaadoptować chłopca. Owdowiał, rozumiesz, i miał tylko jednego syna Jeremiaha. Postanowił nie żenić się ponownie, bo bardzo kochał zmarłą żonę, lecz chciał, by syn wychował się w jak najlepszych warunkach. Uznał, że powinien mieć brata.

Odwiedził lady Everdene, ona zaś zaproponowała, by adoptował chłopca z sierocińca w Cardiff. Wybrała czterech chłopców, którzy wpadli jej w oko, po czym pozwoliła panu Caplandowi spotkać się z nimi i dokonać wyboru. Ten dzień zmienił całe moje życie. Oczywiście nie miałem pojęcia, czemu rozmawiam z nieznanym panem, ale była to przyjemna odmiana w monotonnym życiu. Gdybym

wiedział, że mam szansę trafić do zamożnej rodziny, że mój los może się zmienić, napięcie byłoby nie do zniesienia. Ale o niczym nie wiedziałem. I wybrał właśnie mnie.

Odbyłem długą podróż do hrabstwa York wraz z nowym ojcem i lepiej go poznałem. Był dobrym człowiekiem, Amy. Już nie żyje i nawet teraz, po pięciu latach, ciągle czuję ból z tego powodu. Poznałem swojego starszego brata Jeremiaha, który miał wtedy dziewięć lat. Wiele razy dowodził mi, że potrafi mnie pokonać w walce – był, i ciągle jest, trzy razy większy ode mnie – ale w końcu zostaliśmy przyjaciółmi, a potem prawdziwymi braćmi.

Dwa lata później lady Everdene, wówczas pani Hamilton z Truro, przekazała mojemu ojcu znaczną sumę pieniędzy, by zapewnić przyszłość jego synom. Zaproponowała mu adopcję, a że nie miała własnych dzieci, postanowiła pomóc naszej rodzinie. Ojciec postąpił sprawiedliwie, podzielił równo pieniądze i stworzył nam takie same możliwości. Lecz okazaliśmy się zupełnie inni. Jeremiah został terminatorem u rzeźnika w Yorku, co bardzo mu się podobało. Nie chciał opuszczać domu. Ja pojechałem do szkoły w Londynie. Spędzałem wakacje z rodziną, ale uwielbiałem szkołę i bardzo chętnie się uczyłem.

Minęły trzy lata i Jeremiah kupił ten sklep rzeźniczy, w którym terminował, bo otrzymał taką samą sumę, jaką wydano na moją edukację. Ja również chciałem mieć sklep, podobnie jak brat, ale nie sklep rzeźniczy – o nie! Pragnąłem prowadzić ładny, dochodowy zakład, gdzie mógłbym spotkać piękną damę i zakochać się w niej do szaleństwa.

– W tym momencie pojawia się ja! – wtrąca z uśmiechem Elspeth. Mogłam się tego domyślać. – Miałam dwadzieścia lat i byłam zaręczona ze szkutnikiem z Whitby o nazwisku Sam Perrin.

– Nigdy nie spotkałem Sama Perrina – wtrąca Joss. – Ale gdybym go spotkał, naplułbym mu w gębę.

– Moim zdaniem nie powinieneś już być zazdrosny, kochanie – mówi z lekkim wyrzutem Elspeth. –

Było to wiele lat temu. Tak czy inaczej, Amy, moja matka zabrała mnie do Yorku, by kupić mi wyprawę, bo wszyscy słyszeliśmy o nowym sklepie tekstylnym, który tam otwarto. Prowadził go przystojny młody człowiek, który, jak nam powiedziano, skończył szkołę w Londynie. Miał kontakty ze wszystkimi modystkami i sprzedawał najmodniejsze londyńskie stroje z jedną trzecią stołecznych cen. Wyglądało na to, że w ciągu ostatniego roku jego sklep odwiedziło mnóstwo młodych dam. Naprawdę mnóstwo – powtarza z naciskiem.

– Chciałem odnieść sukces w interesach i to mi się udało – zauważa zadowolonym tonem Joss. – Rzeczywiście poznałem wiele młodych dam, ale tylko jedna naprawdę mi się spodobała i została ze mną na całe życie.

– Pobraliśmy się – zakończyła Elspeth. – Zerwałam zaręczyny i zламаłam serce matce.

– I chyba Samowi Perrinowi – wtrącam.

– Och, Sam znalazł w ciągu roku inną pannę, więc się nim nie martwię. Ale matka jeszcze nie doszła do siebie! W każdym razie jestem szczęśliwą żoną i, jak widzisz, mamy piękny dom, ale Bóg nie pobłogosławił nas potomstwem. Przez dziesięć lat nie mieliśmy dzieci. Przekonywaliśmy się, że i tak jest

wiele rzeczy, za które powinniśmy być wdzięczni, lecz przyznaję, że brak potomstwa budził w nas wielki smutek. Bardzo wielki.

Zastanawialiśmy się nad adopcją, ale czułam zabobonny lęk, że uniemożliwi nam to poczęcie własnego dziecka. Aż pewnego dnia, blisko cztery lata temu, pojawił się u nas gość, członkini rady nadzorczej sierocińca. Opowiedz, Joss.

– Cóż, tak, sama wizyta nie miała w sobie nic nadzwyczajnego. Lady Everdene (jak się nazywała w Cardiff) przez wszystkie lata utrzymywała kontakt z moim ojcem i od czasu do czasu przyjeżdżała, by zobaczyć, jak się miewam. Interesuje się sprawami innych ludzi. Po śmierci ojca utrzymywała kontakt ze mną. Wspomniałem, że lady Everdene stała się panią Hamilton. W ciągu lat wiele razy zmieniała wcielenia i nazwiska, gdy jej mężowie umierali lub znikali. To... hm... niekonwencjonalna osoba, ale czy to ważne? Gdyby nie ona, nie poznałbym swojego ojca, brata ani żony. Kiedy pojawiła się w moim domu w tysiąc osiemset czterdziestym czwartym roku, nazywała się Riverthorpe.

– Pani Riverthorpe! – Jak mogłam się tego wcześniej nie domyślić?!

– Istotnie. Jak już wspomniałem, sama wizyta nie miała w sobie nic nadzwyczajnego, lecz zdumiewający okazał się jej rezultat. Pani Riverthorpe wkroczyła do naszego domu i oznajmiła, że musimy wyświadczyć jej przysługę. Zgodziłem się, myśląc, że mam nawiązać współpracę z jakąś modystką, a może towarzyszyć pani Riverthorpe w podróży, bo była już wtedy bardzo stara... Ale nie. Poprosiła, byśmy przyjęli do naszego domu gościa, młodą damę, która miała spędzić u nas kilka miesięcy. Młoda dama była w błogosławnym stanie, a po porodzie mieliśmy adoptować jej dziecko...

Państwo Caplandowie milczeli przez chwilę z nostalgicznymi, nieco zdziwionymi minami. Parskam śmiechem, wyobrażając sobie tę scenę.

– Oczywiście było to zdumiewające żądanie – ciągnie Elspeth – i, jak się domyślasz, miałam poważne zastrzeżenia. Doszło do ostrej sprzeczki, bo pani Riverthorpe jest przyzwyczajona do stawiania na swoim, jak zapewne wiesz. Nie chciałam się zgodzić, by zmieniła dla kaprysu całe nasze życie, tylko dlatego, że Joss ma wobec niej dług wdzięczności. Rozumiałam trudną sytuację młodej damy i współczułam jej, ale bałam się adopcji i nie chciałam zmieniać swojego nastawienia. Nie wiem, czy uważasz to za dziwaczne, ale była to emocjonalna reakcja na osobiste rozczarowanie. W końcu doszliśmy do kompromisu. Mieliśmy się spotkać z młodą damą. Zgodziliśmy się przynajmniej na to.

I w ten sposób następnego dnia na progu naszego domu zjawiała się Aurelia, blada, słaba i roztrzęsiona. Mimo to w dalszym ciągu była wyjątkowo piękną dziewczyną i ujęła nas serdecznością... Opowiedziała nam swoją historię, bardzo szczerze opisała, jak znalazła się w tej trudnej sytuacji.

– Kiedy dowiedzieliśmy się, że wkrótce umrze, spojrzeliśmy na wszystko w innym świetle – mówi Joss. – Ale kiedy opowiedziała nam o swoich rodzicach, bardzo się zmartwiłem. Nie obawiałem się ich wpływów i władzy, tylko nie podobała mi się myśl, że uniemożliwię dziadkom kontakt z wnukiem, że odbiorę dziecko rodzinie. Spędziliśmy dużo czasu z Aurelią. W końcu u nas zamieszkała. Poznała nas i dowiedzieliśmy się wiele o jej życiu.

– Moim zdaniem od początku czuła się tu bezpiecznie – wtrąca Elspeth. Łatwo mi w to uwierzyć. – Przebywała bardzo daleko od domu i pozwoliła, byśmy się nią zaopiekowali... Myślę, że trochę odzyskała siły. Jednak w czasie pobytu u nas nie była zdrowa. Cięża bardzo ją wyczerpała. Niewątpliwie dowiesz się z jej listu, jak ułożyły się nasze stosunki, a ostateczny efekt już widziałeś. Naszym zdaniem Louis wygląda jak Aurelia przed chorobą. Naturalnie jesteś w stanie lepiej to ocenić.

– A Verity?

Elspeth się roześmiała.

– Okazało się, że moje lęki były nieuzasadnione, całkowicie nieuzasadnione. Louis miał pół roku. Aurelia wyjechała cztery miesiące wcześniej. Odkryłam, że jestem brzemienna. Joss i ja nie mogliśmy uwierzyć, choć słyszeliśmy, że zdarza się to czasem po adopcji. Cóż, Aurelia zawsze powtarzała, że możemy wiele zrobić dla Louisa, ale żadne z nas nie podejrzewało, że możemy mu dać siostrzyczkę!

– A teraz mamy nadzieję, że będzie miał również ciocię – dodaje Joss, spoglądając na mnie uważnie. – Powiedzieliśmy mu o przyjaciółce naszej rodziny. Bardzo się cieszył, że pozna ciocię Amy! Spędzaj z nami jak najwięcej czasu. My także pragniemy cię lepiej poznać, ale... Mamy nadzieję, że będziesz... szczęśliwa.

Szczęśliwa. Tak.

Minie dużo czasu, nim złożę to wszystko w całość w sercu i głowie, ale nie ma tu pani Riverthorpe, która by ze mnie szydziła, więc chyba nie muszę się śpieszyć.

Patrzę na syna Aurelii bawiącego się na trawie z siostrą i mruczę: „Ciocia Amy...”. Uśmiecham się.

Wracam do hotelu Jupiter dopiero o dziesiątej wieczorem. Joss odwozi mnie swoją dwukółką. Louis chciał z nami jechać, choć już trzy razy kładziono go spać. Jego prośba spotkała się z grzeczną, lecz stanowczą odmową.

W hotelu czeka na mnie krótki list od pani Riverthorpe. Łaskawie zgadza się zakończyć moje męczarnie – tak to określa – pod warunkiem że natychmiast spalę list. Każe mi odwiedzić Jossa Caplanda, kupca tekstylnego na ulicy High Petergate. Prosi również, bym dalej z nią korespondowała, i pozwala odwiedzić się w Bath w dogodnym dla mnie terminie. Uśmiecham się, składając list.

Wzywam pokojówkę i proszę, by przysłało mi talerz z kanapkami. Czuję się okropnie, gdyż zdaję sobie sprawę, że wieczorne kaprysy bogaczy to przekleństwo służących cały dzień harujących w kuchni. Chętnie sama przyniosłabym sobie kanapki, lecz oczywiście nie wchodzi to w rachubę. Ale zakończenie moich poszukiwań, wolność i status cioci budzą we mnie wilczy apetyt.

Siedzę przy stole w swoim pokoju, ciągle całkowicie ubrana. Jem kanapki i czytam list od Aurelii. Jest długi i cieszę się z tego. Mam milion pytań.

*Moja Najdroższa Amy!*

*Niewątpliwie będzie to mój najdłuższy list do Ciebie. Sama nie wiem, od czego zacząć. I ostatni – sama ta myśl łamie mi serce. Trochę to głupie, że żegnam się z Tobą na zawsze, choć przecież jutro się zobaczymy. Tak wiele przed Tobą ukrywałam. Listy to jedyny sposób, by przerwać milczenie. Kiedy skończę pisać, nie będę miała przed Tobą żadnych tajemnic.*

*Zastanawiam się, czy jesteś na mnie zła, że nic Ci nie powiedziałam. Nie ośmieliłam się wspomnieć Ci o Louisie. Miałabym zbyt silną pokusę, by mówić o nim bez przerwy. Wiem, że Ty reagowałabyś tak samo. Ktoś mógłby nas podsłuchać. Jestem zupełnie pewna, że później moi rodzice nie cofnęliby się przed niczym, by wyciągnąć od Ciebie wszystko, co wiesz. Muszę odłożyć tę sprawę na później i żyć, jakby nic się nie stało – taką podjęłam decyzję.*

*Wreszcie mogę pisać swobodnie. Wiem, że Joss będzie strzegł tego listu nawet z narażeniem życia. Jeśli go czytasz, dotarłaś do końca podróży i poznasz całą moją historię. Tego wieczoru, sama w swoim pokoju, mogę zrzucić ciężar z serca i wypełnić luki w Twojej wiedzy. Później mogę się tylko obawiać, że ktoś odkryje list, nim zdążę go wysłać. Postąpię z nim tak samo jak*

z pozostałymi.

*Piszę do Ciebie, Najdroższa, późnymi wieczorami. Chowam swoje sekrety pod poduszką i zrywam się wcześnie rano, by iść na pocztę, nawet jeśli jest brzydka pogoda lub źle się czuję. Szybko opuszczają mnie siły i muszę to skończyć, nim stanę się całkowicie niesprawna. Listy nie znajdują się na terenie posiadłości Vennawayów ani sekundy dłużej, niż to konieczne. Osobiście oddaję je do rąk własnych pannie Penelope Lambert, kierownicze poczty!*

Przerywam lekturę i śmieję się z innego wspomnienia dawnego życia. Oddanie listu Penelope przypominało zamknięcie go w skrzyni, wrzucenie jej do morza i dla pewności zniszczenie klucza. Zawsze chodziłyśmy razem na pocztę, by wysłać listy, choć mogliby to robić służący. Uwielbiałyśmy liczyć, ile razy w czasie każdej wizyty panna Lambert powie o sobie z dumą: „Panna Penelope Lambert, kierowniczka poczty”.

Życie składa się z niezliczonych szczegółów, spotkań. Tracąc Aurelię, straciłam przyjaciółkę, która je znała. Chciałabym opowiedzieć Henry’emu o tych drobnych rzeczach. Może zrozumie? Może nawet mu się spodoba?

*Jeśli czytasz ten list, poznałaś Louisa. Amy, to mój syn! Oczywiście nie jest już moim synem, tylko synem Jossa i Elspeth, a jednak... Nie mogę o nim myśleć inaczej.*

*Obecnie (to znaczy w chwili pisania tego listu) Louis ma prawie rok. Raczkuje, gaworzy i śmieje się, ale ja widziałam go tylko jako niemowlę. Podobnie jak Ty i ja, Amy, urodził się w zimnej porze roku. W listopadzie, gdy niebo jest szare, pada deszcz, a korony drzew są nagie. Doprawdy, możesz pomyśleć, że powinnam wybrać lepszy moment!*

*Och, gdybym mogła napisać więcej o Louisie, opowiedzieć Ci o swojej miłości do syna! Ale najpierw muszę się zająć Twickenham. W tym liście muszę Ci przekazać konkretne informacje, a nie sprawiać sobie przyjemność (choć, jak dobrze wiesz, nigdy nie odmawiam sobie drobnych przyjemności).*

*A zatem mieszkałam w Twickenham, ciesząc się życiem z rodziną Wisterów. Całkowicie zapomniałam o Bailorze Dunthornie. Czułam, że wreszcie mam coś, czego mi od dawna odmawiano. Uważałam, że doda mi to sił po powrocie do domu. Jak wiesz, zamierzałam wrócić wcześniej i zrobić Ci niespodziankę. Bardzo za Tobą tęskniłam.*

*Robert Burns miał całkowitą rację, gdy napisał: „Przemysłne plany myszy i ludzi, a nawet Vennawayów, w gruzy się walą”<sup>2</sup>. (Pan Henley powiedziałby, że zbyt swobodnie potraktowałam cytaty, ale jestem pewna, że Burns wspomniał o Vennawayach w jednym z brudnopisów tego wiersza).*

*Często zmagalam się ze swoim zdrowiem w czasie pobytu w Twickenham, Amy. Próbowałam to bagatelizować w listach do Ciebie, bo nie chciałam, byś się obawiała, że nie wrócę. Źle się*



*czułam i nie spodziewałam się, że to się zacznie tak szybko.*

*Chyba nigdy nie wspomniałam, że w tym czasie pani Bolton była nieobecna. Miała sprawy w Londynie, a ja nie chciałam opuszczać jej krewnych. Jednak po kilku tygodniach wróciła i wkrótce wzięła mnie na stronę.*

*„Aurelio, czy to możliwe, że spodziewasz się dziecka?” – spytała. Bardzo otwarta przyjaciółka! Jak wiesz, pani Bolton nigdy nie owijała niczego w bawełnę.*

*Uderzyły ją zachodzące we mnie zmiany. Codziennie rano dokuczały mi mdłości i zawroty głowy. Jednak zauważyła, że mimo osłabienia w szczególny sposób rozkwitam!*

*Czy uznasz mnie za głupią, gdy powiem, że nigdy nie przyszło mi to do głowy? Oczywiście miałam objawy fizyczne, ale byłam zbyt zajęta, by zwrócić na nie uwagę – zbyt dobrze się bawiłam i z determinacją walczyłam o własne zdrowie, by żyć i bawić się jeszcze lepiej!*

*Kiedy odpowiadałam na jej pytanie, kręciło mi się w głowie, a pani B. uznała, że jej podejrzenia mogą być słuszne. Wiedziałam, że ma rację. Nigdy nie przyszło mi to nawet do głowy i teraz doznałam olśnienia. Przeczynałam, że nie umrę po opuszczeniu Hatville! Moja słabość miała inne przyczyny.*

*Spoglądając wstecz na dwadzieścia trzy lata swojego życia, widzę trzy wydarzenia, które zapamiętałam szczególnie wyraźnie, z niezwykłą jasnością – w tych chwilach byłam absolutnie pewna, że moje życie na zawsze się zmieni. Pierwsze wydarzenie to znalezienie Ciebie. Drugie to dzień, gdy zemdlałam w sadzie i zrozumiałam, że nie będę żyć wiecznie, a nawet długo. Trzecie to chwila, gdy stałam w ogrodzie Mulberry Lodge i zrozumiałam, że spodziewam się dziecka. Dotknęłam dłonią pnia brzozy i patrzyłam na czarno-srebrną korę. Ciągle mam ją przed oczami.*

*Moja droga Amy, wyobrażasz sobie, jak się czułam! Robin obiecał, że to się nie zdarzy! Sądzę, że to bardzo nieprecyzyjna sztuka, bo nie skrzywdziłby mnie świadomie. Było oczywiste, że nie mogę wrócić do Hatville w ciąży.*

*Pamiętam, jak napisałam na kartce, co się może stać (naturalnie od razu spaliłam tę koszmarną listę). Mogłam poronić, podobnie jak matka, której zdarzało się to wiele razy. Ale wiedziałam, że moje ciało jest uparte, i byłam pewna, że tak się nie stanie.*

*Mogłam się pozbyć dziecka. Pani B. zapewniła mnie, że można to załatwić, jeśli zna się właściwe (a może niewłaściwe!) osoby. Jak wiesz, to niezgodne z prawem, Amy, ale obiecała dyskretnie popytać, gdybym była zainteresowana. W ten sposób pojawił się kolejny powód, by trzymać wszystko w tajemnicy, bo należało chronić kolejną osobę. Wyobraź sobie, że moi rodzice by się dowiedzieli, że pani B. zachęca mnie do czegoś takiego! Niczego nie chcę przed Tobą ukrywać, Amy.*

*Cóż, odrzuciłam to rozwiązanie. Rozumiem, dlaczego korzystają z niego kobiety znajdujące się w rozpaczliwej sytuacji. Byłam przerażona, Amy, ale mimo strachu nie mogłam zamordować swojego dziecka. Znasz mnie. Nie potrafiłam zabić nawet muchy!*

Trzecia możliwość polegała na urodzeniu dziecka, a później... Porzuceniu go? Wykluczone. Zatrzymaniu i ukrywaniu się przez resztę życia? Wiesz, Amy, przez chwilę bardzo mnie to pociągało... Mogłabym podjąć taką decyzję i posłać po Ciebie, gdyby nie piekielny problem z moim sercem... Tylko tego brakowało, byś została sama na świecie z cudzym dzieckiem!

Mogłabym również przekazać dziecko kochającej rodzinie, by je zaadoptowała. (Piszę „dziecko”, moja droga, bo oczywiście wtedy nie wiedziałam, że będzie to Louis!). Wydawało się to najmniej egoistycznym rozwiązaniem. Czymś zupełnie nowym!

Była to jedyna droga, która dała mi nadzieję, lecz wszystko zależało od znalezienia właściwych ludzi, których nie znałam, podobnie jak pani B. Wtedy również trzeba by utrzymać sprawę w tajemnicy... Musiałabym bardzo długo nie wracać do domu...! Wyobrazasz sobie, jak nie spałam po nocach, zastanawiając się nad szczegółami, problemami, możliwymi rozwiązaniami... Przyjemne życie się skończyło. Pozostała tylko obsesja, by znaleźć najlepsze rozwiązanie.

Możesz podejrzewać, że czułam niechęć do dziecka, bo spowodowało, że moje szczęśliwe życie nagle się skończyło. To nieprawda. Ani przez chwilę. Chciałam je tylko chronić.

I teraz dochodzimy do sedna sprawy. Obie wiemy, że gdybym wróciła do Hatville z nieślubnym dzieckiem, rodzice dostaliby furii i chcieliby się zemścić. Doskonale to sobie wyobrażam, możesz być pewna! A jednak, Amy – Ty również zdajesz sobie z tego sprawę – w końcu by się z tym pogodzili. Rozpaczliwie pragnęli, by ród Vennawayów nie wygasł, i uważam, że to pragnienie pokonałoby wszelkie opory.

Po mojej śmierci moje dziecko wychowaliby dziadkowie, w domu rodzinnym matki, gdzie niczego by mu nie brakowało pod względem materialnym. A jednak...

Musiałam dokonać wyjątkowo dokładnej i beznamiętnej oceny własnego życia. Wiesz, na czym polegały liczne korzyści i dlaczego tak bardzo cierpiałam. Rozumiesz, dlaczego byłam wściekła na rodziców. Ale wtedy przede wszystkim myślałam o ich sposobie wychowywania, a także o licznych ciążach matki, które zawsze kończyły się jednakowo. Łzy i zakrwawione prześcieradła, nic więcej.

Straciła tyle dzieci! Kiedy zmagalam się w Twickenham ze swoim sumieniem, nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele razy poroniła – ale wiedziałam dostatecznie dużo, by jej współczuć, bo sama byłam brzemienna. Po moim powrocie dowiedziałam się, że w ciągu wielu lat straciła jedenaścioro dzieci. I urodziła mnie! Mam tylko jedno dziecko i nie potrafię sobie wyobrazić, ile wycierpiała. Uważam, że częściowo postradała rozum. Dzięki temu mogę jej wybaczyć zło, które mi wyrządziła. Jak widzisz, piszę ten list ze współczuciem, a nie jako wściekła, skrzywdzona córka.

A jednak.

Nie chciałam, by moje dziecko wychowało się w Hatville. Za żadne skarby!

*Wyobraź sobie, że urodziłabym dziewczynkę! Jak mogłabym świadomie narazić własną córkę na to, co mnie spotkało, po lordzie Kenworthym, po Bailorze Dunthornie, na litość boską?! A syn... Mogliby go ograniczać, zaszczepiać w nim absurdalne idee, mógłby cierpieć, gdyby miał duszę choćby odrobinę podobną do mojej. A gdyby stał się podobny do nich? Mój syn?! O nie, Amy, nie...*

*Ważne decyzje, prawda? Musiałam wziąć pod uwagę wiele kwestii i umysł miałam zmagony strachem. Niezależnie od tego, co bym postanowiła, należało działać bardzo szybko, bo gdybym zwlekała, sprawy nie dałoby się zachować w tajemnicy. Wiedziałam również, że potrzebuję pomocy lekarskiej.*

*Inna możliwość: niech dziecko wychowa ojciec. Ale Robin był częścią Hatville. Nie wątpiłam, że byłby czułym, dobrym ojcem. Nie miałam jednak pewności, że po mojej śmierci wychowa syna zgodnie z moimi życzeniami. Może uznałby, że dziecko powinno odziedziczyć fortunę i tytuł arystokratyczny? Czy byłby na tyle silny, by je ochronić przed potężnymi Vennawayami, gdyby się kiedykolwiek dowiedzieli? Kolejne ryzyko, na które nie mogłam się zdecydować.*

*Podjęłam decyzję. Postanowiłam żyć dostatecznie długo, by znaleźć dla dziecka właściwych rodziców. Musiałam żyć dostatecznie długo, by je urodzić. I musiałam żyć dostatecznie długo, by do Ciebie powrócić i jeszcze przez jakiś czas się Tobą opiekować. A wszystko to w tajemnicy. Cóż, nigdy nie bałam się wyzwania!*

*Podjąwszy decyzję, zwróciłam się do pani B. Dyskretnie wysłała list i wkrótce nadeszła odpowiedź. Poinformowała mnie, że pojedziemy do Yorku. Ucieszyłam się, bo było to bardzo daleko.*

*Nie wspomniałam o swoim sekrecie Wisterom, choć wiele razy miałam na to ochotę.*

Znów przypominam sobie uwagę Michaela, że Aurelia wyjechała nagle, i kolejny element łamigłówek wskazuje na swoje miejsce.

*Opuściłam przyjaciół z sercem pełnym żalu, chociaż nic nie może się równać z żalem, który czułam, gdy pisałam kolejne listy do Ciebie.*

*Oczywiście na początku nie mogłam nic powiedzieć. Nie miałam pojęcia, co napisać! Zatem wymyśliłam wymówkę, która, jak sądziłam, uśmierzy Twój niepokój. Teraz wiem, że tak się nie stało. Wymyśliłam ją w pośpiechu i bez wątpienia okazała się niewystarczająca. Kiedy pisałam, pamiętałam również o wścibskich oczach. Uważałam, że życie towarzyskie, niezliczone bale, nie zaniepokoją moich rodziców. Z pewnością sądziłaś, że postradałam zmysły!*

*Dlaczego właśnie Derby? Po prostu dlatego, że pani B. miała tam zaufaną znajomą, która mogła nadawać stamtąd moje listy. Nigdy nie przebywałam w tym mieście. W rzeczywistości nigdy nie przebywałam w bardzo wielu miejscach. Moja wielka podróż po Anglii, ekscytująca,*

przyjemna wędrowka po całym kraju, sprowadzała się w istocie do odwiedzenia trzech miast: Londynu, Twickenham i Yorku. Później wróciłam do Hatville.

Przybyliśmy do Yorku po niewiarygodnie długiej podróży koleją. Tak mi się przynajmniej zdawało, w moim stanie. Ale teraz, gdy siedzę wygodnie przy biurku, sama się zdumiewam. Można przejechać cały kraj w osiem godzin!

Jak Ci się podoba ten cudowny tort weselny nazywany katedrą w Yorku? Nieustanny dźwięk dzwonów, który zagłusza wszystkie myśli? (Cóż za błogosławiona ulga!). Dziwne wąskie uliczki, które wyglądają jak z opowieści braci Grimm? Szkoda, że nie możemy poznawać ich razem. Ale wierz mi, po przybyciu do miasta nie mogłam go zwiedzać – miałam na głowie ważniejszą sprawę!

Mieszkaliśmy w hotelu Jupiter. Może już go znasz. Spotkaliśmy tam starą przyjaciółkę pani B. Wcześniej do niej pisała, gdyż była to jedyna osoba, do której mogła się zwrócić – jedyna osoba mogąca pomóc w trudnej sytuacji. Oczywiście chodzi o panią Ariadne Riverthorpe.

Jak się później dowiedziałam, poznały się około dziesięciu lat wcześniej podczas jakiegoś seminarium w Bath. Stara pani R. wywarła wielki wpływ na młodą panią B., początkującą intelektualistkę, i od tamtej pory utrzymywały ze sobą korespondencję. Pani R. udzielała swojej protegowanej rad i wskazówek – niewątpliwie okropnych.

Zastanawiam się, jak spędzałaś czas w Bath, Amy. Kiedy o tym myślę, czasem się śmieję, a czasem mam wielkie wyrzuty sumienia! Kiedy po raz pierwszy spotkałam panią Riverthorpe, uznałam ją za najbardziej arogancką, niegrzeczną, niesympatyczną kobietę na świecie. Możesz sobie wyobrazić nasze kłótnie...

Jednak nasze debaty nie przypominały awantur w Hatville Court. Nie miały w sobie jadu. Były to normalne spory dwóch bardzo upartych kobiet mających własne zdanie. W trakcie tych sprzeczek pozbyłyśmy się czegoś niepotrzebnego i pozostało tylko to, co ważne. Myślę, że okazałyśmy się pokrewnymi duszami (choć mam nadzieję, że jestem znacznie przyjemniejszą osobą).

Jak zapewne już wiesz, pani R. uważa towarzystwo ludzi za bardzo niemiły, lecz nieunikniony aspekt życia. Uwielbia intrygować, wtrącać się do cudzych spraw. Wystarczy plotka o skandalu, a natychmiast zaczyna się nim interesować. Lubi się czuć użyteczna. Moim zdaniem uważa, że liczne przykrości, które ją spotykały w czasie długiego życia, nie poszły na marne, a liczne koneksje i doświadczenia pozwalają jej poradzić sobie prawie ze wszystkim. Krótko mówiąc, lubi pomagać, jeśli to możliwe. Oczywiście wtedy o niej tego nie wiedziałam. Miałam zamęt w głowie i widziałam tylko bardzo zdeterminowaną kobietę, która nagle się pojawiła, jakby spadła z nieba, i wszystkim się zajęła.

Po pierwsze, wezwała lekarza, którego dyskrecji była całkowicie pewna. W ten sposób zadbała, by mój stan zdrowia niepotrzebnie się nie pogorszył. Po drugie, gdy nabrała pewności,

że warto się mną zajmować, pojechała porozmawiać ze swoimi przyjaciółmi Caplandami. Powiedziała mi, że to bardzo dobrzy, sympatyczni ludzie, kochające się małżeństwo bez dzieci.

„Są wyjątkowo nudni i troskliwi – oznajmiła ze znużeniem. – Idealnie nadają się do wychowywania cudzego dziecka w tym męczącym, zatłoczonym, okrutnym świecie”.

Biedna pani Riverthorpe. Najpierw musiała walczyć z moimi kapryсами, a później Elspeth nie chciała się podporządkować. Możesz to sobie wyobrazić. Pewnego dnia na progu Twojego domu pojawia się odległa znajoma i mówi, że masz wziąć na wychowanie dziecko zupełnie obcej kobiety, które ma się dopiero narodzić! To dość niezwykła sytuacja. Na początku nie zdawałam sobie nawet sprawy, że pani R. nie mieszka w Yorku i że przyjechała z Bath po otrzymaniu listu pani B., choć w ogóle mnie nie znała. Jednak zgodziła się z panią B., że należy mnie jak najszybciej wywieźć jak najdalej od Hatville. Dlatego wszystkie ruszyliśmy do Yorku. A gdyby Caplandowie nie zgodzili się odegrać swojej roli? Powiedziała mi kiedyś, że potraktowałyby to jako przejażdżkę. Przejażdżkę! Osiemdziesięcioletnia staruszka wybierająca się w dwudniową podróż! Amy, pani Riverthorpe udaje rozczarowaną życiem miłośniczkę samotności, lecz ta kobieta potrzebuje ludzi jak ryba wody!

W końcu Joss i Elspeth zgodzili się ze mną spotkać. Resztę mogą Ci opowiedzieć sami. Polubili mnie, dzięki Bogu, i postanowili adoptować moje dziecko. To bardzo dobrzy ludzie, jak sama się przekonasz. Uwielbiają Louisa. Ich otwartość, serdeczność, poglądy na wychowanie dzieci idealnie zgadzają się z moimi pragnieniami, więc jestem zupełnie pewna, że nad Louistem Caplandem czuwają anioły.

Pozostały kwestie praktyczne. Oto, jak je rozwiązaliśmy. Joss i Elspeth mają niewielki domek na wrzosowiskach hrabstwa York, około godziny drogi od Fountain Cottage. Kiedy wszystko uzgodniliśmy, udałam się tam z Elspeth. Dzięki temu żadni sąsiedzi nie wiedzieli, że staję się coraz grubsza, a Elspeth wygląda normalnie.

Spotykaliśmy nieliczne osoby mieszkające w okolicy, którym przedstawiała mnie jako Nellę Cardew. Uznałyśmy, że lepiej się posługiwać przybranym nazwiskiem. Postanowiłyśmy utrzymać w sekrecie planowaną adopcję. Nie chciałam, by dorastające dziecko zadawało pytania o swoich prawdziwych rodziców. Nie mogło mieć żadnych możliwości na dotarcie do Hatville Court. Nie powinno czuć, że nie chciała go własna matka, bo kochałam je nad życie już przed narodzinami.

Cóż za ironia! Wyjechałam z Hatville, marząc o wyrafinowanym świecie, salonach, wykładach, debatach politycznych, balach, flirtach, a w końcu znalazłam się na ogromnym pustkowiu i patrzyłam na wrzosowiska zmieniające się w rytmie pór roku! Z początku byłam tak wstrząśnięta tym, co mnie spotkało, że nawet nie czułam smutku. Ale pobyt w bezpiecznym miejscu sprawił, że poczułam się dotkliwie rozczarowana. Jak się domyślasz, gorzko płakałam. Byłam bardzo niespokojna – to, co zgotował mi los, całkowicie odbiegało od moich wyobrażeń o szczęściu. Ale kiedy dziś o tym myślę, na mojej twarzy pojawia się uśmiech. Pamiętasz, jak Ci

mówiłam, że chciałabym, by moje życie, choćby krótkie, miało jakiś sens? Czy rzeczywiście wyobrażałam sobie, że mogę to osiągnąć dzięki wieczorkom towarzyskim i salonowym konwersacjom?

Caplandowie Cię tam zawiozą, Amy, i pokażą Ci miejsce, gdzie spędziłam lipiec, sierpień, wrzesień, październik, listopad... Patrzyłam na błękitne letnie niebo, a potem pojawiły się mgły i pożółkły liście. Powietrze stało się niebieskawe od dymu, dni stały się krótsze, nadeszły przymrozki... I przez cały czas rosło we mnie dziecko.

Lekarz nazywał się Challis. Był bardzo skrupulatny, bardzo delikatny i bardzo beznamiętny. Nie interesowało go, kim jestem, skąd pochodzę i dlaczego dwie kobiety mieszkają samotnie w domku na wrzosowisku, czekając na narodziny dziecka. Chciał, żebym przeżyła i żeby poród przebiegł bez komplikacji. Już na samym początku ostrzegł mnie, że jeśli nie będę dokładnie wykonywać jego poleceń (jak wiesz, dokładne wykonywanie poleceń nigdy nie było moją mocną stroną), sprawdzą się przewidywania doktora Jacobsa z Hatville – ciąża mnie zabije. Możesz się domyślić, że po raz pierwszy w życiu wykonywałam polecenia!

Musiałam dużo odpoczywać, odżywiać się bardzo prosto i codziennie odbywać krótkie spacerunki. Żadnych galaretek owocowych, szampana, tańców, wysiłków fizycznych, ekscytacji...

Co zrobiłam? Bardzo dokładnie poznałam niewielki zakątek wrzosowisk. Marzyłam, by dojść po horyzont, a potem iść dalej, lecz nie mogłam. Nigdy się nie dowiedziałam, co znajduje się za wzgórzem albo za zakrętem. Możesz spacerować w tych samych miejscach i myśleć o mnie.

Rozmawiałam z Elspeth. Codziennie po południu odpoczywałam i spoglądałam przez okno na chmury płynące po niebie. Czytałam. (Byłam bardzo zawiedziona, że Charles Dickens nie opublikował w tym roku żadnej powieści! To nieładnie z jego strony, że nie dostarczył mi rozrywki, gdy jej najbardziej potrzebowałam!). Rysowałam i malowałam. Nie wątpię, że Caplandowie w odpowiednim momencie pokażą Ci te „arcydzieła”. Joss odwiedzał nas dwa razy w tygodniu. Doktor Challis pojawiał się prawie codziennie. Raz przyjechała pani Riverthorpe, szybko się znudziła i wróciła do Bath. I pisałam do Ciebie...

Boleśnie wspominam Twoje podejrzenie, że w czasie wyjazdu pisanie listów do Ciebie zaczęło mnie śmiertelnie nudzić. Miałaś całkowitą rację, ale z innych powodów, niż przypuszczałaś. Sądziłaś, że byłam zbyt zajęta tańcami i flirtami, by pamiętać o młodej przyjaciółce, która pozostała w domu. Co za wstyd! A tak naprawdę... wstydziłam się, że nie mogę napisać prawdy. Mierziło mnie to. Kłamstwa, które wypisywałam, wydawały się płaskie, niesmaczne i smutne.

Losy dziecka były przesądzone, więc moja uwaga skupiła się na Tobie, najdroższa. Co miało Cię czekać po mojej śmierci? Nie chodziło tylko o kwestie finansowe. Musiałam znaleźć jakiś sposób, by zdradzić Ci swoją tajemnicę. Pewnego dnia wszystkiego się dowiesz – tak się pocieszałam po każdym nudnym, zmyślonym liście.

Pani B. podróżowała zgodnie z planem i wszystkie wyimaginowane miasta, o których pisałam,

to miejsca jej pobytu. Wysyłałam swoje listy doniej, a ona nadawała je w Manchesterze, Bath i Bóg wie, gdzie jeszcze, skąd docierały do Hatville. Moi rodzice musieli wierzyć, że przenoszę się stale z miejsca na miejsce i że mnie nie znajdą, nawet gdyby próbowali. Wyobraź sobie, że przez wiele miesięcy piszę do nich z zapadłej wsi w hrabstwie York! Natychmiast zaczęliby coś podejrzewać. Jak może pamiętasz, pisałam bardzo ogólnikowo, by się nie zdradzić.

Kiedy odpisywałaś (i rodzice także), pani B. przekazywała mi listy. Właśnie dlatego nasze listy wydawały się niezwiązane ze sobą, Amy. Nie chodzi o to, że Twoje listy mnie nie interesowały – po prostu ich nie czytałam!

Moi rodzice uważali, że ciągle odwlekam powrót, by uniknąć zaręczyn z Bailorem Dunthorne'em. Ale ich wściekłość nie miała żadnego znaczenia – nie mogli mnie odnaleźć. To, że istniało wiarygodne wyjaśnienie mojej niechęci do zakończenia podróży, miało wiele zalet, bo nie domyślili się prawdy. Po kilku miesiącach trochę się uspokoili i uznałam to za dość niezwykle. Ale nie chciałam o nich myśleć w czasie pobytu w hrabstwie York.

Mimo wszystko odnalazłam wtedy spokój, po raz pierwszy w życiu. Może się to wydawać dziwne, ale fatalna diagnoza wywarła na mnie mniejszy wpływ niż ciąża. Perspektywa bliskiej śmierci zasadniczo mnie nie zmieniła. Byłam ciągle tą samą Aurelią, pragnącą poznać świat i żyć zupełnie inaczej niż dotychczas. Ale kiedy się dowiedziałam, jakie cenne i uparte jest życie... cóż, to naprawdę mnie przeobraziło. Okazuje się, że śmierć to jedno, a życie to zupełnie coś innego, potężniejszego.

Pogodziłam się ze swoimi ograniczeniami (to skandal, że w ogóle istniały, wiem!). Pomógł w tym fakt, że doktor pozwolił mi się poruszać po małym skrawku wrzosowisk. Ta niewielka część świata całkowicie mnie zafascynowała. Kwitnące i więdnące kwiaty, krzątająca mrówek, padający deszcz, jego kierunek i nasilenie. Dojrzewanie młodej sroki, która na moich oczach zmieniała się z niezdarne pisklęciem w dorosłego ptaka pokrytego lśniącymi piórami. Nawet niewielki skrawek ziemi ma w sobie takie niezmiernie bogactwo, że działa ono przytłaczająco.

Louis Josslyn Capland urodził się 18 listopada 1844 roku. Poród nie był lekki, ale mnie nie zabił (jak z pewnością spostrzegłaś), a doktor Challis okazał się zręczny i starał się dodać mi otuchy. Trwało to sześć godzin. Rozumiem, że w przypadku pierwszego dziecka nie jest to dużo. Louis Capland okazał się upartą istotą, która koniecznie chciała ujrzeć świat!

Kiedy go zobaczyłam, Amy, kiedy wzięłam go na ręce... Przez kilka dni żyłam w nierzeczywistym świecie: mogłam z nim być, choć wkrótce musiałam się z nim rozstać. Przebywałam w towarzystwie małej istotki, która idealnie pasowała do moich ramion, przytulona do mojej piersi. Miałam wrażenie, że jest częścią mojego ciała jak ręka albo noga. Przez pierwsze dni sama opiekowałam się Louisem, przeżywając zupełnie nowe emocje.

Cierpienie i szczęście. Unosiłam się na promieniach nieziemskiego światła, pewna, że gdy nadejdzie czas, potrafię się wyrzec Louisa, bo miłość do niego czyni mnie naprawdę wielką.

Chwilami ogarniało mnie mroczne, gorzkie pragnienie – miałam ochotę uciec z nim na wrzosowiska, gdzie żywilibyśmy się jagodami, a potem umarli razem po nadejściu pierwszych śniegów. Było to tylko tym, czym musiało być: krótkim, pięknym interludium.

Po tygodniu wróciliśmy do Fountain Cottage. Elspeth Capland, jej nowo narodzone dziecko i wierna przyjaciółka Nella, która tak dobrze opiekowała się matką w trudnym okresie ciąży.

Pani Riverthorpe zaszczyciła nas kolejną wizytą. Pochyliła starczą twarz nad Louisem, po czym oświadczyła: „Trochę pomarszczony, ale jeszcze wyrośnie z niego niezłe ziółko”. Później wypita mnóstwo madery i wyjechała następnego dnia.

Doktor Challis dopiero w lutym uznał, że mogę podróżować. Do hrabstwa York przyjechała pani B., która odwiozła mnie do Londynu, po czym spędziłyśmy kilka tygodni w dzielnicy Belgravia, aż odzyskałam siły. Rozpoczęłam trudny proces odsuwania w przeszłość tego, co się stało. Moje ciało musiało się przyzwyczać do nieobecności Louisa i powinnam myśleć o przyszłości. Powinnam się stać fikcyjną Aurelią, która spędziła cały rok, zaspokajając każdą swoją zachciankę i bawiąc się zbyt dobrze, by wrócić do domu.

Poza tym musiałam zrobić zakupy! Nigdy nie sprawiało mi to mniejszej przyjemności, gdyż miesiące spędzone w hrabstwie York bardzo mnie zmieniły. Sklepy wydawały się zatłoczone i zbyt krzykliwe, męczył mnie hałas i ścisk towarzyszący sprawunkom. Jednak w ciągu ostatnich sześciu miesięcy chodziłam tylko w kilku niemodnych sukniach i parze zabłoconych butów.

Kiedy pewnego dnia robiłam zakupy na Regent Street, kogóż tam spotkałam? Bailora Dunthorne'a! Jeszcze nie wymyśliłam sposobu, jak uniknąć małżeństwa z nim, który byłby wiarygodny dla moich rodziców, lecz dowiedziałam się, że tymczasem sytuacja się zmieniła. Jeden z romansów Bailora doprowadził do urodzenia dziecka. Stary lord Dunthorne nigdy nie zaakceptowałby matki jako synowej (była chórzystką!). Ale stało się coś niewyobrażalnego. Bailor darzył ją uczuciem i nie chciał się z nią rozstać. Nie mógł jej poślubić, lecz chciał wychowywać swojego syna. Przywiózł chłopca do domu i choć opowiadał, że to osierocony syn przyjaciela, wszyscy znali prawdę. Nic dziwnego, że moi rodzice przestali pisać o zaręczynach. Nigdy nie zgodziliby się, by ktoś taki poślubił członka rodu Vennawayów! Och, jakże byli niezadowoleni z takiego obrotu sprawy! A ja bardzo się cieszyłam, że niemoralne prowadzenie się Bailora wreszcie go dopadło! Prawie miałam ochotę go ucałować (ale nie do tego stopnia, by naprawdę to zrobić). Problem został rozwiązany, przynajmniej dla mnie.

Wróciłam jako Aurelia, lecz czasami tęsknię za spokojnym życiem Nelli, która urodziła dziecko i żyła w bliskości z naturą. Ale mam wrażenie, że teraz, po powrocie, zachowałam pewne jej cechy. Codziennie jestem wdzięczna, że żyję i że mam Ciebie. Patrzę na zmieniające się światło i drzewa. Codziennie rano modlę się za Louisa i przesyłam mu pocałunek, po czym staram się o nim nie myśleć. Skupiam uwagę na życiu toczącym się wokół – na Hatville Court. Powtarzam sobie, że wszystko jest zdumiewająco proste. Nie potrafię opisać, jak bardzo pragnę



przytulić Louisa, i oczywiście w nocy zdarzają się mroczne chwile, gdy wyobrażam sobie, jak mogłoby wyglądać moje życie. Gdybym mogła poślubić Robina i samodzielnie wychować Louisa, gdyby to moja szczęśliwa rodzina żyła w Fountain Cottage, gdybyśmy, ja i Ty, mogły się cieszyć naturą, bawić razem z Louistem... Ale umieram i nie chcę, by został sierotą. Za każdym razem, kiedy pojawiają się te myśli i uczucia, zaciskam zęby, nic nie robię, postępuję normalnie i wtedy mijają, zawsze mijają. Postaram się stawiać czoło tym niepokojom aż do śmierci.

Inną skomplikowaną sprawą jest kwestia poszukiwań skarbu! Amy, wybacz mi, proszę, nieuniknione pomyłki, które popełniłam. Nie boję się pozostawić Louisa z nowymi rodzicami, ale czuję lęk, że jeśli popełnię jakiś błąd, nigdy go nie odnajdziesz.

Próbuję sobie radzić z sekretami przeszłości, z niejasną terażniejszością, z fikcyjną podróżą i nieprzewidywalną przyszłością. Najpewniejszy sposób to pozwolić, by tajemnica umarła wraz ze mną, jednak nie mogę znieść myśli, że nigdy jej nie poznasz, nie ujrzysz mojego syna, a on Cię nie zobaczy. Zatem mimo wszystko muszę podjąć ryzyko opracowania tego zdumiewającego planu. Muszę sprawić, by spotkało się dwoje ludzi, których kocham najbardziej na świecie – albo ponieść klęskę i umrzeć.

Kiedy wróciłam do domu, w moim życiu istniały już wszystkie niezbędne elementy łamigłówek. Musiałam tylko ułożyć je tak, by ścieżka prowadząca do skarbu była jasna dla Ciebie, lecz zbyt skomplikowana dla kogokolwiek innego. Rozmyślając o łamigłówce, zdałam sobie sprawę, że nie będzie tylko sposobem ukrycia prawdy o Louisie. W pewnym momencie pojawił się inny cel. Gdy zaczęłam przygotowywać konkretne wskazówki, wiedziałam już, że poszukiwanie skarbu służy nie tylko mojemu dziecku, lecz również Tobie. Mogłam sprawić, byś miała pieniądze i przyjaciół, lecz nie chciałam na tym poprzestać. Pragnęłam Ci dać możliwość wyboru. Doświadczenie. Wolność. Chcę, żebyś poznała ludzi, których ja poznałam, żebyś stała się mądra, żebyś skorzystała na tej podróży. To niewątpliwie zarozumiałość z mojej strony, ale to, co przeżyłam, zmieniło mnie i wzmocniło. Pragnę tego samego dla Ciebie.

Wszystko stopniowo przybrało konkretny kształt jak glina zmieniająca się w naczynie. W rzeczywistości będzie to ciężka próba, z której wyjdiesz przeobrażona – bogata, znająca świat, silna, mogąca swobodnie wybrać własną drogę. Modlę się, by tak się stało. Modlę się, byś odniosła te korzyści, a nie tylko uznała, że przysporzyłam ci wyjątkowych kłopotów. Modlę się o wiele rzeczy dla Ciebie, Amy.

W końcu plan był gotowy. Napisałam do przyjaciół listy z prośbami, a kiedy wszyscy wyrazili zgodę, napisałam po kolei listy do Ciebie. Robiłam to szybko, Amy, nie wiedząc, ile czasu mi zostało. Pogarszanie się mego stanu zdrowia odwiodło rodziców od zamiaru znalezienia dla mnie nowego kandydata na męża. Nie wyglądam już jak zwyczajna dziewczyna mogąca kogoś poślubić.

Poszukiwania skarbu dobiegają końca. Jutro wyślę ostatni list Jossowi. Jego zadanie jest

*bardzo proste. Musi go po prostu przechowywać do dnia, gdy na ścieżce ogrodu pojawi się Amy Snow. Prosiłam Cię o wiele rzeczy, Amy, za życia i po śmierci. Teraz rozumiesz dlaczego. Od tej chwili nie zamierzam Ci już niczego nakazywać.*

*Nie proszę, byś nikomu o tym wszystkim nie wspominała, bo całkowicie ufam Twojej dyskrecji. Wiem, że nigdy nie opowiedziałabyś o tym komuś, komu ja również bym nie ufała. Nie mam nic przeciwko temu, byś zdradziła sekret Wisterom, bo chciałabym, by wiedzieli, dlaczego opuściłam ich w takim pośpiechu i prawie zerwałam z nimi kontakt.*

*Mam nadzieję, że Ty i Louis staniecie się dla siebie źródłem radości, cokolwiek was czeka. Wiem, że go pokochasz, ze względu na niego i ze względu na mnie. Proszę, opiekuj się nim, Amy, i rób to tak, jak uznasz za stosowne, zgodnie z wymogami sytuacji. Zadbaj, by był szczęśliwy. Wiem, że ma cudownych rodziców, ale czuję się spokojniejsza, gdy wyobrażam sobie Ciebie, z Twoim dobrym sercem i niezachwianą lojalnością, czuwającą nad nim jak dobra wróżka.*

*Urodzenie dziecka to dość powszechny cud. Ot, na ziemi pojawiła się jedna mała istotka, więc nie zmieniłam świata. A jednak świat naprawdę się zmienił, bo pojawił się w nim Louis Capland. Jestem zadowolona z tego, jak to się wszystko skończyło. Mam pewność, że Louis dokona wielkich rzeczy, ale pragnę tylko, by był szczęśliwy.*

*Wreszcie Cię żegnam, ptaszku. Tak naprawdę nie mogę Cię już nazywać ptaszkiem – odleciałaś. Wyrosłaś na kobietę, dzięki Tobie świat stał się lepszy. Wiesz, jak bardzo Cię kocham. Będę Twoim aniołem stróżem, Amy Snow, możesz być tego pewna.*

*Teraz i na zawsze*

*AV*

Tydzień po spacerze z Louistem po ogrodzie opuszczam hotel Jupiter i przeprowadzam się na stałe do Caplandów. Hotel uprzejmie się zgadza w dalszym ciągu odbierać moją korespondencję. Będę tam przychodzić raz w tygodniu. Taki środek ostrożności może się wydawać niepotrzebny, lecz trudno wyzbyć się nawyku zacierania śladów. Jestem bardzo rada, że nie muszę już zachowywać wszystkiego w tajemnicy, lecz w dalszym ciągu należy chronić Louisa. Gorąco popieram decyzję Aurelii, by nie kontaktował się z jej rodziną. W głębi swoich chłodnych serc Vennawayowie zawsze pragnęli wychowywać dziecko Aurelii, nie zdając sobie sprawy z jego istnienia. Może miałabym dla nich więcej zrozumienia, gdybym nie mieszkała w ich domu. Za żadne skarby nie pozwoliłabym, by Louis dorastał w Hatville.

Staję się teraz członkiem rodziny Caplandów, co Louis przyjmuje z entuzjazmem, gdyż odkrywa, że potrafię opowiadać bajki, grać w gry i dostarczać mu rozrywek. Jest to jedna z moich ról jako „cioci Amy”, bliskiej przyjaciółki rodziny.

Czuję się trochę jak w Mulberry Lodge, choć jest tu znacznie spokojniej. Znowu mam wrażenie, że chłonę przyjaźń, odpoczynek i śmiech niczym wysuszony letni ogród chłonie wodę w czasie deszczu. Ale teraz znam rozwiązanie zagadki i z ulgą rozumiem, że tym razem to ja zdecyduję, kiedy stąd wyjechać.

Spędzam czas bardzo przyjemnie. Najczęściej przebywam z Elspeth i dziećmi. W słoneczne dni siedzimy w ogrodzie lub na łąkach. Deszcz zmusza nas do pozostania w domu, lecz dni wypełniają rozmowy, muzyka, sympatyczni goście i popisy akrobatyczne kotów. Czasami chodzę do sklepu z Jossem i uczę się zasad prowadzenia handlu. Wydaje mi się to fascynujące: zamawianie tkanin, sztuczki stosowane przez dostawców, by uzyskać najwyższe ceny, opowieści Jossa o ekscentrycznych klientach z Londynu. Najlepsze ze wszystkiego są darmowe próbki wstążek, guzików i koronek, które przychodzą regularnie do sklepu i które bardzo chętnie sobie przywłaszczam.

Kiedy Elspeth zabiera Louisa i Verity, spędzam czas samotnie nad rysunkami Aurelii, jej obrazami i wierszami z okresu pobytu w hrabstwie York. Porównuję je ze szkicami fikcyjnych miejsc i listami otrzymanymi przed czterema laty i mimo woli się śmieję. Oto impresje i detale, które by mi wysłała, gdyby mogła. Przepiękne, szczegółowe rysunki przedstawiające Elspeth i Jossa, panią Riverthorpe (przerażająco podobna), rośliny i zwierzęta widywane na wrzosowiskach. Kiedy przyglądam się wróblom i kawkom, wiewiórkom i gronostajom, wrzoścom i sosnowym szyszkom, mam wrażenie, że

Aurelia stoi obok mnie, przewraca strony i wskazuje rzeczy godne uwagi.

Później pojawiają się wizerunki Louisa jako niemowlęcia. Na jednych śpi, słodki jak aniołek, a na innych krzyczy z gniewną miną, wymachując piąstkami. Aurelia zdołała przekonująco oddać niewinność i złość maleńkiego dziecka. W obu szkicach wyczuwa się miłość i fascynację.

Jedyna pusta przestrzeń to mój własny krajobraz, jedynym cieniem jest nieobecność Henry'ego. Uważałam, że go kocham i potrzebuję, gdy byłam nieszczęśliwa i nie miałam pojęcia, kim jestem, lecz teraz brakuje mi go sto razy bardziej. Od przybycia do Yorku marzę, że go odnajdę i wszystko naprawię. Wiara w to pozwala mi żyć. Teraz, kiedy nic nie może mnie powstrzymać przed podróżą do Henry'ego, ogarnia mnie strach. A jeśli go nie znajdę albo, co gorsza, znajdę, lecz nie zdołam niczego naprawić? Czym będzie wtedy moje życie?

Wieczorami, gdy dzieci leżą już w łóżkach, siedzę z Jossem i Elspeth w ich przytulnym saloniku, a oni opowiadają mi wszystko, co pamiętają z okresu spędzonego z Aurelią. Ja natomiast relacjonuję każdy szczegół podróży, która mnie do nich doprowadziła. Cieszę się, że mogę wreszcie opowiedzieć całą historię, zakończyć ją i uhonorować zainteresowaniem życzliwych słuchaczy. W nieunikniony sposób pojawia się sprawa Henry’ego. Na początku nie chcę o nim rozmawiać, lecz wkrótce okazuje się, że wypowiedzenie jego imienia przynosi ulgę.

Kiedy opisuję ostatni poranek w Bath, waham się. To wciąż bardzo trudne wspomnienie. Pani Riverthorpe waląca w drzwi mojej sypialni i nasze ostatnie, krótkie słowa na progu. Podśluchana rozmowa pijanych mężczyzn. Szalona ucieczka z Bath. I kłótnia z Henrym...

– Powiedział, że zwalnia mnie z danego słowa... że nasza umowa jest nieważna i że zamierza prowadzić swoje życie tak, jak uzna za stosowne. Nie chciał być durniem czekającym za kulisami. Tak to określił.

– A później nie miałaś od niego żadnych wiadomości? – Elspeth marszczy brwi.

– Ani słowa, chociaż... Nie znał mojego adresu.

– Zatem nie miałaś z nim kontaktu?

– Nie! Nie mogłam pisać. Nie wiedziałam, co zawrzeć w liście! Nie miałam pojęcia, gdzie jest. Ale przede wszystkim czuję lęk. Prześladują mnie jego słowa. Codziennie marzę o tym, by go odszukać, ale jeśli wszystko umarło, co wtedy? Jeśli patrzy na mnie jak na obcą osobę?

Joss i Elspeth wymieniają spojrzenia.

– Pozwól mi jasno wypowiedzieć moje zdanie – odzywa się Joss. – Chciał, żebyś dokonała wyboru między lojalnością wobec niego a lojalnością wobec Aurelii? Chciał, żebyś zrezygnowała z poszukiwań i zaczęła z nim nowe życie?

– O nie, bynajmniej! Bardzo jasno oznajmił, że nie wolno mi tego robić, że powinnam być lojalna wobec Aurelii. Ale chciał ze mną pojechać...

– A ty się nie zgodziłaś?

– Och, czułam, że to wykluczone... Zaczęłam podejrzewać, że chodzi o dziecko. Wiedziałam już, że miała... kochanka. Henry nie znał Aurelii, te informacje były zbyt osobiste. Łatwo ujrzeć to wszystko w fałszywym świetle, błędnie osądzić.

– Obawiałaś się, że Henry będzie źle myślał o Aurelii?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co mógłby o niej myśleć. Społeczeństwo uważa, że należy gardzić kobietami, które mają nieślubne dzieci.

– A jednak codziennie zdarzają się takie sytuacje. – Elspeth uśmiecha się, jakby sprawiało jej to przyjemność.

– Gdyby Aurelia nie zdecydowała się urodzić dziecka, nie miałbym syna – dodaje Joss, wzruszając ramionami. – A gdyby Henry miał inne zdanie, gdyby źle osądził Aurelię, co wtedy?

Przygryzam wargi.

– Cóż, wtedy stanęłabym po jej stronie. I martwiłabym się, czy w podobnej sytuacji mógłby stracić... hm... sympatię do mnie. – Oblewam się rumieńcem i odrzucam włosy do tyłu. – Chcę chronić pamięć Aurelii. Henry nic o niej nie wie, nic nie wie o naszym życiu, i nie ma prawa jej osądzać.

– A zatem nie dałaś mu szansy, by się wypowiedział? – Elspeth wyciąga rękę i ściska moją dłoń. – Oczywiście cię nie winię. To delikatne sprawy i nie miałaś zaufanego powiernika. Pani Riverthorpe zupełnie nie potrafi udzielać rad taktownie! Tak czy inaczej, jeśli zamierzasz wyjść za Henry’ego, powinnaś wiedzieć, co o tym sądzi, prawda?

Spoglądam na swoje kolana. Brzmi to tak prosto. Wtedy wyglądało to zupełnie inaczej.

– Ustalmy podstawowe fakty – mówi Joss z typowo męskim zamiłowaniem do konkretów. – Czy okazałaś mu nieufność? Bałaś się, że zdradzi tajemnicę Aurelii?

– Nie! Henry nigdy nie zawiódłby mojego zaufania. Całkowicie mu ufam.

– Kochasz go? – dopytuje się Elspeth.

– Z całego serca.

– Kochasz go, ufasz mu i chcesz go poślubić. Nie prosił, byś zrezygnowała dla niego z poszukiwań, lecz chciał prowadzić je z tobą i pomóc? – ciągnie Joss, bezlitosny jak wałek Cook.

– Tak, popełniłam okropny błąd, prawda? – pytam cicho. – Henry’emu nie można nic zarzucić, a ja źle go potraktowałam. Teraz nie wiem, gdzie go szukać, i nigdy więcej go nie zobaczę! – mówię coraz głośniej i oddycham ciężko. Znow ogarnia mnie poczucie winy i pęka mi serce. Louis i Caplandowie na jakiś czas złagodzili moje cierpienia, ale nie mogę dłużej uciekać przed swoimi uczuciami. Muszę odnaleźć Henry’ego i odkryć swoje przeznaczenie.

– Ciociu Amy, kim jest ten Henry? – rozlega się za mną cichy głosik.

Joss wstaje, bierze syna za rękę i wyprowadza z pokoju, lecz zatrzymuje się w progu i wzrusza ramionami.

– Czego te kobiety właściwie chcą?! – pyta z oszołomioną miną, po czym zostawia mnie i Elspeth przy otwartym oknie. Lekki wiatr wpadający do pokoju ma zapach jaśminu, gdzieś w pobliżu pohukuje sowa. Śmieję się nerwowo.

– Ciągle go kocham, Elspeth, duszą i ciałem. Żaden mężczyzna nie będzie dla mnie taki jak Henry. Co ja najlepszego zrobiłam?!

– Amy, Henry nie jest bez winy, z pewnością. Znalazłaś się w niezwyklej sytuacji i wiedział o tym od początku waszej znajomości. Nie słuchaj Jossa! Pomyśl, tak naprawdę mężczyźni i kobiety nigdy się nie rozumieją, bo jesteśmy zupełnie innymi istotami. To część przygody! Jeśli wyobrażasz sobie, że możesz znaleźć męża pozbawionego wad i że nigdy nie dojdzie między wami do nieporozumień... cóż, srodze się zawiedziesz. Moim zdaniem najważniejsze są intencje i serce.

– Rozumiem – odpowiadam po chwili zastanowienia. Mam nadzieję, że rzeczywiście rozumiem. – To ma sens, oczywiście. Powiedział mi, że jest uparty. Wiem, że jest również porywczy. Nie lubi kompromisów. Mimo wszystko go kocham. Powiedział, że nigdy nie chce się ze mną rozstawać i że jeśli go kocham, ja również powinnam czuć to samo. Za bardzo skupiliśmy się na marzeniach, choć mnie krępowała przeszłość.

– Oczywiście, że skupiliście się na marzeniach, bo jesteście młodzi i zakochaliście się w sobie. Właśnie na tym polega miłość, Amy. Człowiek wpada w zachwyt, zapomina o rozsądku i ostrożności. Ale później, zwłaszcza w małżeństwie, potrzeba namysłu, wrażliwości i cierpliwości. Henry był niecierpliwy, co okazało się dla was zbyt wielkim ciężarem w trudnej chwili, więc uciekłaś. Można ci wybaczyć! Tyle że przyczyną jego niecierpliwości była miłość do ciebie, troska. Tak przynajmniej sędę. A zatem może jemu również należy wybaczyć?

– Ach, już to zrobiłam. Z całego serca mu przebaczam, Elspeth. Z całego serca!

– To cudownie, kochana! Ale czy nie powinien się o tym dowiedzieć?

Tego wieczoru piszę bardzo długi list do Henry'ego. Kiedy kończę, sporządzam kopię. Adresuję jedną kopertę do Alberta Crumma, drugą do Longacre'ów w Bath. Wkładam do obu kopert krótkie bileciki z prośbą, by natychmiast przekazali Henry'emu moje listy, gdyby znali miejsce jego pobytu. Nazajutrz rano wstaję skoro świt i jadę z Jossem do Yorku.

Idę na pocztę i wręczam cenne listy poczmistrzowi, myśląc o Aurelii. Nie zdradziłam w listach jej sekretu, lecz opisałam wszystko, co jest dla mnie cenne: uczucia, żale, miłość, nadzieje. Napisałam, że jeśli chce, bym do niego przyjechała, powinien po prostu przekazać mi wiadomość, gdzie mam przybyć, a ja zrobię to najszybciej, jak to możliwe. Obiecałam powiedzieć mu wszystko, gdy go zobaczę, i niczego nie ukrywać, już nigdy więcej.

Mimo to czuję się bardzo samotna. Czuję, że go skrzywdziłam, bo najpierw zgodziłam się dzielić z nim życie, a potem, w chwili pierwszej próby, uparłam się, że dam sobie radę sama, i wyjechałam. Wyobrażam go sobie, jak siedzi zdumiony w pogniecionej koszuli nocnej i przeciąga dłonią po włosach, rozumiejąc, że mnie traci.

„Amy, nie zostawisz mnie w ten sposób”. Teraz zdaję sobie sprawę, że nie był to rozkaz, tylko rozpaczliwa prośba. Wspomnienie tych słów sprawia, że niemal tracę nadzieję, ale pamiętam mądre słowa Elspeth, że wina leży po stronie nas obojga, bo jesteśmy tylko ludźmi. Może Henry potrafi mi wybaczyć, kochać mnie pomimo moich wad, tak jak ja jego.

Gorączkowo obliczam daty. Kiedy mogę otrzymać od niego jakąś wiadomość? Jeśli przebywa u Longacre'ów lub u swojego dziadka, mogę dostać odpowiedź za kilka dni. Jeżeli nie ma go u nich, lecz natychmiast prześlą mu list, potrwa to trochę dłużej. Jeśli nie znają miejsca jego pobytu, mój list może do niego dotrzeć dopiero po tygodniach. A nawet miesiącach! Czy wystarczy mi cierpliwości?

Jeszcze nigdy nie byłam zakochana. Nie wiem, co można wybaczyć, a czego nie, lecz nie mam wielkich nadziei, że Henry mi wybaczy. Mimo to przyrzekam sobie jedno – spróbuję wierzyć, że mogę zdobyć miłość i szczęście, nawet jeśli dotychczasowe wydarzenia sugerują coś przeciwnego. Zrobiłam wszystko, co możliwe, a jeśli Henry nie odpowie, jeśli ciągle się na mnie gniewa, pojedę do Londynu i porozmawiam z jego dziadkiem. Zwrócę się do niego z prośbą, żeby namówił Henry'ego, by mnie wysłuchał, tylko raz, z dobroci serca.

Lecz jeśli mnie już nie kocha, jeśli jest ktoś, kto może dać mu więcej szczęścia albo po prostu on nie



chce ryzykować związku z Amy Snow, zapomnę o nim, naprawdę zapomnę, i w głębi serca zawsze będę mu dobrze życzyła. Ale najpierw muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, by go odzyskać.

Przyrzekam to sobie solennie, wyruszając z powrotem do Fountain College. Nie zamierzałam iść piechotą – chciałam spytać Jossa, czy może zwolnić na jakiś czas czeladnika, by mnie odwiózł. Jednak pogrążona w myślach, składając sobie sekretne, żarliwe obietnice, minęłam sklep i znalazłam się za murami miasta. Waham się, po czym postanawiam iść pieszo. Zajmie to więcej czasu, lecz okolica jest bardzo ładna. Uświadamiam sobie, jak przyjemna może być samotność, gdy nie jest wymuszona – jak dobrze można się czuć we własnym towarzystwie, gdy ma się inny wybór.

Dzień jest ciepły. Zdejmuję kapelusz i macham nim w czasie marszu. Idę przez zielone łąki zupełnie sama. Spędziłam dużo czasu z panią Riverthorpe, więc trudno się dziwić, że lubię łamać konwenanse.

Kiedy docieram do drogi prowadzącej do Fountain Cottage, jestem rozgrzana i z pewnością nieco zaczerwieniona. Czuję, że mam rozczochrane włosy, i przyrzekam sobie, że po powrocie usiądę w cieniastym miejscu z tomikiem poezji i grzebieniem. Nagle spostrzegam, że Elspeth miała gościa pod moją nieobecność, i czuję się odrobinę zakłopotana.

Kimkolwiek jest, idzie z domku w stronę Yorku. Za chwilę się spotkamy i przelatuje mi przez głowę myśl, by gdzieś się ukryć, lecz dochodzę do wniosku, że każdy może mnie uznać za stracha na wróble. Nie dbam o to. Czuję się wolna. Wyteżam wzrok, zastanawiając się, czy znam tego człowieka. Jest zbyt szczupły jak na Jeremiaha, który i tak powinien być teraz w sklepie rzeźniczym. Wydaje się trochę podobny do Henry'ego, ale widzę codziennie dwudziestu pięciu Henrych, tak często o nim myślę. Idę dalej, machając kapeluszem.

Nagle nakrycie wysuwa mi się z palców, bo wstążki są satynowe, a ja mam spocone ręce. Wyglądam jeszcze bardziej absurdalnie, gdy stoję nad kapeluszem leżącym na ziemi. Powiew wiatru toczy go w stronę mężczyzny, jakby kapelusz chciał się z nim przywitać.

Mężczyzna podnosi go z szerokim uśmiechem, który widzę tysiąc razy dziennie. Spoglądam na Henry'ego Meada, lecz w dalszym ciągu nie dociera do mnie, że jest w hrabstwie York.

– Amy Snow – mówi, patrząc na mnie ze zdumieniem, jakbym była czymś rzadkim, cennym i cudownym. Lęk zmagają się w nim z determinacją. – Mój Boże, cieszę się, że cię widzę! Nie mogę bez ciebie żyć, Amy, więc nie pytaj mnie o nic.

– Henry?

Zapominam o wyrzutach sumienia, niepokoju o przyszłość. Jestem niewiarygodnie szczęśliwa, że go widzę. Nigdy więcej nie będę niczego tak pragnąć. Długo patrzymy na siebie, po czym padamy sobie w ramiona.

– Och, Henry!

Unosi mnie i kręci wokół siebie.

– Kocham cię! – szepce, wtulając twarz w moje włosy. Jego słowa są przytłumione, szorstkie.

Jest mi słabo. Czuję miłość i ulgę. Mam wrażenie, że porwała mnie ogromna fala. Bez przerwy powtarzam: „Kocham cię” i „Henry”. Przez pięć miesięcy moim życiem rządziły słowa. Wskazówki, listy, to, co mogłam powiedzieć i czego nie wolno mi było zdradzić. Teraz w końcu mogę o tym wszystkim myśleć i podążać za swoimi uczuciami. Mogę się poddać.

Kiedy w końcu stawia mnie na ziemi, nie chcę go puścić. Uszczęśliwiona obejmuję jego szerokie barki i tulę twarz do jego szyi.

To lepsze niż słowa.

Słowa pojawiają się później, gdy wracamy do Fountain College i Elspeth podaje lemoniadę. Zabiera dzieci na ławkę, a one głośno protestują, że muszą opuścić interesującego gościa o psotnych oczach.

– Jak mnie znalazłeś, kochany Henry? – pytam, całując go w rękę, którą trzymam w obu dłoniach.

– Nie dzięki tobie, najdroższa – odpowiada wesoło.

– Bardzo mi przykro. Bałam się do ciebie pisać i nie wiedziałam, jak nawiązać z tobą kontakt. A jeśli się odkochałeś? A jeśli się na mnie gniewasz? Chyba nie mam doświadczenia w takich sprawach i właśnie dlatego nie miałam pojęcia, co robić. Ale w końcu napisałam do ciebie dwa listy. Wysłałam je dziś rano!

Śmieje się.

– Marzę, by je przeczytać, moja piękna! Odkochałem się? Wykluczone, głuptasku. Byłem wściekły, gdy wyjechałaś. Czułem ból i bałem się, że cię straciłem. Nie zdawałem sobie sprawy, że potrafię być takim gburem, Amy. Przepraszam! Pojechałem do Richmond, bo nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić. Pomyślałem, że przede wszystkim powinienem zdobyć pracę, bo od tego zależy nasza przyszłość. Uznałem, że to lepszy pomysł, niż pędzić za tobą do Yorku. O mało się nie pokłóciliśmy i ciągle zachowywałaś się zupełnie nierozsądnie, kochanie.

– Henry!

– Tak, tak, zupełnie nierozsądnie. Niecierpliwiłem się, denerwowałem, ale nic do mnie nie docierało.

Czy dobrze konkluduję, Amy?

Ponuro przyznaję mu rację.

– W czasie rozmowy w szkole nie mogłem się skupić. Przez cały czas miałem ochotę uciec i wsiąść do pociągu na północ. Ale zacisnąłem zęby i zdobyłem tę posadę!

Całuję go z radością.

– Wiedziałaś, że ci się uda! Och, gratuluję, to wspaniale! Podobała ci się szkoła?

– Bardzo. Pan Merritt to sympatyczny dżentelmen, a grzeczne i pilne młode damy, które widziałem w czasie lekcji, na pewno mają wiele wyjątkowo śmiałych pomysłów, które pomogę im zrealizować. Będę niezwykle nowatorskim nauczycielem, możesz być pewna! Budynek jest bardzo ładny. Oczywiście znasz Richmond. Przepiękne miasto. Moim zdaniem praca w szkole żeńskiej będzie dla mnie idealna, choć wyrażę ostateczną zgodę dopiero wtedy, gdy to zaaprobujesz. Mam świadomość, że od naszego

ostatniego spotkania dużo mogło się zmienić.

– Tylko to, że jestem jeszcze bardziej pewna, że chcę zostać twoją żoną, Henry. Odzyskałam wolność i decyduję o sobie. Ale mów dalej, proszę.

– Z Richmond wróciłem do Bath. Poszedłem prosto do pani Riverthorpe i zażądałem, by mi powiedziała, gdzie cię mogę znaleźć.

Wybucham śmiechem.

– Boże, co za odwaga! Co się stało?

– Cóż, powiedziała.

– Henry, nie! To niemożliwe. Nigdy by tego nie zrobiła! Nie chciała mi zdradzić sekretu Aurelii!

– Byłem wyjątkowo groźny, moja droga!

Patrzę na niego sceptycznie.

– Cóż, dobrze, nie było to takie proste. Zmęczyłem ją, dosłownie wydusiłem od niej tę informację. Oświadczyłem, że nie wyjdę z jej domu, dopóki mi nie powie. Później bez końca opowiadałem, jak bardzo cię kocham. Wiesz, że tego nie znosi. Wyszła z salonu. Ja zostałem.

Pojawiła się po godzinie przebrana w jeden ze swoich krzykliwych strojów – jeszcze nigdy nie widziałem takiej sukni. Wybierała się na bal. Ciągle czekałem. Ach, gdybyś mogła zobaczyć jej twarz! – Śmieje się bezradnie. – Poszedłem za nią do powozu, nie przestając mówić, a ona zatrzasnęła drzwiczki i odjechała, przerywając mi w pół słowa. Nieważne! Chciałem jej opowiedzieć mnóstwo innych rzeczy. Wiedziałem, dokąd pojechała. Znasz panią Riverthorpe, zawsze chodzi na przyjęcia, o których mówi całe miasto, więc ruszyłem za nią.

– Miałeś zaproszenie?

– Oczywiście, że nie. Ale w takich sytuacjach przydaje się umiejętność robienia kawałów. Elegancko się wystroiłem. Szkoda, że mnie nie widziałaś! Byłabyś wstrząśnięta. Wszedłem przez okno i krążyłem po sali balowej, aż spotkałem panią Riverthorpe i znowu zacząłem opowiadać o swojej miłości do ciebie. Nie była zadowolona, że przerywam jej wieczór spędzony na pikantnych plotkach w eleganckim towarzystwie, wierz mi!

– Jestem pewna! Masz szczęście, że nie kazała cię wyrzucić!

– Ależ kazała! Po pięciu minutach wyrzucili mnie przez drzwi frontowe i zagrozili aresztem. Nieważne. Czekałem na nią przed Hades House, gdy wróciła.

– Wyobrażam sobie, która była godzina!

– O tak. Zdaje się, że Gus i Ellen myśleli, że postradałem zmysły, lecz byłem zdeterminowany. Pani Riverthorpe jest uparta jak osioł i twarda jak głaz, ale ja jestem zakochany, a to daje mi przewagę pod względem wytrzymałości. Złamanie jej oporu zajęło mi cały tydzień i jestem pewien, że nie ma ochoty więcej mnie oglądać, ale dotarłem tutaj i wreszcie jesteśmy znowu razem. Chcę cię przeprosić, serdecznie przeprosić za wszystko, co powiedziałem przed twoim odjazdem. Wybaczysz mi, Amy? – Spogląda na mnie poważnie i unosi do ust moją dłoń.

– Najdroższy Henry, wybaczyłam ci w chwili, gdy cię opuściłam. Ja też cię przepraszam. Jestem tak przyzwyczajona do sekretów i samotności, że dzielenie z tobą życia nagle wydało mi się niemożliwe. Dlatego uciekłam. Ale teraz wszystko ci powiem, jeśli też mi wybaczasz.

– Już ci wybaczyłem. Co się stało, to się nie odstanie. A zatem... jesteś teraz naprawdę wolna? Poznałaś wielki sekret Aurelii?

Kiwam głową, błyszczą mi oczy. Nareszcie wolność!

– Nie musisz mi mówić, Amy, jeśli uważasz, że to niewłaściwe. Możesz nigdy o tym nie wspominać, jeśli nie chcesz.

Niechaj go Bóg błogosławi... Widzę, że płoną mu uszy z ciekawości.

Wszystko mu opowiadam.

Siedzimy i snujemy marzenia, podobnie jak w Bath, choć teraz nie muszę uważać na to, co mówię. Teraz nikt nie wyśle mnie z dnia na dzień do nieznanego miasta. Mam wrażenie, że wisząca nade mną ogromna, ciemna chmura burzowa odpłynęła, zabierając ze sobą napięcie i uwalniając mnie od bólu głowy, z którego nie zdawałam sobie sprawy.

Siedzimy blisko siebie, pochylając ku sobie głowy w słońcu, aż wreszcie słyszemy na trawiastej drodze chrzęst dwukółki Jossa. Natychmiast zauważa, co się dzieje.

– Amy, pozbyłaś się mojej żony i dzieci, by znowu móc przyjmować kochanków? – Zeskakuje na ziemię i zarzuca wodze na łeb konia. – Oczywiście żartuję! Pan musi być Henrym, prawda?

– Nie, jestem Randolph Boniface – odpowiada ze zmartwioną miną Henry.

Uderzam go w rękę. Jestem pewna, że gdy zaprzyjaźni się z Jossem, żartom nie będzie końca.

Przed wyjazdem z Yorku rozpalam ogień w kominku w swoim pokoju, chociaż jest czerwiec i panuje taki upał, że wszystkie okna w domku muszą być otwarte, bo inaczej nie moglibyśmy oddychać. Od pewnego czasu wiem, że muszę coś zrobić. Wyjmuję wszystkie listy Aurelii i palę je.

Na początku wczesne listy pełne rozpaczliwych kłamstw ukrywających niepokój. Patrzą, jak płoną, czernieją i znikają. Później listy ze wskazówkami dotyczącymi poszukiwania skarbu, jeden po drugim. Po raz ostatni czytam pożegnalne słowa Aurelii.

*Wreszcie Cię żegnam, ptaszku... Nie mogę Cię już nazywać ptaszkiem... Bardzo Cię kocham...  
Teraz i na zawsze...*

Wydaje się niemożliwe, że ogromna rola, jaką odegrała w moim życiu, właśnie dobiegła końca. A jednak to prawda.

– Żegnaj, Aurelio – szepczę. – Ja też cię kocham. Dziękuję, droga przyjaciółko, za wszystko, co mi dałaś.

Patrzą, jak wszystkie jej słowa i tajemnice zmieniają się w popiół, jak niknie prawda o rodzicach Louisa Caplanda. To historia jednej małej istoty – tak kochanej, uwielbianej i ważnej – ukryta na zawsze.

Moją kronikę również pochłaniają płomienie. Biorę stronice, które pokryłam opisami swoich trosk i wspomnień. To cały duży plik. Wszystko tu jest, moje dotychczasowe życie: noce w zmywalni naczyń i dnie nad strumieniem, wielka przyjaźń i bolesna strata, wygnanie i poszukiwania. Moja historia, nadzieje, ból serca. Pytania – poznałam odpowiedzi na część z nich, lecz inne mogą na zawsze pozostać zagadkami. Rozbłyskują jasnym płomieniem, a później znikają.

Żegnam się nie tylko z wędrownką w poszukiwaniu skarbu, nie tylko z Aurelią, lecz także z całym swoim dotychczasowym siedemnastoletnim życiem, które zaczęło się w śniegu, a zakończyło w płomieniach. Wrzucam swoje nieszczęścia do ognia, nie określają tego, kim jestem. W ten sposób tworzę kolejne czyste płótno, na którym mogę namalować swoją nową tożsamość – i przyszłość.

Bo jest tak, jak powiedziała Aurelia, że śmierć to jedno, a życie to zupełnie coś innego.

*Twickenham, kwiecień 1849*

W „Twickenham Herald” ukazuje się ogłoszenie, że dwudziestego dziewiątego kwietnia pan Henry Mead z hrabstwa Hertford i panna Amy Cardew z Twickenham zawrą związek małżeński. I wychodzę za mąż.

Przyjęcie odbywa się w ogrodzie, skąd goście mogą bez trudu zejść do rzeki. W czasie ceremonii w miejscowym kościele rolę ojca odgrywa Edwin Wister, a matki Madeleine. Mała Louisa, teraz pięcioletnia, świetnie się spisuje jako drużna. Michael pełni funkcję odźwiernego.

W uroczystości biorą udział wybrani Meadowie i Crummowie, Caplandowie z Yorku, pani Ariadne Riverthorpe w eleganckiej jedwabnej sukni o barwie szafranu i w kolii z żółtawych brylantów, a także, naturalnie, cała rodzina Wisterów. Liczba Wisterów w Mulberry Lodge się nie zmieniła. W styczniu (miesiącu, który zamierzam pokochać) Constance urodziła Caroline Aurelię, a jesienią Madeleine wyprowadziła się z domu i została panią Renfrew. Łatwo sobie wyobrazić moją radość z obu tych wydarzeń.

W tej chwili jestem panią Amy Mead. Wydaje mi się, że moja śnieżna tożsamość całkowicie się zmieniła, nazwisko Snow zostało zastąpione przez inne, kojarzące się z latem<sup>3</sup> – bo czy ktoś kiedyś słyszał o łąkach w zimie?

Kiedy zamieszczaliśmy zapowiedzi w „Twickenham Herald”, zadaliśmy, by nazwisko Amy Snow nie pojawiło się w druku. Nie może mnie teraz odnaleźć nikt, kto coś wie o moim pochodzeniu. Ale od dawna się z tym pogodziłam.

Mimo wszystko czuję wdzięczność do Vennawayów. Amy Snow przestała istnieć, znikła niczym ślad stopy na topniejącym śniegu.

*Hatville Court, maj 1848*

Droga powrotna do Hatville jest długa i prosta. Wydaje mi się to groteskowo symboliczne. Moja córka miała rację w jednej kwestii. Kobiety mogą być cnotliwe, niewinne i miłe, lecz w tym życiu nie czeka je za to nagroda.

Nie wiem, dlaczego pojechałam do Bath, by odnaleźć Amy Snow. Tak czy inaczej, nie miało to sensu, jak większość mojego życia. Wracam, w dalszym ciągu dźwigając brzemień tajemnicy. Nie jest to żaden sensacyjny sekret, jego ujawnienie nie zmieni świata. Ale konsekwencje są bolesne.

Na horyzoncie nad drzewami widać dachy Hatville, choć pozostało jeszcze kilka kilometrów prostej drogi. Pamiętam cytat z Biblii, że należy kroczyć prostą ścieżką, nie zbaczając. Właśnie tak postępowałam przez całe życie.

Usiłowałam nauczyć tego Aurelię, ale nie chciała słuchać. Zupełnie nie rozumiem swojej córki. Nie wiem, jak może być dzieckiem Charlesa i moim, bo nie ma żadnych cech ojca, a także moich, oprócz wyglądu. Niegdyś uchodziłam za wielką piękność.

Szczyciłam się tym i sprawiało mi to przyjemność. Byłam zdolniejsza od swoich sióstr. Najstarsza z siedmiu dziewcząt urodzonych w odstępnie roku albo dwóch. Ledwo zdążyłam odetchnąć i popatrzeć w oczy matki, gdy pojawiała się kolejna siostra, a później następna i następna...

Kiedy wyszłam za mąż, nigdy nie wątpiłam, że urodzę mnóstwo dzieci. Charles i ja mieliśmy liczne rodzeństwo. Byłam młoda, silna i zdrowa. „Marzenie mężczyzny”, powiedział do mnie w noc poślubną. Kiedy rozerwał mój gorset, odwróciłam się twarzą do ściany.

Moja pierwsza ciąża, siedemnaście miesięcy po ślubie, była najcudowniejszą rzeczą, jaka kiedykolwiek mnie spotkała. Kiedy powiedziałam o tym mężowi, chwycił mnie w ramiona i okręcił wokół siebie, ciesząc się jak dziecko. Patrzył na mnie z czułością, jakiej wcześniej mi nie okazywał.

Nasi rodzice składali nam gratulacje i wyczuwałam, że wszyscy wydali westchnienie ulgi. Mimo wszystko pojawi się dziedzic Hatville.

Żadne dziecko nie mogło przeżyć w obliczu tak wielkich oczekiwań. Moje umarło po dwóch miesiącach w potokach krwi.

Nie ma słów, które mogłyby opisać moje uczucia.



Minął zaledwie miesiąc, nim Charles znów zaczął mnie odwiedzać, choć lekarz kazał mu czekać dłużej. Moje ciało i dusza były udręczone, u kresu wytrzymałości. Cztery miesiące później znów byłam w ciąży. Teraz trwała ona zaledwie cztery tygodnie. Nie czułam się tak samo jak za pierwszym razem.

Później przyszło mi do głowy, że czeka mnie straszliwy los. Nie martwiłam się, że nie zdołam począć dziecka, lecz że moje ciało w nieskończoność będzie przeżywać nieustająco nadzieję i żalobę w ciągu wielu lat. Nawet gdybym urodziła dziecko, na tym się nie skończy i wszystko zacznie się od początku. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że moje życie może być nie do zniesienia.

Dwa kolejne lata, dwoje dzieci, które umarły, nim zdałam sobie sprawę z ich istnienia. Jedno żyło we mnie dwa miesiące, a drugie pięć – cóż za okrucieństwo! Synowie lub córki – nigdy nie widziałam ani jednej twarzy. Zniknęły. Przepadły, jakby nigdy nie istniały, i myślałam, że pięknie mi serce.

I nagle cud. Sześć lat po ślubie. Przez cały ten czas mąż uważał, że ród Vennawayów wygaśnie. Znów poczęłam. Trzymaliśmy ten fakt w tajemnicy, lecz po dziewięciu miesiącach urodziła się Aurelia. Moje dziecko!

Charles rozpaczał, że to dziewczynka, ale ja ją uwielbiałam. Jako dziecko przypominała aniołka. Miała złociste loki, karminowe, słodkie usteczka i szeroko rozstawione fiołkowe oczy, które nigdy nie zmieniły koloru ani nie zbladły.

Wyglądała zupełnie tak samo jak ja. Marzyłam, że osiągnie to wszystko, co mnie się nie udało. Była żywa, miła i wesoła, a dziadkowie w znacznym stopniu pogodzili się z faktem, że nie jest chłopcem. Udało mi się jednak zmienić sytuację rodu. Dziewczynka w przyszłości wyjdzie za mąż, a jeśli jest piękna jak Aurelia, może liczyć na świetną partię.

Mimo to dalej próbowaliśmy. Zachodziłam w ciążę wiele razy, jakby moje ciało miało skrytą nadzieję, że zdołam urodzić kolejne dziecko. Poroniłam po raz siódmy, a kilka dni później Aurelia przyniosła do domu płaczącą, siną i szkaradną Amy Snow.

Niemowlę leżało przede mną na indyjskim dywanie, owinięte w błękitną pelerynę mojej córki, a ja odczuwałam straszliwe zmęczenie, byłam nieszczęśliwa i słaba. Może właśnie dlatego pomyślałam tylko: „Mój syn nie byłby taki brzydki. Dlaczego umarł, a to dziecko żyje?”. W moim sercu nie było współczucia. Nie odczuwałam emocji. Małe istoty, martwe, zanim jeszcze je poczułam, stały się dla mnie chlebem powszednim.

Amy Snow od początku była cierniem w moim sercu. Skaziła umysł Aurelii, która czuła się niemal jej matką, a ponadto zbyt łatwo stała się częścią naszego domu. Małżeństwo, miłość, obowiązek – w arystokratycznych rodzinach wygląda to zupełnie inaczej. Arystokratyczne rodziny są twarde. Dzięki temu stały się tym, kim są. Dzięki twardości.

To, że znaleziono ją na terenie naszego majątku, wywołało plotki, o czym wiedziałam. Mówiono, że to nieślubne dziecko Charlesa, podrzucone w zaspie śnieżnej w Hatville, by go skompromitować, ale ja znałam prawdę. To mnie chciano skompromitować.

Wszyscy szeptali, że Amy jest nieślubną córką mojego męża, ale tak naprawdę nikt nie znał jej pochodzenia. Oprócz jej matki i mnie.

W czasie długich, pełnych cierpienia lat często odwiedzałam ubogich, jak przystoi dziedziczce Hatville Court. Rozdawałam kosze z prowiantem, prowadziłam banalne rozmowy i tak dalej. Nie mogę powiedzieć, by sprawiało mi to przyjemność. Nigdy nie czułam się swobodnie w towarzystwie prostych ludzi. Chyba wyczuwali moje zażenowanie i gardzili mną z tego powodu. Zbyt się różniłmy.

Poznałam jednak dziewczynę z jednej z farm. Lubiła moje wizyty. Dla mnie one również nie były tak nieprzyjemne jak inne. Chyba podziwiała moją urodę i wyrefinowanie, marzyła o lepszym losie.

Wiedziałam, że nie wolno jej zachęcać do takich planów, bo jej ojciec hodował krowy, a matka była prostą chłopką. Świat nigdy by jej nie zaakceptował. Nie odznaczała się szczególną urodą, choć była szczerą i naturalną. Miała piękne, bujne włosy o słomianej barwie. Nosiła imię Sophy.

Pewnego dnia w maju 1830 roku zastałam ją samą w chacie. Była zrozpaczona. Zalewając się łzami, opowiedziała mi swoją historię. Naturalnie okazało się, że jest w ciąży.

Ojcem był dżentelmen, który mieszkał wiosną w pobliżu Enderby. Spotkał Sophy, gdy przeganiała stado krów z jednego pastwiska na drugie. Powiedział jej, że jej włosy przypominają w świetle słońca włosy anioła, i zachwycił się jej uśmiechem. Bardzo wątpię w jego szczerść. Sophy uśmiechała się dokładnie tak samo jak Amy – szeroko, brzydko, prymitywnie. Wyraźnie miał ochotę uwieść niemądrą dziewczynę, która na swoje nieszczęście uwierzyła w jego komplementy.

Niedobrze mi się robi, gdy słyszę takie historie. Tylko kompletny łajdak mógł się tak poniżyć, by zadawać się z prostą wiejską dziewczką.

Ten dżentelmen – wiedziała tylko, że nazywa się „Bradley”, choć nie mam pojęcia, czy to imię, czy nazwisko – mieszkał koło Enderby przez tydzień i spotykał się z Sophy kilkakrotnie.

Trochę jej współczułam, wiedząc, jaki straszny los ją spotkał. Ale nie! Powiedziała, że źle rozumiem jej łzy. Nie płakała z przerażenia, tylko z żalu, że wyjechał. Nie mogła w to uwierzyć, bo obiecał jej małżeństwo.

Mówiła, że była z nim szczęśliwa. Szczególnie podobały jej się miłosne schadzki – na stryszku stodoły! Mówiła, że jej dusza wypełniała się światłem. Przerwałam jej, nie mogłam tego słuchać. Miałam spore doświadczenie i sugestia, że tego rodzaju rzeczy mogą być przyjemne, wydawała mi się nieprzyzwoita. Wstrętna.

Dla Sophy było już za późno, wszystko już się stało. Ale może nie było za późno dla jej duszy, o której mówiła takim lekkim tonem. Szybko jej wytłumaczyłam, że współzycie z mężczyzną jest dozwolone tylko w małżeństwie, że doznawanie przyjemności w czasie aktu połączenia to jeden z największych grzechów, jaki może popełnić kobieta. Naturalnie trudno jej było to zrozumieć, bo nie miała żadnego wykształcenia. Podkreśliłam, że dziecko urodzone z takiego związku nosi piętno hańby.

Dałam jej w podarunku starą sukienkę. Jej rodzina uznała to za wielkie dobrodziejstwo, lecz

w gruncie rzeczy chodziło o to, by ukryć zmieniającą się figurę dziewczyny. Kiedy zbliżała się pora rozwiązania, zaproponowałam, by zamieszkała w Hatville, gdzie wykonywałaby jedynie najłżejsze prace. W ten sposób jej rodzina o niczym by się nie dowiedziała. Po porodzie zamierzałam zawieźć dziecko do najbliższego sierocińca, a Sophy znów mogłaby rozpocząć normalne życie. Powiedziała, że chce zatrzymać niemowlę, ale nalegałam. Nie powinna żyć w hańbie aż do śmierci. Lepiej było udawać, że nic się nie stało.

Później straciłam ostatnie, wytęsknione dziecko i byłam bardzo chora. Niektóre płody opuszczały moje ciało lekko – przypominało to mimowolne westchnienie. Ten mały chłopiec (nie miałam wątpliwości, że to syn) walczył bardziej uparcie od innych i powiedziano mi, że byłam bliska śmierci. Chętnie umarłabym, by dać mu życie, lecz los mi tego odmówił.

Kiedy mogłam się ubrać i wstać, przybyły moje siostry, a Sophy znikła.

Nigdy się nie dowiedziałam, co się z nią stało. Raz próbowałam zasięgnąć informacji. Nie wróciła do rodziców i nigdy więcej o niej nie słyszano. Wyglądało to rzeczywiście tak, jakby nic się nie stało. Jedynym skutkiem było pojawienie się nagiej dziewczynki w zaspie śnieżnej w Hatville.

Nie udaję, że rozumiem. Sophy kochała swoje dziecko tak mocno, że uciekła z Hatville, choć nie był to mądry plan. A potem porzuciła niemowlę.

Wyobrażam sobie, że ogarnęło ją jakieś szaleństwo. W straszliwej chwili, gdy miłość do dziecka łączy się z trwogą o jego życie, nawet mnie ogarniała utrata zmysłów. Prawdopodobnie zupełnie nie wiedziała, co robi – w poprzednich tygodniach była głęboko wytrącona z równowagi.

Na początku rozmyślałam, czy dziewczynka nazwana przez Aurelię Amy Snow może być nieszczęśliwym dzieckiem innej kobiety, a zbieżność czasowa to złośliwy przypadek. Jednak kiedy Amy urosła, nie mogło być żadnych wątpliwości. Widząc jej niezgrabny, brzydki uśmiech, miałam wrażenie, że Sophy mnie oskarża. Włosy Amy układały się tak samo jak włosy Sophy, choć ciemny kolor musiała odziedziczyć po ojcu.

W mrocznych chwilach zastanawiałam się nawet, czy Sophy celowo porzuciła niemowlę w Hatville, by umarło na moich oczach jako wyrzut sumienia. Istnieje, jak sądzę, kilka wyjaśnień i nie mam ochoty marnować energii na ich rozważanie.

Tak czy inaczej, w moim domu znalazła się dziewczynka, która nigdy nie powinna zostać poczęta, i wiodła normalne, zdrowe życie pod moim nosem. Zdarzyło się to w wyjątkowo okrutnym momencie, tuż po śmierci mojego słodkiego Samuela, jak go w duchu nazywałam. Kiedy tylko widziałam Amy, wzbierał we mnie straszliwy żal. Zabroniłam Cook, by mi ją pokazywano.

Przez pewien czas jakoś to funkcjonowało. Było to niedoskonałe, lecz skuteczne rozwiązanie. Ale Aurelia – przekorna, krnąbrna Aurelia – zrobiła sobie z Amy zabawkę, a później traktowała ją jak siostrę. Reszta to bardzo smutna historia.

Teraz Aurelia odeszła, podobnie Amy. Jej zniknięcie to jedyna korzyść ze śmierci Aurelii. Po raz pierwszy od siedemnastu lat odetchnęłam normalnie, gdy kilka miesięcy temu ta mała uparta dziewczyna wreszcie znikła w szarej styczniowej mgle. Wierzyłam, że wreszcie odzyskam spokój ducha.

Ale prześladowały mnie wspomnienia Sophy. Przypominałam sobie szczegóły, o których nie myślałam od wielu lat. Wybrała imiona – Flora dla dziewczynki, Nicholas dla chłopca – choć uprzedzałam, że sierociniec i tak nada dziecku własne imię. Dlaczego to pamiętam? Mówiła, że ojciec pochodził z hrabstwa Devon i jeździł na białym koniu. Cóż, nie wątpię. Czasami, gdy nie wiedziała, że jestem w pobliżu, śpiewała kołysanki dziecku rosnącemu w jej brzuchu. Czy ja też powinnam była śpiewać swoim dzieciom?

Może miałam nadzieję, że zapomnę o tych strzępach cudzej historii, jeśli przekażę je Amy? Może powinna poznać własną historię, po wielu latach opowieści o Cyganach, księżniczkach i plotkach o Charlesie Vennawayu. Powtarzałam sobie wiele razy, że nie mam wobec niej żadnych zobowiązań – przeżyła tylko dlatego, że okazałam jej łaskę. Ale znam prawdę.

Kiedy Arabella wróciła do Surrey i powiedziała, że na eleganckim balu w Bath pojawiła się Amy Snow i wyglądała jak wspaniały klejnot, wiedziałam, że tym razem muszę ją odnaleźć i wyznać wszystko, co wiem.

Zupełnie nie wierzę w przypuszczenia Arabelli, skąd się wzięła fortuna Amy. Moja siostra jest głupia. Nie mam wątpliwości, że Aurelia pozostawiła Amy wielki spadek. Z pewnością starała się to dobrze ukryć. Dobrze, że to zrobiła, bo Charles próbowałby podważyć jej ostatnią wolę. Nie ma dziedzica i staje się coraz bardziej chciwy. Dla mnie to obojętne.

Nie spotkałam Amy Snow. Wiem, czuję to w głębi serca, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Nigdy nie chciałam na nią patrzeć. Moje życie jest jałowe i pełne obciążeń – zawsze takie było. Sprawa jest zamknięta.

Tak, wróciłam do Hatville, nie podzieliwszy się z nią swoją wiedzą. Lecz, doprawdy, to wszystko jest takie przyziemne – tajemnice Amy Snow nie mają w sobie nic oryginalnego ani ciekawego. Czyż nie jest to po prostu banalna opowieść o małej, nieważnej istocie, zapomnianej na zawsze?

Jestem ogromnie wdzięczna wszystkim niezwykłym, utalentowanym profesjonalistom, których poznałam dzięki zwycięstwie w konkursie Search for a Bestseller. Nie chciałabym współpracować z nikim innym i cieszę się, że to właśnie oni wzięli w swoje ręce sprawę publikacji *Amy Snow*. Składam wielkie, gorące podziękowania całemu personelowi Furniss Lawton, Quercus, Plank PR i WH Smith za fachową pomoc, wsparcie i ciepłe słowa. Specjalne wyrazy wdzięczności należą się mojej inspirującej agentce Eugenie Furniss i błyskotliwej redaktorce Kathryn Taussig. A także, oczywiście, Richardowi i Judy.

Dziękuję również Therese Keating, która przeczytała książkę jako pierwszy spośród jurorów konkursu i polubiła *Amy*.

Wyrazy ogromnej wdzięczności i miłości dla pierwszych czytelników, którzy zachęcali mnie i wspierali w trakcie pisania, okazując bezcenny entuzjizm i pomoc: Wendy Hammond, Ellen Pruyne, Marjorie Hawthorne, Andy'ego Humphreya oraz Jane Rees (czyli mamy).

Ponadto chciałabym przekazać wyrazy wdzięczności pozostałym przyjaciołom ze Swansea i Londynu, którzy w ciągu ostatniego roku udzielali mi wsparcia i zachęty, na wiele sposobów. Są to: Lisa Mears, Cheryl Powell, Karen Wilson, Patsy Rodgers, Lucy Davies (asystentka naukowa!), Kathryn Davies, Sarah Cole, Anna Hunt, Stephanie Basford-Morris, Rosie Stanbridge, Ludwig Esser, Jacks Lyndon i Bethan Jones – wasza przyjaźń, wasza cudowna wnikliwość sprawiają, że mój świat staje się lepszy i bogatszy, że mogę robić to, co robię. Chciałabym podziękować York Writers, grupie utalentowanych i pełnych pasji ludzi, którzy rozumieją moje ambicje literackie i jako pierwsi wyrazili opinię na temat początkowych stron *Amy Snow*.

W końcu – choć zapewne powinnam zrobić to wcześniej – pragnę podziękować swoim fantastycznym rodzicom stale dodającym mi otuchy. Bez nich prawdopodobnie nigdy nie zauważyłabym ulotki z informacją o konkursie, a *Amy Snow* miałyby sześć stron.

Korzystałam z następujących bezcennych źródeł, które pomogły mi poznać epokę *Amy*:

Flanders Judith, *The Victorian City*. Atlantic Books, Londyn 2012

Goodman Ruth, *How to Be a Victorian*. Penguin, Londyn 2014

Paterson Michael, *A Brief History of Life in Victorian Britain*. Robinson, Londyn 2008

*The Railway Traveller's Handy Book 1862: Hints, Suggestions and Advice for the Anxious Victorian Traveller*. Old House, Oksford 2012



# Przypisy końcowe

1. *Merit* (ang.) – zasługa, umiejętność, kwalifikacje (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)
2. Parafraza fragmentu wiersza Roberta Burnsa *Do myszy*, przeł. Stanisław Barańczak, [w:] Stanisław Barańczak, *Wybór wierszy i przekładów*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1997, s. 439. [\[wróć\]](#)
3. *Mead* (ang.) – miód pitny, w języku poetyckim również łąka. [\[wróć\]](#)



TAJEMNICE  
AMY  
SNOW

OTWÓRZ LIST.  
ODKRYJ SEKRET.

TRACY REES

